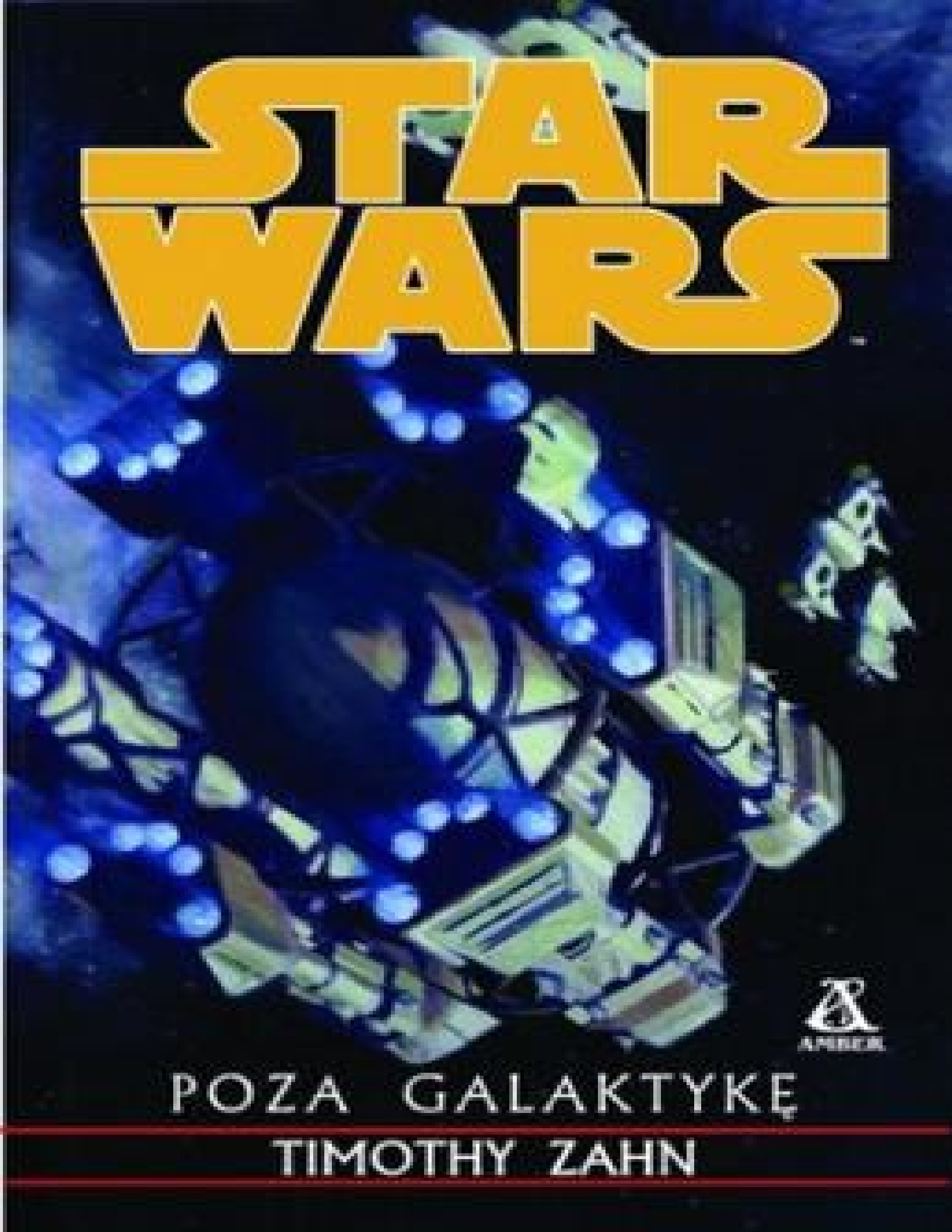


STAR WARS



POZA GALAKTYKĘ
TIMOTHY ZAHN

POZA GALAKTYKĘ

Timothy Zahn

Przekład
ALEKSANDRA JAGIEŁOWICZ

Michaelowi Stackpole 'owi

za jego wkład w tworzenie wszechświata Gwiezdnych Wojen: za

powieści, za rady, a od czasu do

czasu za słowa mniej poważne. A w tej ostatniej kategorii, Michael, kiedyś cię pobiję w Star Wars Trivial Pursuit.

R O Z D Z I A Ł 1

Lekki frachtowiec „Łowca Okazji” płynął w przestrzeni, szarosrebrzysty na tle głębokiej czerni. Blask odległych gwiazd odbijał się od jego powłoki. Światła statku były przyćmione, nadajniki nawigacyjne milczały, a iluminatory były w większości równie ciemne jak otaczający je kosmos.

Ale silniki pracowały pełną parą.

- Trzymaj się! - warknął Dubrak Qennto, przekrzykując ryk silników.

- Znowu tu leci!

Jorj Car'das zacisnął zęby, żeby przestały szczekać, i jedną ręką chwycił się poręczy fotela, drugą kończąc wklepywanie współrzędnych do komputera nawigacyjnego. W samą porę - „Łowca Okazji” odpadł ostro na lewo, kiedy tuż przed kopułką mostka śmignęły dwa jaskrawozielone promienie lasera.

- Car'das! - zawołał Qennto. - Wal, mały!

- Walę, walę - zawołał Car'das, z trudem powstrzymując pokusę zwrócenia uwagi, że przestarzałe urządzenia nawigacyjne należały do Qennto, a nie do niego. Podobnie jak brak talentów dyplomatycznych i zdrowego rozsądku, którym w głównej mierze zawdzięczali te tarapaty. - Nie możemy z nimi po prostu porozmawiać?

- Znakomity pomysł - syknął Qennto.

- Nie zapomnij skomplementować uczciwości i głowy do interesów Proggi. Huttowie zawsze dają się na to nabrać.

Ostatnim słowem zawtórowała kolejna salwa strzałów z miotacza, tym razem znacznie bliżej.

- Rak, te silniki nie wytrzymają bez końca tej szybkości - ostrzegła Maris Ferasi z fotela drugiego pilota. Jej ciemne włosy lśniły zielonymi refleksami za każdym razem, kiedy za szybą przemykała kolejna salwa.

- Koniec pewnie kiedyś nastąpi - burknął Qennto.

- Jeszcze tylko parę liczb. Car'das?

Na pulpicie Car'dasa zapłonęła lampka.

- Gotów - zawołał, wprowadzając liczby na stanowisku pilota.

- Ale to nie za długi skok...

Przerwał mu głośny zgrzyt, dochodzący gdzieś z tyłu, i świszczące promienie lasera ustąpiły miejsca długim liniom gwiazdnego światła. „Łowca Okazji” wszedł w nadprzestrzeń.

Car'das odetchnął głęboko i bezdźwięcznie wypuścił powietrze z płuc.

- Tego nie było w kontrakcie - mruknął do siebie. W ciągu zaledwie sześciu standardowych miesięcy od jego zaciągnięcia się do Qennto i Maris już po raz drugi musieli ratować się ucieczką.

A tym razem zadarli z Huttem. Qennto miał wyraźny talent do wywoływania awantur.

- W porządku, Jorj.

Car'das podniósł wzrok, mrugnięciem strząsając kropelkę potu, która jakimś cudem znalazła się na jego powiece. Maris odwróciła się w fotelu i spojrzała na niego z troską.

- Nic mi nie jest - powiedział i skrzywił się, słysząc, jak drży mu głos.

- Jasne, że nic - zapewnił ją Qennto, również oglądając się na najmłodszego członka załogi. - Te strzały nawet nas nie musnęły.

Car'das nabrał tchu.

- Qennto, wiesz, może nie powinienem tego mówić...

- Jak nie powinieneś, to nie mów - warknął Qennto, odwracając się znów do pulpitu.

- Hutt Progga nie jest typkiem, którego chciałbyś mieć przeciwko sobie - ciągnął z uporem Car'das. - Chodzi mi o to, że najpierw był ten Rodianin...

- Jedno słówko na temat pokładowego savoirvivre'u, mały - wtrącił Qennto, odwracając się tylko na tyle, by spojrzeniem jednego oka zgromić Car'dasa.

- Nie kłóć się z kapitanem. Nigdy. Chyba że chcesz, aby to był twój pierwszy i ostatni kurs z nami.

- Wystarczy, jeśli to nie będzie ostatni kurs w moim życiu - mruknął Car'das.

- Co mówiłeś?

- Nic takiego - skrzywił się.

- Nie martw się Progga - uspokajała go Maris.

- Ma paskudny temperament, ale ochłonie.

- Przed czy po tym, jak nas dopadnie i zabierze wszystkie skóry? - odparował Car'das, niepewnie zezując na odczyty z hipernapędu. Przekłeta niestabilność zerowania zdecydowanie pogarszała się z każdą chwilą.

- Progga nic nam nie zrobi - łagodnie oznajmił Qennto.

- Zostawi to Drixo, kiedy będziemy jej musieli powiedzieć, że przejął jej towar. Masz już gotowy następny skok?

- Pracuję nad tym - odparł Car'das, sprawdzając komputer.

- Ale hipernapęd...

- Uwaga - przerwał Qennto. - Wychodzimy.

Smugi światła skurczyły się na powrót w gwiazdne punkty i Car'das wprowadził komendę pełnego skanowania otoczenia.

I aż podskoczył, kiedy salwa strzałów laserowych z sykiem przemknęła nad kopułką.

Qennto zaklął siarczyście.

- Co dojasssss...?

- Leciał za nami - odparła Maris, wyraźnie zdumiona.

- I jest w zasięgu - warknął Qennto, wprowadzając „Łowcę Okazji” w kolejną serię przyprawiających o mdłości uników. - Car'das, zabieraj nas stąd!

- Próbuję - odkrzyknął Car'das, usiłując odczytać dane ze skaczącego mu przed oczami ekranu komputera. Nie było szans, aby obliczył kolejny skok, zanim Qenntowi skończy się dobra passa, a rozjuszony Hutt ich dogoni.

Ale jeśli Car'das nie może znaleźć miejsca, gdzie mogliby uciec, może chociaż zdoła znaleźć wszystkie te miejsca, gdzie nie powinno ich być...

Niebo przed nimi pełne było gwiazd, ale pomiędzy nimi widniały spore obszary czerni. Wybrał największy z nich i wprowadził wektor do komputera.

- Spróbujcie tu - zawołał, przekazując dane Qenntowi.

- Co to znaczy: spróbujcie? - zapytała Maris. Frachtowiec zakołysał się, kiedy kolejne strzały trafiły go w tylne tarcze.

- Nieważne - mruknął Qennto, zanim Car'das zdążył odpowiedzieć. Wprowadził koordynaty i znów gwiazdne smugi najpierw wystrzeliły, a potem znikły w otaczającej ich hiperprzestrzeni.

Maris odetchnęła nerwowo.

- O mały włos.

- No dobrze, może i jest na nas wściekły - zgodził się Qennto.

- Na razie. A teraz wyjaśnij mi, mały, co miałeś na myśli, mówiąc: „Spróbujcie tu”?

- Nie miałem czasu skalkulować poprawnie skoku - wyjaśnił Car'das. - Więc wycelowałem po prostu w puste miejsce bez gwiazd.

Qennto obrócił się wraz z fotelem w jego stronę.

- Chciałeś powiedzieć, w puste miejsce bez widocznych gwiazd?

- zapytał z groźbą w głosie. - Albo przedgwiazdnych ciemnych mas, albo czegoś ukrytego w chmurze pyłowej? - Machnął ręką w kierunku kopułki. - I jeszcze do tego w stronę Nieznanych Regionów?

- I tak nie mamy dość danych dla tego kierunku, żeby mógł właściwie skalkulować skok. - Maris nieoczekiwanie stanęła w obronie Car'dasa.

- Nie o to chodzi - upierał się Qennto.

- Jasne, chodziło o to, żeby nas zabrać sprzed nosa Proggi - syknęła Maris.

- Wypadałoby przynajmniej powiedzieć „dziękuję”.

Qennto wywrócił oczami.

- Dziękuję - rzekł. - Oczywiście cofnę podziękowanie, jeśli wpadniemy na gwiazdę, której nie zauważyłeś.

- Obawiam się, że prędzej eksploduje hipernapęd - ostrzegł Car'das.

- Pamiętasz ten problem z zerowaniem, o którym ci mówiłem? Zdaje się, że jest coraz...

Przerwał mu przeraźliwy dźwięk, dochodzący z dołu. „Łowca Okazji” skoczył do

przodu i stanął dęba jak giffa na tropie.

- Przegrzewa się! - wrzasnął Qennto, odwracając się znowu ku pulpitemu. - Maris, wyłącz to!

- Próbuję - odparła, przekrzykując wycie, a jej palce zatańczyły na klawiszach.

- Sterowanie się zapętliło, nie mogę przepchnąć żadnego sygnału.

Qennto zaklął, zerwał z siebie uprząż i dźwignął z fotela potężne ciało. Pobiegł wąskim przejściem, po drodze omal nie zawadzając łokciem o głowę Car'dasa, który przez chwilę jeszcze bezsilnie wciskał kontrolki, aż w końcu rozpiął własną uprząż i podążył za nim

- Car'das, chodź tutaj. - Maris poparła swoje słowa gestem.

- Ale on mnie może potrzebować - odparł, odwrócił się i ruszył w jej stronę.

- Siadaj - poleciła, wskazując ruchem głowy na opuszczone przez Qennto stanowisko pilota. - Pomóż mi obserwować stery. Jeśli odpadniemy z tego wektora, zanim Rak wymyśli, jak wyrwać wtyczkę, muszę o tym wiedzieć.

- Ale Qennto...

- Coś ci poradzę, przyjacielu - przerwała mu, nie odrywając wzroku od ekranu.

- To statek Raka. Jeśli będą potrzebne jakieś poważniejsze naprawy, to on je powinien przeprowadzić.

- Nawet jeśli przypadkiem to ja wiem więcej na temat danego systemu niż on?

- Zwłaszcza, jeśli przypadkiem to ty wiesz więcej na temat danego systemu niż on - rzuciła oschle. - Ale w tym przypadku tak nie jest. Zaufaj mi.

- Doskonale - westchnął Car'das. - Oczywiście cofam moją zgodę, jeśli eksplodujemy.

- Szybko się uczysz - odparła z aprobatą. - Teraz przeprowadzimy sprawdzenie systemu na skanerach i zobaczymy, czy niestabilność ich też dotknęła. A potem zrobimy to samo z komputerem nawigacyjnym. Skończymy dopiero wtedy, kiedy będę pewna, że wrócimy bezpiecznie do domu.

Wyłączenie zbuntowanego hipernapędu bez spalenia go przy okazji zajęło Qenntowi ponad cztery godziny. Przez ten czas Car'das oferował mu pomoc trzy razy, a Maris dwa. Wszystkie te propozycje zostały zdecydowanie odrzucone.

Mniej więcej w pierwszej godzinie, na ile Car'das mógł się zorientować z odczytów przewijających się przez ekrany, opuścili stosunkowo dobrze znane terytorium Zewnętrznych Rubieży i przemieścili się w płytki odcinek znacznie mniej znanych obszarów, znanych jako Dzika Przestrzeń. Gdzieś na początku czwartej godziny opuścili również te terytoria, przekraczając mglistą granicę wiodącą ku Nieznanym Rejonom.

I od tej chwili mogli sobie tylko wróżyć z flisów, dokąd lecą i gdzie się znajdują.

Wycie jednak ucichło, a w kilka chwil później hiperprzestrzenne niebo przecięły gwiazdne smugi,

które zmieniły się w gwiazdy.

- Maris? - rozległ się z komunikatora niespokojny głos Qennto.

- Wyszliśmy - potwierdziła. - Sprawdzam lokalizację.

- Zaraz tam będę - uprzedził Qennto.

- Gdziekolwiek jesteśmy, znajdujemy się bardzo daleko od domu - mruknął

Car'das, spoglądając na niewielką, ale bardzo jaskrawą, kulistą gromadę gwiazd, którą widać było z daleka.

- Nigdy nie widziałem niczego podobnego w żadnym ze światów Zewnętrznych Rubieży, które odwiedziłem.

- Ja też nie - zgodziła się Maris. - Mam nadzieję, że komputer się w tym rozezna.

Komputer wciąż przerabiał dane, kiedy na mostku pojawił się Qennto. Car'das zadbał, żeby siedzieć w tym momencie przy własnym stanowisku.

- Ładna gromadka - skomentował olbrzym i rozsiadł się w fotelu. - Jakies systemy niedaleko nas?

- Najbliższy mniej więcej ćwierć roku świetlnego przed nami

- odparła Maris, pokazując palcem.

Qennto stęknął i zaczął wduszać przyciski na swoim pulpicie.

- Zobaczmy, czy damy radę - mruknął. - Zapasowy hipernapęd powinien mieć jeszcze w sobie dość pary, żeby nas tam dociągnąć.

- Anie możemy naprawić statku tutaj? - zapytał Car'das.

- Nie lubię przestrzeni międzygwiazdnej - odparł z roztargnieniem Qennto, wprowadzając parametry skoku. - Ciemno, zimno i samotnie. Poza tym ten system może zawierać jakies sympatyczne planetki.

- A to by oznaczało możliwe źródło zapasów, gdybyśmy musieli pozostać tu dłużej, niż zamierzamy - wyjaśniła Maris.

- Albo możliwość pomieszkania chwilę z dala od hałasów i rwetesu Republiki - dodał Qennto.

Car'das poczuł ucisk w gardle.

- Chyba nie chcesz...?

- Nie, nie chce - zapewniła go Maris. - Rak zawsze opowiada o rzuceniu interesu, kiedy ma jakieś problemy.

- To chyba cały czas tak mówi - mruknął Car'das.

- Co powiedziałaś? - zainteresował się Qennto.

- Nic, nic.

- Naprawdę? Proszę bardzo. - Rozległ się zgrzyt, nieco mniej przeraźliwy niż z głównego hipernapędu „Łowcy Okazji”, i gwiazdy znów zmieniły się w smugi światła.

Car'das zaczął w myśli odliczać sekundy, całkowicie przekonany, że hipernapęd za chwilę padnie. Tak się jednak nie stało i po kilku pełnych napięcia minutach smugi znów zmieniły się w gwiazdy, a przed nimi zabłysło niewielkie, żółte słońce.

- No i proszę - z aprobatą odezwał się Qennto. - Wszystko jak w domu. Wiesz już może, gdzie jesteśmy, Maris?

- Komputer wciąż nad tym pracuje - odrzekła Maris. - Ale zdaje się, że wyszliśmy jakieś dwieście pięćdziesiąt lat od skraju Nieznanych Rejonów. - Uniosła brwi. - Myślę, że kiedy wreszcie dotrzemy do Comry, zrujną nas kary za opóźnienie dostaw.

- Oj, za dużo się martwisz - skarcił ją Qennto. - Naprawa hipernapędu zajmie dzień lub dwa. A jak się pospieszymy, opóźnienie nie powinno przekroczyć tygodnia.

Car'das z trudem powstrzymał drwiący grymas. O ile dobrze pamiętał, najlepszym sposobem na zepsucie hipernapędu było właśnie jego przeciążenie.

Komunikator wydał głośny pisk.

- Ktoś nas wywołuje - zameldował, włączając kanał i marszcząc brwi. Spojrzał na ekrany, wzrokiem szukając nieznanego rozmówcy...

... i poczuł, jak krew w jego żyłach zmienia się w lód.

- Qennto! - wrzasnął. - To...

Przerwał mu basowy chichot dochodzący z komunikatora.

- Witaj, Dubraku Qennto - odezwał się po huttyjsku aż za dobrze znany głos.

- Sądziłaś, że tak łatwo uciekniesz?

- Ty to nazywasz „łatwo”? - mruknął Qennto, włączając nadajnik.

- Cześć, Progga - rzucił do komunikatora. - Słuchaj, powiedziałem ci przecież, że nie możesz dostać tych futer. Już zakontraktowałem je Drixa...

- Zapomnij o futrach - przerwał Progga. - Pokaż mi swój tajny skarbiec.

Qennto spojrział na Maris, marszcząc brwi.

- Co mam ci pokazać?

- Nie rznij głupa - ostrzegł Progga, a jego głos stał się o oktawę niższy.

- Znam takich jak ty. Nie uciekasz po prostu od czegoś, ale zdążasz w konkretnym kierunku. To jedyny system gwiazdny na tym wektorze i patrzcie, kogo tu widzimy? Ciebie. Dokąd byś tak się spieszył, jeśli nie do tajnej bazy i skarbcza?

Qennto wyłączył nadajnik.

- Car'das, gdzie on jest?

- Jakies sto kilometrów po prawej od dziobu - odparł Car'das, drżącymi rękami programując skan odległego huttyjskiego statku.

- I szybko się zbliża.

- Maris?

- Nie wiem, co zrobiłeś, żeby wyłączyć hipernapęd, ale udało ci się to perfekcyjnie - warknęła. - Jest całkiem zablokowany. Wciąż mamy zapasowy, ale jeśli spróbujemy uciec, a on nas znowu namierzy, to...

- Zrobi to - zapewnił Qennto. Odetchnął głęboko i znów włączył nadajnik.

- To wszystko nie tak, Progga - rzekł uspokajającym tonem. - Chcieliśmy tylko...

- Dość! - ryknął Hutt. - Prowadź do bazy. Natychmiast.

- Nie ma żadnej bazy - tłumaczył Qennto. - To Nieznane Rejony. Po co mielibyśmy tu zakładać bazę?

Na czujniku zbliżeniowym Car'dasa zabłysło światełko.

- Pocisk! - krzyknął, rozglądając się gorączkowo po ekranach w poszukiwaniu źródła ataku.

- Gdzie? - odkrzyknął Qennto.

Car'das właśnie zobaczył winowajcę: wyłaniał się spod „Łowcy Okazji” - długa, ciemna rakietka kierująca się wprost na nich.

- Tam - rzekł, wskazując palcem w dół i nie odrywając oczu od ekranu.

Dopiero wtedy dotarło do niego, że takim torem nie mogłaby lecieć rakietą wystrzelona z nadlatującego statku Huttów. Już otwierał usta, żeby to oznajmić, kiedy rakietą eksplodowała, wyrzucając kłęb jakiejś substancji. Coraz więcej tej substancji wydobywało się z resztek pojemnika, aż stworzyła cienką zasłonę o średnicy około kilometra.

- Wyłączyć silniki! - warknął Qennto, rzucając się na swój pulpit, aby dotrzeć do przełączników zasilania. - Szybko!

- Co to jest? - zapytał Car'das, wyłączając zasilanie ze swojego pulpitu.

- Sieć Connora lub coś w tym rodzaju - zgrzytnął zębami Qennto.

- Co, tej wielkości? - z niedowierzaniem zawołał Car'das.

- Rób swoje i siedź cicho! - warknął Qennto. Światła statusu zmieniły kolor na czerwony i gasły jedno po drugim, a cała trójka ze wszystkich sił próbowała wyprzedzić sieć.

Sieć jednak zwyciężyła. Car'das zdołał wyłączyć zaledwie dwie trzecie swoich wyłączników, kiedy falujący skraj sieci otoczył pancierz i owinął się wokół niego...

- Zamknijcie oczy - ostrzegła Maris.

Car'das zacisnął powieki. Mimo to dostrzegł jaskrawy rozbłysk, kiedy sieć potraktowała wysokim napięciem statek i jego załogę. Poczul na skórze łaskoczące wyładowania koronowe.

A kiedy znów ostrożnie otworzył oczy, stwierdził, że wszystkie światła, jakie jeszcze paliły się na pulpicie, teraz zgasły.

„Łowca Okazji” był martwy.

Od strony huttyjskiego statku kolejny błysk rozświetlił kokpit.

- Chyba dostali też Progę - odezwał się Car'das. W nagłej ciszy jego głos zabrzmiał nienaturalnie głośno.

- Wątpię - sprzeciwił się Cjennto. - Jego statek jest dość duży i na pewno ma izolatory i inne urządzenia, które go ochronią przed takimi sztuczkami.

- I dziesięć do jednego, że będzie się bronił - mruknęła Maris cicho.

- To chyba jasne, że będzie się bronił - westchnął Qennto. - Jest o wiele za głupi, żeby do niego dotarło, że ktoś, kto potrafi wytworzyć tak wielką sieć Connora, może mieć w zanadrzu jeszcze ciekawsze sztuczki.

Od strony statku Huttów poleciał deszcz zielonych promieni laserowych. Odpowiedziały mu jaskrawoniebieskie błyski nadlatujące z trzech różnych stron, wystrzelone ze statków zbyt małych lub zbyt ciemnych, aby dało się wypatrzeć w zasięgu „Łowcy Okazji”.

- Myślicie, że ten ktoś tak się zajmie Progga, że zapomni o nas? - zainteresowała się Maris.

- Nie sądzę - odparł Car'das, wskazując przez iluminator niewielki, szary stateczek, który zajął pozycję z dziobem skierowanym w lewą burtę frachtowca. Był wielkości wahadłowca lub ciężkiego transportowca, lecz tak opływowej, fantazyjnej sylwetki jak pilot jeszcze nigdy nie widział. - Zostawili strażnika.

- Na to wygląda - mruknął Qennto, zerkając przelotnie na statek obcych, po czym spojrzał znów w kierunku niebieskich i zielonych fajerwerków. - Pięćdziesiąt do jednego, że Progga wytrzyma co najmniej piętnaście minut i zabierze ze sobą jednego z napastników.

Żadne z nich nie podjęło zakładu. Car'das obserwował walkę, żałując, że nie ma

czujników. Uczył się o taktyce bitew kosmicznych w szkole, ale metody napastników nie pasowały do niczego, co utrwalił sobie w pamięci. Wciąż jeszcze próbował rozszyfrować ich taktykę, kiedy ostatnia salwa błękitnych promieni położyła kres potyczce.

- Sześć minut - stwierdził ponuro Qennto. - Kimkolwiek są ci goście, walczą nieźle.

- Ty też ich nie rozpoznajesz? - zapytała Maris, spoglądając na milczącego strażnika.

- Nie rozpoznaję nawet konstrukcji - wyznał, rozpiął uprząż i wstał.

- Sprawdźmy uszkodzenia, żeby się zorientować, czy przynajmniej jesteśmy w stanie zmontować komitet powitalny. Car'das, zostajesz tutaj i pilnujesz dobytku.

- Ja? - zapytał Car'das, czując lód w żołądku. - Ale co będzie, jeśli... no, wiecie... zaczną nas wywoływać?

- A jak myślisz? - burknął Qennto, kierując się wraz z Maris na rufę.

- Odpowiesz im.

R O Z D Z I A Ł 2

Zwycięzcy niespiesznie węszyli, a może po prostu rozkoszowali się zwycięstwem, krążąc wokół resztek huttyjskiego statku. Sądząc z liczby silników manewrowych, które Car'das mógł dostrzec, domyślił się, że w samej bitwie brały udział tylko trzy statki, plus ten jeden, który obserwował ich.

Sieci Connora, podobnie jak promienie ściągające, zaprojektowane były raczej na unieruchamianie niż na niszczenie. Zanim strażnik się ruszył, Qennto z Maris zdążyli już postawić większość systemów on-line.

- Qennto, on się przemieszcza - zawołał Car'das w komunikator, obserwując szary statek, który leniwie przepłynął przed ich dziobem i usadowił się w nowym punkcie na wprost i trochę wyżej „Łowcy Okazji”. - Chyba ustawia się tak, żebyśmy polecieli za nim.

- Jeszcze chwilę - odkrzyknął Qennto. - Uruchom napęd na ćwierć mocy.

Szary statek ruszył już przed siebie, kiedy wraz z Maris wrócili na mostek.

- Proszę, proszę - mruknął Qennto, siadając na swoim miejscu i włączając minimalny ciąg. - Wiecie może, dokąd zmierzamy?

- Reszta grupy wciąż kręci się wokół statku Huttów - zameldował Car'das, ostrożnie przeciskając się obok Maris. Usiadł przy swoim stanowisku. - Może chcą nas zabrać właśnie tam.

- Tak, na to wygląda - zgodził się Qennto, podając więcej mocy na napęd.

- Na razie nie strzelają. Myślę, że to dobry znak.

Istotnie, kiedy przybyli na miejsce, zastali trzy obce statki wiszące nad szczątkami statku Proggi. Dwa były dokładnymi kopiami tego z ich eskorty, trzeci zaś znacznie większy.

- Ale są znacznie mniejsze od krążowników Republiki - zauważył Car'das.

- Właściwie nawet całkiem małe, jeśli się zastanowić, czego właśnie dokonały.

- Chyba otwierają dla nas dok - zauważyła Maris. Car'das zmierzył wzrokiem uchylający się port.

- Nie za dużo miejsca.

- Nasz dziób się zmieści - zapewnił go Qennto.

- Możemy użyć tuby serwisowej, żeby wyjść.
- Mamy wejść na ich pokład? - upewniła się Maris lekko drżącym głosem.
- Chyba, że sami zechcą skorzystać z tuby i przejść do nas - odparł Qennto.
- Decyzja należy do tych, którzy mają broń. - Uniósł palec ostrzegawczo.
- A naszym zadaniem jest bez względu na wszystko zachować kontrolę nad sytuacją.

Zwrócił się profilem do Car'dasa.

- A to oznacza, że ja będę prowadził rozmowy. Jeśli spytają cię wprost, odpowiesz dokładnie na pytanie i ani słowa więcej. Ani słowa. Jasne?

Car'das przełknął ślinę.

- Jasne.

Eskorta podprowadziła ich do burty większego statku, a w dwie minuty później Qennto bezpiecznie umieścił dziób „Łowcy Okazji” w kołnierzu dokującym. W kierunku wjazdu serwisowego wysunął się hermetyczny tunel. Qennto przełączył wszystkie systemy na czuwanie i zanim cała trójka zeszła po drabince, czujniki wyjściowe pokazały, że tunel jest już na miejscu i uszczelniony.

- Idziemy - mruknął Qennto, prostując się na całą wysokość. Wystukał kod otwarcia na klawiaturze. - Pamiętajcie, ja prowadzę rozmowy.

Wjazd rozsunął się, ukazując dwóch członków załogi. Byli to niebieskoskórzy humanoidzi o świetlistych czerwonych oczach i granatowoczarnych włosach, ubrani w identyczne czarne mundury z zielonymi pagonami. Każdy z nich nosił przy pasie mały, ale paskudnie wyglądający pistolet.

- Cześć - powitał ich Qennto, wychodząc z tunelu.

- Jestem Dubrak Qennto, kapitan „Łowcy Okazji”.

Obcy nie odpowiedzieli. Ustawili się tylko po obu jego stronach i gestem wskazali w głąb tunelu.

- Tędy? - upewnił się Qennto, pokazując kierunek jedną ręką. Drugą trzymał Maris pod ramię. - Jasne.

Ruszyli tunelem przed siebie. Żebrowane podłoże za każdym krokiem podskakiwało jak most linowy. Car'das podążał za nimi krok w krok, obserwując mijanych obcych kątem oka. Poza niezwykłą barwą skóry i jarzącymi się oczami wyglądali zdumiewająco po ludzku. Czyżby jacyś dalecy potomkowie człowieka, zabłąkani w galaktyce? A może jednak całkowicie odrębna rasa, podobieństwo zaś jest czysto przypadkowe?

Przy wejściu na statek czekało jeszcze dwóch obcych. Byli ubrani i uzbrojeni tak samo jak pierwsza para, tylko pagony mieli żółte i niebieskie, zamiast zielonych. Zrobili zwrot z wojskową precyzją i poprowadzili całą grupkę w dół łagodnie zakręcającego korytarza o ścianach z opalizującego materiału, lśniącego matowym, stłumionym, miękkim blaskiem. Car'das delikatnie przesunął końcami palców po ścianie, zastanawiając się, czy to metal, ceramika, czy jakiś kompozyt.

Pięć metrów dalej ich przewodnicy zatrzymali się przed otwartymi drzwiami i ustawili się po obu ich stronach.

- Tutaj, tak? - zapytał Quennto.

- Jasne, czemu nie. Wyprężył ramiona - Car'das często widywał u niego ten gest

przed rozpoczęciem negocjacji - ujął Maris pod ramię i ruszył

przed siebie. Car'das spojrzął raz jeszcze na ściany korytarza, po czym udał się w ślad za nimi.

Umebrowanie niedużego pokoju składało się ze stołu i sześciu krzeseł. Car'das uznał, że to salka konferencyjna albo mesa załogi. U szczytu stołu siedział jeszcze jeden błękitnoskóry obcy, wbijając nieruchome, błyszczące oczy w przybyszów. Mundur nosił czarny, podobnie jak reszta, lecz na ramieniu miał szeroką, ciemnoczerwoną naszywkę, a przy kołnierzu dwie misternie wyczelowane srebrne baretki. Oficer?

- Witam - rzekł wesoło Quennto, podchodząc do stołu.

- Jestem Dubrak Quennto, kapitan „Łowcy Okazji”. Czy mówi pan w basicu?

Obcy nie odpowiedział, ale Car'dasowi wydawało się, że dostrzegł lekkie drgnienie brwi.

- Może powinniśmy spróbować jednego z języków handlowych Zewnętrznych Rubieży? - podsunął.

- Dziękuję za błyskotliwą sugestię - odparł Quennto z lekką nutą sarkazmu.

- Witaj, szlachetny panie - ciągnął, przechodząc na sybisti. - Jesteśmy podróżnikami i kupcami z dalekiego świata i nie zagrażamy twojemu ludowi.

I znów żadnej odpowiedzi.

- Spróbuj taarja - zaproponowała Maris.

- Nie znam taarja zbyt dobrze - odparł Quennto wciąż w sybisti. - A wy? - dodał, oglądając się na strażników, którzy weszli za nimi do sali. - Czy którykolwiek z was rozumie sy bisti? A taarja? Meese Caulf?

- Sy bisti może być - odezwał się spokojnie w tym języku obcy za stołem.

Quennto zamrugał zaskoczony.

- Czy pan powiedział...?

- Powiedziałem, że sy bistu może być - powtórzył obcy.

- Proszę, zajmijcie miejsca.

- Eee... dziękuję - odparł Quennto, odsuwając krzesła dla siebie i Maris. Skinieniem głowy zachęcił Car'dasa, aby zrobił to samo. Siadając, Car'das zauważył, że oparcia krzeseł były nietypowo ukształtowane jak dla ludzi, ale dość wygodne.

- Jestem komandor Mitth'raw'nuruodo z Dynastii Chissów - ciągnął obcy.

- A ta jednostka to „Springhawk”, statek dowodzenia Pikiety Drugiej Floty Defensywno-Ekspansywnej.

Ekspansywna Flota, no, no! Car'das poczuł zimny dreszcz na plecach. Czy to miało znaczyć, że Dynastia Chissów zamierza zacząć ekspansję na zewnątrz?

Miał nadzieję, że nie. Zagrożenie spoza granic było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała Republika. Wielki kanclerz Palpatine robił co mógł, ale napotykał silny opór w rządzie Coruscant, reprezentującym głównie konserwatywne poglądy i częściowo skorumpowanym. Teraz, pięć lat po nieprzyjemnej przygodzie na Naboo, pomimo wszelkich wysiłków Palpatine'a, Federacja Handlowa dotąd nie została ukarana za bezczelną agresję. W całej galaktyce tliły się urazy i frustracje, co tydzień rozniecane na nowo

kolejnymi wieściami o nowych reformach i ruchach secesyjnych.

Quennto był tym oczywiście zachwycony. Biurokracja rządowa, najrozmaitsze opłaty, cennik za usługi i prohibicja stanowiły doskonałą pożywkę dla przemytu na niewielką skalę, jaki uprawiał. Nawet Car'das musiał przyznać z perspektywy swojego pobytu na „Łowcy Okazji”, że ich działalność przynosiła całkiem niezłe zyski.

Quennto jednak chyba nie rozumiał, że o ile drobne kłopoty rządu mogły być użyteczne, o tyle generalny brak stabilizacji stałby się szkodliwy zarówno dla przemysłowców, jak i dla całej reszty.

A wojna o zasięgu ogólnogalaktycznym byłaby czymś najgorszym. Dla wszystkich.

- A ty kim jesteś? - Mitth'raw'nuruodo przeniósł gorejący wzrok na Car'dasa.

Car'das otworzył usta, ale nie zdążył odpowiedzieć.

- Jestem Dubrak Quennto - wtrącił Quennto, zanim zapytany zdołał się odezwać.

- Kapitan...

- A ty kim jesteś...? - powtórzył Mitth'raw'nuruodo z lekkim, choć zauważalnym naciskiem na słowo „ty”, nie spuszczać wzroku z Car'dasa.

Car'das zerknął z ukosa na Quennto i uzyskał leciutkie skinienie głową.

- Jestem Jorj Car'das - rzekł. - Członek załogi frachtowca „Łowca Okazji”.

- A ci tutaj? - zapytał Mitth'raw'nuruodo, wskazując na pozostałych.

Car'das znów spojrzał na Quennto, który przybrał kwaśną minę, ale ponownie lekko skinął głową.

- To mój kapitan Dubrak Quennto - rzekł Car'das - I jego...

- Dziewczyna? drugi pilot? współpracowniczka? - zastanowił się szybko.

- Jego zastępca, Maris Ferasi.

Mitth'raw'nuruodo skinął głową każdemu z nich po kolei i znów spojrzał na Car'dasa.

- Co tu robicie?

- Jesteśmy koreliańskimi handlarzami z jednego z systemów Republiki Galaktycznej - odparł Car'das.

- K'relPnski - mruknął Mitth'raw'nuruodo, jakby próbując wymówić to słowo.

- Handlarze? Nie badacze ani zwiadowcy?

- Nie, absolutnie - zapewnił go Car'das. - Wynajmujemy nasz statek do przewozu towarów pomiędzy systemami gwiazdnymi.

- A ten drugi statek? - zapytał Mitth'raw'nuruodo.

- To jacyś piraci - wtrącił Quennto, zanim Car'das zdążył odpowiedzieć.

- Uciekaliśmy przed nimi, kiedy zaczęły się problemy z hipernapędem, i tak się tu znaleźliśmy.

- Czy znacie tych piratów? - padło następne pytanie.

- A skąd mielibyśmy...? - zaczął Quennto.

- Tak, mieliśmy już z nimi wcześniej pewne problemy - wszedł mu w słowo Car'das. W głosie Mitth'raw'nuruodo, kiedy zadawał to pytanie, wychwycił dziwną nutę. - Myślę, że strzelali do nas.

- Musicie mieć bardzo cenny ładunek.

- Nic specjalnego - zapewnił Quennto, rzucając Car'dasowi ostrzegawcze spojrzenie. - Partia futer i luksusowej odzieży. Jesteśmy niewymownie wdzięczni za pomoc.

Car'dasa ścisnęło w gardle. Ich ładunek istotnie stanowiła luksusowa odzież, ale w haftowanym kołnierzu jednego z futer zaszyto cały ładunek ognistych kamieni. Jeśli Mitth'raw'nuruodo zdecyduje się sprawdzić towar i je znajdzie, „Łowca Okazji” może mieć kłopoty z bardzo nieszczęśliwą Drixo the Hutt.

- Proszę bardzo - odparł Mitth'raw'nuruodo. - Ciekaw jestem, co wasz lud uważa za luksusową odzież. Moglibyście pokazać mi swój ładunek przed odlotem?

- Będę zachwycony - powiedział Quennto. - Czy to znaczy, że pan nas puszcza wolno?

- Wkrótce - zapewnił go Mitth'raw'nuruodo - Najpierw muszę zbadać wasz statek i stwierdzić, czy istotnie jesteście tylko niewinnymi podróżnikami, jak twierdzicie.

- To oczywiste - niedbale odparł Quennto. - Możemy pana oprowadzić w każdej chwili.

- Dziękuję - powiedział Mitth'raw'nuruodo. - Ale to może zająć do chwili, jak dotrzemy do naszej bazy. Do tej pory... myślę, że przygotowano wam już kwatery. Mam nadzieję, że pozwolicie mi później okazać chissańską gościnność.

- Będziemy zaszczyceni i wdzięczni, komandorze - rzekł Quennto, skłaniając lekko głowę. - Chciałbym tylko wspomnieć, że nasz harmonogram jest dość napięty, a ten nieoczekiwany wypadek sprawił, że stał się napięty jeszcze bardziej. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał nas pan możliwie najszybciej wypuścić w dalszą drogę.

- Ależ oczywiście - zgodził się Mitth'raw'nuruodo. - Baza jest niedaleko.

- Czy w tym systemie? - zapytał Quennto. Podniósł rękę, zanim Chiss zdążył odpowiedzieć. - Przepraszam... to nie moja sprawa.

- Słusznie - zgodził się Mitth'raw'nuruodo. - Jednak nic się nie stanie, jeśli się dowiesz, że to całkiem inny system.

- Aha - mruknął Quennto. - A mogę spytać, kiedy się tam wybierzemy?

- Już się wybraliśmy - łagodnie odparł Mitth'raw'nuruodo.

- Wykonaliśmy skok w nadprzestrzeń około czterech standardowych minut temu.

Quennto zmarszczył brwi.

- Naprawdę? Nic nie poczułem.

- Może nasze systemy hipernapędu są lepsze od waszych - rzucił Mitth'raw'nuruodo i wstał. - A teraz, jeśli pozwolicie, pokażę wam miejsce, gdzie będziecie mogli odpocząć.

Poprowadził ich jeszcze z pięć metrów w głąb korytarza, do kolejnych drzwi, które się uchyliły, kiedy dotknął pasiastego panelu w ścianie.

- Przyślę kogoś po was, jeśli znów zechcę z wami porozmawiać

- dodał, kiedy drzwi rozsunęły się przed nimi.

- Chętnie się z panem spotkam - zapewnił Quennto, ukłonił się niedbale i przepuścił Maris w przejściu. - Dziękuję, komandorze.

Oboje weszli do środka. Car'das skinął głową komandorowi i podążył za nimi.

Pokój był funkcjonalnie urządzony - jego umeblowanie składało się z trzypiętrowej pryczy pod jedną ze ścian, a składanego stołu

i ławek pod drugą. Obok pryczy w ścianę wbudowano trzy duże szuflady. Z drugiej strony znajdowało się przejście do kompaktowego odświeżacza.

- Jak sądzisz, co on z nami zrobi? - mruknęła Maris, rozglądając się wokół.

- Wypuści nas - ocenił Quennto, zaglądając do odświeżacza. Usiadł na najniższej pryczy, schylając się, by nie uderzyć głową w ramę posłania nad sobą. - Pytanie tylko, czy pozwoli nam zabrać ze sobą ogniste kamienie.

Car'das odchrząknął.

- Czy na pewno powinniśmy o tym rozmawiać? - zapytał, znacząco rozglądając się po pomieszczeniu.

- Spokojnie - burknął Quennto. - Nie rozumieją ani słowa w basicu. Zmrużył oczy. - A skoro już mowa o gadaniu, to po cholere powiedziałeś im, że znamy Progę?

- W tamtej chwili w jego oczach i głosie było coś takiego...

- zastanowił się Car'das. - Doszedłem do wniosku, że on już wie wszystko i lepiej się nie dać złapać na kłamstwie.

Quennto prychnął. - To idiotyzm.

- Może ktoś z załogi Proggi przeżył? - podsunęła Maris.

- Nie mieli szans - odparł stanowczo Quennto. - Widziałaś, jak wyglądał statek. Rozdarty jak paczka

racji żywnościowych.

- Nie mam pojęcia, skąd ten Chiss wiedział - upierał się Car'das.

- Ale wiedział.

- A poza tym uczciwego człowieka nie powinno się okłamywać

- dodała Maris.

- Co? On uczciwy? - prychnął Quennto. - Nie wierz w to. Wojskowi wszyscy są tacy sami, a ci ugrzeczniejsi... najgorsi ze wszystkich.

- Sama znałam kilku bardzo uprzejmych żołnierzy - sztywno odezwała się Maris.

- Poza tym mam dobre wyczucie, jeśli chodzi o ludzi. Myślę, że ten Mitth'raw... komandor jest godny zaufania.

- Uniosła brwi. - Poza tym nie sądzę, aby próba oszukania go była dobrym pomysłem.

- Taki pomysł jest zły tylko wtedy, kiedy cię przyłapią - zauważył Quennto.

- Maris, w tym wszechświecie dostajesz jedynie to, czego szukasz. Nic więcej.

- Nie potrafisz uwierzyć ludziom.

- Wierzę tyle, ile trzeba, malutka - spokojnie odparł Quennto.

- Po prostu wiem o ludzkiej naturze nieco więcej niż ty. I o nieludzkiej też.

- Nadal uważam, że powinniśmy być z nim całkowicie uczciwi

- upierała się Maris.

- Uczciwa gra to ostatnia rzecz, jaka jest nam potrzebna. Ostatnia. Druga strona dostaje wtedy wszystkie atuty do garści. - Quennto skinął głową w stronę zamkniętych drzwi. - A ten gość wygląda mi na takiego, który będzie nas wypytywał do opadłego, jeśli tylko mu na to pozwolimy.

- Chyba nie zaszkodzi, jeśli nas tutaj trochę przetrzyma - zauważył Car'das.

- Kiedy Progga nie wróci, jego ludzie mogą się zdenerwować.

Quennto pokręcił głową.

- Nigdy nam tego nie wcisną. - Tak, ale...

- Słuchaj, młody, daj mi pomyśleć, co? - uciął Quennto. Przerzucił nogi przez skraj pryczy i położył

się na plecach, podkładając ramiona pod głowę.

- Oboje bądźcie przez chwilę cicho. Muszę się dobrze zastanowić, jak to rozegrać.

Maris pochwyciła wzrok Car'dasa i lekko wzruszyła ramionami. Wspięła się na pryczę nad Quennto, wyciągnęła jak długa, skrzyżowała ramiona na piersi i w zadumie wbiła wzrok w spód wyższej pryczy.

Car'das przeszedł na drugą stronę pokoju, rozłożył stół i jedną ławkę i usiadł, klinując się niezbyt wygodnie pomiędzy stołem a ścianą. Oparł łokieć na blacie, czoło na dłoni i przymknął oczy, próbując się zrelaksować.

Nawet nie zauważył, że się zdrzemnął, dopóki nie rozbudził go głośny dzwonek. Poderwał się na nogi. Drzwi się rozsunęły - za nimi stał czarno ubrany Chiss.

- Uszanowanie od komandora Mitth'raw'nuruodo - rzekł przybysz, mocno akcentując słowa w sybisti. - Prosi o przybycie na Pierwszy Dziobowy Wizualny.

- Cudownie - mruknął Quennto, spuścił nogi na podłogę i wstał. Sądząc po głosie i wyrazie twarzy, był w znakomitym humorze - taką maskę zwykle przybierał podczas negocjacji.

- Wy nie - poinformował Chiss. Wskazał gestem na Car'dasa.

- Tylko on.

Quennto stanął jak wryty.

- Co takiego?

- Przygotowujemy lekki posiłek - rzekł Chiss. - Póki nie skończymy, pójdzie tylko on.

- Hej, czekaj no chwilę - burknął Quennto. - Trzymamy się razem, albo...

- W porządku - pospiesznie przerwał Car'das. Chiss stojący w drzwiach nie poruszył się, ale Car'das zauważył subtelny ruch światła i cieni za jego plecami, wskazujący, że jest ich tam więcej. - Nic mi nie będzie.

- Car'das...

- Nic mi nie będzie - powtórzył z naciskiem Car'das, przekraczając próg. Chiss cofnął się i przepuścił go przed sobą.

Istotnie, za drzwiami czekało jeszcze czterech Chissów, po dwóch z każdej strony.

- Proszę za mną - rzekł posłaniec, kiedy drzwi się zamknęły. Grupa ruszyła korytarzem, mijając trzy

boczne odnogi i drzwi do

kolejnych pomieszczeń. Dwoje z nich było otwarte; Car'das nie mógł się powstrzymać i rzucił okiem do środka. Zobaczył jednak tylko całkiem mu nieznanne urządzenia i kolejnych Chissów w czerni.

Spodziewał się, że Dziobowy Wizualny będzie ciasnym, pełnym elektroniki pomieszczeniem. Ku swojemu zdumieniu znalazł się w sali, która mogła być pomniejszoną wersją pokładu widokowego gwiazdowego liniowca. Długa, półkolista kanapa stała przed wypukłą ścianą - iluminatorem, pokazującym wspaniały widok rozjarzonego, hiperprzestrzennego nieba, otaczającego statek. Światła w pomieszczeniu były przyćmione, przez co widok był jeszcze bardziej oszałamiający.

- Witaj, Jorju Car'das.

Car'das spojrział w stronę głosu. Mitth'raw'nuruodo siedział samotnie na końcu kanapy. Jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle hiperprzestrzennego nieba.

- Witam, komandorze - skłonił się Car'das, zerkając pytająco na swojego przewodnika. Tamten skinął głową i wycofał się, zamykając drzwi za sobą i resztą eskorty. Car'das, niepewny, co dalej robić, okrążył kanapę i skierował się ku miejscu, gdzie tworzyła łuk.

- Piękny widok, prawda? - zauważył Mitth'raw'nuruodo, kiedy Car'das podszedł do niego. - Proszę usiąść.

- Dziękuję - odparł Car'das, zajmując miejsce w bezpiecznej odległości od gospodarza. - Czy mogę zapytać, dlaczego posłał pan właśnie po mnie?

- Aby podzielić się pięknem tego widoku, oczywiście - oschle odparł Mitth'raw'nuruodo. - Oraz zadać parę pytań.

Car'das poczuł ucisk w żołądku. Więc to ma być przesłuchanie. W głębi duszy spodziewał się tego, ale mimo wszystko miał nadzieję, że idealistyczna ocena Maris się sprawdzi.

- Rzeczywiście, bardzo to piękne - zgodził się, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Jestem zdumiony, że takie pomieszczenia istnieją na statku wojennym.

- Ta sala jest bardzo funkcjonalna - zapewnił go Mitth'-raw'nuruodo.

- Jej właściwa nazwa to Pierwszy Dziobowy Punkt Triangulacyjny. W czasie bitwy umieszczamy tu obserwatorów, śledzących nieprzyjacielskie statki i inne możliwe zagrożenia i koordynujących niektóre nasze linie obrony.

- Nie macie czujników, żeby je obsługiwać?

- Mamy - odparł Mitth'raw'nuruodo. - I zazwyczaj w zupełności wystarczają. Ale z pewnością zdaje

pan sobie sprawę, jakie istnieją sposoby oszukania lub oślepienia elektronicznych oczu. Czasem wzrok Chissów jest bardziej niezawodny.

- Też tak sędzę - mruknął Car'das, zaglądając w jarzące się oczy gospodarza. W półmroku były jeszcze bardziej onieśmielające. - Ale czy taką informację udaje się dostarczyć na czas do artylerzystów?

- Są na to sposoby - powiedział Mitth'raw'nuruodo. - A na czym właściwie polega wasza działalność, Jorju Car'das?

- Kapitan Quennto chyba już panu wyjaśnił - odparł Car'das, czując, że zimny pot występuje mu na czoło. - Jesteśmy kupcami i przewoźnikami.

Mitth'raw'nuruodo pokręcił głową.

- Na nieszczęście dla waszego kapitana orientuję się trochę w opłacalności podróży kosmicznych. Wasz statek jest za mały na przewożenie standardowych towarów w takiej ilości, która pokryłaby choćby tylko normalne wydatki eksploatacyjne, a cóż dopiero naprawy awaryjne. Wnioskuje z tego, że robicie coś jeszcze. Nie macie uzbrojenia piratów czy korsarzy, więc zapewne jesteście przemytnikami.

Car'das zawahał się. Co mógł na to powiedzieć?

- Chyba nie warto wspominać, że nasze i wasze pojęcie opłacalności mogą się nieco różnić, prawda? - zapytał, grając na zwłokę.

- A rzeczywiście tak właśnie twierdzisz?

Car'das zawahał się; Mitth'raw'nuruodo znów miał ten wszechmogący wyraz twarzy.

- Nie - ustąpił wreszcie.

- Rzeczywiście jesteśmy głównie kupcami, jak powiedział kapitan Quennto, ale dorabiamy sobie trochę szmuglem na boku...

- Rozumiem - odparł Mitth'raw'nuruodo - Doceniam twoją uczciwość, Jorju Car'das.

- Proszę mnie nazywać po prostu Car'das - rzekł młody pilot.

- W naszej kulturze używanie imienia zarezerwowane jest dla przyjaciół.

- Nie uważasz mnie za przyjaciela?

- A pan mnie? - palnął Car'das.

Pożałował tych słów, zanim jeszcze zamknął usta. Sarkazm nie był odpowiednią linią obrony w tej konfrontacji. Mitth'raw'nuruodo tylko lekko uniósł brew.

- Jeszcze nie - zgodził się spokojnie. - Może pewnego dnia. Intrygujesz mnie, Car'das. Siedzisz tu, schwytany przez nieznanne istoty daleko od domu. A jednak, zamiast otoczyć się tarczą lęku lub gniewu, cały emanujesz zaciekawieniem.

Car'das zmarszczył brwi.

- Zaciekawieniem?

- Kiedy was wprowadzano na pokład, obserwowałeś moich żołnierzy - wyjaśnił Mitth'raw'nuruodo. - Widziałem w twoich oczach i wyrazie twarzy, że obserwowałeś, myślałeś, oceniałeś. Tak samo się zachowywałeś, kiedy zaprowadzili cię na kwaterę... i teraz też.

- Po prostu się rozglądałem - zapewnił go Car'das, czując przyspieszone bicie serca. Czy na liście niepożądanych osobników Mitth'raw'nuruodo szpiegdy znajdowali się powyżej, czy poniżej przemytników? - Nie miałem nic złego na myśli.

- W porządku - uspokoił go Mitth'raw'nuruodo z lekkim rozbawieniem w głosie.

- Nie oskarżam cię o szpiegostwo. Sam posiadam dar ciekawości, cenię go więc u innych. Powiedz mi, dla kogo były przeznaczone ukryte klejnoty?

- Car'das poderwał się.

- Znaleźliście...? To znaczy... dlaczego pan pyta o to właśnie mnie?

- Jak powiedziałem, cenię sobie uczciwość - powiedział Mitth'raw'nuruodo.

- A więc do kogo miały trafić?

- Do grupy Huttów działających w systemie Comra - wyznał Car'das, kapitulując.

- To rywale tych, których... tych, którzy nas atakowali.

- Zawahał się.

- Wiedzieliście, że oni nie byli zwykłymi piratami, prawda? Że polowali właśnie na nas?

- Monitorowaliśmy wasze transmisje, przygotowując się do interwencji - wyjaśnił Mitth'raw'nuruodo. - Oczywiście, cała rozmowa była dla nas zupełnie niezrozumiała, ale przypominam sobie, że słyszałem słowa „Dubrak Quennto” w mowie Huttów i rozpoznałem je, kiedy kapitan Quennto się przedstawiał. Wnioski były oczywiste.

Car'dasowi przeszły ciarki po grzbiecie. Rozmowa prowadzona była w całkowicie obcym dla niego języku, a mimo to Mitth'raw'nuruodo zapamiętał z niej dość, aby wyłuskać z bełkotu nazwisko Quennto. Cóż to za stworzenia z tych Chissów?

- Czy posiadanie tych klejnotów jest nielegalne? - chciał wiedzieć Mitth'raw'nuruodo.

- Nie, ale cła są idiotycznie wysokie - odparł Car'das, zmuszając się do skupienia na rozmowie.

- Często korzysta się z pomocy przemytników, aby ich nie płacić.

- Zawahał się, - Właściwie, jeśli wziąć pod uwagę, od kogo je dostaliśmy, równie dobrze mogłyby pochodzić z kradzieży. Ale proszę o tym nie mówić Maris.

- A to dlaczego?

Car'das skrzywił się. Znowu to samo, miele językiem bez sensu. Jeśli ten Mitth'raw'nuruodo nie zabije go, zanim to wszystko się skończy, zapewne zrobi to Quennto.

- Maris jest w pewnym sensie idealistką - wyjaśnił niechętnie.

- Uważa, że ta cała historia z przemytem to tylko sposób, aby zademonstrować swoje zdanie głupiej i zachłannej Republice.

- Kapitan Quennto nie uznał za stosowne ją oświecić? - Kapitan Quennto lubi jej towarzystwo - odparł Car'das. -

Wątpię, aby z nim została, gdyby знаła całą prawdę.

- Twierdzi, że mu na niej zależy, a jednak ją okłamuje?

- Nie wiem, co twierdzi - powiedział Car'das.

- Można by też powiedzieć, że tacy idealisci jak Maris często okłamują sami siebie. Prawda leży przed jej nosem, gdyby tylko chciała ją dostrzec.

Znów spojrzał w świecące, czerwone oczy.

- Ale to nie usprawiedliwia naszego udziału w zabawie - dodał.

- Oczywiście, że nie - zgodził się Mitth'raw'nuruodo.

- Jakie będą konsekwencje, jeśli nie dostarczycie klejnotów?

Car'das poczuł ucisk w gardle. To tyle, jeśli chodzi o honorowego komandora Mitth'raw'nuruodo. Widocznie ogniste kamienie także tutaj mają swoją cenę.

- Zabiją nas - rzekł bez ogródek. - Prawdopodobnie w jakiś wyjątkowo rozrywkowy sposób, na przykład rzucając nas na pożarcie stada dużych i żarłocznych zwierząt.

- A jeśli dostawa tylko się opóźni?

Car'das zmarszczył brwi, usiłując odczytać wyraz twarzy tamtego w migotliwym blasku hiperprzestrzeni.

- Czego właściwie pan po nas oczekuje, komandorze Mitth'-raw'nuruodo?

- Nic szczególnie uciążliwego - zapewnił Mitth'raw'nuruodo.

- Chciałbym jedynie dostąpić zaszczytu waszego towarzystwa przez jakiś czas.

- Dlaczego?

- Trochę dlatego, aby dowiedzieć się czegoś o waszej rasie - przyznał Mitth'raw'nuruodo.

- Ale przede wszystkim, aby nauczyć się waszego języka.

Car'das zamrugał nerwowo.

- Naszego języka? To znaczy basica?

- Przecież właśnie on jest podstawowym językiem w Republice, prawda?

- Tak, ale... - Car'das zawahał się, kombinując, jakby tu delikatnie zadać niedelikatne pytanie.

Mitth'raw'nuruodo chyba czytał mu w myślach. A raczej z oczu i z twarzy.

- Nie planuję inwazji, jeśli tym się martwisz - wyjaśnił z lekkim uśmiechem.

- Chissowie nie najeżdżają cudzych terytoriów. Nie walczymy nawet z potencjalnymi wrogami, jeśli nie zostaniemy zaatakowani pierwsi.

- Wy także nie musicie się obawiać żadnych ataków z naszej strony - powiedział Car'das.

- Mamy zbyt wiele własnych, wewnętrznych problemów, aby zawracać sobie głowę kimś innym.

- Więc nie musimy się bać siebie nawzajem - zakonkludował Mitth'raw'nuruodo.

- Będzie to jedynie czysta ciekawość z mojej strony.

- Rozumiem - ostrożnie odparł Car'das. Wiedział, że Quennto w tym momencie byłby już gotów do

negocjacji, że by naciskał, badał i parł naprzód, aby wyciągnąć z tego interesu, ile się tylko da. Może dlatego właśnie Mitth'raw'nuraodo postanowił użyć do swoich celów mniej doświadczonego Car'dasa.

Mimo wszystko jednak warto spróbować.

- A co my będziemy z tego mieli? - zapytał.

- Przede wszystkim będziecie mogli zaspokoić własną ciekawość.

- Mitth'raw'nuruodo uniósł brwi.

- Bo chyba chcecie dowiedzieć się czegoś więcej o moim narodzie, prawda?

- Ja chcę, i to bardzo - przyznał Car'das. - Ale nie sądzę, by to zadowoliło kapitana Quennto.

- A może by pomogło wzbogacenie jego ładunku o parę cennych dodatków? - podsunął Mitth'raw'nuruodo.

- Mogłoby to również udobruchać nieco waszych klientów.

- O, tak, zdecydowanie będą wymagali udobruchania - zgodził się Car'das.

- To i owo ponad należy im łup z pewnością się przyda.

- A więc już wszystko uzgodniliśmy - orzekł Mitth'raw'nuruodo i wstał.

- Jeszcze jedno - wtrącił Car'das, gramoląc się z miękkiej sofy.

- Z przyjemnością nauczę pana basica, ale chciałbym w zamian kilku lekcji waszego języka. Czy zechciałby mnie pan uczyć języka Chissów... pan albo jeden z pańskich ludzi?

- Mogę cię nauczyć rozumieć cheunh - odparł Mitth'raw'nuruodo, mrużąc oczy w zadumie. - Ale wątpię, abyś potrafił kiedykolwiek nim się posługiwać. Widzę, że nawet mojego nazwiska nie potrafisz prawidłowo wymówić.

Car'das poczuł, że oblewa się rumieńcem.

- Przepraszam - bąknął.

- Nie trzeba - zapewnił go Mitth'raw'nuruodo.

- Wasz mechanizm mowy podobny jest do naszego, ale najwidoczniej są pewne różnice. Wydaje mi się jednak, że zdołasz nauczyć się Minnisiata. To język handlowy, powszechnie używany na naszym terytorium.

- To by było wspaniale - ucieszył się Car'das. - Dziękuję, komandorze Mitth... eee... panie komandorze.

- Jak mówiłem, wymowa cheunh jest dla was trudna - zauważył oschle Mitth'raw'nuruodo.

- Może łatwiej ci będzie nazywać mnie imieniem rdzeniowym, Thrawn.

Car'das zmarszczył brwi.

- Czy to uchodzi?

Mitth'raw'nuruodo - Thrawn - wzruszył ramionami.

- To sprawa dyskusyjna - zgodził się. - Pełnych nazwisk używa się na ogół przy formalnych okazjach, pomiędzy obcymi i wobec osób niższych społecznie.

- Podejrzewam, że się kwalifikuję do wszystkich trzech grup.

- Owszem - przytaknął Thrawn. - Ale wydaje mi się, że pewne zasady można nagiąć, jeśli są po temu ważne i istotne powody. A w tym przypadku są.

- Z pewnością to bardzo ułatwi sprawę - zgodził się Car'das, skłaniając głowę.

- Dziękuję, komandorze Thrawn.

- Proszę bardzo - odrzekł Thrawn.

- Teraz zapraszamy ciebie i pozostałych na lekki posiłek. Potem możemy zacząć naukę języka.

ROZDZIAŁ 3

Recepcjonistka odłożyła komunikator i uśmiechnęła się do stojącej przed nią pary.

- Wielki kanclerz przyjmie pana teraz, mistrzu Cbaoth.

- Dziękuję - odparł mistrz Jedi Joruu Cbaoth zinnym, oschłym głosem.

Stojąca obok niego Lorana Jinzler skrzywiła się lekko. Jej mistrz był wściekły i w tych okolicznościach właściwie nie mogła mu się dziwić. Jednak Cbaoth był w sporze z Palpatine'em, a nie ze skromną recepcjonistką, która nie miała ani władzy, ani autorytetu, aby zmieniać rozkazy wydane przez Urząd Wielkiego Kanclerza. Nie było powodu, aby wyładowywać na niej irytację.

Dla Cbaotha nie było to również normalne zachowanie. Bez słowa odszedł od biurka kobiety i skierował się ku drzwiom gabinetu Palpatine'a. Lorana ruszyła o pół kroku za nim; kiedy pochwyciła wzrok recepcjonistki, uśmiechnęła się ciepło.

Z gabinetu wyłoniła się para Brofich, a ich zrogowaciała skóra w zielonożółte wzory drżała z emocji pod skórzanymi tunikami.

Cbaoth nie zwolnił, ale ruszył prosto na obcych, zmuszając ich do rozstąpienia się na boki. Lorana znów się skrzywiła i przyspieszyła kroku, by dogonić mistrza. Prawie jednocześnie przekroczyli próg gabinetu.

Wielki kanclerz Palpatine siedział przy biurku na tle imponującego pejzażu przemysłowego Corascant, który rozpościerał się za wielkim panoramicznym oknem za jego plecami. Młody człowiek, ubrany w ozdobną tunikę i kaftan, stał obok niego, pochylając się nad blatem z notatnikiem w rękę i szepcząc coś do kanclerza.

Palpatine spojrział na Cbaotha i Lorane, a jego twarz rozjaśniła się słynnym uśmiechem.

- Jak miło, mistrz Cbaoth - rzekł, gestem zapraszając go do środka.

- I twoja młoda padawanka, oczywiście. Lorana Jinzler, prawda? Witam was oboje.

- Dajmy sobie spokój z grzecznościami, kanclerzu - sztywno odparł Cbaoth, wyjmując z torby przy pasie notatnik. Podeszedł do biurka. - To nie wizyta towarzyska.

Młody człowiek obok Palpatine'a wyprostował się gwałtownie z błyskiem w oku.

- Proszę się nie zwracać w ten sposób do wielkiego kanclerza

- oświadczył ostro.
- Uważaj na słowa, sługo - warknął Cbaoth.
- Zabierz swoje biurokratyczne zabawki i wynoś się stąd. Młody człowiek ani drgnął.
- Proszę się nie zwracać w ten sposób do wielkiego kanclerza

- powtórzył.

- W porządku, Kinman - załagodził Palpatine i wstał, podniesioną dłonią po wstrzymując młodzieńca.

- Jestem pewien, że mistrz Cbaoth nie chciał być nieuprzejmy.

Przez moment mistrz Jedi i Palpatine mierzyli się wzrokiem przez szeroki blat biurka. Powietrze między nimi pulsowało niemal widocznym napięciem. Wreszcie, ku wielkiej uldze Lorany, wargi Jedi zadrżały lekko.

- Oczywiście, że nie - rzekł odrobinę grzeczniejszym tonem.

- No właśnie - rzekł Palpatine, uśmiechając się do młodzieńca z sympatią.

- Nie znasz jeszcze mojego nowego asystenta i doradcy, prawda, mistrzu Cbaoth? Oto Kinman Doriana.

- Jestem zachwycony i zaszczycony - rzekł Cbaoth ostentacyjnie nieszczerym tonem.

- Ja również, mistrzu Cbaoth - odparł Doriana. - To ogromny przywilej poznać jednego z tych, którzy poświęcali życie obronie Republiki.

- To prawda - zgodził się Palpatine.

- Co mogę dla ciebie zrobić, mistrzu Cbaoth?

- Wie pan doskonale, co może pan dla mnie zrobić - warknął Cbaoth. Nie czekając na zaproszenie, rozsiadł się w jednym z foteli i położył notatnik na biurku.

- Pozwolę sobie przypomnieć: Lot Pozagalaktyczny.

- Tak, oczywiście - znudzonym tonem odparł Palpatine, wskazując Lorianie miejsce obok Cbaotha, po czym sam usiadł za biurkiem.

- Co tym razem?

- Proszę bardzo. - Cbaoth użył Mocy, aby pchnąć notatnik przez blat biurka, podsuwając go wprost

pod nos wielkiego kanclerza.

- Komitet Uwłaszczeniowy Senatu znów mi obciął fundusze.

Palpatine westchnął.

- Co według ciebie mam teraz powiedzieć, mistrzu Cbauth? Nie mogę dyktować senatowi, co ma robić. Z pewnością zaś nie dam rady zmusić tych twardogłowych z Uwłaszczeń, żeby spojrzeli na to z naszego punktu widzenia.

- Naszego? - powtórzył Cbauth.

- Teraz już naszego? Wydaje się, że jeszcze całkiem niedawno wcale nie był pan zachwycony naszym projektem.

- Może powinieneś lepiej poszukać w pamięci - poradził Palpatine ze śladem irytacji w głosie. - Przecież to rada Jedi, a nie jja, hamowała projekt Lotu Pozagalaktycznego przez ostatnie kilka miesięcy. Co więcej, odniosłem wrażenie, że mistrz Yoda zmienił zdanie i pozwoli najwyżej jednemu... no, może dwójce Jedi dołączyć do wy

prawy.

- Zajmę się mistrzem Yodą, kiedy przyjdzie na to czas - stanowczo odparł Cbauth.

- Tymczasem to w pana rękach spoczywa los naszego projektu.

- Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby wam pomóc - przypomniał mu Palpatine.

- Dostaliście statki... sześć nowiutkich dreadnaughtów, wprost z linii montażowej Rendili StarDrive. Macie centralny rdzeń magazynowy, którego żądaliście, szyby turbowind gotowe do połączenia wszystkiego w całość. Macie załogę i pasażerów szkolonych na Yaga Minor...

- Nieprawda - przerwał Cbauth, dziobiąc palcem w notatnik, którego Palpatine jeszcze nie dotknął. - W istocie nie mam wcale pasażerów. Jakiś idiota urzędas zmienił profil uczestników, który teraz składa się z samej załogi, bez rodzin i potencjalnych kolonistów.

Palpatine podniósł notatnik. Lorana zauważyła, że zrobił to bardzo niechętnie.

- Moim zdaniem to wynika z oszczędności - mruknął, przewijając dane.

- Ci wszyscy dodatkowi ludzie na pokładzie oznaczają wzrost kosztów zapasów i urządzeń.

- Ale to również oznacza koniec całego projektu - odparował Cbauth.

- Jaki jest sens wysyłania ekspedycji do innej galaktyki, jeśli nie będzie szansy stworzenia kolonii, kiedy już tam się znajdziemy?

- Może o to właśnie chodzi komisji - spokojnie podsunął Palpatine.
- Sytuacja polityczna uległa znacznej zmianie od czasu, kiedy ty i rada po raz pierwszy przedstawiliście nam ten projekt.
- A to sprawia, że kwestia Lotu Pozagalaktycznego staje się tym ważniejsza - odparł Cbauth. - Musimy się dowiedzieć, jakie niebezpieczeństwa i zagrożenia mogą się kryć w Nieznanych Rejonach, kto czai się na nas i szykuje inwazję z sąsiedniej galaktyki.
- Niebezpieczeństwa? - zdziwił się Palpatine, unosząc brwi.
- Miałem wrażenie, że celem Lotu Pozagalaktycznego było szukanie nowych form życia i potencjalnych istot władających Mocą poza naszymi granicami. Takie było uzasadnienie pierwotnej wersji wniosku.
- Nie ma powodu, aby nie zrobić i jednego, i drugiego - z uporem mruknął Cbauth.
- Jeśli o tym mowa, wydawało mi się, że dołożenie misji zadań związanych z bezpieczeństwem sprawi, że będzie bardziej strawna dla senatu.

Palpatine pokręcił głową. Jego siwa czupryna załśniła w świetle padającym od okna za jego plecami. Lorana pamiętała czasy, kiedy te włosy miały barwę brązową, ze śladem siwizny jedynie na skroniach. Teraz, po pięciu latach dźwigania na barkach ciężaru rządzenia Republiką, brąz prawie znikł.

- Przykro mi, mistrzu Cbauth - odezwał się kanclerz.
- Jeśli zdołasz przekonać senat do zniesienia cięć Uwłaszczenia, z przyjemnością cię poprę. Na razie jednak nie mogę zrobić nic więcej.
- Chyba że - wtrącił Dorian - mistrz Cbauth potrafi coś zaradzić na sytuację u Bartoków.
- Nie mogę zrobić nic więcej - powtórzył Palpatine, rzucając asystentowi ostrzegawcze spojrzenie. - W każdym razie rada raczej nie wyśle mistrza do sektora Marcol, skoro tutaj jest tyle pilniejszych spraw do załatwienia.
- Zaraz, zaraz - zagrzemiał Cbauth. - Na czym polega problem?
- Nawet nie ma o czym mówić - niechętnie odpowiedział Palpatine. - Trwa drobny spór pomiędzy Sojuszem Korporacyjnym a jednym z regionalnych rządów Barloka, dotyczący praw górniczych. Ci dwaj Brołfi, z którymi się miñałeś, właśnie przedstawili problem i poprosili o pomoc przy negocjacji układu.
- A pan natychmiast pomyślał o mnie? - oschle spytał Cbauth.

- Czy mam czuć się zaszczycony?

- Proszę, mistrzu Cbauth - łagodził z uśmiechem Palpatine.

- Mam już na Coruscant zbyt wielu wrogów. Nie chcę powiększać ich liczby.

- Więc zawrzyjmy umowę - zaproponował Cbauth.

- Jeśli rozwiążę za pana ten problem, czy nakaże pan Uwłaszczeniom zwrócenie Lotowi Pozagalaktycznemu pełnych funduszy?

Lorana niepewnie poruszyła się w fotelu. Odnosiła wrażenie, że jest świadkiem powtórki z pokątnych układów, które korodowały nieuchronnie cały wymiar sprawiedliwości Republiki. Nie śmiała jednak zwierzyć się z tego Cbauthowi, a już z pewnością nie w obecności Palpatine'a czyjego asystenta.

- Nie mogę nic obiecać - ostrożnie odparł Palpatine.

- Z pewnością nie w przypadku senatu. Ale ja wierzę w Lot Pozagalaktyczny, mistrzu Cbauth. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc ci zrealizować to marzenie.

Cbauth milczał przez dłuższą chwilę i znów Lorana wyczuła napięcie pomiędzy obu mężczyznami. Wreszcie mistrz Jedi skinął głową.

- Doskonale, kanclerzu Palpatine - rzekł, wstając.

- Jeszcze dzisiaj wyruszamy na Barlok.

Wycelował palec w Palpatine'a.

- Proszę tylko dopilnować, żebym po powrocie miał już swoje fundusze. I moich kolonistów.

- Zrobię, co się tylko da - obiecał Palpatine z lekkim uśmiechem.

- Życzę miłego dnia, mistrzu Cbauth... padawanko Jinzler.

Lorana odczekała, aż opuszczą gabinet i wyjdą korytarz. Dopiero wtedy odważyła się przemówić.

- Co rozumiesz przez obietnicę, że dzisiaj ruszamy na Barlok? - zapytała.

- Czy rada nie musi zatwierdzać takich decyzji?

- Nie przejmuj się radą - ostro odparł Cbauth.

- Tam, w biurze Palpatine'a, ustąpiłaś z drogi tym Brolfim.

Lorana poczuła ucisk w gardle.

- Nie chciałam ich potrącić.
- Nie musiałybyś - odparował.
- Dobrze oceniłem odległość pomiędzy nimi. Żaden z nich nie musiałby ustępować nam miejsca.
- Ale ustąpili - zauważyła Lorana.
- Dlatego, że sami tego chcieli, po prostu z szacunku - powiedział mistrz.
- Zrozum, moja młoda padawanko, pewnego dnia zostaniesz Jedi z całą potęgą i odpowiedzialnością, jakie się z tym łączą. Nie zapominaj nigdy, że to my utrzymujemy w całości Republikę... Nie Palpatine, nie senat, nie biurokracja, a już na pewno nie te ograniczone istoty, które nie potrafią przeżyć dnia, żeby nie wołać Coruscant na pomoc. Muszą nauczyć się nam ufać... a zanim nadejdzie zaufanie, musi pojawić się szacunek. Rozumiesz?
- Rozumiem, że chcemy, aby nas szanowali - z wahaniem odparła Lorana.
- Ale czy muszą się też nas bać?
- Szacunek i obawa są jak dwie strony tej samej monety - wyjaśnił Cbaoth.
- Przestrzegający prawa obywatele trzymają monetę jedną stroną do góry, wszyscy inni zaś ukazują drugą jej powierzchnię - uniósł palec.
- Ale żadnej z tych grup nie możesz okazać słabości i niezdecydowania. Nigdy.

Opuścił dłoń i postukał o rękojeść miecza świetlnego zatkniętą za pas.

- Są chwile, kiedy pragniesz, aby twoja tożsamość pozostała nieznaną; ukrywasz wtedy miecz świetlny i wszelkie ślady tego, kim jesteś. Kiedy jednak podróżujesz oficjalnie jako Jedi, musisz się zachowywać jak Jedi. Zawsze. Rozumiesz?

- Tak, mistrzu Cbaoth - odparła Lorana, nieco mijając się z prawdą. Z pewnością rozumiała słowa, ale taka postawa mistrza była dla niej dość niepojęta.

Przez chwilę Cbaoth przyglądał się uważnie padawance, jakby wyczuwając nieszczerłość. Ku jej wielkiej uldze odwrócił się jednak, nie pytając o nic więcej.

- A więc wszystko jasne - rzekł. - Pójdę do świątyni porozmawiać z radą. Ty tymczasem skontaktujesz się z portem kosmicznym i załatwisz dla nas transport do systemu Barlok. Kiedy skończysz, spakuj się.

- Na jak długo?

- A jak myślisz, ile może trwać rozstrzygnięcie zwykłego sporu o prawo do kopalni? - zbeształ ją Cbaoth.

- Czas podróży plus trzy dni standardowe. Załatwię to w mgnieniu oka.

- Tak, mistrzu - wymamrotała Lorana.

- A potem - ciągnął Cbaoth półgłosem - zajmiemy się mistrzem Yodą i jego bezsensownymi lękami.

Przyspieszył kroku i zniknął w głębi korytarza.

Lorana zatrzymała się, obserwując, jak posłańcy i urzędnicy krzątający się za własnymi sprawami ustępują w przejściu wysokiemu, siwowłosemu mistrzowi Jedi. Cbaoth nawet nie zwolnił, jakby oczekiwał, że wszyscy będą schodzić mu z drogi.

„Kiedy podróżujesz jako Jedi, musisz zachowywać się jak Jedi”.

Westchnęła. Wydawało jej się, że to wewnętrzne przekonanie o wyższości Jedi nad innymi istotami jest z gruntu niesprawiedliwe.

A przecież Cbaoth przez wiele lat ciężko pracował na swoją potęgę, sięgając głęboko w tajemnice i subtelności Mocy. Lorana z kolei była młodą padawaną, która zaledwie postawiła stopę na własnej ścieżce. Nie miała prawa sprzeciwiać mu się ani w tej sprawie, ani w żadnej innej.

Tak czy owak, mistrz wydał jej rozkaz, a więc musiała go wypełnić. Stała pod ścianą korytarza i wyjęła komunikator.

Już miała wezwać służby transportowe świątyni Jedi, kiedy po drugiej stronie korytarza zauważyła znajomą twarz. Aż za dobrze znajomą.

Znieruchomiała i wstrzymała oddech. Oczy, umysł i zmysły Jedi skierowała ku temu mężczyźnie poprzez dzielący ich tłum. Widziała go już wiele razy. Przez kilka ostatnich lat spotykała go w różnych miejscach, zwykle publicznie, w senacie, ale czasem i gdzie indziej. Był młody, pewnie rok lub dwa młodszy od niej, niewysoki, przeciętnie zbudowany, o krótko ostrzyżonych ciemnych włosach i dziwnym wyrazie goryczy wokół zaciśniętych ust. Nigdy nie znalazł się dość blisko niej, aby mogła dostrzec, jakiego koloru ma oczy, ale wydawało jej się, że są równie ciemne jak włosy.

I za każdym razem, kiedy się na niego natknęła, miała nieodparte wrażenie, że ją obserwuje.

Teraz także przyglądał jej się kątem oka, udając, że coś robi przy otwartym panelu okablowania. Często widywała go przy naprawie paneli lub robotów, ale nigdy nie zdołała się zorientować, czy rzeczywiście pracuje, czy też traktuje to jedynie jako pretekst, aby kręcić się po okolicy.

Z początku uznała, że to zbieg okoliczności. Nawet teraz nie miała dowodu na coś innego. Wiedziała tylko, że w miarę jak jej umiejętności Jedi rosły, potrafiła sięgnąć ku niemu nawet przez zatłoczony

korytarz i wyczuć jego umysł.

Właśnie to zrobiła - i wyczuła niezmienną, cichą, kipiącą urazę, tę samą co zawsze. Urazę, frustrację i gniew.

Skierowane na nią.

Czyżby to był ktoś, kogo skrzywdziła albo uraziła w przeszłości tak odległej, że sama nawet nie pamiętała? Ale przecież od wczesnego dzieciństwa mieszkała w świątyni Jedi. Może to jeden z cywilnych pracowników świątyni? Gdyby jednak jej instruktorzy wyczuli z jego strony jakieś zagrożenie, z pewnością by interweniowali...

Mężczyzna spojrzął w jej kierunku. A potem rozmyślnie powoli odwrócił się do niej plecami, całą uwagę skupiając na okablowaniu. Lorana obserwowała jego pracę, walcząc z wirem sprzecznych uczuć. Czy powinna podejść i dowiedzieć się, co ten młody człowiek ma jej za złe? A może by najpierw udać się do archiwów senatu i sprawdzić, czy uda się odkryć jego tożsamość? Może lepiej powstrzymać się od konfrontacji, dopóki nie pozna więcej faktów?

A może w ogóle dać sobie spokój i przyjąć, że te spotkania były wyłącznie przypadkowe, a gniew mężczyzny skierowany jest ogólnie przeciwko Jedi?

Próbowała się zdecydować, kiedy zamknął panel, zebrał narzędzia i odszedł wielkimi krokami. Skręcając za róg obejrzał się raz jeszcze i znikł.

„Nie ma emocji, jest spokój”. Słowa te wpajano Loranie od najwcześniejszych lat w świątyni, a ona z całych sił starała się żyć zgodnie z nimi. Wiedziała jednak, że dopóki zagadka tego mężczyzny pozostanie nierozwiązana, nie zazna całkowitego spokoju.

Wiedziała też, że to nie pora na takie rozważania. Odetchnęła głęboko, uniosła komunikator do ust i wezwała port kosmiczny.

Kiedy drzwi zamknęły się za dwójką Jedi, Kinman Dorian stał ze wzrokiem wbitym w miejsce, gdzie byli jeszcze przed chwilą, i czuł w ustach gorzki smak. Wszystkich Jedi uważał za pompatycznych głupców, aroganckich i obrzydliwie pewnych siebie, ale nawet w tym towarzystwie Jorus Cbauth zdecydowanie się wyróżniał. In minus, rzecz jasna.

- Naprawdę go nie lubisz, co? - łagodnie spytał Palpatine. Dorian ostrożnie zmienił wyraz twarzy na bardziej obojętny, po czym spojrzął na kanclerza.

- Przykro mi, sir - odrzekł. I mówił szczerze. Nieważne, co czuł; pozwolenie sobie na okazanie jakichkolwiek emocji było błędem politycznym. Zwłaszcza w przypadku Jedi. - Wydaje mi się po prostu, że teraz, kiedy Republikę nęka tyle innych problemów, taki wielki projekt badawczo-kolonizacyjny powinien znaleźć się na samym dole listy priorytetów. A mistrz Cbauth nalega, aby pan zajął się tym osobiście...

- Cierpliwości, Kinmanie - uspokajająco przerwał mu Palpatine.

- Musisz nauczyć się pozwalać ludziom na różne namiętności. Lot Pozagalaktyczny należy do mistrza Cbaotha.

Spojrzał wymownie w kierunku drzwi.

- Poza tym nawet jeśli nie znajdą tam nic naprawdę wartościowego, sama wieść o takiej wyprawie rozbudzi wyobraźnię ludzi w całej Republice.

- Jeśli kiedykolwiek podadzą to do publicznej wiadomości - zastrzegł Doriana.

- Jeśli dobrze słyszałem, rada Jedi utrzymuje cały projekt w najgłębszej tajemnicy.

Palpatine wzruszył ramionami.

- Jestem pewien, że mają swoje powody.

- Możliwe. - Doriana zawahał się lekko.

- W każdym razie chciałbym przeprosić za moją gwałtowną reakcję.

- Nie przejmuj się tym - zapewnił go Palpatine. - Właściwie to był całkiem niezły pomysł. Mistrz Cbaoth jest naprawdę dobry w medytacjach, a to mu się przyda na Barloku. Powinienem być sam na to wpaść.

Roześmiał się cicho.

- Jeśli mam być całkiem szczerzy, będę bardzo szczęśliwy, jeśli mistrz wyniesie się z Coruscant na kilka tygodni. To da mi czas na przekonanie Komitetu Uwłaszczeniowego, aby przywrócił fundusze na Lot Pozagalaktyczny.

- A czy znajdzie pan sposób, by przekonać radę, żeby przydzieliła mistrzowi Cbaothowi tytuł Jedi, ilu zechce?

- No nie, z tym nic nie mogę zrobić - mruknął Palpatine.

- Jeśli Cbaoth chce więcej Jedi, sam musi przekonać Yodę i Windu.

- Tak jest, sir - powiedział służbiście Doriana. - No cóż... może poradzi sobie na Barloku tak dobrze, że nie będą mieli innego wyjścia, jak tylko ustąpić.

- Albo poddadzą się, byle tylko się od nich odczepił - oschle skomentował Palpatine. - Męczy ich tak samo jak mnie. W każdym razie ta część sprawy jest teraz w rękach Cbaotha. A skoro już o tym mowa, kiedy ty sam wybierasz się w podróż?

- Dzisiaj wieczorem - odparł Doriana.
- Mam zarezerwowany statek, wszystkie niezbędne dokumenty i pliki są przygotowane i spakowane. Muszę tylko po pracy wstąpić do mieszkania spakować trochę rzeczy osobistych... i już mogę jechać.
- Doskonale - ucieszył się Palpatine.
- Możesz właściwie już iść. Nie będę niczego od ciebie potrzebował.
- Dziękuję, sir - skłonił się Doriana.
- Poinformuję pana o wszystkim, co będzie się działo na spotkaniach.
- Bardzo proszę. - Palpatine uniósł brwi.
- I nie zapominaj, że masz te dane dostarczyć osobiście gubernatorowi Caulfmarowi.
- Tak, czytałem raporty - skinął głową Doriana.
- Jeśli zdążę ze wszystkim, zostanie mi jeszcze jeden dzień, aby trochę powęszyć i sprawdzić, czy nie zidentyfikuję zdrajcy w wewnętrznych kręgach. Oczywiście, jeśli pan pozwoli.
- Pozwalam - zgodził się Palpatine.
- Ale bądź ostrożny. Krążą plotki, że w tym sektorze narasta niezadowolenie.
- Wszędzie krążą takie plotki - potwierdził Doriana.
- Nic mi nie będzie.
- Mam nadzieję - odrzekł Palpatine.
- Ale i tak uważaj... i wracaj szybko.

Do mieszkania Doriany w Wieżach Apartamentowych Trzeciego Kręgu w kompleksie senackim było zaledwie dwadzieścia minut jazdy taksówką powietrzną. Doriana podzielił ten czas pomiędzy notatnik i komunikator, sprawdzając plany podróży i dogrywając szczegóły. Taksówka wysadziła go na lądowisku przynależnym do dwieście czterdziestego ósmego piętra, musiał zatem zjechać windą dziesięć pięter w dół. Otworzył mieszkanie, wszedł, po czym zamknął drzwi i włączył tryb prywatności.

Powiedział Palpatine'owi, że musi się spakować. W istocie był spakowany już dawno, a jego bagaż spoczywał równiutko ułożony w wejściu do salonu. Minął go i podszedł do biurka w kącie. Spod podwójnego dna dolnej szuflady po prawej stronie wyjął holoprojektor i podłączył go do komputera.

Kod zabezpieczenia dostępu był prosty, składał się z dwunastu liter i osiemnastu cyfr. Wprowadził go, wziął do ręki notatnik, rozparł się w fotelu i czekał.

Jak zwykle nie musiał czekać długo. Po zaledwie trzech minutach nad holoprojektorem pojawił się mżący obraz zakapturzonej twarzy Dartha Sidiousa.

- Raport - zażądał chrapliwym głosem.

- Mistrz Jedi Cbauth jedzie na Barlok, mój panie - zameldował Doriana.

- Zależnie od tego, jaki transport uda mu się załatwić, może być tam za trzy do sześciu dni.

- Doskonale - odparł Sidious. - Nie sprawi ci kłopotu, żeby go wyprzedzić?

- Żadnego, mój panie - zapewnił go Dorian. - Mój kurier jest szybszy od wszystkich pojazdów Jedi. Poza tym on będzie musiał jeszcze zatrzymać się w świątyni i uzyskać oficjalne zezwolenie, a ja mogę jechać od razu. Wszystko mam przygotowane.

- Cóż, Jedi spotka się z naprawdę gorącym powitaniem - rzekł Sidious, unosząc kąciki ust w pełnym satysfakcji uśmiechu. - A co z kanclerzem Palpatine'em? Jesteś pewien, że nie zauważy tej małej wycieczki?

- Wprowadziłem do mojego planu odpowiedni luz - zapewnił go Dorian.

- Mogę spędzić na Barloku aż trzy dni, więc się nie spóźnię. Jeśli się okaże, że wszystko potrwa dłużej, mam w planie parę wymówek, które mogę załatwić przez konferencję na Holo-Necie. Mogę to zrobić z Barloka lub skądkolwiek po drodze, nie docierając do tych systemów.

- Doskonale, jak zwykle - pochwalił Sidious.

- Mam wiele sług, Dorian, ale mało jest tak sprytnych i subtelnych jak ty.

- Dziękuję, mój panie - skłonił się Dorian, czując, jak ogarnia go przyjemne ciepło. Darth Sidious, Mroczny Władca Sithów, nie był człowiekiem skorym do prawienia komplementów.

- Usunięcie z naszej drogi Jorusa Cbautha będzie prawdziwą przyjemnością - ciągnął Sidious.

- Istotnie wszystko odbywa się zgodnie z planem.

- Tak, mój panie - skłonił się Dorian.

- Zgłoszę się, gdy tylko zwyciężymy.

- Dopilnuj tylko, abyśmy rzeczywiście zwyciężyli - rzekł Sidious z lekką nutą ostrzeżenia w głosie. Dorian poczuł, że zimny dreszcz rozprasza resztki ciepła z niedawnej pochwały.

- Wracaj do pracy, przyjacielu.

- Tak jest, panie.

Obraz znikł. Doriana zgasił holoprojektor, odłączył go od komputera i włożył z powrotem do skrytki. Potem wsunął notatnik do kieszeni i ruszył w kierunku bagażu. Tak, gdyby zawiódł lorda Sithów, kara byłaby zapewne dotkliwa. Prawie równie dotkliwa jak ta, która groziła mu, gdyby kanclerz Palpatine się dowiedział, że ma zdrajcę we własnym otoczeniu. Tego był pewien.

Ale jeśli nawet cena porażki mogła być wysoka, nagroda za sukces będzie jeszcze wyższa. Apartament Doriany, jego pozycja, dyskretna, ale daleko sięgająca władza były tego dowodem. W jego przekonaniu gra warta była świeczki.

A poza tym bardzo lubił grać.

Wyjął komunikator i wezwał taksówkę do portu kosmicznego. Zebrał bagaże i ruszył w kierunku turbowindy.

Drzwi sali rady Jedi rozsunęły się.

- Wejść - zawołał mistrz Jedi Mace Windu.

Obi-Wan wyprostował się i przekroczył próg, zastanawiając się, o co tu właściwie chodzi.

I stanął jak wryty, z zaskoczenia marszcząc czoło. Ktoś, kto został wezwany przez radę Jedi do głównej sali, spodziewał się, że zastanie tam całą radę. Pomieszczenie jednak było puste, jeśli nie liczyć Windu, spoglądającego przez okno na miejski pejzaż.

- Dobrze zrozumiałeś, właśnie tu miałeś się stawić - rzekł Windu. Odwrócił się i powitał Obi-Wana bladym uśmiechem.

- Muszę z tobą pomówić.

- Oczywiście, mistrzu Windu - odparł Obi-Wan, ze zmarszczonym wciąż czołem podchodząc do mistrza - Czy znów chodzi o Anakina?

- Dlaczego? - Windu pytająco uniósł brwi.

- Co znowu przeszkrobał młody Skywalker?

- Nic - pospiesznie zapewnił go Obi-Wan.

- A przynajmniej nic wielkiego. Ale wiesz, jacy są czternastoletni padawani.

- Silni, zadziorni i zdumiewająco naiwni - podsumował Windu z uśmiechem.

- Życzę ci szczęścia z tym padawanem.

Obi-Wan wzruszył ramionami.

- Jeśli taka rzecz jak szczęście w ogóle istnieje.

- Wiesz, co mam na myśli - odparł Windu i znów odwrócił się do okna.

- Powiedz, słyszałeś kiedyś o projekcie zwanym Lot Pozagalaktyczny?

Obi-Wan poszukał w pamięci.

- Raczej nie.

- Został nam przedstawiony jako misja kolonizacyjna i badawcza - wyjaśnił Windu.

- Sześć dreadnaughtów, połączonych wokół centralnego magazynu sprzętu i zapasów. Całość ma być wysłana do Nieznanych Rejonów, a stamtąd do innej galaktyki.

Obi-Wan zamrugął nerwowo. Do innej galaktyki?

- Nie słyszałem nic na ten temat. Kiedy miałoby to nastąpić?

- Właściwie projekt jest prawie gotowy - wyznał Windu.

- Jeszcze tylko ostatni montaż i drobne sprzeczkki na temat listy pasażerów.

- Kto się tym zajmuje? Senat?

- Nominalnie był to plan rady - wyjaśnił Windu.

- Ale główną siłą napędową jest mistrz Cbath.

- Jorus Cbath, mistrz konferencji prasowych? - zdziwił się Obi-Wan.

- Więc czemu projekt nie dotarł do wiadomości Holo-Netu? Nie do wiary.

- Nie powinieneś tak mówić o mistrzu Jedi - zganił go łagodnie Windu.

- A myłę się?

Windu ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami.

- Fakty są takie, że wszyscy związani z Lotem Pozagalaktycznym mają swoje racje, aby ukrywać projekt przed opinią publiczną - wyjaśnił.

- Kanclerz Palpatine obawia się, że taka strata czasu i pieniędzy w obliczu innych problemów, jakie

teraz przeżywa Republika, może okazać się nie do przyjęcia. Tak samo myśli senat, który dostarczył dreadnaughtów do projektu.

- Wydał wargi.

- A co do rady... cóż, mieliśmy własne powody.

- Niech zgadnę - rzekł Obi-Wan. - Cbaoth ma nadzieję, że dzięki Lotowi Pozagalaktycznemu zdoła dowiedzieć się, co się stało z Vergere.

Windu spojrział na niego z lekkim zaskoczeniem.

- No, no... chyba naprawdę zaczynasz rozwijać w sobie instynkty Jedi.

- Chciałbym tak sądzić - odparł Obi-Wan. - Ale to się właściwie nie liczy. Anakin i ja nigdy nie poznaliśmy do końca historii zniknięcia Vergere. Nie byliśmy w stanie prześledzić jej dalszych losów, kiedy po raz ostatni wybieraliśmy się w tamtym kierunku. Nieważne, czego chce Cbaoth. Ja pragnę się dowiedzieć, co się z nią stało.

- Ostrożnie, Obi-Wanie - ostrzegł Windu.

- Nie możesz pozwolić, aby kierowały tobą emocje.

Obi-Wan skłonił głowę.

- Proszę o wybaczenie.

- Emocje to nasz wróg - ciągnął Windu.

- Wszelkie emocje. I twoje, i mistrza Cbaotha.

Obi-Wan zmarszczył brwi.

- Uważasz, że mistrz Cbaoth za mocno angażuje się w projekt?

- Jeśli mam być szczery, nie wiem, co się z nim dzieje - niechętnie przyznał Windu.

- Nalega, byśmy wysłali w Nieznane Regiony silny oddział, który by odnalazł Vergere i sprowadził z powrotem... i to jest w porządku. Ale jednocześnie rozpowiada, że Republika znalazła się na krawędzi i że wspaniale byłoby przenieść najlepszych Jedi poza jej granice, osadzając ich w nowych koloniach ulokowanych w Nieznanych Rejonach, gdzie polityka Coruscant nie będzie w stanie ich dotknąć.

- Chyba nie masz zamiaru go posłuchać? - zaniepokoił się Obi-Wan.

- I tak jest nas za mało.

- Większość rady zgodziłaby się z tobą - odrzekł Windu.

- Niestety, większość uważa też, że ślad po Vergere już dawno zaginął i prawdopodobnie nie ma szans na jego odnalezienie. Z kolei ci, którzy wciąż jeszcze mają nadzieję, przeważnie uważają, że wystarczy wysłać niewielką sondę: coś większego niż proponujesz, lecz znacznie mniejszego niż skala, jakiej domaga się Cbauth - skrzywił się.

- W rezultacie Cbauth jest praktycznie jedyną osobą, która wciąż nalega na pełną realizację projektu Lotu Pozagalaktycznego.

- Chcesz powiedzieć, że może jawnie sprzeciwić się radzie, jeśli spróbujesz go odwołać?

- A czemu nie? - odparował Windu.

Obi-Wan odwrócił się do okna i przez chwilę w sali panowała cisza.

- Więc czego właściwie oczekuje ode mnie rada? - zapytał wreszcie.

- W tej chwili mistrz Cbauth i jego padawanka Lorana Jinzler jadą do portu kosmicznego - poinformował Windu.

- Widocznie kanclerz Palpatine wspomniął o jakichś nieudanych negocjacjach na Barloku i Cbauth przekonał radę, żeby posłała go tam na mediacje.

- Czy to coś poważnego?

- Owszem, dosyć - zgodził się Windu.

- Sojusz Korporacyjny przeciwko lokalnemu rządowi. A sam wiesz, że wszystko, co dotyczy wielkich graczy korporacyjnych, trafia od razu na pierwsze strony.

- Tak - mruknął Obi-Wan. Negocjacje w zaawansowanej fazie, nic dziwnego, że Cbauth ruszył w tym kierunku.

- No to powiedz, czego ode mnie oczekujesz.

Na policzku Windu drgnął jeden mięsień.

- Chcemy, żebyś pojechał na Barlok i miał go na oku. Obi-Wan otworzył usta.

- Ja?

- Rozumiem twoje wątpliwości - poważnie oznajmił Windu. - Ale jesteś tutaj i do tego wolny. Poza tym, jeśli dobrze pamiętam, Skywalker całkiem nieźle się z nim dogadywał, kiedy się spotkali. Może uda ci się zrobić z tego bajeczkę o lekcji negocjacji w stylu Jedi.

- Myślisz, że Cbaoth naprawdę da się na to nabrać? - prychnął Obi-Wan.
 - Prawdopodobnie nie - zgodził się Windu.
 - Ale jeśli odmówisz, będzie musiał pojechać Yoda... albo ja. Uważasz, że lepiej zareaguje, kiedy zobaczy jednego z nas?
 - Tu masz rację - westchnął Obi-Wan.
 - W porządku, pojedę. I tak w tej chwili nie mam nic innego. Ale masz rację: Anakin rzeczywiście był pod wrażeniem władczego uporu Cbaotha. Może odbierając młodzieńczy hołd bohatera, mistrz będzie spokojniejszy.
 - Może - odparł Windu.
 - W każdym razie, kiedy dobiejecie ze Skywalkerem do portu, będzie już na was czekać statek.
 - Czy mamy tylko go obserwować, czy chodzi o coś więcej?
 - Nie, właściwie nie - zastanowił się Windu. Wydał wargi i wbił wzrok w przestrzeń.
 - Ale dzieje się coś jeszcze. Coś z samym Cbaothem, czego nie umiem do końca zdefiniować. Jakieś dziwne myśli, ukryte plany albo... sam nie wiem co.
 - Dobrze - skinął głową Obi-Wan.
 - Będę go obserwował pod tym kątem.
- Windu obrzucił go smutnym, poważnym spojrzeniem, które tak bardzo pasowało do mistrzów Jedi.
- Bądź cały czas w kontakcie - polecił.

R O Z D Z I A Ł 4

Thrawn powiedział Car'dasowi, że baza znajduje się niedaleko miejsca, gdzie jego siły zadaniowe natknęły się na „Łowcę Okazji”. Nie wspomniał jednak, że podróż potrwa prawie trzy standardowe dni.

- Czas najwyższy - mruknął Quennto pod nosem. Cała trójka stała w tylnej części mostka „Springhawk” i obserwowała, jak grupa statków zmienia formację, żeby przelecieć małe pole asteroidów.

- Zaraz się wścieknę z nudów.

- Zawsze możesz dołączyć do Maris i do mnie na lekcje języka - zaproponował Car'das.

- Komandor Thrawn to naprawdę niezły kompan.

- Nie, dziękuję - burknął Quennto.

- Jeśli chcecie pomagać potencjalnemu przeciwnikowi, to wasza sprawa, ale ja nie mam zamiaru.

- Ci ludzie wcale nie zamierzają być naszymi przeciwnikami

- stanowczo zaprotestowała Maris.

- Pewnie sam byś się o tym przekonał, gdybyś zadał sobie trud poznania ich. Są bardzo uprzejmi i wyjątkowo cywilizowani.

- Tak, jasne, Huttowie też mają cywilizację, przynajmniej sami tak twierdzą - odparował Quennto.

- Przykro mi, ale żeby prze-

konać mnie, że Chissowie są nieszkodliwi, potrzeba czegoś więcej niż dobrych manier.

Car'das obruszył się w duchu. Od pierwszego dnia spędzonego na pokładzie, kiedy to został wykluczony z negocjacji, Quennto obraził się na Chissów w ogóle, a na Thrawna w szczególności. Car'das i Maris razem i oddzielnie usiłowali mu przemówić do rozumu, ale Quennto wołał się dąsać, niż myśleć rozsądnie i po kilku próbach Car'das skapitulował. Maris prawdopodobnie też.

Thrawn stał po drugiej stronie mostka, pochylając się nad jednym z podwładnych,

w którym Car'das domyślał się nawigatora. Widząc ich, komandor cofnął się i zawrócił, kierując się w stronę oczekujących ludzi.

- Spójrzcie tam - rzekł, wskazując palcem szeroki iluminator.

- Ta duża, wolno obracająca się asteroida, to nasza baza.

Car'das zmarszczył brwi. Asteroida wcale się obracała, tylko kołysała, nie wykonując pełnego obrotu. I nie chodziło tu o pseudograwitację - „Springhawk” był dowodem, że Chissowie znali sztuczną grawitację. Po co więc wybrali taką asteroidę?

Maris najwidoczniej zastanawiała się nad tym samym.

- Przez to kołysanie trudno się zadokować - mruknęła.

- Rzeczywiście, wymaga to sporych umiejętności - przyznał Thrawn, unosząc brwi niczym nauczyciel, który próbuje wydobyć odpowiedź od grupy studentów.

Car'das znów spojrzał na asteroidę. Czy Thrawn mógł wymyślić taką niebezpieczną procedurę dokowania jako ćwiczenie szkoleniowe dla nowych rekrutów? Przecież łatwiej i bezpieczniej byłoby to zrobić na oddzielnej stacji szkoleniowej.

Chyba że ta asteroida była poligonem, a nie jego główną bazą. Z całą pewnością, gdziekolwiek sięgnąć wzrokiem, nie było widać świateł ani śladów budowli. Czy właśnie takiego wniosku oczekiwał od nich Thrawn?

I nagle Car'das zrozumiał.

- Na jednym końcu masz pasywną matrycę czujników - odgadł.

- Dzięki kołysaniu obejmuje ona cały widnokrąg zamiast jednego punktu.

- Ale po co obracać całą asteroidę? - zapytała Maris z wyraźnym zaskoczeniem.

- Nie można było tego zrobić z samą matrycą?

- Jasne, że można - burknął Quennto.

- Ale wtedy ruch na powierzchni mógłby ściągnąć uwagę nieprzyjaciela. A tak wszystko jest ślicznie, cicho i spokojnie, aż do momentu, kiedy odstrzelicie im statki spod tyłków.

- Zasadniczo masz rację - odparł Thrawn.

- Choć nie spodziewamy się, aby nieprzyjaciele wpadli z wizytą. Pomimo to lepiej zachować ostrożność.

- A nam nie odstrzeliliście statku spod tyłka - zauważyła Maris, stukając palcem w pierś Quennto dla lepszego efektu.

Quennto spojrział na nią morderczym wzrokiem. Car'das wtrącił szybko:

- A więc jesteśmy teraz w przestrzeni Chissów?

- Tak i nie - odpowiedział Thrawn.

- W tej chwili mamy tu tylko kilka grup do nadzoru i obserwacji, więc nie jest to reprezentatywny przykład prawdziwego systemu Chissów. Jednak druga planeta nadaje się do zamieszkania i w ciągu kilku lat zostanie zapewne skolonizowana. W tej chwili oficjalnie znajduje się pod ochroną i kontrolą Dziewięciu Rodów Rządzących.

- Mam nadzieję, że nie będziemy musieli zostać na otwarciu sezonu - wymamrotał Quennto.

- Oczywiście, że nie - zapewnił go Thrawn.

- Mówię wam o tym tylko dlatego, że może zechcecie wrócić tu pewnego dnia i zobaczyć, co zrobiliśmy z systemu Crusti.

- Już go nazwaliście? - zapytała Maris.

- Pierwsza grupa poszukiwawcza zawsze ma ten zaszczyt - wyjaśnił Thrawn.

- Nazwa Crustai jest zresztą akronimem..

- Crahsystor Mitth'raw'nuruodo - zawołał nagle jakiś Chiss z drugiego końca mostka.

- Ris ficar tli claristae su farimlsroca.

- Sa cras mi sout shisfla - ostro odpowiedział Thrawn. Od razu ruszył w kierunku swojego fotela pośrodku centrum dowodzenia i zajął w nim miejsce - Hos michfalliare.

- Co on powiedział? - zapytał Quennto, chwytając się najbliższego fotela dla złapania równowagi, bo „Springhawk” nagle ostro skręcił w lewo i zaczął nabierać prędkości. - Co się dzieje?

- Nie jestem pewien - odrzekł Car'das, powtarzając sobie w myślach słowa w obcym języku i próbując uporządkować sufiksy i prefiksy. Gramatyka Chissów była prosta i logiczna, stosunkowo łatwa do przyswojenia, ale po zaledwie trzech dniach nauki nie zdążył poznać zbyt wielu słów. - Jedyne rdzenie słów, jakie wychwytiłem, to „obcy” i „ucieczka”.

- Obcy? Ucieczka? - syknął Quennto przez zęby, kiedy gwiazdy w iluminatorze rozplynęły się w smugi.

- Gonią kogoś, czy jak?

- Jeżeli, to niezbyt daleko - mruknęła Maris.

- Czy „stae” nie jest rdzeniem słowa „blisko”?

- Chyba masz rację - zgodził się Car'das.

- Nie wiem, czy nie powinniśmy wrócić do naszych kwater.

- Zostaniemy tutaj - stanowczo zdecydował Quennto.

- Widziałem, jak potraktowali jeden statek, który podszedł zbyt blisko. Chcę zobaczyć, co zrobią z drugim.

- Załatwili Progę tylko dlatego, że strzelił pierwszy - zauważyła Maris.

- Jasne - mruknął Quennto. - Może i tak.

Przez kilka następnych minut załoga mostka krzątała się wokół swoich stanowisk, a panujące milczenie przerywały jedynie pojedyncze komentarze. Car'das stwierdził, że gapi się na tył głowy Thrawna, siedzącego nieruchomo w fotelu, i zastanawia się, czy będzie miał odwagę podejść i zapytać, co się właściwie dzieje.

Kilka sekund później był szczęśliwy, że tego nie zrobił. W mniej niż minutę po wejściu w nadprzestrzeń nagle wyskoczyli znowu.

- Już? - mruknął Quennto z lekkim zdumieniem.

- On zrobił mikroskok! - zawołał Car'das, ledwie dowierzając własnym obserwacjom.

- Niemożliwe - upierał się Quennto.

- Nie da się trafić w ścianę budynku senatu z...

Nagle pokład przechylił się pod ich stopami, omal ich nie przewracając. Car'das instynktownie chwycił Maris za ramię jedną ręką, a wystający kanał kablowy drugą, dzięki czemu oboje utrzymali się na nogach.

W tej samej chwili dwa małe statki śmignęły przed iluminatorem, zalewając „Springhawk” ogniem laserów i rakietami.

- Zdaje się, że zrobili coś lepszego niż trafienie w ścianę budynku senatu - wymamrotał Car'das, kiedy pokład znów zadygotał.

- Chyba są dokładnie tam, gdzie chcieli się znaleźć.

- Wspaniale - zgrzytnął zębami Quennto.

- Cieszę się, że chociaż oni trafili tam, gdzie chcieli.

Drżenie pokładu ustąpiło, kiedy atakujący zeszedli z optymalnego zasięgu strzału, więc Car'das skupił się na ekranach. Wskaźniki sugerowały, że atakujących było tylko trzech. Dwa myśliwce właśnie zataczały krąg do kolejnego nalotu; jeden większy statek

oczekiwał nieco dalej. W przeciwieństwie do myśliwców, duża jednostka wydawała się kierować poza strefę walki.

- Nadlatują - poinformował Quennto.

Car'das wyrzwał przez iluminator. „Springhawk” odwrócił się, aby stawić czoło atakującym. W oddali pojawiły się rozbłyski, gdy piloci myśliwców zwiększyli moc silników.

- Złapcie się czegoś! - ostrzegł, zaciskając znowu rękę na kanale kablowym. Maris zrobiła to samo. Myśliwce rozdzieliły się nadlatując i z dwóch stron ruszyły na swój cel, znów otwierając ostrzał.

Po czym oba eksplodowały.

- Hejże! - zawołał Quennto. - A to co...?

- Wybuchły - szepnęła Maris. - Jeden strzał, a one po prostu wybuchły.

- Nie zaczynaj na razie wiwatować - ostrzegł Car'das. „Springhawk” oddalał się od rosnącej chmury odłamków i nabierał prędkości.

- Został jeszcze ten duży.

Oszłamiające wirowanie gwiazd ustało, gdy zakończyli zwrot; teraz w dali widać było rozżarzony napęd obcego statku.

- Chyba nie będziemy mieć takiego szczęścia, żeby ten okazał się bezbronny.

- Chissowie nie zaatakowałyby nieuzbrojonego statku - wtrąciła Maris.

- Czemu nie? - burknął Quennto.

- Ja bym atakował. Te myśliwce zaatakowały pierwsze. To walka między uczciwymi przeciwnikami.

- Chyba że jeden byłby martwy - mruknął Car'das. Maris zadrżała, ale nie odezwała się.

Obcy statek musiał widzieć, jak się zbliżają. W czasie, gdy „Springhawk” wchodził w zasięg ognia, odwrócił się i wystrzelił wiązkę rakiet. Lasery Chissów błysnęły w odpowiedzi i rakiety wyparowały w pół drogi. Wróg odpowiedział, skręcając o ćwierć obrotu i wypuścił kolejną salwę. Ta również została zlikwidowana w bezpiecznej odległości. Po nich nadleciały dwie następne, obie zniszczone w drodze.

- Dlaczego nie skaczą w nadprzestrzeń? - zastanowiła się Maris.
- Chyba nie mogą - odparł Car'das, wskazując na jeden z ekranów taktycznych.
- Zdaje się, że ktoś im odstrzelił hipernapęd.
- Kiedy? - zapytał Quennto, marszcząc brwi.
- Nie pamiętam, żeby ktoś strzelał, zanim myśliwce zaatakowały.
- Ktoś tam już musiał być, żeby przekazać informację - przypomniał mu Car'das.
- Może to on miał szczęście.

Niezależnie od przyczyny, statek nie miał zamiaru się oddalić. „Springhawk” nieustannie zmniejszał dystans. Po chwili Car'das mógł już stwierdzić, że jego pancierz pokryty jest niewielkimi, jajowatymi bąblami, mniej więcej dwa na trzy metry.

- Quennto, co to takiego? - zapytał.
- Nie mam pojęcia - odparł Quennto, wyciągając szyję.
- Wyglądają jak małe kopułki obserwacyjne. Może to część systemu nawigacji?
- Albo iluminatory kabin? - podsunęła Maris nagle zdławionym głosem.
- Czy to może być liniowiec pasażerski?
- Co? Z czterema stanowiskami wyrzutni raketowych? - zdziwił się Quennto.
- Nie ma mowy.

Sternik Chissów ustawił „Springhawk” wzdłuż obcego statku, prawie bez wysiłku kompensując jego ślimacze próby odsunięcia się, i przywarł do jego pancierza. Rozległa się szybka seria stuków, w miarę jak magnetyczne chwytaki przywierały do ofiary, po czym Thrawn nacisnął klawisz na pulpicie.

- Ch 'tra - zawołał.
- Naprzód - przetłumaczył Car'das. - Zdaje się, że wchodzimy na pokład.

Komandor wstał z fotela i odwrócił się do swoich gości.

- Przepraszam - rzekł, przechodząc na sy bisti.
- Nie miałem zamiaru narażać was na niebezpieczeństwo. Ale okazja sama wpadła nam w ręce i musiałem z niej skorzystać.

- Nie szkodzi, komandorze - zapewnił go Car'das.

- Zdaje się, że nic takiego nam nie groziło.

- Tak wyszło - odparł Thrawn. Podeszedł do rzędu szafek pod ścianą, otworzył jedną z nich i wyjął opancerzony kombinezon przestrzenny.

- Wasze kwatery znajdują się zbyt blisko obszaru abordażu, więc proszę, żebyście pozostali tutaj, dla bezpieczeństwa.

- Ty też idziesz? - zagadnęła Maris.

- Dowodzę tymi żołnierzami - wyjaśnił Thrawn, wkładając wprawnie kombinezon. - Do moich obowiązków należy dzielić z nimi zagrożenie.

Maris spojrzała na Chissa.

- Uważaj na siebie - powiedziała, lekko zakłopotana. Thrawn uśmiechnął się lekko.

- Nie obawiaj się - rzekł. Zamknął ostatnie uszczelnienie, wyjął z szafki hełm i potężny karabin.

- Ten statek prawdopodobnie ma bardzo małą załogę, a wojownicy Chissów są najlepsi w okolicy. Wkrótce wracam.

Car'das zastanawiał się, dlaczego członkowie załogi nie dołączyli do Thrawna w grupie abordażowej, która hałaśliwie działała na korytarzach. Wkrótce jednak okazało się, że nikt nie siedział beczynnym, każdy był zajęty własnymi zadaniami.

Dopiero jednak w chwili, kiedy bijatyka dobiegała końca, Car'das ze strzępków

rozmów zdołał odgadnąć, o co chodziło. Używając czujników „Springhawk” załoga wspomagała członków grupy abordażowej w śledzeniu nieprzyjacielskich żołnierzy, zarówno tych, którzy się ukrywali, jak i tych, którzy próbowali zastawiać pułapki. Atakując obcy statek niczym pirat, komandor Thrawn wykorzystywał wszystkie możliwości.

Zabezpieczenie nieprzyjacielskiego statku zajęło Chissom mniej niż godzinę. Minęły jednak kolejne dwie godziny, zanim jeden z żołnierzy przybył na mostek z poleceniem, aby sprowadzić ludzi na pokład.

Car'das nie podróżował wiele, zanim zaciągnął się na statek z Quennto i Maris. Ostatnio jednak krążył głównie po mniej cywilizowanych obszarach Republiki, więc wchodząc do tunelu abordażowego był przekonany, że jest w stanie znieść każdy widok, jaki znajdzie na drugim jego końcu.

Mylił się.

Sam statek był już dość odrażający. Cuchnący, brudny, wszędzie nosił ślady wielokrotnych, pospiesznych i niestarannych napraw, a odór unoszący się w korytarzach aż kręcił w nosie. Co gorsza, na ścianach i sklepieniach widać było ślady strzałów z miotaczy niczym wspomnienie krótkiej, ale gwałtownej walki, która właśnie dobiegła końca.

Ale najgorsze były ciała.

Car'das widywał wcześniej zwłoki, ale wyłącznie w dostojnych i eleganckich pozach na uroczystych pogrzebach. Nigdy dotąd nie oglądał trupów bezładnie rozrzuconych tam, gdzie dosięgła ich broń Chissów, skręconych w groteskowych konwulsjach bolesnej ago-

nii. Skrzywił się, kiedy wojownik Chissów poprowadził ich pomiędzy stertami ciał; nie chciał na nie patrzeć, ale mimowolnie spoglądał w dół, żeby na któreś nie nadepnąć. Mógł tylko żywić desperacką nadzieję, że nie zwymiotuje, co by go kompletnie skompromitowało.

- Spokojnie, mały - usłyszał cichy głos Quennto, gdy mijali kolejne ciała.

- To tylko zwłoki. Nic ci nie zrobią.

- Wiem, wiem - burknął Car'das, kątem oka podejrzliwie spoglądając na Maris. Nawet ona, wrażliwa arystokratka, radziła sobie lepiej od niego.

Przed nimi otworzyły się drzwi i na korytarz wyszedł Thrawn. Wciąż miał na sobie kombinezon, ale hełm zwiślał mu na przywieszce przy lewym biodrze.

- Chodźcie - zawołał, kiwając na nich ręką.

- Coś wam pokażę. No, już prawie u celu. Car'das głęboko zaczerpnął tchu, skupił wzrok na płonących purpurą oczach Thrawna i jakoś zdołał przebrnąć resztę drogi.

- Co o tym myślicie? - zapytał Thrawn, kiedy dotarli do niego. Gestem wskazał korytarz.

- Myślę, że to jacyś biedacy - zauważyła Maris spokojnie, ale z nutą dezaprobaty.

- Spójrzcie, jak tu wszystko jest połatanie, żeby w ogóle chciało działać. To nie jest wojskowy okręt, a już z pewnością nie taki, który mógłby stanowić zagrożenie dla Chissów.

- Zgadzam się - skinął głową Thrawn i zwrócił na nią gorejące oczy.

- Mówisz, że to ubodzy wędrowcy, tak? Włóczędzy?

- Albo uchodźcy - odparła, a ton dezaprobaty w jej głosie jeszcze się pogłębił.

- A rakiety?

- Zdaje się, że pasażerom niewiele pomogły, prawda?

- Owszem, ale nie dlatego, że nie próbowali - odparł Thrawn i zwrócił się ku Quennto. - A ty, kapitanie? Co rozumiałeś z tego, co widzisz?

- Nie wiem - spokojnie odparł Cjuennto.

- I właściwie nic mnie to nie obchodzi. Oni strzelali pierwsi, prawda?

Thrawn ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami.

- Nie wiem - wyznał. - Jeden z posterunków, które tu rozstawiłem, przypadkiem znalazł się dość blisko, aby odstrzelić im hipernapęd. Car'das, a co ty o tym sądzisz?

Car'das powiódł wzrokiem po zniszczonych, pokrytych plamami ścianach. Nie uczył się zbyt pilnie, zanim uciekł w przestrzeń, ale wiedział tyle, że nauczyciel musi szukać odpowiedzi, dopóki jej nie uzyska.

Jaka jednak była ta odpowiedź? Maris miała rację: statek istotnie wyglądał tak, jakby miał się zaraz rozlecieć. Thrawn jednak też miał rację, wspominając o raketach. Czy uchodźcy mogli mieć taką broń?

I nagle doznał objawienia. Spojrzał na najbliższe ciało i szybko oszacował jego wzrost i zasięg kończyn. Przeniósł wzrok na ściany i na Thrawna.

- To nie oni dokonywali tych napraw, prawda?

- Ciepło, ciepło - pochwalił Thrawn, uśmiechając się blado.

- Nie, nie oni.

- Co masz na myśli? - zmarszczył brwi Quennto.

- Ci obcy są wysocy - wyjaśnił Car'das, wskazując na ścianę.

- Zobacz tu... i tu. Sposób nakładania uszczelnacza wyraźnie się zmienia. Ktokolwiek to zrobił, musiał wziąć drabinę lub rusztowanie repulsorowe, żeby dokończyć pracę.

- A zatem ten robotnik był znacznie niższy od członków załogi tego statku.

- Thrawn spojrzał znowu na Maris.

- Jak słusznie wywnioskowałaś, statek istotnie był wielokrotnie naprawiany, ale nie przez swoich właścicieli.

Usta Maris zacisnęły się w wąską linię, a wzrok stwardniał, kiedy spojrzała na martwe ciała.

- Handlarze niewolników.

- Istotnie - odparł Thrawn. - Wciąż jesteś na mnie zła, że ich zabiłem?

Maris oblała się rumieńcem.

- Przepraszam.

- Rozumiem cię. - Thrawn lekko uniósł brwi.

- Wy z Republiki również nie popieracie niewolnictwa, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie - pospiesznie zapewniła go Maris.

- Ciężkie prace wykonują za nas roboty - dodał Car'das.

- Co to są roboty?

- To mechaniczni robotnicy, którzy potrafią samodzielnie myśleć i działać - wyjaśnił Car'das.

- Sami też pewnie macie coś podobnego.

- Właśnie że nie mamy - wyjaśnił Thrawn, uważnie obserwując Car'das.

- Nie ma ich też żadna z obcych kultur, jakie poznaliśmy. Możesz mi pokazać, jak to wygląda?

Quennto chrząknął ostrzegawczo za plecami Maris.

- Nie zabraliśmy żadnego w tę podróż - odparł Car'das, ignorując mroczne spojrzenie kapitana. Quennto wielokrotnie ostrzegał go przed dyskutowaniem z Chissami na temat poziomu technologicznego Republiki. Car'das uznał jednak, że nic złego nie robi. A poza tym Thrawn z pewnością widział już zapisy z pokładu „Łowcy Okazji”, gdzie mógł sobie obejrzeć kilka typów robotów w działaniu.

- Szkoda - zmartwił się Thrawn.

- Ale... skoro w Republice nie istnieje niewolnictwo, skąd znacie to pojęcie?

Car'das skrzywił się lekko.

- Poznaliśmy parę kultur, gdzie ono istnieje - przyznał niechętnie.

- A wy na to pozwalacie?

- Republika nie ma wielkiego wpływu na systemy, które nie są jej członkami - niecierpliwie wtrącił

Quennto.

- Słuchajcie, skończyliśmy już tutaj?

- Nie całkiem - odparł Thrawn, wskazując na drzwi, z których wyszedł.

- Chodźcie popatrzeć.

Kolejne trupy? Postanowiwszy nie zemdleć, nawet gdyby całe pomieszczenie po sufit było wypełnione zwłokami, Car'das ruszył za komandorem.

I stanął jak wryty, otwierając usta ze zdumienia. Sala była nadspodziewanie wielka, a jej wysokość wskazywała, że przechodzi co najmniej przez dwa pokłady statku.

Tyle że nie było tu żadnych zwłok. Za to pełno skarbów.

Skarbów różnego rodzaju. Były tu stosy sztabek drogich metali o różnych kolorach i fakturze, starannie poukładanych w siatkach przyspieszeniowych. Stały rzędy pojemników, niektóre wypełnione monetami lub wielobarwnymi klejnotami, inne pełne prostokątnych paczuszek, które mogły zawierać żywność, przyprawy lub podzespoły. Kilka ciężkich szaf pod ścianą kryło zapewne przedmioty zbyt kuszące, aby pozostawiać je w zasięgu ręki niewolników, a może nawet i samej załogi.

A do tego dzieła sztuki: płaskorzeźby, rzeźby, obrazy w najróżniejszych stylach, których Car'das nie umiał nawet zidentyfikować. Większość zrzucano na jeden stos, ale dostrzegł też kilka sztuk walających się po pomieszczeniu, jakby ci, którzy je przynieśli, nie wiedzieli, że to coś cennego, albo nie obchodziło ich to.

Za plecami usłyszał głośnie westchnienie Quennto i Maris na widok tego skarbcza.

- Co to takiego, do wszystkich...? - szepnęła Maris.

- Statek skarbiec, wiozący łupy z wielu światów - wyjaśnił Thrawn, wchodząc za nimi.

- Właściciele byli nie tylko handlarzami niewolników, ale także piratami i rabusiami.

Car'das z wysiłkiem oderwał oczy od skarbu i skupił wzrok na Thrawnie.

- Mówisz tak, jakbyś ich znał.

- Tylko z reputacji - odparł Thrawn, a jego łagodny głos kontrastował z twardym wyrazem twarzy, kiedy obejmował wzrokiem pomieszczenie.

- Przynajmniej do teraz.

- Polowałeś na nich?

Na czole Thrawna pojawiła się lekka zmarszczka.

- Oczywiście, że nie - odparł. - Vagaari nie atakowali dotąd Dynastii Chissów. Dlatego nie mamy powodów, żeby ich ścigać.

- Ale wiesz, kim są - mruknął Quennto.

- Jak powiedziałem, znam ich z reputacji - przypomniał Thrawn.

- Kręcili się w tym rejonie przestrzeni co najmniej przez ostatnie dziesięć lat, napadając przede wszystkim na słabe i prymitywne technologicznie rasy.

- A ci niewolnicy? - zapytała Maris.

- Wiesz coś na ich temat? Thrawn pokręcił głową.

- Nie znaleźliśmy nikogo na pokładzie tego statku. Sądząc z tego i z zawartości skarbca, właśnie wracali do bazy.

- A najpierw wyładowali niewolników, żeby się nie dowiedzieli, gdzie jest ta baza? - podsunął Car'das.

- Właśnie - potwierdził Thrawn.

- Liczebność załogi jest mniejsza, niż można by się było spodziewać po statku tej wielkości. Wskazuje to, że nie spodziewali się problemów i zamierzali wracać prosto do domu.

- Właśnie, wtedy na mostku wspomniałeś, że mają za małą załogę - powiedział Car'das.

- Skąd wiedziałeś?

- Wydedukowałem to z faktu, że ich obrona była spóźniona i w większości nieskuteczna - odparł Thrawn. - Ograniczyli się do wypuszczenia rakiet, chociaż wszystkie spotkał ten sam los. Widzieliście zresztą sami. W pełni obsadzony statek, ze strzelcami na stanowiskach, zmieniałby sposób ostrzału. Widocznie spodziewali się, że ich eskorta załatwi za nich całą walkę, jeśli będzie trzeba.

- No to się trochę pomylili - mruknął Quennto.

- Miałeś nad nimi przewagę od samego początku.

- Trudno to nazwać przewagą - sprzeciwił się Thrawn.

- Po prostu zauważyłem, że w obu atakach salwa z laserów poprzedzała rakietami w sposób wyraźny i przewidywalny. Kiedy przypuścili trzeci atak, miałem więc szansę wystrzelić w tej samej chwili, gdy otworzyły się drzwiczki wyrzutni. Zdetonowałem ich rakietami, zanim wyleciały. Myśliwce tej

wielkości nigdy nie miały na tyle mocnego pancerza, by wytrzymał tak silną wewnętrzną eksplozję.

- Widzisz, Quennto? - ostro zapytał Car'das.

- Nic w tym niezwykłego.

Usta Quennto drgnęły lekko.

- Tak - rzekł. - Masz rację.

- I co teraz? - zapytała Maris.

- Zabiorę statek do Crustai na dalsze badania.

- Thrawn obrzucił salę ostatnim spojrzeniem, po czym ruszył w kierunku wyjścia.

- Mam pytanie - wtrącił Quennto.

- Powiedziałeś Car'dasowi, że dasz nam ekstra dodatek, jako zapłatę za uczenie cię basica, tak?

- Niedokładnie tak się wyraziłem - odparł Thrawn.

- Ale zasadniczo o to chodziło.

- I im dłużej zostaniemy, tym większy będzie ten... dodatek, tak?

Thrawn uśmiechnął się blado.

- To możliwe. Ale myślałem, że się spieszyście do domu.

- Nie, nie, wcale nam się nie spieszy - zapewnił go Quennto, łakomym wzrokiem pożerając skarbiec. Car'das zauważył, że jego poprzednia niecierpliwość znikła bez śladu. - Wcale a wcale.

R O Z D Z I A Ł 5

- Szybciej, padawanko - kwaśno rzucił Cbaoth, odwracając się, by rzucić jej srogie spojrzenie.

- Strasznie się wleciesz.

- Tak, mistrzu Cbaoth - odparła Lorana, przyspieszając kroku. Liczyła na to, że zdoła przepchnąć się przez poranne tłumy

wypełniające targ, nie potrącając nikogo. Do tej pory wędrującym po targowisku Brolfom udawało się schodzić Cbaothowi z drogi, który maszerował przez sam środek ciżby; cóż, mistrza trudno byłoby przegapić. Niestety, padawanka nie szczyciła się równie imponującą prezencją i już parę razy omal kogoś nie przewróciła.

Najgorsze było to, że wcale nie musieli się aż tak spieszyć - wciąż mieli mnóstwo czasu do rozpoczęcia negocjacji. Tyle że Cbaoth po prostu był wściekły: wściekły na upartych negocjatorów - Brolfów, wściekły na równie upartych przedstawicieli Sojuszu Korporacyjnego, a jeszcze bardziej na beztroških prawników, którzy przygotowali kontrakt dotyczący praw do minerałów, pozostawiając całe mnóstwo spraw do swobodnej interpretacji.

A im bardziej wściekły był Cbaoth, tym szybciej szedł.

Na szczęście Moc była z Loraną, więc dotarła do końca tej części rynku, nie zabijając nikogo, po czym skręciła w jedną z szerokich promenad, które dzieliły targowisko na części. Jeszcze jeden segment i znajdą się na szerokich schodach wiodących do zachodniej bramy centrum administracyjnego miasta, gdzie wkrótce na nowo rozpoczną się negocjacje.

Na nieszczęście Cbaoth zareagował na otwartą przestrzeń dalszym przyspieszeniem kroku. Lorana skrzywiła się i zwiększyła tempo, starając się jednak nie biec; wiedziała, że to by spowodowało natychmiastową naganę za to, że brak jej dystynkcji i że to nie przystoi Jedi.

I nagle, bez ostrzeżenia, Cbaoth stanął jak wryty.

- Co jest? - zapytała Lorana, sięgając ku niemu Mocą. Przystanęła obok. Nie wyczuwała zagrożenia ani niebezpieczeństwa, a jedynie nagły wzrost poziomu irytacji

Cbaotha.

- Co się dzieje, mistrzu Cbaoth?

- Jakież to typowe - warknął, a jego włosy i broda zaszeleściły na materiale szaty, kiedy odwracał

głowę.

- Nerwowi i nieufni, jeden w drugiego. Chodź, padawanko.

Ruszył w kierunku prawej części rynku. Lorana szybko podążyła za nim, rozglądając się, by sprawdzić, o co chodzi mistrzowi.

I wtedy ujrzała dwóch znajomo wyglądających mężczyzn. Jedi i jego padawan przemykali w ich stronę pośród kłębiących się tłumów niczym promienie światła przez wir martwych liści.

Zmarszczyła brwi, bo zobaczyła nagle ten obraz oczyma duszy. Wir martwych liści.

Kiedy, do licha, przyzwyczała się tak myśleć o wszystkich, którzy nie są Jedi? Z pewnością nie tak nauczono ją odnosić się do ludzi, którym miała służyć. Czy taką postawę przyswoiła sobie wśród ludzi, z którymi podróżowała, zanim stała się padawanką Cbaotha? Z pewnością wielu z nich uważało się za gorszych od tych, którzy noszą miecz świetlny.

A może przejęła to od samego Cbaotha? Czy to on tak myślał o innych istotach?

Cbaoth zatrzymał się blisko skraju placu i czekał, a kiedy dwóch Jedi wreszcie wynurzyło się z tłumu kupujących i skierowało ku nim, Lorana wreszcie dopasowała twarz do nazwisk.

- Mistrzu Cbaoth - odezwał się Obi-Wan Kenobi, skłaniając głowę na powitanie. Jego padawan Anakin Skywalker poszedł w ślady mistrza.

- Mistrzu Kenobi - powitał ich Cbaoth. Maniery miał nienaganne, lecz w głosie cień skrępowania. - Co za niespodzianka. Przyjechaliście tu aż z Coruscant, aby kupić owoce prisht?

- Powiadają, że metody hodowlane Barloka pozwalają produkować najlepsze okazy - odparł spokojnie Obi-Wan.

- A ty?

- Wiesz doskonale, po co tu jestem - syknął mistrz Cbaoth.

- Powiedz, jak się miewa mistrz Windu? Usta Kenobiego drgnęły lekko.

- Doskonale, dziękuję.

- Miło to słyszeć. - Cbaoth przeniósł wzrok na nastolatka stojącego obok Kenobiego i kąciki jego ust uniosły się wreszcie w lekkim uśmiechu.

- Młody Skywalker, prawda? - zapytał znacznie bardziej przyjaznym tonem.

- Tak, mistrzu Cbaoth - odparł Anakin i Lorana z trudem powstrzymał uśmiech, słysząc pełną żaru

powagę w głosie chłopca.

- To zaszczyt znów cię widzieć.

- A dla mnie zaszczytem jest ponowne spotkanie tak obiecującego padawana - odparł Cbaoth.

- Powiedz, jak ci idzie szkolenie? Anakin spojrzał na Kenobiego.

- Zawsze jest czego się uczyć, oczywiście - rzekł. - Mam nadzieję, że moje postępy są zadowalające.

- Jego postępy są bardziej niż zadowalające - wtrącił Kenobi.

- W tym tempie zostanie pełnym Jedi jeszcze przed dwudziestką.

Lorana skrzywiła się. Sama miała dwadzieścia dwa lata, a Cbaoth nawet nie wspominał o przedstawieniu jej do tytułu rycerza Jedi w najbliższym czasie. Czyżby Anakin był o tyle lepszy w Mocy od niej?

- A przecież rozpoczął szkolenie o wiele później, niż każe zwyczaj - zauważył Cbaoth, uśmiechając się do chłopca niemal z sympatią.

- To sprawia, że jego rozwój jest tym bardziej imponujący.

- Istotnie - zgodził się Kenobi. - Patrząc wstecz, widzę, że rada podjęła dobrą decyzję, powierzając jego szkolenie właśnie mnie.

Słowo „mnie” zaakcentował odrobinę mocniej i przez chwilę wydawało się, że oblicze Cbaotha przesłoni czarna chmura. Zaraz jednak ciemność znikła i mistrz znów się uśmiechnął.

- To bardzo przyjemne spotkanie - ocenił.

- Ale negocjatorzy już się zbierają, a ja mam zadanie do wypełnienia. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, jeśli zajmę się legalnymi interesami rady.

- Z całą pewnością - odrzekł Kenobi, zaciskając szczęki na sugestię, że on i jego padawan mogą robić coś nielegalnego.

- Ale zapominam o gościnności - ciągnął Cbaoth.

- To wielkie i bogate miasto, więc ty oraz młody Skywalker z pewnością zechcecie zakosztować jego rozrywek, skoro już tu jesteście.

- Wskazał na Loraną.

- Moja padawanka Lorana Jinzler będzie zaszczycona, mogąc towarzyszyć wam w zwiedzaniu.

- Dziękuję, ale to nie będzie konieczne - odparł Kenobi, mierząc wzrokiem Loraną. - Poradzimy sobie.

- Nalegam - odparł Cbauth, a w jego głosie bardzo wyraźnie zabrzmiał rozkazujący ton.

- Nie chciałbym, abyście przeszkadzali mi w rozmowach albo zniweczyli wynik negocjacji.

- Spojrzał na Anakina.

- Mam nadzieję, że młody Skywalker również chętnie powita towarzystwo drugiego padawana.

Anakin znów spojrzał na nauczyciela.

- No...

- A ja uznałbym to za osobistą przysługę - dodał Cbauth, zerkając znowu na Kenobiego.

- Lorana naprawdę nie ma nic do roboty w tych negocjacjach, więc nie ma powodu, żebym ją tu zatrzymywał. Jestem pewien, że wolałaby pochodzić po mieście, a ja czułbym się pewniejszy, gdyby towarzyszył jej ktoś znajomy.

Kenobi zacisnął usta. Nie był szczególnie uradowany tą perspektywą

- Lorana zauważyła to nawet bez użycia Mocy. Został jednak wmanewrowany i wiedział o tym.

- Jak sobie życzysz, mistrzu Cbauth - odparł.

- Będziemy zaszczyceni towarzystwem twojej padawanki.

- Zatrzymajcie ją, jak długo macie ochotę - zezwolił Cbauth.

- A teraz muszę już iść. Do widzenia.

Odwrócił się i odszedł.

Lorana popatrzyła za nim z żalem. Siedzenie za plecami mistrza Cbautha w trakcie negocjacji bardzo jej pasowało, a on do tej pory też wydawał się zadowolony z jej obecności. Czy zrobiła coś, co mu się nie spodobało?

Zresztą nieważne. Dostała nowe zadanie, nawet jeśli nie do końca zostało wyrażone słowami. Odetchnęła głęboko i obejrzała się.

I napotkała wyczekujący wzrok Obi-Wana Kenobiego.

- No cóż... - rzekła i skrzywiła się. Jak można tak banalnie rozpoczynać rozmowę! Padawanka Jorusa Cbaotha powinna okazać nieco więcej obycia i elokwencji.

- Jestem w mieście dopiero jeden dzień, ale w porcie kosmicznym wzięłam przewodnik dla gości.

- My też - odparł Kenobi, lekko unosząc brwi. Widać było, że nie zamierza ułatwiać jej życia.

- Mistrzu Kenobi...

- Wiesz może, gdzie podają dobre tarsh maxery? - zapytał Anakin z nadzieją.

- Jestem głodny.

Kenobi uśmiechnął się do swojego padawana, a kiedy znów spojrział na Loraną, wyczuła, że pierwsze lody zostały przełamane.

- Mnie ten pomysł też się podoba - zgodził się. - Chodźcie, zapolujemy na jakąś kolację.

Siedząc na balkonie pokoju hotelowego, Dorian obserwował całą trójkę kierującą się w stronę nieco przyzwoitszych dzielnic restauracyjnych miasta. Skrzywił się, śledząc ich niespieszną wędrowkę przez makrolornetkę. Rada Jedi wykrciła mu niezły dowcip, wysyłając Obi-Wana Kenobiego i jego padawana, by mieli Cbaotha na oku. Plan Sidiousa tego nie przewidywał.

Zdaje się jednak, że ta dwójka weszła w rolę ochroniarzy niemal zawodowo. Doskonale pamiętał wściekłość Sidiousa po incydencie na Naboo i niespodziewanej klęsce sojuszników z Federacji Handlowej. Ich armia powinna była utrzymywać planetę przez miesiące lub lata, wzniecając zamęt i paraliżując jego działalność w senacie. Sidious i Dorian mogliby wtedy wykorzystać zamieszanie i osiągnąć znakomite rezultaty.

Wszystko to jednak już stracone, dzięki Skywalkerowi i jego idiotycznemu szczęściu, dzięki któremu zniszczył statek kontrolujący roboty Federacji Handlowej. Śmierć Dartha Maula z rąk Kenobiego i Qui-Gona Jinnę załamała plany królestwa terroru, które z pewnością podzieliłoby Jedi, łamiąc ich zwarte szeregi.

Teraz z kolei pojawili się na Barloku i należało się spodziewać, że spróbują storpedować plan Sidiousa wyeliminowania Jorasa Cbaotha.

Zacisnął wargi. Nie tym razem. Nie, dopóki Kinman Dorian ma tu cokolwiek do powiedzenia.

W kieszeni zapiszczał jego specjalny komunikator. Nie spuszczając wzroku z Kenobiego i jego towarzyszy, wyjął przyrząd i włączył.

- Słucham?

- Obróńca? - rozległ się chrapliwy głos Brolfa.
- Tak, to ja, Patrioto - odparł Doriana.
- Wróciłem, jak obiecałem, aby pomóc wam w potrzebie.
- Spóźniłeś się - burknął tamten.
- Negocjacje już się zaczęły.
- Nic jeszcze nie zdecydowano - zaproponował Doriana.
- Wciąż jeszcze masz czas, by przesłać wiadomość, że lud Brolfa nie da się oszukać. Czy wszystko przygotowano zgodnie z moimi instrukcjami?
- Prawie - odparł Patriota.
- Ostatnie elementy powinny być w drodze. Pytanie, czy i ty przywiozłeś wkład, który obiecałeś.
- Mam go przy sobie - zapewnił Doriana.
- Więc przynieś go - rzekł Patriota.
- Trzecia przecznica na północ od ulic Chessile i Scriv. Dwie godziny.
- Będę.

Rozległ się brzęczyk i połączenie przerwano. Doriana odłożył komunikator i spojrzał na chronometr. Doskonale. Miejsce znajdowało się w odległości niecałej godziny piechotą, a to da mu czas, aby przejść się spokojnie i dokładnie rozejrzeć, zanim dotrze tam.

Najpierw jednak musi sprawdzić, co można zrobić, aby utrzymać Kenobiego z dala od centrum wydarzeń - tam, gdzie jego miejsce.

Na szczęście to nie był wielki problem. Niezależnie od celu, jaki przyświecał mistrzowi Jedi, nie ma szans, aby w tej chwili wykonał jakiś poważniejszy ruch, nie pytając wprawdzie o zdanie rady Jedi. Wystarczy trochę pogrzebać w miejskim komputerowym systemie dostępu do HoloNetu i nic nie przyjdzie ani nie wyjdzie z Barloka przez kolejny dzień lub dwa. Mnóstwo czasu, aby Doriana i jego sojusznicy Brolfi dokończyli dzieło. Podszedł do biurka, włączył komputer i zabrał się do pracy.

Kantyna, którą wynaleźli, nie wyglądała Obi-Wanowi na luksusowy lokal. Podobnie jednak jak w restauracji Dex Diner na Coruscant pozory mogły mylić, zwłaszcza jeśli chodzi o jedzenie. Smakowity aromat pieczonego tarsha wypełniał powietrze, maxery były w rozdziale menu „Szef kuchni poleca”, a przewodnik Lorany dawał knajpce trzy gwiazdki. W sumie wydawało się, że nieźle trafili.

Robot WA-2 przydreptał do nich, jak tylko znaleźli sobie miejsce przy ulicy i usiedli.

- Witamy u Panky'ego - przemówił, a jego elektroniczny głos wyrażał jednocześnie uprzejmość i irytację z powodu przepracowania.

- Co państwu podać?

- Poproszę maxer z tarsha i sok bribb - ochoczo zawołał Anakin.

Obi-Wan powstrzymał uśmiech. Anakin odkrył sok bribb w czasie swojej pierwszej wyprawy padawana i od tego czasu zamawiał go za każdym razem, kiedy tylko miał okazję, niezależnie od tego, czy pasował do reszty posiłku, czy nie.

- Dla mnie taki sam maxer, ale wypiję koreliańskie noale - powiedział robotowi.

- A ja wezmę sok bribb, ale z sałatką z owoców prish - odezwała się Lorana. Uśmiechnęła się nieśmiało do Obi-Wana.

- W końcu Barlok naprawdę hoduje najlepsze okazy.

- Tak słyszałem - przyznał Obi-Wan, obserwując ją. Była niewysoka, o ciemnych włosach i zdumiewająco jasnych, szarych oczach. Inteligentną twarz zdobił miły uśmiech i ten szczególny wyraz podwyższonej świadomości, który pochodził z kontaktu z Mocą. Wszelkie pozory świadczyły o tym, że była na najlepszej drodze, aby stać się typową Jedi.

A jednak było w niej coś, co wydawało mu się niezwykle, jakiś dysonans. Dystygowana postawa i pewność siebie Lorany wydawały się nieco wymuszone, jakby maskowała nimi najgłębsze cechy swojej osobowości. Jej uśmiech również wydawał się odrobinę niepewny, jakby się obawiała, że ją wpakuje w kłopoty.

Tak, na pozór wydawało się, że wszystko jest w najlepszym porządku. Ale pod spodem widać było, że młodą padawanę czeka jeszcze mnóstwo pracy nad sobą.

- Chyba nie poznałem dotąd nikogo szkolonego przez mistrza Cbaotha - zauważył, kiedy robot popędził w swoją stronę. - Jakim jest nauczycielem?

Kąciaki ust Lorany zacisnęły się ledwie dostrzegalnie.

- To bardzo cenne doświadczenie - rzekła dyplomatycznie.

- Mistrz Cbaoth ma głębię i siłę w Mocy. Mogę mieć jedynie nadzieję, że pewnego dnia dane mi będzie zbliżyć się do jego klasy.

- To dobrze - skinął głową Obi-Wan, wracając myślą do swojej ostatniej rozmowy z mistrzem

Windu. Ona może mieć rację, uznał, ale możliwe też, że Cbauth wcale nie jest tak silny Mocą, jak sądziła. Może nawet nie tak silny, jak uważa sam Cbauth.

Jednak dyskusja z padawanem na temat jego mistrza uważana była za coś w bardzo złym tonie, zwłaszcza w obecności drugiego, młodszego padawana.

- Jestem pewien, że sobie poradzisz - rzekł Obi-Wan.

- Z moich doświadczeń wynika, że Jedi może osiągnąć taką siłę i głębię w Moccy, jakiej sam pragnie.

- Tyle że w ramach swoich ograniczeń - smutno odparła Lorana.

- Nie wiem, gdzie ta granica leży we mnie.

- Nikt nie wie, dopóki jej nie dotknie i nie sprawdzi - powiedział Obi-Wan.

- Osobiście uważam, że takie granice nie istnieją.

Pojawił się kolejny robot, ostrożnie balansując na tacy ich drinkami. Obi-Wan odchylił się w tył, gotów sięgnąć Mocą, aby uratować szkło, gdyby to się okazało konieczne, ale robot postawił je, nie roniąc ani kropli i biegiem wrócił do swoich zadań. Obi-Wan podniósł drinka do ust i powoli rozejrzał się po sali.

Wiedział doskonale, że małe, bezpretensjonalne lokale, takie jak ten, często są omijane przez przypadkowych gości poszukujących zewnętrznego blichtru. I rzeczywiście, większość gości stanowiła tu ludność lokalna: twardoskórzy Brolfowie w różnych odcieniach żółci i zieleni, a także rzadko spotykani, subtelni Karfsowie z rozległych puszczy tsvollt, które otaczały miasto z dwóch stron.

Wśród gości znajdowali się jednak przedstawiciele również innych ras, a nawet troje ludzi. Może jednak mapa w przewodniku

miała wpływ na ruch gości. Obi-Wan popatrzył na autentyczny drewniany bar w głębi sali, gdzie chudy, żółtoskóry Brolf podawał drinki.

Zmarszczył brwi.

- Lorano... spójrz, ten mężczyzna w czarnej kurtce i szarej koszuli, rozmawiający z barmanem... Widziałas go już kiedyś?

Zerknęła we wskazanym kierunku.

- Tak, był wczoraj w grupie oczekującej przed salą negocjacji, kiedy skończyliśmy rozmowy. Nie znam jego nazwiska.

- A ty go znasz, mistrzu? - zapytał Anakin.
- Jeśli się nie mylę, to Jerv Riske - odparł Obi-Wan.
- Dawny łowca nagród, obecnie główny egzekutor biura samego magistrata Sojuszu Korporacyjnego.
- A co robi taki egzekutor? - zainteresował się Anakin.
- Właściwie wszystko, co mu każe Passel Argente - odparł Obi-Wan.
- To ochroniarz, detektyw, a prawdopodobnie i dodatkowe wsparcie w przypadku ścigania opornych dłużników. Zastanawiam się, którą z tych ról odgrywa tutaj.
- Prawdopodobnie ochroniarza - oceniła Lorana.
- Magistrat Argente prowadzi grupę negocjacyjną Sojuszu.

Obi-Wan poczuł nieprzyjemny dreszcz na plecach. Szef potężnej organizacji obejmującej całą galaktykę, jaką był Sojusz Korporacyjny, nie powinien tracić czasu na osobiste załatwianie takich drobnych spraw kontraktowych jak ta.

Chyba że spór na Barloku nie był wcale tak drobny, jak się wszystkim zdawało.

Spojrzał znów na Riskego. Mężczyzna wciąż rozmawiał z barmanem; pochylali się ku sobie ponad kontuarem, głowa przy głowie.

- Anakinie, widzisz tę miskę orzechów na barze obok egzekutora Riskego? - zapytał, odstawiając drinka.

- Przynieś mi garść.

- Jasne - odparł Anakin. Zsunął się z miejsca i ruszył ku barowi pomiędzy rzędami stolików.

- Po co to robisz? - zapytała Lorana.

- Szukam pretekstu, żeby się tam znaleźć - wyjaśnił Obi-Wan, obserwując Anakina i odliczając czas. Jeszcze jeden stolik... teraz.

- Zaczekaj! - zawołał, wstał i ruszył w ślad za padawanem. Skupił uwagę na rozmowie przy barze i uruchomił zmysły Jedi.

Znalazł się w odpowiedniej odległości w tej samej chwili, kiedy Anakin dotarł do baru, wcisnął się pomiędzy Aqualisha a Rodianina i sam zaczął się częstować orzechami.

- ...skupiony w dzielnicy Patameene - mówił barman zniżonym tonem.

- Ale to tylko plotka, wiesz.

- Dzięki - rzekł Riske. Jego dłoń musnęła rękę barmana i Obi-Wan pochwycił wzrokiem błysk metalu. Barman wyprostował się, a zamkniętą pięść niedbale opuścił poniżej blatu. Oczy Brofpa zwróciły się na Obi-Wana; jego zrogowaciała skóra zafalowała lekko, gdy zmarszczył czoło. Riske pochwycił zmianę wyrazu twarzy barmana i odwrócił się, niedbale opuszczając dłoń w okolice talii i wsuwając ją pod kurtkę.

- Wystarczy, Anakinie - rzekł Obi-Wan lekkim, ale stanowczym tonem. Podeszedł do chłopca od tyłu i ujął go za ramię, starannie unikając wzroku Riskiego i barmana.

- Jeszcze jednego? - zapytał Anakin, odwracając się i podetknął mu pod nos dużego tashru.

- Chętnie, ale po lunchu - stanowczo odparł Obi-Wan. Kątem oka zauważył, że dłoń Riskiego opadła i wyczuł, że atmosfera podejrzliwości pomiędzy barmanem a egzekutorem rozplywa się powoli.

- Chyba nie chcemy stracić apetytu.

Chłopak westchnął teatralnie.

- Niech będzie - rzekł. Zacisnął orzech w dłoni i zaczął się odwracać...

...i trącił siedzącego obok Aqualisha w plecy w tym samym momencie, kiedy potężny obcy podnosił do ust drinka. Fontanna jaskrawoczerwonej cieczy chlusnęła ponad krawędzią kubka i pociekła po wielkiej łapie.

Obi-Wan skrzywił się. Cóż, zdarzył się drobny wypadek, szkody też niewielkie. Ale umysł i temperament typowego Aqualisha nie chwyciły takich subtelności.

A ten był zdecydowanie bardzo typowym przedstawicielem swego gatunku.

- Ty... nieznośny ludzki bachorze - warknął w ojczystym języku, obracając się tak szybko, że kolejna porcja napoju wyskoczyła z kubka.

- Co ty sobie myślisz?

- To był wypadek - szybko powiedział Obi-Wan, przyciągając Anakina tak, by znalazł się tuż przed nim.

- Przepraszam za jego niezręczność.

- Nie jest niemowlakiem w liściu, żebyś musiał po nim sprzątać - prychnął Aqualish, gniewnie mierząc Obi-Wana ogromnymi ślepiami. Spojrzał znów na Anakina i jego ręka powędrowała do miotacza przy pasie.

- Niech się nauczy manier i opanowania.

Obi-Wan zacisnął palce na ramieniu Anakina, czując nagły wybuch gniewu chłopca. Samodyscyplina była zawsze jednym z największych problemów młodego Skywalkera, Obi-Wan musiał przypominać mu o niej co najmniej dwa razy w tygodniu. Wykład na ten sam temat od gburowatego obcego był zapewne ostatnią rzeczą, jakiej chłopiec teraz potrzebował.

- Spokojnie, Anakinie - rzekł Obi-Wan, czując, że wszystkie oczy w kantine obserwują tę konfrontację. Małe przedstawienie z orzechami rozwiało pierwsze podejrzenia Riskiego, ale wszystko będzie stracone, jeśli Obi-Wan zostanie zmuszony do ujawnienia, że jest Jedi.

- Pozwól, przyjacielu - rzekł uspokajająco do Aqualisha.

- Z pewnością znasz ciekawsze sposoby dawania upustu swojej energii. Chodź, postawię ci drugiego drinka, a potem sobie pójdziemy.

Aqualish przez chwilę mierzył go wzrokiem, teraz już całkiem otwarcie opierając dłoń na kolbie miotacza. Obi-Wan stał nieruchomo, powoli przygotowując umysł do walki. Dłoń gotowa była jednym gestem wśliznąć się pod tunikę i chwycić miecz świetlny, kiedy i jeśli okaże się to potrzebne.

Po chwili jednak gniew Aqualisha złagodniał.

- Poproszę likstro - rzekł, zdejmując dłoń z miotacza i wskazując wypełnioną do połowy szklankę.

- Duży.

- Oczywiście - odparł Obi-Wan. Szklanka tamtego z całą pewnością nie mieściła dużej porcji, ale nie warto się spierać o drobiazgi. Wciąż spięty w oczekiwaniu na atak, mistrz Jedi obejrzał się i pochwycił wzrok barmana.

- Duży likstri dla tego pana - rzekł, wskazując na Aqualisha. Barman skinął głową i zajął się kranikiem. W chwilę potem

drink był już w rękach obcego, zapłata w dłoni barmana, a Obi-Wan i Anakin wracali do stolika.

- To, co on pił, to nie był duży drink - zauważył półgłosem Anakin, kiedy manewrowali pomiędzy stolikami.

Obi-Wan skinął głową.

- Wiem.

- To znaczy, że cię naciągnął - zauważył chłopak oskarżycielskim tonem.

- Prawdopodobnie od samego początku na to liczył.

- Możliwe - zgodził się Obi-Wan.

- I co z tego?

- Ale my jesteśmy Jedi - zaproponował Anakin.

- Nie powinniśmy pozwalać tak się terroryzować.

- Musisz jeszcze się nauczyć widzieć wszystko z szerszej perspektywy, mój młody padawanie - przypomniał mu Obi-Wan, rozglądając się wokoło.

- Przecież chcieliśmy tu tylko...

Urwał. Riske znikł. Lorana też.

R O Z D Z I A Ł 6

Widocznie taki już mój los, myślała Lorana, przeciskając się przez tłumy na chodniku, żeby wiecznie za kimś gonić. Najpierw to był Cbauth, teraz równie dzielnie próbowała dotrzymać kroku Riskemu.

Musiała jednak przyznać, że było to interesujące porównanie. Technika Cbautha polegała na onieśmielaniu przechodniów i zmuszaniu, by ustąpili mu z drogi, Riske uzyskiwał ten sam wynik, korzystając z każdej wolnej szczeliny lub możliwości prześlizgnięcia się dalej; z rzadka tylko niepokojąc kogokolwiek, mknął przez tłum jak nocne zwierzę przez ciemny las.

Mistrz Kenobi mówił, że ten człowiek był niegdyś łowcą nagród. Pewnie bardzo dobrym.

Nie pomyślała niestety wcześniej, aby spytać Kenobiego o częstotliwość jego komunikatora, zanim się rozdzielili. Cbauth mógł jąznać, ale wiedziała, że nie powinna mu przeszkadzać w negocjacjach z przyczyn mniej ważnych niż totalna katastrofa.

Z pewnością jednak świątynia Jedi na Coruscant miała potrzebne jej dane. Wyminęła człapiącego wolno Ithorianina, wyjęła komunikator i wywołała miejskie centrum komunikacyjne oraz przekaźnik HoloNetu.

- Najmocniej przepraszamy, obywatelu - rozległ się z komunikatora mechaniczny głos. - Połączenia poza planetę są niemożliwe do zrealizowania. Proszę spróbować jeszcze raz nieco później.

Trudno, nic z tego. Lorana wyłączyła aparacik i wsunęła z powrotem za pas, ustępując z drogi parze wielkich Brofów. Wyminęli ją, a ona ruszyła znowu przed siebie, wyciągając szyję.

Po to, by stwierdzić, że Riske znikł.

Pobiegła szybciej, rozglądając się po ulicy i sięgając w Moc. Nigdzie ani śladu egzekutora.

Spokój, padawanko - przypomniało jej się nieustannie powtarzane upomnienie Cbautha. Riske nie mógł odejść daleko przez tę krótką chwilę, na którą straciła go z oczu. Musiał wejść do jednego z małych sklepików ciągnących się wzdłuż ulicy, chyba

że skręcił w którąś z wąskich alejek, odchodzących od ulicy w lewo i prawo.

Przez chwilę rozważała możliwości. Mały sklepik uniemożliwiał swobodę ruchów. Człowiek pokroju Riskiego z pewnością skręciłby w jedną z przecznic.

Dotarła do pierwszej i rozejrzała się. Nikogo w zasięgu wzroku. Kiedy po raz ostatni widziała Riskiego, szedł lewą stroną, więc ten wybór wydawał się bardziej oczywisty. On jednak mógł nie być

człowiekiem, który korzystałby z oczywistych rozwiązań. Wyminęła kolejną parę pieszych i skręciła w alejkę na prawo.

Uliczka była dość wąska, mniej więcej na półtora ścigacza, z jednej strony ograniczona rządkiem schludnych pojemników na śmieci. W połowie drogi przecinała ją kolejna alejka, dzieląc obszar na ćwiartki. Jeśli Riske poszedł tędy, to zanim dotrze do środka, będzie miała do wyboru jeszcze dwie drogi. Wsunęła dłoń pod tunikę, chwyciła rękojeść miecza świetlnego i ruszyła przed siebie.

Dotarła do skrzyżowania bez przeszkód i rozejrzała się wokół. Riskego nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Przez chwilę stała bez ruchu, rozglądając się po przecznicy. W ustach czuła gorycz klęski. Nie ma teraz wyjścia - musi wrócić po własnych śladach i mieć nadzieję, że Kenobi nie będzie wystarczająco wściekły, aby donieść o tym Cbaothowi.

Lekkie drgnienie w Mocy stanowiło jedyne ostrzeżenie, ale zareagowała natychmiast. Uskoczyła na bok, okręciła się na pięcie, wyrwała miecz zza pasa i włączyła go.

Wirująca tarcza, unosząca się w alejce za nią, przechyliła się lekko, odbiła promień słoneczny i skierowała się ku jej nowej pozycji. Lorana chwyciła miecz oburącz, stanęła w pozycji i czekała, aż pocisk nadleci. Ciekawe, kto sobie zawracał głowę tak powolną bronią, pomyślała.

W pół sekundy później знаła już odpowiedź: dysk rozpadł się na trzy równiutkie części. Rozdzieliły się, atakując z trzech kierunków.

Teraz więc było trzy na jednego. Też żaden problem. Cofnęła się o krok, w myśli układając sekwencje ruchów, jakie przeciwko nim zastosuje. Kiedy z buczeniem weszły w jej zasięg, Lorana uniosła miecz i strąciła płonącym ostrzem wszystkie trzy dyski.

Kiedy odłamki ostatniego z nich opadły na bruk alejki, poczuła silne ramię obejmujące mocno jej szyję.

Jęknęła z przerażenia. Więc dlatego ten atak był tak niewinny! Stanowił jedynie dywersję, ograniczając jej widzenie i skupiając uwagę na walce; przez ten czas Riske, ukrywający się pomiędzy pojemnikami na śmieci, zakradł się od tyłu. Lorana wzmocniła uchwyt rękojeści miecza, zastanawiając się, czy da radę zadać cios w tył, zanim przeciwnik użyje kolejnej broni.

- Spokojnie, mała - odezwał się łagodny głos i coś twardego wbiło się lekko w skórę za jej prawym uchem. - Wyłącz to i odłóż. Chcę tylko porozmawiać.

- O czym? - zapytała.

- Odłóż miecz, to ci powiem - polecił.

- No, daj spokój, dziewczyno. To nie jest warte ryzyka odstrzelenia głowy.

- Jestem Jedi - ostrzegła.
- Kiepsko reagujemy na groźby.
- Może Jedi rzeczywiście kiepsko reagują - zgodził się Riske z lekkim rozbawieniem.
- Ale ty nie jesteś Jedi. Za łatwo dałaś się w to wmanewrować.
- Ramię zacisnęło się nieco mocniej wokół jej szyi.
- Daj spokój. Ochłoń trochę i pogadajmy.

Lorana spojrzała niechętnie na ścianę pobliskiego domu. Pomijając wszelkie uprzedzenia, gdyby rzeczywiście chciał ją zabić, zrobiłby to już dawno.

- W porządku - odpowiedziała, wyłączyła miecz świetlny i wsunęła go znowu za pasek.
- No proszę, wcale nie było tak trudno, prawda? - ucieszył się Riske i uwolnił jej szyję.
- Cieszę się, że jesteś zadowolony - odrzekła i odwróciła się, stając z nim twarzą w twarz.
- O czym chcesz rozmawiać?
- Zacznijmy od ciebie - podsunął Riske, wsuwając mały ręczny miotacz pod tunikę.
- Czemu Cbaoth kazał ci mnie śledzić?

- Mistrz Cbaoth nie ma z tym nic wspólnego - zapewniła, sięgając w Moc i próbując go wyczuć. Był chłodny, pozbawiony emocji, czujnie obojętny, jak często zdarzało jej się to zauważać u zawodowych ochroniarzy. Pod tym chłodem wyczuwała jednak pewną przyzwoitość, a przynajmniej chęć dotrzymania słowa.

Sam fakt, że odłożył miotacz, dowodził, że także po niej spodziewa się uczciwości. Już samo to sprawiło, że postanowiła go wysłuchać.

- A więc to ten drugi Jedi? - pytał dalej Riske.
- Ten, z którym byłaś w kantynie?

Są chwile, kiedy pragniesz, aby twoja tożsamość pozostała tajemnicą, przypomniał jej Cbaoth na Coruscant. Jak widać, Riske'owi to nie przeszkadzało.

- Owszem, zainteresował się tobą, ale śledzenie ciebie było moim własnym pomysłem - odparła.
- Po prostu zaskoczyło go, że osoba o pozycji magistrata Argentego osobiście prowadzi negocjacje.

- Mógłbym powiedzieć to samo o mistrzu Jedi Cbaotcie - zauważył Riske.
- Magistrat Argente był raczej zaskoczony jego widokiem.
- Gestem wskazał w stronę kantyny.
- A teraz mamy w grze jeszcze jednego Jedi, który próbował podsłuchać prywatną rozmowę. W co właściwie gra rada?
- O ile wiem, rada nie prowadzi żadnej gry - odparła Lorana.
- Nie powinniśmy zajmować stanowiska w takich sprawach.

Riske prychnął.

- Na Naboo też nie zajęliście stanowiska? - zapytał kąśliwie.
- Zauważyłem, że wasza rzekoma neutralność jakoś dziwnie pomogła królowej Amidali i jej rządowi.
- Nie wiem nic na ten temat - zapewniła Lorana.
- Z pewnością już zgadłeś, że jestem tylko padawaną. Ale mogę ci powiedzieć jedno: to nie rada nas tu przysłała. Pomysł należał do mistrza Cbaotha, a rada udzieliła mu zezwolenia bardzo niechętnie.

Riske zmarszczył brwi.

- Więc on wymyślił to całkiem sam?
- No cóż, właściwie podsunął mu to w Wielki kanclerz Palpatine
- poprawiła się Lorana. - Ale na pewno nie był to pomysł rady.
- Palpatine - mruknął Riske, w zadumie pocierając policzek.
- Interesujące.
- Teraz moja kolej - zdecydowała Lorana.
- Co tu robisz, po co się włączysz po mieście?
- Usiłuję ochronić życie magistrata Argente, oczywiście - odparł Riske nagle ponurym tonem.
- Miło się z tobą rozmawiało, padawanko. Postaraj się nie wchodzić mi w drogę, dobrze?

Odwrócił się i pomaszerował w głąb alejki.

Lorana odprowadziła go wzrokiem, aż znikł, zanurzając się w strumień przechodniów. Z westchnieniem zawróciła tam, skąd przyszła. Wiedziała, że mistrz Kenobi nie będzie zachwycony.

Kenobi nie miał pomysłu, jak szybko zlokalizować Loraną. Bał się, że zaczną gonić się w kółko, gdyby tego spróbował, więc postanowił zaczekać na nią na ławeczce w małym parku po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko kantyny.

Anakin właśnie kończył swojego tarsh maxera, kiedy się pojawiła.

- Interesujące - zauważył Obi-Wan, gdy skończyła swoją opowieść.

- Więc magistrat Argente jest w niebezpieczeństwie?

- Przynajmniej Riske tak uważa - odparła. Widać było, że nadal czeka na reprimendę.

Kiedy Obi-Wan spojrzał jej w oczy, przyszło mu do głowy, że padawanka zbyt łatwo wczuwa się w rolę. Widocznie styl nauczania mistrza Cbaotha był równie dominujący, jak cała reszta jego osobowości.

- Ale chyba nie sądzi, że to zagrożenie pochodzi od mistrza Cbaotha? - drążył mistrz Jedi.

- Myślę, że nie... ale zapytał, co właściwie kombinuje rada - odrzekła Lorana.

- Wydawało mi się, że dla niego to naturalne uważać, że rada bawi się w politykę. Ale chyba nie byłby ze mną tak otwarty, gdyby rzeczywiście przypuszczał, że spiskujemy przeciwko Argente.

- Ty to nazywasz otwartością? - pogardliwie zapytał Anakin.

- Te groźby i insynuacje?

- Samo ostrzeżenie, aby trzymała się od tego z daleka, niekoniecznie musi stanowić groźbę - przypomniał Obi-Wan.

- Profesjonalni ochroniarze, tacy jak Riske, zawsze się boją, że osoby postronne, albo na przykład przepełnieni dobrymi chęciami pomocnicy amatorzy zaczną się im plątać pod nogami.

- A więc on uważa nas za amatorów?

- Z jego punktu widzenia to oczywiste - bez ogródek odparł Obi-Wan, odwracając się znów do Lorany.

- A ty jak sądzisz? Czy Argente naprawdę jest w niebezpieczeństwie?

Na twarzy padawanki pojawił się wyraz zaskoczenia. Obi-Wan uznał, że Cbaoth chyba rzadko pytał ją o zdanie.

- Nie wiem - odparła. - Ale istnieją podejrzenia, że Sojusz Korporacyjny rzeczywiście stara się przejąć pełną władzę nad kopalniami.
- Mogę to sobie wyobrazić - oświadczył Obi-Wan.
- Czy wiesz, w którym hotelu mieszka Argente?
- W Starbright - odparła Lorana. - Około kilometra na wschód od centrum miasta.
- Ale to nie jest kierunek, w którym zmierzał Riske - zauważył Obi-Wan.
- Za to z całą pewnością prowadzi do dzielnicy Patameene.
- Co to za dzielnica? - zapytał Anakin.
- Słyszałem, jak barman wspomniał mu coś o niej - odparł Obi-Wan.
- To jedno z największych centrów administracyjnych miasta, obejmuje tereny zarówno bardzo bogate, jak i bardzo ubogie. Jeśli mamy gdzieś zacząć węszyć, to dobre miejsce na początek.
- Mamy mu pomagać? - wykrzyknął Anakin.
- Myślałem, że Sojusz Korporacyjny próbuje odebrać Brolfim prawa do minerałów.
- Właśnie to miało być przedmiotem negocjacji - przypomniał mu Obi-Wan.
- W każdym razie to nie nasz problem. Naszym zadaniem jako Jedi jest chronić życie w całej Republice.
- Nie wiem, co robić - z wahaniem powiedziała Lorana.
- Mistrz Cbauth nie wydawał się zadowolony z waszej obecności tutaj. Możliwe, że nie spodoba mu się również, jeśli zaczniemy się wtrącać. Riske i jego ludzie wydają się profesjonalistami, więc może nie powinniśmy pozwolić im załatwić całą sprawę?
- A kto tu się wtrąca? - niewinnie mruknął Obi-Wan, wstając z miejsca.
- Idziemy na spacer po mieście, tak jak nam to zasugerował mistrz Cbauth. Jeśli wpadniemy w tarapaty, to nie będzie nasza wina.

Do najbliższego skraju dzielnicy Patameene było dziesięć minut piechotą. ObiWan przeczesywał wzrokiem tłum w nadziei, że trafi na Riskego. Ochroniarz jednak, raz złapany, widocznie nabrał ostrożności.

- Tu się chyba zaczyna dzielnica - powiedział, kiedy dotarli do niskiego, dekoracyjnego murku z kamienia i przeszli przez bramę dla pieszych.

- Anakinie, pamiętaj, że jesteśmy tu tylko po to, aby zwiedzać.
- Jasne - odparł Anakin i natychmiast zaczął obserwować otoczenie. Zmysły miał wyczulone jak u polującego darokila, gotowego zerwać się z uwięzi.
- Mogę pójść przodem?
- Oczywiście, ale nie oddalaj się za bardzo - ostrzegł Obi-Wan.
- Nie chciałbym, abyś się zgubił.
- Nie ma szans.
- Chłopak prześliznął się między parą Karfów i znikł w tłumie.
- Jesteś pewien, że sobie poradzi? - zapytała Lorana.
- Nic mu nie będzie - zapewnił ją Obi-Wan.
- Jest troszeczkę postrzelony, ale silny Mocą i ogólnie nieźle się zachowuje.
- Musisz mu bardzo ufać - mruknęła Lorana.

Obi-Wan spojrzał na nią z ukosa. W jej głosie zabrzmiała dziwna tęsknota.

- Czy mam rozumieć, że Cbaoth nie ma do ciebie aż tyle zaufania?
- Mistrz Cbaoth miał wielu padawanów w ciągu swego życia i służby dla zakonu Jedi - odparła ostrożnie młoda Jedi.
- Wie, co robi.
- Tak, to jasne - zgodził się Obi-Wan.
- Ale ma dość przytłaczającą osobowość, prawda?
- Dobrze sobie zasłużył na swoją reputację.
- Lorana nadal bardzo starannie dobierała słowa.
- Jest wykształcony, inteligentny, ma ogromne umiejętności. Bardzo wiele się od niego nauczyłam.
- A nie jest przypadkiem odrobinę zbyt wymagający?
- Nie scharakteryzowałabym go w ten sposób - odrzekła chłodno.
- Właściwie dlaczego? - uśmiechnął się do niej Obi-Wan.

- Czasami tak myślałem o moim mistrzu. I wiem, że Anakin myśli to samo o mnie.

Zawahała się chwilę, a potem, pokonując jakiś wewnętrzny opór, dodała:

- Czasem się zastanawiam, czy w ogóle kiedykolwiek będzie ze mnie zadowolony.

- Znam to uczucie - odrzekł Obi-Wan.

- Pamiętaj tylko, że to też przejdzie. A kiedy już zostaniesz rycerzem Jedi, twoje zadanie nie będzie polegało na spełnianiu wymagań jednego mistrza, ani nawet całego ich tłumu. Będziesz musiała robić to, co jest właściwe.

- Właśnie to mi się wydaje najtrudniejsze - wyznała.

- Skąd w ogóle wiesz, że coś jest właściwe?

Obi-Wan wzruszył ramionami.

- Wiem, bo wtedy czuję spokój - odparł.

- Kiedy rzeczywiście dostrajam się do Mocy.

- Nie wiem, czy mnie się to kiedykolwiek uda - westchnęła padawanka. Obi-Wan skrzywił się. Z jednej strony miał Anakina, prącego do przodu w takim tempie, że nieustannie przekraczał jakieś granice, choć trzeba było przyznać, że częściej odnosił sukces, niż przegrywał. Z drugiej strony zaś Lorana, tak przytłoczona obecnością i reputacją Cbautha, że bała się spojrzeć poza granice... nawet własnej wiedzy.

Gdzieś przecież musi być złoty środek.

Jakiś czas szli w milczeniu, mijając i wyprzedzając innych spacerowiczów i klientów sklepików. Obi-Wan nie przestawał się dyskretnie rozglądać, poszukując oznak obecności Riskiego lub kłopotów, których najwyraźniej się spodziewał. Pilnował też, aby nie tracić z oczu podskakującej w dali głowy Anakina.

Po lewej stronie ulicy trafili na warsztat naprawczy ścigaczy z wystawą pełną lśniących części i ledwie widocznymi postaciami pracowników, krzątających się w ciemniejszej części roboczej. Wokół wystawy krążyło kilku Brolfów, przeważnie dorosłych, choć był tam również jeden chłopiec mniej więcej w wieku Anakina. Obi-Wan przyjrzał mu się dyskretnie, zwracając uwagę na jego czerwona kurtkę rzemieślnika z licznymi kieszeniami. Większość Brolfów doskonale sobie radziła bez takiego wyposażenia. Pewnie ten chłopak lubił nosić wszystkie swoje skarby przy sobie.

Obi-Wan uśmiechnął się do siebie. Jedi, przemierzający zwykle galaktykę z niemal całym swoim dobytkiem, nie powinni właściwie dziwić się temu zjawisku. Jeszcze raz obrzucił chłopca wzrokiem i już miał się odwrócić, kiedy ku zaskoczeniu mistrza Jedi coś na powrót przyciągnęło jego wzrok. Może jakiś szczegół w postawie chłopca albo w sposobie, w jaki się rozglądał.

A może to była subtelna podpowiedź Mocy? Obi-Wan nie odrywał teraz od niego wzroku. Oboje z Lorana zaczęli przepychać się w tamtą stronę przez kłębiący się tłum.

Na ich oczach młody Brolf podszedł do półki z silniczkami impulsowymi, a w jego palcach jak za sprawą czarów pojawiły się obcęgi. Zerknął na robotników w głębi pomieszczenia i zręcznie odciął linki mocujące przy dwóch silnikach, chwytając każdy po kolei i umiejętnie ukrywając pod kurtką. Zaraz po silnikach znikły i obcęgi, a w chwilę później sam chłopiec również opuścił sklep. Odwrócił się plecami do nadchodzących Jedi i znikł w tłumie.

Obi-Wan chwycił Loraną za ramię.

- Nastolatek Brolf w rudej kurtce - rzekł zniżonym głosem, wskazując miejsce, gdzie znikł młodzik. - Bierz Anakina, znajdźcie smarkacza i idźcie za nim.

- Co takiego? - Lorana spojrzała na niego oszołomiona.

- Znajdźcie go i idźcie jego śladem - powtórzył Obi-Wan, rozglądając się wokoło. Po prawej mieli wąską uliczkę rozdzielającą dwa dziesięciopiętrowe budynki. - No, idź już.

Wciąż zaskoczona Lorana skinęła głową i pobiegła. Obi-Wan zauważył jeszcze, że dogoniła Anakina i złapała go za ramię, ale sam zaraz znalazł się w przejściu i przemykając pomiędzy pojemnikami na śmieci, skierował się ku środkowi alejki. Do dachów otaczających budynków, miał dobre trzydzieści metrów i nawet gdyby wzmocnił swój skok zdolnościami Jedi, wciąż pozostawały poza jego zasięgiem.

Ale były inne sposoby. Rozejrzał się wokół, upewnił się, że nikt nie patrzy, sięgnął w Moc i skoczył.

Jego buty uderzyły w ścianę po prawej jakieś cztery metry nad ziemią. Ugiął kolana, żeby zamortyzować skok, odepchnął się znów, zanim zaczął spadać i skoczył na przeciwległą ścianę. Teraz znalazł się wyżej o kolejne dwa metry. Znów odbił się od ściany, skacząc w górę jak żaba.

Dotarł na dach kosztem lekkiego poboлевania w kolanach i mięśniach nóg. Opadł na brzuch, wychylił się i spojrzał w dół.

Z góry ulice wyglądały na równie zatłoczone, jak z dołu. Obi-Wan wyjął komunikator i wywołał Anakina.

- Skywalker - rozległ się natychmiast głos chłopaka.

- Co z tym małym w brązowej kurtce?

- Ukradł parę impulsowych silniczków manewrowych z tego sklepu, który mijali

śmy - wyjaśnił Obi-Wan, jedną ręką osłaniając oczy przed słońcem. Wzrokiem szukał w tłumie uciekającego złodziejzka.

- Takich, jakich się używa w ścigaczach i swoopach?

- Dokładnie - odparł Obi-Wan.

- Stanowią również system napędowy w domowej roboty rakietach.

Z komunikatora rozległo się ciche syknięcie.

- Chwytam - mruknął Anakin dość ponuro.

- Widziałeś, dokąd poszedł?

- Wyszedł ze sklepu w kierunku na zachód - odparł Obi-Wan.

- Ale łatwo mógł... zaczekaj chwilę.

Wychylił się jeszcze bardziej poza krawędź dachu, bo jego uwagę ściągnął rady błysk w tłumie, zanim zniknął pod arkadą. Zaczął obserwować drugą stronę i po chwili barwna plama pojawiła się znowu.

- Jest tam - poinformował Anakina.

- Idzie na północ.

- Jaka to ulica?

- Nie mam pojęcia - wyznał Obi-Wan.

- A wy gdzie jesteście?

- Właśnie mijamy budynek z wielkim niebiesko-złotym billboardem reklamującym jakieś leki - odrzekł Anakin.

- Po drugiej stronie ulicy widzę zielony, zwisający transparent...

- W porządku. Mam was - przerwał Obi-Wan, kiedy ich zlokalizował.

- Pójdziecie następną uliczką w prawo i zobaczycie go przed sobą o jakieś sto metrów.

Nie spuszczał z nich oka przez dłuższą chwilę, aby się upewnić, że przyspieszają kroku, po czym znów zaczął obserwować złodzieja, żałując, że nie zabrał makrolornetki. Anakin miał przy sobie to pożyteczne urządzenie, ale Obi-Wanowi nie na wiele się to zdało.

- Obi-Wanie?

Podniósł do ust komunikator. - Tak?

- Skręciliśmy na północ - rzekł chłopak.
- Chyba widzę go przed sobą.
- Zostańcie tam, gdzie jesteście - polecił Obi-Wan. Krępy Brolf wyszedł właśnie przed sklep i ruszył w kierunku złodzieja.
- Zdaje się, że właśnie zamierza przekazać swój łup dalej. Daj mi Loraną.
- Tak? - rozległ się po chwili czysty głos dziewczyny.
- Rusz się trochę do przodu z miejsca, gdzie teraz stoicie - rozkazał Obi-Wan.
- Złodziej spotyka się właśnie z kimś... to krępy Brolf w jasnoniebieskiej tunice z ciemniejszą szarfą.
- Widzę go - potwierdziła Lorana.
- Zbliża się... zdaje się, że rozmawiają.
- Czy młodziak przekazuje mu silniki? - chciał wiedzieć Obi-Wan.
- Ten wielki wszystko mi zasłania.
- Mnie też - z napięciem odparła Lorana. sobie z każdym problemem, który napotka na swojej drodze.
- Nie mogę... o, już idą. Prawie na pewno. Prawie.
- Szlag by to trafił - mruknął Obi-Wan pod nosem, kiedy dwóch Brolfów się rozeszło. Smarkacz poszedł dalej na północ, a dorosły ruszył na zachód.
- Dał mu te silniczki?
- Nie zauważyłam - odparła Lorana.
- Przepraszam.

Obi-Wan skrzywił się, obserwując, jak Brolfowie się rozchodzą każdy w swoim kierunku. Dorosły z pewnością miał i czas, i możliwość przejęcia łupu. W tym samym czasie mógł też jednak tylko potwierdzić fakt kradzieży, sprawdzić, czy nikt go nie śledzi lub dać chłopcu nowe instrukcje.

Niezależnie od tego, co się stało podczas spotkania, całe to wydarzenie mogło być jedynie częścią

normalnej działalności przestępczej na Barloku i nie mieć nic wspólnego z Passelem Argente ani z paranoją Riskego.

Ale Riske wyraźnie spodziewał się problemów właśnie z tej strony. Obi-Wan zaś coś zauważył. Zdecydowanie warto było to sprawdzić.

I teraz siedział na dachu o przecznicę od nich.

- Zdaje się, że musimy śledzić obu - zdecydował, rozglądając się po innych dachach. Gdyby mógł przeskoczyć na drugi, a potem na następny i jeszcze następny, a potem znaleźć schody lub turbo-windę, aby wrócić na poziom ulicy...

Nic z tego. W pełnym świetle dnia, pośrodku zatłoczonego miasta istniała duża szansa, że ktoś go zauważy i rozpozna. A gdy tylko potencjalni napastnicy zorientują

się, że Jedi depta im po piętach, zapadną się pod ziemię tak skutecznie, że nawet Riske będzie miał problem z ich wykopaniem.

- Słusznie - powiedziała Lorana.

- Biorę starszego. Obi-Wan zawahał się. Lorana była starsza z dwójki padawanów, a zatem teoretycznie miała większe umiejętności. Znał jednak możliwości i doświadczenie Anakina, więc wiedział, że chłopak poradzi sobie nawet, jeśli wpadnie w tarapaty.

Jednak... jeżeli Loranie naprawdę czegoś brakowało, to pewności siebie. Nie pomoże jej, posyłając ją za tym dzieciakiem, zwłaszcza w obecności Anakina.

Poza tym ma tylko śledzić Brolfa, a nie walczyć z nim czy próbować konfrontacji. To powinno być dość bezpieczne.

- Dobrze - rzekł.

- Weź komunikator Anakina, jest połączony bezpośrednio z moim i daj mu swój.

Jaką masz częstotliwość?

Podawała mu cyfry.

- Rozdzielamy się teraz - dodała.

- Skontaktuję się z tobą, kiedy dorosły się zatrzyma.

- Zgoda - odparł Obi-Wan.

- Powiedz Anakinowi, że go dogonię, gdy tylko będę mógł.

Wyłączył komunikator i zerwał się na nogi. Wyrzwał jeszcze raz ponad krawędzią

dachu, odwrócił się i ruszył w kierunku schodów. Wiedział, że jego padawan poradzi

ROZDZIAŁ 7

Jakimś cudem przez czas, jakiego potrzebował Obi-Wan na zejście ze schodów i dogonienie ucznia, Anakin nie wpakował się w żadne tarapaty. Młody Brolf maszerował dalej, całkowicie nieświadom faktu, że jest śledzony.

Obi-Wan zauważył wcześniej, że dzielnica Patameene obejmowała zarówno fragmenty bogatsze, jak i ubogie, robotnicze. Młodzik zaprowadził ich w takie właśnie biedniejsze rejony, aż wreszcie wszedł do jednego z domów w nieco zaniedbanym pierścieniu.

Pierścieniowaty układ domów był normalną strukturą miejską Brolfów. Kamienice mieszkalne wznoszono kręgami wokół centralnego placu. Dziedziniec taki był przeznaczony na wspólny teren rekreacyjny dla całego pierścienia, ale przez wyrwę, jaka pozostała po zawalonym domu, Obi-Wan dostrzegł, że ten akurat bardziej przypomina śmietnisko.

- Wygląda jak zaplecze u Watto - mruknął Anakin, schylając się lekko, żeby zajrzeć do środka.
- Mają tu co najmniej trzy zaczęte konstrukcje.
- Czy któraś z nich wygląda na taką, co mogłaby wykorzystywać silniki manewrowe? - zapytał Obi-Wan.
- Trudno powiedzieć - zastanowił się Anakin.
- Może ta po lewej...
- Zapamiętaj to - przerwał mu nagle Obi-Wan, bo poczuł drgnienie w Mocy...
- Można w czymś pomóc? - zapytał zza ich pleców podejrzliwy głos.

Obi-Wan odwrócił się powoli, starając się trzymać ręce cały czas na widoku. W ich stronę szła trójka dorosłych Brolfów w podniszczonych, ale czystych i porządnym tunikach.

- Nie, dziękujemy - rzekł grzecznie.
- Po prostu zauważyliśmy te konstrukcje i zastanawialiśmy się, co to będzie.
- A co to was obchodzi? - zapytał ten, który odezwał się pierwszy.
- Mój młody przyjaciel budował kiedyś ścigacze – wyjaśnił Obi-Wan.
- Zawsze fascynowały go takie rzeczy.

- Naprawdę - włączył się drugi z Brolfów, mierząc Anakina wzrokiem od stóp do głowy.
- Wiesz coś na temat wlotu powietrza pół-X?
- Sam ich nigdy nie używałem - odparł Anakin.
- Ale umiem je instalować, a także naprawić, jeśli pojawi się problem.
- No, no! - Brolf nabrał powietrza w płuca.
- Duefgrin! - zawołał.

Po krótkiej chwili w wyrwie pierścienia pojawił się ten sam młodzik, którego śledzili.

- Tak, wujku? - krzyknął.
- Mamy tu dwóch ludzi, którzy twierdzą, że znają się na systemach pół-X - rzekł Brolf.
- A ty wciąż masz ze swoim problemy?
- Nie jestem pewien - odparł tamten, z powątpiewaniem łypiąc okiem na ObiWana i Anakina.
- Właśnie dostałem nowy monitor sprężania, może to coś da.

Obi-Wan skrzywił się lekko. Więc tym właśnie zajmował się młodzik na rynku. Wymieniał skradzione silniki manewrowe na monitor.

Chyba że monitor też był kradziony. A w takim przypadku silniczki wciąż będzie miał przy sobie.

- Owszem, jeśli pół-X nie ma problemów ze stabilnością zwrotną - poinformował go Anakin.
- Jakie masz sprzęgła? Binarne czy trójkowe?
- Binarne - odrzekł Duefgrin.
- Nie stać mnie na trójkowe.
- Pozwól mi spojrzeć - zaproponował Anakin, ruszając w jego stronę. Przystanął i pytająco spojrział na Obi-Wana.
- Mogę?

Obi-Wan zaś zwrócił wzrok na trzech dorosłych Brolfów.

- Jasne, idź - rzekł wuj Duefgrina, machając ręką.

- Im szybciej doprowadzi tę kupę złomu do stanu używalności i wywiezie z placu, tym szybciej sąsiedzi przestaną marudzić.

- Dzięki.

- Obi-Wan w duchu skreślił tę trójkę z listy podejrzanych. Jeśli pozwalają obcym włóczyć się swobodnie po swoim terenie, prawdopodobnie niczego nie ukrywają.

- Dobrze, Anakinie, ale pospiesz się.

- Jasne - zawołał Anakin przez ramię. Obi-Wan zauważył, że obaj młodzi ludzie od razu pograżyli się w fachowej rozmowie.

- Wrócę, kiedy i ty skończysz.

- Kiedyś już to chyba słyszałem - mruknął pod nosem Obi-Wan i poszedł za nimi na dziedziniec. Mimo wszystko sam Duefgrin mógł tkwić w grupie spiskowców bez wiedzy wuja. Nic się nie stanie, jeśli Obi-Wan przejdzie się spacerkiem wokół pierście nia mieszkalnego, podczas gdy chłopcy będą pracować, i poszuka poprzez Moc wszelkich śladów złych zamiarów.

A potem odciągnie Anakina od tej maszyny, którą buduje Duefgrin, cokolwiek to jest, i razem sprawdzą, jak się poszczęściło Loranie.

Lorana zauważyła, że młody złodziejaszek opuścił miejsce spotkanie spokojnym krokiem, nie okazując najmniejszego niepokoju, nie podejrzewając, że jest śledzony, a właściwie zachowując się tak, jakby kompletnie mu na tym nie zależało.

Za to dorosły Brof był całkiem innym dzbankiem giju. Zachowywał się tak nerwowo i podejrzliwie, że już bardziej nie było można. Co kilkanaście kroków oglądał się przez ramię, zmieniał stronę ulicy co sto metrów. Równie często zmieniał kierunek; zatrzymywał się przy jednym ze straganów wzdłuż ulicy, udając, że ogląda towar, podczas gdy w istocie obserwował przechodniów za sobą.

Było to tak groteskowe, że niemal śmieszne. Lorana jednak nie miała ochoty się śmiać. Riske był subtelnym zawodowcem i z dużą klasą. Za to ten Brof wydawał się całkowitym jego przeciwieństwem: amator konspirator, prymitywny i bez krztyny talentu.

Ale właśnie taki amator - bezmyślny i nieprzewidywalny - mógł być najbardziej niebezpiecznym przeciwnikiem.

Na szczęście amatora łatwiej było oszukać. Lorana podczas wielu lat szkolenia Jedi nauczyła się kilku sztuczek przydatnych przy śledzeniu istot rozumnych i przez najbliższą godzinę wykorzystwała chyba wszystkie po kolei. Zmieniała odległość od Brof'a, chowała się w alejkach i bocznych uliczkach, aby go wyprzedzić, a od czasu do czasu zmieniała także wygląd, wkładając lub zdejmując kaptur szaty albo na przemian wiążąc i rozpuszczając włosy.

Wreszcie paranoja Brolfa jakby zelżała; szedł teraz względnie prosto na północny zachód. Lorana trzymała się z tyłu tak daleko, jak mogła. Mijane domy i sklepy stawały się coraz skromniejsze i brzydsze, w miarę jak zagłębiali się w uboższe rejony dzielnicy. W elegantszych okolicach posesje oddzielały wysokie murki, zaznaczające granice własności; tu wystarczały niskie, ciasno rosnące żywopłoty lub rzędkie jaskrawych kwiatów. Wielu przechodniów, których Lorana mijała po drodze, nosiło tuniki z symbolami Gildii Górniczej; niektórzy przerywali wykonywane czynności, aby odprowadzić ją wzrokiem, kiedy ich mijała.

Młoda padawanka zastanawiała się już kilkakrotnie, czy nie skontaktować się z Obi-Wanem, by poprosić o radę lub pomoc. Jeszcze częściej rozważała możliwość zawrócenia do bezpiecznie znajomego centrum miasta, pozostawiając spiski i kontrspiski fachowcom mądrzejszym i bardziej doświadczonym w takich kwestiach.

Za każdym razem jednak oddychała głęboko, żeby się uspokoić, sięgała w Moc i szła dalej. Jedi nie może zawracać z drogi tylko dlatego, że wydaje się ona trudna lub niebezpieczna.

Mijała właśnie jeden z niskich żywopłotów, kiedy poczuła ostrzegawcze drgnienie Mocy.

Szła dalej, z trudem powstrzymując się od zawrócenia. Lekkie uczucie zagrożenia było wciąż zbyt niejasne, a zatrzymując się nagle mogła ostrzec nieprzyjaciół, że wie o ich istnieniu. Jeszcze kilka kroków... może tamci popełnią jakiś błąd, co pozwoli jej zdobyć przewagę, kiedy wykonają pierwszy ruch.

Cierpliwość Lorany została nagrodzona. Kilka metrów dalej wrażenie zmaterializowało się nagle: dwaj Brolfowie zaszli ją od tyłu - szybko i bezszelestnie. Obaj emanowali podejrzliwością. Pochwyciła szelest metalu trącego o tkaninę.

Zatrzymała się raptownie, rękawem szaty zahaczając o krzaki, odwróciła się i stanęła przed nimi.

- O co chodzi? - zapytała uprzejmie.

Brolfowie przystanęli zaskoczeni kilka metrów od niej. Niższy z nich, jak zauważyła, miał w garści antyczny miotacz, który przyciskał do uda, jakby sądził, że zdoła go przed nią ukryć. Wyższy miał broń mniej skomplikowaną, ale równie niebezpieczną - górniczy kilof.

- Co tu robisz? - zapytał niższy.

- To publiczna droga - wyjaśniła Lorana.

- Nie jesteś stąd - burknął wyższy. Zrobił krok w jej kierunku, niecierpliwie przebierając palcami po trzonku kilofa.

- Czego tu szukasz?

- A jest tu coś, czego warto byłoby szukać? - odparowała, czując, że serce bije jej coraz mocniej.

Trafiła. Jakimś sposobem, choć nie była pewna, jakim, wiedziała już na pewno, że znalazła zagrożenie, które Riske próbował zlokalizować.

Pytanie tylko, co zrobić z tą wiedzą. W końcu Brołfowie - zarówno ta dwójka, jak i ten, którego śledziła - to tylko pierwsze drzewa lasu. Jeśli wyciągnie miecz świetlny, nie znajdzie się ani trochę bliżej rozwiązania intrygi, a w dodatku nie pozna szczegółów ani autorów spisku. Musi zrobić coś, żeby ci dwaj zaprowadzili ją do prawdziwych przywódców.

Ale w tym celu musi udowodnić, że jest nieszkodliwa.

- Nic takiego - odparła i cofnęła się o krok, podchodząc jak najbliżej żywopłotu.

- Jeśli chcecie, żebym sobie poszła, to pójdę.

- Nie tak szybko - odezwał się młodszy Brołf, wyraźnie zachęcony jej pozorną lękliwością. - Spieszysz się gdzieś?

- Ależ skąd - zaprzeczyła Lorana. Zrobiła jeszcze jeden krok w tył, mając nadzieję, że żywopłot, wzdłuż którego się cofała, nie skończy się zbyt szybko.

- Po prostu chętnie sobie stąd pójdę, to wszystko. - Zerknęła w bok, żałując, że nie zauważyła, z którego z walących się domów wyszli Brołfowie.

Widać jednak trafiła w dziesiątkę.

- Bierz ją, Vissfil - warknął niższy Brołf, podrywając miotacz i celując nerwowo w Loraną.

- Ona wie.

- Nic nie wiem - zaprotestowała Lorana, cofając się jeszcze o krok. Vissfil ruszył w jej stronę, wysoko podnosząc kilof.

- Proszę... nie róbcie mi krzywdy.

- Uniosła dłonie, jakby chciała się osłonić przed spodziewanym ciosem.

Skupiając uwagę Vissfila na swoich podniesionych rękach, a ciałem zasłaniając

widok jego towarzyszowi, sięgnęła poprzez Moc, wysunęła miecz świetlny spod tuniki i wcisnęła go w głąb ciasno zbitego krzaka.

- Zabierz jej komunikator - rozkazał niższy Brołf, gdy Vissfil podniósł kilof jedną ręką, a drugą odchylił rąbek płaszcza padawanki.

- Tak, tak, wiem - burknął Vissfil. Choć wielki i ordynarny, czuł się wyraźnie skrępowany, obmacując Loraną wolną ręką. Znalazł komunikator i włożył sobie za pazuchę, po czym, jakby po

namyśle, zabrał jej również pas, razem z przymocowanymi do niego torebkami najedzenie i sprzęt.

- Żadnej broni - oznajmił, cofając się o krok. - Co z nią zrobimy?

- Zabierzemy ją chyba do Obrońcy - doszedł do wniosku drugi. Gestem wskazał na pierścień mieszkalny, w kierunku którego Lorana spojrzała wcześniej.

- On będzie wiedział, co robić. Tędy, człowieku.

Przechodzili przez ulicę, kiedy za plecami Lorany rozległ się cichy dźwięk. Obejrzała się. Niższy Brolf właśnie wyciągał komunikator zza tuniki.

- Co jest? - zapytał.

Nie słyszała głosu w komunikatorze, ale trudno było nie zauważyć nagłego zdenerwowania u obu Brolfów.

- Jasne, jasne.

- Niższy schował przyrządek.

- Zmiana planów - oznajmił, podchodząc do Lorany i wbijając jej lufę miotacza w plecy. - Idziemy do tamtego domu - wskazał niebieski budynek po lewej.

Lorana poczuła ucisk w gardle. Wskazany dom wyglądał na dawno opuszczony. Mogli ją tam prowadzić tylko z dwóch powodów - na poważne przesłuchanie albo... żeby na zawsze zamknąć jej usta.

Z drugiej strony raczej nie wiedzieli, kogo udało im się zatrzymać. Lorana mogła więc udawać, grać na zwłokę i czekać na okazję, wypatrując ostrzegawczych znaków, że gra dobiega końca...

Intencje Brolfa zamaskowane były ogólnym niepokojem i niewyczuwalne w Mocy, więc strzał ogłuszający, który trafił Lorane w plecy i rozszedł się bólem po całym ciele, był całkowitym zaskoczeniem.

Zanim zdążyła pomyśleć o metodach zapobiegawczych, jakich ją uczono, paraliżująca nerwy fala zalała ją i pociągnęła w mrok.

- No i co teraz? - warknął Brolf, który sam siebie nazywał Patriotą.

Doriana nawet nie fatygował się z odpowiedzią. Stojąc przy oknie, przyglądał się, jak Vissfil i jego brat mozolnie taszczą ciało nieprzytomnej Lorany Jinzler po nierównej ścieżce wiodącej do zrujnowanego niebieskiego domu.

Ci dwaj idioci omal jej tu za sobą nie ściągnęli. Gdyby Doriana nie pilnował okna i nie zauważył, że

nadchodzą...

Odczekał, aż grupa zniknie w budynku, a potem z namysłem spojrział na Patriotę.

- Jeśli to jest przykład twoich zabezpieczeń - rzekł, odmierzając starannie każde słowo - to dziwię się, że jeszcze wszyscy nie trafiliście na szubienice.

- A co to za problem? - zdziwił się Patriota.

- To tylko pojedyncza osoba, nie miała nawet czasu ostrzec swoich przyjaciół, jeśli ich ma.

- Miała broń?

- Nic - odparł Patriota. Doriana zmarszczył brwi.

- Żadnej broni?

- Nie jesteśmy dziećmi, Obrońco - burknął Patriota.

- Wiemy, jak szukać broni.

- Nie wątpię - odparł Dorianą, czując lekki dreszcz niepokoju. Jinzler musiała zostawić swój miecz świetlny pod opieką Kenobiego i Skywalkera, wiedząc, że byłby to niezbity dowód, kim jest naprawdę. Czy to oznacza, że tamci Jedi również są w pobliżu, oczekując na stosowny moment, żeby wkroczyć do akcji?

Nieważne, już i tak za późno na takie wątpliwości.

- Masz te dwa ostatnie silniki impulsowe? - zapytał.

- Jhompfi właśnie je przyniósł - odparł Patriota.

- Przekazał je Migress, która jest już w drodze do miejsca przygotowywania rakiety. Zostaną zainstalowane w ciągu godziny.

- Jhompfi to ten, którego śledziła kobieta, tak? Oczy Patrioty zwęziły się lekko.

- Już mówiłem, że ona nic nam nie może zrobić. Opuścimy ten pierścień, jak tylko ty dotrzymasz swojej części umowy. Wszystko idzie dobrze.

- Naturalnie - parsknął Dorianą.

- Wszystko idzie dobrze, poza tym, że Jinzler będzie mogła zidentyfikować Jhompfię z twarzy i że na pewno widziała go z silnikami...

Znów odetchnął głęboko, zachowując swoje opinie dla siebie. Tak, Patriota i jego towarzysze konspiratorzy byli bandą idiotów. Ale przecież wiedział, w co się pakuje.

- Wciąż nie rozumiem, po co aż tyle silników - zauważył Patriota z podejrzliwością w głosie. - Normalna rakieta wymaga tylko dwóch.
- Normalna rakieta przeleci wysokim łukiem nad rynkiem, gdzie siły bezpieczeństwa Argente będą mogły ją swobodnie zniszczyć - wyjaśnił Doriana.
- Pocisk, który dla was zaprojektowałem, nosi nazwę slinker. To rakieta, która leci na wysokości metra. Wpadnie przez bramę budynku administracyjnego i znajdzie drogę przez korytarze do sali konferencyjnej, gdzie eksploduje, niszcząc obecnych i przyszłych zdrajców.
- To ty tak twierdzisz.
- Patriota nadal był podejrzliwy.
- Nigdy nie słyszałem o broni, która byłaby w stanie odnaleźć drogę przez budynek bez pełnego systemu sterowania.
- Bo żadna broń, o jakiej słyszałeś, nie miała mojego specjalnego systemu naprowadzania - odparł Doriana, wyjmując z kieszeni kartę danych.
- Znajdzie wejście i wyszuka swoje cele, gdziekolwiek się ukryją.
- A emisja jej czujników nie zostanie wykryta? - zapytał Patriota, ostrożnie biorąc kartę w palce.
- Ani wykryta, ani zablokowana - zapewnił go Doriana.
- Ma inne częstotliwości niż czujniki monitorowane przez ochronę.

W istocie karta w ogóle nie zawierała czujników oprócz zaprogramowanego geo

graficznie czujnika kierunku. Miał on przenieść raketę w odpowiednie miejsce precyzyjnie wytyczoną drogą, którą Doriana własnoręcznie i dokładnie obliczył podczas ostatniej wizyty na Barloku. I na pewno nie potrafi znaleźć negocjatorów. Gdyby Cbaoth w ostatniej chwili zdecydował się na zmianę sali, rakieta poleciałaby całkiem gdzie indziej. A to byłoby kłopotliwe, nie mówiąc już o katastrofalnych skutkach.

Było to jednak równie nieprawdopodobne, jak to, że Patriota i jego naiwni konspiratorzy zorientują się, iż są nabijani w butelkę. Nic nie wywierało na ludziach większego wrażenia niż przekonanie, że oto oferuje im się niezwykłą technologię.

- A więc nasze zwycięstwo jest pewne - powiedział Patriota, prawie z czcią obracając kartę w palcach.

- W stu procentach - zapewnił Doriana.

- Jeszcze tylko ostatnia sprawa. Czy po wyjściu stąd dzisiaj wieczorem planowaliście wrócić do domu?

- Oczywiście - odparł Patriota, marszcząc brwi.

- Potrzebujemy posiłku i snu.

- I będziecie je mieli, ale jak najdalej od waszych domów - przerwał mu Doriana.

- Od tej chwili musicie trzymać się z daleka od rodzin i przyjaciół.

Patriota zaczął dygotać.

- Co ty mówisz? - pokręcił nerwowo głową.

- Mówię, że jutro w południe, kiedy magistrat Argente i mistrz gildii Gilfrone nie będą już żyli, władze rzucą się na domy wszystkich członków waszej gildii - zimno rzekł Doriana.

- Ty i twoi przyjaciele musicie być wtedy gdzie indziej, nikt też nie może wiedzieć, dokąd się udaliście.

- Ale jak długo to potrwa?

- Jak długo będzie trzeba - odparł Doriana.

- Nie wolno ci popełnić błędu, Patrioto. Od tej chwili i ty, i pozostali jesteście uciekinierami i musicie ukrywać się przed tymi samymi ludźmi, dla których ryzykowaliście własną głowę.

- Uniósł brwi.

- Jeśli nie czujesz się dość silny, by temu podołać, jest jeszcze czas. Możesz się wycofać.

Patriota wyprostował się ze zdeterminowaną miną.

- Zrobimy wszystko, co konieczne dla naszej gildii i ludu - rzekł stanowczo.

- I zapłacimy każdą cenę.

- A zatem jesteś bardzo honorowym Brolfem - pochwalił go Doriana. Niektórym osobom perspektywa życia wygnańca wystarczyłaby do zrewidowania własnych poglądów i wycofania się w porę. Ale dla Patrioty i jego przyjaciół taka potencjalnie ponura możliwość jedynie przydawała szlachetności i blasku ich bezsensownemu spiskowi.

To dlatego Doriana wybrał do tej misji właśnie ich. Tępi, pełni gniewu i ulegli - wspaniałe pionki w

jego planach. Zanim którykolwiek z nich zorientuje się, o co tu naprawdę chodziło, Dorianą będzie daleko. Jeśli w ogóle kiedykolwiek się zorientują.

- Od tej chwili wspólnie kroczymy ścieżką chwały i przeznaczenia - ciągnął.

- Jutro w południe te zdradzieckie układy legną

zmiażdżone przez walec historii, a drogocenne minerały Barloka na zawsze pozostaną w rękach Brofów.

- A ci, którzy nas zdradzają, poznają koszt tej zdrady - poważnie podjął Patriota.

- Lud Brof jest ci głęboko wdzięczny, Obrońco. Przysięgam, że pewnego dnia ten dług zostanie spłacony.

- A ja obiecuję, że wrócę tu, aby się o niego upomnieć - rzekł Dorianą, choć nie mógł sobie wyobrazić mniej prawdopodobnej opcji.

- Muszę jeszcze zrobić jedną małą poprawkę w rakiecie, zanim zamontujemy silniki, a potem odejdę, aby przygotować swoją rolę w odkupieniu ludu Brof. Pamiętajcie, aby umieścić raketę dokładnie w uzgodnionym miejscu. Tylko wtedy znajdzie się ona poza strefą cienia czujników i nie zostanie przez nie dostrzeżona.

- I tylko stamtąd, dodał w duchu, zaprogramowana trasa zaprowadzi ją tam, gdzie trzeba.

- Tak się stanie - obiecał Patriota.

- Za nasze zwycięstwo, Obrońco.

Dorianą uśmiechnął się.

- Tak - rzekł łagodnie.

- Za nasze zwycięstwo.

Podczas pierwszego podejścia do asteroidy Thrawna Car'das zauważył, że baza jest doskonale ukryta. Dopiero za drugim podejściem zrozumiał, jak komandor dokonał tej zadziwiającej sztuczki.

Zamiast na asteroidzie, bazę zbudowano pod jej powierzchnią.

A właściwie w długim, krętym tunelu, którym sternik „Springhawk” przeleciał z szybkością i precyzją o wiele większą, niż to było konieczne.

- Zdumiewające miejsce - odezwał się głośno Car'das, usiłując ukryć zdenerwowanie na widok śmigających w tył skalistych ścian.

- Czy to konstrukcja typowa dla Chissów?

- Nie, ani trochę - odrzekł Thrawn. Wyglądał przez iluminator, a jego głos brzmiał dziwnie.

- Większość baz znajduje się na powierzchni, ale chciałem, aby ta akurat była nie do zdobycia przez nieprzyjaciela.

- Nie jest to specjalnie oryginalny pomysł - wtrącił Quennto. Mówił niedbałym tonem, ale Car'das widział napięcie w jego oczach, gdy śledził pilnie poczynania sternika.

- Podejście dlatego jest tak niebezpieczne, by atakujący musiał je pokonywać powoli.

Wyprowadzenie waszych statków staje się przez to równie trudne, ale to cena, którą trzeba zapłacić.

- Istnieją sposoby zredukowania tego problemu - poinformował Thrawn.

- W tej chwili Chissańska Flota Defensywna pracuje nad podobną koncepcją w innej bazie, w większej i bardziej skomplikowanej skali. Interesujące, prawda?

- Co? - zapytał Car'das.

- Ten wzór kolorowych świateł pomiędzy znacznikami zbliżenia - wyjaśnił Thrawn, wskazując na ścianę przed nimi.

- Wskazuje na obecność gości.

- Czy to dobrze, czy źle? - zapytała Maris. Thrawn wzruszył ramionami.

- To zależy, kim są ci goście.

W trzy minuty później pokonali ostatni zakręt i tunel otworzył się na obszerną jaskinię. W głębi powierzchnia skały pulsowała migoczącymi światełkami znaczników zbliżenia i iluminatorów. W dokach stało osiem statków: pięć myśliwców Chissów, które Car'das widział już w akcji, dwa małe wahadłowce transportowe, ósmy zaś był krążownikiem mniej więcej wielkości „Springhawka”. W przeciwieństwie jednak do płynnych krzywizn okrętu wojennego, ten składał się z samych płaszczyzn, ostrych narożników i mocno zaznaczonych kątów.

- Oho - mruknął Thrawn. - Nasi goście pochodzą z Piątego Rodu Władców.

- Skąd wiesz? - zapytała Maris.

- Dzięki konstrukcji i oznaczeniom statku - wyjaśnił Thrawn.

- Mogę również zgadnąć, że gość jest z linii bezpośredniej, lecz dalekiej.

- Czy to dobrze, czy źle? - chciał wiedzieć Car'das.

- Właściwie ani tak, ani tak - odparł Thrawn.

- Piąty Ród prowadzi interesy w tej okolicy, więc prawdopodobnie to rutynowa wizyta. Osoba wyższej rangi lub pochodząca z Pierwszego bądź Ósmego rodu oznaczałaby karę.

Car'das spojrział koso na Maris. Karę?

- Będziecie wszyscy moimi gośćmi na ceremonii powitalnej

- ciągnął Thrawn, kiedy „Springhawk” kierował się ku pustemu dokowi.

- Może się to dla was okazać interesujące.

„Interesujące” było w opinii Car'dasa zbyt nijakim określeniem.

Przede wszystkim sama sala powitalna. To puste, pozbawione ozdób szare pomieszczenie tuż za dokami za dotknięciem ukrytych przycisków uległo całkowitej zmianie. Ze ścian wysunęły się kolorowe panele, odwróciły się i ułożyły płasko. Z ukrytych płyt w suficie spłynęły draperie, a wraz z nimi faliste, podłużne formy, które przypominały Car'dasowi zamrożone ognie zorzy polarnej. Płytki podłogowe zostały na swoim miejscu, ale pod przezroczystą powierzchnią pojawiły się skomplikowane układy kolorowych świateł. Jedne trwały nieruchomo, inne pulsowały powoli lub poruszały się niespiesznie niczym płynąca rzeka. Wśród wszystkich kolorów tęczy zdecydowanie królował żółty.

Widowisko było imponujące, a Chiss, który chwilę później pojawił się w wejściu, wyglądał równie wspaniale. Wszedł w otoczeniu dwóch młodszych Chissów w ciemnożółtych mundurach, z pistoletami przy pasie. Sam był ubrany w szarą szatę, ułożoną w skomplikowane fałdy, ozdobioną złotym kołnierzem i mnóstwem złotych elementów. Nie był starszy od Thrawna, ale emanował aurą szlachetności i dumy jak ktoś, kto urodził się, by panować. Gesty jego eskorty były sprawne i wyćwiczone, Car'das miał jednak wrażenie, że ci dwaj i czterej ubrani na czarno wojownicy, których przyprowadził Thrawn, prowadzili między sobą dyskretne współzawodnictwo, która z grup wygląda bardziej profesjonalnie.

Thrawn powitał gościa w cheunh; odpowiedź oczywiście padła w tym samym języku. I tym razem również Car'das zdołał wychwycić poszczególne słowa, lecz ton i szybkość wypowiedzi, wraz z oficjalną gestykulacją, sprawiał wrażenie starożytnego rytuału, który pilot uznał za fascynujący.

Jego towarzysze niestety nie podzielali tej opinii. Maris, z jej filozoficzną pogardą dla skorumpowanych struktur Republiki, nigdy nie lubiła oficjalnych obrzędów, więc obserwowała ceremonię z grzecznym brakiem zainteresowania. Quennto za to ostentacyjnie nie ukrywał znudzenia.

Ceremonia dobiegła końca i dwóch żółto ubranych Chissów cofnęło się, aby stanąć po obu stronach wejścia na statek. Thrawn gestem zaprosił gościa do miejsca, gdzie stali widzowie.

- Pozwolę sobie przedstawić arystokrę Cha'orm'bintrano z Piątego Rodu Władców - odezwał się,

już nie w cheunh, a w sy bisti.

- A oto kupcy k'rell'ńscy, goście z odległego świata.

Chaf orm'bintrano powiedział coś dość ostrym tonem.

- Mów w sy bisti, arystokro, jeśli mogę prosić - rzekł Thrawn.

- Nie rozumieją cheunh.

Chaf orm'bintrano prychnął coś w cheunh i usta Thrawna zacisnęły się nieznacznie.

- Arystokra Chaf orm'bintrano nie jest w tej chwili zainteresowany porozumiewaniem się z wami - przetłumaczył. - Jeden z moich wojowników zaprowadzi was do kwater.

- Zerknął na Car'dasa.

- Przepraszam.

- Przeprosiny nie są potrzebne, komandorze - zapewnił Car'das, czując lekki ucisk w gardle, kiedy składał Chaf orm'bintrano oszczędny ukłon.

- Absolutnie zbyteczne.

Pokoje, które przeznaczył dla nich Thrawn, były niewiele większe niż kajuty na „Springhawku”. Tym razem były to dwie sypialnie, zamiast jednej, ze wspólną kabiną odświeżacza pomiędzy nimi. Quennto i Maris zostali zaprowadzeni do jednego pokoju, a Car'das do drugiego. Badając nowe mieszkanie, Car'das przekonał się z lekkim zaskoczeniem, że jego ubrania i rzeczy osobiste zostały przeniesione z kabiny na „Łowcy Okazji” i starannie ułożone w szufladach. Widocznie Thrawn planował dla nich dłuższy pobyt.

Przez chwilę krążył po pokoju, usiłując nie myśleć o Chaform'bintrano i jego nieukrywany niezadowolony z ich obecności na terytorium Chissów. W godzinę później pojawił się w drzwiach milczący wojownik zjedzeniem na tacy. Car'das przez chwilę zastanawiał się, czy nie zajrzeć do Quennto i Maris, ale uznał, że gdyby pragnęli jego towarzystwa, wiedzą, gdzie go znaleźć. Wobec tego zjadł posiłek sam.

Później usiadł przy stanowisku komputerowym i zaczął sprawdzać procedurę, jakiej Thrawn nauczył ich na pokładzie „Springhawka”, aby dostać się do słownika cheunh. Procedura zadziałała i na tym komputerze, więc zajął się nauką.

W pięć godzin później, kiedy drzemał nad klawiaturą, Chissowie wreszcie przyszli po niego.

Zaprowadzono go do ciemnego pomieszczenia, które bardzo przypominało Pierwszy Dziobowy Punkt Triangulacyjny. Szerokie okno wychodziło na jaskinię z dokami i Car'das widział odległy blask

silników napędowych, kiedy statek kierował się do korytarza wylotowego.

- Dobry wieczór, Car'das - odezwał się Thrawn z fotela w drugim końcu pokoju.

- Mam nadzieję, że pracowicie spędziłeś dzień.

- Dość pracowicie, owszem - zgodził się Car'das, podszedł i usiadł na fotelu obok. - Trochę popracowałem nad znajomością języka.

- To dobrze - odparł Thrawn.

- Chciałem cię przeprosić za nieuprzejme zachowanie arystokry Chaf'orm'bintrano.

- Przykro mi, że nie wzbudziliśmy jego sympatii - rzekł Car'das, siląc się na dyplomację. - Podobała mi się ceremonia powitalna, mam nadzieję zobaczyć więcej ciekawych obyczajów Chissów.

- Nie było to nic osobistego - zapewnił go Thrawn.

- Arystokra Chaf'orm'bintrano uważa waszą obecność tutaj za zagrożenie dla Dynastii.

- Mogę spytać, dlaczego?

Thrawn leciutko wzruszył ramionami.

- Dla niektórych ludzi nieznane zawsze stanowi zagrożenie.

- Czasem nawet mają rację - zgodził się Car'das.

- Z drugiej strony wydaje mi się, że wy, Chissowie, doskonale potraficie o siebie zadbać w razie walki.

- Może masz rację - zgodził się Thrawn.

- Czasem sam się nad tym zastanawiam. Powiedz mi, czy rozumiesz koncepcję unieszkodliwienia potencjalnego wroga, zanim ten przypuści na ciebie atak?

- Chodzi ci o uderzenie wyprzedzające? - domyślił się Car'das.

- Oczywiście.

- Czy jest to popularne wśród twojego ludu?

- „Popularne” nie jest chyba odpowiednim słowem - zastrzegł się Car'das.

- Wiem, że niektórzy uważają to za niemoralne.

- A ty?

Car'das skrzywił się. Miał dwadzieścia trzy lata i pracował dla przemytnika, który lubił dokuczać Huttom. Co właściwie wiedział o wszechświecie?

- Myślę, że zanim zrobisz coś takiego, musisz być naprawdę przekonany, że to prawdziwe zagrożenie - odparł powoli. - To znaczy, musisz zdobyć dowód, że rzeczywiście planowali cię zaatakować.

- A jeśli ktoś nie planuje zaatakować osobiście ciebie, natomiast konsekwentnie atakuje innych?

Było całkiem oczywiste, do czego zmierza Thrawn.

- Mówisz na przykład o Vagaari? - zapytał Car'das.

- Właśnie - potwierdził Thrawn. - Jak już wspominałem, nie zaatakowali jeszcze terytorium Chissów, a nasza doktryna militarna mówi, że w takim przypadku należy ich ignorować. Czy istoty, na które polują Vagaari, mają prawo liczyć na naszą siłę militarną, czy powinniśmy po prostu stać z boku i przyglądać się, jak ich zarzynają i biorą do niewoli?

Car'das pokręcił głową.

- Zadajesz pytania, na które szukamy odpowiedzi od początku cywilizacji.

- Ukradkiem zerknął na komandora.

- Jeśli dobrze rozumiem, arystokra Chaf orm'bintrano nie zgadza się z tobą w tym punkcie.

- Cała rasa Chissów nie zgadza się ze mną w tym punkcie - sprostował Thrawn z odrobiną smutku w głosie.

- Albo często tak mi się wydaje. Z ulgą słyszę, że to zagadnienie nie jest równie oczywiste dla innych jak dla naszych Rodów Panujących.

- Czy powiedziałaś arystokrze o statku Vagaarich? - zapytał Car'das.

- Zdaje się, że ich łupy pochodziły z najróżniejszych kultur.

- Powiedziałem, ale nie wywarło to na nim szczególnego wrażenia - odparł Thrawn. - Dla niego doktryna o reakcji wyłącznie obronnej nie pozwala na wyjątki.

- A jeśli wśród ofiar były rasy, które znacie? - podsunął Car'das.

- Przyjaciele, a nawet tylko partnerzy handlowi? Czy to sprawiłoby jakąś różnicę?

- Wątpię - w zadumie odparł Thrawn.

- Rzadko handlujemy poza granicami. Ale masz rację, warto chyba dokładniej przyjrzeć się skarbowi.

- Przechylił głowę na bok.

- Masz ochotę być przy tym?

- Pewnie - ucieszył się Car'das.

- Choć nie wiem, w czym mógłbym pomóc.

- Może uda ci się rozpoznać choć niektóre artefakty - wyjaśnił Thrawn i wstał.

- Jeśli oni polują również na światach waszej Republiki, możesz zdobyć przy tym dodatkowe dane, które się wam przydadzą.

- Chyba powinieneś zaprosić również Maris i Quennto - przypomniał Car'das, wstając. - Podróżowali o wiele więcej niż ja.

- Dobry pomysł - zgodził się Thrawn i ruszył przodem w kierunku wyjścia.

- Dzięki temu kapitan Quennto będzie mógł wybrać

sobie przedmioty, które chciałby zatrzymać dla siebie - uśmiechnął się lekko.

- Pozwoli to także określić w przybliżeniu wartość przedmiotów.

- Nie jesteś ani trochę cyniczny, prawda, komandorze? - prychnął Car'das.

- Ja tylko staram się zrozumieć reakcje innych - odparł Thrawn.

- Może dlatego nie mam problemów z filozofią czekania, zamiast działania.

- Może - zgodził się Car'das. - Nie wiem, czy to ważne, ale ludzie, którym pomagasz swoimi działaniami, zapewne nie będą mieli żadnych moralnych dylematów.

- Masz rację - odparł Thrawn - Choć ich wdzięczność może mieć krótki żywot.

- Czasami - przytaknął Car'das.

- Ale nie zawsze.

ROZDZIAŁ 8

Obi-Wan z westchnieniem wyłączył komunikator i wsunął za pas.

- Wciąż nic? - zapytał Anakin.

- Nic - powiedział Obi-Wan, spoglądając w ciemniejące niebo. Zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy, a w okolicznych domach zapalały się światła; to rodziny spotykały się na wieczornym posiłku.

Anakin mruknął coś pod nosem.

- Powinniśmy próbować skontaktować się z nią wcześniej - dodał.

- Próbowaliśmy - przypomniał Obi-Wan.

- Ale zbyt byłeś zajęty zabawą swoopem Duefgrina, żeby to zauważyć.

- Wybacz, mistrzu, ale to nie była zabawa - sztywno oznajmił Anakin.

- Brof, którego szukaliśmy, nazywa się Jhompfi i mieszka w pierścieniu mieszkalnym Ukryty Gąszcz. Podobno wykorzystuje te silniki w śmigaczu, którym przemycą pałeczki rissle od Karfów.

Obi-Wan wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Kiedy się tego wszystkiego dowiedziałeś?

- Kiedy ty spacerowałeś po okolicy, szukając śladów - wyjaśnił Anakin. Trudno było jednocześnie okazać pretensje i zadowolenie, ale jakoś mu się udało.

- Tylko ze mną w ogóle chciał rozmawiać - zmarszczył nos.

- Zdaje się, że nie bardzo ufa dorosłym.

- Powinieneś być powiedzieć o tym natychmiast, kiedy tylko uzyskałeś tę informację - kwaśno zauważył Obi-Wan, wsuwając kartę z przewodnikiem do notatnika i wprowadzając wyszukiwanie pierścienia mieszkalnego.

- Nie przyszło ci do głowy, że Lorana może mieć kłopoty?

- Nie, ale za to przyszło mi do głowy, że jeśli odejdziemy zbyt szybko, Duefgrin może skontaktować

się z Jhompim i ostrzec go - odparł Anakin.

- Padawanie, powinieneś znać swoje miejsce - ostrzegł chłopca Obi-Wan. Ostatnio powtarzał to ostrzeżenie coraz częściej.

- Przepraszam, mistrzu - westchnął teatralnie Anakin.

Na ekranie notatnika pojawiła się mapka, ukazująca drogę do pierścienia mieszkalnego Ukryty Gąszcz.

- Zobacz sobie - rzekł Obi-Wan, przechylając notatnik tak, aby i Anakin mógł widzieć.

- Ale Jhompim poszedł w innym kierunku, kiedy się rozstali z Duefgrinem - zauważył niepewnie chłopak.

- Wiem - pośepnie odparł Obi-Wan.

- Ale na razie to wszystko, co mamy. Musimy się temu przyjrzeć.

Sąsiedztwo pierścienia Ukryty Gąszcz przypominało inne miejsca, jakie Obi-Wan widywał w czasie swoich podróży po Republice. Ubogie, ale czyste domostwa, gdzie ludzie pracują ciężko, aby mieć chociaż to, co mają, starając się jednocześnie zachować dumę i godność.

Wiedział, że niektórzy Jedi traktują takie miejsca i ludzi z politowaniem. On sam jednak wolał ich od mieszkańców najwyższych poziomów Coruscant, którzy wprawdzie byli znacznie zamożniejsi, ale ich moralność pozostawiała wiele do życzenia. Większość istot zamieszkujących miejsca takie jak to była przyjazna i szczerą, nie snuła ukrytych planów politycznych, nie pragnęła stanowisk i władzy.

A jeśli już ktoś chciał kogoś wykończyć, wbijał mu nóż w plecy, zamiast uśmiechać się zdradziecko.

- Od czego zaczynamy? - mruknął Anakin, kiedy znaleźli się przy żywopłocie po drugiej stronie ulicy.

- Zaczniacie od tego, żeby nie wchodzić mi w drogę - rozległ się za jego plecami cichy głos.

Obi-Wan obrócił się pięcie, a jego ręka powędrowała pod tunikę w kierunku miecza świetlnego. Wtedy zza żywopłotu, który właśnie mijali, wychynęła znajoma twarz.

Wystarczyło jedno spojrzenie.

- Cześć, Riske - rzekł Obi-Wan, zwalniając uchwyt na rękojeści miecza.

- Tak myślałem, że cię tu spotkam.

- Mógłbym powiedzieć to samo - skrzywił się Riske, ruchem głowy wskazując koniec żywopłotu.

- Wpadniecie na chwilę do mojego biura?

Obi-Wan rozejrzał się wokoło. W zapadającym zmierzchu przechadzało się tylko kilku Brolfów, a żaden nie patrzył w ich stronę. Szturchnął więc Anakina w ramię i błyskawicznie przeskoczył nad żywopłotem. Wylądował w kucki. Anakin znalazł się obok niego niemal w tej samej chwili.

- Uparty jesteś, to muszę ci przyznać - rzekł Riske, przeciskając się w ich stronę, ale jednocześnie starając się pozostać w ukryciu.

- Co tu robicie?

- Szukamy Brolfa imieniem Jhompfi - wyjaśnił Obi-Wan.

- Kazał komuś ukraść dwa silniki impulsowe dzisiaj po południu. Mieliliśmy nadzieję dowiedzieć się, po co.

- Kiedy go już dorwiecie, możecie spytać o materiały wybuchowe, które znikły z kopalni, gdzie pracował albo on, albo jego bliscy przyjaciele - posępnie zaproponował

Riske.

- Albo o system stabilizacji, który inny jego przyjaciel wypożyczył sobie z ulubionego swoopa szefa, albo o cylindry z uszczelnieniem stopowym, które znikły z jeszcze innego warsztatu. Widzisz w tym jakąś prawidłowość?

Obi-Wan skrzywił się

- Ktoś buduje sobie raketę domowej roboty.

- Albo dwie, albo trzy - dodał Riske.

- A przy tym trudno nam będzie zapytać o to Jhompfięgo albo któregoś z jego przyjaciół, bo wszyscy jakby się zapadli pod ziemię.

- Cudownie - mruknął Obi-Wan, wyglądając ponad żywopłotem.

- Też bym tak to ujął - powiedział Riske.

- Czemu się nim interesujesz?

- Nasza przyjaciółka, padawanka, na którą natknąłeś się wcześniej, śledziła go - wyjaśnił Obi-Wan.

- Znikła i nie mogę jej złapać na komunikatorze.

- Szkoda - bąknął Riske.

- Miła dziewczyna, ale nie nadaje się do walki.
 - Nie mamy zamiaru z niej rezygnować - zaprotestował Obi-Wan.
 - Masz jakiś pomysł, gdzie ukrył się Jhompfi?
 - Gdybym wiedział, pewnie nie kręciłbym się tutaj - odparował Riske.
 - Kazałem ludziom przeszukać ośrodki Gildii Górniczej, ale jeśli Jhompfi nie wróci do domu, to nie będzie też na tyle głupi, aby się tam schronić.
 - Więc co robimy? - zapytał Anakin.
 - Ja osobiście zamierzam w tej chwili wrócić do hotelu i sprawdzić stan przygotowań naszej ochrony - rzekł Riske.
 - Pewnie wrócę tu jeszcze dzisiaj... robaki durabetonowe pojawiają się najczęściej wtedy, kiedy budynek już się wali na głowę.
 - Mogą próbować jutro ataku na centrum administracji miasta - podsunął ObiWan.
 - Nie sądzę - odparł Riske.
 - Jhompfi raczej nie zechce atakować miejsca, gdzie negocjuje mistrz jego własnej gildii. Nie, to będzie raczej hotel, a może droga do centrum administracji... ale rano.
- Niestety wywody Riskego brzmiały sensownie.
- Niech będzie - rzekł Obi-Wan.
 - Zajmij się tą sprawą, a my poszukamy Lorany.
 - Życzę szczęścia.
 - Riske pokręcił głową.
 - Wiesz, niedawno omal nie przyczepiłem jej układu naprowadzającego, żeby tylko trzymała się ode mnie z daleka. Szkoda, że tego nie zrobiłem.
 - Ja też zaczynam żałować - zgodził się Obi-Wan.
 - Musimy po prostu sami sobie poradzić.
 - Jedi podobno są w tym dobrzy - rzekł Riske, wyjmując kartę danych i podając Obi-Wanowi.
 - To da wam bezpośrednie połączenie z moim komunikatorem, pewne i szyfrowane. Jeśli dowiecie

się czegoś, dajcie znać, dobrze?

- Oczywiście - obiecał Obi-Wan, wsuwając kartę do pokrowca swojego komunikatora.

Riske skinął głową i odszedł. Dotarł do końca żywoplotu, wyrzwał, okrążył go i ruszył szybkim krokiem.

- Co teraz? - zapytał Anakin.

- Lepiej, żeby mistrz Cbauth wiedział, co się stało - niechętnie wyjaśnił Obi-Wan. - On i Lorana są ze sobą dość blisko, więc mógłby rozpoznać jej podpis w Mocy.

- Może i tak - z powątpiewaniem odparł Anakin, kiedy dotarli do końca żywoplotu i wyszli na chodnik.

- Wiesz, chyba wszyscy powinniśmy nosić układy naprowadzające.

Obi-Wan spojrział na niego z ukosa.

- Znam przynajmniej jednego takiego, który powinien - mruknął pod nosem.

- Co mówiłeś?

Mistrz Jedi pokręcił głową.

- Nic takiego.

Kiedy Cbauth wreszcie raczył odpowiedzieć przez komunikator, nie wydawał się wcale zadowolony, że mu się przeszkadza. Był jeszcze mniej zachwycony, kiedy usłyszał całą historię.

- Litościwie pominę kwestię waszej ingerencji w sprawy Barloka wbrew moim wyraźnym rozkazom - zagrmiał mistrz Jedi. Obi-Wan mógł sobie doskonale wyobrazić jego groźne oczy błyskające spod krzaczastych brwi.

- Najważniejsze w tej chwili jest to, że naraziliście na niebezpieczeństwo moją padawanę.

- Rozumiem twój gniew, mistrzu Cbauth... - zaczął Obi-Wan.

- Gniew? - przerwał mu Cbauth.

- Jedi nie odczuwają gniewu, mistrzu Obi-Wanie.

- Przepraszam - odparł Obi-Wan, usiłując zdusić własną irytację. Czy cytowanie kodeksu Jedi to jedyne, co Cbauth umiał zaproponować w takiej sytuacji?

- Nieodpowiednio dobrałem słowa.

- Już lepiej - oznajmił Cbauth.

- A ty, padawanie Skywalker? Masz jakieś pomysły?

Obi-Wan podsunął komunikator chłopcu.

- Raczej nie, mistrzu Cbauth - odparł Anakin.

- Obchodzi mnie głównie bezpieczeństwo Lorany. Obawiam się, że mogli ją zabić.

Przez monet Cbauth nie odpowiadał.

- Ona z pewnością żyje - rzekł wreszcie.

- Poczuję takie zakłócenie w Mocy.

- A więc możesz ją namierzyć? - z nadzieją zawołał Anakin.

- Jedno z drugim niekoniecznie idzie w parze - rozczarował go Cbauth.

- Niestety, nie potrafię w tej chwili wychwycić jej znaczników w Mocy. Mistrzu Kenobi, powiedziałaś, że rozmawiałeś z chłopcem, który ukradł silniki. On może wie

dzieć, gdzie znajdują się ulubione kryjówki Jhompflego.

- Nie sądzę - odparł Anakin.

- On raczej nie należał do tej całej konspiracji.

- Skoro jednak zna Jhompflego, może wiedzieć coś o jego przeszłości, co nas naprowadzi na trop.

- Wątpię, żeby chciał o tym rozmawiać - odparł Obi-Wan.

- A przynajmniej nie z obcymi

- Wcale nie sugerowałem, że on będzie chciał. Obi-Wan poczuł ucisk w gardle.

- Sugerujesz, abym wpłynął na jego umysł?

- Oczywiście, że nie - zapewnił go Cbauth. Ale zrobił to, o czym Obi-Wan dobrze wiedział, wyłącznie na użytek Anakina. W istocie propozycja Cbautha była jednoznaczna.

- Jesteśmy obrońcami słabych, nie agresorami. Jednak popełniono zbrodnię wobec Jedi. Takie czyny nie mogą ujść bezkarnie... nawet, jeśli padawanka Jinzler sama nie próbowała walczyć we własnej obronie - dodał posępnie.

Obi-Wan zmarszczył brwi.

- Nie słyszałem, żeby ktoś w mieście walczył na miecze świetlne, mistrzu Kenobi - cierpliwie tłumaczył Cbaoth.
- Nie dotarli również do moich uszu informacje na temat poobcinanych kończyn. Lorana Jinzler jest tylko padawanka, ale z pewnością nauczyłem ją walczyć.
- Nie wątpię w to - odparł Obi-Wan i nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Jeśli istotnie Lorana spokojnie zareagowała na porwanie...
- Dziękuję, że poświęciłeś mi czas, mistrzu Cbaoth.
- Oczekuję, że moja padawanka znajdzie się u przy mnie, kiedy rano spotkam się z magistratem Argente i mistrzem gildii Gilfrome'em jutro rano - ostrzegł Cbaoth.
- Rozumiem - skinął głową Obi-Wan. Przerwał połączenie i wsunął komunikator z powrotem za pas.
- Jak ją znajdziemy? - zapytał Anakin.
- Mistrz Cbaoth sam nam podpowiedział - odrzekł Obi-Wan.
- Ma rację: gdyby Lorana się broniła, usłyszelibyśmy o tym. Z tego wynika, że się poddała.
- Pewnie tak - zgodził się chłopak.
- I co z tego?
- Prawdopodobnie uznała, że spokojne poddanie się da jej więcej niż walka - wyjaśnił Obi-Wan. - Mogła mieć nadzieję, że zabiorą ją do centrali konspiracji, gdzie spotka się z jej przywódcami.

Ale...

Pozwolił, aby to słowo zawisło w powietrzu, w nadziei, że Anakin podejmie tok rozumowania.

- Ale musieliby chyba być niespełna rozumu, aby zaprowadzić Jedi do swoich dowódców - powoli stwierdził chłopak. - Nawet padawana.
- Zgoda - potwierdził Obi-Wan. - A jak najłatwiej poznać, że ktoś taki jak Lorana jest Jedi?
- Jeśli się przy niej znajdzie miecz świetlny - dokończył Anakin, wyrażając głośno ostrożną nadzieję Obi-Wana.
- Musiała się go pozbyć!
- Racja - potwierdził Obi-Wan.

- Prawdopodobnie zrobiła to pod wpływem chwili, gdzieś blisko miejsca, gdzie została porwana.
- I na tyle blisko, że będziemy mogli wyczuć jego kryształ Ilum - z podnieceniem zawołał Anakin.
- Ale musimy się znaleźć jak najbliżej, prawda?
- Tu na ulicy mamy na to szansę - zauważył Obi-Wan.
- Gdyby Lorana razem z mieczem świetlnym znalazła się w budynku, nie mielibyśmy szans zlokalizować kryształu. A przynajmniej nie z zewnątrz.
- Wskazał na ulicę, teraz już pogrążoną w mroku, jeśli nie liczyć bladego światła latarni ulicznych.
- Zaczniemy od okolic Ukrytego Gąszczy. Jhompfi był wystarczająco przebiegły, aby trzymać się z dala od własnego domu, ale może jednak okazał się dość głupi, aby kręcić się koło domu przyjaciela. Jeśli nic nie znajdziemy, zaczniemy przeczesywać biedniejsze okolice dzielnicy Patameene.
- Bo Jhompfi dobrze się czuje w takim otoczeniu?
- Raczej dlatego, że tu właśnie używają żywopłotu zamiast murków, aby oznaczać granice działek - wyjaśnił Obi-Wan.
- Nie wbijesz miecza świetlnego w kamienny mur, tak żeby nikt tego nie zauważył. Jeśli tam jej nie znajdziemy, przeniesiemy się do bogatszych dzielnic.

Anakin odetchnął głęboko.

- Doskonale. Jestem gotów, a ty?
- Też - odparł Obi-Wan.
- Więc oczyść umysł, młody padawanie. To może być długa noc.

Wędrowali ulicami już od wielu godzin, kiedy nagle Obi-Wan poczuł ukłucie, którego oczekiwał.

Miecz świetlny Lorany i jego kryształ Ilum były gdzieś blisko.

Spojrzał kątem oka na Anakina, czekając, aż chłopiec również to wyczuje. Nawet w tak poważnej sytuacji szkolenie i ćwiczenia padawana musiały dać rezultaty.

Zrobili jeszcze trzy kroki, kiedy Anakin nagle zawahał się i przystanął.

- Tutaj - rzekł.
- Prosto przed nami i na lewo.

- Doskonale - z aprobatą powiedział Obi-Wan, obserwując

okolice. Wciąż jeszcze dobre dwie godziny dzieliły ich od świtu, domy wokoło były ciemne i ciche, a ich mieszkańcy pogrążeni w głębokim śnie.

A przynajmniej większość. Ci, którzy ich interesowali, z pewnością nie spali.

- Nie idź po niego - powstrzymał Anakina, kiedy chłopiec ruszył w kierunku krzaka, w którym ukryty był miecz Lorany.

- Przejdźmy na drugą stronę, szybko... teraz!

Razem okrążyli żywopłot i skryli się za nim.

- Czy ktoś nas obserwuje? - zapytał szeptem Anakin, kiedy podczołgali się na odległość kilku metrów od miecza.

- Za chwilę się dowiemy - odrzekł Obi-Wan.

- Powiedz, co byś zrobił, gdybyś pilnował więźnia w środku nocy i nagle pod twoimi oknami zaczęło się dziać coś dziwnego?

- Nie wiem. - Anakin zmarszczył brwi w zadumie.

- To by chyba zależało od tego, jak dziwne są to rzeczy.

- No to sprawdźmy.

- Obi-Wan sięgnął w Moc i na odległość włączył miecz świetlny Lorany.

Zielone ostrze wytrysnęło ze stłumionym sykiem, zaskakująco jaskrawe w mroku. Kilka drobnych listków, odciętych od gałęzi, spadło na ziemię, ale rękojeść, solidnie wkliniowana w krzak, nawet się nie poruszyła się.

- A teraz się okaże, kto w okolicy nie śpi - mruknął.

Nie musieli długo czekać. Już minutę później drzwi w jednym z domów po drugiej stronie ulicy otwały się i wyrzwał z nich samotny Brolf, nerwowo strzelając oczami na wszystkie strony. Widząc, że ulica jest pusta, poczłapał w kierunku błyszczącego miecza.

Przez chwilę gapił się na niego niepewnie, a potem odważnie sięgnął w gąszcz gałęzi i uwolnił rękojeść. Trzymając ją w wyciągniętej ręce, obrócił ostrożnie, widocznie zastanawiając się, jak wyłączyć klingę.

- Pozwól, ja to zrobię - odezwał się Obi-Wan, wynurzając się zza żywopłotu. Sięgnął poprzez Moc i wyłączył miecz.

Brolf był rzeczywiście szybki. Ostrze jeszcze nie zdążyło zniknąć, kiedy zaczął działać. Odskoczył na bok i cisnął rękojęcią wprost w twarz Obi-Wana, drugą ręką wyrywając miotacz spod tuniki.

Szybki, ale głupi. Obi-Wan był Jedi i miał refleks Jedi, więc własny miecz świetlny trzymał w dłoni, zanim jeszcze Brolf zaczął swój skok. Sięgnął wolną ręką, złapał miecz Lorany, a swój zapalił. Niedbale przejął na ostrze strzał Brolfa i odbił go w nocne niebo.

Brolf jednak uparł się strzelać dalej, z brakiem wyobraźni godnym robota bojowego. Obi-Wan wszedł w tryb bojowy, skupił uwagę na swoim wnętrzu i pozwolił, aby Moc kierowała jego dłońmi, gdy odbijając strzały szedł ku napastnikowi.

I nagle, korzystając z tunelowego widzenia, jak przez mgłę wyczuł, że coś się dzieje po drugiej stronie ulicy. Brolf również to zobaczył lub usłyszał i przez moment jego koncentracja uległa osłabieniu, a spojrzenie powędrowało w tamtym kierunku.

Tego właśnie potrzebował Obi-Wan. Jednym susem skoczył do przodu i krótkim, kontrolowanym cięciem przepołowił miotacz Brolfa.

Brolf był szybki w ataku, ale teraz równie szybko porzucił pozostałą mu w garści część miotacza i popędził ulicą w takim tempie, jak tylko mogły go unieść krótkie nóżki. Obi-Wan przez chwilę zastanawiał się, czy go nie gonić, ale zmienił zdanie i spojrzał w kierunku domu, z którego tamten się wynurzył.

Dopiero wtedy zorientował się, że Anakin gdzieś przepadł.

- Co za smarkacz! - syknął pod nosem i biegiem ruszył w tamtym kierunku. W

głębi domu ujrzał przytłumione, niebieskie błyski światła, a kiedy skierował się ścieżką do otwartych drzwi, usłyszał znajomy pomruk miecza świetlnego padawana. Przyspieszył kroku i wpadł do środka.

Znalazł Anakina w jednym z wewnętrznych pomieszczeń. Chłopiec stał nad bezwładnym ciałem Lorany i trzymał miecz przed sobą, terroryzując nim dwójkę Brolfów wciśniętych w kąt. Trzeci, martwy, leżał na ziemi obok szczątków miotacza.

- Mistrzu - odezwał się chłopak bez powodzenia, siląc się na obój ętny ton. - Znalazłem ją.

- Widzę - odparł Obi-Wan, wyłączył swój miecz i ukląkł obok młodej kobiety. Jej oddech i puls były słabe, ale równe.

- Czego użyliście? - skierował pytanie do Brolfów w kącie.

Żaden z nich nie odpowiedział.

- Nic nie widziałem, kiedy tu wszedłem - powiedział Anakin.

- Więc muszą to mieć przy sobie - mruknął Obi-Wan. Wyminął Anakina, włączył miecz i spokojnie ruszył w ich kierunku.

Podobnie jak Brolf na zewnątrz, żaden z nich nie był zainteresowany heroiczną śmiercią.

- On to ma - rzekł jeden pośpiesznie, wbijając paluch w bok partnera.

- Proszę bardzo - zgodził się tamten, wyciągnął spod tuniki strzykawkę i rzucił ją pod nogi Obi-Wana.

- Dziękuję - grzecznie odrzekł Jedi.

- Dołożymy do tego wasze komunikatory, dobrze? I oczywiście broń.

W chwilę później obok strzykawki spoczęły dwa komunikatory i dwa długie noże.

- Co z nimi zrobimy? - zapytał Anakin.

- Wszystko zależy od tego, czym ją nafaszerowali - złowroźnie odparł Obi-Wan, wyłączając miecz świetlny. Wziął do ręki strzykawkę - oczywiście bez etykiety. Uruchomił techniki podwyższające czułość zmysłów Jedi, wycisnął na rękaw szaty kropelkę cieczy i podniósł do twarzy.

Wystarczyło jedno pociągnięcie nosem.

- W porządku - zapewnił Anakina, kiedy poziom wrażliwości zmysłów wrócił do normy. - To silny narkotyk, ale nie trucizna. Nic jej nie będzie, kiedy się zbudzi.

Gestem wskazał obu Brolfów.

- To oznacza, że unikniecie oskarżenia o morderstwo - poinformował ich.

- No, przynajmniej do momentu, dopóki nie eksploduje wasza rakietka domowej roboty.

Obaj więźniowie wyraźnie podskoczyli na dźwięk słowa „rakietka”.

- Nie mamy z tym nic wspólnego - zaprotestował jeden.

- To wszystko był pomysł Fihdana. No i tego człowieka.

Obi-Wan zmarszczył czoło. Więc w to wszystko zamieszany był człowiek?

- Co to za człowiek? - zapytał. - Jak się nazywa?

- Kazał się nazywać Obrońcą - rzekł Brolf. - Tylko tyle wiem.

- A jak wygląda?

Brolf bezradnie spojrzał na towarzysza.

- Jak człowiek - rzekł drugi, wykonując niejasny gest dłonią.

- Może potrzebują większej perswazji, mistrzu? - zapytał Anakin, a w jego głosie zabrzmiała twarda nuta.

Obi-Wan z trudem powstrzymał uśmiech. Z doświadczenia wiedział, że groźby ze strony czternastolatka rzadko są przekonujące.

Opuścił wzrok na leżącego u jego stóp martwego Brolfa. Cóż, może tym razem jednak były.

- Nie przejmuj się - powiedział.

- Oni prawdopodobnie po prostu nie umieją go opisać.

- Chyba Riske mógłby coś z nich wydobyć - podsunął Anakin. Przez chwilę Obi-Wan miał wielką ochotę na takie rozwiązanie.

W końcu spiszek skierowany był przeciwko magistratowi Argente, więc wypadałoby przekazać ich ludziom Argente na przesłuchanie.

Ale nie było to zgodne z metodami działania Jedi.

- Oddamy ich w ręce miejskiej policji - poinstruował Anakina, wyjmując komunikator. - A potem chyba będziemy musieli zaczekać, aż Lorana się obudzi. Może ona powie nam więcej.

- Będziemy czekać tutaj? - zmarszczył brwi Anakin.

- Oczywiście - odparł Obi-Wan, uśmiechając się półgębkiem.

- W końcu może zajrzy tu Jhompfi, Filvian albo Obrońca.

- Racja - ze zrozumieniem mruknął Anakin.

- Jeśli będziemy mieć trochę szczęścia.

Statek Vagaarich był zakotwiczony na zewnątrz bazy Crustai na asteroidzie, jakieś ćwierć obwodu od tunelu wejściowego. Thrawn z trójką ludzi udał się tam jednym z transporterów z doku, kierowanym przez wojownika Chissa. Przycumowali przy samym statku.

Ku skrywanemu przerażeniu Car'dasa ciała obcych wciąż tam były leżały, gdzie upadły.

Quennto również nie wydawał się z tego zadowolony.

- Macie zamiar tutaj w końcu posprzątać czy nie? - zapytał z niesmakiem, kiedy przemykali między

trupami w kierunku skarbcza.

- W końcu tak - zapewnił go Thrawn.

- Najpierw jednak musimy się dowiedzieć wszystkiego, co się da, na temat strategii i taktyki nieprzyjaciela. W tym celu trzeba się dowiedzieć, kim był każdy z walczących i w jakiej pozycji się znajdował, kiedy zginął.

- Czy nie należałoby umieścić tego statku w mniej widocznym miejscu? - zapytała Maris. Tym razem trzymała się mocno ramienia Quennto i widać było, że nie radzi sobie już tak dobrze jak za pierwszym razem. Car'das poczuł lekką satysfakcję.

- Później przeniesiemy go do wnętrza bazy - wyjaśnił Thrawn.

- Najpierw jednak musimy się przekonać, czyjego silniki i uzbrojenie nie zawierają niebezpiecznych składników.

Skarbiec, podobnie jak korytarze, wyglądał dokładnie tak samo jak tuż po zdobyciu statku, z jednym wyjątkiem: para Chissów kręciła się wokół stosów bogactw, naj

widoczniej rejestrując je czujnikami.

- Rozdzielcie się - polecił Thrawn ludziom.

- Sprawdźcie, czy nie traficie na coś znajomego.

- Na przykład na różne waluty? - upewnił się Quennto, rozglądając się po pomieszczeniu.

- A może mówisz o klejnotach? - dodała Maris.

- Myślałem raczej o dziełach sztuki - odparł Thrawn, wskazując gestem zestaw kolumn. - Te tutaj prawdopodobnie zostały wykonane przez istoty z dodatkowym stawem pomiędzy nadgarstkiem a łokciem, których widzenie jest znacznie przesunięte w kierunku niebieskiej i ultrafioletowej części widma.

Quennto i Maris spojrzeli po sobie.

- Myślisz, że to Frunchie? - podsunęła Maris.

- To możliwe - zgodził się Quennto, spojrzawszy podejrzliwie na Thrawna, uwolnił się od ramienia Maris i podszedł do kolumnienek.

- Kim są Frunchie? - zainteresował się Car'das.

- Frunchettan-sai - wyjaśniła Maris. - Mają kilka skolonizowanych światów na Zewnętrznych Rubieżach. Rak nazywa ich Frunchie, bo...

- Niech mnie pokręci - mruknął Quennto, przerywając jej w pół słowa. Pochylił się nisko nad kolumnami, przekrzywiając głowę na bok.

- Co jest? - zapytała Maris.

- On ma rację - rzekł Quennto ze zdumieniem.

- Kolumna jest podpisana oficjalnym pismem Frunchów. - Obejrzał się na Thrawna z dziwnym wyrazem twarzy.

- Myślałem, że nigdy nie zapuszczałeś się w przestrzeń Republiki.

- Według mojej najlepszej wiedzy rzeczywiście tak jest - odparł Thrawn.

- Ale charakterystykę fizyczną artysty możesz odgadnąć, jak tylko spojrzysz na pracę.

- Może dla ciebie to oczywiste - burknął Quennto, spoglądając na kolumny.

- Dla mnie wcale.

- Dla mnie też nie - zawtórowała mu Maris. Thrawn uniósł brwi i spojrzał na Car'dasa. - Aty?

Car'das spojrzał na dzieła sztuki, usiłując zobaczyć subtelne znaki, które dostrzegł Thrawn. Bezskutecznie.

- Przykro mi.

- Może to faktycznie szczęście - rzekł Quennto, opuszczając kolumny i podchodząc do skomplikowanej, biało-niebieskiej rzeźby.

- Popatrzmy... tak, dobrze. Tak sądziłem.

Spojrzał przez ramię na Thrawna.

- A co powiesz o tym?

Thrawn przez chwilę przyglądał się rzeźbie w milczeniu; potem przesunął wzrokiem po innych przedmiotach, jakby szukając inspiracji.

- Artysta był humanoidem - rzekł wreszcie.

- Proporcje miał jednak odmienne niż ludzie i Chissowie... szerszy tors albo dłuższe ramiona.

- Oczy zwęziły mu się lekko.

- Był w dziwnym stanie emocjonalnym. Powiedziałbym, że ci ludzie są jednocześnie odważni i tchórzliwi... boją się obiektów fizycznych, wśród których żyją.

Quennto syknął ze zdumienia.

- Nie wierzę - rzekł. - On dokładnie opisał Pashvi.

- Nie sądzę, abym ich znała - zastanowiła się Maris.

- Mają system na skraju Dzikich Przestworzy - wyjaśnił Quennto.

- Byłem tam kilka razy... mają na swoje dzieła sztuki mały, ale stabilny rynek odbiorców, głównie w Sektorze Korporacyjnym.

- A co komandor Thrawn mówił na temat ich strachu przed obiektami fizycznymi? - dopytywał się Car'das.

- Ich świat usiany jest tysiącami kamiennych słupów - rzekł Quennto.

- Większość najwartościowszych roślin jadalnych rośnie na ich szczytach. Na nieszczęście, żyje tam również pewien paskudny latający drapieżnik. W efekcie... no, jest właśnie tak, jak powiedział.

- Wywnioskowałeś to z jednej rzeźby? - zapytała Maris, zerkając na Thrawna z dziwnym wyrazem twarzy.

- Właściwie nie z jednej - sprostował Chiss.

- Jest tu... niech spojrzę... dwanaście takich rzeźb.

- Wskazał jeszcze dwa miejsca w skarbcu.

- Jesteś pewien? - zapytał Car'das, przyglądając się wskazanym rzeźbom i płaskorzeźbom. - Nie wydają mi się ani trochę podobne.

- Zostały stworzone przez różnych artystów - wyjaśnił Thrawn

- Ale rasa ta sama.

- To naprawdę dziwne - odparł Quennto, kręcąc głową.

- Jak te dziwaczne sztuczki Jedi.

- Kim są Jedi? - zapytał Thrawn.

- To strażnicy pokoju w Republice - wyjaśniła Maris.

- Prawdopodobnie tylko dzięki nim utrzymujemy się tak długo razem. To bardzo potężne, bardzo

szlachetne istoty.

Quennto pochwycił wzrok Car'dasa i lekko zmarszczył nos. Car'das wiedział, że opinia Quennto na temat Jedi jest zdecydowanie mniej pochlebna niż jego partnerki.

- To brzmi intrygująco. - Thrawn skinął głową w kierunku rzeźby.

- Przypuszczam, że ci Pashvi nie opieraliby się zanadto atakom Vagaarich.

- Raczej nie - posepnie przytaknął Quennto.

- To raczej spokojna rasa. Nie nadaje się do walki.

- A wasza Republika i ci Jedi... nie mogliście ich obronić?

- Jedi jest zbyt mało - wyjaśnił Car'das.

- A poza tym Dzikie Przewrotza nie stanowią części Republiki.

- A nawet gdyby, rząd jest zbyt zajęty własnymi intrygami, żeby zwracać uwagę na takie drobiazgi jak sprawa życia i śmierci

- mruknęła Maris z goryczą w głosie.

- Rozumiem - rzekł Thrawn.

- No cóż, kontynuujmy nasz przegląd. Poinformujcie mnie, jeśli natkniecie się na cokolwiek z waszej części przestrzeni.

Spojrzał na Maris.

- A przez ten czas opowiedz mi trochę o tych Jedi.

ROZDZIAŁ 9

- Mistrz gildii Gilfrome jest tutaj - odezwał się cichy głos Anakina z komunikatora Obi-Wana.
- Właśnie wchodzi po schodach do wschodniej bramy.
- Magistrat Argente też tu jest - poinformował Obi-Wan, obserwując od zachodniej bramy budynku administracyjnego, jak dostojnik wchodzi po schodach, ciasno otoczony grupą swoich ludzi.
- Mistrz Cbaoth i Lorana przechodzą już przez rynek.
- I nic się nie wydarzyło? - zapytał Anakin.

Obi-Wan w zadumie poskrobał się po policzku. Wyczekiwany atak na magistrata Argente nie nastąpił ani w nocy, ani po drodze do sali konferencyjnej. Teraz, kiedy na scenie pojawił się też przedstawiciel górników, ostatnia szansa konspiratorów przepadła, przynajmniej dopóki negocjacje nie zostaną przerwane na lunch.

- Przynajmniej na razie - rzekł mistrz Jedi.
- Ale pozostań czujny.

Argente i jego ludzie dotarli do szczytu schodów i Obi-Wan skłonił się na powitanie. Grupa wyminęła go bez jednego spojrzenia i znikła w budynku. Ukrywając irytację, Obi-Wan spojrzał na Cbaotha i Lorane, którzy właśnie wstępowali na schody. Zauważył, że Lorana jest blada, a jej chód odrobinę niepewny. Miała jednak bardzo zdeterminowaną minę i kiedy dotarła do szczytu schodów, uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

- Mistrz Kenobi - szepnęła, skłaniając głowę.
- Nie miałam jeszcze okazji podziękować ci za to, co zrobiliście dla mnie wczoraj z Anakinem.
- Teraz też nie jest na to odpowiednia chwila - wtrącił Cbaoth, ale kiedy wymieniali ukłony, w jego oczach pojawił się błysk aprobaty.
- Wciąż istnieje zagrożenie, zarówno dla negocjatorów, jak i dla samych negocjacji. Pozostań tu z mistrzem Kenobim i obserwuj, czy w tłumie nie zobaczysz znajomych twarzy.
- Tak jest, mistrzu Cbaoth - szepnęła Lorana.

Cbaoth jeszcze raz skinął głową Kenobiemu i wyminął go, wchodząc do budynku. Lorana i Obi-Wan pozostali sami.

- Jak się czujesz? - zapytał Kenobi.
- O wiele lepiej, dziękuję - odparła.
- Ale nie bardzo wiem, co mogę tu zdziałać - dodała, odwracając się w kierunku rynku, rozlpościerającego się pod nimi niemal od stóp schodów.
- Widziałam tylko trzech konspiratorów.
- To o trzech więcej niż ktokolwiek z nas - zauważył Obi-Wan.
- Pomijając tych, którzy już siedzą, naturalnie.
- Może ich aresztowanie wystraszyło pozostałych?
- Mogło ich odwieść od ataku raketowego, ale na pewno nie poddadzą się bez walki - tłumaczył Obi-Wan.
- Wydają się ogarnięci obsesją, że Sojusz Korporacyjny usiłuje okraść ich planetę z bogactw naturalnych, a obsesja tym się charakteryzuje, że nie dopuszcza do siebie żadnej logiki. Pójdą dalej samym rozpędem.

Lorana pokręciła głową.

- Obawiam się, że ten sposób myślenia jest mi obcy.
- Powinnaś się nauczyć to rozumieć - powiedział Obi-Wan.
- Obsesje ogarniają czasem nawet najsilniejsze osoby, często z powodu najszlachetniejszych motywów.
- Ogarnął ręką otoczenie.
- Ale teraz, kiedy my pilnujemy tego wejścia, Anakin i Riske drugiego, a policja i Sojusz Korporacyjny obserwują niebo, powinniśmy móc się obronić przed wszystkim, co wykombinują.
- Mam nadzieję, że to prawda - mruknęła Lorana.
- Jeśli nie, mistrz Cbaoth nigdy nie pozwoli nam o tym zapomnieć.

Ulokowany na balkonie pokoju hotelowego Doriana uśmiechnął się na widok sceny, która rozgrywała się u jego stóp. Gracze już się zebrali, czas rozpocząć przedstawienie.

Podniósł komunikator, włączył go i wprowadził odpowiedni kod aktywacyjny. Potem odłożył aparacik na bok i rozsiadł się wygodnie, żeby popatrzeć.

Nawet dla zanurzonej w Mocy Lorany jedynym ostrzeżeniem było niewielkie zamieszanie na lewym skraju rynku - nagły ruch sprzedawców, którzy rozpierzchli się na boki, oddalając od jednego ze straganów.

- Coś się dzieje - ostrzegła.

Zaledwie dokończyła te słowa, stragan eksplodował w błysku ognia i kłębach dymu.

- Uwaga! - warknął Obi-Wan, a za jej plecami rozległ się syk włączanego miecza.

Lorana chwyciła swój miecz i włączyła go, usiłując przebić wzrokiem rozprzestrzeniającą się chmurę dymu. Na ile mogła stwierdzić, nic innego się nie działo.

- Po prawej! - ostrzegł Obi-Wan.

Lorana obejrzała się i ku swojemu przerażeniu zobaczyła srebrzysty cylinder wystrzeliwujący z innego straganu. Leciał o metr nad ziemią i prosto na nich.

- Mam go! - zawołała, stając cylindrowi na drodze i unosząc miecz świetlny w trzeciej pozycji ataku. Obrona przed nadlatującymi pociskami była umiejętnością, którą Cbaoth wpoił jej podczas nieskończonych godzin wyczerpujących ćwiczeń. Za sobą wyczuła Obi-Wana, który cofnął się i zajął pozycję rezerwową. Uspokoiła oddech i obserwowała nadlatujący pocisk, usiłując nie myśleć o tym, co się stanie, jeśli swoim atakiem zdetonuje głowicę...

Pocisk był już blisko; nagle, bez ostrzeżenia, stożkowaty dziób eksplodował w gęstym dymie, a na padawanek spadła struga czarnej cieczy.

Zacisnęła mocno oczy, odruchowo uskakując. Czowała, że pocisk przelatuje obok i zamachnęła się mieczem tak mocno, jak tylko mogła.

Straciła jednak równowagę i kiedy jej ostrze przecięło powietrze, wiedziała, że już jest za późno.

Za plecami usłyszała, że syk miecza Obi-Wana zmienia ton, kiedy Jedi zaatakował pocisk. Ale ryk rakiety wzmógł się; najwyraźniej włączyły się nowe silniki. Owionęła ją gorąca fala spalin i Lorana wiedziała już, że Obi-Wan także chybił.

- Szybko! - zawołał. Jakaś ręka chwyciła Loraną za ramię. Poczowała, że biegną przez chmurę gorącego powietrza i rozpraszającego się dymu za rakieta. Zamrugwała, potem otworzyła oczy, ignorując pieczenie spowodowane przez czarną ciecz i ujrzała, jak rakieta meandruje przez całą szerokość centralnego korytarza, niczym robot szukający celu. Po drugiej stronie budynku zauważyła Riskego i Anakina, biegnących od drugiej bramy. Anakin trzymał w ręku zapalony miecz świetlny, miotacz Riskego pluł ogniem bez żadnego efektu. Obi-Wan puścił ramię Lorany, zablokował miecz w pozycji włączonej i rzucił nim w rakieta.

Zanim wirujące zielone ostrze dotarło do pocisku, dziób rakiety opadł, a korpus wykonał ostry zwrot

w lewo. Padawanka wyczuła, jak Obi-Wan sięga w Moc, usiłując ponownie naprowadzić miecz na cel, ale wiedziała, że zabraknie im czasu.

A to oznaczało, że pozostała jej jedyna droga. Zamknęła oczy, sięgnęła w Moc i zwróciła swoje myśli ku mistrzowi. „Mistrzu C'baoth - posłała niespokojną myśl w kierunku sali konferencyjnej za arkadą - zagrożenie. Zagrożenie. Zagrożenie”. Rakieta znikła pod arkadą, a Lorana dołączyła do wszystkich, ścigających ją przez korytarz. Dogoniła Obi-Wana już prawie przy wejściu i wraz z nim wybiegła zza zakrętu.

I ujrzała niesamowity widok.

Siedzący po obu stronach stołu przedstawiciele górników i Sojuszu Korporacyjnego odwrócili się w swoich fotelach i spoglądali z mieszaniną zaskoczenia, fascynacji i strachu na pocisk, który zakłócił ich poważne obrady. Pomiędzy nimi, na wpół uniesiony z fotela, stał Cbaoth i z płonąącym wzrokiem wyciągał ku rakiemie otwartą dłoń.

A rakieta zamarła w powietrzu, w pół drogi pomiędzy arkadą a stołem. Jej silniki pluły bezradnie ogniem, próbując pchnąć ją do przodu, żeby pokonała tarczę Mocy Cbaotha.

- Nie obawiajcie się już - odezwał się mistrz Jedi spiszowym głosem.

- Jak widzę, niektóre osoby uważają, że wiedzą lepiej, co jest sprawiedliwe i dobre

dla Barloka. Sądzą też, że jeśli nas zabiją, spełnią się ich żądania? I że terror zastąpi rządy sprawiedliwości? Czy to możliwe?

Silniki plunęły ogniem jeszcze raz i zamilkły, ale rakieta wciąż wisiała w powietrzu.

- Dziękuję, mistrzu Cbaoth - rzekł Obi-Wan, ruszając w kierunku rakiety.

- Zostań tam, mistrzu Kenobi - rozkazał stanowczo Cbaoth.

- Już wiemy, w co wierzą nasi napastnicy. Magistracie Argente, mistrzu gildii Gilfrone - dodał, spoglądając twardo to na jednego, to na drugiego - czy wy też tak uważacie?

Argente pierwszy odzyskał głos.

- Ależ nie - rzekł łamiącym się głosem, nie odrywając oczu od rakiety, któraomal nie przyniosła im wszystkim nagłej i gwałtownej śmierci.

- Więc dlaczego uparcie podważacie legalne prawa ludu Barloka? - zapytał Cbaoth.

- A wy - dodał, zerkając w kierunku Gilfrone'a - dlaczego się upieracie, aby ignorować czas i wydatki, jakie Sojusz Korporacyjny poświęcił na uwolnienie zasobów, które w przeciwnym razie na zawsze pozostałyby bezużytecznie pogrzebane pod ziemią waszego świata? Gilfrone zjeżył się.

- Proszę posłuchać, mistrzu Cbaoth...

- Nie, to ty posłuchaj - przerwał mu Cbaoth, znów patrząc na Argente.

- Obaj słuchajcie. Poznałem wasze argumenty i stanowiska, i samolubną małość. I mówię: dość tego!

Powoli zamknął wyciągniętą dłoń. Z ostrym trzaskiem miażdżonego metalu korpus rakiety zapadł się i pogniół.

- Lud Barloka domaga się decyzji sprawiedliwej i uczciwej - rzekł nieco spokojniej mistrz, gestem zapraszając Obi-Wana, aby podszedł.

- Powiem wam, jaka będzie decyzja.

W sali zapanowała cisza, gdy Obi-Wan podszedł do zmiażdżonej rakiety i przejął jej ciężar od Cbaotha. Wciąż trzymając ją przed sobą w uchwycie Mocy, odwrócił się i wyprowadził pocisk na korytarz. Lorana spojrzała pytająco na Cbaotha, zauważyła nieznaczne skinienie głową i podążyła za Obi-Wanem.

Dopiero wtedy zwróciła uwagę na stojącego u wejścia Anakina, który z dziecinnym zachwytem w oczach wpatrywał się w mistrza Cbaotha.

- Ale im nawrzucał - jęknął chłopiec, kiedy Obi-Wan i Lorana zbliżyli się do niego.

- Chodź ze mną - rzekł Obi-Wan i marszcząc lekko czoło przyjrzał się chłopcu.

- Oddajmy ten złom policyjnej grupie saperskiej.

- Raport - zażądał chropowaty głos Dartha Sidiousa. Jego zakapturzona twarz wisiała nad holoprojektorem.

- Operacja na Barloku okazała się całkowitym sukcesem, mój panie - rzekł Dorian.

- Obie strony negocjacji były tak wstrząśnięte atakiem, że Cbaoth zdołał im narzucić ugodę.

- I oczywiście wziął na siebie całą chwałę?

- Znając Cbaotha, nie miałbym co do tego najmniejszych wątpliwości - odparł Dorian.

- Na szczęście cała planeta wydaje się zachwycona tym stanem rzeczy. Jeszcze dzień lub dwa, a mistrz będzie bohaterem całego sektora. Daj mu tydzień, a zorganizuje własną paradę zwycięstwa na środkowych poziomach Coruscant.

- Dobrze sobie poradziłeś - pochwalił Sidious.

- A co z nieoczekiwaną ingerencją Kenobiego i Skywalkera?
- To nieistotne - odparł Dorianą, zastanawiając się po raz kolejny nad szybkością i zasięgiem informatorów lorda Sith. Nie wspomniał nawet o nieprzewidzianym zjawieniu się Obi-Wana na Barloku, a jednak Sidious najwidoczniej o wszystkim wiedział. Musiał mieć doskonałe źródła informacji.
- Musiałem tylko dodać zbiornik cieczy chłodzącej do dzioba rakiety - ciągnął Dorianą - żeby się upewnić, że nie zdołajającej zatrzymać, dopóki nie dotrze do sali konferencyjnej, gdzie Cbaoth będzie mógł odegrać swoją dramatyczną życiową rolę.
- I ani on, ani Kenobi nie podejrzewali, że manipulowałeś zdarzeniami?
- Nie, mój panie - zapewnił Dorianą.
- Moje źródła potwierdzają, że policyjny analityk poznał, iż zbiornik został dodany w ostatniej chwili, ale wywnioskował, że to z powodu pojawienia się na scenie Cbaotha, nie zaś Kenobiego.
- Nie chcę, żeby Kenobi przypisał sobie jakieś zasługi - ostrzegł Sidious.
- Nie można pozwolić, aby zmniejszył triumf Cbaotha.
- Nie robi tego - uspokoił go Dorianą.
- Kenobi nie jest typem poszukującym publicznej wdzięczności, a Cbaoth z całą pewnością nie podzieli się z nim chwałą z własnej woli.
- A więc wszystko idzie zgodnie z moim planem - powiedział Sidious z satysfakcją.
- Opozycja w senacie i radzie Jedi przeciwko ukochanemu projektowi Cbaotha stopnieje teraz w słońcu jego świeżo odzyskanej popularności.
- W razie czego mam jeszcze kilka planów awaryjnych - rzekł Dorianą.
- Wystarczy jedno słowo do ucha Palpatine'a.
- Wiem - zgodził się Sidious.
- A skoro mowa o Palpatinie, lepiej wynieś się z Barloka i wróć do normalnych zadań. Chciałbym tylko, abyś się postarał o stanowisko osobistego przedstawiciela wielkiego kanclerza przy końcowych przygotowaniach do Lotu Pozagalaktycznego.
- Osiągnę to bez trudu, mój panie - zapewnił go Dorianą.
- Palpatine jest tak zajęty innymi sprawami, że z przyjemnością powita możliwość zrzucenia tego problemu na moje barki.

- Cieszę się - rzucił Sidious.

- Dobrze się spisałeś, mój przyjacielu. Skontaktuj się ze mną, kiedy wrócisz na Coruscant, a wtedy omówimy ostatnie szczegóły.

Obraz znikł, a Dodana przerwał połączenie. Przyszło mu do głowy, że ktoś bardziej prymitywny, nawet taki mistrz Ciemnej Strony jak Lord Tyranus, mógłby próbo wać wyeliminować Cbaotha bezpośrednio, poprzez zwykłe morderstwo, przy okazji ataku bardziej kompetentnych konspiratorów.

Lecz, jak wspomniał sam Sidious, Dorigana był człowiekiem subtelnym. Dlaczego usuwa jednego potężnego wroga, jakim niewątpliwie był Jorus Cbaoth, kiedy można przy okazji pozbyć się tylu Jedi, ilu się zgodzi wziąć udział w Locie Pozagalaktycznym?

Uśmiechając się do siebie, Dorigana zaczął rozmontowywać swój hołoprojektor. Jorus Cbaoth, mistrz Jedi i potencjalne zagrożenie dla planów Dartha Sidiousa dotyczących Republiki, był już trupem.

Tylko jeszcze o tym nie wiedział.

W Centrum Przygotowań dobiegał końca długi, frustrujący dzień, kolejny z szeregu dni ciągnących się chyba od początków czasu. Chas Uliar otworzył drzwi do swojego apartamentu i jeszcze raz zastanowił się, czy dobrze robi.

Skończył dopiero co szkołę, kiedy skontaktowała się z nim komisja rekrutacyjna Lotu Pozagalaktycznego, a on zaciągnął się na fali młodzieńczego optymizmu i podniecenia. Teraz jednak, po dwóch latach coraz wolniej postępujących przygotowań i wydłużających się opóźnień, emocje zaczęły przygasać. Ostatnio krążyły nawet plotki, że senacki Komitet Uwłaszczeniowy postanowił wykreślić z podróży wszystkie rodziny, co właściwie zmieniłoby Lot Pozagalaktyczny w nieco rozszerzoną misję militarną.

A to z kolei pozbawiłoby go jedynej cechy, która czyniła z niego tak wyjątkowy projekt. Czy jednak krótkowzroczni biurokraci z Coruscant troszczyli się kiedykolwiek o coś tak banalnego, jak historia chwały, a nawet wizja przyszłości Republiki?

Płyty jarzeniowe we wspólnym pomieszczeniu były wyłączone, ale kiedy je włączył, zauważył smugi światła pod drzwiami obu sypialni. A zatem przynajmniej dwóch z trzech współtowarzyszy było w domu. Projektanci specjalnie upchnęli rekrutów w niewielkich, ciasnych kwaterach, aby odtworzyć warunki ograniczonej przestrzeni, jakie będą panować na sześciu dreadnaughtach, kiedy Lot Pozagalaktyczny wreszcie ruszy w swoją misję. Niektórzy uczestnicy, zwłaszcza ci z rządziej zaludnionych światów na Środkowych Rubieżach, nie mogli sobie poradzić z brakiem prywatności i uciekli, ale sam Uliar nie miał z tym żadnych problemów.

Co prawda, jeżeli wszystkie rodziny zostaną wyłączone z projektu, jak tego chce Senat, kwaśno pomyślał Uliar, każdy będzie mógł mieszkać sam w takim apartamencie.

Właśnie rozglądał się po spiżarni, zastanawiając się, co chce na kolację, kiedy za jego plecami otworzyły się drzwi jednej z sypialni.

- Cześć, Chas - przywitał się Brace Tarkosa.

- Słyszałeś wieści?

Uliar pokręcił głową.

- Byłem przez cały dzień na D-Pięć, próbując obejść problem z dopływem paliwa - rzekł, odwracając się.

- Niech zgadnę, Senat uciął cały projekt?

- Wręcz przeciwnie - odparł Tarkosa ze śmiechem. Był potężnym mężczyzną, o dwa lata starszym od Uliara, podobno też należał do grupy pierwszych pięciuset ludzi, którzy zaangażowali się w projekt. - Nie tylko nas nie zamykają, ale przywrócili pełne fundusze i dali zezwolenie na ostateczny montaż wszystkich dreadnaughtów. A do tego sami zgodzili się na rodziny.

Uliar wytrzeszczył oczy.

- Chyba żartujesz - prychnął.

- Czy ktoś na Coruscant najadł się zepsutych małży na kolację i doznał objawienia?

Tarkosa pokręcił głową.

- Chodzą plotki, że to wszystko robota mistrza Jedi Cbautha. Dwa dni temu z wielkim hukiem wrócił z jakichś negocjacji i swoim impetem przewalił wszystkie decyzje komitetu.

- Podniósł palec. - Wygląda mi na to, że polecą z nami jacyś Jedi.

- Ilu?

- Nie wiem - odrzekł Tarkosa.

- Prawdopodobnie tylu, ilu sobie zażyczy Cbauth.

- Czyż to nie urocze? - mruknął Uliar, czując pierwszy powiew nadziei. Plotki krążące po bazie były warte tyle co problemy sprzętowe, a on z całą pewnością nie zamierza wierzyć we wszystko, co Usłyszysz, ale jeśli Jedi rzeczywiście zabrali się do projektu, może Wszystko wreszcie zacznie się kręcić. W końcu wiatr słoneczny unosił ich żagle, a wszyscy wiedzieli, że Jedi są dobrzy w tym, co robią.

- I kiedy to wszystko ma nastąpić?

- Teraz to już lada dzień - zapewnił go Tarkosa i uśmiechnął się krzywo.
- Hej, uwierz mi. Chodź, weźmiemy Keely'ego i przejdziemy się do kafejki na kolację.
- Idźcie sami - zdecydował Uliar, wracając do przeglądu spiżarni. Wyjął paczkę racji żywnościowych.
- Ja zaczekam ze świętowaniem, aż Jedi rzeczywiście się tu zjawią.
- Sześciu? - z niedowierzaniem powtórzył Obi-Wan.

- Oczywiście razem z Cbaothem - potwierdził Windu. Siedział sztywno w fotelu, wpatrując się w wieczorny krajobraz Corascant widoczny przez okno Sali Rady.

- Ado tego zaciągnęło się jeszcze jedenastu rycerzy Jedi.

Obi-Wan skrzywił się. Sześciu mistrzów, plus jedenastu rycerzy, w tych niespokojnych czasach było niemałą grupą.

- Myślałem, że ty i mistrz Yoda daliście mu do zrozumienia, że nie może zabrać więcej niż dwójkę Jedi.

- To było przed Bartokiem - smętnie przypomniał Windu, odwracając się do Kenobiego. - A po Barloku... no cóż, powiedzmy, że nawet rada nie jest całkowicie odporna na naciski.

- Tak, słyszałem coś niecoś na ten temat - skinął głową Obi-Wan.

- Cbaoth wciskał swoje argumenty każdemu, kto chciał i nie chciał słuchać.

- W dodatku kiedy chce, potrafi być bardzo przekonujący - odrzekł Windu.

- Nie spodziewałem się jednak, że tak wielu da się porwać jego entuzjazmowi.

Obi-Wan zmarszczył czoło. Mistrz Jedi Mace Windu, tak silny Mocą jak żaden Jedi w Republice... i nie przewidział czegoś tak niezwykłego?

- Nie mogłeś odmówić im zezwolenia?

- Oczywiście, mogłem to zrobić - powiedział Windu.

- Ale obawiam się, że spowodowałoby to tylko dalsze rozdźwięki. Nie możemy sobie na to pozwolić, nie w tych niespokojnych czasach. A jeśli mam być szczery, obecność silnej grupy Jedi na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego naprawdę może się przydać.

- Urwał i przyjrzał się twarzy Obi-Wana.

- Powiedz mi, czy śledczy na Barloku zlokalizowali albo chociaż zidentyfikowali kiedykolwiek tego człowieka, który według Brolfów pomagał im w przygotowaniu ataku raketowego?

- Na pewno nie przed naszym wyjazdem - odparł Obi-Wan.

- A potem też nie słyszałem nic na ten temat. Dlaczego pytasz?

- Jakoś mnie to niepokoi - przyznał Windu.

- Jakiś człowiek pomaga przygotować atak raketowy, który zaraz potem zostaje udaremniony przez innego człowieka. Przypadek?

Obi-Wan uniósł wysoko brwi.

- Sugerujesz, że Cbaoth mógł sam zaaranżować całą tę sytuację?

- Naturalnie, że nie - zapewnił Windu, ale nie mówił tego z pełnym przekonaniem. - Tylko Jedi, który przeszedł na Ciemną Stronę, mógłby być zdolny do takiej chłodnej kalkulacji. Nie mogę uwierzyć, aby to było jego dzieło, nawet dla sprawy, w którą się tak mocno zaangażował.

- Z drugiej strony podejrzewamy, że gdzieś tu może się kręcić jakiś Sith - zauważył Obi-Wan.

- Może... Nie, sam w to nie wierzę.

- Ale nie możemy sobie pozwolić na ryzyko - przypomniał Windu.

- Dlatego wezwałem cię tu dzisiaj wieczorem. Chcę, żebyś wraz z Anakinem udał się do Cbaotha i poprosił, aby was ze sobą zabrał. Nie, nie do drugiej galaktyki - dodał pośpiesznie, kiedy Obi-Wanowi opadła szczęka.

- Tylko na tę część wyprawy, która obejmie Nieznane Rejony.

- To może zająć kilka miesięcy - zaprotestował Obi-Wan.

- Mam coś do załatwienia na Sulorine.

- Czasem najważniejszym zadaniem Jedi jest stać z boku i czekać - łagodnie zwrócił mu uwagę Windu.

- Mam nadzieję, że od czasu do czasu przypominasz o tym Anakinowi.

Obi-Wan skrzywił się.

- Nie częściej niż dwa razy dziennie - przyznał.

- Czy masz jakiś pomysł, jak przekonać Cbaotha, żeby zawrócił na skraju galaktyki i odwiózł nas z

powrotem?

- To byłaby interesująca rozmowa, chętnie bym jej posłuchał - oschle stwierdził Windu.
- Myślałem raczej, że na pokładzie jednego z dreadnaughtów zostawię dla was skysprite'a Delta-Dwanaście. To większa, dwuosobowa wersja aethersprite DeltaSiedem, na których się szkoliłeś, ale bez uzbrojenia. Kuat Systems ma nadzieję wejść z nimi na rynek cywilny za kilka miesięcy.
- Mam rozumieć, że bez hipernapędu na pokładzie? Windu pokręcił głową
- Używa tego samego pierścienia hiperprzestrzennego Trans-GalMeg co aethersprite.
- Bo ja wiem? - z powątpiewaniem mruknął Obi-Wan, przeliczając wszystko w myśli. - Mówimy o ogromnej przestrzeni dla takiej zabawki. Zwłaszcza z dwójką ludzi na pokładzie.
- Rzeczywiście, może być trudno, ale to jest wykonalne - zapewnił go Windu.
- Zwłaszcza że obaj z Anakinem możecie zastosować hibernację Jedi, aby oszczędzić na powietrzu i racjach żywnościowych.

Obi-Wan rozłożył ręce.

- Jeśli tego właśnie życzy sobie rada, razem z Anakinem gotowi jesteśmy wykonać polecenie. Oczywiście, o ile Cbauth nas weźmie ze sobą.
- Znajdźcie tylko drogę na pokład - poradził Windu i oczy pociemniały mu nagle.
- Jakkolwiek to osiągniecie.

R O Z D Z I A Ł 10

- Jaki jest twój zawód? - zapytał Thrawn w cheunh.
- Jestem kupcem - odparł Car'das ostrożnie w tym samym języku, zmuszając oporne gardło do wydawania dziwacznych dźwięków.
- Thrawn zdziwiony uniósł brwi.
- Jesteś kutrem rybackim? - zapytał, przechodząc na basie. Car'das spojrzał niepewnie na Maris.
- Właśnie to powiedziałaś - potwierdziła z uśmiechem. Car'das podniósł rękę, ale zaraz z powrotem opuścił ją na kolano.
- Jestem kupcem - rzekł, poddając się i przechodząc na język handlowy minnisiat.
- Ach, tak? - odparł Thrawn w tym samym języku.
- Jesteś kupcem?
- Jestem - Car'das pokręcił głową.
- Naprawdę powiedziałem, że jestem kutrem rybackim?
- Pohskapforian, Pohskapforian - wymówił Thrawn.
- Nie słyszysz różnicy?
- Car'das skinął głową. Słyszał różnicę pomiędzy głoskami „p” w drugiej sylabie, z przydechem i bez, doskonale ją słyszał. Po prostu sam nie umiał zaznaczyć tej różnicy.
- I pomyśleć, że ćwiczyłem przez cały wieczór - burknął.
- Ostrzegałem, że cheunh prawdopodobnie będzie przekraczał twoje fizyczne możliwości - przypomniał mu Thrawn.
- Jednak w biernej znajomości tego języka zrobiłeś zdumiewające postępy, zwłaszcza jak na pięć tygodni. A jeśli chodzi o naukę w minnisiat w tym samym okresie... doprawdy, to niezwykle. Podziwiam cię.
- Spojrzał na Maris - Oboje was podziwiam.

- Dziękuję, komandorze - odparł Car'das.
- Wywrzeć na tobie wrażenie i zasłużyć na pochwałę to wielkie osiągnięcie.
- Teraz to ty mi pochlebiasz - ostrzegł Thrawn z uśmiechem.
- Czy to właściwe słowo? Pochlebiać?
- Słowo jest właściwe - potwierdził Car'das. Jeśli nawet rzeczywiście wraz z Maris poczynili postępy w swojej pracy, Thrawn zdecydowanie przewyższył ich pod każdym względem w nauce basica. Był to wyczyn tym bardziej niezwykły, że Chiss miał o wiele mniej wolnego czasu, który mógłby poświęcić na naukę języka.
- Nie zgodziłbym się jednak z jego wykorzystaniem - dodał.
- „Pochlebstwo” sugeruje przesadę, a nawet fałsz. Moje stwierdzenie było prawdziwe.

Thrawn skłonił głowę.

- Więc przyjmuję pochwałę tak, jak została wyrażona.
- Spojrzał na Maris.
- A teraz, Ferasi, gotów jestem spełnić twoje specjalne życzenie.
- Specjalne życzenie? - zmarszczył brwi Car'das.
- Ferasi poprosiła mnie o opisanie jednego z dzieł sztuki w skarbcu na pokładzie statku Vagaarich - wyjaśnił Thrawn.
- Naprawdę? - Car'das spojrzał na nią ze zdziwieniem.
- Chciałam poćwiczyć terminologię abstrakcyjną i przymiotniki - wyjaśniła, wytrzymując jego spojrzenie.
- Jasne, w porządku - pospiesznie uspokoił ją Car'das.
- Po prostu byłem ciekaw.

Wytrzymała jego wzrok jeszcze przez ułamek sekundy, po czym zwróciła się znów do Thrawna.

- Mogę zapytać, co wybrałaś?
- Mowy nie ma - odparł z uśmiechem.
- Będziesz musiała to wydedukować z mojego opisu.

- Ooo... - jęknęła, wyraźnie zbита z tropu. Spojrzała na Car'dasa i mocno zacisnęła wargi. - W porządku, jestem gotowa.

Oczy Thrawna straciły nagle ostrość spojrzenia. Zapatrzył się w przestrzeń.

- Kolory zmieniają się jak kawałek tęczy wpleciony w zalany słońcem wodospad...

Car'das wsłuchiwał się w melodyjny strumień słów cheunh, usiłując nadażyć za treścią i jednocześnie obserwować Maris kątem oka. Ona także miała pewne trudności, widział, że czasem poruszała ustami, jakby powtarzała bardziej skomplikowane określenia. Jednak, kiedy patrzyła na Thrawna, w jej oczach tliło się coś jeszcze poza koncentracją.

Nie było to spojrzenie, jakim uczennica powinna obdarzać swojego nauczyciela języka. Z całą pewnością nie było to również spojrzenie, jakim uwięziona powinna obdarzać swojego strażnika.

Poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku, Przecież Maris nie mogła zadurzyć się w Thrawnie! Z pewnością nie pozwoliłaby uwieść się jego inteligencji, uprzejmości i wytwornemu obejściu.

Przecież była partnerką i drugim pilotem Quennto. Car'das nigdy nie widział Quennto w ataku zazdrości, ale raczej nie chciałby zmieniać tego stanu rzeczy.

- ...z głębokim wrażeniem odosobnienia i walki pomiędzy artystą a jego ludem.

- Piękne - mruknęła Maris, a jej oczy zaśniły mocniej, gdy zerknęła na Thrawna.

- To był ten obraz z rzeźbionymi krawędziami, prawda? Krajobraz z falą ciemności wznoszącą się w górę od dolnego rogu?

- Zgadza się - potwierdził Thrawn i spojrzał na Car'dasa.

- Czy ty również go zidentyfikowałeś?

- Eee... nie - przyznał się Car'das.

- Koncentrowałem się głównie na rozumieniu słów.

- Koncentrując się na słowach, całkowicie zatracasz znaczenie zdania - zauważył Thrawn. - W życiu często się tak zdarza. Nie wolno nigdy tracić szerszej perspektywy. - Spojrzał na rządę światełek na ścianie nad drzwiami i wstał.

- Dzisiejsza lekcja dobiegła końca. Muszę się spotkać z moim gościem.

- Masz gościa? - zapytała Maris, kiedy oboje z Car'dasem wstali z miejsc.

- Admirał Floty Obronnej Chissów przyjeżdża, aby przejąć statek Vagaarich - wyjaśnił Thrawn, kiedy skierowali się do drzwi.

- Nie musicie się tym przejmować.
- A możemy obejrzeć ceremonię powitalną? - zapytał Car'das.
- Może tym razem zrozumieć przemówienia.
- Myślę, że mogę się na to zgodzić - rzekł Thrawn.
- Admirał Ar'alani z pewnością słyszała już o waszej obecności od arystokry Chaf orm'bintrano i zechce spotkać się z wami sama.
- Oboje są z tej samej rodziny? Thrawn pokręcił głową.
- Starsi oficerowie Floty Obronnej nie należą do żadnej rodziny - wyjaśnił.
- Zostali pozbawieni nazwisk rodowych i przywilejów, stanowiąc część Hierarchii Obrony, aby mogli służyć Chissom bez różnic i przesądów.
- A więc dowództwo wojskowe otrzymuje się za zasługi, a nie za koneksje rodzinne? - zapytała Maris.
- Właśnie - potwierdził Thrawn.
- Oficerowie są przyjmowani do Hierarchii, kiedy się sprawdzą, dokładnie tak samo jak Rody Panujące same wybierają zasłużonych adoptowanych.
- Co to są zasłużeni adoptowani? - zapytał Car'das.
- Chissowie spoza linii krwi Rodu, potrzebni, aby ją wzbogacić, zróżnicować lub wzmocnić - wyjaśnił Thrawn.
- Wszyscy wojownicy zostają mianowani zasłużonymi adoptowanymi, kiedy wstępują do Floty Obronnej lub Floty Ekspansywnej.
- Poklepał ciemnowisniową patkę na ramieniu.
- Dlatego właśnie wojownicy noszą barwy jednego z Rodów.
- A który Ród jest twoim? - zapytała Maris.
- Ósmy - odparł Thrawn.
- Moja pozycja jest właściwie różna od większości wojowników, ponieważ zostałem mianowany Próbnym Urodzonym Rodu. Pozycja wojownika najczęściej automatycznie wygasa, kiedy opuszcza on szeregi wojska, ale ja zyskałem możliwość, że zostanę uznany za godnego wcielenia na stałe do Rodu. Może nawet zdobędę pozycje dalekiego krewnego, co powiąże moich spadkobierców i linię z

Rodem.

- Trochę to skomplikowane - zauważył Car'das.
- Raczej logiczne - sprzeciwiła się Maris.
- Republice przydałoby się coś takiego. Nie musiałyby uzależniać się od linii rodu ani wybierać tego, kto da najwięcej.
- Owszem - odparł niezobowiązująco Car'das. Nie była to dobra chwila na dyskusję o polityce Republiki.
- Mówisz, że tych rodów panujących jest dziewięć?
- Obecnie jest ich dziewięć - poprawił go Thrawn.
- Liczba zmienia się w miarę wydarzeń i powstawania fortun politycznych. W różnych okresach na przestrzeni wieków bywało ich od dwunastu do zaledwie trzech.

Dotarli do sali powitalnej i stwierdzili, że została już przygotowana na przyjęcie gościa. Ściany i sufit znikły pod dekoracjami całkowicie odmiennymi od tych, które przygotowano na przybycie arystokry Chaf'orm'bintrano. Car'dasowi wydawało się, że wystrój jest skromniejszy. Być może nawet starszy oficer nie znaczył tak wiele, jak daleki krewny jednego z Rodów Panujących.

- Ceremonia będzie znacznie krótsza i mniej formalna niż ta ostatnia, której byliście świadkami - uprzedził Thrawn, wskazując im miejsce po obu swoich bokach, ale o dwa kroki z tyłu. Zastanawiał się nad czymś przez chwilę, po czym obdarzył ich lekkim uśmiechem.

- Wygląd pani admirał może was też nieco zaskoczyć - dodał.

- Mam nadzieję, że później podzielicie się ze mną wrażeniami.

Odwrócił się w stronę drzwi i dał znak jednemu z wojowników. Z melodyjnym brzękiem, który Car'dasowi przypominał dzwonki wodne, drzwi rozsunęły się i stanęło w nich czterech czarno ubranych Chissów. Po wejściu zajęli pozycje po obu ich stronach. Car'das wyprostował się prawie na baczność, zastanawiając się, o co Thrawnowi chodziło, kiedy wspominał o wyglądzie pani admirał. W tej samej chwili w drzwiach pojawiła się wysoka kobieta.

Zamiast normalnego, czarnego munduru, od kołnierza po buty miała na sobie olśniewającą biel.

Car'das zamrugał z zaskoczenia, kiedy wyminęła eskortę i weszła do sali powitalnej. Wszyscy wojownicy Chissów, których widział do tej pory, nosili się na czarno, jeśli nie liczyć najwyraźniej rodowych strojów strażników towarzyszących Chaf'orm'bintrano. Czy to dlatego, że pani admirał związana była z Flotą Defensywną, a nie Ekspansywną?

Kobieta zatrzymała się na środku sali.

- W imieniu wszystkich, którzy służą Chissom, witam cię, admirał Ar'alani - zaintonował Thrawn, podchodząc o krok bliżej.

- Przyjmuję twoje powitanie i witam też ciebie, komandorze Mitth'raw'nuruodo - odpowiedziała admirał. Jej słowa skierowane były do Thrawna, ale wzrok spoczywał na parze stojących za nim ludzi. - Czy gwarantujesz bezpieczeństwo mnie i mojej załodze?

- Gwarantuję wam bezpieczeństwo własnym życiem i życiem tych, którzy znajdują się pod moim dowództwem - odrzekł Thrawn, skłaniając się nisko.

- Wejdz w pokoju i ufności.

Ar'alani skłoniła się również.

- Kim są ci, którzy stoją za tobą? - zapytała innym tonem. Widocznie w tym momencie ceremonia dobiegła końca.

- To goście z odległego świata - odpowiedział Thrawn, odwracając się lekko, by gestem zaprosić oboje do przodu.

- Car'das i Ferasi, przedstawiam wam admirał Ar'alani.

- Jesteśmy zaszczyceni, pani admirał - rzekł Car'das w cheunh, usiłując naśladować ukłon, który właśnie złożył Thrawn.

Ar'alani najwyraźniej miała ochotę się cofnąć.

- Arystokra Chaf orm'bintrano nie powiedział mi, że oni znają cheunh - zauważyła z lekkim oburzeniem.

- Arystokra Chaf orm'bintrano nie miał o tym pojęcia - uprzejmie odparł Thrawn. - Spędził tutaj niewiele czasu i nie wykazał zainteresowania moimi gośćmi.

Oczy Ar'alani spoczęły najpierw na nim, po czym przeniosły się na Car'dasa.

- Raport mówił, że powinno ich być troje.

- Trzeci jest zajęty - wyjaśnił Thrawn.

- Mogę go wezwać, jeśli chcesz.

Ar'alani uniosła brwi.

- A więc może swobodnie kręcić się po instalacjach Chissańskiej Floty Ekspansywnej?

Thrawn pokręcił przecząco głową.

- Cała trójka jest pod stałym nadzorem.

- Obserwujecie ich zatem?

- Oczywiście - odparł Thrawn, jakby to się rozumiało samo przez się.

Car'das z trudem powstrzymał grymas niezadowolenia. Od początku wiedział, że był to jeden z powodów, dla których Thrawn zatrzymał ich w bazie. Mimo wszystko nie było przyjemnie usłyszeć to na własne uszy.

- I czego się dowiedziałeś? - zapytała Ar'alami.

- Wielu rzeczy - odrzekł Thrawn.

- Ale to nie miejsce i czas na omawianie tego.

Oczy Ar'alami powędrowały ku wojownikom Thrawna, wciąż stojącym na baczność pod ścianami sali powitalnej.

- Masz rację - rzekła.

- Zechcesz pewnie odwiedzić przechwycony statek, zanim weźmiesz go na hol - ciągnął Thrawn.

- Wahadłowiec czeka.

- Bardzo chętnie - odparła Ar'alami, sięgając do pasa i dotykając gładkiego, obłego chissańskiego komunikatora.

- Pozwól, że wezwę mojego pasażera i możemy lecieć.

Oczy Thrawna zwęziły się lekko i po raz pierwszy Car'das ujrzał na jego twarzy cień zaskoczenia.

- Nie wspomniano mi ani słowa o pasażerach.

- Jego obecność nie jest oficjalnie sankcjonowana przez Flotę Obronną - wyjaśniła Ar'alami.

- Sprowadziłam go tutaj, aby wyświadczyć przysługę Ósmemu Rodowi Panującemu.

Zza jej pleców wynurzył się młody Chiss, ubrany w krótką szatę i wysokie buty w patchworkowy wzór. Na ustach miał lekki uśmiezek.

Thrawn zeszywniał.

- Thrass! - szepnął. Wyszedł mu na spotkanie, po czym mocno uścisnął jego dłoń i ramię. Tamten

odpowiedział tym samym gestem.

- Witaj - rzekł z uśmiechem Thrawn.

- To prawdziwa niespodzianka.

- Osiągnięcie, które rzadko mi się udaje - odrzekł Thrass, skłaniając głowę. Wciąż się uśmiechał, ale wokół jego oczu widać było ślady napięcia, kiedy podążył wzrokiem ponad ramieniem Thrawna.

Ten zauważył spojrzenie.

- Oto moi goście - rzekł, uwalniając ramię Thrassa i gestem wskazując na ludzi.

- Car'das i Ferasi, kupcy k'relleńscy z Republiki Galaktycznej.

- Opis arystokry Chaf orm'bintrano był niezbyt wierny - zauważył Thrass, mierząc ich wzrokiem od stóp do głów.

- Zwłaszcza jeśli chodzi o ubranie.

- Widocznie regularne dostawy najmodniejszych strojów z Csilli gdzieś przepadły - chłodno zauważył Thrawn.

- Car'das i Ferasi, oto syndyk Mitth'ras'safis z Ósmego Rodu Panującego. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Mój brat.

- Twój brat? - szepnęła Maris.

- O, a więc mówią w cheunh? - zdziwił się Mitth'ras'safis nieco bardziej oficjalnym tonem.

- Mniej więcej - odparł Thrawn.

- Admirał Ar'alani i ja zamierzaliśmy teraz zwiedzić przechwycony statek piratów. Dołączysz do nas?

- Głównie po to tu jestem - wyjaśnił Mitth'ras'safis.

- Głównie? - podchwycił Thrawn. Usta jego brata drgnęły lekko.

- No, są inne powody.

- Rozumiem - rzekł Thrawn.

- Ale o nich pomówimy później, Można prosić tędy, admirale?

Większa część lotu na drugą stronę asteroidy upłynęła w milczeniu. Thrawn od czasu do czasu wspominał coś na temat technicznych szczegółów konstrukcji statku piratów, ale ani admirał, ani Mitth'ras'safis nie wydawali się tym specjalnie zainteresowani. Odpowiadali niechętnie rzucanymi monosylabami lub zdawkowymi pytaniami. Eskorta admirała, jak przystało żołnierzom, milczała.

Raz czy dwa podczas drogi Car'das zauważył, że Mitth'ras'safis mierzy jego i Maris niechętnym wzrokiem, jakby zastanawiając się, po co Thrawn zabrał nie-Chissów na tę wyprawę. Ale nie poprosił o wyjaśnienie, a Thrawn nie miał zamiaru niczego tłumaczyć.

Ciała obcych zostały już dawno usunięte ze statku, ale Thrawn, mijając kolejne korytarze, miał im do przekazania wiele szczegółów - od prawdopodobnej charakterystyki nie mniej niż trzech ras niewolników Vagaari aż po urządzenia, których panowie prawdopodobnie pozwalali im używać.

Car'das nie słyszał wcześniej tej analizy, więc teraz zafascynowany chłonał słowa monologu komandora. Ar'alami i Mitth'ras'safis także te informacje przyjmowali w milczeniu.

Aż do momentu, kiedy dotarli do skarbca.

- A, tu jesteście - zagrzmiął z kąta pomieszczenia głęboki głos Quennto, który na widok wchodzących podniósł się i pomachał im starożytną tarczą bojową.

- Co ten obcy tutaj robi? - zapytała Ar'alami.

- Pomaga mi skatalogować to wszystko - odparł Thrawn.

- Niektóre z obrabowanych przez Vagaarich systemów należały do terytorium Republiki, a on ma pewną wiedzę na temat ich pochodzenia i wartości.

- Co on powiedział? - zainteresował się Quennto, zerkając na Maris.

Spojrzała pytająco na Thrawna.

- Mówcie w sybisti, jeśli można prosić - rzekł komandor, również przechodząc na ten język. - Nie możemy pozwolić, aby pani admirał i syndyk zostali wyłączeni z rozmowy.

- Tak, komandorze.

- Obejrzała się na Ojuennto i przetłumaczyła ostatni komentarz Thrawna.

- Jasne, pomagam katalogować... pewnie - rzekł Quennto, obserwując podejrzliwie nowo przybyłych.

- Wybieram również przedmioty, które będę chciał zabrać ze sobą.

- Jakże znów przedmioty? - zapytała Ar'alami w cheunh, mrużąc jarzące się oczy.

- Komandorze, o co tu chodzi?
- Proszę używać sy bisti, pani admirał - przypomniał jej Thrawn.
- To nie jest międzyrasowe kółko konwersacyjne - odparowała kwaśno Ar'alami, ignorując żądanie.
- Co właściwie obiecałeś tym obcym?
- To kupcy i handlarze - przypomniał jej Thrawn. W jego głosie również pojawiła się pewna irytacja.
- Zaoferowałem im pewną część tych przedmiotów jako rekompensatę za wielotygodniowe usługi.
- Jakie usługi? - prychnęła Ar'alami, mierząc groźnym wzrokiem to Maris, to Car'dasa, to Quennto.
- Dałeś im jedzenie i mieszkanie, nauczyłeś ich cheunh... i za to jeszcze należy im się wynagrodzenie?
- Uczymy też komandora naszego języka - zauważyła Maris.
- Nie odzywa się bez pytania do admirała Chissów - opryskliwie powiedziała Ar'alami.

Maris poczerwieniła.

- Przepraszam.
- Wystarczy tych skarbów zarówno dla gości, jak i dla Dynastii - rzekł Thrawn.
- Proszę tedy, pokażę wam pewne szczegóły w maszynowni.
- Skierował się ku drzwiom.
- Chwileczkę - wtrąciła Ar'alami, znów patrząc na tarczę, którą Quennto ten wciąż zadziornie trzymał przed sobą.
- Kto zdecyduje, które z tych przedmiotów ludzie będą mogli zabrać?
- Miałem zamiar pozostawić tę decyzję kapitanowi Quennto - rzekł Thrawn.
- Pracuje nad tym spisem już od kilku tygodni i doskonale się orientuje w zawartości skarbca. Mogę dać ci kopię spisu przed wyjazdem.
- Czy to będzie lista tego, co jest tu teraz? - zapytała Ar'alami.
- Czy tego, co było, zanim on wyniósł wybrane przez siebie przedmioty?

- Dostaniesz obie listy - zapewnił Thrawn, znów ruszając w kierunku drzwi.
- Wszelkie kontrole wykazały, że listy i opisy są wystarczająco dokładne. W każdym razie będziesz miała czas na przestudiowanie ich w drodze do domu.
- Mogę też obejrzeć je teraz - rzekła Ar'alami, gestem wzywając do siebie jednego z wojowników.
- Przynieś mi tę listę. Myślę, komandorze, że wolę sama zrobić inwentaryzację.
- Jak sobie życzysz, admirale - odparł Thrawn.
- Niestety, nie będę mógł pomóc ci przy tym. Mam niecierpiące zwłoki sprawy do załatwienia.
- Doskonale sobie poradzę bez twojej pomocy - warknęła pani admirał. Car'das odgadł, że po prostu wolałaby, aby jej nie patrzył na ręce.
- Dopilnuj tylko, żeby czekał na mnie wahadłowiec, którym będę mogła wrócić na statek, kiedy skończę.
- Jej wzrok spoczął na bracie Thrawna.
- Myślę, że syndyk Mitth'ras'safis powinien zostać ze mną. Oczywiście, jeśli syndyk się zgodzi.
- Nie mam nic przeciwko temu - zapewnił ją Mitth'ras'safis. Car'das odniósł wrażenie, że jest lekko zaniepokojony.
- Z przyjemnością wrócę do tej rozmowy, kiedy będzie wam to odpowiadało - rzekł Thrawn. Pochwycił wzrok Car'dasa i lekkim skinieniem głowy pokazał mu drzwi.

Uszli już jakieś dwadzieścia metrów od drzwi skarbcza, zanim Car'das odważył się przemówić.

- Nie masz tak naprawdę żadnych spraw do załatwienia, prawda? - zagadnął Thrawn ściszym głosem. - Chciałeś po prostu oddalić się na chwilę od pani admirał.
- To ciężki zarzut - łagodnie odparł Thrawn.
- Popsujesz dobrą opinię Ferasi na mój temat.

Ferasi...? - Car'das obejrzał się i stwierdził, że Maris istotnie idzie za nimi.

- O, cześć - powiedział speszony.
- Chyba nie całkiem zrozumiałeś sens tego, co zobaczyłeś, Jorj - wytknęła mu Maris.
- Komandor Thrawn nie uciekł od pani admirał. On zmusił ją, aby z własnej i nieprzymuszonej woli

pozostała w tyle.

- Co doprowadziło cię do takiego wniosku? - zapytał Thrawn.
- Cóż, w tej chwili po raz pierwszy usłyszałam, że Rak spędzał całe tygodnie na inwentaryzacji skarbu - odparła.
- A chyba wspomnieliby mi o tym.
- Ale nie zaprzeczył - zauważył Thrawn.
- Tylko dlatego, że ta część rozmowy przebiegała w cheunh
- wtrącił się Car'das, wreszcie chwytając, o co chodzi.
- A on nie rozumie tego języka.
- Doskonale - pochwalił Thrawn.
- Dobrze odgadliście.
- Więc co właściwie się dzieje? - zapytała Maris. Minęli zakręt i Thrawn raptownie przyspieszył.
- Miałem raport o kolejnym ataku Vagaari, który jeszcze trwa
- wyjaśnił. - Zamierzam się temu przyjrzeć.
- Jak daleko stąd? - zapytał Car'das.
- Chodzi o to, że skarbiec nie zaabsorbuje uwagi pani admirał na bardzo długo.
- Około sześciu godzin standardowych stąd - wyjaśnił Thrawn.
- Jestem oczywiście przekonany, że kiedy wrócę, admirał Ar'alami ostro mnie skarci... jeśli w ogóle raczy opóźnić swój wyjazd i zaczekać na mnie. Na razie jednak po prostu chcę ją zająć na tyle długo, abyśmy mogli się wymknąć.

Car'das poczuł ucisk w żołądku.

- Nie lecisz tam tylko po to, żeby popatrzeć?
- Celem tej wyprawy jest ocena sytuacji - spokojnie wyjaśnił Thrawn.
- Ale jeśli uznam, że istnieje rozsądna możliwość wyeliminowania kolejnego zagrożenia dla Dynastii Chissów...
- Nie dokończył zdania, ale nikt nie miał wątpliwości: zamierzał atakować.

A skoro wyciągnął Car'dasa ze skarbca, należało wnosić, że zamierza zabrać na przejażdżkę również swojego nauczyciela języka.

Car'das odetchnął głęboko. Uczestniczył już w tylu bitwach, że nie miał ochoty o tym myśleć, a cóż dopiero wybrać się na spotkanie z uzbrojoną po zęby bandą Vagaarich. Może jednak pojawi się szansa wycofania się z wdziękiem...

- Oczywiście, zrobisz, co uznasz za stosowne - rzekł dyplomatycznie.

- Życzę ci szczęścia, i...

- Mogę lecieć z wami? - przerwała mu Maris.

Car'das rzucił jej zaskoczone spojrzenie. Wytrzymała je bez słowa, ostrzegawczo zaciskając usta.

- Dobrze byłoby mieć świadka - ciągnęła.

- Zwłaszcza kogoś, kto nie ma nic wspólnego z Rodami Panującymi.

- Zgadza się - rzekł Thrawn. - Dlatego biorę Car'dasa. Car'das skrzywił się. To tyle, jeśli chodzi o pełen gracji unik.

- Komandorze, doceniam twoją propozycję, ale...

- Lepiej jest mieć dwóch świadków - przerwała mu Maris.

- Wiesz, Quennto byłby chyba lepszym świadkiem niż ja czy Maris - odważył się

zapropionować Car'das. - To on...

- Teoretycznie tak - zgodził się Thrawn, nie odrywając oczu od Maris.

- Ale choćbyśmy nie wiem jak starannie wszystko zaplanowali, bitwa to zawsze ryzyko.

- Ale on lubi ten rodzaj podniety...

- To tak samo, jak latać z Rakiem - odparowała Maris.

- Chcę spróbować szczęścia.

- Mogę go wyciągnąć ze skarbca...

- Nie jestem pewien, czy ja tego chcę - odparł Thrawn tym samym tonem.

- Gdybyś zginęła lub została ranna, nie chciałbym być tym, który przekaże tę wieść twojemu kapitanowi.

- Będziemy razem na mostku, więc nie będziesz musiał - zauważyła.
- Jeśli ja zginę, ty prawdopodobnie też, a zadanie przypadnie komuś innemu.
- Kciukiem wskazała na Car'dasa.
- Zdaje się, że Jorj chętnie by został. Można to załatwić.
- Zapomnij o tym - stanowczo odparł Car'das. Cóż, decyzja została już podjęta za niego. Był swego czasu świadkiem możliwości bojowych Thrawna i wybuchów temperamentu Quennto i wiedział, gdzie będzie bezpieczniej.
- Jeśli Maris leci, lecimy oboje.
- Jestem zaszczycony twoim zaufaniem - rzekł Thrawn, kiedy dotarli do doku wahadłowca.
- Chodźcie zatem i niech fortuna wojowników uśmiechnie się do nas.

R O Z D Z I A Ł 11

- Minuta do wyjścia - ogłosił pilot.

- Przyjąłem - odparł Thrawn.

- Wojownicy, bądźcie gotowi. Stojący za plecami komandora Car'das zerknął dyskretnie na Maris. Twarz miała bardzo bladą nad szerokim kołnierzem kombinezonu, ale jej spojrzenie było czyste, a szczęki mocno zaciśnięte. Prawdopodobnie wierzy w to, że Thrawn zachowa się szlachetnie i honorowo, pomyślał z goryczą Car'das. Czekwała widocznie, aż jeszcze urośnie w jej oczach, choć chyba już i tak sięgał stratosfery.

Więc co, u licha, on sam tutaj robi?

- Jeśli raporty były dokładne, wyjdziemy w bezpiecznym obszarze niedaleko skraju strefy walki - ocenił Thrawn, opuszczając wzrok na trzymany w ręku hełm.

- Chyba mądrzej będzie jednak ubrać się w hełmy.

- Możemy je włożyć błyskawicznie, kiedy zajdzie taka potrzeba - zapewniła go Maris.

Thrawn zawahał się, ale skinął głową.

- Doskonale. A zatem bądźcie gotowi - zakończył.

Obrócił fotel i spojrział przed siebie. Car'das obserwował licznik, a w ustach miał coraz bardziej sucho. Licznik doszedł do zera i linie gwiazdne pojawiły się na hiperprzestrzennym niebie, po czym skurczyły się w punkciki gwiazd.

I wtedy po drugiej stronie iluminatora ujrzał najbardziej przerażający widok, jaki mógł sobie wyobrazić.

Nie był to zwykły piracki atak, jakiego się spodziewał - trzech czy czterech maruderów Vagaari, napadających na frachtowiec lub liniowiec. Przed nimi, migając na tle spowitego w rzadkie obłoki błękitnego globu, uwijało się co najmniej dwieście statków różnych rozmiarów, zaangażowanych w zaciętą walkę. Po dwa, po trzy lub grupowo wymieniały ogień laserowy i rakiety. W dali, po drugiej stronie planety, ujrzał migoczące kropki kolejnej setki statków, czekających spokojnie na swoją kolej.

A w tym bitewnym wirze dryfowały już szczątki, wypalone kadłuby i martwe skorupy około dwudziestu statków.

To nie był atak piratów, lecz prawdziwa wojna.

- Interesujące - mruknął Thrawn.

- Chyba się przeliczyłem.

- Nie żartuj - mruknął Car'das, ale jego słowa zabrzmiały jak skrzek. Chciał odwrócić oczy od tej jatki, ale nie był w stanie.

- Wynośmy się stąd, zanim ktoś nas zauważy.

- Chyba źle mnie zrozumiałeś - odparł Thrawn.

- Wiedziałem, że to będzie bitwa na wielką skalę. Nie miałem jedynie pojęcia, jaka jest prawdziwa natura Vagaari.

- Przez iluminator wskazał na odległą grupę statków.

- Widzisz te jednostki?

- Te, które czekają na swoją kolej w bitwie?

- Oni nie są tu po to, by walczyć - poprawił go Thrawn.

- To cywile.

- Cywile? - Car'das spojrzał na odległe światła.

- Skąd wiesz?

- Ze sposobu, w jaki się zgrupowali w defensywną formację, a prawdziwe okręty wojenne ustawiły się w tarczę wokół nich - wyjaśnił Thrawn.

- Błąd, o którym mówiłem, polegał na tym, że Vagaari nie są jedynie świetnie zorganizowaną, silną bandą piratów. To po prostu nomadowie.

- Czy to jakiś problem? - zapytała Maris. Spokojnie obserwowała widok na zewnątrz, co Car'das zauważył z pewną urazą. Równie spokojnie patrzyła na sterty ciał na pokładzie statku Vagaari.

- Bardzo duży - odparł Thrawn posępnym tonem.

- Oznacza to, że wszystkie ich instalacje: budowlane, wsparcia i serwisowe, są ruchome.

- I co z tego? - zapytał Car'das.

- To, że nic nam nie da schwytywanie jednego z atakujących ani użycie systemu nawigacyjnego

Vagaarich, aby zlokalizować ich macierzystą planetę - cierpliwie tłumaczył Thrawn.

- Oni nie mają macierzystej planety.

- Wskazał na toczącą się walkę.

- Jeśli nie zniszczymy od razu wszystkich ich okrętów, niedobitki po prostu znikną w przestrzeni międzygwiazdnej i przegrupują się.

Car'das zerknął na Maris, czując, że ogarnia go nowa fala napięcia. Thrawn ma do dyspozycji garstkę statków, a mówi o zniszczeniu całej maszyny wojennej wroga?

- Hm, komandorze... - zaczął.

- Uspokój się, Car'das - krzepiąco powiedział Thrawn.

- Nie proponuję zniszczyć ich tu i teraz. Widzę tu coś ciekawego.

- Skierował wzrok na kłębiące się statki.

- Te dwa uszkodzone statki obronne, te, które próbują uciekać. Widzisz je?

- Nie. - Car'das rozejrzał się, ale według niego, żadna część pola bitwy jakoś szczególnie nie różniła się od pozostałych.

- Popatrz tam - powiedziała Maris. Podeszła bliżej i wyciągnęła rękę, żeby mógł podążyć za nią wzrokiem.

- Te dwa statki kierujące się ku prawej burcie z trzema myśliwcami z tyłu.

- W porządku, widzę - odrzekł, kiedy je wreszcie zlokalizował.

- Co z nimi?

- Dlaczego nie skaczą w nadprzestrzeń? - zapytał Thrawn.

- Ich silniki i hipernapęd wydają się nietknięte.

- Może uważają za niehonorowe porzucać swoją flotę - podsunęła Maris.

- Więc czemu w ogóle uciekają? - zapytał Car'das i zmarszczył brwi, analizując scenariusz. Myśliwce zbliżały się bardzo szybko, a uciekinierzy byli już dość daleko od pola grawitacyjnego planety, aby skoczyć w nadświatłą. Nie rozumiał, co mogliby zyskać, zwlekając.

- Car'das ma rację - mruknął Thrawn.

- Ciekawe... No, proszę!

W nagłym błysku pierwszy statek wykonał skok w bezpieczną nadprzestrzeń. Sekundę później drugi także błysnął, zamigotał i znikł.

- Nie rozumiem - mruknął Car'das, marszcząc czoło. Pościg zawrócił ku głównej części bitwy.

- Na co one czekały? Chodzi o odległość?

- W pewnym sensie tak - zgodził się Thrawn.

- Odległość od praw fizyki.

- Ale przecież byli już dość daleko od pola grawitacyjnego planety.

- Od pola planety, tak - zgodził się Thrawn.

- Ale dla Vagaarich to nie ma znaczenia.

Spojrzał na nich znowu z błyskiem w rozjarzonych oczach.

- Zdaje się, że Vagaari nauczyli się tworzyć pole pseudograwitacji.

Car'das otworzył usta ze zdziwienia.

- Nie wiedziałem nawet, że to jest możliwe.

- Ta teoria istniała od wielu lat - odrzekła Maris głosem pełnym zadumy.

- Mówiliśmy o niej w szkole. Ale dotąd wymagała zbyt dużej ilości energii i za wielkiego generatora, by traktować ją serio.

- Zdaje się, że Vagaari rozwiązali oba te problemy - mruknął Thrawn.

Car'das zerknął na niego z ukosa. W głosie i wyrazie twarzy komandora było coś, co wcale mu się nie spodobało.

- A co to oznacza dla nas? - zapytał ostrożnie. Thrawn wskazał na scenę za iluminatorem.

- Vagaari widocznie wykorzystują te statki do przytrzymania ofiary, aby nie uciekła, dopóki nie zostanie zniszczona. Znalazłbym chyba ciekawsze zastosowanie dla takiego urządzenia.

Car'das poczuł ucisk w żołądku.

- Nie. O, nie. Nie zrobiłbyś tego.

- Niby dlaczego? - odparował Thrawn, metodycznie analizując scenę bitwy punkt po punkcie.

- Ich uwaga skierowana jest najwidoczniej gdzie indziej, a wszelkie systemy obronne, jakie rozstawili wokół projektorów grawitacji, zostały zapewne umieszczone tak, aby uniemożliwić ucieczkę ofiarom.

- To twoje przypuszczenia.

- Widziałem, jak bronili swojego statku – skarbcza - przypomniał mu Thrawn.

- Mam wrażenie, że dobrze rozpracowałem ich taktykę.

A to w wolnym tłumaczeniu oznaczało, że Car'das ma niewielką szansę, żeby go odwieść od tego szalonego planu.

- Maris? Co ty na to?

- Nie patrz na mnie - zastrzegła się.

- Poza tym on ma rację. Jeśli chcemy zwinąć im projektor, teraz jest najlepszy moment.

W żołądku Car'dasa zagnieździło się coś zimnego i śliskiego. My? Czy Maris naprawdę już zaczęła się identyfikować z tymi obcymi?

- Tam - wskazał ręką Thrawn.

- To ta wielka, sferyczna kratownica.

- Widzę - mruknął Car'das z rezygnacją. Urządzenie znajdowało się blisko tej samej granicy strefy bitwy, co Chissowie. Aby się do niej dostać, nie musieli przedzierać się przez walkę. Kula była strzeżona przez trzy wielkie okręty wojenne, wiszące groźnie pomiędzy nią a głównym polem bitwy; między nią a Chissami znajdowało się jedynie kilka myśliwców Vagaari.

Kuszący, praktycznie bezbronny cel. Oczywiście, że Thrawn na to pójdzie.

- Chciałem jedynie przypomnieć wszystkim, że mamy tylko „Springhawk” i sześć ciężkich myśliwców.

- I komandora Mitth'raw'nuruodo - uzupełniła Maris. Thrawn skłonił głowę w podziękowaniu, po czym zwrócił się ku lewej stronie mostka.

- Analiza taktyczna?

- Zlokalizowaliśmy jeszcze pięć innych projektorów, komandorze - poinformował Chiss przy stacji czujników.

- Wszystkie znajdują się na skraju pola bitwy i wszystkie są mniej więcej tak samo chronione.

- Analiza układu projektorów i skoków uciekających statków wykazuje, że cień grawitacji jest mniej więcej stożkowy - dodał drugi.
- Czy trzy broniące go okręty wojenne znajdują się wewnątrz stożka? - zapytał Thrawn.
- Tak, sir. - Chiss dotknął klawisza i na płaszczyźnie iluminatora ukazał się obraz. Bładoniebieski, szeroki stożek wysuwał się ze środka kuli w kierunku strefy bitwy.
- Jak widzicie, główni obrońcy znajdują się wewnątrz stożka, co znacznie ogranicza ich możliwości - wyjaśnił Thrawn Car'dasowi i Maris.
- Wszystkie trzy okręty mają główne silniki skierowane w stronę projektora. Widocznie sukcesy tej techniki przewróciły im w głowach.
- Ale myśliwce bliskiego zasięgu nieustannie wchodzą i wychodzą ze stożka - zauważył Car'das.
- One nie będą stanowić problemu - zapewnił Thrawn.
- Czy sam projektor składa się z ruchomych części?
- Z tej odległości nie jestem w stanie poznać szczegółów konstrukcyjnych bez używania aktywatorów - odpowiedział Chiss przy stacji czujników.
- Wobec tego musimy się mu przyjrzeć dokładniej - zdecydował Thrawn.
- Daj znać myśliwcom, żeby przygotowały się do walki, kurs w hiperprzestrzeni zero-zero-cztery na zero-pięć-siedem.
- Kurs w hiperprzestrzeni? - powtórzył Car'das, marszcząc brwi. W czasie ich pierwszej potyczki z Vagaari Thrawn z powodzeniem wykonał mikroskok trwający ułamek minuty. Ale sfera, do której zmierzali, była o wiele za blisko, aby tym razem mogło im się udać.

A potem usłyszał za plecami radosny chichot Maris.

- Genialne - mruknęła.
- Co jest takie genialne? - zapytał Car'das.
- Kurs - powiedziała, pokazując palcem.
- Wysyła ich na samą krawędź stożka grawitacji, tuż przy projektorze.
- Aha - mruknął Car'das i skrzywił się. Oczywiście, nie było potrzeby, aby wykonywać tak niemożliwie krótki mikroskok. Myśliwce mogą wejść w nadprzestrzeń tak, jakby chciały tam pozostać, liczyć na pole, że wyrwie je znowu w realną przestrzeń dokładnie tam, gdzie chciał je

umieścić Thrawn.

- Kiedy już się tam znajdują, muszą oczyścić pole z myśliwców nieprzyjaciela i utworzyć pierścień obronny pomiędzy projektorem a okrętami wojennymi - tłumaczył Thrawn.

- „Springhawk” poleci za nimi i podejmie próbę przechwycenia kuli.

Car'das zacisnął pięści. Bardzo proste... chyba że miną się z krawędzią stożka, w którą celują, i zostaną wciągnięci w sam środek walki. Albo zbyt krótki skok usmaży im hipernapęd, co da mniej więcej ten sam skutek.

- Grupy desantowe Jeden i Dwa muszą przygotować się na operację poza statkiem - ustalił Thrawn.

- Na pokładzie projektora zapewne będzie obsługa. Trzeba ją zlokalizować i zneutralizować, pilnując, aby nie uszkodzić samego projektora. Dołączy do nich główny inżynier Yal'avi'kema i trzy osoby z jego załogi. Albo znajdą sposób, aby złożyć projektor do takiej wielkości, że będzie go można zabrać na pokład, albo się go zamocuje w takiej postaci do naszego pancerza na czas transportu. Wszystkie grupy sygnalizują swoją gotowość.

Minuty mijały. Car'das obserwował bitwę, krzywiąc się za każdym razem, kiedy któryś z obrońców umierał w kuli ognia pod bezlitosnym atakiem i wciąż zastanawiał się, jak długo jeszcze szczęście będzie dopisywać Thrawnowi.

Statki Chissów udowodniły swoje niezwykle zdolności zwiadowcze, kiedy podeszły „Łowcę Okazji” i statek Proggi. Ale i tak wcześniej czy później ktoś po stronie Vagaari zauważy ich, jak spokojnie tu sobie siedzą.

Na szczęście załoga Thrawna także uznała, że trzeba się pospieszyć. W trzy minuty później myśliwce i grupy desantowe zgłosiły swoją gotowość.

- Uwaga, myśliwce - odezwał się Thrawn, nie odrywając wzroku od pola bitwy.

- Myśliwce do ataku... Teraz!

- W oddali zobaczyli błysk i sześć chissańskich myśliwców pojawiło się w luźnym szyku przy prawej burcie projektora.

- Sternik, przygotuj się do dołączenia.

Thrawn uważał, że obrona nieprzyjaciela jest zbyt pewna siebie, ale ich reakcja na ten nieoczekiwany atak nie miała w sobie nic bezładnego. Zaledwie myśliwce Chissów znalazły się na pozycjach do ataku, statki Vagaarich zaczęły dyslokację, aby pozbawić wroga możliwości atakowania skupisk celów. Jednocześnie odpowiadały na ogień strzałami z laserów i pociskami raketowymi.

Nieszczęściem dla nich, dowódca przeciwnika przejrzał taktykę myśliwców Vagaari w akcji. Nieprzyjacielskie statki zdołały oddać najwyżej dwa strzały, zanim Chissowie przygotowali własny atak. Myśliwce Vagaari zaczęły eksplodować. W minutę po ich nagłym przybyciu na polu walki zostali już sami Chissowie.

Sami, ale nie niezauważeni. Oczekujące w pobliżu duże okręty wojenne już zaczęły reagować. Ich baterie rufowe otworzyły ogień, a same kolosy mozolnie zabrały się do wykonywania zwrotu.

- Myśliwce, zajmijcie pozycje obronne - rozkazał Thrawn.

- Stery cała naprzód.

Car'das zacisnął zęby. Gwiazdy zaczęły wydłużać się w linie, po czym z przerażającym łupnięciem w okolicy rufy wróciły do poprzedniego stanu.

- Desant Jeden na sterburtę projektora, Desant Dwa na bakburtę. Chied Yal'avi'hema, masz pięć minut.

- Pytanie, czy my mamy te pięć minut? - mruknął Car'das, obserwując smugi strzałów, które już zaczęły świstać wokół „Spring-hawka”.

- Mam nadzieję - mruknął Thrawn.

- Wróg musiałby być o wiele bliżej, żeby zaatakować pełną siłą. Poza tym ryzykują, że chybią i zniszczą własny projektor.

- I co z tego? - odparował Car'das.

- Czy oni przypadkiem nie myślą, że my właśnie próbujemy to zrobić?

- Odnoszę wrażenie, że w tej chwili są dość niepewni co do naszych zamiarów - odparł Thrawn.

- Atakujący, którego jedynym celem jest zniszczenie, raczej nie podchodziłby aż tak blisko. - Wskazał na toczącą się bitwę.

- Cokolwiek jednak sądzą o naszym planie, muszą zrobić wszystko, aby ich projektor funkcjonował tak długo, jak to jest możliwe. Kiedy zniknie cień grawitacji, obrońcy wewnątrz stożka będą mieli możliwość ucieczki, a może i przegrupowania się. Nie mogą zaryzykować, że nas nie trafią, więc muszą podejść bliżej.

Car'das się skrzywił. Oczywiście, to miało sens. Ale nie było żadnej gwarancji, że Vagaari zachowają się właśnie tak, że nie zrobią czegoś głupiego albo zwyczajnie nie spanikują.

Nieprzyjacielskie okręty zrobiły już mniej więcej pół zwrotu, co pozwoliło im uruchomić burtowe baterie laserów. Wciąż jednak koncentrowały ogień na atakujących

je myśliwcach Chissów.

I nagle, kiedy światło odległego słońca zatańczyło na burtach statków, CarMas spostrzegł coś, czego wcześniej nie zauważył.

- Hej, popatrzcie - zawołał, wskazując palcem.

- Mają na pancierzach takie same bąble, jak widzieliśmy na statku-skarbcu.

- Zróbcie mi zbliżenie - rozkazał Thrawn, mrużąc oczy. Strumień danych znikł z głównego monitora, a w jego miejsce pojawił się niewyraźny teleskopowy obraz pęcherzy.

Car'das poczuł, że coś ściska go za gardło. Za plecami usłyszał głośne westchnienie Maris.

- O nie - szepnęła.

Pęcherze nie były punktami obserwacyjnymi, jak sądził kiedyś Quennto. Nie były też czujnikami nawigacyjnymi.

To były cele więzienne. Każdy bąbel zawierał żywą istotę; wszystkie należały do tej samej rasy, co okaleczone ciała, które Car'das widział unoszące się wokół szczątków bitewnych. Niektórzy z zakładników przywarli do ścian swoich cel; inni kulili się, plecami na zewnątrz; jeszcze inni obserwowali bitwę z tępą rezygnacją nieszczęśników, którzy już stracili nadzieję.

Jakaś zbłąkana rakietka eksplodowała na skraju pola widzenia teleskopu. Kiedy błysk i szczątki rozwiały się, Car'das zauważył, że trzy pęcherze zostały strzaskane, a ich mieszkańcy unosili się w przestrzeni, niektórzy w postaci nierozpoznawalnych strzępów. Metal pod strzaskanymi bąblami, widocznie stanowiący część głównego pancierza, był miejscami wgnieciony, ale wydawał się nienaruszony.

- Żywe tarcze - mruknął Thrawn głosem tak zimnym i groźnym, jakiego jeszcze Car'das u niego nie słyszał.

- Czy wasze myśliwce nie mogą zastosować sieci Connora? - niecierpliwie zapytał CarMas. -
Wiecie... tych, których użyliście na nas?

- Wciąż są za daleko - powiedział Thrawn.

- Ale i tak sieci wstrząsowe byłyby nieużyteczne, biorąc pod uwagę jakość elektroniki tak wielkich okrętów wojennych.

- A nie mogą trafiać w miejsca pomiędzy pęcherzami? - jęknęła Maris, a jej głos już zaczynał drżeć. -
Mogliby strzelać w pancierz, nie zabijając więźniów.

- Nie przy tej odległości - odparł Thrawn.

- Przykro mi.
- Musisz ich odwołać - upierała się Maris.
- Jeśli dalej będą strzelać, zabiją niewinne istoty.
- Te istoty już są martwe - warknął szorstko Thrawn.

Maris skuliła się pod wrażeniem jego nieoczekiwanego wybuchu.

- Ale...
- Proszę, Maris... - Thrawn wyciągnął rękę. Jego głos był już spokojniejszy, ale wciąż wyczuwało się w głębi wrzący gniew.
- Zrozum całą sytuację. Vagaari pozabijają ich wszystkich, jeśli nie w tej bitwie, to w następnej. Nie możemy zrobić nic, aby im pomóc. Jedyne, co naprawdę możemy, to skoncentrować się na ostatecznym zniszczeniu Vagaarich, aby inni mogli dalej żyć.

Car'das odetchnął głęboko.

- On ma rację, Maris - odezwał się łagodnie i ujął kobietę pod ramię.

Wyrwała mu się gniewnie i odwróciła do niego plecami. Car'das spojrział na Thrawna, ale uwaga komandora była skierowana na nadlatujące okręty i sześć myśliwców Chissów, stojących im na drodze.

- Desant Jeden melduje, że załoga Vagaarich została wyeliminowana - doniósł jeden z operatorów.
- Szef Yal'avi'kema donosi, że rozszyfrowali metodę składania projektora i już go przygotowują do transportu. Desant Dwa pomaga.
- Powiedz, żeby Desant Jeden też pomógł - polecił Thrawn.
- Myślałem, że tam są jakieś szybko działające mechanizmy - dodał pod adresem Car'dasa.
- Vagaari przecież nie mogą godzinami utrzymywać pozycji, żeby rozstawiać swoje projektory grawitacji na oczach przeciwnika i przyszłej ofiary.
- Spojrzał znowu na okręty Vagaarich, które już skończyły zwrot, i zacisnął usta.
- Przygotować się do ostrzału okrętów wojennych.

Car'das spojrział na Maris, ale ona wciąż stała odwrócona do niego plecami, sztywno wyprostowanymi pod kombinezonem.

- Działa gotowe.
- Strzelać pełnymi salwami rakiet na mój rozkaz - rzekł Thrawn i też zerknął na Maris.
- I każ myśliwcom wystrzelić sieci wstrząsowe na mostki okrętów i sekcje dowodzenia w mornernie minimalnej widoczności.
- Przyjąłem.
- Wystrzelić rakiety - rozkazał Thrawn.
- Szef YaPavi'kenia masz dwie minuty.
- Szef Yal'avi'kema potwierdza i ocenia, że projektor zostanie złożony zgodnie z planem.
- W dali, wokół odległych statków wojennych, pojawiły się pierwsze rozbłyски trafień chissańskich rakiet.
- Hełmy! - warknął ktoś.

Car'das zareagował momentalnie, chwycił hełm i wcisnął go na głowę. Kątem oka zauważył, że wszyscy na mostku robią to samo. Zablockował hełm w kołnierzu i właśnie szukał źródła zagrożenia, kiedy lewoburtowa sekcja kabiny znikła.

Przez pokład wyczuł głuchy huk zamykających się drzwi hermetycznych, przez ułamek sekundy słyszał też wycie alarmów ostrzegawczych, dopóki nagła dekompresja nie pozbawiła ich środowiska do przenoszenia dźwięków. Mruganiem usiłował wypędzić spod powiek ciemnopurpurowy powidok błysku, aż wreszcie mógł przebić wzrokiem chmurę szczątków i przyjrzeć się miejscu uderzenia.

Potwierdziły się jego najgorsze obawy. Trzech Chissów, którzy znajdowali się najbliżej miejsca trafienia, leżało w dziwacznych pozach na pokładzie. Pozostałych wyrzuciło z foteli, choć wydawali się żywi. Tu i tam członkowie załogi walczyli z rozdartymi kombinezonami lub popękаныmi hełmami, naklejając sobie, często przy pomocy kolegów, łatki awaryjne. Tablice kontrolne w okolicach trafienia wyglądały jak sterty rozdartego metalu i splątanych przewodów, cała reszta paneli zaś wydawała się martwa.

Car'das usiłował ocenić rozmiar szkód, kiedy Maris nagle odepchnęła go na bok, omal nie przewracając, i padła na kolana obok fotela dowódcy.

Dopiero wtedy Car'das zobaczył Thrawna, który również leżał na podłodze. Płonące oczy miał zamknięte, a na piersi kombinezonu widać było duże, postrzępione rozdarcie.

- Komandor! - jęknął Car'das, klęcząc na podłodze obok Maris. Gorączkowo grzebał po kieszeniach w poszukiwaniu łatki uszczelniającej.

- Gdzie jest lekarz?

- Mam już - powiedziała Maris; w dłoni trzymała łątkę. Zerwała powłokę ochroną i przyłożyła łątkę do rozdarcia. Łata wydeła się na chwilę pod wpływem resztek ciśnienia w kombinezonie, po czym, ku przerażeniu Car'dasa, odkleiła się z jednej strony.

- Nie chce się trzymać tego materiału - warknęła Maris.

- Pomóż mi znaleźć coś, żeby ją umocować.

Car'das rozejrzał się gorączkowo. Nic. Spojrzał na ściany, wiedząc, że Chissowie mają w każdym pomieszczeniu statku pełne apteczki, ale nie mógł się skupić na tyle, żeby rozpoznać litery cheunh i odczytać oznaczenia.

- Nieważne - zgrzytnęła zębami Maris. Przycisnęła brzegi łątki i po sekundzie wahania położyła się na torsie komandora, przyciskając brzuchem ranę.

- Idź po pomoc - poleciła, mocno otaczając ramionami plecy Thrawna, żeby utrzymać się w tej pozycji.

- Szybko... to na pewno nie pomaga jego ranom.

Car'das wreszcie otrząsnął się z paraliżu i rzucił ku wyjściu.

Byłby się przewrócił, potracony przez dwóch Chissów, którzy dopadli z dwóch stron nieprzytomnego dowódcy i leżącej na nim kobiety.

- Przygotuj się, żeby wstać! - krzyknął ten, który niósł dużą, kwadratową łątkę. - Teraz... już!

Maris stoczyła się z komandora. Jak tylko odsłoniła ranę, Chiss umieścił łątkę na miejscu, dokładnie zakrywając zarówno rozdarcie, jak i pierwszą łątkę. Maris odsunęła się dalej i Car'das ujrzał cienkie smuzki dymu unoszące się z brzegów nowej łąty.

- Uszczelnienie prawidłowe - potwierdził Chiss.

Drugi czekał już w pogotowiu i natychmiast wcisnął wąż zbiornika powietrza w zawór wbudowany w kołnierz hełmu.

- Ciśnienie się stabilizuje - zameldował, spoglądając na rząd światełek obok zaworu.

- Możemy jakoś pomóc? - zapytała Maris.

- Już to zrobiliście - rzucił pierwszy Chiss.

- Teraz damy sobie radę.

Podnieśli Thrawn pod ramiona i za nogi, kierując się ku hermetycznym drzwiom, i wtedy gwiazdy za iluminatorem nagle rozmazały się w smugi.

Przez pierwsze dwie godziny medycy pracowali za zamkniętymi drzwiami. Na zewnątrz nie wydostawały się żadne wieści, do środka zaś wpuszczano tylko kolejnych rannych. Car'das kręcił się po oddziale medycznym, starając się nikomu nie plątać pod nogami, czasem nawet wypełniał drobne polecenia załogi. Z początku nie wiedział, co się dzieje z Maris, ale ze strzępków podsłuchanych rozmów zorientował się, że została na mostku, pomagać przy sprzątaniu szczątków.

Znajdowali się jeszcze o cztery godziny od bazy, kiedy oboje zostali wezwani do przedziału medycznego.

Thrawn na wpół siedział na wąskiej kozetce, od kolan po szyję owinięty bioczujnikami, które wyglądały jak pierścienie gigantycznej gąsienicy.

- Car'das, Ferasi - ucieszył się wyraźnie na ich widok. Policzki miał zapadnięte, ale głos czysty i mocny.

- Słyszałem, że zawdzięczam wam życie. Dziękuję.

- Właściwie to Maris cię uratowała - wyjaśnił Car'das. Nie zamierzał przyjmować pochwał, które mu się nie należały.

- W sytuacjach awaryjnych działa szybciej ode mnie.

- Wszystkiego człowiek się nauczy, wędrując z Rakiem na „Łowcy Okazji” - skomentowała Maris, próbując się uśmiechnąć, choć jej oczy pozostały poważne.

- Jak się czujesz?

- Nie za dobrze, ale podobno nic mi nie będzie - odparł Thrawn, przyglądając jej się uważnie.

- Powiedziano mi też, że pomagałaś przy sprzątaniu mostka.

Wzruszyła ramionami.

- Chciałam pomóc.

- Chociaż wystrzeliłem rakiety w żywe tarcze statków Vagaarich?

Spuściła oczy.

- Przepraszam, że się... że cię o to oskarżyłam - szepnęła.

- Wiem, że nie miałaś wyboru.

- Co nie znaczy, że łatwiej ci to było zaakceptować - zauważył Thrawn.
- Niestety, jest to ten rodzaj decyzji, jakie musi podejmować każdy wojownik.
- A przy okazji... udało nam się zdobyć projektor grawitacyjny? - zapytał Car'das. - Nie dowiedziałem się niczego na ten temat.

Thrawn skinął głową.

- Został złożony i przyspawany iskrowo do powierzchni pancerza tuż przed skokiem. Wszystkie sześć myśliwców też wróciło szczęśliwie.

Car'das pokręcił głową.

- Mamy szczęście.
- Mamy dobrego dowódcę - poprawiła Maris.
- Vagaari naprawdę się wściekną.
- I bardzo dobrze - obojętnie powiedział Thrawn.
- Może będą dość wściekli, żeby zacząć otwarty atak przeciwko Dynastii Chissów.

Car'das zmarszczył brwi.

- Chcesz powiedzieć, że usiłujesz ich sprowokować do ataku?
- Próbowałem tylko zdobyć projektor grawitacji – wyjaśnił Thrawn.
- Pozostałymi konsekwencjami zajmę się, kiedy nastąpią.

Car'das spojrzał kątem oka na medyków i ich asystentów, opatrujących inne ofiary.

- Oczywiście - mruknął.
- Tymczasem musimy zrobić wszystko, aby możliwie jak najszybciej wrócić na Crustai - ciągnął Thrawn.
- Potrzebujemy pełniejszej pomocy medycznej dla naszych rannych, no i trzeba rozpocząć naprawy statków.
- Ale na razie musisz odpocząć - powiedziała Maris, dotknęła ramienia Car'dasa i ruchem głowy wskazała mu drzwi.
- Zobaczymy się później, komandorze.

- Tak - mruknął Thrawn, a jego oczy zmieniły się w rozjarzone czerwone szparki pod opadającymi powiekami.

- Jestem pewien, że masz rację, Car'das. Quennto będzie żałował, że przegapił tę zabawę.

Kiedy przybyli do bazy, okazało się, że Quennto ma na głowie pilniejsze sprawy niż przegapiona przygoda.

- Zabiję tę babę - obiecywał olbrzym, mierząc wściekłym spojrzeniem Maris i Car' dasa przez szczeliny w plastikowych drzwiach swojej celi.

- Jeśli dorwę ją kiedyś sam na sam, zabiję.

- Uspokój się najpierw - łagodziła Maris z mieszaniną cierpliwości i wyrozumiałości. Wydawało się, że w relacjach z Quennto musiała używać tej kombinacji dość często. - Opowiedz, co się stało.

- Chciała mnie okraść, oto, co się stało – zgrzytnął zębami Quennto.

- Oboje przy tym byliście, nie? Thrawn wyraźnie - powiedział, że możemy wybrać sobie część łupu ze statku pirackiego jako wynagrodzenie za naukę języka. Tak było?

- Mniej więcej - zgodziła się Maris ostrożnie.

- Niestety, admirał Ar'alani przewyższa go rangą.

- Nie obchodzi mnie to, nawet gdyby była lokalnym bóstwem warknął Quennto.

- To, co wybrałem, należało do nas Nie miała prawa niczego zabierać

- I oczywiście powiedziałaś jej to - mruknął Car'das

- Na twoim miejscu uważałbym, co mówię, smark ostrzegł Quennto, mierząc go gniewnym spojrzeniem.

- Może tutaj jesteś pupilkiem nauczyciela, ale do cywilizacji stad dość daleko.

- Więc co się stało z twoją kolekcją? - zapytała Maris

- Chciała ją zabrać ze sobą - wyjaśnił Quennto; jego miażdżące spojrzenie jeszcze przez chwilę spoczywało na Car'dasie, zanim przeniósł je na Maris.

- Na szczęście dla mnie ten drugi Chiss ten syndyk Mitth... cośtam...

- Brat Thrawna - odpowiedziała Maris. Quennto wytrzeszczył oczy.

- Nie żartuj! W każdym razie stwierdził, że chce najpierw usłyszeć wersję Thrawna, więc kazał jej

zostawić wszystko. Ona jednak z kolei zażądała, żeby przechował to pod oficjalną pieczęcią, cokolwiek to, do wszystkich diabłów, oznacza.

- A więc jaki jest wynik? - zapytał Car'das.

- Wynik jest taki, że wszystko zostało gdzieś zamknięte - burknął Quennto.

- A zgodnie ze słowami tego syndyka Mitthcośtam, nawet Thrawn nie może się do tego dostać.

- Sprawdzimy to - obiecała Maris.

- A poza tym to nie syndyk Mitthcośtam, tylko syndyk Mitth'ras'safis.

- Niech będzie - zgodził się Quennto.

- Idź, pogadaj z Thrawnem, a przy okazji dowiedźcie się, czy może mnie stąd wyciągnąć.

- Jasne - zapewniła go Maris.

- Chodź, Jorj, Zobaczymy, czy komandor przyjmuje gości.

Z początku strażnik przed kwaterą Thrawna nie chciał zapytać, czy zostaną przyjęci. Ale Maris przekonała go w o i w minutę później znaleźli się przy łóżku komandora.

- Tak, widziałem raport Thrassa - odparł Thrawn, kiedy Maris nakreśliła sytuację. Wciąż wydawał się osłabiony, ale zdecydowanie silniejszy niż na pokładzie „Springhawk”.

- Kapitan Quennto powinien nauczyć się kontrolować swój temperament.

- Kapitan Quennto musi się też nauczyć kontrolować wiele innych swoich wad - smutno odparła Maris.

- Ale zamknięcie nigdy dotąd nie wychodziło mu na dobre i chyba tym razem nie będzie inaczej. Możesz nakazać, żeby go wypuścili?

- Owszem, jeśli go ostrzeżecie, żeby nie obrażał więcej dowódców Chissów - odparł Thrawn.

- Może po prostu zaczniemy go przymykać, kiedy tylko któryś z nich znajdzie się w naszej bazie.

- Niegłupi pomysł - mruknęła Maris.

- Dziękuję.

- A co z przedmiotami, które opieczętował twój brat? - zapytał Car'das.

- Quennto będzie nie do zniesienia, dopóki nie dostanie ich z powrotem.

- Najwyższy czas, żeby popracował nad cierpliwością - odparł Thrawn.
- Syndyk Ósmego Rodu Panującego ogłosił, że są zapieczętowane, sprzeciwiając się roszczeniom własności oficera dowodzenia. Nie można będzie ich odpieczętować, dopóki admirał Ar'alani nie wróci, by przedstawić swoje argumenty.
- A kiedy to nastąpi? - zapytał Car'das.
- Kiedy ona sama uzna za stosowne, ale prawdopodobnie nie wcześniej niż po dokładnym zbadaniu statku Vagaarich oraz przeanalizowaniu wszystkich jego systemów i urządzeń. Będzie wolała być przy tym obecna.
- Ależ to może zająć całe miesiące - zaprotestował Car'das.
- Nie możemy tu zostać tak długo.
- No i nie możemy też wrócić bez towarów. Musimy ułagodzić naszych klientów - dodała Maris.
- Rozumiem - rzekł Thrawn.
- Ale w tej chwili naprawdę nie zależy to ode mnie.

Za plecami Car'dasa otworzyły się drzwi. Obejrzał się, pewien, że to któryś z medyków.

- A więc fortuna wojownika wreszcie cię opuściła - zauważył syndyk Mitth'ras'safis, wchodząc do sali.
- Witaj - odpowiedział Thrawn, zapraszając go gestem.
- Proszę, wejdź.
- Musimy pogadać, Thrawn - rzekł Mitth'ras'safis, mierzając wzrokiem Maris i Car'dasa. Przystanął po drugiej stronie łóżka brata.
- Sami.
- Nie musisz się obawiać ich obecności - zapewnił go Thrawn.
- Nic, co powiesz, nie wyjdzie poza ściany tego pokoju.
- Nie o to chodzi - odparł Mitth'ras'safis.
- Mamy do przedyskutowania sprawy Chissów a to ich nie obchodzi.
- Może teraz nie obchodzi - zauważył Thrawn.
- Ale w przyszłości... kto wie?

Mitth'ras'safis zmrużył oczy.

- Co to znaczy...? Thrawn pokręcił głową.

- Los obdarował cię na wiele sposobów, bracie - rzekł.

- Ale musisz jeszcze popracować nad dalekowzrocznością, której będziesz potrzebował, aby przetrwać intrygi i konflikty życia politycznego.

- Wskazał na Car'dasa i Maris.

- Dano nam rzadką możliwość: szansę poznania i kontaktów z przedstawicielami potężnej, choć do tej pory całkiem nam nieznannej jednostki politycznej, ludzi o myślach i instynktach innych niż nasze.

- I dlatego ciagniesz ich za sobą nawet podczas oficjalnej wizyty admirała? - zapytał Mitth'ras'safis, z powątpiewaniem zezując na Car'dasa.

- Myślisz, że ich opinia może mieć jakąś wartość?

- Wszystkie opinie warte są wysłuchania, niezależnie od tego, czy później uznamy je za wartościowe, czy nie - wyjaśnił Thrawn.

- Ale równie ważne są więzi społeczne i intelektualne, jakie między sobą budujemy. Pewnego dnia nasza Dynastia i ich Republika spotkają się, a wtedy przyjaciele i potencjalni sojusznicy, których sobie teraz pozyskamy, mogą stanowić o kierunku, jaki te kontakty przyjmą.

Spojrzał najpierw na Car'dasa, a potem na Maris.

- Wydaje mi się, że oni oboje doszli do tego samego wniosku, choć oczywiście każde ze swojego punktu widzenia.

Car'das zerknął na Maris. Jej lekko zaciśnięte usta stanowiły całą odpowiedź.

- Chyba masz rację - przyznał.

- Widzisz? - rzekł Thrawn.

- Już się rozumiemy, choć jeszcze I nie do końca.

- Może i tak - z powątpiewaniem powiedział Mitth'ras'safis.

- Podobno przyszedłeś tutaj w jakiejś konkretnej sprawie - przypomniał mu

Thrawn.

- A właśnie, czy moi goście mogą nazywać cię Thrass?

- Wykluczone - sztywno zaprotestował Mitth'ras'safis. Spojrzał na Maris i wyraz jego twarzy złagodniał nieco.

- Choć rozumiem, że uratowaliście życie mojemu bratu - dodał niechętnie.

- Cieszę się, że mogłam pomóc, syndyku Mitth'rassafis - powiedziała Maris w cheunh.

Mitth'ras'safis prychnął i spojrzał na Thrawn. Na jego ustach pojawił się wreszcie cień smutnego uśmiechu.

- Naprawdę nie są w tym języku aż tak dobrzy, co?

- Możesz spróbować minnisiat - podsunął Thrawn.

- Mówią nim lepiej niż cheunh. Albo sybisti, zdaje się, że też go znasz.

- Owszem - odparł Mitth'ras'safis, przechodząc na dziwacznie akcentowany sy bisti.

- Jeśli tak ma być łatwiej...

- Właściwie wolelibyśmy, aby pozostał pan przy cheunh, jeśli panu nie przeszkadza - rzekł Car'das w tym języku.

- Przyda nam się praktyka.

- O, z pewnością - zgodził się Mitth'ras'saris. Zawahał się, wreszcie skinął głową. - Cóż, skoro istotnie pomogliście ocalić życie mojego brata... sądzę, że nie ma w tym nic złego, jeśli będziecie nazywać mnie Thrass.

Maris skłoniła się.

- Dziękuję, jesteśmy zaszczyceni twoją zgodą.

- Po prostu nie mogę już słuchać, jak przekręćacie moje nazwisko.

- Thrass zwrócił się znów do Thrawn.

- A teraz kolej na ciebie - rzekł, znów przybierając surowy ton.

- Co ty wyprawiasz?

- Wykonuję pracę, do której zostałem zatrudniony - wyjaśnił Thrawn.

- Chronię Dynastię przed wrogami.

- Wrogami - powtórzył Thrass z naciskiem.
- Nie potencjalnymi wrogami. Nie rozumiesz różnicy?
- Rozumiem - odparł Thrawn.
- Ale niezupełnie. Thrass uniósł dłoń i z głośnym klaśnięciem opuścił na udo.
- Bądźmy poważni, Thrawn - rzekł.
- Ósmy Ród Panujący jest z ciebie niezadowolony.
- I posłali cię aż tutaj, żebyś mi to powiedział?
- To nie są żarty - syknął Thrass.
- Ten piracki skarbiec to już i tak było za wiele, ale ostatnia twoja eskapada zdecydowanie złamała wszelkie możliwe zasady. I to jeszcze pod samym nosem admirała.
- Vagaari to nie piraci, Thrass - odparł Thrawn głosem cichym, ale dobitnie.
- To rasa wędrowna... są ich setki tysięcy, może milionów. I wcześniej czy później dotrą do granic Dynastii.
- Świetnie - odparł Thrass. - A wtedy ich zniszczymy.
- Ale po co czekać do tej pory? - naciskał Thrawn.
- Dlaczego mamy się odwracać plecami, podczas kiedy miliony innych istot muszą przez to cierpieć?
- Odpowiedź filozoficzna brzmi, że nikt nie cierpi przez nas - odparował Thrass.
- Odpowiedź praktyczna jest taka, że nie możemy bronić całej galaktyki.
- Nie proszę o obronę całej galaktyki.
- Doprawdy? A gdzie mamy się zatrzymać?
- Thrass gestem wskazał ścianę.
- Dziesięć lat świetlnych poza naszymi granicami? Sto? Tysiąc?
- Zgadzam się, nie możemy chronić całej galaktyki - przyznał Thrawn.
- Ale to szaleństwo pozwalać, aby to nasi nieprzyjaciele zawsze wybierali porę i miejsce bitwy.

Thrass westchnął.

- Thrawn, nie możesz w dalszym ciągu tak postępować - zaczął.
- Chissowie uznają tylko pokojową czujność i Dziewięć Rodów Panujących nie będzie wiecznie tolerować tego, że ignorujesz podstawową doktrynę militarną. A co więcej, Ósmy Ród dał jasno do zrozumienia, że raczej cię usuną, zanim dopuszczą, aby twoje działania zaszkodziły ich pozycji.
- Obaj urodziliśmy się jako pospolici obywatele - przypomniał mu Thrawn.
- Mogę znów tak żyć, jeśli będę do tego zmuszony.
- Zacisnął na chwilę wargi.
- Ale zrobię, co będzie w mojej mocy, aby Ósmy Ród nie usunął cię ani nie przeniósł z mojego powodu.
- Nie obawiam się o własną pozycję - sztywno odparł Thrass.
- Chciałbym tylko, aby mój brat bez powodu nie odrzucał wspaniałej i zaszczytnej kariery.

Oczy Thrawna przybrały dziwny, odległy wyraz.

- Jeśli ją odrzucę - szepnął - to na pewno nie bez powodu. Przez długą chwilę obaj bracia spoglądali na siebie w milczeniu.

Wreszcie Thrass westchnął.

- Nie rozumiem cię, Thrawn - rzekł.
- Chyba nigdy cię nie rozumiałem.
- Więc zaufaj mi po prostu - zaproponował Thrawn. Thrass pokręcił głową.
- Mogę ci zaufać tylko na tyle, na ile ufa ci Dziewięć Rodów Panujących - rzekł.
- A w tej chwili zaufanie to jest nadwerężone do granic możliwości. Ten ostatni incydent...
- Znów pokręcił głową.
- Musisz im o tym opowiadać? - wtrąciła Maris.
- Przy czterech zabitych? - odparował Thrass, zwracając ku niej płonące oczy.
- Jak mam to utajnić?
- Przedstaw to jako misję rozpoznawczą, która wymknęła się spod kontroli - zaproponowała Maris.
- Komandor Thrawn poleciał tam, nie planując walki.

- Każda misja w tym regionie jest naciąganiem zasad - wyjaśnił Thrass.
- No cóż, spróbuję tak to ukazać - zgodził się i spojrzał na Thrawn.
- Ale może się też okazać, że cokolwiek powiem, nie będzie miało znaczenia. Liczą się fakty, zginęli ludzie. Może się okazać, że tylko to będzie interesować Rody Panujące.
- Wiem, że zrobisz, co będziesz mógł - rzekł Thrawn.
- Ale czy naprawdę powinienem to robić? - zapytał Thrass.
- Boję się, że chroniąc cię przed konsekwencjami samobójczych decyzji, dam ci jedynie swobodę do podejmowania kolejnych. Czy naprawdę to najlepszy sposób, aby służyć mojemu bratu i rodzinie?
- Wiem, jaka byłaby moja odpowiedź - powiedział z namysłem Thrawn.
- Ale ty sam musisz odnaleźć swoją.
- Może pewnego dnia - mruknął Thrass.
- Na razie mam do przygotowania raport.
- Rzucił Thrawnowi pełne rezygnacji spojrzenie.
- I brata do obrony.
- Musisz zrobić to, co uważasz za słuszne - rzekł Thrawn.
- Ale ty nie znasz Vagaarich, a ja tak. I pokonam ich, nieważne, jakim kosztem.

Thrass pokręcił głową i skierował się do wyjścia. Zatrzymał się nagle, a dłoń zawisła mu nad kontrolką.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy - rzekł, nie odwracając się - że takie ataki jak twój mogą rzeczywiście sprowokować istoty takie jak Vagaari, aby nas zaatakowały? Że gdybyśmy po prostu zostawili ich w spokoju, mogliby nigdy nie stać się zagrożeniem dla Dynastii?
- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób - przyznał Thrawn.
- Tak też sądziłem - westchnął Thrass.
- Dobranoc, Thrawn. Uderzył w kontrolkę drzwi i wyszedł.

R O Z D Z I A Ł 12

- To tam - odezwał się Cbauth, wskazując palcem przez iluminator, kiedy ich transporter okręzał krzywiznę Yaga Minor.

- Widzisz?

- Tak - szepnęła Lorana, wpatrując się w potężny obiekt wiszący na niskiej orbicie planety. Sześć nowiutkich okrętów wojennych Dreadnaught ustawionych w sześciokąt wokół centralnego rdzenia magazynowego, a wszystko to połączone szeregami potężnych pylonów z szybami wind.

- Imponujące.

- To więcej niż imponujące - grobowym głosem ocenił Cbauth.

- To przyszłość galaktyki.

Lorana zerknęła na niego przelotnie. Od trzech tygodni, od jej oficjalnej promocji z padawanki na rycerza Jedi, zachowanie Cbautha wyraźnie się zmieniło. Rozmawiał z nią częściej i dłużej, wypytywał o opinię i różne sprawy, otwierał się przed nią jak przed równą sobie.

Było to miłe, jednocześnie jednak budziło pewne niezbyt przyjemne uczucia. Tak jak przedtem wymagał od niej dużo jako od padawanki, teraz oczekiwał od niej całej mądrości, doświadczenia i potęgi zaprawionego w bojach, doświadczonego Jedi.

Podróż na Yaga Minor była jeszcze jednym tego przykładem. Zupełnie zniecka mistrz zaprosił ją, aby wybrała się z nim popatrzeć na ostatnie stadium przygotowań. Według Lorany bardziej stosowne byłoby zaproszenie mistrza Yody lub kogoś innego z rady, by towarzyszył mu w tej historycznej wyprawie.

On jednak wybrał ją.

- Załoga i rodziny są już na pokładzie. Ładują sprzęt i przeprowadzają ostatnie czynności przygotowawcze - ciągnął Cbauth.

- Tak samo większość Jedi, którzy nam będą towarzyszyć, choć dwoje lub troje wciąż jeszcze jest w drodze. Oczywiście, powinnaś poznać ich wszystkich, zanim wyruszymy.

- Oczywiście - automatycznie odparła Lorana. Nagle zeszywniała, bo przyszła jej

do głowy okropna myśl.

- Kiedy mówisz „my”, mistrzu Cbaoth, kogo dokładnie... to znaczy...
- Nie płacz się, Jedi Jinzler - łagodnie upomniął ją Cbaoth.
- Słowa Jedi, podobnie jak myśli, powinny być zawsze jasne i pewne. Jeśli masz pytanie, zadaj je.
- Tak jest, mistrzu Cbaoth. - Lorana zebrała się na odwagę.
- Kiedy mówisz „my”... czy oczekujesz, że pojedę z tobą Lotem Pozagalaktycznym?

- Oczywiście - odparł, marszcząc brwi.

- A jak sądzisz, dlaczego zarekomendowałem cię do wcześniejszej promocji na rycerza Jedi?

Lorana poczuła w piersi znajomy ucisk.

- A ja myślałam, że to dlatego, że jestem gotowa.

- Oczywiście, że jesteś - przyznał Cbaoth.

- Ale musisz się jeszcze wiele nauczyć. Tu, na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego, będę miał dość czasu, aby z tobą pracować.

- Ale ja nie mogę lecieć - zaprotestowała Lorana, zastanawiając się gorączkowo, co właściwie powinna powiedzieć. Nie chciała opuszczać Republiki i galaktyki. Z pewnością nie teraz, kiedy tyle jest tutaj do zrobienia.

- Nie jestem przygotowana. Nie poprosiłam o pozwolenie rady Jedi.

- Rada dała mi już wszystkie zezwolenia, których potrzebowałem - zgryźliwie powiedział Cbaoth.

- A co do przygotowań... jakich to przygotowań potrzebuje rycerz Jedi?

Lorana mocno zacisnęła zęby. Jak mógł podjąć taką decyzję, nawet się z nianie konsultując?

- Mistrzu Cbaoth, doceniam twoją ofertę. Ale nie jestem pewna...

- To nie jest oferta, Jedi Jinzler - przerwał jej Cbaoth.

- Jesteś teraz Jedi. Jedziesz tam, gdzie każe ci jechać rada.

- W obrębie Republiki, tak - odparła Lorana. - Ale to coś innego.

- Różnica jest tylko w twoim umyśle - stanowczo odparł Cbaoth.

- Na szczęście jesteś młoda. Wyrośniesz z tego.

- Wskazał zbliżającą się grupę statków.
 - A kiedy zobaczysz, czego dokonaliśmy, porozmawiasz z pozostałymi Jedi, nabierzesz większego entuzjazmu do losu, jaki nas czeka.
 - A co z tym? - zapytał Tarkosa, stukając palcem w regał z ujemnymi sprzęgłami.
 - Powiesz mi, Chas?
 - Sekundę, sekundę - burknął Uliar, przyglądając się ustawionym już regałom i klnąc w duchu tłum pomocników technicznych, których Biuro Wielkiego Kanclerza przysłało z Coruscant, aby pomogli przy załadunku. W większości okazali się kompletnie bezużyteczni: upuszczali delikatne elementy, inne umieszczali w niewłaściwych miejscach i często wstawiali dwa jednakowe regały z częściami zamiennymi tam, gdzie właściwy zestaw tkwił jeszcze zagrzebany gdzieś we wnętrznościach magazynu pod ich stopami.
 - Ten ma stanąć tutaj - powiedział do Tarkosy, wskazując miejsce obok regału z częściami dla pomp chłodzenia.
 - Co, do jasnych wszechświatów, się tu dzieje? - rozległ się za jego plecami głęboki głos.
- Uliar obejrzał się. W drzwiach stał łysiejący mężczyzna w średnim wieku, ubrany w prostą płową szatę.
- Kim jesteś? - zapytał.
 - Mistrz Jedi Justyn Ma'Ning - odparł tamten i zmarszczył czoło, objąwszy wzrokiem chaos panujący w pomieszczeniu.
 - Przecież ten sprzęt miał być załadowany dwa dni temu.
 - Był - odparł Uliar.
 - Ale całkiem bez sensu. Próbujemy to poprawić.
 - Aha - westchnął Ma'Ning z rezygnacją, ale i zrozumieniem. Widocznie także miał do czynienia z pomocnikami technicznymi z Coruscant.
 - Lepiej się pospieszcie. Mistrz C'baoth przybywa dzisiaj. Nie będzie zadowolony, jeśli zobaczy ten stan rzeczy.

Skinął głową, odwrócił się i odszedł korytarzem.

- Jakby zadowolenie Jedi było naszym problemem - mruknął Uliar pod nosem pod adresem pustych drzwi. Odwrócił się z powrotem do regału i w tym momencie zapalił się nagle ekran diagnostyczny

powtarzacza.

- Jest? - zawołał jakiś głos i w otwartym panelu pojawiła się głowa młodego człowieka.
- Czekaj.
- Uliar podszedł do wyświetlacza i przewinął listę opcji.
- Wygląda doskonale. Pomoc techniczna z Coruscant może i była bezwartościowa, ale na szczęście przywieźli ze sobą kilku prawdziwych techników. Dzięki.
- Nie ma sprawy - odparł młodzik, ustawiając skrzynkę z narzędziami na podłodze obok panelu i podciągając się na górę.
- Wciąż masz problemy z powtarzaczem w tylnej części reaktora?
- Chyba że tamten też już naprawiłeś - powiedział z nadzieją Tarkosa.
- Raczej nie - powiedział młody człowiek i zasunął za sobą panel.
- Te układy są połączone równolegle, ale wątpię, żeby tamten obwód sięgał aż tak daleko. Spróbuję się nim zająć, kiedy wrócę z D - Jeden.
- A dlaczego nie teraz? - podsunął Uliar.
- D-Jeden jest po przeciwnej stronie sześciokąta. Po co iść aż tam i potem wracać?
- Dlatego, że D-Jeden to również statek dowodzenia - przypomniał mu technik.
- Kalamarianie mogą sobie wyglądać jak wypchane zabawki, ale kiedy kapitan Pakmillu mówi, że coś trzeba naprawić, ma na myśli „teraz”.
- A co nam zrobi, przeniesie wszystkich do cywila? - prychnął Tarkosa.
- Nie wiem, co zrobiłby tobie - oschle odparł technik.
- Aleja chciałbym dalej mieć pracę, kiedy wy sobie polecicie na kosmiczne safari. Obiecuję, że to nie potrwa długo.
- Trzymam cię za słowo - odrzekł Uliar.
- Jesteś pewien, że nie przekonamy cię, żebyś leciał z nami? Jesteś o całe lata świetlne przed naszymi normalnymi technikami.

Policzek tamtego zadrgał lekko.

- Wątpię, ale i tak dzięki - mruknął.
- Jeszcze nie jestem gotów, żeby porzucać cywilizację.
- Powinieneś mieć nadzieję, że cywilizacja nie porzuci ciebie - ostrzegł Tarkosa.
- To, co się teraz dzieje na Corascant, nie wróży najlepiej, więc nie dam za to głowy.
- Może - odparł tamten, biorąc swoją skrzynkę.
- Do zobaczenia.
- W porządku - skinął głową Uliar.
- Jeszcze raz dziękuję. Młody człowiek uśmiechnął się i wyszedł.
- Dobry jest - zauważył Tarkosa.
- Wiesz może, jak się nazywa?

Uliar pokręcił głową.

- Dean cośtam, chyba. Nieważne, i tak pewnie już go nie zobaczymy. Dobra, ten regał z kondensatorami wstrząsowymi idzie obok sprzęgieł ujemnych.
- Całym systemem można sterować stąd - poinformował kapitan Pakmillu, machając płetwiastą dłonią wokół obszernego Połączonego Centrum Operacyjnego.
- Oznacza to, że jeśli na jednym ze statków wydarzy się awaria lub katastrofa, środki zaradcze mogą zostać podjęte niezwłocznie, bez potrzeby wysyłania tam ludzi.
- Imponujące - uznał Obi-Wan, rozglądając się wokoło. Zlokalizowane w korytarzu za kompleksem pomieszczenia monitorów, Centrum ComOps rozciągało się na jakieś trzydzieści metrów i wypełniało całą przestrzeń pomiędzy dwoma głównymi korytarzami dziobowymi. W tej chwili aż kipiało aktywnością. Wokoło krzątały się dziesiątki ludzi i nie ludzi, a połowa paneli była pootwierana do ostatnich kontroli i regulacji.
- A to co takiego? - zapytał Anakin, wskazując na niską konsolę, umieszczoną o dwa rzędy stanowisk od miejsca, gdzie stali.
- Wygląda jak system kontroli i monitoringu śmigaczy.
- Masz bystry wzrok, mały - pochwalił Pakmillu, zwracając na niego ogromne, bulwiaste oczy.
- Tak rzeczywiście jest. Kontrolujemy stąd naszą flotę śmigaczy i swoopów.

- Zartujesz - zdumiał się Obi-Wan, ze zmarszczonymi brwiami przyglądając się konsoli. - Uzywacie swoopów w tych korytarzach?
- Lot Pozagalaktyczny to wielka instalacja, mistrzu Kenobi - zauważył Pakmillu.
- Wprawdzie każdy dreadnaught jest połączony z innymi i z rdzeniem szybami turbowind, ale tam, gdzie turbowindy nie docierają, też się trzeba sporo nachodzić. Smigacze są niezbędne, żeby przemieszczać członków załogi w różnych kierunkach w sytuacjach awaryjnych.
- Tak, ale swoopy? - upierał się Obi-Wan.
- Czy rozszerzony system turbowind nie byłby skuteczniejszy i bardziej bezpieczny?
- Z pewnością - zgodził się Pakmillu.
- Niestety, byłby również bardziej kosztowny. Oryginalne dreadnaughty nie posiadały takiego systemu, a senat nie chciał pokryć kosztów modernizacji.
- Te systemy sterowania naprawdę są całkiem niezłe - zapewnił go Anakin.
- Niektóre śmigacze na Tatooine wykorzystują je przy próbowaniu nowej trasy.
- Ale na trasie śmigaczy nie ma pięćdziesięciu tysięcy ludzi, którzy mogliby się nawinąć pod maszynę - zauważył Obi-Wan.
- Ale jest za to mnóstwo zwierząt - przypomniał Anakin nieco zbyt szybko.
- Na przykład dewbacki i banthy.
- Anakinie... - ostrzegawczo zaczął Obi-Wan.
- Wypróbowaliśmy już nasz system, mistrzu Kenobi - wtrącił szybko Pakmillu.
- Jak mówi padawan Skywalker, działa całkiem dobrze.
- Wierzę ci na słowo - mruknął Obi-Wan, zezując na Anakina ponuro. Chłopak ostatnimi czasy zaczął mu okazywać wyraźny brak szacunku, zwłaszcza w miejscach publicznych, gdzie, jak sądził, mistrz nie zgani go otwarcie. Obi-Wan rozumiał, że wynika to częściowo z wieku chłopca, ale i tak było nie do przyjęcia.

Anakin wiedział jednak świetnie, jak daleko może się posunąć. W odpowiedzi na pełen wyrzut wzrok Obi-Wana spuścił oczy, przynajmniej na pozór sprawiając wrażenie skruszonego.

Tym razem wydawało się, że sytuacja się rozładowała. Obi-Wan zanotował w pamięci, że musi pogadać z Anakinem od serca, kiedy będą sami, po czym zwrócił się do Pakmillu:

- Jeśli dobrze zrozumiałem, zanim wyruszyacie w Nieznane Rejony, zrobicie jeszcze niewielki kurs po Republice.

- Tak, coś w rodzaju próbnego rejsu - odparł Pakmillu.

- Musimy sprawdzić, czy nasze urządzenia działają prawidłowo, zanim znajdziemy się poza zasięgiem naszych warsztatów naprawczych.

Przystanął przy najbliższej konsoli nawigacyjnej i dotknął klawisza. Nad ich głowami pojawił się holograficzny obraz galaktyki.

- Stąd polecimy do Lonnav w sektorze Droma - rzekł, pokazując ręką trasę.

- A potem przetniemy krawędź sektora Glythe i udamy się do Argai w sektorze haldeńskim. Jeszcze później polecimy przez sektory Kokash i Mondress, a jeśli się to okaże konieczne, zatrzymamy się w sektorze Albanin.

- Dużo przystanków - zauważył Obi-Wan.

- Większość po prostu minimy - zapewnił go Pakmillu.

- Nie zamierzam się nigdzie zatrzymywać, chyba że pojawią się problemy.

- I co wtedy? - zapytał Anakin.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za trzy tygodnie od dziś wejdziemy formalnie w Nieznane Rejony - odparł Pakmillu.

- Jakies dwieście trzydzieści lat świetlnych od skraju Dzikich Przestworzy zatrzymamy się na końcową kalibrację nawigacyjną...

- wąsiki kapitana poruszyły się, kiedy wyłączał hologram

- ...i rozpoczniemy naszą podróż na dobre. Przez Nieznane Rejony do następnej galaktyki.

Anakin gwizdnął cicho.

- A kiedy wrócicie?

- Najwcześniej za kilka lat - wyjaśnił Pakmillu.

- Ale w rdzeniu mamy zapasy na dziesięć lat. Spodziewamy się też, że uzupełnimy żywność i wodę po drodze. Oprócz tego należy się spodziewać, że część uczestników zostanie, jeśli napotkamy światy nadające się do zaludnienia.

- Przecież chyba nie wysadzicie ludzi tak po prostu w Nieznanych Rejonach? - zapytał Anakin, marszcząc czoło.

- Jeśli to zrobimy, na pewno zostawimy im dość żywności i sprzętu, aby mogli się osiedlić - zapewnił go Pakmillu.

- Pozostawimy również jednego dreadnaughta do obrony i transportu. Jak zobaczycie na schemacie Lotu Pozagalaktycznego, odłączenie pojedynczego statku od reszty kompleksu będzie stosunkowo łatwe.

Anakin pokręcił głową.

- To i tak brzmi niebezpiecznie.

- Jesteśmy dobrze przygotowani - przypomniał mu Pakmillu.

- Mamy przecież na pokładzie osiemnastu Jedi. Będzie bezpiecznie.

- A przynajmniej na tyle bezpiecznie, na ile może być gdziekolwiek w dzisiejszych czasach - mruknął Obi-Wan.

- Przeżyjemy wspaniałą przygodę - dodał Pakmillu, zerkając na Anakina.

- Szkoda, że do nas nie dołączysz.

- Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, które chciałbym zrobić tu, na miejscu - odparł Anakin, a drżenie emocji zabarwiło jego głos i obecność w Mocy. Spojrzał z boku na Obi-Wana i emocja znikła pod właściwym dla Jedi opanowaniem.

- Poza tym nie mogę zostawić mojego mistrza, dopóki nie dokończę szkolenia.

- Przy sześciu mistrzach Jedi na pokładzie miałbyś spory wybór nauczycieli - zauważył Pakmillu.

- To nie działa w ten sposób - powiedział Obi-Wan. Czasem bawiło go, kiedy ludzie udowadniali, że nie mają zielonego pojęcia o tym, jak działają metody nauczania Jedi, choć nie mieli żadnych oporów przed ujawnianiem swojej ignorancji.

- Powiedziałeś, że mistrz Cbauth wkrótce tu będzie?

- Właściwie już jest - zagrzmiął głos Cbautha z drugiego końca pomieszczenia.

Obi-Wan obejrzał się. W drzwiach stali mistrz Cbauth i Lorana Jinzler.

- Co za niespodzianka, mistrzu Kenobi - ciągnął Cbauth, przeciskając się przez zatłoczone pomieszczenie. Nikt nie musiał usuwać mu się z drogi, ale Obi-Wan zauważył, że kilka razy ledwie uniknął zderzenia. Na szczęście większość techników była zbyt zajęta, by w ogóle zauważyć jego

pojawienie się, Lorana przebijała się przez tłum ostrożniej, wyglądała na skrępowaną. - Myślałem, że jesteś w tej chwili w drodze na Solorine.

- Zostałem zwolniony z tego zadania - wyjaśnił Obi-Wan.

- Jest coś, co chciałbym z tobą przedyskutować, mistrzu Cbaoth.

Cbaoth skinął głową.

- Oczywiście, mów.

Obi-Wan zebrał się w sobie. Tak pomiędzy Cbaothem i Anakinem... to może być krępujące.

- Anakin i ja chcielibyśmy przyłączyć się do ekspedycji. Kątem oka zauważył, że chłopiec odwraca się ku niemu ze zdumioną miną.

- Chcielibyśmy? - powtórzył pytająco Anakin.

- Chcielibyśmy - stanowczo odparł Obi-Wan.

- Przynajmniej do skraju galaktyki.

Cbaothowi zadrżała dolna warga.

- Więc mistrz Yoda wreszcie przyznaje, że mogę istotnie odnaleźć Vergere?

- Kto to jest Vergere? - zapytała Lorana.

- Zaginiona Jedi - wyjaśnił Cbaoth, nie spuszczając wzroku z twarzy Obi-Wana.

- Mistrz Kenobi już raz próbował ją odszukać i nie udało mu się.

- W rozkazie wyjazdu nie było nic na temat misji poszukiwawczo-ratowniczej - przypomniał Pakmillu, a w jego głosie nagle zabrzmiała czujność.

- To są sprawy Jedi, kapitanie, więc ciebie nie dotyczą - odparł Cbaoth.

- Nie martw się, to nie wpłynie na rozkład lotu.

- Uniósł brwi i skinął na Obi-Wana.

- Mam nadzieję, że twoja prośba nie wynika z chęci uspokojenia wyrzutów sumienia.

- Ja nie proszę - powiedział Obi-Wan.

- Po prostu robię to, co każe mi rada.

- Podobnie jak my wszyscy - zgodził się Cbaoth z nutą ironii w głosie i przeniósł wzrok na Anakina. - A co z tobą, młody Skywalkerze? Wydajesz się niezbyt uszczęśliwiony tą zmianą planów?

Obi-Wan wstrzymał oddech. Było kilka powodów, dla których nie powiedział chłopcu wcześniej o poleceniu Windu, a jednym z nich, i to nie najmniej ważnym, było to, że chłopak wciąż darzył Cbaotha ogromnym szacunkiem. Gdyby powiedział Anakinowi, że lecą na Yaga Minor, aby mieć mistrza na oku, chłopiec domagałby się dalszych wyjaśnień. Trzeba byłoby rozwiać złudzenia Anakina, opowiadając o podejrzeniach Windu, że Cbaoth istotnie mógł być powiązany z incydentem na Barloku.

Na szczęście okazało się teraz, że decyzja trzymania chłopaka w nieświadomości była właściwa.

- Wcale nie jestem niezadowolony, mistrzu Cbaoth - odparł Anakin z pełnym przekonaniem.

- Tylko zaskoczony. Mistrz Obi-Wan nic mi nie powiedział.

- A ty chcesz polecieć i zobaczyć wraz ze mną Nieznane Rejony?

Anakin zawahał się.

- Nie chciałbym opuścić Republiki na zawsze - rzekł.

- Ale byłem pod wrażeniem twojej interwencji na Barloku, zakończeniem impasu i tak dalej. Myślę, że nauczę się wiele, po prostu przyglądając się twoim codziennym czynnościom.

Cbaoth uśmiechnął się przebiegle do Obi-Wana.

- Przynajmniej jednego nauczył się od ciebie ten chłopak, mistrzu Kenobi: umiejętności wysławiania się.

- Wolałbym mieć nadzieję, że skorzystał trochę więcej - sucho odparł Obi-Wan.

- Ale ma rację; może się od ciebie wiele nauczyć.

- Popatrzyl na Lorane. - Mam nadzieję, że padawanka Jinzler zgodzi się ze mną.

- Pewnie tak - odparł Cbaoth.

- Ale teraz to Jedi Jinzler. Trzy tygodnie temu została pasowana na rycerza Jedi.

- Doprawdy? - bąknął Obi-Wan, starannie ukrywając zaskoczenie. Z tego, co Lorana mówiła na Barloku, wynikało, że poczeka na to jeszcze kilka lat.

- Proszę mi wybaczyć, Jedi Jinzler... i przyjąć gratulacje. Czy mam rozumieć, że ty polecisz na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego z mistrzem Cbaothem?

- Oczywiście, że poleci - odparł Cbauth, zanim Lorana zdążyła odpowiedzieć.
- Jest jedną z wybranych, jedną z tych niewielu pośród Jedi, którym ufam bez zastrzeżeń.
- Nie ufasz nawet Jedi? - zapytał Anakin z zaskoczeniem w głosie.
- Powiedziałem tylko, że jej ufam bez zastrzeżeń - poważnie odparł Cbauth.
- Oczywiście, są jeszcze inni, którym ufam. Ale tylko do pewnego stopnia.
- Nie wiedziałem - szepnął Anakin, wyraźnie zbity z tropu.
- Na szczęście, ty i twój nauczyciel należą do tej grupy - odrzekł Cbauth z lekkim uśmiechem na ustach. - Dobrze, mistrzu Kenobi. Ty i twój padawan możecie dołączyć i towarzyszyć nam do końca galaktyki, jeśli tylko załatwicie sobie jakiś sposób, aby wrócić do Republiki.
- Dziękuję - powiedział Obi-Wan.
- Na powierzchni czeka skysprite Delta-12, którym zamierzamy wrócić. Jest gotów do załadowania na pokład.
- Doskonale - podsumował Cbauth.
- Zostaniecie tutaj, na pokładzie Dreadnaughta Jeden. Kapitanie, proszę przygotować dla nich kwatery.
- Tak jest, mistrzu Cbauth - zagrzemiał Pakmillu.
- Wezwę kwatermistrza...
- Sam masz załatwić im kwatery - powtórzył Cbauth, kładąc nacisk na pierwsze słowo.
- To Jedi i należy ich odpowiednio traktować.

Wąsiki wokół ust Pakmillu drgnęły.

- Tak, mistrzu Cbauth - Podeszedł do jednej z konsoli i pletwiastą dłonią wprowadził kilka znaków.
- A Jedi Jinzler?
- Zarezerwowałem jej już kwaterę w pobliżu mojej - wyjaśnił Cbauth.
- Pokład trzeci, apartament A-cztery.
- W porządku - rzekł Pakmillu, spoglądając na ekran.
- Mistrzu Kenobi, pan i padawan Skywalker dostaniecie apartament A-osiem na pokładzie piątym.

Mam nadzieję, że się wam spodoba.

- Z pewnością - odezwał się Cbauth, zanim Kenobi zdążył otworzyć usta.

- Możesz teraz przydzielić im kogoś, kto odprowadzi ich do kwatery.

Zza ich pleców dobiegł zgrzytliwy odgłos rozdzieranego metalu. Obi-Wan obrócił się na pięcie i zauważył, że wielki arkusz siatki wtórnego obwodu przewodzenia oderwał się od ściany zawisł niebezpiecznie nad bankiem konsoli sterujących. Sięgnął ku niemu poprzez Moc.

Cbauth go ubiegł. Chwycił arkusz w uchwyt Mocy, zanim metal oderwał się do końca.

- Jedi Jinzler, pomóż im - polecił.

- Tak jest, mistrzu Cbauth. - Lorana wybiegła.

- Kapitanie Pakmillu, znajdziesz może eskortę dla naszych

nowych pasażerów - dodał Cbauth tonem swobodnej rozmowy, utrzymując arkusz siatki w powietrzu.

- To nie będzie konieczne - odparł Obi-Wan.

- Po drodze obejrzałem sobie dokładnie plany pokładów dreadnaughtów. Poradzimy sobie jakoś.

Cbauth lekko zmarszczył brwi i przez chwilę Obi-Wan sądził, że będzie nalegał na eskortę, która należy się każdemu Jedi. Po chwili zmarszczki na jego czole wygładziły się i skinął głową.

- Niech będzie - rzekł.

- Kapitan Pakmillu wydaje dzisiaj przyjęcie o siódmej w mesie oficerskiej. Moi mistrzowie Jedi tam będą, tnam nadzieję, że wy również.

- Będziemy zaszczyceni - odparł Obi-Wan.

- Musicie jeszcze przejść przez centrum medyczne na dreadnaughtcie pierwszym - dodał Pakmillu. - Przedstawiciel wielkiego kanclerza zażądał, aby cały personel został poddany kompleksowym badaniom medycznym, między innymi analizie krwi i próbek tkanki, które zostaną przesłane na Coruscant. Widocznie obawiają się wirusów szerzących się w zamknięciu i potencjalnej epidemii.

- Pójdziemy się zbadać - obiecał Obi-Wan.

- A zatem do wieczora.

Szturchnął Anakina i razem ruszyli ku wyjściu.

- Mistrz Cbaoth wie, co robi - zauważył mistrz.
- Masz absolutną rację - podkreślił Anakin.
- Gdyby mistrz Yoda lub mistrz Windu w ten sposób rozmawiali z kanclerzem i senatem, choćby raz na jakiś czas, na pewno udałoby im się załatwić o wiele więcej.
- Tak - mruknął Obi-Wan. - Prawdopodobnie masz rację.

Siatka była ciężka i giętka, trudno ją było utrzymać. Na szczęście dla Jedi nie stanowiło to problemu. Sięgając Mocą, Lorana uniosła ją na miejsce, a technicy pospiesznie poprawiali mocowania.

- Dzięki - odetchnął wreszcie brygadzysta, po zakończeniu pracy.
- To draństwo to prawdziwe... eee to znaczy kłopot, kiedy się tak poluzuje.
- Drobiazg - odparła Lorana.
- Cieszę się, że mogłam pomóc.
- Ja też się cieszę - wymamrotał robotnik.
- Czy dobrze słyszałem, jak ktoś mówił, że nazywa się pani Jinzler?
- Tak - odparła. - Dlaczego?
- Bo u nas w brygadzie też mamy Jinzlera - powiedział, wyjmując komunikator i wprowadzając kod.
- Chłopak ma na imię Dean. Czy to krewny?
- Nie wiem - przyznała się Lorana.
- Miałam dziesięć miesięcy, kiedy zabrano mnie do świątyni Jedi. Nie wiem nic o mojej rodzinie.
- Jak to, nie odwiedzali pani?
- Rodzinom nie wolno odwiedzać Jedi - wyjaśniła Lorana.
- Rozumiem - powiedział brygadzysta z lekkim zaskoczeniem, podniósł komunikator do ust.
- Jinzler? Tu Brooks. Gdzie jesteś?... w porządku, zatrzymaj się i wpadnij do mesy... No bo chcę się z tobą zobaczyć, wiesz?

Wyłączył się i wsunął komunikator za pas.

- Tędy, Jedi Jinzler - rzekł, wskazując na prawe drzwi Kom-Opu.

- Przecież ci mówiłam, że go nie znam - zaprotestowała Lorana, ale poszła za nim.

- Jasne, ale może on panią zna - odparł Brooks. Wyszli na korytarz i brygadzysta skierował się do najbliższej turbowindy.

- Może jednak warto to sprawdzić, co?

Lorana poczuła ucisk w gardle.

- Może i tak.

Zjechali turbowindą o trzy poziomy poniżej pokładu dowodzenia i długim, wąskim korytarzem dotarli do obszernego, zastawionego stołami pomieszczenia, gdzie pod jedną ścianą znajdowała się długa lada dla obsługi. Kilkunastu ludzi i obcych siedziało grupkami przy stolikach, rozmawiając ściszymi głosami i pijąc wielobarwne napoje, a trzy roboty krzątały się za ladą.

- Tam jest - Brooks wskazał na stolik przy ścianie w głębi. Siedział tam samotny, ciemnowłosa mężczyzna, zwrócony plecami do sali. Trzymał w dłoniach dymiący kubek. - Proszę, przedstawię panią.

Ruszył przez salę, wymieniając z niektórymi gośćmi ukłony i powitania. Lorana poszła w ślad za nim, a jej ciche obawy nagle zaczęły przybierać na sile. Kiedy znaleźli się o parę metrów od stolika, mężczyzna odwrócił głowę i wtedy po raz pierwszy ujrzała jego profil.

Był to ten sam człowiek, którego tyle razy widziała na Corascant.

Stała jak wryta, mięśnie sprężyły się jak do skoku. Brooks niczego nie zauważył i podszedł do stolika.

- Hej, Jinzler - rzekł, wskazując na Lorane.

- Chcę ci kogoś przedstawić.

Młody człowiek obrócił się razem z krzesłem.

- Nie musisz - rzekł tonem spokojnym, ale z pewnym napięciem i goryczą.

- To Jedi Lorana Jinzler, prawda?

Lorana z trudem odzyskała głos.

- Tak - powiedziała. Zabrzmiało to spokojniej, niż się spodziewała.

- A ty jesteś Dean Jinzler, prawda?

- Znacie się? - zapytał Brookes i zmarszczył brwi, wodząc spojrzeniem od jednego do drugiego.

- Prawie wcale - odparł Jinzler.
 - To tylko moja siostra.
 - Twoja...? - Brooks wytrzeszczył oczy najpierw na niego, potem na Loraną.
 - A ja myślałem...
 - Dziękuję - powiedziała Lorana, uchwyciła jego wzrok i głową dyskretnie wskazała na drzwi.
 - A... tak, tak - wciąż gapiąc się na nich, speszony Brooks wycofał się pomiędzy stolikami, uważając, żeby na nic nie wpaść. Dotarł do drzwi i uciekł, jakby go gonili.
 - Mam nadzieję, że zechcesz usiąść - odezwał się Jinzler z nutą wyzwania w głosie.
- Lorana znów spojrzała na niego. W jego wzroku była ta sama gorycz, którą zauważyła już przy okazji wcześniejszych spotkań. Oczy tego człowieka nie były ciemne, jak przedtem sądziła, lecz miały ten sam dziwny odcień szarości, co jej własne.
- Owszem - odpowiedziała i okrążyła stół, żeby zająć miejsce na drugim jego końcu. Zebrała szatę i usiadła.
 - Chyba powinienem ci pogratulować, że przeszłaś próby - rzekł Jinzler.
 - Jesteś teraz prawdziwym Jedi.
 - Dziękuję - odparła Lorana, obserwując go uważnie. Rzeczywiście, teraz dopiero dostrzegła podobieństwo rodzinne. Dziwne, że nigdy dotąd tego nie zauważyła.
 - Siedzisz moje sprawy?
 - Nie tyle ja, co moi rodzice...
 - Zacisnął usta i poprawił się:
 - Nasi rodzice.
 - Aha - mruknęła Lorana. - Obawiam się, że nie wiem o nich nic. O tobie też nie.
 - To oczywiste - powiedział.
 - Za to ja wiem o tobie wszystko. Od dziecięcego szkolenia poprzez nauki u Jorusa Cbaotha, aż po pierwszy miecz świetlny i pasowanie na rycerza.
 - Jestem pod wrażeniem.

- Lorana uśmiechnęła się nieśmiało.
- Nie powinnaś - odparł, nie odpowiadając na jej uśmiech.
- Wiem to tylko dlatego, że moi rodzice wciąż mają przyjaciela, który pracuje w świątyni i przynosi wieści. Każde twoje osiągnięcie ciskają mi w twarz. Oni cię kochali, wiesz? - prychnął.
- Nie, oczywiście, że nie wiesz. Nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby się dowiedzieć.

Odwrócił od niej oczy i pociągnął łyk z kubka. Lorana wyczuła gniew i gorycz wypływające z tego człowieka jak para z napoju. Co mu zrobiła, że jest na nią tak wściekły?

- Jako padawanom nie wolno nam było nic wiedzieć o naszych rodzinach - powie
działa w pustkę.

- Nawet teraz, kiedy jestem Jedi, niechętnie na to patrzę.

- Jasne - mruknął.

- Pewnie.

- Są po temu istotne powody - ciągnęła z uporem.

- W Republice na ogół powiązania i pozycja rodziny są najważniejszą częścią kultury. Jedi, który wie, z jakiej rodziny pochodzi, mógłby mieć problemy z bezstronnym rozstrzygnięciem sporów wśród swojego ludu.

- Alejakoś nie powstrzymało to mojej rodziny od odnalezienia ciebie, prawda? - odparował.

- Nawet kiedy twoi drogocenni Jedi ich wyrzucili, wciąż mieli cię na oku...

- Zaczekaj chwilę - przerwała mu Lorana.

- Co to znaczy: wyrzucili? Kto ich wyrzucił?

- Czy wy, Jedi, macie problemy ze słuchem? - parsknął.

- Już ci powiedziałem: jeden z twoich potężnych i szlachetnych Jedi. Mama i tato pracowali jako cywilni robotnicy w świątyni, zajmując się serwisem elektroniki i naprawami w części publicznej. I byli w tym dobrzy. Dopiero kiedy Jedi wzięli ciebie, stracili pracę. Twoi Jedi nie chcieli, żeby przebywali z tobą w tym samym budynku.

Lorana poczuła ucisk w żołądku. Nie wiedziała o tej akurat historii, choć były inne, o których słyszała. Ale była pewna, że brat nigdy nie zrozumie surowej polityki izolacji świątyni.

- Czy udało im się znaleźć inną pracę? - spytała.

- Nie, pomarliśmy z głodu - mruknął opryskliwie.

- Jasne, że znaleźli inną pracę. Niżej płatną, naturalnie. Musieli oszczędzać, wyrzekać się wszystkiego, żebyśmy mogli się przeprowadzić, bo naturalnie nikt się nie pofatygował, żeby im powiedzieć, że nie mogą zostać w świątyni, skoro ty tam jesteś. Ale nie to jest najważniejsze.

- Więc co?

Przez długą minutę przyglądał jej się bez słowa, a wewnętrzna burza szalała w nim niczym fale oceanu podczas zimowego sztormu.

- Wy, Jedi, myślicie, że jesteście doskonali - powiedział w końcu.

- Myślicie, że wiecie, co jest dobre dla każdego. Anie jesteście doskonali i nic nie wiecie.

Lorana poczuła ucisk w gardle.

- Co się z tobą stało, Dean? - zapytała łagodnie.

- O, teraz już Dean? - zawołał ze wzgardą.

- Teraz udajesz, że jesteś moją kochającą, dorosłą siostrzyczką? Myślisz, że możesz machnąć ręką albo swoim drogocennym mieczem świetlnym i wszystko naprawić?

- Co mam naprawić? - zdziwiła się Lorana.

- Proszę, powiedz mi. Chcę wiedzieć.

- Myślałem, że wy, Jedi, wiecie wszystko. Lorana westchnęła ciężko.

- Przecież wiesz, że nie.

- Z tego, co usłyszałem od rodziców, nigdy bym się nie domyślił - syknął.

- Byłaś tym ideałem, według którego mierzono całą resztę rodziny. Lorana zrobiłaby to, Lorana zrobiłaby tamto, Lorana powiedziałałaby to, Lorana nigdy nie powiedziałałaby tego. Było to niczym życie z miejscową boginią, w dodatku kompletnie absurdalne... nie mogli przecież mieć najmniejszego pojęcia, co rzeczywiście mogłabyś powiedzieć lub zrobić w danej sytuacji. Nie umiałaś jeszcze chodzić, kiedy cię odesłali.

Jego spojrzenie stwardniało jeszcze bardziej.

- Ale chodzi o to, że ciebie nie było, prawda? I dzięki temu wszystko to działało. Nigdy nie było cię w pobliżu, aby popełniać błędy, wściekać się, zrzucać kolację na podłogę. Mogli stworzyć dla ciebie

mały ołtarzyk i nie musieli nigdy przebijać tego bąbla doskonałości, jakim cię otoczyli.

Chwycił kubek, ale odstawił go zaraz.

- Ale ja już wiem - burknął, wbijając w niego wzrok.

- Widziałem cię. Nie jesteś doskonała. Nie jesteś nawet bliska doskonałości.

Lorana pomyślała o wielu męczących latach szkolenia i wiecznych krytykach Cbaotha.

- Nie - zgodziła się.

- Nie jestem

- Nawet nie masz zmysłu obserwacji - dodał i wyciągnął rękę.

- Pokaż mi tę swoją wymyślną broń.

- Mój miecz świetlny?

- Zmarszczyła brwi, ale odpięła go od pasa i położyła na stole.

- A więc tak wygląda - rzekł, nawet nie próbując go dotknąć.

- To ametyst, tak?

- Tak - odparła, patrząc na przycisk aktywacyjny.

- To był prezent od pewnych ludzi, którym mistrz Cbaoth i ja pomogliśmy na jednym ze średnich poziomów Coruscant.

Jinzler pokręcił głową.

- Nieprawda, to dar od twoich rodziców. Znali tych ludzi i poprosili, żeby ci go przekazali.

- Skrzywił się. - Tego też nie umiałaś się domyślić, co?

- To chyba jasne, prawda? - odparła Lorana, a frustracja spowodowana zachowaniem tego człowieka zaczęła przeradzać się w gniew.

- Jak mogłam wiedzieć?

- Przecież jesteś Jedi - odparował.

- Powinnaś wiedzieć wszystko. Założę się, że twój mistrz Cbaoth wie, skąd pochodzi.

Lorana ostrożnie nabrała powietrza w płuca.

- Czego właściwie chcesz ode mnie, Dean?

- Hej, to ty przyszłaś tutaj do mnie, a nie na odwrót - przypomniał.

- Czego ty chcesz?

Przez moment spoglądała mu w oczy. Czego właściwie chciała od niego?

- Chciałabym, abys zaakceptował ten stan rzeczy - powiedziała wreszcie.

- Przeszłość minęła i żadne z nas nie może tego zmienić.

- A więc nie powinieneś zmieniać przeszłości? - zapytał ze wzgardą.

- Cóż, chyba mogę się na to zgodzić.

- Chciałabym, żebyś zrozumiał, iż niezależnie od uczucia, jakie żywisz w stosunku do swoich... do naszych rodziców, twoja wartość nie zależy od ich opinii i osądów - ciągnęła, ignorując jego sarkazm.

- Przepraszam, ale mówiłaś coś chyba o niezmiennianiu przeszłości - rzekł.

- Coś jeszcze? Spojrzała mu prosto w oczy.

- Chcę, abys przestał nienawidzić - szepnęła.

- Nienawidzić siebie... i mnie.

Mięśnie na jego szyi zadrgały dziwnie.

- Nie czuję nienawiści - odparł spokojnie.

- Nienawiść to uczucie, a Jedi nie mają uczuć, prawda?

- Nie jesteś Jedi.

- I to jest ten prawdziwy problem, mam rację? - rzucił z goryczą.

- Właśnie tego chcieliby mama i tato. Ale ja nie jestem Jedi, prawda? „Nie ma uczuć, jest pokój, Jedi służą innym, nie rządzą nimi, dla dobra galaktyki. Jedi szanują wszelkie życie w każdej formie". Tego cię uczono?

Nagle Lorana uznała, że ma dość.

- Przykro mi, Dean - rzekła, wstając.

- Przykro mi z powodu twojego cierpienia, którego nie potrafię złagodzić, przykro mi, że masz

poczucie straty, której nie umiem ci zrekompenzować.

- Zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy.
- Przykro mi też, że tak sobie marnujesz życie, ale to decyzja, którą tylko sam możesz podjąć.
- Jak miło - zakpił.
- Jest coś, w czym Jedi są naprawdę dobrzy: przemowy. Zwłaszcza pożegnalne.
- Uniósł brwi.
- Bo to była pożegnalna przemowa, prawda?

Lorana rozejrzała się po sali, ponieważ przypominając sobie, gdzie się znajduje. Lot Pozagalaktyczny...

- Jeszcze się nie zdecydowałam... Uniósł brwi.
- A umiesz decydować? - zapytał.
- Naprawdę masz własny rozum? Myślałem, że rada Jedi podejmuje za ciebie wszelkie decyzje.
- Mam nadzieję, że znajdziesz swoją drogę, Dean - szepnęła, biorąc ze stołu miecz świetlny i przypinając go do pasa.
- Mam nadzieję, że znajdziesz coś, co cię uzdrowi.
- Cóż, będziesz miała kilka lat na zastanawianie się nad tym - przypomniał.
- Wracaj szybko. Mamy sobie wiele do powiedzenia, siostrze.
- Wziął do ręki kubek i odwrócił się do niej plecami.

Lorana patrzyła przez chwilę na tył jego głowy, czując w ustach gorycz porażki.

- Porozmawiamy później - powiedziała.
- Mój... bracie.

Nie odpowiedział. Przetykając łązy, młoda Jedi uciekła na korytarz.

Długo spacerowała po labiryncie korytarzy, machinalnie wymijając techników i roboty. Usiłowała zdławić ból, który zaciemniał jej wzrok i umysł. Dlatego zdziwiła się, kiedy zauważyła, że znalazła się z powrotem w Centrum KomOp dreadnaughta.

Cbaoth i Pakmillu siedzieli tam jeszcze, dyskutując zawzięcie nad jedną z konsoli nawigacyjnych.

- O, Jedi Jinzler - zauważył ją Cbaoth i gestem zaprosił, by podeszła bliżej.
- Mam nadzieję, że kwatery ci odpowiada?
- Właściwie jeszcze jej nawet nie oglądałam - przyznała się Lorana.
- Ale przyłączysz się do nas, prawda? - wtrącił Pakmillu chropowatym głosem.
- Odniosłem wrażenie, że to nie jest do końca zdecydowane.
- Nie ma żadnych niejasności - powiedział twardo Cbaoth.
- Ona jedzie z nami.

Wielkie oczy Pakmillu spoczęły na niej nieruchomo.

- Jedi Jinzler? - zagadnął.

Lorana odetchnęła głęboko, wciąż mając przed oczami twarz brata. Twarz, która od tej chwili zawsze będzie jej towarzyszyć gdzieś w tle.

- Mistrz Cbaoth ma rację - odparła.
- Będę zaszczycona, mogąc podróżować z wami na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego.

A przy tym, dodała w duchu z wielkim rozgoryczeniem, im szybciej wylecimy, tym lepiej.

R O Z D Z I A Ł 13

- Oto ostateczna lista załogi i pasażerów - rzekł kapitan Pakmillu, podając ostatnią kartę danych.
- Dziękuję - rzekł Dorian, przyjął kartę i wsunął do kieszeni.
- Niczego więcej nie potrzebujesz?
- Niczego, co mogłoby przyjść na myśl mnie lub pięćdziesięciu tysiącom ludzi - odparł Pakmillu z typowym dla Kalamarianina kostycznym poczuciem humoru.
- Myślę, że Lot Pozagalaktyczny jest gotów do podróży.
- Doskonale - ucieszył się Dorian.
- Wielki kanclerz Palpatine będzie zadowolony z tej wiadomości.
- Nie udałoby się nam bez jego pomocy - poważnie przypomniał Pakmillu.
- Proszę raz jeszcze wyrazić mu naszą wdzięczność za wszystko, co dla nas zrobił.
- Z pewnością to uczynię - obiecał Dorian. Po raz ostatni.
- No to cóż? Widzimy się za... ile? Pięć lat? Dziesięć?
- Nieważne, za ile - odparł Pakmillu, rozglądając się po swoim mostku na dreadnaughcie pierwszym.
- Ważne, że wrócimy.
- Cieszę się już na wasz powrót - odparł Dorian z całą fałszywą szczerością, na jaką mógł się zdobyć.
- Tymczasem życzę wam bezpiecznej podróży. I pamiętajcie: jeśli się okaże, że jeszcze czegoś potrzebujecie, biuro wielkiego kanclerza gotowe jest pomóc. Minie trzy tygodnie, zanim opuścicie przestrzeń Republiki - mnóstwo czasu, aby zebrać i przetransportować wam wszelkie dodatkowe zapasy i sprzęt.
- Będę pamiętał - rzekł Pakmillu i się uklonił.
- Czy mogę pana odprowadzić do transportera?
- Nie ma takiej potrzeby - zapewnił go Dorian.

- Wiem, że macie do załatwienia dziesiątki spraw, zanim opuścicie Yaga Minor. Lećcie bezpiecznie i niech Moc będzie z wami.

- Z dziewiętnastoma Jedi na pokładzie to prawie oczywiste - uśmiechnął się

Pakmillu. Właściwie jest ich dziewiętnastu i pół.

- Masz rację - zgodził się Dorian, nie zdejmując z twarzy uśmiechu, choć zaraz zmarszczył brwi w zadumie. Dziewiętnastu Jedi? I pół?

- Żegnaj, kapitanie.

Czekał chwilę, aż pilot wymanewruje transporter z przedniego hangaru dreadnaughta pierwszego i pożegłują łagodnie ponad atmosferą Yaga Minor. Dopiero wówczas wyjął listę pasażerów Pakmillu i włożył do notatnika. Ostatnio liczba Jedi, o której słyszał, wynosiła siedemnastu, a nie dziewiętnastu. Czyżby nastąpiła nagła zmiana planów? A co, u licha, miało oznaczać te pół Jedi? Przypomniał sobie nagle niezbyt miły sposób, w jaki zginął Darth Maul...

Wybrał listę Jedi i przebiegł ją wzrokiem. Nazwiska były znajome, większość z nich należała do potencjalnych rozrabiaków, których zaproszenie na pokład wielkiej ekspedycji sam delikatnie zasugerował Cbaothowi. Pierwszy dodatek do listy, czyli Lorana Jinzler, nie była wielkim zaskoczeniem: Dorian zawsze uważał za wielce prawdopodobne, że dawna padawanka Cbaotha zechce mu towarzyszyć jeszcze przez jakiś czas. Pozostali dwaj to Obi-Wan Kenobi i jego padawan Anakin Skywalker.

Dorian uśmiechnął się do siebie. Więc to Skywalker był tą połówką Jedi, o której wspominał Pakmillu. Cudownie. Nieoczekiwany bonus za całą ciężką pracę Doriany. Od chwili, kiedy Kenobi i jego dzieciak omal nie storpedowali operacji na Barloku, żywił nieprzyjemne uczucia w stosunku do tej pary. Ich śmierć na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego będzie bardzo wygodna.

Lot Pozagalaktyczny wypłatał się już z ostatnich uchwytów dokujących i wsporników, a teraz podjął mozolną wędrówkę poza studnię grawitacyjną Yaga Minor w kierunku głębokiego kosmosu. W minutę później na oczach Doriany, który nie spuszczał z niego wzroku przez iluminator transportera, statek zamigotał i znikł w nadprzestrzeni.

Spojrzał na notatnik. Cóż, bonus czy nie, lepiej porozmawiać z Sidiousem i donieść mu, że Kenobi i Skywalker są na pokładzie... choćby po to, aby się upewnić, że jest to zgodne z planami Lorda Sithów.

A lepiej to sprawdzić, zanim Lot Pozagalaktyczny wyniesie się poza obszar Republiki. Na zawsze.

Wahadłowiec zabrał ich do portu kosmicznego Yawitiri, o kilka kilometrów od centrum przygotowań, gdzie miały miejsce wszystkie wstępne prace nad Lotem Pozagalaktycznym. Palpatine i senat starali się nie wychylać w trakcie realizacji projektu, może obawiając się krytyki za kwoty, które na niego przeznaczali. Właściwie udało im się pozostać w cieniu. Podczas rozmaitych

oficjalnych i nieoficjalnych podróży, jakie odbył przez ostatnie sześć tygodni, Dorian nie spotkał dosłownie nikogo, kto by o nim słyszał.

Tutaj, w samym centrum projektu, trudno go było zignorować. A jednak, ku pewnemu zaskoczeniu Doriany, kiedy przechadzał się po korytarzach portu, nie usłyszał ani słowa o podróży Lotu Pozagalaktycznego. Fakt, że prace przeniosły się do dreadnaughtów jakieś cztery tygodnie temu, całkowicie usuwając projekt z widoku publicznego, ale można by się chyba spodziewać, że ktoś ocknie się choć na tyle, żeby zauważyć takie historyczne wydarzenie.

Cóż, w obecnych czasach rosnących niepokojów politycznych i społecznych pewnie nawet wydarzenia historyczne mijają niepostrzeżenie. W tym przypadku może to nawet i lepiej.

Doriana zostawił swój statek w odległym kącie portu, w ograniczonej strefie zarezerwowanej dla dyplomatów i wysokich urzęd-

ników rządowych. Przeszedł przez ochronę i skierował się przez labirynt korytarzy do swojego doku. Wprowadził kod otwierania wjazdu i wszedł na pokład, zamykając za sobą wejście, po czym ruszył w kierunku kokpitu. Usadowił się w fotelu pilota i skontaktował z wieżą.

- Tu Kinman Doriana z Biura Wielkiego Kanclerza - zameldował, kiedy zgłosił się kontroler.

- Proszę o korytarz wylotu za trzydzieści minut.

- Przyjąłem, Doriana - odpowiedział tamten.

- Potwierdzam trzydziestominutowy korytarz wylotowy.

- Dziękuję.

- Doriana wyłączył komunikator i przygotował się do pełnego rozruchu statku, obserwując kolejno wszystkie ożywające systemy.

- Spóźniłeś się, komandorze Stratis.

Doriana jeszcze raz powoli powiódł wzrokiem po ekranach. A potem równie powoli obrócił się wraz z fotelem.

Neimoidianin, wklonowany we wnękę holoprojektora w tylnej ścianie kokpitu, gniewnie łypał na niego spod płaskiego, pięciokątnego kapelusza.

- O, jak miło... wicelord Siv Kav - powitał go Doriana.

- Wygląda pan, jakby mu było bardzo niewygodnie.

- Bardzo zabawne - burknął Kav. Poruszając energicznie ramionami, zdołał wreszcie wydobyć siebie

i swoje dekoracyjne szaty z wnętrza.

- Powinieneś tu być już godzinę temu.

- Po co? - spokojnie zdziwił się Dorian.

- Czy wasza flota nie jest gotowa?

- Oczywiście, że jest.

- A Lot Pozagalaktyczny dopiero co wyszedł z portu - wyjaśnił Dorian.

- To mnóstwo czasu na przygotowanie pułapki.

- Lekko przekrzywił głowę.

- Amoże jesteś po prostu zły, że zmusiłem cię do ukrywania się w tej dziurze o godzinę dłużej?

- Nie ukrywałem się - sztywno zaprotestował Neimoidianin.

- Po prostu nie chciałem zostać dostrzeżony, gdyby niespodziewanie wszedł tu ktoś z władz portu.

- Mogłeś w tym celu pozostać w kabinie dla gości, jak ci kazałem - przypomniał Dorian.

- Ale oczywiście wtedy nie mógłbyś podsłuchać, jak zwracam się z żądaniem korytarza do wieży. No i jak, czy poznanie mojego prawdziwego nazwiska i portu przeznaczenia warte było oczekiwania?

Wielkie oczy Kava spoczęły na jego twarzy.

- Już raz zostaliśmy zdradzeni przez twojego mistrza - powiedział ponuro Neimoidianin.

- Darth Sidious obiecał, że Naboo będzie należało do nas, że dostaniemy tam bazę, której tak potrzebowaliśmy. Ale kiedy losy bitwy się odwróciły, on nas zapomniał.

- Przegrana bitwa nie była jego winą - odparował Dorian.

- Chcesz koniecznie mieć do kogoś pretensje, zrzuć winę na Amidalę. Wcale nie zostaliście zdradzeni.

- A więc Naboo należy do nas? - sarkastycznie mruknął Kav.

- Chyba coś przeoczyłem.

- Naboo to drobiazg - odparł Dorian.

- Istnienie i dalsze funkcjonowanie waszej Federacji Handlowej jest nieskończenie bardziej cenne. A

może przeoczyłeś również fakt, że do tej pory nie została ukarana za swoje przestępstwa?

- To nie jest zasługa Sidiousa - powiedział Kav.

- Zawdzięczamy to systemowi sądowemu i wielu kosztownym adwokatom.

Doriana uśmiechnął się blado.

- Naprawdę sądzisz, że sądy do tej pory nie ugięłyby się pod naciskami senatu, gdyby ktoś nie działał za kulisami na waszą korzyść?

Na twarzy Kava pojawił się wyraz niepewności.

- To byłeś ty? - zapytał. Doriana wzruszył ramionami.

- Lord Sidious ma wiele sług.

- Tyle że ten szczególny sługa jest pracownikiem biura wielkiego kanclerza - powiedział Kav, wskazując na niego palcem.

- To musi być dla niego bardzo wygodne.

Doriana przybrał kamienny wyraz twarzy.

- To prawda - odparł cicho.

- A ty od tej chwili zapomnisz, że kiedykolwiek słyszałeś to imię. Na zawsze. Czy to jasne?

Kav już miał parsknąć pogardliwie, ale jeszcze raz przyjrzał się twarzy Doriany.

- Jasne, mistrzu Stratis.

- Doskonale. - Doriana wskazał drzwi kokpitu.

- Czy mógłbyś teraz wrócić do kabiny? Ktoś musi polecieć tym statkiem. Masz dla mnie współrzędne floty?

- Mam. - Długie palce Kava pogmerały w fałdach szaty i wyłuskały z nich kartę danych. - Dotarcie do nich zajmie nam nie więcej niż dwa dni.

- Bardzo dobrze - pochwalił Doriana.

- To powinno nam pozwolić sfinalizować naszą strategię walki.

- To ja się znam na taktyce bitewnej - przypomniał sucho Kav.

- Plan ataku opracuję ja.

- Oczywiście - odparł Doriana, tłumiąc westchnienie.

- Chciałem tylko powiedzieć, że zawsze będę mógł ci pomóc. A teraz, jeśli wrócisz do kabiny, będę mógł odlecieć.

Neimoidianin wyprostował się. Jego duma, choć na koniec, została mile połączona, więc mógł spokojnie opuścić pomieszczenie.

Kręcąc głową, Doriana powędrował do wnęki z holoprojektorem. Ci Neimoidianie! Gdyby nie kontrolowali najlepszych zasobów sprzętu militarnego w Republice, już dawno zaproponowałyby spuszczenie całej tej rasy w odświeżaczu. Miał nadzieję, że Sidious już pracuje nad znalezieniem kogoś bardziej kompetentnego na ich miejsce.

Usiadł wygodnie we wnęce i wprowadził kod przekaźnika HoloNetu. Światła zabłyśły, a on dał sygnał wywołujący mistrza.

Czekał dłużej niż zwykle; kilka razy miał ochotę przejść się na dziób, aby sprawdzić tablice statusu. Za każdym razem jednak opierał się pokusie. Gdyby Sidious pojawił się i musiał czekać, byłby wściekły.

Wreszcie znajoma postać w kapturze pojawiła się na holo.

- Mów - odezwał się mistrz.

- Lot Pozagalaktyczny jest w drodze, lordzie Sidious - poinformował Doriana.

- Na pokładzie mam wicelorda Kava, który za godzinę skieruje się do punktu spotkania.

- Cieszę się - powiedział Sidious.

- Czy wiesz dokładnie, gdzie Lot Pozagalaktyczny zatrzyma się w Nieznanych Rejonach?

- Tak, mój panie - odparł Doriana.

- Kapitan Pakmillu ma dwa oddzielne kontrolne punkty nawigacyjne, zaplanowane na pierwsze osiemset lat świetlnych poza przestrzenią Republiki. Mam współrzędne obydwu.

- Pamiętaj, żebyś uwzględnił pierwszy - ostrzegł Sidious.

- Może się okazać, że Cbaoth z niecierpliwości zechce ominąć drugi.

- Taki istotnie był mój plan, panie - powiedział Doriana.

- Jeszcze jedna kwestia. Mam ostateczną listę pasażerów Pakmillu, do której dodano trzech Jedi.

- Jednym z nich jest bez wątpienia Lorana Jinzler - domyślił się Sidious.

- Cbaoth wcześniej już informował senat, że ta młoda Jedi będzie mu towarzyszyć. - Opadające kąciki ust mistrza niosły się na chwilę w sardonicznym uśmiechu.

- Choć nie wierzę, żeby jej samej także o tym wspomniał.

- Tak, Jinzler jest jedną z nich - potwierdził Dorianą.

- Pozostali dwaj to Obi-Wan Kenobi i Anakin Skywalker. Uśmiech Sidiousa znikł.

- Skywalker? - syknął.

- Kto do tego dopuścił?

- Nie wiem, mój panie - odparł Dorianą, czując, że serce zaczyna mu mocniej bić. Kiedy ostatnio widział Sidiousa w takim nastroju, ktoś zginął. Gwałtowną śmiercią.

- Chyba był Cbaoth...

- Skywalker nie może polecieć na tym statku - ostro przerwał mu Sidious.

- Musi pozostać tutaj. Dopilnujesz tego.

- Rozumiem, mój panie - skwapliwie powiedział Dorianą.

- Nie obawiaj się, ściągnę go tu.

Sięgnął do wyłącznika, ale w jego głowie kłębiły się myśli, których w żaden sposób nie mógł uporządkować. Pierwszy planowany przystanek Lotu Pozagalaktycznego znajdował się w systemie Lonnaw. Jeśli wyruszy tam natychmiast...

Ale nie może... nie z wicelordem Kavem na pokładzie. Zbyt wielkie ryzyko, że ktoś zauważy Neimoidianina i wyciągnie wnioski, na które nie mogli sobie pozwolić. Musi najpierw wysadzić Kava przy flocie, a potem gonić Lot Pozagalaktyczny. A to oznacza, że ze spotkania na Lonnaw nic nie wyjdzie, czyli trzeba będzie celować w następny przystanek: Argai, w drugim końcu sektora haldereńskiego. Jeśli i tam ich zgubi...

- Zaczekaj chwilę - usłyszał.

Dorianą znieruchomiał, jego ręka zawisła nad przyciskiem. Sidious miał zaciśnięte gniewnie usta i Dorianą odniósł wrażenie, że lord Sith wykonał tę samą myślową pracę, co on przed chwilą.

I widocznie doszedł do tych samych wniosków.

- Lepiej działaj nadal zgodnie z planem - powiedział mistrz już całkiem spokojnie.

- Ja się zajmę usunięciem Skywalkera z pokładu Lotu Pozagalaktycznego.

- Tak jest, mój panie - odpowiedział Dorian. Poczł taką ulgę, że mięśnie mu się rozluźniły. Nie miał zielonego pojęcia, jak Sidious zamierza przeprowadzić ten plan, zwłaszcza z Cbaothem i pięcioma innymi mistrzami Jedi na pokładzie przeciw sobie, ale to sprawa lorda Sithów. Dorian za to miał spokój i to było najważniejsze.

- Skontaktuję się z tobą znowu, kiedy misja zostanie zakończona.

- Zrób to, Dorian - warknął Sidious. Chociaż oczy, jak zwykle, miał ukryte pod kapturem, jednak nim obraz zamigotał i znikł, Dorian odniósł wrażenie, że te oczy wypalają w nim dziurę poprzez długie lata świetlne, jakie rozdzielały obu rozmówców.

Przez pewien czas pozostał na miejscu, oddychając głęboko, aby uwolnić napięcie wciąż tkwiące w jego ciele. Gra z mistrzem znów omal nie okazała się zabójcza, ale jeszcze raz zdołał wyjść z niej bez szwanku.

Pewnego dnia jednak los może się odmienić.

Ale to odległa przyszłość. Na razie musiał odnaleźć flotę i przygotować pułapkę.

I zabić osiemnastu Jedi.

Wyłączył holoprojektor i wrócił na fotel pilota, wkładając kartę danych Kava do szczeliny czytnika. Czas wreszcie się dowiedzieć, dokąd zmierza.

R O Z D Z I A Ł 14

Drzwiczki wagonika turbowindy w pylonie otworzyły się na kolejny przestronny hol.

- Chyba tu - mruknął Anakin, wyglądając na zewnątrz.
- To jest - zerknął na oznaczenie z boku - dreadnaught cztery.
- Zgadza się - odparł Cbaoth, kładąc dłoń na ramieniu chłopca i wypychając go z windy.
- Jesteśmy teraz najbardziej oddaleni od statku dowodzenia, dreadnaught jeden.
- Do tej definicji pasowałaby Tatooine - dodał Obi-Wan.
- Racja - zgodził się Anakin.
- Tyle że tu chłodniej i mniej piasku.
- Tatooine? - zdziwił się Cbaoth.
- Ta niewielka planeta, gdzie wychował się Anakin - wyjaśnił Obi-Wan.
- Miejscowi chętnie mówili, że to najdalszy punkt od centrum wszechświata, tak jak dreadnaught cztery jest najbardziej oddalony od obszaru dowodzenia.
- Rozumiem - skinął głową Cbaoth.

Rozkład i wyposażenie dreadnaughta cztery, jak zauważył Obi-Wan, były identyczne jak na innych statkach, które odwiedzili wcześniej z Cbaothem. Nie było to zbyt zaskakujące, biorąc pod uwagę, w jaki sposób zorganizowano tę ekspedycję. Podobnie jak w pozostałych dreadnaughtach, mijający ich w korytarzach ludzie zdawali się poruszać sprężystym krokiem osób zajętych pilnymi sprawami. Ich twarze wyrażały radość, pewność siebie i determinację.

Nic dziwnego. Pomimo niesprzyjających warunków ich wielka przygoda nareszcie się zaczęła i blask tego osiągnięcia wciąż jeszcze ich ogrzewał.

- Tym dreadnaughtem opiekuje się mistrz Jedi Justyn Ma'Ning
- wyjaśnił Cbaoth, kiedy ruszyli w stronę rufy.
- Zdaje się, że rozmawialiście z nim na przyjęciu pierwszego wieczoru.
- Owszem, rozmawialiśmy przez kilka minut - odparł Obi-Wan.

- Myślałem, że dowódcą dreadnaughta cztery jest komandor Omano.
- Chodziło mi o to, że mistrz Ma'Ning nadzoruje działania i czynności Jedi - wyjaśnił Cbaoth.
- Powinien być w sali konferencyjnej numer 5 wraz z dwoma rycerzami Jedi i wybraną grupą rodzin. Zobaczmy, jak sobie radzą.
- Do czego zostały wybrane te rodziny? - zapytał Obi-Wan.
- Do najwyższego możliwego zaszczytu - wyjaśnił Cbaoth.
- Za kilka dni jedno z dzieci każdej z tych rodzin rozpocznie szkolenie Jedi.

Obi-Wan wytrzeszczył oczy.

- Szkolenie Jedi?
- Istotnie - potwierdził Cbaoth.
- Widzisz, obok sprawdzania podstawowych umiejętności technicznych, przyszli koloniści sprawdzani byli również pod kątem posiadania dzieci wrażliwych na Moc. Rodziny, które były najbardziej obiecujące, otrzymały status preferencyjny, choć oczywiście było to przed nimi do tej pory ukrywane. Mamy w sumie jedenaścioro kandydatów, w tym troje tu, na dreadnaughtcie cztery.
- W jakim wieku są te dzieci? - zapytał Obi-Wan.
- Od czterech do dziesięciu lat - odparł Cbaoth. Uniósł brew i spojrzał na Anakina.
- Wydaje mi się, że w tym samym wieku był młody Skywalker, kiedy go wzięłeś na padawana.
- Rzeczywiście - potwierdził Obi-Wan, odruchowo zagryzając wargi.
- Przez setki lat Jedi brali na szkolenie dzieci w wieku niemowlęcym i Cbaoth dobrze o tym wiedział. Anakin był zdecydowanym wyjątkiem od tej reguły, wyjątkiem, który Cbaoth najwyraźniej próbował wykorzystać.
- A co z ich rodzicami?
- A co by miało być?
- Czy zgodzili się już na szkolenie?
- Zgodzą się - zapewnił go Cbaoth.
- Jak już powiedziałem, oddanie dziecka Jedi to największy z możliwych zaszczyt.
- Więc jeszcze ich o to nie zapytałeś?

- Oczywiście, że nie - odparł Cbaoth z lekkim zdumieniem w głosie.

- Którzy rodzice nie byliby dumni, że mają syna lub córkę Jedi?

Obi-Wan nabrał powietrza w płuca.

- A jeśli z jakiegoś powodu oni widzą to inaczej?

- Później dokończymy - przerwał Cbaoth, wskazując drzwi po prawej.

- Jesteśmy na miejscu.

Sala konferencyjna była jednym z wielu takich pomieszczeń, rozsianych po całym typowym dreadnaughcie. W głębi, obok podium, stał mistrz Jedi Ma'Ning; słuchał uważnie pytania, zadawanego przez kobietę w pierwszym rzędzie. Obok niego stali dwaj Durosianie w szatach Jedi.

A w rzędach foteli przed nimi, zajmując praktycznie wszystkie dostępne miejsca, siedziało około czterdzieścioro mężczyzn, kobiet i dzieci. Było ich o wiele więcej niż trzy rodziny, o których wspominał Cbaoth.

Widać było, że Cbaoth również jest zaskoczony.

- Co się... - zabuczał pod nosem i z błyskiem w oku rozejrzał się dokoła.

- Może przyprowadzili przyjaciół? - z wahaniem zasugerował Anakin.

- Przyjaciół nie zapraszaliśmy - zagrzmiał Cbaoth.

Ruszył przed siebie, ale zmienił zamiar. Niecierpliwym krokiem skierował się w prawo. Obi-Wan również zwrócił się w tym kierunku i zobaczył Loraną Jinzler, która oderwała się od ściany i ruszyła w ich stronę.

Podeszła i powitała ich skinieniem głowy.

- Mistrz Cbaoth - odezwała się spokojnie. - Mistrz Ma'Ning mówił, że możesz tu wstąpić.

- I całe szczęście, że to zrobiłem - burknął Cbaoth. Mówił cicho, ale Obi-Wan zauważył, że część ludzi zajmujących ostatnie rzędy zaczęła odwracać głowy, by sprawdzić, co się dzieje.

- Mistrz Ma'Ning zaprosił również wszystkich drugorzędnych i ich rodziny - wyjaśniła Lorana.

- Drugorzędnych? - zdziwił się Obi-Wan.

- To wszyscy z niewielką, uszpioną wrażliwością na Moc, zbyt małą, aby kiedykolwiek stać się Jedi - wyjaśnił Cbaoth, piorunując wzrokiem Ma'Ninga z drugiego końca sali. - A ty, Jedi Jinzler?

Dlaczego nie wypełniasz swoich obowiązków na dreadnaughcie jeden?

- Mistrz Ma'Ning poprosił, żebym przyszła - odpowiedziała zdeprymowana.

Cbath mruknął coś pod nosem.

- Rozumiem - dodał głośno.

Czekali w milczeniu, aż Ma'Ning odpowie na pytanie, które mu zadano; dotyczyło chyba zmiany przydziału racji dla tych, których dzieci będą przechodzić szkolenie i powinno właściwie pociągnąć za sobą kolejne pytania. Ale tak się nie stało i Ma'Ning w kilku słowach podziękował obecnym za przybycie, tym samym kończąc spotkanie.

Kiedy uczestnicy zaczęli zbierać się w grupki i kierować ku wyjściu, Cbath ruszył w kierunku mównicy. Obi-Wan poszedł za nim razem z Anakinem i Loraną. Na ile Obi-Wan mógł zrozumieć ze strzępków rozmów, większość obecnych istotnie wydawała się zadowolona, a przynajmniej podekscytowana tym, że mają w rodzinie przyszłych Jedi.

Większość. Ale nie wszyscy.

Ma'Ning skinął głową na powitanie zbliżającej się grupy.

- Mistrz Cbath - rzekł.

- Mistrz Kenobi; młody Sky...

- Co chciałeś osiągnąć, sprowadzając na spotkanie drugorzędnych? - przerwał mu Cbath.

- Uznałem, że lepiej, aby wszyscy od razu się dowiedzieli, dlaczego zostali wybrani do podróży Lotu Pozagalaktycznego - odparł Ma'Ning spokojnie, ale w kącikach jego oczu Obi-Wan zauważył zmarszczki napięcia.

- Skoro drugorzędni są najbardziej prawdopodobnymi rodzicami przyszłych Jedi, sądzę, że powinni wiedzieć, czego mają się spodziewać.

- To mogło poczekać, aż coś z tego wyniknie - burknął Cbath.

- Nie tak miało być.

- Nic nie jest tak, jak miało być - uświadomił mu Ma'Ning.

- Dzieci w tym wieku... zabierane przemocą od rodzin...

- Przemocą? - wtrącił Obi-Wan.

- Nie sądzę, aby przemoc była konieczna - upierał się Cbath, gromiąc wzrokiem na przemian Obi-Wana i Ma'Ninga.

- Te kilka rodzin, które mają wątpliwości, z pewnością dojdą do rozsądnych wniosków. A same dzieciaki będą zachwycone, rozpoczynając szkolenie.
 - Pozostaje pytanie, po co my w ogóle to robimy - mruknął Ma'Ning.
 - Dlatego że wyruszamy w długą i niebezpieczną podróż - tłumaczył Cbaoth.
 - Potrzebujemy wszystkich Jedi, jakich możemy znaleźć, o wiele więcej, niż mistrz Yoda pozwoliłby mi zaprosić. Sami ich sobie wychowamy. I proszę, nie cytujcie mi tych uczonych przepisów, ile lat powinien mieć kandydat na Jedi... choćby dlatego, że to nonsens.
 - Mistrz Yoda nie zgodziłby się z tobą - powiedział Ma'Ning,
 - Więc mistrz Yoda by się omylił - odparł Cbaoth beznamiętnie.
 - Nie szkolimy starszych dzieci i dorosłych tylko dlatego, że nie chcemy. Taka jest cała prawda. - Wskazał na Anakina.
 - Padawan Skywalker jest dowodem, że takie dzieci można szkolić.
- Usta Ma'Ninga drgnęły.
- Możliwe - rzekł.
 - Ale są jeszcze inne powody, dla których powinniśmy przyjmować jedynie bardzo małe dzieci.
 - Jakie inne powody? - zapytał Cbaoth.
 - Tradycja? Polityka? Z pewnością w samym Kodeksie nie ma nic takiego, co by specjalnie traktowało o tej kwestii.
 - To nieprawda - wtrącił Obi-Wan.
 - W tym względzie pisma mistrza Simikarty są bardzo jednoznaczne.
 - Pisma mistrza Simikarty to jego interpretacja Kodeksu, a nie część samego Kodeksu - sprostował Cbaoth.
 - Kolejna tradycja, tylko pod inną nazwą.
 - Nie szanujesz tradycji? - zapytał jeden z Duro.
 - Nie szanuję traktowania jej jak prawdę absolutną - odrzekł Cbaoth.
 - Nie możemy sobie na to pozwolić. Jedi jest w Republice coraz mniej. Jeśli mamy kontynuować naszą działalność strażników pokoju i sprawiedliwości, musimy znaleźć sposób, aby zwiększyć ich

liczebność.

- Przymusem zabierając kandydatów od rodzin? - zapytał Ma'Ning.
- Nawet jeśli żadne z rodziców nigdy nie chciało, aby któreś z jego dzieci stało się Jedi?
- Dlaczego tak sądzisz? - zapytał Cbaoth.
- Gdyby było inaczej, wysłaliby je na testy, kiedy jeszcze były niemowlętami - odparował Ma'Ning.
- Może były inne powody - zagrział Cbaoth.
- Ale masz rację, to rodzice zawsze podejmowali decyzję, czy dzieci mają być szkolone, czy nie. Kolejna tradycja. A co z życzeniami dziecka? Czy nie byłoby bardziej etycznie dopuścić, aby to on czy ona podjęli decyzję?
- Ale przecież, jak mówi mistrz Ma'Ning, istnieją dobre powody, aby przyjmować jedynie małe dzieci - powiedział Obi-Wan.
- Większość tych powodów ma tu zastosowanie - stanowczo odparł Cbaoth.
- Nie mamy na statku głęboko zakorzenionych hierarchii. Dzieci nie będą musiały pokonywać setek tysięcy lat świetlnych do świątyni na Coruscant, gdzie już nigdy nie zobaczyłyby rodzin.
- Stojąca obok Cbaotha Lorana drgnęła, ale zachowała milczenie. - Umieścimy je o kilka minut jazdy turbowindą od rdzenia magazynowego - ciągnął Cbaoth.
- Po początkowym szkoleniu możemy nawet rozważyć okresowe widzenia z rodzinami.
- Chcesz je umieścić w magazynie? - zdziwił się Ma'Ning, marszcząc brwi.
- Chcę, aby centrum szkoleniowe było możliwie jak najbardziej oddalone od hałasu i zamieszania - wyjaśnił Cbaoth.
- Tam jest bardzo dużo miejsca.

Ma'Ning pokręcił głową.

- I tak mi się to nie podoba, mistrzu Cbaoth.
- Nowe pomysły zawsze szokują, podobnie jak nowe sposoby działania - rzekł Cbaoth, wodząc wzrokiem po zebranych.
- Cały Lot Pozagalaktyczny jest w pewnym sensie wielkim eksperymentem. I pamiętajcie, że jeśli nam się uda, możemy przywieźć do Republiki metodę całkowitej odnowy całego zakonu Jedi.

- A jeśli nam się nie uda? - zapytał Obi-Wan.

- To poniesiemy klęskę - odparł sztywno Cbaoth.

- Ale to niemożliwe.

Obi-Wan spojrział na Ma'Ninga. Mistrz nadal wyglądał na niezadowolonego, ale nie miał pod ręką żadnych nowych argumentów.

Poza tym Cbaoth miał rację. Jeśli zakon Jedi ma przetrwać, trzeba spróbować czegoś nowego.

A jeśli wierzyć opowieściom, od czasu do czasu Jedi rzeczywiście podejmowali takie ryzyko.

- Dobrze - rzekł wreszcie Ma'Ning.

- Spróbujemy tego wielkiego eksperymentu. Ale działaj ostrożnie, mistrzu Cbaoth, działaj bardzo ostrożnie.

- Oczywiście - odparł Cbaoth, jakby co do tego nie było żadnych wątpliwości.

- A zatem pozostaje nam jedynie przygotować centrum szkoleniowe.

- Spojrzał na Loraną.

- Skoro już tu jesteś, Jedi Jinzler, zajmiesz się tym.

Lorana skłoniła głowę.

- Tak, mistrzu Cbaoth.

- A w przyszłości - dodał Cbaoth, spoglądając znów na Ma'Ninga - skonsultujesz

się najpierw ze mną, zanim oderwiesz kogoś z moich Jedi od jego obowiązków.

Usta Ma'Ninga zacisnęły się lekko, ale on także skłonił głowę.

- Jak sobie życzysz, mistrzu Cbaoth.

Cbaoth jeszcze przez chwilę patrzył mu w oczy, po czym podszedł do Obi-Wana i Anakina.

- A teraz kontynuujmy wycieczkę - rzekł, kierując ich gestem w stronę drzwi.

Ruszył ku wyjściu, ignorując niewielkie grupki członków załogi, cicho rozmawiających między sobą, i wyszedł na korytarz.

- Wspomniałeś o obowiązkach Jedi - przypomniał mu Obi-Wan, kiedy skierowali się na rufę. - Co

właściwie mielibyśmy robić?

- Na razie to samo, co robiliście zawsze - odrzekł Cbaoth.

- Chodzi o monitorowanie Lotu Pozagalaktycznego i pomoc tam, gdzie będziecie potrzebni. Później poproszę, abyście pomogli przy szkoleniu przyszłych Jedi. I oczywiście trzeba będzie utrzymywać porządek na statku.

- Nie zauważyłem jakichś wielkich zgrzytów - stwierdził Obi-Wan.

- Jeszcze będą - ponuro zapewnił go Cbaoth.

- Ludzie stłoczeni na pokładzie nie mogą żyć bez tarć. Jeszcze zanim opuścimy Nieznane Rejony, będziemy prawdopodobnie bez przerwy wzywani do rozwiązywania sporów między pasażerami, jak również wdrażania właściwych zasad postępowania.

Zasady postępowania? To coś nowego, pomyślał Obi-Wan.

- Czy to nie należy do zakresu odpowiedzialności kapitana Pakmillu? - spytał ostrożnie.

- Kapitan Pakmillu będzie miał pełne ręce roboty z kierowaniem takim statkiem jak Lot Pozagalaktyczny - uświadomił mu Cbaoth.

- Poza tym, my mamy lepsze kwalifikacje do takich zadań.

- Tak, dopóki będziemy pamiętać, że naszą rolą jest doradzanie i mediacja - przypomniał Obi-Wan.

- Jedi raczej służą, niż rządzą... dla dobra galaktyki.

- Nie wspomniałem ani słowem o rządzeniu.

- Ale jeśli odbierzemy pracę kapitanowi Pakmillu i sami zaczniemy pilnować porządku, czy to nie będzie właśnie rządzenie? - zapytał Obi-Wan.

- Mediacja z ukrytą groźbą zastosowania przymusu to nie mediacja.

- Czy zagroziłem komukolwiek w mediacjach na Barloku?

- kąśliwie zauważył Cbaoth.

Obi-Wan zawahał się. Pamiętał uczucie niepewności, kiedy słyszał ton, jakim Cbaoth przemawiał do obu stron po ataku rakiety. Czy istotnie nie przekroczył on swoich kompetencji, wymuszając na nich przyjęcie warunków? A może ta kompulsja wynikała z samego ataku, połączonego z nagłym i orzeźwiającym uświadomieniem sobie, że negocjacje nagle przestały być kwestią wykresów i abstrakcyjnych liczb?

I może właśnie to stanowiło związek Cbaotha z atakiem, o ile w ogóle można się było tego związku dopatrywać. A na to pytanie wciąż jeszcze sam sobie nie potrafił odpowiedzieć.

- Oni rzeczywiście potrzebowali kogoś, kto powiedziałby im, co mają robić - powiedział Anakin, wchodząc w bieg jego myśli.

- Amy podobno mamy mądrość i umiejętność spojrzenia na świat, jakiej nie posiada nikt poza Jedi.

- Czasem mądrość wymaga, aby stanąć z boku i nie robić nic

- konkludował Obi-Wan. W głowie wciąż jeszcze tłukły mu się słowa wypowiedziane przez Mace Windu w świątyni. Jeśli jednak nawet rada zganiła Cbaotha za jego czyny, Windu o tym nie wspomniał.

- Inaczej obywatele nigdy nie nauczą się sami rozwiązywać swoich problemów.

- A taka mądrość przychodzi jedynie z głębokiego zrozumienia Mocy - dodał Cbaoth tonem wskazującym, że dyskusja dobiegła końca.

- Jak sam się zresztą o tym przekonasz, młody Skywalkerze.

- Gestem nakazał im ruszyć przed siebie.

- Zobaczycie teraz centralny skład broni i tarcz.

Cbaoth i pozostali zniknęli za drzwiami sali konferencyjnej. Lorana patrzyła w ślad za nimi, wzdychając ze zmęczenia i irytacji.

Właściwie po co Ma'Ning ją tutaj zaprosił? Dlatego, że знаła Cbaotha lepiej niż ktokolwiek inny? Jeśli tak, to chyba nie bardzo mu się przydała w trakcie dyskusji. Czy miała zatem stanąć po stronie innych Jedi i sprzeciwić się jego metodom szkolenia? Cóż, w takim razie i tu też zawiodła.

- Czy on zawsze jest taki władczy?

Lorana rozejrzała się wokół. Dwaj Durosianie odeszli na bok i cicho rozmawiali między sobą; Ma'Ning stał przed nią, przyglądając jej się uważnie.

- Chyba nie aż tak bardzo - odparła, automatycznie stając w obronie mistrza.

- Może to po prostu taka osobowość - zastanowił się Ma'Ning i spojrzał na nią porozumiewawczo. Może widział już kiedyś, jak inni Jedi bronili Cbaotha, z tych samych powodów, dla których uczyniła to teraz Lorana. Nieważne, z jakich.

- Powiedz, co sądzisz o tym jego planie?

- Mówisz o szkoleniu starszych dzieci?
- Wzruszyła bezradnie ramionami.
- Nie wiem, to dla mnie całkiem nowa sprawa.
- Nie wspominał o tym wcześniej?
- Nie - zapewniła. - A przynajmniej nie przy mnie.
- Aha - mruknął Ma'Ning, sznurując usta.
- Oczywiście, to bardzo interesująca koncepcja. I ma rację, w przeszłości były już wyjątki i większość z nich doskonale się sprawdziła.
- Jak Anakin?
- Możliwe - ostrożnie odparł Ma'Ning.
- Co prawda, dopóki padawan nie osiągnie naprawdę stopnia rycerskiego, zawsze istnieje szansa, że on lub ona zejdzie z właściwej ścieżki. Choć nie spodziewam się tego po Skywalkerze.
- Ja też nie - zgodziła się Lorana.
- A teraz przepraszam, mistrzu Ma'Ning, muszę znaleźć kilku ludzi z załogi, aby pomogli mi organizować nowe centrum szkoleniowe.
- Oczywiście - skinął głową Ma'Ning.
- Porozmawiamy później.

Podszedł do obu Durosjan i przyłączył się do ich rozmowy. Trzej Jedi, prowadzący poważną dyskusję wyłącznie między sobą.

Bez Lorany.

Ale przecież wspomniała, że wychodzi. Prawdopodobnie dlatego tak się stało. Odetchnęła głęboko i wypchnęła z umysłu nieprzyjemne myśli, ruszając w kierunku wyjścia.

Była już prawie przy drzwiach, kiedy podszedł do niej jakiś mężczyzna.

- Przepraszam, Jedi - rzekł ostrożnie.
- Czy można na słowo?
- Oczywiście - odparła Lorana, po raz pierwszy skupiając na nim wzrok. Zobaczyła typowego członka załogi: młody, o błyszczących oczach i krótkich, ciemnych włosach, ze śladami tłustych

zabrudzeń na kołnierzu kombinezonu. Prawdopodobnie wprost ze zmiany został wezwany na spotkanie Ma'Ninga. Obok niego stała młoda kobieta ze śpiącym w jej ramionach niemowlęciem i drugim, pięcio - lub sześćioletnim chłopcem przytulonym do jej boku. Wolną ręką obejmowała jego ramiona.

- Co mogę dla was zrobić?

- Nazywam się Dillian Pressom, a to moja rodzina - rzekł mężczyzna, wskazując na matkę z dziećmi.

- Mój syn Jorad ma pytanie.

- Chętnie posłucham - odparła Lorana, podchodząc do chłopca. Zauważyła, że dłoń kobiety instynktownie zacisnęła się na ramieniu syna.

- Cześć, Jorad - odezwała się wesoło, przyklękając przed nim na jedno kolano.

Przyglądał się jej przez chwilę z mieszaniną niepewności i lęklivego podziwu.

- Naprawdę jesteś Jedi? - zapytał.

- Naprawdę - zapewniła go.

- Jestem Jedi Jinzler. Umiesz to wymówić?

Niepewnie wydał usta.

- Jedi Jisser?

- Jinzler - poprawił go ojciec. - Jinzler.

- Jedi Jissler - spróbował znowu chłopiec.

- Może łatwiej będzie Jedi Lorana - podsunęła.

- Miałeś do mnie jakieś pytanie?

Chłopiec niepewnie spojrzał w twarz matki. Po chwili jednak nabrał odwagi i przeniósł wrok na Lorane.

- Mistrz Ma'Ning mówi, że tylko ci ludzie, których wezwał, zostaną Jedi - rzekł.

- Chciałbym wiedzieć, czyja też mogę nim być.

Lorana spojrzała na kobietę, zauważając jej napięte rysy.

- Obawiam się, że żadne z nas nie ma na to wpływu - powiedziała łagodnie.

- Jeśli nie urodziłeś się wrażliwy na Moc, nie będziemy mogli wyszkolić cię na Jedi. Przykro mi.

- A może mi się poprawi? - upierał się Jorad.

- Mistrz powiedział, że reszta z nas jest blisko, a przecież testowali nas już dawno.

Może mi się poprawiło?

- Możliwe - odparła Lorana. Teoretycznie, naturalnie, było to wykluczone. Wrażliwość na Moc można było pielęgnować, ale nie tworzyć.

Z drugiej strony Cbaoth powiedział, że te rodziny miały niskie, ale nie zerowe poziomy wrażliwości. Praktycznie było zatem możliwe, że chłopak nie został przetestowany dokładnie.

- Wiesz co? - zaproponowała.

- Powiem mistrzowi Ma'Ningowi, żeby przetestował cię jeszcze raz, dobrze? Jeśli się podciągnąłeś, zobaczymy, może uda nam się włączyć cię do programu.

Oczy Jorada zabłyśły.

- Och, to dobrze - ucieszył się.

- Kiedy mogę zacząć?

- Porozmawiam z mistrzem Ma'Ning - powtórzyła, zastanawiając się, czy nie obiecała więcej, niż jest w stanie dotrzymać.

- On to załatwi z twoim ojcem.

- Co teraz, Jorad? - niecierpliwie przypomniała mu matka.

- Dziękuję - posłusznie odparł chłopiec.

- Proszę bardzo - odparła Lorana, wstając i spojrzała na niemowlę w ramionach matki.

- Czy to twoja siostra?

- Tak, to Katarin - odparł Jorad.

- Właściwie tylko płacze.

- To niemowlęta robią najlepiej - zgodziła się Lorana, spoglądając na matkę, a potem na Dilliana.

- Dziękuję, że przyszliście.

- Bardzo chcieliśmy przyjść - odparł Dillian, wziął syna za rękę i podszedł do wyjścia. Kiedy drzwi się otworzyły, wyprowadził chłopca na korytarz.

- Jeszcze raz dziękuję, Jedi Jinzler.
- Jedi Lorana - poprawił go chłopiec. Dillian uśmiechnął się prawie mimowolnie.
- Jedi Lorana - powtórzył. Wyciągnął dłoń do żony i poprowadził ją za Joradem.
- A, tu jesteście - rozległ się w korytarzu poirytowany głos. Lorana wyszła z sali za rodziną Jorada. W ich kierunku zmierzał młody człowiek o włosach nieokreślonej barwy i ustach zaciśniętych w wąską linię.
- Pressor, co ty tu robisz, do jasnej plamy? - warknął, gromiąc go wzrokiem.
- To było ważne spotkanie - wyjaśnił Dillian, wskazując na Loraną.
- To Jedi Lorana Jinzler...
- Od kiedy to wybywasz w środku wachty na spotkania? - rzucił mężczyzna.
- Na wypadek, gdybyś zapomniał, trochę trudno wykonać pełne sprawdzenie komunikacji reaktora hipemapędu, jeśli obsługi nie ma na miejscu.
- Wiem, wiem - odparł Pressor, przekazując matce dłoń syna.
- Przepraszam, myślałem, że pójdzie szybciej.
- No, ale nie poszło.
- Mężczyzna przeniósł gniewny wzrok na Loraną.
- Czy to się będzie tutaj ciągle zdarzać, Jedi Jinzler?
- Co masz na myśli... eee...?
- Jestem Chas Uliar - krótko odparł tamten.
- Chodzi mi o to, że wy, Jedi, przychodzicie tutaj i wywracacie nam harmonogram prac.
- Nie jestem pewna, czy cię rozumiem - powiedziała Lorana.
- Dwa dni temu mistrz Ma'Ning oderwał wszystkich od kontroli systemu na ćwiczenia z wyciekami chłodziwa - rzekł Uliar.
- Nieważne, że robił te ćwiczenia już z pięć razy w zeszłym miesiącu. Teraz znowu organizuje jakieś nieplanowane spotkania, które odrywają ludzi od ważnych i pilnych zadań. Co nas czeka jutro? Ćwiczenia z kapsułami ratunkowymi?
- Czyżbyś miał jakieś problemy, Uliar? - rozległ się zza ich pleców głos Ma'Ninga.

Lorana obejrzała się. Mistrz wyszedł właśnie na korytarz.

- Chciałbym po prostu wykonać moje codzienne obowiązki i spokojnie położyć się spać - odparł Uliar z sarkazmem.

- Czy muszę złożyć w tym celu osobne podanie?

- Wcale nie - zapewnił go Ma'Ning.

- Pressor, jesteś wolny, możesz wrócić na swoje stanowisko.

- Dziękuję - odparł Pressor.

- A w przyszłości postaramy się bardziej brać pod uwagę harmonogramy pracy załogi - dodał Ma'Ning pod adresem Uliara.

- To bardzo dobrze - odparł Uliar, już nie tak złośliwie.

- Chodź, Pressor. Zróbmy to, zanim przyjdzie następna zmiana.

Szybkim krokiem ruszył w głąb korytarza.

- Zobaczymy się później - powiedział Pressor, delikatnie dotykając ramienia żony, i pośpiesznie podążył za Uliarem.

- Do widzenia, Jedi Lorana - poważnie odezwał się Jorad, podnosząc na nią wzrok. - Mam nadzieję, że znów cię zobaczę.

- Jestem tego pewna, Jorad - powiedziała Lorana, uśmiechając się do dziecka.

- Opiekuj się dobrze siostrzyczką.

- No jasne. - Jorad mocno ścisnął dłoń matki i ruszył za nią korytarzem w przeciwną stronę.

- Nerwowy ten majster - zauważyła Lorana, patrząc na Vla'Ninga.

- Kto, Uliar? - mistrz Jedi wzruszył ramionami.

- Ano, rzeczywiście. Ale ma rację, nie można wszystkiego wywracać do góry nogami, nie powiadamiając o tym nikogo. Nie chciałabyś porozmawiać o tym z mistrzem Cbaothem?

- Myślałam, że to ty zorganizowałaś ćwiczenie z wyciekami chłodziwa

- Owszem, ale z rozkazu mistrza Cbaotha - smutno uśmiechnął się Ma'Ning.

- Uliar miał rację... na koniec tygodnia rzeczywiście mamy przewidziane ćwiczenia z kapsułami

ratunkowymi.

Lorana spuściła głowę.

- Porozmawiam z nim - obiecała.

Znajdowali się o sześć dni standardowych od Yaga Minor. Zatrzymali się właśnie na rutynowe sprawdzenie nawigacji w systemie Lonnav, kiedy zaczęły się kłopoty.

W tylnej części pasażerskiej dreadnaughta dwa zebrał się już spory tłumek, kiedy zjawił się Obi-Wan.

- Proszę mnie przepuścić - powiedział, wchodząc w tłum.

- Patrzcie... jeszcze jeden - mruknął jakiś Rodianin.

- Jeszcze jeden co? - zapytał Obi-Wan, kierując się w jego stronę.

- Jeszcze jeden Jedi - odparł tamten, patrząc mu prosto w twarz.

- Spokojnie, Feeven - ostrzegł go stojący w pobliżu mężczyzna.

- Nie zaczynaj szukać winnych.

- Możecie mi powiedzieć, co się stało? - zapytał Obi-Wan.

- A to, że w nocy byli złodzieje - wysyczał Rodianin.

- Złodzieje w szatach Jedi i z mieczami świetlnymi.

- Feeven, zamknij się - warknął mężczyzna. Spojrzał na Obi-Wana i spuścił oczy.

- Przyszli po czyjeś dziecko i tyle.

- Ale w środku nocy - upierał się Feeven.

- Jakiej nocy? - zadrwił mężczyzna.

- Tu jest kosmos. Tu zawsze jest noc.

- Rodzina spała - odparował Feeven.

- A to znaczy, że była noc.

- Dziękuję - odrzekł Obi-Wan i ruszył dalej w tłum. Środek nocy czy nie, chyba trzeba będzie wezwać Cbaotha.

Nie było takiej potrzeby. Kiedy znalazł się na otwartej przestrzeni, stwierdził, że Cbauth już tam jest.

- Mistrz Cbauth - przywitał się, jednym spojrzeniem obrzucając całą scenę. W drzwiach jednego z pomieszczeń stał potężny mężczyzna, wczepiony obiema rękami we framugę, jakby chciał pokazać, że nikogo nie przepuści. Za jego plecami kobieta o błędnych oczach klęczała na podłodze, tuląc do siebie małego chłopca. Dziecko wydawało się nieco przestraszone, ale także zainteresowane.

Cbauth obejrzał się i zmarszczył brwi.

- A ty co tu robisz? - warknął.

- Powinieneś spać.

- Usłyszałem, że coś się dzieje - wyjaśnił Obi-Wan, podchodząc do drzwi.

- Cześć - rzucił do mężczyzny.

- Nie zabierzecie go - powiedział tamten stanowczo.

- Nie obchodzi mnie, ilu was jest, nie zabierzecie go.

- Nie masz wyboru - równie stanowczo oznajmił Cbauth.

- Jak wyjaśnił ci mistrz Jedi Evrios tydzień temu, twój syn jest potencjalnym Jedi i zgodził się na rozpoczęcie szkolenia. A to znaczy, że idzie z nami.

- Kto tak powiedział? - warknął mężczyzna.

- Prawo statku mówi, że decyzje na temat dziecka podejmują jego rodzice. Sprawdziłem to.

- Prawo statku nie przewidywało takiej sytuacji - odparł Cbauth.

- Dlatego nie ma tutaj zastosowania.

- Więc teraz odrzucacie prawa, kiedy wam przestają pasować?

- Oczywiście, że nie odrzucamy - zapewnił Cbauth.

- Po prostu je poprawiamy.

- Kto poprawia? - zapytał mężczyzna.

- Wy, Jedi?

- Kapitan Pakmillu jest ostateczną instancją prawną na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego - wtrącił Obi-Wan.

- Możemy go wezwać i zapytać...

- Może i jest ostateczną instancją - rzekł Cbaoth, rzucając mu ostrzegawcze spojrzenie. - Ale to się jeszcze okaże.

Obi-Wan poczuł nieprzyjemny dreszcz.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Lot Pozagalaktyczny jest przede wszystkim projektem Jedi

- przypomniał mu Cbaoth.

- Dlatego potrzeby Jedi mają tu priorytet.

Obi-Wan ostrożnie odetchnął, bo uświadomił sobie nagle, że ludzie w milczeniu tłoczą się wokół nich.

- Czy mogę z tobą przez chwilę porozmawiać prywatnie, mistrzu Cbaoth? - zapytał.

- Później - odparł Cbaoth, wyciągając szyję ponad tłumem.

- Właśnie pojawił się kapitan Pakmillu.

Obi-Wan obejrzał się i stwierdził, że ludzie rozstępują się, aby przepuścić Pakmillu. Trzeba przyznać, że nawet wyciągnięty z łóżka, jak to zapewne miało miejsce teraz, wyglądał nieskazitelnie.

- Mistrz Cbaoth - przywitał się głosem jeszcze bardziej chropowatym niż zwykle.

- Mistrz Kenobi. W czym problem?

- Chcą mi zabrać syna! - wybuchnął mężczyzna w drzwiach.

- Chłopiec ma rozpocząć szkolenie Jedi - spokojnie tłumaczył Cbaoth.

- Ojciec próbuje mu odmówić tego prawa.

- Jakiego prawa? - warknął tamten.

- Jego prawa? Naszego prawa? Waszego prawa?

- Jedi są strażnikami pokoju - przypomniał mu Cbaoth.

- I jako tacy...

- Może jesteście nimi w Republice - uciął mężczyzna.

- Ale właśnie dlatego opuszczamy Republikę, a może nie? Aby uciec od arbitralnych zasad i kapryśnej sprawiedliwości, i...

- Może powinniśmy przedyskutować to rano - wtrącił Obi-Wan.

- Myślę, że przez noc się uspokoimy i zaczniemy myśleć jaśniej.

- Nie ma takiej potrzeby - upierał się Cbaoth.

- Mistrz Kenobi mądrze mówi - skomentował Pakmillu.

- Spotkajmy się jutro rano po porannym posiłku w dziobowej sali konferencyjnej

dowodzenia na dreadnaughcie dwa.

- Jego wzrok spoczął najpierw na mężczyźnie, a potem na Cbaothu.

- Wtedy obaj będziecie mogli przedstawić swoje racje, jak również odpowiednie artykuły prawa Republiki.

Cbaoth westchnął głośno.

- Doskonale, kapitanie - rzekł.

- Do jutra zatem.

On też popatrzył na mężczyznę i chłopca, po czym odszedł wielkimi krokami. Tłum rozstał się przed nim jeszcze szybciej niż poprzednio przed Pakmillu. Obi-Wan ruszył za nim, korzystając z przejścia, zanim znów się zamknęło.

Przez pierwsze sto metrów szli w milczeniu. Obi-Wan zaczął się już zastanawiać, czy Cbaoth wie, że nie jest sam, kiedy mistrz wreszcie się odezwał.

- Nie powinieneś być tego robić, mistrzu Kenobi - rzekł.

- Jedi nigdy nie powinni się sprzeczać publicznie.

- Nie miałem pojęcia, że próba wyjaśnienia sytuacji kwalifikuje się jako kłótnia - zdziwił się Obi-Wan, sięgając w Moc, aby zachować cierpliwość.

- Jeśli chodzi o ścisłość, Jedi nie powinien nigdy nastawiać przeciwko sobie ludzi, którym powinien służyć.

- Zabieranie dziecka na szkolenie Jedi nie jest antagonizowaniem.

- Ale jeśli się to robi w środku nocy, to wygląda inaczej - odparował Obi-Wan.

- Nie ma powodu, żeby sprawa nie mogła poczekać do rana... - zawiesił głos - ...chyba że istotnie próbowałaś narzucić kontrolę.

Miał nadzieję, że mistrz zaprzeczy natychmiast i z wielkim wzburzeniem. Ale Cbauth tylko spojrział na niego z ukosa.

- A dlaczego miałbym to zrobić?

- Nie wiem - odparł szczerze Obi-Wan.

- Zwłaszcza że Kodeks Jedi wyraźnie zabrania im rządzenia innymi istotami.

- Naprawdę? Rzeczywiście zabrania? Obi-Wan poczuł dziwne mrowienie na plecach.

- Już kiedyś o tym rozmawialiśmy - przypomniał.

- Cóż, moje stanowisko się nie zmieniło - odparł Cbauth.

- Zakon Jedi w ciągu wieków zgromadził wiele zasad, które okazały się błędne. Dlaczego ta nie mogłaby do nich należeć?

- Ponieważ Jedi nie są przystosowani do rządzenia - wyjaśnił Obi-Wan.

- Ponieważ dążenie do władzy to wejście w Ciemną Stronę.

- Skąd wiesz? - zapytał Cbauth.

- Kiedy po raz ostatni mieliśmy okazję to sprawdzić?

- Wiem, ponieważ tak mówi Kodeks - beznamiętnie odparł Obi-Wan.

- Jesteśmy po to, aby prowadzić, a nie stawać się dyktatorami.

- Jaki więc jest cel zasad i przepisów, jeśli nie nakłanianie wszystkich, aby zachowywali się w sposób najlepiej służący im i ich społeczeństwu? - odparował Cbauth.

- Teraz ty się bawisz w grę słów.

- Nie, mówię o intencjach - poprawił go Cbauth.

- Władza jest oznaką Ciemnej Strony, ponieważ prowadzi do osobistych zysków i satysfakcji z własnych pragnień. Przewodnictwo w każdej innej formie oznacza działanie zgodnie z najlepszymi interesami danej osoby.

- Czy naprawdę tego tutaj szukasz?

- Tego szukamy wszyscy - odparł Cbauth.

- Daj spokój, mistrzu Kenobi. Czy naprawdę uważasz, że mistrz Yoda i mistrz Windu nie potrafilibyśmy rządzić Republiką mądrzej i skuteczniej niż Palpatine i jego banda biurokratów?

- Gdyby zdołali oprzeć się pokusie Ciemnej Strony, to na pewno - przyznał ObiWan.

- Ale ta pokusa zawsze będzie im grozić.

- Jak zawsze, cokolwiek czynimy - westchnął Cbaoth.

- Dlatego szukamy wsparcia w Mocy zarówno dla siebie, jak i dla tych, którym służymy.

Obi-Wan pokręcił głową.

- To niebezpieczna ścieżka, mistrzu Cbaoth - ostrzegł.

- Ryzykujesz spowodowanie chaosu i zamieszania.

- Zamieszanie będzie minimalne i szybko się skończy - obiecał Cbaoth.

- Nie wiem, na co nam pozwolą, ale bądź pewien, że wszystko będzie się odbywać przy wsparciu innych.

- Uniósł palec.

- Nigdy nie zapominaj, z jakiego powodu znalazła się tutaj większość z nich. Słyszałeś już przecież: dołączyli do Lotu Pozagalaktycznego, aby uciec od korupcji świata, jaki pozostawiliśmy za plecami. Czemu nie mielibyśmy zaoferować im czegoś lepszego?

- Ponieważ zaczynamy balansować zbyt blisko krawędzi - odparł Obi-Wan.

- Nie mogę uwierzyć, aby Kodeks mylił się tak bardzo, jak zdajesz się wierzyć.

- Nie myli się, tylko jest błędnie interpretowany - odparł Cbaoth.

- Może powinieneś skoncentrować się i włączyć ten problem do swoich medytacji. Ja oczywiście uczynię to samo - dodał szybko.

- Razem z pewnością znajdziemy w sobie dość intuicji, aby wybrać właściwą ścieżkę.

- Może i tak - powiedział Obi-Wan.

- Chciałbym w każdym razie uczestniczyć w jutrzejszym spotkaniu.

- Kiedy nie ma takiej potrzeby - zaprotestował Cbaoth.

- Mistrz Jedi Evrios i ja zajmujemy się wszystkim. Poza tym, o ile wiem, zgodnie z planem masz w tym czasie pomagać przy tarczach nowego pomieszczenia nawigacyjnego na dreadnaughtcie jeden.
 - Uważam, że to może zaczekać.
 - A teraz z pewnością zechcesz wrócić do pozostałych - zwrócił mu uwagę Cbauth, kiedy dotarli do windy w pylonie.
 - Masz jutro trudny dzień.
 - Jak wszyscy - odparł Obi-Wan.
 - A ty? Jakie masz plany? Cbauth w zadumie spojrzał w głąb korytarza.
 - Sądzę, że zaczekam na kapitana Pakmillu - rzekł.
 - Śpij dobrze, mistrzu Kenobi. Zobaczymy się jutro.
- Na spotkaniu następnego ranka, po przedstawieniu wszystkich argumentów i zamknięciu dyskusji, kapitan Pakmillu wziął stronę Cbautha.
- Chłopca zabrali w trzy godziny później - opowiadał Uliar, krzywiąc się, swoim przyjaciółom po drugiej stronie stołu.
 - A czego oczekiwałaś? - rozsądnie spytał Tarkosa, siedzący naprzeciwko.
 - Jedi są rzadkie jak pióra u dewbacka. Mogę zrozumieć, że nie chcą dopuścić, aby ktokolwiek, kto ma choć cień wrażliwości, prześliznął im się między palcami.
 - Ale przedtem to były wyłącznie małe dzieci - przypomniał mu Jobe Keely ze sceptyczną miną.
 - Dzieci, które jeszcze nie wiedzą nawet, że żyją, a co dopiero kim są mama i tata.
 - Te dzieciaki są o wiele starsze - oświadczył Tarkosa.
 - Choćby chłopiec dzisiaj rano. Był przerażony, oczywiście, ale również podekscytowany. Uwierz mi, Jobe: większość dzieciaków uważa, że być Jedi to wspaniała zabawa.
 - Pytanie, co z nimi wszystkimi zrobią? - wtrącił Uliar.
 - Opróżnią jeden z dreadnaughtów i zbudują sobie tam własną świątynię Jedi?
 - Jestem pewien, że Cbauth ma własne pomysły - stanowczo rzucił Tarkosa.
 - Zdaje mi się, że panuje nad sytuacją.

- Jasne - burknął drwiąco Uliar.

- Oczywiście.

Przez kilka minut wszyscy milczeli. Uliar błdził wzrokiem po mesie numer 3, tak sterylnej i wojskowej jak wszystkie inne pomieszczenia na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego. Członkowie załogi, pochyleni nad posiłkami w swoich kombinezonach, również wydawali się sterylni i zmilitaryzowani.

Temu miejscu przydałby się jakiś charakter, uznał Uliar. Powinien chyba zebrać paru ludzi i dowiedzieć się, czy komandor Otnano pozwoli im zmienić wystrój mes. Może jedna niech wygląda jak elegancki klub na Coruscant, inna - jak kafejka ze Środkowych Rubieży, jeszcze inną urządziłoby się nowoczesnie... żeby uczestnikom lotu chciało się ubierać odpowiednio do miejsca, gdzie wybierają się na kolację lub drinka.

- Co my o tym wiemy?

- Keely przerwał mu tok rozmyślań, wskazując na coś ręką.

- Popatrzcie, jeszcze jedna.

Uliar odwrócił się. Oczywiście, to ta kobieta - Jinzler, która wyciągnęła Dilliana Pressora na spotkanie, kiedy ten powinien pracować. Stała w progu mesy, powoli wodząc wzrokiem, jakby obserwowała obecnych. Kilku gości podniosło na nią oczy, ale większość wydawała się nawet nie zauważać jej obecności.

- Węszy za kolejnymi Jedi? - mruknął Uliar.

- Zdaje się, że nie ma tu dzieciaków - zauważył Keely, rozglądając się wokół.

- Myślisz, że teraz zaczną polować na dorosłych?

- Może Cbauth dał im plan do wykonania? - podsunął Uliar.

- Wiesz, coś jak CorSec i nalepki uprawniające do jazdy.

- Patrole CorSec nie mają planów - pogardliwie wtrącił Tarkosa.

- To mit.

- Cóż, jeśli nawet tak jest, nie zdoła dzisiaj nic załatwić - zauważył Keely, kiedy Jinzler odwróciła się i opuściła pomieszczenie.

- Cbauth nie będzie z niej zadowolony.

- Jeśli mam być szczery, Cbauth chyba nie jest zadowolony z nikogo - odparł Uliar, sięgając po

kubek.

- Nie spotkałem dotąd nikogo tak zarozumiałego.
- Miałem w instytucie jednego instruktora, dokładnie takiego samego - przypomniał sobie Tarkosa.
- Pewnej nocy jeden ze studentów zakradł się do jego biura, rozmontował mu biurko i złożył z powrotem w odświeżaczu na końcu korytarza. Myślałem, że pęknie ze złości, kiedy to zobaczył.
- Założę się, że to niczego nie załatwiło - zauważył Keely.
- Tacy ludzie nigdy niczego się nie nauczą.
- Obejrzał się na Uliara.
- A skoro o tym mówimy, Chas, czy rozgryześ już ten problem z fluktuacjami na linii, które miałeś wczoraj? Musieliśmy wyłączyć cały system lewoburtowych turbolaserów.
- Tak, tak, załatwiliśmy to - odparł Uliar, odrywając myśli od Jedi i brzydkich jadalni.
- Nie przejmuj się. Pamiętasz b'Crevnisa, tego wielkiego, wiecznie zadowolonego Pho Ph'eahianina, który miał się zajmować serwisem przepływu cieczy? Zdaje się że udało mu się pomylić oznaczenia na jednym z jego własnych wskaźników.

Dopiero w czwartej mesie Lorana odnalazła nareszcie rodzinę Pressorów.

- Witam - powiedziała, z uśmiechem podchodząc do ich stolika.
 - Jak się dzisiaj czujecie?
 - Doskonale - odparł Pressor, ale kiedy spojrzał na nią, w jego oczach pojawił się wyraz czujności.
 - Czy coś się stało?
 - To zależy, jak na to spojrzeć - powiedziała Lorana, przyklękając pomiędzy Joradem a jego matką.
 - Chciałam ci powiedzieć, Joradzie, że twoje powtórne testy wypadły negatywnie. Przykro mi.
- Chłopiec skrzywił smutno buzię.
- Nie szkodzi - rzekł, choć był wyraźnie rozczarowany.
 - Mama i tato mówią, że to się raczej nie zmieni.
 - Twoi rodzice są bardzo mądrzy - pochwaliła Lorana.

- Mam nadzieję, że nie jesteś bardzo zmartwiony.
- Jestem pewna, że się z tym pogodzi - powiedziała matka chłopca z ulgą w głosie. - Jest tyle innych rzeczy, które może robić w życiu.
- No właśnie - mruknęła Lorana, a przed oczami stanęła jej twarz brata.
- Wszyscy musimy zaakceptować nasze mocne strony i talenty i korzystać z nich.
- Czasem z lekką zachętą - posępnie zwrócił uwagę Pressor.
- Słyszałem, że Jedi mieli wczoraj małe problemy na dwójce.
- Coś na ten temat słyszałam - potwierdziła Lorana.
- Nie było mnie tam, więc nie mogę powiedzieć, czy rzeczywiście były jakieś kłopoty. O ile wiem, sprawa została rozwiązana pokojowo.
- Słyszałem, że dzieciak został zabrany do szkółki Jedi - zauważył cierpko Pressor.
- Skoro to jego prawo, bo już się taki urodził, jak można mu go odmówić? - zapytała Lorana.
- Życie Jedi czasem potrafi być trudne... i wymaga poświęceń, zarówno od rodziców, jak i od dzieci. Ale wszystko, co jest warte zachodu, wymaga poświęceń.
- Pewnie tak - mruknął Pressor, najwyraźniej nie do końca przekonany.
- No cóż, wracajcie do posiłku - powiedziała Lorana, wstając.
- Dziękuję, że poświęciliście mi czas.
- Dziękuję, że wpadłaś do nas - odpowiedział Pressor.
- Żegnaj, Jedi Lorana - dodał Jorad. Na chwilę jego wzrok spoczął tęsknie na rękojeści jej miecza świetlnego, ale zaraz opuścił je na talerz.

Lorana zawróciła ku wyjściu, usiłując wyczuć nastroje mijanych osób. Prawie wszyscy z roztargnieniem podnosili wzrok, kiedy przechodziła obok, po czym wracali do posiłku i rozmów, jakby nigdy nic. Ci, którzy siedzieli dalej, nawet jej nie zauważali. Wszyscy wydawali się mniej lub bardziej zadowoleni, jeśli nie liczyć tych, którzy właśnie rozwiązywali problemy napotkane w pracy. Jeśli nawet wokół Jedi zaczęła pojawiać się otoczka niechęci, Lorana nie mogła jej wyczuć.

A może jej lęki były bezpodstawne? W końcu wszyscy muszą pozostać na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego jeszcze przez długi czas, i nawet ci, którzy byli oburzeni sposobem, w jaki odebrano im dzieci, w końcu się zorientują, że im więcej Jedi, tym bezpieczniejsza i spokojniejsza będzie podróż.

Na razie jednak czas wracać do pracy. Trzeba jeszcze przenieść część urządzeń, które zostały w ostatniej chwili umieszczone w magazynie. Oczywiście, wśród załogi było dość pracowników fizycznych, aby załatwić ten problem, ale zawsze istniała szansa, że jakiś stos nieoczekiwanie się przewróci, a wtedy lepiej, by Jedi był w pobliżu i zapobiegł katastrofie. W czasie podróży zdarzy się na pewno niejeden wypadek, może nawet śmiertelny, ale Lorana nie zamierzała dopuścić, aby takie incydenty zaczęły się już teraz. Oczywiście, jeśli tylko będzie w stanie im zapobiec.

Wyszła na korytarz i udała się do turbowindy w pylonie rufowym. Obiecała sobie, że kiedyś dobierze się do tych swoopów, które kapitan Pakmillu podobno ma gdzieś na pokładzie.

R O Z D Z I A Ł 15

- A to jest maszynownia - oznajmił Thrawn, odstępując na bok, aby Thrass mógł zajrzeć przez właz do maszynowni „Łowcy Okazji”.
- Zauważ, że ma zupełnie inny układ niż statki Chissów porównywalnej wielkości.
- Widzę - odparł Thrass. Przyglądał się przez chwilę wnętrzu, po czym zerknął na CarMasa.
- Jaki jest zasięg podświetlony tego statku?
- Nie jestem pewien - bąknął Car'das i zwrócił się w stronę Qennto, który stał obok Maris tłumaczącej mu rozmowę na żywo.
- Ty wiesz, Rak, prawda? - zachęcił go w basicu.
- A bo co? - burknął Qennto. - Chce sobie zrobić jazdę próbną, czy co?
- Daj spokój, Rak - łagodził Car'das, starannie unikając wzroku Thrawna. Qennto nie był zadowolony z wycieczki po statku, jaką zafundował bratu Thrawn i demonstrował swoją irytację od chwili, kiedy przekroczyli właz.

Problem polegał na tym, że Qennto albo zapomniał, że Thrawn rozumie już basic, albo go to nie obchodziło. Do tej chwili komandor nie reagował na opryskliwe komentarze Qennto, ale należało się spodziewać, że jego rezerwa ma swoje granice. Jeśli się zdenerwuje i wyrzuci Qennto z powrotem do celi, może się okazać, że nawet Maris nie będzie w stanie go ugłaskać.

Qennto wzniosł oczy w górę.

- Możemy zrobić sześćset godzin podświetlonej bez nabierania paliwa - wyrecytował niechętnie.
- Sześćset pięćdziesiąt, jeśli będziemy uważać z przyspieszeniami.
- Dziękuję. - Car'das przetłumaczył wszystko Thrassowi, przechodząc na minnisiat.
- Imponujące - ocenił syndyk, obrzucając maszynownię jeszcze jednym spojrzeniem.
- Wydajność ich paliwa musi być nieco wyższa niż naszego.
- Tak, ale za to mają delikatniejsze napędy - odparł Thrawn.
- Używając sieci wstrząsowych, unieruchomilibyśmy hipernapęd zarówno ich, jak i ich

przeciwników bez najmniejszych problemów.

- Uzbrojenie?

- Proste, ale wystarczające - wyjaśnił Thrawn.

- Sprzęt trudny do demontażu, ale moi eksperci przyjrzeni mu się dokładnie. Ich broń energetyczna i rakiety są mniej skomplikowane niż nasze, nie mają też sieci wstrząsowych i innych urządzeń obezwładniających. z drugiej strony pamiętaj, że to tylko mały prywatny frachtowiec.

- Rzeczywiście.

- Thrass spojrział na Car'dasa.

- Ale wasi ludzie mają również okręty wojenne, prawda?

- Republika nie ma własnej armii - powiedział Car'das, starannie dobierając słowa. Może i Chissowie stosują zasadę pokojowej czujności, ale wciąż jakoś wolał nie denerwować tych ludzi.

- Oczywiście, większość członków naszego systemu posiada własne siły obronne.

- Które mogą służyć również do ataku?

- To też się czasami zdarza - zgodził się Car'das.

- Ale wielki kanclerz może wezwać członków Republiki, aby pomogli mu powstrzymać agresora, co oznacza zwykle dość szybkie zakończenie sprawy. Mediacja z pomocą Jedi również może oszczędzić nam kłopotów, zanim sprawy zajdą za daleko.

- Jedi?

- To typ istot całkiem nam nieznanych - wytłumaczył Thrawn.

- Ferasi próbowała wyjaśnić mi, kim są.

Car'das spojrział na Maris z zaskoczeniem. Nie miał pojęcia, że ona prowadzi prywatne rozmowy z dowódcą. Spojrzała mu w oczy, ale szybko odwróciła wzrok, jakby z poczuciem winy, i po raz pierwszy od początku spotkania zacięła się przy tłumaczeniu na żywo.

Wszystko to nie uszło uwagi Quennto. Zmrużył oczy, patrząc to na Maris, to na Car'dasa, potem znów na Maris, wreszcie na obu Chissów.

- Wydaje się, że te istoty potrafią przetwarzać jakieś nieznanne pole energetyczne - ciągnął Thrawn, wyjaśniając naturę Jedi swojemu bratu. Jeśli nawet zauważył tę wymianę spojrzeń, nie pokazał tego po sobie.

- Może być ono wykorzystane do podwyższenia wrażliwości zmysłów, wglądu w motywację i myśli innych oraz jako bezpośrednia broń.

- Ale tylko do obrony - dodała Maris.

- Jedi nigdy nie atakują pierwsi.

- Mówicie o Jedi? - wtrącił się Quennto.

- Car'das, czy ona powiedziała „Jedi”?

- Próbuje mu opisać, kim są Jedi - powiedział Car'das.

- Chissowie widocznie nie mają nikogo takiego.

- No i bardzo dobrze - burknął Quennto.

- Przynajmniej w tym ich przewyższamy. No i co mówi?

- Opowiada o sile Jedi - odrzekł Car'das, spoglądając na dwójkę Chissów. Twarz

Thrawnna pozbawiona była wyrazu, podczas kiedy Thrass był wyraźnie zdenerwowany tym fragmentem rozmowy, prowadzonej w języku, którego nie rozumiał.

- Jasne - skwitował Quennto. - Dobrze robi.

Dokończyli zwiedzanie i wrócili do bazy. Car'das wciąż nie mógł zgłębić, co na ten temat myśli Thrass, ale poczuł wyraźną ulgę, kiedy i on, i pozostali zostali odprawieni do swoich kwater. Prawie oczekiwał, że syndyk ich uwięzi.

Ułga jednak była przedwczesna. Kiedy mijał kwaterę swoich towarzyszy, zmierzając w stronę swojej, Quennto chwycił go za ramię i dosłownie wciągnął przez drzwi.

- Co jest? - obruszył się Car'das.

- Zamknij się - odparł Quennto, wciągając go dalej i starannie zamykając drzwi. Pchnął go w kierunku Maris, oparł się plecami o futrynę i prowokacyjnie skrzyżował dłonie na piersi.

- No dobrze - rzekł. - A teraz posłuchamy.

- Czego posłuchamy? - zapytał Car'das, czując, jak serce znów zaczyna mu walić jak młotem.

- Historii o Maris i Thrawnie - zimno wyjaśnił Quennto.

- A w szczególności o tych intymnych pogaduszkach, które sobie urządzali.

Car'das wstrzymał oddech i natychmiast sam siebie przeklął za tę reakcję. Gdyby Quennto zażądał od

niego zeznania na piśmie, nie mógłby mu chyba przedstawić lepszego dowodu.

- O co ci chodzi? - zapytał, próbując grać na zwłokę.

- Chciałeś chyba zapytać, skąd to wiem - prychnął Quennto.

- A co, myślisz, że skoro nie chodzę do waszej szkółki językowej, to tylko siedzę w kącie i gapię się na ściany? - Wskazał na komputer po drugiej stronie pokoju - Maris była tak miła, że pozwoliła mi obserwować ustawianie programu do słownika.

Car'das poczuł ucisk w żołądku.

- Więc rozumiesz cheunh?

- W wystarczającym stopniu. - Quennto spojrział na Maris.

- Umiem też czytać w umysłach kobiet.

- Nic nie rozumiesz - odezwała się Maris łagodnym, cichym głosem.

- Ach, tak? - warknął.

- To może mi wyjaśnisz? Głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Podziwiam komandora Thrawna - rzekła. Głos miała nadal spokojny, ale Car'das zauważył, że zaczyna się załamywać. Znała temperament Quennto jeszcze lepiej niż on. - Jest inteligentny i szlachetny, ma artystyczną wrażliwość, z jaką się nie zetknęłam, odkąd opuściłam szkołę.

- Chcesz powiedzieć, że od czasu, kiedy opuściłaś tę bandę płytkich idiotów, z którymi się zadawałaś? - prychnął Quennto.

- Owszem, było wśród nich wielu idiotów - przyznała Maris bez zakłopotania.

- To chyba przywilej młodości.

- Ale Thrawn jest inny?

- Thrawn to dorosła wersja - odparła.

- Ma zmysł artystyczny połączony z dojrzałością i mądrością. Lubię z nim rozmawiać.

- Jej oczy zabłyśły.

- Tylko rozmawiać, jeśli o to ci chodzi.

- Właściwie nie - burknął Quennto, ale Car'das zauważył, że napięcie częściowo go opuściło.

- Jeśli zatem te spotkania są tak niewinne, czemu je ukrywasz?

Mięsień w policzku Maris drgnął lekko.

- Ponieważ wiedziałam, że właśnie tak zareagujesz.

- Te sekrety to był wyłącznie twój pomysł, co? Zawahała się.

- Zdaje się, że to Thrawn zasugerował dyskrecję. Quennto westchnął.

- Tak właśnie myślałem.

- A to co znowu znaczy? - zapytała Maris, złowieszczo mrużąc oczy.

- A to, że robi z ciebie idiotkę - odparł Quennto bez ogródek.

- Może nie jestem kulturalnym artystą, ale trochę się kręciłem po galaktyce i znam ten typ. Nie jest tym, za kogo się podaje. Tacy jak on zawsze oszukują.

- Może on jest wyjątkiem.

- Wierz w to, jeśli ci się tak podoba - powiedział Quennto.

- Po prostu próbuję ci powiedzieć, że gdzieś po drodze ten piękny pałac z kart, który budujesz, rozleci się. Możesz być pewna.

- Zaczekam - warknęła, już nie ukrywając wściekłości.

- Gdybym przypadkiem nie zauważyła, dasz mi znać, prawda?

- Odwróciła się do niego plecami, podeszła do komputera i usiadła w fotelu.

Quennto spojrzał na nią, a potem na Car'dasa.

- Chciałeś coś powiedzieć? - rzucił wyzywająco.

- Nie, nie - szybko rzucił Car'das. - Nic.

- Więc wyjdź - rzekł Quennto, odsuwając się od drzwi.

- I pamiętaj, co mówiłem. Nie ufaj mu.

- Jasne. - Car'das ostrożnie prześliznął się obok niego, wybiegł na korytarz i wrócił do swojej kwatery.

Za szeregiem iluminatorów na mostku okrętu bojowego „Darkvenge” Federacji Handlowej smugi świetlne znów zmieniły się w gwiazdy.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił wicelord Kav z wysokości swojego przypominającego tron fotela dowódcy.

- Mm - mruknął niezobowiązująco Doriana ze swojego miejsca na kanapie dla obserwatorów. Ogólnie rzecz biorąc, Neimoidianie mieli doskonałe systemy nawigacyjne. Wszelkie systemy nawigacyjne są jednak tylko tak dobre jak ich operatorzy, a to w przypadku „Darkvenge” stało pod wielkim znakiem zapytania. Sidious nalegał, aby załogi wszystkich okrętów sił zadaniowych zostały zredukowane do absolutnego minimum, i żeby pozostawić tylko tych, którzy umieją trzymać język za zębami. Lukę miały wypełnić roboty. Doriana nieraz się zastanawiał, czy przypadkiem ostateczny plan Sidiousa nie obejmował zlikwidowania wszystkich świadków, aby nic nigdy nie przedostało się na zewnątrz. Jeśli to prawda, ograniczona liczebność załogi z pewnością stanowiła zaletę planu.

- Niepotrzebnie się martwisz - wyniośle rzekł Kav, błędnie interpretując reakcję Doriany. - Właśnie raz jeszcze sprawdzamy lokalizację.

- Dziękuję - powiedział Doriana, uprzejmie skłaniając głowę. Mała załoga raczej nie zmniejszy ich zdolności do ataku. Tym zajmą się roboty myślowe, a ten system był w znacznym stopniu zautomatyzowany.

Rozejrzał się po mostku, gdzie Neimoidianie i roboty krzatali się pilnie wśród studzienek kontrolnych, po czym rzucił okiem na tablicę taktyczną. Siły szturmowe ustawiały się właśnie w typowo neimoidiańską strukturę: dwa wielkie okręty wojenne Federacji Handlowej o kształcie niepełnego pierścienia pośrodku, gdzie będą najlepiej chronione, sześć uzbrojonych transporterów Techno Union klasy Hardcell, tworzących wokół nich formację obronną w formie stożka, oraz siedem eskortowców Federacji Handlowej, rozstawionych w grupę patrolową z tyłu.

Była to imponująca kolekcja artylerii, być może największa, jaką zebrano w jednym miejscu po klęsce na Naboo. Zwycięstwo mieli prawie zapewnione, nawet przeciwko całemu uzbrojeniu sześciu nowiutkich dreadnaughtów.

Jeśli oczywiście przyjąć, że nawigatorzy Kava istotnie zaprowadzili ich do właściwej części właściwego systemu. Jeśli miną się tu z Lotem Pozagalaktycznym, będą musieli pospieszyć przebyć kolejne sześćset lat świetlnych, żeby go wyprzedzić i przechwycić; na kolejnym przystanku nawigacyjnym.

- Nasza pozycja została potwierdzona - oznajmił Kav z satysfakcją. Mrugnął membranami na Dorianę.

- Jeśli naturalnie współrzędne, które podałeś, są prawidłowe.

- Nie bój się, są - odparł Doriana.

- Jeśli Lot Pozagalaktyczny; leci zgodnie z planem, przybędą tu za mniej więcej jedenaście dni.

Do tego czasu będziemy ćwiczyć, aby się upewnić, że zarówno sprzęt, jak i ludzie są gotowi.

- Są bardziej niż gotowi - zaprotestował Kav z oburzeniem.

- Programy bojowe dla robomyśliwców są najlepsze, a na dwóch: okrętach mamy ich razem prawie trzy tysiące. Nieważne, jakie silne uzbrojenie ma Lot Pozagalaktyczny, nieważne, jak zręczni są ich artylerzyści... zniszczymy ich bez problemu.

To samo mówiłeś na Naboo, pomyślał Dorian, ale zachował ten komentarz dla siebie.

- Jestem pewien, że masz rację - rzekł głośno.

- Tak czy owak, jednak przez następne kilka dni poćwiczymy sobie.

Kav odchrząknął gardłowo.

- Jak sobie życzysz - rzekł z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- Ale dodatkowe ilości paliwa i energii obciążą ciebie. Kiedy chcesz zacząć? Dorian spojrzał w gwiazdy.

- Najlepiej teraz - zdecydował.

- Za dziesięć minut wypuszczamy myśliwce.

- A to - mówił Cbauth, kierując ich do niziutkiego pomieszczenia - to jest centrum sterowania dla blistera broni numer jeden. Zauważcie, że sufit jest zawieszony bardzo

nisko, aby zrobić miejsce dla urządzeń do ładowania turbolaserów.

- Na szczęście nie mamy na pokładzie Gungan - zauważył Obi-Wan, pochylając lekko głowę. Pomieszczenie było wyposażone w pulpit sterujący, zajmujący duży krąg pośrodku, a konsole pomocnicze zlokalizowano wzdłuż ścian. Sądząc z liczby krzeseł przy różnych stacjach, można było wnosić, że normalnie pracowało tu około piętnastu osób, w tym trzech strzelców.

- W żadnym wypadku nie wpuścilibyśmy tutaj Gungan, nawet gdyby znajdowali się na pokładzie - stwierdził Cbauth beznamiętnie.

- Specjaliści od uzbrojenia muszą mieć więcej inteligencji i polotu.

- Z moich doświadczeń wynika, że jedno z drugim nie zawsze idzie w parze - zauważył Obi-Wan.

- A więc na każdym z dreadnaughtów znajdują się cztery takie blistery?

- Zgadza się - odparł Cbaoth, podchodząc do głównej konsoli strzelniczej i kładąc dłoń na zagłówku fotela.

- Podejdz i siądź tutaj, Anakinie.

Anakin spojrział na Obi-Wana, po czym skwapliwie zajął miejsce w fotelu.

- Wygląda to na skomplikowane urządzenie - zauważył.

- Ale nie jest - odparł Cbaoth, zaglądając mu przez ramię i wskazując na różne części tablicy.

- Tu są właściwe kontrolki ognia. Zauważ, że możesz stąd celować i strzelać zarówno turbolaserami dziobowymi, jak i rufowymi, a oprócz tego własnymi działkami prawoburtowymi. Tu mamy monitor naprowadzania czujników. Ten przycisk to wtórna kontrola ognia, a to jest tablica statusu uzbrojenia, komunikator i system ekranów taktycznych. Wszystko bardzo proste.

- Chyba jednak dość skomplikowane - upierał się Anakin.

- Ja bym chyba wymyślił lepszy układ.

- Jestem tego całkowicie pewien - odparł Cbaoth, rzucając Obi-Wanowi rozbawione spojrzenie. - Niestety, Rendili StarDrive nie pomyśleli, aby w czasie produkcji skonsultować się z Jedi. I tak nauczysz się szybko. Rozpocznemy od ogólnego wprowadzenia, a potem przejdziemy do prostej symulacji. Wchodzisz tutaj...

- Zaraz, zaraz - przerwał Obi-Wan, marszcząc brwi.

- Co właściwie robisz?

- Uczę młodego Skywalkera, jak obsługiwać uzbrojenie dreadnaughta jeden, oczywiście - odparł Cbaoth.

- Czyżby kapitan Pakmillu nie miał członków załogi wyszkolonych do tego zadania?

- Doświadczenie nie zawsze jest najważniejsze w walce - zauważył Cbaoth.

- Kluczowy jest również refleks i koordynacja, a żadne szkolenie nie da zwykłym artylerzystom przewagi, którą mają Jedi. Powiedz, chłopcze, czy mistrz Kenobi wspominał ci już o więzi bitewnej Jedi?

- Nie sędzę - odparł Anakin.

- A co ona daje?

- Pozwala grupie Jedi połączyć umysły tak, żeby działali jako jedna istota - wyja

śnił Cbaoth.

- Może być również bardzo niebezpieczna - ostrzegł Obi-Wan.
- Wymaga od Jedi wielkiej siły i głębokiej wiedzy o Mocy, aby stworzyć więź, nie niszcząc umysłów innych jej uczestników.
- Może to być mistrz Jedi taki jak ja - spokojnie powiedział Cbaoth.
- Cztery razy tworzyłem taką więź przy różnych okazjach.

Obi-Wan wytrzeszczył oczy.

- Cztery razy?
- Oczywiście były to tylko ćwiczenia - sprostował Cbaoth.
- Ale czwarte przeprowadzaliśmy w poważnych warunkach bojowych, w więzi zaś było pięcioro innych Jedi. Jak widzisz, przeszliśmy przez nią bez problemów.
- Było was sześcioro - zauważył Obi-Wan.
- Na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego jest dziewiętnaścioro Jedi.
- Dwadzieścioro, licząc młodego Skywalkera - poprawił Cbaoth, kładąc dłoń na ramieniu chłopca.
- Oczywiście, musimy działać ostrożnie. Będę rozmawiał o tej procedurze z wszystkimi moimi Jedi, a przed opuszczeniem przestrzeni Republiki przeprowadzimy odpowiednie ćwiczenia. Jeśli jednak wszyscy nauczymy się tej techniki, staniemy się doprawdy niezwyciężoną siłą bojową. Kiedy Jedi zaczną obsługiwać wszystkie systemy uzbrojenia sześciu dreadnaughtów jak jeden człowiek, Lot Pozagalaktyczny będzie niezwyciężony.

Obi-Wan spojrzał na Anakina. Chłopiec chłonał słowa mistrza z żarem w oczach, bez cienia wahania.

- Nie wiem, mistrzu Cbaoth - zastanawiał się Obi-Wan. Kontrola broni, walka na dużą skalę... to nie są metody działania Jedi.
- Ale będą - posępnie odparł Cbaoth, a jego oczy utkwiły się patrzeć gdzieś w dali. - Nadchodzi czas, kiedy Jedi będą zmuszeni chwycić za broń przeciwko wielkim zagrożeniom dla Republiki. Przewidziałem to.

Obi-Wan poczuł na plecach lekki dreszcz. Cbaoth zawsze wydawał się przesadnie dumny i pewny siebie, aż do granic arogancji. Ale teraz zauważył w nim coś mrocznego i niepewnego, co go lekko przeraziło.

- Czy mówiłeś o tym mistrzowi Yodzie? - zapytał.

Oczy Cbautha odzyskały wyrazistość i Jedi prychnął z lekką pogardą.

- Mistrz Yoda słucha tylko własnych rad - odparł.

- A jak ci się zdaje, dlaczego pracowałem tak ciężko, aby urzeczywistnić Lot Pozagalaktyczny? Dlaczego tak nalegałem, aby towarzyszyło nam jak najwięcej Jedi?

- Potrząsnął głową.

- Nadchodzą mroczne czasy, mistrzu Kenobi. Może tylko ci, którzy znajdują się na Locie Pozagalaktycznym, pozostaną przy życiu, aby tchnąć je w popioły wszechświata, jaki znaliśmy do tej pory.

- Możliwe - zgodził się Obi-Wan.

- Ale przyszłość nigdy nie jest pewna i każdy z nas ma moc, aby na nią wpłynąć. - Spojrzał znów na Anakina.

- Czasem nawet nieświadomie.

- Zgadza się - skinął głową Cbauth.

- Lot Pozagalaktyczny to mój sposób wpływania na przyszłość. A teraz, młody Skywalkerze...

Urwał, bo komunikator przy jego pasie zapiszczał głośno.

- Chwilkę - rzekł, wyjmując go i podnosząc do ust.

- Mistrz Jedi Cbauth - przedstawił się.

Głos po drugiej stronie był zbyt słaby, aby Obi-Wan mógł rozróżnić słowa, ale w tonie słychać było wyraźne zdenerwowanie. Zauważył też gniewny wyraz twarzy Cbautha.

- Zatrzymajcie ich obu - rzucił mistrz.

- Już idę. Wyłączył komunikator i wcisnął na tablicy dwa przyciski.

- Masz tu instruktaż - powiedział do Anakina.

- Zaczynaj się uczyć, jak to wszystko działa i gdzie co jest.

- Spojrzał twardo na Obi-Wana.

- A ty zostań tutaj, mistrzu Kenobi. Zaraz wrócę.

Wybiegł, powiewając szatą.

- Mistrzu? - nieśmiało zagadnął Anakin.

- Ucz się, ucz - polecił Obi-Wan. Zaciśnął zęby i ruszył za C'baothem.

Ten zdążył już odejść dość daleko; stawiał wielkie kroki, całkowicie obojętny na wszystkich, którzy musieli pospiesznie schodzić mu z drogi. Obi-Wan poruszał się znacznie ostrożniej, starając się nikogo nie staranować.

Niebawem znaleźli się przy grupce ludzi zebranych pośrodku korytarza.

- Na bok - rozkazał C'baoth.

Tłum rozstał się i Obi-Wan ujrzał mężczyznę na wpół leżącego pod ścianą korytarza; człowiek przytrzymał dłońią prawe ramię, a twarz miał wykrzywioną bólem. O kilka kroków dalej, obok jednoosobowego ścigacza, jakich sporo było na dreadnaughtcie jeden, stał drugi mężczyzna i nerwowo zaciskał dłonie.

- Co się stało? - zapytał C'baoth.

- Wpadł na mnie - rzekł ranny, krzywiąc się jeszcze bardziej. Uderzył mnie mocno w samo ramię.

- On wyskoczył tuż przede mną - zaprotestował ten przy ścigaczu.

- Nie mogłem nic zrobić.

- Gdybyś nie jechał tak szybko...

- Dosyć - odparł C'baoth, kładąc łagodnie ręce na zranionym ramieniu pierwszego. - To tylko wybicie.

- Lekko poruszył dłońią i sięgnął w Moc.

- Aaaa! - jęknął mężczyzna i jego całe ciało wyprężyło się z bólu, zanim z powrotem opadło na podłogę.

- Teraz odetchnął już spokojniej.

C'baoth wyprostował się i wzrokiem wskazał w zebranych tłumie dwóch ludzi.

- Ty i ty, odprowadźcie go do środkowego centrum medycznego.

- Tak jest, mistrzu C'baoth - odezwał się jeden z nich. Przykucnął obok rannego i pomógł mu wstać.

- A co do ciebie... - dodał Cbaoth i podszedł do kierowcy ścigacza.
 - Z pewnościąjechałeś nierozsądnie.
 - Ależ skąd - zaprotestował tamten.
 - To nie moja wina. Te pojazdy są ustawione na zbyt dużą prędkość.
 - Doprawdy? - chłodno zdziwił się Cbaoth.
 - Więc jak to wyjaśnisz, że w ciągu dwunastu dni, pośród prawie dwustu ścigaczy i swoopów na pokładach sześciu dreadnaughtów to dopiero pierwszy wypadek? Sam jeździłem nimi ze cztery razy i nic się nie działo.
 - Jesteś Jedi - kwaśno odparł mężczyzna.
 - Nigdy nie miałeś takich problemów.
 - Możliwe, ale nieprawdopodobne - powiedział Cbaoth.
 - W każdym razie za twoją rolę w tym wypadku potrącam ci wypłatę za jeden dzień.
- Mężczyzna wytrzeszczył oczy.
- Co? Ależ to...
 - Masz również zakaz korzystania z systemu ścigaczy Lotu Pozagalaktycznego przez cały tydzień - przerwał mu Cbaoth.
 - Zaczekaj chociaż cholerną minutę - syknął mężczyzna, u którego konsternacja zaczęła wreszcie brać górę nad oszołomieniem.
 - Nie możesz tego zrobić.
 - Ale właśnie zrobiłem - spokojnie odparł Cbaoth. Rozejrzał się po tłumie, jakby wyzywał każdego, kto chciałby się z nim sprzeczać, po czym jego wzrok spoczął na Rodianinie w kombinezonie serwisanta.
 - Zabierzesz ten ścigacz z powrotem na parking - polecił mu.
 - A reszta wracać do pracy.

Tłum zaczął się rozchodzić powoli i niechętnie, jak zauważył Obi-Wan. Cbaoth czekał, aż Rodianin odjedzie ze ścigaczem, po czym odwrócił się i skierował z powrotem. Ujrzał Obi-Wana i usta mu drgnęły.

- Mówiłem, żebyś został z padawanem Skywalkerem - odezwał się, podchodząc.
- Wiem - odparł Obi-Wan i wskazał na rozchodzący się tłum.
- Co to właściwie było?
- Sprawiedliwość - rzucił Cbaoth i wyminął Obi-Wana, nawet się nie zatrzymując.
- Bez przesłuchania? - zapytał Obi-Wan, przyspieszając kroku, aby go dogonić.
- Bez żadnego śledztwa?
- Oczywiście, że było śledztwo - oburzył się Cbaoth.
- Byłeś tam i sam widziałeś.
- Kilku pytań zadanych uczestnikom nie można nazwać śledztwem - zaprotestował Obi-Wan.
- A co z powołaniem świadków, ze zbadaniem samego ścigacza?
- A co z Mocą? - odparował Cbaoth.
- Czy my, jako Jedi, nie mamy instynktu, który pozwala nam podejmować pewne decyzje szybciej niż innym?
- Może teoretycznie - zgodził się Obi-Wan.
- Ale to nie oznacza, że powinniśmy ignorować inne dostępne nam środki.
- A co byś zrobił z tymi środkami? - zapytał Cbaoth.
- Zwołałbyś komisję i spędził całe godziny na przesłuchaniach i badaniach? Czy sądzisz, że pomimo całego tego zamieszania i wysiłku wynik byłby inny?
- Prawdopodobnie nie - musiał przyznać Obi-Wan.
- Ale ty wydałeś wyrok, nawet nie konsultując się z kapitanem ani nie zaglądając do kodeksu na statku.
- I co z tego? - Cbaoth lekceważąco machnął ręką.
- Drobną karą pieniężną plus tymczasowe i całkowicie rozsądne ograniczenie ruchu. Czy naprawdę nie szkoda by było marnować czasu kapitana Pakmillu... i mojego, żeby załatwić taką błahostkę?
- Kapitana i tak trzeba będzie poinformować.
- Zostanie poinformowany - obiecał Cbaoth, obserwując go z zadumą.

- Twoje zachowanie zdumiewa mnie, mistrzu Kenobi. Czy to nie takiej mediacji i rozwiązywania konfliktów codziennie podejmują się Jedi w całej Republice?

Obi-Wan odwrócił wzrok.

- Zazwyczaj to jedna ze stron wyraźnie żąda obecności Jedi. Tu nie uczyniła tego żadna z nich.

- Ale czy Jedi, który dostrzeże taki problem, nie jest zobowiązany, aby honorowo zaoferować swą pomoc? - zauważył Cbauth.

- Przejdźmy jednak do ważniejszych spraw. Twój padawan pewnie już skończył czytać instrukcję. Chodź, zobaczmy, jak szybko nauczy się tej formy walki.

R O Z D Z I A Ł 16

Car'das ocknął się raptownie i ujrzał wiszącą nad sobą w ciemności parę płonących oczu.

- Kto to? - zapytał niespokojnie.

- Thrawn - rozpoznał głos komandora.

- Ubieraj się.

- Co się dzieje? - spytał Car'das, odrzucił koc i usiadł na skraju pryczy.

- Jeden z moich zwiadowców doniósł o grupie niezidentyfikowanych statków w okolicy - rzekł Thrawn.

- Szybko, za pół godziny wylatujemy.

Czterdzieści pięć minut później „Springhawk” opuścił tunel asteroidy i wykonał skok w nadprzestrzeń.

Nie tylko „Springhawk”. Zanim skoczyli, Car'das naliczył nie mniej niż jednaście innych okrętów, ustawiających się w formacji wokół i za nimi, w tym dwa krążowniki porównywalne wielkością do „Springhawka”.

- Znowu Vagaari? - zapytał, kiedy linie gwiazd zmieniły się w hiperprzestrzenne niebo.

- Zdaje się, że nie - odparł Thrawn.

- Statki wyglądają zupełnie inaczej. Chciałem, żebyś do nas dołączył, bo może potrafisz je zidentyfikować.

- Lepiej byś zrobił, biorąc ze sobą Quennto - zauważył Car'das.

- On wie na ten temat o wiele więcej niż ja.

- Woląłem zostawić go razem z Ferasi - odparł Thrawn.

- Wyczułem tam jakieś... problemy.

Car'das skrzywił się.

- Masz rację - przyznał.

- Więc gdzie są ci agresorzy?
- Dlaczego sądzisz, że to agresorzy?
- No cóż... - Car'das zawahał się.

- Przyznaję, po prostu przyjąłem, że wtargnęli w przestrzeń Chissów... na podstawie tego, o czym rozmawiałeś z bratem.

- Zmarszczył brwi.

- Bo oni znajdują się w przestrzeni Chissów, prawda?

- Oddział Ekspansywnej Floty Obronnej obserwuje i przeszukuje region wokół obszarów Dynastii Chissów. I to wszystko, co zamierzamy dzisiaj zrobić.

Właściwie dokładnie to samo powiedział Thrawn niedawno, przed atakiem na Vagaari. Cudownie.

- Kiedy tam dotrzemy?

- Za jakieś cztery godziny - odparł Thrawn.

- Przygotowałem dla ciebie kombinezon bojowy, z lepszym pancerzem i funkcją samonaprawiania, której nie ma twój kombinezon z „Łowcy Okazji”. Idź na dół i włóż go. Zbrojmistrz ci pomoże.

Car'das i zbrojmistrz potrzebowali prawie trzech godzin, aby właściwie dopasować kombinezon, czwartą zaś spędzili na sprawdzaniu jego funkcji. Kiedy jednak skończyli pracę, Car'das stwierdził, że ubiór jest wygodniejszy, niż sądził, choć znacznie cięższy od prostych kombinezonów próżniowych, do których przywykł.

Wrócił na mostek i stwierdził, że w czasie jego nieobecności Thrawn i reszta załogi na mostku również włożyli kombinezony bojowe.

- Witaj z powrotem - powitał go komandor, obrzucając spojrzeniem jego kombinezon.

- Jesteśmy prawie na miejscu.

Car'das skinął głową i stanął na swoim zwykłym miejscu za fotelem dowódcy. Słuchając zwięzłych rozmów załogi mostka, błędził wzrokiem po tablicach i wyświetlaczach statusu i czekał. Wreszcie licznik zszedł do zera i znaleźli się znowu pośród gwiazd.

- Gdzie oni są? - zapytał, patrząc przez iluminatory na gwiazdy i bardzo odległe słońce.

- Tam. - Thrawn wskazał punkt nieco na prawo.

- Proszę to powiększyć.

Główny ekran zafalował i ustabilizował się...

...a Car'das jęknął. Poczuł nagły ucisk na sercu. Pośrodku ekranu zobaczył przerażający, straszliwy, niewyobrażalny widok: dwa okręty bojowe Federacji Handlowej.

- Poznajesz ich?

Z początku Car'das nie usłyszał pytania. Wbijał wzrok w obraz, wpatrując się w pierścieniowaty kształt okrętów, w wieże antenowe, które odróżniały jednostki wojenne Federacji Handlowej od zwykłych frachtowców. Wreszcie jego mózg znów podjął pracę; oderwał oczy od ekranu.

I stwierdził, że komandor patrzy na niego twardym, ale pełnym zrozumienia wzrokiem. Car'das zrozumiał, że kłamstwo byłoby błędem.

- Tak, rozpoznaję - rzekł, sam zdumiony spokojem swojego głosu.

- To okręty bojowe grupy zwanej Federacją Handlową.

- Czy to członkowie twojej Republiki? Car'das zawahał się.

- Technicznie rzecz biorąc, tak - rzekł.

- Ale ostatnio zdecydowanie ignorują nasze prawa i dyrektywy.

- Zmusił się, aby spojrzeć Thrawnowi w oczy.

- Ale ty już wiedziałeś, skąd oni są, prawda?

- Oznaczenia na pancerzach mają podobne do tych, które nosi „Łowca Okazji” - wyjaśnił Thrawn.

- Uznałem więc, że mogą należeć do waszej Republiki.

- Ale oni nie reprezentują samej Republiki - pospiesznie zastrzegł Car'das.

- Republika nie ma własnej armii.

- Tak twierdziłeś - rzekł Thrawn niespodziewanie chłodnym tonem.

- Powiedziałeś mi też, że Republika nie uznaje niewolnictwa.

- To prawda - ostrożnie zgodził się Car'das.

- Więc dlaczego znalazłem dowody istnienia niewolników na statku, który was ścigał?

Obręcze niepokoju, które spinały pierś Car'dasa, zacisnęły się jeszcze mocniej. Progga! Już o nim zapomniał...

- Wspomniałem ci także, że w naszym obszarze są kultury, które używają niewolników - przypomniał, starając się zachować spokój.

- Huttowie właśnie do nich należą.

- A Federacja Handlowa?

- Nie - odparł Car'das.

- W każdym razie ja o tym nie słyszałem. Mają tyle robotów, że prawdopodobnie nie wiedzieliby, co zrobić z niewolnikami.

- Car'das skinął głową w kierunku ekranu. - A to może być dla nas poważnym problemem. Każdy z tych okrętów wiezie ponad tysiąc robomyśliwców, nie wspominając o kilku tysiącach robotów bojowych, czołgów i transporterów, które je przewożą.

- Więc to jest armia inwazyjna? Car'das skrzywił się.

- Nie wiem - rzekł.

- Chociaż nie sądzę, skoro są tylko dwa.

- Ale mogliby tu czekać, aby nas zaatakować.

- Nie wiem, po co tu są - upierał się Car'das, czując pot zbierający się za kołnierzem. Czym innym były rozmowy o prewencyjnych atakach na niegodziwych bandytów, takich jak Vagaari. Ale stać tu i słuchać, jak Thrawn wrzuca do jednego worka z nimi Federację Handlową, a nawet samą Republikę... a, to już zupełnie inna kwestia.

- Dlaczego ich nie zapytasz?

Na twarzy Thrawna pojawił się lekki uśmiech.

- Właśnie. Dlaczego nie? Obrócił się wraz z fotelem.

- Łączność, zidentyfikować główną częstotliwość dowodzenia tych statków i otworzyć kanał - rozkazał.

- Czy ci ludzie znają basie?

- Tak - odparł Car'das, marszcząc czoło. Chyba komandor nie spróbuje prowadzić tej potencjalnie ryzykownej rozmowy w języku, którego zaledwie się nauczył?

- Ale mają również roboty protokolarne, które porozumiewają się w języku sy bi sti.

- Dziękuję, ale wolę zobaczyć ich reakcję, kiedy usłyszą wywołanie w języku Republiki - powiedział Thrawn.
- Gotów, komandorze - zawołał łącznościowiec. Thrawn przycisnął klawisz na tablicy.
- Mówi komandor Mitth'raw'nuruodo z Chissańskiej Ekspansywnej Floty Obronnej - rzekł. - Proszę się przedstawić i skonkretyzować swoje zamiary.

Doriana, zawiązując pas tuniki, wbiegł przez otwartą śluzę na mostek.

- Co wy mówicie o jakimś ataku? - zapytał, przepychając się pomiędzy konsolami do miejsca, gdzie obok swojego fotela dowódcy stał Kav.
- Proszę się uspokoić, komandorze Stratis - poprosił Kav.
- To nie jest tak poważne, jak sądziłem.
- Mówi komandor Mitth'raw'nuruodo z Chissańskiej Ekspansyjnej Floty Obronnej - odezwał się głos z komunikatora obok fotela wicelorda.
- Proszę się przedstawić i skonkretyzować swoje zamiary.
- Powtarza ten komunikat od dziesięciu minut - z pogardą zauważył Kav.
- Ale co innego właściwie może zrobić?
- Wyjaśnij to - burknął Doriana. Został wyciągnięty z łóżka i nie miał ochoty patrzeć na dobre samopoczucie Neimoidianina.
- Zaczynaj od tego, że powiesz mi, kto to jest.
- A skąd ja mam wiedzieć? - wzgardliwie prychnął Kav.
- Po prostu bezczelny typ. Jeszcze takiego nie widziałem.

Rozsiadł się w fotelu i dotknął kontrolki. Na głównym ekranie pojawiła się nakładka taktyczna.

- Tylko popatrz - rzekł, machając długim palcem.
- Śmie nam grozić z tymi trzema małymi krążownikami i dziewięcioma myśliwcami. Prawdopodobnie to jacyś piraci, którzy dobrze umieją blefować.

Komunikat znów się powtórzył.

- Nie ma żadnej groźby w tych słowach, wicelordzie - zauważył Doriana, starając się opanować rosnącą irytację. I po to go wyciągali z łóżka?

- Słyszę tylko jakiegoś tubylca, pytającego, co robimy na jego terytorium.

- Groźba jest oczywista, komandorze Stratis - odparował Kav.

- W przypadku okrętów wojennych stanowi taką samą ich część jak broń i tarcze.

Doriana znów spojrzał na ekran taktyczny, a potem na odpowiadający mu obraz z teleskopu. Nawet wiedząc, gdzie są te statki, ogromnie trudno było je odnaleźć wśród gwiazd. Maskowały się doskonale, a to by oznaczało, że Kav ma rację. Rzeczywiście, to okręty wojenne.

- Może ma więcej siły ognia w rezerwie - rzucił.

- Nie ma - zapewnił go Kav.

- Przeprowadziliśmy pełny skan czuj - nikami całego obszaru. Te dwanaście statków to wszystko, co mają.

- Mówi komandor Mitth'raw'nuruodo...

- A może powinniśmy to uznać za nieplanowane ćwiczenia? - zapytał Kav, a ko

munikat nieustannie powtarzał się w tle.

- Najpierw spróbujmy rozmów - zaproponował Doriana, siadając obok wicelorda. Sam fakt, że ten Mitth'raw'nuruodo znał basie, mógł oznaczać, że to jakiś pirat, który trafił w nieco odleglejsze zakątki Republiki.

Mogło to jednak równie dobrze znaczyć, że jakaś nieznana osoba usiłuje wyciągnąć z nich prawdę na temat misji „Darkvenge'a”.

- Otwórz kanał wywoławczy - polecił.

- Otwarty.

Doriana nachylił się do stanowiska Keva i włączył przesył.

- Witam, komandorze Mitth'raw'nuruodo - rzekł, zacinając się nieco na niezwykłych gardłowych spółgłoskach dzielących nazwisko na części.

- Tu Stratis, dowodzący Specjalnym Pierwszym Oddziałem Zadaniowym.

- Ja również witam, komandorze Stratis - odezwał się Mitth'raw'nuruodo.

- Proszę wyjaśnić cel tego oddziału zadaniowego.

- Nie chcemy atakować was ani waszych ludzi - zapewnił Doriana.

- Obawiam się jednak, że szczegóły naszej misji muszą pozostać poufne.
- Ja z kolei obawiam się, że wasze zapewnienia nam nie wystarczą - odrzekł Mitth'raw'nuruodo.

Stojący obok Doriany Kav mruknął coś niewyraźnie.

- Przepraszam, komandorze - odparł Dorianą, rzucając Neimoidianinowi ostrze gawcze spojrzenie.
- Niestety, muszę się trzymać rozkazów.
- Czemu tracimy czas? - zapytał głośno Kav.

Klnąc pod nosem, Dorianą wdusił przycisk wyciszenia.

- Z całym szacunkiem, wicelordzie, co ty wyprawiasz?
- A ty? - odparował Kav.
- Tamci są jak mucha obijająca się o okno. Zniszczmy ich i po kłopotcie.
- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym najpierw sprawdzić, kim są i skąd pochodzą - odparł Dorianą, przywołując całą cierpliwość, na jaką go było stać.
- Dowiemy się tego z ich zwęglonych szczątków - warknął Kav, prostując się na całą wysokość. - To nie ty dowodzisz tą flotą, Stratis. Nie ty, tylko ja.
- Ależ, oczywiście - potwierdził Dorianą znacznie łagodniejszym tonem.

Ale już było za późno. Wicelord postanowił się obrazić za potraktowanie go z wyższością i zdecydował, że nie zrezygnuje z tak łatwego i szybkiego zwycięstwa. U Neimoidianina to paskudna kombinacja.

- Koniec gadania - oznajmił. Zdecydowanym dźgnięciem palca wyłączył kanał komunikacyjny.
- Niech „Strażnik” wypuści robomyśliwce - zawołał przez cały mostek, wskazując na drugi okręt Federacji Handlowej.
- Trzy grupy mają zaatakować intruzów, reszta utworzy tarczę obronną wokół oddziału zadaniowego. Przejmuję dowództwo nad wszystkimi myśliwcami.
- Tak jest, wicelordzie - odrzekł jeden z Neimoidian.
- Czy my także mamy wypuścić myśliwce?
- Będziemy je trzymać w rezerwie.

- Kav zerknął z ukosa na Dorianę.

- Na wypadek, gdyby ich posiłki były w drodze - dodał prawie z urazą.

Doriana westchnął w duchu. Wolałby dowiedzieć się czegoś więcej o tym Mitth'raw'nuruodo i jego Chissach, zanim zostaną załatwieni. Miał nadzieję, że zostanie dość szczątków do zbadania.

- Nadlatują - zawiadomił Car'das, wskazując ekran.

- Robomyśliwce... - widzisz je?

- Tak, oczywiście - spokojnie odparł Thrawn.

- Wszystkie jednostki, cofnąć się. Car'das, mówiłeś, że roboty mogą same działać i myśleć. Czy te robomyśliwce też mają taką możliwość?

- Nie sądzę - odparł Car'das, usiłując wycisnąć jak najwięcej informacji ze swojego mózgu. „Springhawk” właśnie zaczął się cofać. Widok tyłu nadlatujących myśliwców Federacji Handlowej wystarczyłby, żeby wstrząsnąć najodważniejszym.

- Nie. Jestem pewien, że nie. Są kontrolowane zdalnie z jednego z tych dużych okrętów bojowych.

- Łączność! - zawołał Thrawn.

- Namierzyłeś już ich częstotliwości sterowania?

- Tak, komandorze - odparł oficer.

- Sterowanie jest zabezpieczone specjalnym systemem kodowania. Myślę, że maksymalny zasięg to dziesięć tysięcy visvia.

- Cofnij nas na jedenaście tysięcy - polecił Thrawn i zwrócił się do Car'dasa.

- Dziesięć tysięcy visvia to około szesnastu tysięcy waszych kilometrów. Czy to prawdopodobny zasięg operacyjny?

Car'das bezradnie rozłożył ręce.

- Przepraszam, ale nie mam pojęcia.

- Nie musisz przeproszać - zapewnił go Thrawn.

- W każdym razie wkrótce się przekonamy.

- Nieprzyjacielskie myśliwce wciąż się zbliżają - ostrzegł jeden z obserwatorów.

- Główna grupa trzyma się z tyłu.

- Interesujące - zastanowił się Thrawn.
- Zdaje się, że główne siły tworzą tarczę ochronną wokół dużych okrętów. Jeśli brać pod uwagę ich przewagę liczebną, ten komandor Stratis wydaje się zanadto ostrożny. Ale dlaczego?
- To typowe dla Neimoidian, którzy zbudowali i prowadzą te jednostki - wyjaśnił Car'das, marszcząc czoło w zadumie. Teraz, kiedy się nad tym zastanowił, głos Stratisa wydawał mu się ludzki, nie neimoidiański. Czy to możliwe, aby Federacja Handlowa zaczęła sprzedawać lub wypożyczać statki?
- Atakujący cofają się - zawołał oficer czujnikowy.
- Tworzą jakby drugą tarczę między nami a flotą.
- Zdaje się, że mieliśmy rację z tymi dziesięcioma tysiącami visvia zasięgu - podsumował Thrawn.
- Wspaniale.
- Więc co teraz robimy? - zapytał Car'das, lękliwie obserwując rój myśliwców.

Przez moment Thrawn siedział w milczeniu, zwężonymi źrenicami wpatrując się w ekrany.

- Spróbujemy eksperymentu - rzekł wreszcie.
- „Tornado”, przemieść się na pozycję szturmową. Myśliwiec Cztery, atak sondażowy, kurs jeden-jeden-pięć na trzy-osiem-jeden.

Padły dwa potwierdzenia i Car'das obserwował teraz, jak dwa pozostałe statki wielkości „Springhawk” oderwały się od grupy i ruszyły na prawo, podczas gdy jeden z dziewięciu myśliwców ruszył w przeciwną stronę.

- Mając do kontrolowania tyle myśliwców, projektant systemu chyba nie okazał się zbyt sprytny - rzekł Thrawn.
- Zobaczymy, na ile starczy im tego sprytu.
- Nadlatują! - zawołał głośno jeden z Neimoidian w studzienkach sterujących.
- Jeden myśliwiec, wektor zero-cztery-dwa na zero-osiem-osiem.
- Szaleniec - pogardliwie prychnął Kav.
- Myśli, że go nie zauważymy? Zewnętrzna grupa, przechwycić go i zniszczyć.

Doriana obserwował, jak trzy grupy robomyśliwców zmieniły szyk i ruszyły na obcy myśliwiec.

Zaledwie jednak ustawiły się do ataku, intruz odpadł, wchodząc w szybki skręt i wynosząc się na bezpieczną odległość.

- Niech wrócą do patrolu - polecił Kav.
- Czy ten Mithrawdo nie widzi, że mamy przewagę liczebną, i to ogromną?
- Może on tylko zamierza tkwić tak poza zasięgiem i obserwować nas - zauważył Dorianą.
- Nie muszę ci chyba przypominać, że nie możemy sobie pozwolić na świadków, kiedy nadleci tu Lot Pozagalaktyczny.
- Sugerujesz, że to mogą być szpiedzy senatu?
- Albo Jedi, albo Palpatine'a, albo kogokolwiek - dorzucił Dorianą.
- Wiemy tylko tyle, że nikt tak daleko od Republiki nie ma prawa mówić w basicu.
- Znowu na nas leci, wicelordzie - zawołał Neimoidianin przy czujnikach.
- Ten sam myśliwiec, ten sam wektor.
- I ta sama odpowiedź - odkrzyknął Kev, pochylając się do przodu, żeby przyjrzeć się ekranom.
- Może próbuje sprawdzić, jak daleko sięgają nasze możliwości sterowania.
- Uważaj - ostrzegł Dorianą.
- Jeśli się zorientują, jak zablokować sygnał, te myśliwce będą martwe.
- I ulegną samozniszczeniu w kilka minut później - uzupełnił Kav z lekkim zniecierpliwieniem.
- Dziękuję, komandorze Stratis, ale znam własną broń. Patrz, znowu się wycofuje... i wcale nie jest mądrzejszy niż przedtem.
- Chyba że wysłali go na wabia - mruknął Dorianą, obserwując inne ekrany.
- Nie zapominaj o tym krążowniku, który odłączył się od grupy w tym samym czasie co myśliwiec.
- Nie zapominam - zapewnił go Kav.
- Ale ten tylko przeleciał wzdłuż naszej flanki, nie próbując atakować ani się zbliżyć.

Dorianą pokręcił głową.

- On coś kombinuje, wicelordzie.

- Cokolwiek zrobi, nic mu nie pomoże - zapewnił Kav.
- Lot Pozagalaktyczny przyleci najwcześniej za dziewięć dni. To więcej czasu niż potrzebujemy, żeby się zastanowić, co zrobić z tym natrętem.
- Myśliwiec na ekranie nagle zrobił zwrot przez ogon i zawrócił.
- Wicelordzie... - zaczął jakiś Neimoidianin.
- Ta sama odpowiedź - rzucił Kav, ale teraz w jego głosie była nuta satysfakcji.
- Rozumiem już jego plan, komandorze Stratis. Ma nadzieję, że naszym myśliwcom zabraknie paliwa i wtedy wleci tu bez przeszkód. Nie wie jeszcze, że mam w rezerwie myśliwce z „Darkvenge”, plus połowę z „Poszukiwacza”.

- Może i tak - mruknął Dorian, ale w miarę jak obserwował trzecią powtórkę tego samego scenariusza, narastało w nim niejasne uczucie niepokoju. Z pewnością Mitth'raw'nuruodo umiał wymyślić coś lepszego niż powtarzanie raz po raz takiego samego ataku.

I zawsze na identycznym wektorze. Czy próbował znaleźć słaby punkt w formacji ataku robomyśliwców?

Teraz znów myśliwce przegoniły intruza. A obcy statek znów odleciał, zrobił zwrot i ustawił się do następnego przelotu. Pokaz powtórzył się jeszcze dwa razy i Dorian właśnie zaczął obliczać, ile jeszcze zostało myśliwcom z ich dwudziestopięciominutowego zapasu paliwa, kiedy Kav nagle walnął pięścią w poręcz fotela.

- Dostyc tej gry! - syknął.
- Niech „Strażnik” ruszy się w stronę obcych.
- Ostrożnie, wicelordzie - ostrzegł go Dorian, kiedy operator komunikatora odwrócił się do swojego pulpitu.
- Nie spieszmy się tak z dzieleniem floty.
- Już dość długo byłem cierpliwy - odparował Kav.
- Czas z tym skończyć. Dać „Strażnikowi” sygnał „cała naprzód” i niech wyśle resztę myśliwców w konfigurację osłonową...
- Zaczekaj - przerwał mu Dorian. Nagle scenariusz się zmienił. Myśliwiec znów się wycofał, ścigany przez roboty, ale tym razem cała reszta obcych statków skoczyła przed siebie, kierując się konsekwentnie w stronę szczeliny, która otworzyła się pomiędzy nimi a głównymi siłami.
- No i właśnie popełnili swój ostatni błąd - rzekł Kav z satysfakcją.

- Niech myśliwce atakują.

Neimoidianin potwierdził i wprowadził rozkaz do konsoli. Jednak ku zdumieniu Doriany roboty nie wykonały rozkazu. Nadal ścigały uciekającego myśliwca.

- Niech atakują! - warknął Kav jeszcze raz.

- Co robisz? Do ataku!

- Nie odpowiadają - odkrzyknął drugi Neimoidianin.

- Niemożliwe - upierał się Kav.

- Nie mogą przecież blokować naszego sygnału.

- Nie blokują - posępnie wyjaśnił Dorianą.

- Gdyby myśliwce nie dostawały sygnału, wyłączyłyby się i pozostały w uśpieniu. A one lecą z pełną mocą.

- Ale oddalają się od nas. Jak to możliwe? - zapytał Kav, wyraźnie zdezorientowany.

- Nieważne jak - warknął Dorianą.

- Atakują nas!

- Nie wierzę własnym oczom - mruknął Car'das, obserwując, jak robomyśliwce kompletnie zignorowały nadlatujące statki Chissów i bezmyślnie pognały w przestrzeń. - Jak je do tego zmusiłeś?

- Sygnał sterowania wykorzystuje specjalny kod - wyjaśnił Thrawn, kiedy „Springhawk” wystrzelił poza nieistniejący już zewnętrzny szaniec obronny.

- Ale przy tak wielkiej liczbie myśliwców wymagających tego sygnału, wiedziałem, że rotacja będzie musiała być ograniczona. Okazało się, że dla tej grupy są tylko trzy oddzielne wzorce szyfrowania. Zarejestrowałem zatem wersję, której roboty oczekiwały jako następnej i wysłałem, stosując taką moc, aby zagłuszyć wszelkie rozkazy, jakie mogli im przesyłać dowódcy z okrętu.

- Ale jak się zorientowałeś... ojej, już wiem - ucieszył się Car'das, kiedy wreszcie zrozumiał.

- Twój myśliwiec zawsze leciał tym samym wektorem, a rozkaz dla robotów był zawsze taki sam - kod: wyjdź-z-formacji-i-zaatakuj-wroga-na-tym-wektorze. Jediną zmienną pozostawał sam wzorec szyfrowania.

- Który pozwolił nam wyizolować potrzebny rozkaz i skopiować go - potwierdził Thrawn.

- Sekretem pomyślnej analizy, Car'das, jest zredukowanie sprawy do jednej zmiennej zawsze, kiedy to tylko jest możliwe.

Przed nimi najbliższe myśliwce wewnętrznej tarczy zaczęły zmieniać pozycje, przechodząc od obrony ogólnej na wektory przechwytyjące.

- Myślę, że z resztą myśliwców to się raczej nie uda - ostrzegł Car'das.

- Nadlatują z trzech różnych formacji początkowych i prawdopodobnie mają wprowadzone całkiem inne kody.

- To nie ma znaczenia - zapewnił go Thrawn.

- Musiałem tylko pozbyć się pierwszej grupy i wejść na bliższy zasięg.

- Nacisnął klawisz na swoim pulpicie.

- Wszystkie jednostki: wzorzec ataku d'moporai.

- Nadlatują - mruknął Dorian, z napięciem wbijając palce w poduszki fotela. Wyglądało na to, że nędzna zbieranina statków patrolowych Mitth'raw'nuruodo nie da rady wiele zdziałać przeciwko połączonej potęgze sił zadaniowych Federacji Handlowej. Nie mają szans.

Ale obcy dowódca właśnie przebił się przez trzy grupy robomyśliwców, nie oddając ani jednego strzału, co również nie powinno być możliwe. Mitth'raw'nuruodo szykował im teraz jakąś sztuczkę, a Dorian miał niejasne przeczucie, że nie będzie to nic

miłego.

Jednak nawet mimo obaw, niewielka, zbuntowana część jego umysłu nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć, co to będzie za sztuczka.

I nie musiała długo czekać. Nadlatujący obcy rozszerzyli formację, poświęcając ochronę nakładających się tarcz, aby uzyskać większe pole manewru. Roje myśliwców z najbliższych części tarczy ochronnej także w odpowiedzi rozdzieliły formację, rozstawiając się w szeroką, trójwymiarową falę gotową zalać intruzów. Obie grupy były już prawie w zasięgu strzału z lasera...

I wtedy każdy obcy myśliwiec wystrzelił po jednym pocisku.

Na „Darkvenge” zamigotały wskaźniki komputerowego pulpitu dowodzenia, zbierając, kompilując i analizując informację przekazaną przez robomyśliwce, aby sformułować prawidłową odpowiedź. Odpowiedź została sformułowana i przekazana w postaci setek zaktualizowanych poleceń, które zostały następnie posortowane, zaszyfrowane i przesłane z powrotem do prymitywnych robocich mózgów, zamkniętych w swoich zbrojnych obudowach. Ułamek sekundy później myśliwce odpowiedziały na ten rozkaz deszczem skoncentrowanego ognia laserów, który rozerwał wszystkie

rakiety na strzepy.

- Co za idiotyczne marnowanie pocisków - mruknął Kev.

- Zasięg był ledwie na granicy...

- Czekaj - mruknął Dorian, obserwując ekrany ze zmarszczonymi brwiami. Wciąż jeszcze coś poruszało się wzdłuż linii lotu strzaskanych rakiet - jakieś delikatne woale mgły, ledwie widocznej, ale rozprzestrzeniającej się w miarę zbliżania do myśliwców.

- Odwołaj je! - wrzasnął do Keva.

Ale było już za późno. Kiedy obca formacja rozpadła się nagle i każdy z jedenastu statków wystrzelił w innym kierunku, zasłona mgły dotarła do myśliwców. Pojawiły się zwielokrotnione przebłyski światła...

- Nie reagują! - zawołał od pulpitu komputera jeden z Neimoidian.

- Wszystkie grupy robotów zamilkły!

- Sieci Connora - warknął Dorian, mocniej wbijając w siedzisko zdrętwiałe palce. Dziewięć grup myśliwców, czyściutko i skutecznie wyłączonych z akcji.

Z akcji, ale nie z walki... rozpęd wciąż pchał je naprzód. Dorian w bezsilnej fascynacji obserwował, jak jedne grupy zderzają się z innymi, które już zmieniły wektor w poszukiwaniu rozproszonych obcych. Pojawiły się kolejne serie rozbłysków, tym razem silniejszych.

I nagle ogromnej dziury w tarczy obronnej sił zadaniowych nie było już czym wypełnić.

- Przecież to niemożliwe - jęknął Kav. Jego pięciokątny kapelusz podskakiwał razem z ruchami głowy Neimoidianina, który usiłował objąć wzrokiem wszystkie ekrany mostka naraz.

- Jak on mógł to zrobić?

- Wyślij resztę myśliwców - zgrzytnął zębami Dorian.

- I to już.

Kav nie dał się prosić dwa razy.

- Niech „Strażnik” uruchomi wszystkie pozostałe robomyśliwce - polecił.

- Mają wylecieć, jak tylko będą gotowe. I przesun wszystkie te, które już są w przestrzeni, na kurs przechwytyjący.

- Zaczekaj chwilę - sprzeciwił się Dorian.

- Nie możesz pozostawić skrzydeł bez obrony.

- Przeciwno czemu? - odparował Kav.

- To jest front. Jeśli go nie obronimy, nie będzie już nic do pilnowania. Wykonać rozkaz!

- Nadlatują - mruknął Car'das, zastanawiając się, czy Thrawn nie ugryzł więcej, niż zdoła przełknąć. Chissowie załatwili wprawdzie kilka pierwszych grup robomyśliwców bez szczególnego wysiłku, ale takie sztuczki mogły oszukać przeciwnika tylko raz.

A teraz cała reszta, kilka setek myśliwców, zdążyła ku nim falą, omywając flanki floty Federacji Handlowej.

Chyba że właśnie na to czekał Thrawn.

Car'das przebiegł wzrokiem po ekranach, szukając krążownika, który wymknął się bokiem w chwili rozpoczęcia walki. Jeśli główne siły Chissów miały być tylko dywersją...

Ale „Tornado” nie atakował z boku; nie widać było żadnego podstępu, żadnej sztuczki. Wisiał spokojnie w przestrzeni, najwyraźniej trzymany w rezerwie.

Car'das znów spojrzał na nadlatujące myśliwce.

- Mam nadzieję, że trzymasz jeszcze w zanadrzu jakąś olbrzymią sieć wstrząsową - powiedział.

- Będziemy chyba musieli coś takiego wymyślić, jeśli przyjdzie nam regularnie walczyć z takimi przeciwnikami - zgodził się Thrawn.

- Powiedz mi, co się stanie, jeśli odetniemy tym robotom sygnał sterujący?

- A co... myślisz o blokadzie?

- A tobie się to nie podoba?

- Przeciwnie - uspokoił go Car'das.

- Ale uważa się, że sygnały sterujące Federacji Handlowej są nie do zablokowania. Potrafią w jednej chwili zmienić częstotliwość i wzorce rozkazów... jak tylko zablokujesz jedną część, przesuwią się na drugą.

- A jeśli zablokujesz całe pasmo naraz?

Car'das wytrzeszczył oczy. Ten facet mówił poważnie.

- Nie możesz stłumić całego pasma, komandorze - wycedził przez zęby.

- Jest za szerokie. Jak tylko zaczniesz, zorientują się, co robisz i wyślą zestaw rozkazów awaryjnych do wszystkich, omijając blokadę. Te roboty nie są za mądre, ale z pewnością potrafią zapamiętać tyle poleceń ogólnych, że będą strzelać, dopóki nie rozwalą nas w pył.

- Nie uda im się, jeśli jakiegokolwiek myśliwce pozostaną poza blokadą - zauważył Thrawn.

- Zdaje się jednak, że nasz przeciwnik wyręczył nas w tyra.

- Pokazał punkt na niebie.

- Zanim przelecimy ten odcinek, wszystkie roboty będą skupione w jednym punkcie.

Car'das z otwartymi ustami wpatrywał się w ekrany. Thrawn miał rację - dowódca Federacji Handlowej opuścił cały pilnowany obszar i skupił się na ataku, używając do tego wszystkich myśliwców. Czy nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi?

- A co z naszą własną łącznością? - zapytał. - Jeśli zablokujesz wszystkie pasma, nie będziesz mógł się porozumiewać z ludźmi.

- Na szczęście moi wojownicy potrafią coś więcej niż tylko zapamiętanie kilku ogólnych poleceń - wyjaśnił spokojnie Thrawn.

- Sprawdźmy, czyja strategia okaże się bardziej uniwersalna.

- Pochylił się do przodu i zaczerpnął tchu.

- Blokada pełnego pasma - zarządził.

- Już.

Przez długą, przerażającą chwilę mostek „Darkvenge” rozbrzmiewał wrzaskiem, jakby wszyscy ożywieni potępieńcy z legend Coruscant zaczęli wyc unisono. A potem Neimoidianin przy pulpicie łączności uderzył w przycisk i wyłączył skowyt, pozostawiając jedynie odległe dzwonięcie w uszach Doriany.

- Co, do jasnej... - wybuchnął Kav.

- Wicelordzie... blokują nas! - zawołał Neimoidianin, spoglądając na pulpit z wyraźnym niedowierzaniem. - Wszystkie myśliwce przeszły w stan uśpienia!

Doriana wyrzwał przez iluminatory i poczuł, że żołądek zamienia mu się w kamień. Myśliwce rzeczywiście zostały zablokowane i latały teraz bezmyślnie, podążając w kierunku, który im ostatnio nadano.

A przez ten ruchomy tor przeszkód, odstrzelili wuj ąc po drodze bezradne roboty, bez trudu przebijały

się obce statki Mitth'raw'nuruodo, kierując się wprost na nich. Myśliwce osłaniały dwa krążowniki.

- Włącz wszystkie nasze myśliwce - warknął Kav, wycelowując palec w Neimoidian przy pulpicie dowodzenia.
- Natychmiast je przywołaj.
- Próbujemy - zapewnił jeden z nich.
- Otworzyliśmy łączność laserową z wszystkimi, które były w zasięgu.

Komunikacja laserowa działała wyłącznie w zasięgu widoczności i Doriana z przerażającym uczuciem pustki zrozumiał, że to ograniczenie staje się z każdą chwilą bardziej uciążliwe, bo chmury szczątków i pyłu z rozbitych statków zaczęły blokować i tę awaryjną metodę łączności. Kilka myśliwców ożyło, ale natychmiast wzięto je na cel i ostrzelano, zanim zdążyły się zorganizować w jakąkolwiek formację bojową.

- Co z pozostałymi statkami? - zapytał.
- Czemu nie atakują?
- Tam! - zawołał ktoś i Doriana zobaczył, że z jednej ze studzienek wskazuje w górę czyjeś ramię.
- Hardcells wystrzeliły rakiety.
- Czas najwyższy - mruknął Dorian, a w jego sercu pojawił się przebłysk nadziei

na widok pięciu grup po trzy rakiety, kierujących się w stronę wroga.

Atakujący zareagowali natychmiast - pięć myśliwców odbiło na boki, porzucając swój dotychczasowy kurs i kierując się ku zewnętrznej stronie formacji Federacji Handlowej. Rakiety zablokowały się na nich i podążyły tym samym kursem.

- Brawo - rzekł Kav z satysfakcją.
- Następna salwa odciągnie resztę myśliwców i krążowniki pozostaną bezbronne. A wtedy nasze baterie laserowe wykończą ich bez trudu.
- Być może - ostrożnie odparł Dorian, obserwując uciekające myśliwce obcych. Maszyny przecinały chmury dryfujących myśliwców, najwyraźniej usiłując strząsnąć z ogonów ścigające je rakiety.

Bez skutku. Sprzęt TechnoUnion był jednym z najlepszych w Republice, a ich rakiety bez trudu manewrowały w chmurze szczątków i zmniejszały odległość. Obcy wylecieli poza zgrupowanie myśliwców i wykonali ostry skręt ze zwrotem, kierując się w stronę dużych okrętów. I znów rakiety powtórzyły manewr. Myśliwce wyrównały lot i nagle, prawie równocześnie, każdy z nich zrzucił

niewielki przedmiot, zostawiając go na drodze pościgu.

Doriana zeszywniał, kiedy każdy z tych przedmiotów zmienił się w aż nadto znajomą mglistą chmurkę, rozwijającą się na drodze nadlatujących rakiet.

- Sieci Connora, znowu! - zawołał.

Ale widzowie niewiele już mogli zrobić. Sieci oplatały grupy rakiet i potraktowały je morderczymi wstrząsami wysokiego napięcia, niszcząc zarówno elektronikę naprowadzającą, jak i systemy napędowe i pozostawiając skorupy rakiet równie martwe jak unoszące się wokół myśliwce.

Ale także tym razem Mitth'raw'nuruodo nie zadowolili się jedynie obroną własnych statków przed atakiem. Pięści Doriana zacisnęły się bezradnie, gdy rakiety siłą inercji trafiły wprost w statki TechnoUnion. Niewielkie, ale jaskrawe eksplozje znaczyły miejsca, gdzie przebiły ich panczerze.

A potem jeden ze statków eksplodował, jakby małe słońce wybuchło im pod nosem.

- Co się dzieje? - jęknął Kav.

- Przecież to niemożliwe, nie od paru rakiet... Niemożliwe!

- Mitth'raw'nuruodo robi wyłącznie rzeczy niemożliwe - z goryczą zauważył Doriana. - Rakiety musiały trafić w czuły punkt.

- Jaki? Gdzie go znalazły? Doriana prychnął.

- Popatrz tylko na statki. Celują cały czas w to samo miejsce. Miał rację. W ciągu kilku minut obce myśliwce i krążowniki

wyprowadziły w pole grupę rakiet, którymi statki TechnoUnion ostrzelały je w desperacji, i zniszczyły nieprzyjaciela szybko i skutecznie. Doriana stwierdził z posępną fascynacją, że słabym punktem okazało się spojenie potężnych zewnętrznych komór paliwowych.

- Musimy uciekać - zawołał Kav drżącym głosem.

- Sternik... przygotować skok w nadprzestrzeń.

- Chwileczkę - zaprotestował Doriana, chwytając go za ramię. Zawisło nad nim

widmo klęski wraz z perspektywą losu, jaki spotykał wszystkich, którzy zawiedli Dartha Sidiousa. - Nie możesz po prostu porzucić floty.

- Jakiej floty? - warknął Kav.

- Rozejrzyj się wokoło, Stratis. Jakiej cholernej floty?

Doriana poczuł ucisk w gardle. Oczywiście, Kav miał rację. Wszystkie sześć hardcellów TechnoUnion znikło, z tego połowa zniszczona przez własne rakiety. Siedem eskortowców, nieprzystosowanych do operacji bojowych bez wsparcia większych okrętów, było systematycznie odławianych i niszczonej. Ostatnimi jednostkami zdolnymi jeszcze do walki i ucieczki były dwa okręty bojowe Federacji Handlowej.

Jednak przy nieustającej blokadzie komunikacji nie można było zarządzić pełnego odwrotu. Jeśli „Darkvenge” odleci, musi odlecieć sam.

- Skok obliczony - zawołał sternik.

- Wykonać skok - poleciał Kav, wpatrując się w Dorianę, jakby chciał go zmusić do sprzeciwu.

- Słyszysz? Teraz.

- Hipernapęd nie reaguje! - oznajmił sternik, krztusząc się w nagłym przypiływie paniki.

- Twierdzi, że jesteśmy za blisko masy planetarnej.

Doriana odwrócił się, żeby spojrzeć na rząd tablic statusu. Rzeczywiście, tak wyglądał odczyt.

Tyle tylko, że w pobliżu nie było żadnej masy planetarnej. Nawet większych asteroid.

- To awaria? - zapytał Doriana.

- Niestety, nie awaria - odparł Kav zrezygnowanym głosem.

- Tylko kolejne czary Chissów.

Wzrok Doriany przyciągnął kolejny błysk. Wyjrzał na zewnątrz. Na polu walki, a właściwie jatki, myśliwce, zbyt długo pozbawione komunikacji, zaczynały eksplodować jeden po drugim, uruchamiając mechanizm autodestrukcji. Przez beładnie rozrzucone wykwyty ognia Doriana ujrzał nagle, jak „Strażnik” zapada się, a górna powierzchnia jego prawoburtowego pierścienia niknie pod serią drobnych eksplozji.

- Wicelordzie! - krzyknął ktoś.

- Wiem - odparł Kav z westchnieniem.

- Myśliwce, które kazałem przygotować, też eksplodują.

Doriana skinął głową, ukrywając gorycz i przeczucie nieuchronności zdarzeń. Posiłki widocznie były już w ruchu, kiedy zaczęła się blokada, i również uległy uśpieniu. Bezradnie objając się po hangarze, uderzały o ściany, regały i inne urządzenia; niektóre już leżały, zgniecione, połamane, czekając, aż ich wewnętrzne zegary odliczą czas samozniszczenia.

- Więc to koniec - szepnął Kav. Ostrożnie zdjął pięciokątny kapelusz i równie ostrożnie położył go przed sobą na podłodze.

- Już jesteśmy martwi.

- Zdaje się, że masz rację - mechanicznie zgodził się Dorian, czując, jak kurczą mu się mięśnie pod wpływem nagłego szoku, bo właśnie dotarło do niego, że dzieje się

coś bardzo dziwnego.

Wśród otaczającego ich poboju, pełnego różnorodnych szczątków, „Darkvenge” nie został nawet draśnięty.

Jeszcze raz powiódł wzrokiem po tablicach statusu, tym razem przyglądając im się uważnie. Z wyjątkiem nie wiadomo dlaczego unieruchomionego hipernapędu, wszystko inne wydawało się działać doskonale.

- A może nie masz racji - zmienił zdanie Dorian.

- Zdaje się, że Mitth'raw'nuruodo ma wobec nas całkiem inne plany. Kav prychnął wzgardliwie.

- Tak? A dlaczego tak myślisz? Zaskoczony Dorian obejrzał się...

...i stwierdził, że jeden z krążowników obcych nagle pojawił się przed samymi iluminatorami. Wisiał o kilka zaledwie metrów od transpatali, a uchwyty pełne rakiet kierował ku mostkowi w niemej groźbie. Komunikat był jasny.

- Każ wyłączyć środkowe baterie laserów, wicelordzie - cicho odezwał się Dorian.

- Uszczelnić wszystkie główne wyjścia do hangarów i wyłączyć wszystkie roboty bojowe - odetchnął głęboko i ostrożnie.

- A teraz przygotujmy się na wizytę gości.

R O Z D Z I A Ł 17

Drzwi ostatniej turbowindy rozsunęły się i w odległości jakichś dwudziestu metrów, w głębi korytarza, przez otwarte drzwi grodzi Car'das ujrzał wreszcie mostek okrętu bojowego.

Korytarza strzegł gęsty szpaler uzbrojonych, najwyraźniej dobrze przygotowanych robotów bojowych.

Thrawn nawet się nie zawahał. Spokojnie ruszył przed siebie, a jego dwaj wojownicy równie spokojnie szli po obu jego bokach, choć nieco z tyłu. Car'das przełknął ślinę; nie miał ochoty pchać się w ten korytarz śmierci, ale jednocześnie nie był przygotowany na samotne oczekiwanie w windzie. Zmusił się, aby pójść za nimi.

Na mostku dyżurowały dziesiątki robotów; w większości były to jednostki usługowe i monitorujące, stojące lub siedzące, podłączone do różnych stanowisk w studzienkach. Pośrodku tego mechanicznego ruchu stały dwie żywe istoty, czekając ramię w ramię obok pustego fotela sternika: wysoki Neimoidianin w bogato zdobionych szatach i zdecydowanie mniej krzykliwie ubrany mężczyzna rasy ludzkiej. I znów Thrawn nie zawahał się ani na chwilę, tylko ruszył chodnikiem w ich stronę. Zatrzymał się w odległości trzech metrów i przyjrzał im się uważnie. A potem bez ogródek zwrócił się do człowieka:

- Komandorze Stratis - rzekł skłaniając głowę na powitanie.
- Jestem komandor Mitth'raw'nuruodo.
- Stratis nie dowodzi tym okrętem - wtrącił Neimoidianin, zanim człowiek zdążył odpowiedzieć.
- Jestem wicelord Kav z Federacji Handlowej. A ty, komandorze Mitthawdo, właśnie dokonałeś aktu agresji.
- Wicelordzie, dajmy temu spokój - odparł Stratis. Jego beznamiętny głos brzmiał jednak ostrzegawczo.
- Oskarżenia nie przyniosą nam żadnych korzyści.
- Nie sądź, że cokolwiek zyskałeś swoją bezczelnością - ciągnął Kav, ignorując partnera.
- Nawet w tej chwili mogę cię zniszczyć tu, gdzie stoisz.

Dał znak ręką i z tyłu rozległ się potężny mechaniczny łoskot. Car'das obejrzał się i serce zamarło mu w piersi, bo w pole widzenia wtoczyły się dwa roboty niszczyciele - droideki, zatrzymując się przy

wyjściu z grodzi. Rozwinęły się do pozycji trójnożnej i Car'das stwierdził, że patrzy w lufy czterech par wysokoenergetycznych miotaczy.

- Wicelordzie, jesteś durniem - syknął Stratis niecierpliwie.

- Co ty sobie myślisz...?

- Uspokój się, komandorze - łagodnie odparł Thrawn.

- Nie ma niebezpieczeństwa.

Ostrożnie, ledwie odważając się oddychać, Car'das obejrzał się. Stratis wytrzeszczył oczy, a mięśnie szyi miał napięte jak postronki. Wbijał palce w ramię Neimoidianina. Za to Thrawn stał spokojnie, uważnie przyglądając się droidekom. Wojownicy Chissów nie zdejmowali rąk z broni, ale naśladując dowódcę nie wyciągnęli miotaczy.

- Interesująca konstrukcja - zauważył Thrawn.

- Czy ta drgająca sfera to małe pole siłowe?

- Eee... tak - ostrożnie przemówił Stratis.

- Zapewniam pana, komandorze...

- Dziękuję za demonstrację, wicelordzie - przerwał mu Thrawn, spoglądając świetlistymi czerwonymi oczami na Kava.

- A teraz możesz je odesłać.

Przez długą, straszliwą chwilę Car'das bał się, że Neimoidianin nie posłucha polecenia Thrawna, tak samo jak zignorował naganę Stratisa. Chiss i Neimoidianin starli się spojrzeniami i przez pół tuzina uderzeń serca na mostku panowała kompletna cisza.

I nagle ciało Kava jakby zwiędło, oczy odwróciły się od Thrawna, a dłoń uniosła w kierunku droidek. Car'das obejrzał się przez ramię i stwierdził, że roboty zwinęły się i wytoczyły z mostka.

- Dziękuję - rzekł Thrawn.

- A teraz proszę poinformować mnie wreszcie o waszych zamiarach i planach waszych sił zadaniowych.

- Sił zadaniowych, które już nie istnieją - wtrącił Kav głosem pełnym gniewu i rozpacz.

- To wasza wina - odparował Thrawn.

- Ja chciałem tylko uzyskać cywilizowaną odpowiedź.

- Spojrzał na Car'dasa.

- Czy to właściwe słowo? Cywilizowana?

- Można po prostu powiedzieć „grzeczna” - podsunął Car'das, czując, że na twarz wypływa mu rumieniec. Wolał nie być wciągany w rozmowę.

- Albo „uprzejma”.

- Grzeczna - powtórzył Thrawn, jakby próbując, czy to słowo pasuje mu do jakiegoś nieznanego zestawu danych.

- Tak, istotnie. Komandorze, chciałem tylko uzyskać grzeczną odpowiedź.

- Wiem - odparł Stratis, nie spuszczać oczu z Car'dasa.

- Czy mogę zapytać o nazwisko i pochodzenie pańskiego towarzysza?

- Jestem tylko gościem - rzekł Car'das. Naprawdę nie chciał, aby ci ludzie poznali jego nazwisko.

- To wszystko.

- Nie całkiem - poprawił Thrawn.

- Car'das istotnie był dotąd tylko gościem. Teraz jest moim tłumaczem - rysy jego twarzy stwardniały - i więźniem.

Car'das poczuł, że szczęka mu opada i po raz drugi w ciągu dwóch minut poczuł, że jego serce przestaje bić.

- Czym? - wykrztusił.

- Przybyłeś bez zaproszenia do przestrzeni Chissów - przypomniał mu poważnie Thrawn.

- A teraz, w niecałe trzy miesiące później, pojawia się tu flota inwazyjna. Chcesz powiedzieć, że to przypadek?

- Nie mam z tym nic wspólnego - zaprotestował Car'das.

- A my nie jesteśmy flotą inwazyjną - dodał Stratis.

- Zróbcie coś, żebym w to uwierzył - odparł Thrawn jeszcze bardziej serio.

- Obaj.

Car'das spojrział na Stratisa. Nagle cała ta historia wydawała mu się wysoce niesmaczna.

- Komandorze? - zagadnął.

Oczy Stratisa spoczęły na nim na chwilę, potem znów przeniosły się na Thrawn. Na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

- Bardzo chętnie - rzekł, wskazując drzwi na bocznej ścianie mostka.

- Tam jest biuro, będziemy mogli porozmawiać spokojniej.

Thrawn lekko skłonił głowę.

- Proszę prowadzić.

Doriana zaprowadził ich do biura dowodzenia Kava, czując dreszcz na myśl o nowej i nieoczekiwanej szansie. Godzinę temu wszystko wydawało się skończone; misja poniosła klęskę, a Doriana mógł się równie dobrze uważać za żywego trupa. Nawet gdyby napastnicy pozwolili mu wrócić do Republiki, wiedział, jakiej zapłaty zażąda Darth Sidious za tę klęskę.

A teraz wydawało się, że wszystko jeszcze może ulec zmianie.

- Proszę, usiądźcie wygodnie - zaprosił ich Doriana, gestem wskazując fotele naprzeciw biurka, a sam okrążył masywną konstrukcję z rzeźbionego drewna i zajął ozdobny fotel Kava. Kątem oka zauważył, że wicelord piorunuje go wzrokiem, ale nie miał teraz czasu na leczenie urażonej dumy jakiegoś Neimoidianina.

- Czy podać coś do picia?

- Nie, dziękuję - rzekł Mitth'raw'nuruodo, siadając obok Car'dasa. Dwaj chissańscy wojownicy pozostali w drzwiach, tak jak się spodziewał Doriana, obserwując wszystkich obecnych w gabinecie i jednocześnie mając na oku cały mostek.

- Doskonale - rzekł Doriana, koncentrując się bez reszty na zadaniu, jakie go teraz czekało. Do roboty.

- Pozwólcie, że wam opowiem o projekcie zwanym Lot Pozagalaktyczny.

Zaczął od samego początku, opisując początki projektu i jego misję, podkreślając specjalnie wielkość i uzbrojenie dreadnaughtów.

- Interesujące - skomentował Mitth'raw'nuruodo, kiedy opowieść Doriana dobiegła końca.

- A co to ma wspólnego z nami?

- Musisz wiedzieć, że Lot Pozagalaktyczny zagraża zarówno Republice, jak i twoim ludziom - odparł Doriana.

- Pamiętasz grupę na pokładzie, którą nazwałem Jedi? To istoty o wielkiej mocy, ale również wyjątkowo niebezpieczne.

- Dlaczego?

- Mają bardzo sztywne zasady. Chcieliby dyktować, jak powinni zachowywać się ludzie i co mają myśleć - rzekł Dorian, obserwując Car'dasa kątem oka. Łatwiej byłoby opowiadać takie rzeczy bez obecności kogoś, kto rzeczywiście sporo wie na temat Jedi, ale Mitth'raw'nuruodo nabrałby podejrzeń, gdyby Dorian zażądał wyłączenia młodego człowieka z dyskusji. A teraz musi stąpać po cienkiej linii, starając się przedstawić Mitth'raw'nuruodo Jedi jako istoty z gruntu groźne, jednocześnie nie mówiąc rzeczy, które Car'das mógłby uznać za kompletną bzdurę.

Car'das istotnie wydawał się zaskoczony rewelacjami Doriany. Jednocześnie jednak widać było na jego twarzy rosnącą niepewność. Arogancja Jedi, połączona z ich kompletną niezdolnością do opanowania rozrastającego się chaosu i stagnacji sprawiała, że ludzie w całej Republice zastanawiali się, czy ci tak zwani strażnicy pokoju nie robili jedynie wiele hałasu, zamiast działać skutecznie.

- Jedi uważają, że znają odpowiedzi na wszystkie pytania - ciągnął Dorian.

- I że wszyscy powinni się poddać ich koncepcji sprawiedliwości.

- Ale mówisz, że wyruszają do innej galaktyki - przypomniał mu Mitth'raw'nuruodo.

- Nie widzę tu związku z Chissami.

- Zanim wylecą, mają zamiar zwiedzić najdalsze zakątki naszej galaktyki - wyjaśnił Dorian, żałując, że Thrawna nie tak łatwo przeniknąć jak Car'dasa. Do tej pory nie wiedział nawet, czy wywarł na nim jakiegokolwiek wrażenie.

- Jeśli pojawią się w przestrzeni Chissów, z pewnością będą próbowali narzucić swoją wolę waszemu ludowi.

- „Próbowali” to właściwe słowo - uświadomił mu Mitth'raw'nuruodo. Rysy jego twarzy stwardniały.

- Chissowie nie przyjmują ot, tak sobie cudzych koncepcji, nie rozważywszy ich najpierw bardzo starannie. Na pewno nie poddamy się dominacji. Niczyjej.

- Nigdy tak nie myślałem - zapewnił Dorian, a ostrożna nadzieja rozjarzyła się jaśniejszym płomieniem. A więc kwestie rasy i dumy zawodowej stanowiły klucz do serca Mitth'raw'nuruodo. Doskonale.

- Ale ostrzegam, nie wolno wam ich nie doceniać. Jedi są bezlitośni, ale i subtelni, śmiem twierdzić, że ich moc wykracza poza wszystko, co kiedykolwiek widzieliście.

- Mógłbyś być zaskoczony tym, co już widzieliśmy - twardo powiedział Mitth'raw'nuruodo. Nagle wstał.
- Później o tym porozmawiamy. Na razie inne sprawy wymagają mojej uwagi.
- Oczywiście - zgodził się Dorian, również podnosząc się z miejsca.
- Co mamy robić podczas pańskiej nieobecności?
- Narazie obaj zostańcie namostku – polecił Mitth'raw'nuruodo.
- Przyślę po was, kiedy zechcę znów z wami porozmawiać. Na razie sprowadzę na pokład ekipę, która zajmie się zbadaniem waszego uzbrojenia i sprzętu.
- Mowy nie ma! - wrzasnął Kav.
- Ten statek jest własnością Federacji Handlowej...
- Cicho bądź - przerwał Dorian, gromiąc go wzrokiem. Czy ten głupiec nic nie rozumie?
- Oczywiście, okazemy wszelką pomoc i wsparcie, jakie wam będzie potrzebne.
- Dziękuję - odrzekł Mitth'raw'nuruodo.
- Członkowie ekipy przekażą wam nowe rozkazy, kiedy skończą. A wy je wypełnicie.

Doriana skinął głową.

- Jak sobie życzysz.

Mitth'raw'nuruodo spojrział na Kava i wyczuł rosnące napięcie pomiędzy nim a Dorianem. Jednak Neimoidianin zachował milczenie i Mitth'raw'nuruodo wreszcie zwrócił się do Car'dasa.

- Idziemy.

Wyszli z biura. Chissańscy wojownicy ruszyli tuż za nimi. Dorian obserwował ich do chwili, aż zniknęli za drzwiami służby. Dopiero wtedy spojrział na Kava.

- Z całym szacunkiem, wicelordzie, na imię twojej matki, co ty wyprawiasz?
- Chciałbym cię spytać o to samo - syknął Kav.
- Zamierzasz się poddać, oddając nasze życie i własność temu prymitywnemu obcemu?
- Rozejrzyj się wokoło, wicelordzie - posępnie poradził Dorian.

- Ten prymitywny obcy właśnie obrócił w perzynę całe nasze siły zadaniowe. A jeśli czegoś nie przeoczyłem, sam nie stracił przy okazji ani jednego statku.
- Więc chcesz, aby stał się jeszcze silniejszy, dając mu dostęp do tajników technologii Federacji Handlowej? Doriana odetchnął głęboko.
- Posłuchaj chwilę - rzekł, starannie wymawiając każde słowo. Czuł się jak na Barloku, kiedy usiłował wmanewrować tych idiotów Brolfów w prosty plan zabójstwa. - Ponieśliśmy klęskę w naszej misji. Nawet jeśli Mitth'raw'nuruodo w tej chwili zadrze ogon i zostawi nas w spokoju, nasz pojedynczy okręt w żaden sposób nie sprosta sześciu dreadnaughtom Lotu Pozagalaktycznego. Nie mamy innego wyjścia, jak tylko wrócić do Republiki i stawić czoło gniewowi Dartha Sidiousa... a przy tej okazji na pewno pożałujesz, że myśliwce Chissów nie rozniosły cię dzisiaj na strzępy.
- Uniósł palec. - Chyba, że...

Pozwolił, aby po tym słowie zapadła cisza.

- Chyba, że co? - pokornie zapytał Kav.
- Chyba - ciągnął Doriana - że zdołamy przekonać Mitth'-raw'nuruodo, aby zniszczył dla nas Lot Pozagalaktyczny.

Przez dłuższą chwilę w pomieszczeniu panowała głucha cisza.

- Rozumiem - powiedział w końcu Kav.
- Myślisz, że ci się to uda? A jeśli nawet się uda, czy on zdoła osiągnąć takie zwycięstwo?
- Nie wiem - przyznał Doriana.
- Nie jest głupcem i na pewno zorientował się, że moja wersja Lotu Pozagalaktycznego i Jedi na pewno jest stronnicza. Myślę, że przerwał rozmowę, aby wyjść i spytać Car'dasa o zdanie.
- Ale dlaczego miałby słuchać człowieka, którego uważa za zdrajcę? - zdziwił się Kav.
- Wcale nie uważa - odparł Doriana ze sprytnym uśmiechem.
- Gdyby tak było, z pewnością nie powiedziałby mu tego w oczy. Prawdopodobnie chciał jedynie, abyśmy uwierzyli, że on nie zamierza słuchać rad Car'dasa.

Kav pokręcił głową.

- Dla mnie to zbyt skomplikowane.
- Tak, wiem - potwierdził Doriana.

- Dlatego musisz zostawić wszystko w moich rękach. Wszystko.

Kav zamruczał coś pod nosem.

- Dobrze - burknął głośno.

- Na razie. Ale będę cię pilnował.

- Oczywiście - zgodził się Dorian.

- Pamiętaj tylko, że twoje życie warte jest więcej niż duma.

- Pewnie tak - odparł Kav.

- Ale sam powiedziałaś, że Mitthrawdo nie wierzy w twoje ostrzeżenia przed Jedi. Jak go przekonasz, żeby zniszczył Lot Pozagalaktyczny?

- W moim arsenale perswazji mam coś więcej niż tylko kłamstwa na temat Jedi - zapewnił go Dorian.

- Zaufaj mi.

- Spróbuję - obiecał Kav i skinął głową.

- Na razie.

Car'das już od trzech godzin siedział samotnie przy komputerze w swojej kwaterze na „Springhawku”, wertując strona po stronie skany i teksty techniczne w cheunh, kiedy Thrawn zjawił się wreszcie.

- Przepraszam za długą nieobecność - rzekł komandor, kiedy drzwi zasunęły się za nim.

- Mam nadzieję, że się nie nudziłeś?

- Czytałem raporty ekip technicznych, jak mi kazałeś - sztywno odparł Car'das, odwracając się znów w stronę komputera. Wiedział, że zachowuje się nieuprzejmie, ale nie był w szczególnie dobrym nastroju.

- I co?

- Jak to co?

- Jakie jest twoje zdanie na temat możliwości Federacji Handlowej? - cierpliwie zapytał Thrawn.

Car'das westchnął, czując się jak statek z zepsutym żyroskopem. Tuż przed bitwą Thrawn oskarżył go o kłamstwo w sprawie stosowania niewolnictwa w Republice, a tuż po bitwie dołożył do tego

oskarżenie o szpiegostwo na rzecz Federacji. A teraz domagał się od niego oceny ich możliwości militarnych?

- Te robomyśliwce to świetna broń - mruknął.

- Czytałem kilka miesięcy temu raport, z którego wynikało, dlaczego nie udało im się całkowicie pokonać przeciwników na Naboo. Otóż jednoczesne sterowanie nimi i wszystkimi oddziałami naziemnymi przeciążyło systemy komputerowe, przez co sterowanie myśliwcami było wolniejsze niż powinno. Tu nie było żadnych wojsk naziemnych. Moim skromnym zdaniem cywila, gdybyś nie zniszczył im łączności, pocięliby nas na plasterki.

- Prawdopodobnie - przyznał Thrawn.

- Na szczęście statki Floty Ekspansywnej zostały wyposażone w nadajniki potężniejsze niż w normalnej Flocie Obronnej, ponieważ rzadko mamy dostęp do wzmacniaczy, z których moglibyśmy korzystać. A co sądzisz o wicelordzie Kavie i komandorze Stratisie?

- Dlaczego mnie o to pytasz? - odparował Car'das, poddając się wreszcie i obracając fotel, aby znaleźć się z komandorem twarzą w twarz.

- Myślałem, że mi nie ufasz.

Thrawn pokręcił głową.

- Nieprawda - rzekł.

- Gdybyście byli szpiegami, ty i twoi towarzysze, wykorzystalibyście dostęp do komputera bazy, aby przyrzeć się naszej technologii i poznać lokalizację naszych światów. A wy tylko uczyliście się języka. Mogę usiąść?

- Jasne, oczywiście - rzekł Car'das, gramoląc się z fotela i wyciągając rękę. Był tak speszony własną niepewnością i zranioną dumą, że nawet nie zauważył skrajnego zmęczenia w twarzy i postawie komandora.

- Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest - zapewnił go Thrawn, machnięciem ręki oddalając wyciągniętą dłoń, ale z ulgą podszedł do pryczy i usiadł ciężko.

- To po prostu był bardzo długi dzień.

- Wyglądasz na zmęczonego... i zmartwionego - zauważył Car'das, przyglądając mu się uważnie.

- Czy coś się stało?

- Nic poważnego - odparł Thrawn.

- Po prostu dostałem wiadomość, że admirał Ar'alani jest w drodze do naszej bazy.

Car'das zmarszczył brwi. Od czasu, kiedy Ar'alani zabrała zdobyczny statek, minęło zaledwie pięć tygodni.

- Już skończyli analizę statku Vagaarich?

- Sądzę, że admirał maksymalnie skróciła własny udział w badaniach - wyjaśnił Thrawn.

- Dlatego tak głośno oskarżyłem cię o szpiegostwo w obecności moich wojowników. Po dzisiejszych wydarzeniach z pewnością będzie chciała ich przesłuchać, chcia łem więc mieć prawdopodobne wytłumaczenie, dlaczego ty i twoi towarzysze znajdujecie się jeszcze w przestrzeni Chissów. Przepraszam za przykrość, jaką ci sprawiłem.

- Nie przejmuj się - zmarszczył brwi Car'das.

- Myślisz, że Ar'alani cię podejrzewa?

- Nie wątpię w to - odparł Thrawn.

- Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę raporty, jakie otrzymuje z Crustai.

- Ale kto w bazie mógłby... - Car'das urwał, bo przyszła mu nagle do głowy okropna myśl.

- Thrass? Twój brat?

- Kto inny czułby się w obowiązku informować ją o wszystkim?

- Chcesz powiedzieć, że twój własny brat próbuje cię pogrążyć? - dopytywał Car'das, wciąż nie wierząc własnym uszom.

- Mój brat bardzo kocha swoją rodzinę krwi, mnie również - wyjaśnił Thrawn z głębokim smutkiem.

- Ale jest zaniepokojony tym, co uważa za moje samobójcze zachowanie... a obowiązkiem syndyka Ósmego Rodu Panującego jest bronić honoru i pozycji rodziny.

- I dlatego napuszcza na ciebie admirała?

- Jeśli admirał Ar'alani przybędzie tu po to, aby zmienić moje rozkazy, nie będę mógł spowodować dalszych kłopotów - zauważył Thrawn.

- A przynajmniej tak się wydaje mojemu bratu. Tym sposobem chroni zarówno mnie, jak i Ósmy Ród.

Car'das pomyślał o ataku Vagaarich, którego byli świadkami, o istotach bezradnie zamkniętych w przejrzystych bąblach.

- A tymczasem istoty takie jak Vagaari będą hulać na wolności.
 - To prawda. - Thrawn przycisnął dłoń do czoła.
 - Dopóki jednak admirał nie przybędzie, dowodzenie pozostaje w moich rękach. Jakie odniosłeś wrażenia ze spotkania z wicelordem Kavem i komandorem Stratisem?
- Car'das z wielkim wysiłkiem oderwał myśli od wspomnienia żywych tarcz Vagaarich.
- Nie wydaje mi się, aby Stratis rzeczywiście tam dowodził. Nie wyobrażam sobie, aby Neimoidianie ot, tak po prostu oddali swoje okręty ludziom.
 - Chyba że człowiekowi o naprawdę dużej władzy - zauważył Thrawn.
 - Albo komuś, kto jest pełnomocnikiem człowieka o takiej władzy. Nazwisko Stratis jest naturalnie fałszywe.
 - Możliwe - zgodził się Car'das.
 - Ale wydaje mi się, że mówią prawdę i że nie są siłami inwazyjnymi. Nawet jeśli te ich pierścienie są wypełnione aż po sieci antywstrząsowe robotami bojowymi, wciąż jest ich zbyt mało na okupację planety.
 - Uważasz więc, że ich misja jest po prostu pułapką na ten Lot Pozagalaktyczny?
 - Tak bym sądził, gdybym wiedział dokładnie, czym jest ten Lot Pozagalaktyczny - odparł Car'das.
 - Ale nigdy o nim nie słyszałem, a opiniom Stratisa średnio wierzę.
- Thrawn skinął głową.
- Może Quennto i Ferasi będą mieli więcej informacji.
 - Możliwe - odparł Car'das.
 - Wracamy teraz na Crustai, prawda?
 - Muszę tam być, aby powitać admirał Ar'alani - przypomniał mu Thrawn.
 - Moi ludzie mogą zakończyć badania beze mnie.
 - A jeśli Kav i Stratis zdecydują, że trzeba ich pozabijać i zwiać?
 - Nie ma obawy - zapewnił go Thrawn.
 - Nie mogą tak po prostu skoczyć w nadprzestrzeń, choćby nie wiadomo jak chciał tego wicelord.

Przynajmniej dopóki „Tornado” przyszpila ich w miejscu.

- Rozumiem - powiedział Car'das, czując, że się rumieni z zakłopotania. Wszystko stało się tak szybko, że całkiem zapomniał o krążowniku, który Thrawn pozostawił z boku przed rozpoczęciem bitwy. Widocznie technicy Chissów znaleźli sposób, aby zamknąć projektor grawitacji Vagaari w powłoce statku.

- Nawet jednak gdyby mogli, to chybaby nie uciekli - ciągnął Thrawn.

- Stratis bardzo by chciał, żebym zniszczył Lot Pozagalaktyczny zamiast niego.

Car'das wytrzeszczył oczy.

- Więc w tę stronę to wszystko zmierza?

- Ajak sądzisz, po co były te opowieści o uzbrojeniu i o niebezpiecznych Jedi? - odparował Thrawn.

- Ja tylko... chyba myślałem, że on po prostu próbuje cię zmusić, abyś ich wypuścił - plątał się Car'das.

- A ty tak nie myślałeś...?

- Zrobię wszystko, aby chronić tych, którzy są ode mnie zależni - powiedział Thrawn poważnie.

- Nie więcej. Ale i nie mniej.

Wstał.

- Ale to już nie twój problem - rzekł.

- Jeszcze raz dziękuję ci za pomoc.

- Nie ma sprawy. - Car'das wstał również. Czy to tylko wyobraźnia, czy komandor zachwiał się lekko, kiedy stawał na nogi?

- Lepiej chwilę odpocznij. Kiepsko będzie, jeśli padniesz ze zmęczenia, zanim Ar'alani zdąży choć pomyśleć o tym, żeby cię wsadzić za kratki.

- Dziękuję za troskę - sucho odparł Thrawn.

- Postaram się jej nie rozczarować.

- Jeszcze jedno pytanie, jeśli można - dodał Car'das, kiedy komandor ruszył do wyjścia.

- Skąd wiedziałeś, że te droideki nas nie rozstrzelają?

- Droideki? A, te toczące się roboty - przypomniał sobie Thrawn.
- Nic trudnego. Wszystko na mostku świadczyło o tym, że zbudowały go osoby, które nigdy nie wystawią się na większe ryzyko, niż jest to absolutnie konieczne.
- Rzeczywiście, ten opis pasuje do Neimoidian - zgodził się Car'das.
- A więc poznałeś to po budowie mostka?
- Architektura to tylko jeszcze jedna forma sztuki - przypomniał mu Thrawn.
- Ale nawet bez tych informacji, widząc potrójne drzwi grodziowe, przez jakie przechodziliśmy, odgadłbym, że Neimoidianie nie są wojownikami.
- Dlatego mają roboty bojowe, żeby za nich walczyły - doszedł do wniosku Car'das.
- Ale czy rozstrzelanie nas nie byłoby właśnie krokiem odpowiednim dla tchórzy?

Thrawn pokręcił głową.

- Wicelord Kav stał zbyt blisko linii ognia. Nigdy nie rozkazałby droidekom zaatakować.

Car'das skrzywił się.

- A więc to był bluff.
- Albo chciał nam coś udowodnić - dodał Thrawn.
- Te roboty bojowe to nowa koncepcja, ale warta zastanowienia.
- Skrzywił się.
- Mam nadzieję, że Vagaari nie odwiedzili jeszcze świata, gdzie mogliby zdobyć taką broń.
- Raczej nie - odparł Car'das.
- Neimoidianie bardzo niechętnie się nimi dzielą.
- Zobaczymy.
- Thrawn dotknął kontrolki i drzwi się otworzyły.
- Śpij dobrze, Car'das.

Car'das spoglądał przez chwilę na zamknięte drzwi. A więc teraz Thrawn zapewnił, że nie podejrzewa go o szpiegostwo. To pocieszające... choć w obecności świadków powiedział coś odwrotnego i też na pozór bardzo szczerze.

Gdzie więc leży prawda? Czy Quennto i Maris byli tylko pionkami w jakiejś politycznej grze? A jeśli tak, co to za gra?

Car'das wiedział, że Maris wierzy w honor Thrawna. Quennto za to nie miał cienia zaufania do jego pochodzenia i funkcji wojskowej. A Car'das w ogóle nie wiedział, co myśleć.

Wiedział tylko jedno. Zaczynało się robić gorąco i miał niejasne wrażenie, że załoga „Łowcy Okazji” zdecydowanie ponad miarę przedłużyła swój pobyt tutaj. Muszą się jakoś wydostać.

I to jak naj szybciej.

Uliar dowiedział się o problemie, kiedy skręcił za róg i stwierdził, że pozostali dwaj członkowie jego zmiany wachty sterczą w drzwiach pomieszczenia monitorowni.

- Co się dzieje? - zapytał, podchodząc bliżej.

- Mamy wycieczkę - wyjaśnił Siw, starszy oficer.

- Ma'Ning i jakieś pędraki.

- Jakie znowu pędraki?

- Paru jego młodszych Jedi - z pogardą odparł Algrann.

- Wpadli tu dziesięć minut przed zakończeniem zmiany Grasslinga i wyrzucili wszystkich.

- I co, nie możemy tam wejść? - zapytał Uliar, nie dowierzając własnym uszom.

Siw wzruszył ramionami.

- Powiedział Grasslingowi, że da mu znać, kiedy będzie mógł znowu wejść - odrzekł.

- Sam, przyznaję, nie pytałem.

Uliar spojrział na drzwi ze zmarszczonymi brwiami. Jedi. Znowu.

- A ja mogę spróbować? Siw machnął ręką.

- A rób, co chcesz.

Uliar podszedł do drzwi, wcisnął zamek. Drzwi otworzyły się i wszedł do środka.

Mistrz Jedi Ma'Ning stał obok głównego pulpitu, pogrążony w omawianiu działania monitorów i systemów sterowania. Zwrócił pytające spojrzenie na Uliara, ale ani na chwilę nie przerwał wykładu. Przy panelu siedziała czwórka dzieci, dwoje tak małych, że musiały klęknąć na siedzeniach, żeby coś zobaczyć.

Wyglądało to jak scena z klasy drugiego poziomu. Tyle tylko, że dzieci siedziały nie przy pulpicie do pisania, ani nawet nie przy makiecie, lecz przy rzeczywistym, prawdziwym systemie sterowania jednego z reaktorów, który kontrolował moc płynącą do dreadnaughta cztery.

Ma'Ning dokończył zdanie i uniósł brwi.

- O co chodzi, Uliar? - zapytał.

- Proszę wybaczyć, mistrzu Ma'Ning - odezwał się Uliar, podchodząc bliżej.

- Ale co, u licha, tu robicie?

Zmarszczki wokół oczu Ma'Ninga pogłębiły się lekko.

- Uczę młodych padawanów podstaw działania reaktora. Uliar spojrział na dzieci raz jeszcze. Miały od pięciu do ośmiu lat, a przynajmniej tak mu się zdawało. Wszystkie miały błyszczące oczy i aż kipiały ciekawością, jak każde dziecko.

Ale teraz dopiero zauważył, że było w nich coś więcej. Jakaś ukryta głębia i powaga, nietypowe dla dzieci w tym wieku. Czy to wiązało się z tym, że byli Jedi?

- To doskonale, że się uczą, ale to nie miejsce dla dzieci - rzekł Uliar.

- A jeśli mogę coś powiedzieć, to chyba nie jesteś osobą, która mogłaby kogokolwiek wprowadzać w tajniki pracy reaktora.

- Daję im tylko bardzo ogólny pogląd - zapewnił go Ma'Ning.

- Nie powinieneś im nic o tym mówić - odparował Uliar.

- Jeśli chodzi o sprzęt pracujący na wysokich poziomach energii, mała wiedza jest gorsza niż jej brak, a przy tym niebezpieczna. A tak w ogóle, czyj był ten głupi pomysł? Ma'Ning zacisnął usta.

- Mistrz Cbath postanowił, że wszyscy Jedi i padawani muszą wiedzieć, jak kontrolować najważniejsze systemy Lotu Pozagalaktycznego.

Uliar wytrzeszczył oczy.

- Żartujesz chyba.

- Wcale nie - zapewnił go Ma'Ning.

- Nie obawiaj się, wyniesiemy się stąd za pół godziny.

- Wyniesiecie się stąd o wiele szybciej - warknął Uliar, wciskając się pomiędzy dwójkę dzieci i pochylając nad konsolą łączności.

- Mostek, kontrola reaktora trzy. Z komandorem Omano proszę.

- Chwilę.

Uliar spojrział na Ma'Ninga, ciekaw, czy Jedi będzie próbował mu przeszkodzić. Ale Ma'Ning stał tylko ze spuszczoneymi oczami, pogrążony w czymś na kształt medytacji.

- Komandor Omano.

- Technik reaktora czwartego, Uliar, komandorze - przedstawił się Uliar.

- W naszej nastawni znajdują się nieupoważnione osoby, które odmawiają jej opuszczenia.

Omano westchnął ciężko, co głośnik przeniósł jako słaby syk.

- Jedi?

Uliar poczuł, że podłoga ucieka mu spod nóg.

- Jeden z nich jest Jedi, owszem - rzekł ostrożnie.

- Ale nie są upoważnieni do...

- Niestety, są - przerwał mu Omano.

- Mistrz Cbaoth zażądał, aby jego ludzie dostali pełny dostęp do wszystkich obszarów i pomieszczeń systemów na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego.

Uliar czuł, że usłyszy właśnie takie wyjaśnienie, a mimo to odczuł je jak zimny prysznic.

- Z całym szacunkiem, komandorze, to równie absurdalne, co niebezpieczne - powiedział.

- Dzieci w...

- Masz rozkazy, techniku Uliar - przerwał mu w pół słowa Omano.

- Jeśli ci się nie podobają, możesz je przedyskutować z mistrzem Cbaothem.

Rozległ się cichy trzask i komunikator ucichł.

Uliar podniósł wzrok i stwierdził, że Ma'Ning przygląda mu się uważnie.

- Proszę bardzo - warknął, wytrzymując dzielnie spojrzenie Jedi. Jeśli Ma'Ning myśli, że Uliar się ugnie lub zacznie kajać tylko dlatego, że tamten miał na sobie te pretensjonalne szaty, a przy pasie miecz świetlny, to będzie musiał zrewidować swoje poglądy.

- Gdzie znajdę mistrza Cbaotha?

- Jest na dole, w centrum szkoleniowym - odparł Ma'Ning.

- Rdzeń magazynowy, sekcja jeden-dwadzieścia cztery.

Uliar wytrzeszczył oczy.

- Wasza szkółka mieści się w rdzeniu magazynowym? A co jest złego w dreadnaughtach?

Ma'Ning zacisnął usta.

- Mistrz Cbaoth uznał, że lepiej będzie, jeśli znajdziemy możliwie jak najdalej od wszystkiego, co mogłoby nas odrywać od nauki.

Czy odrywanie od nauki obejmowało rodziców, rodziny i normalnych ludzi? Prawdopodobnie tak. Irytacja Uliara gdzieś w głębi zaczęła przeradzać się w prawdziwy, kipiący gniew.

- Doskonale - rzekł. - Wrócę tu.

- I co? - zapytał Algrann, kiedy Uliar znalazł się na korytarzu.

- Omano też został w to wciągnięty - kwaśno odparł Uliar.

- Idę pogadać z samym Wielkim Bufonem i zobaczymy, czy zdołam mu wbić do mózgowicy trochę rozumu.

- Z kapitanem Pakmillu?

- Pakmillu już nie prowadzi tej budy - burknął Uliar.

- Idę do Cbaotha. Któryś chce iść ze mną?

Wymienili spojrzenia i Uliar prawie widział, jak wycofują się w głąb siebie.

- Lepiej zostaniemy tutaj - odparł w końcu Siw.

- Kiedy Ma'Ning skończy, ktoś powinien być na dyżurze.

- Jasne - odparł Uliar, krzywiąc się z pogardą. Dlaczego wszyscy natychmiast tracili kręgosłup, kiedy w grę wchodził Jedi?

- Do zobaczenia.

Zjechał turbowindą na najniższy poziom dreadnaughta cztery, po czym ruszył w kierunku jednego z masywnych pylonów, łączących dreadnaughty z rdzeniem magazynowym. Cztery z sześciu turbowind, które mieściły się w tym pylonie, znajdowały się gdzieś wyżej, ale dwie czekały. W kilka chwil później był już w magazynach.

Rdzeń składał się z serii dużych sal, z których każde wypełnione było prawie po sufit stosami skrzyń, utrzymywanych w bezpiecznej stabilności za pomocą grubych sieci. Stosunkowo wąski pas podłogi w każdym z pomieszczeń pozostawiony był wolny, tworząc wąski chodnik i obszar roboczy do przesuwania skrzyń. Na każdym końcu chodnika znajdowała się para drzwi prowadzących do przyległych pomieszczeń: jedno dla osób, drugie - znacznie większe - dla wózków transportowych.

Turbowinda wysadziła Uliara w sekcji sto dwudziestej - odczytał ten numer na niewielkiej tabliczce przyklepionej do sieci. Ma'Ning powiedział, że szkoła Jedi znajdowała się w sekcji sto dwudziestej czwartej, więc ruszył w kierunku rufy.

Żadne z drzwi wiodących do właściwej sekcji nie zostały jakoś oznakowane, aby podkreślić jej status szkoły. Uliar wyprostował się, starając się nie myśleć o krążących legendach na temat mocy Jedi, podszedł do mniejszych drzwi i dotknął kontrolki.

Nic się nie stało. Spróbował jeszcze raz - nadal nic. Podszedł do większych drzwi towarowych i przekonał się, że i one są zamknięte na głucho. Zawrócił do mniejszych drzwi, zwinął dłoń w pięść i łagodnie zastukał.

Nie było odpowiedzi. Zastukał jeszcze raz, tym razem mocniej. Czy oni wszyscy wyszli i rozleźli się po całym statku?

- Czego chcesz?

Podskoczył i spojrział na ekran komunikatora, zamontowanego po lewej stronie, tuż obok sieci. Spoglądała z niego gniewna twarz Cbaotha.

- Muszę z tobą porozmawiać na temat waszych uczniów i ich nauczycieli - zaczął Uliar, czując, że jego zdecydowanie zaczyna się rozplýwać pod tym onieśmielającym spojrzeniem. - Są teraz w nastawni i monitorowni reaktora, gdzie nie powinno ich...

- Dziękuję za zainteresowanie - przerwał mu Cbaoth - ale nie musisz się martwić.

- Wybacz, mistrzu Cbaoth, ale chyba jednak muszę - upierał się Uliar.

- Niektóre z tych systemów są bardzo delikatne. Ja uczyłem się cztery lata, żeby je prawidłowo obsługiwać.

- Twoja nauka różniła się od nauki Jedi - zauważył Cbaoth.

- Ładny slogan - burknął Uliar. Jego gniew, który po drodze

nieco złagodniał, teraz znów zaczął dochodzić do punktu wrzenia.

- Ale uczenie komunałów nie zastąpi porządnej szkoły technicznej.

Mroczne spojrzenie Cbaotha pomroczyło jeszcze bardziej.

- Twój brak wiary jest bezmyślny i obraźliwy - huknął.
- Odejdiesz teraz i nigdy tu nie wrócisz.
- Nie zrobię tego, dopóki te dzieciaki są w mojej nastawni - z uporem sprzeciwił się Uliar.
- Powiedziałem: idź - powtórzył Cbaoth.

I nagle jakby niewidzialna dłoń pchnęła w pierś Uliara, odrzucając go od zamkniętych drzwi do tyłu, w kierunku wyjścia z sekcji.

- Hej, zaczekaj! - zaprotestował Uliar, miotając się bezradnie, aby zrzucić ciężar z piersi. Nie wiedział, że Jedi mogą coś takiego zrobić poprzez ekran komunikatora, nie pojawiając się nawet osobiście.
- Co z tymi dziećmi?

Cbaoth nie odpowiedział. Odprowadził wzrokiem Uliara aż do drzwi. Obraz w jego oczach i nacisk na pierś technika znikły jednocześnie.

Przez długą chwilę Uliar stał w miejscu, czekając, aż uspokoi mu się serce, łomoczące z napięcia i nadmiaru adrenaliny. Zastanawiał się, co teraz robić - może powinien zawrócić i spróbować jeszcze raz? Wydawało się jednak, że to daremny wysiłek. Odetchnął głęboko i zawrócił w kierunku dreadnaughta cztery i nastawni.

Ma'Ninga i dzieci już nie było, kiedy się zjawił. Siw i Algrann stali przy swoich stanowiskach.

- I co? - zapytał Siw, kiedy Uliar w milczeniu zajął swoje miejsce.
- Kazał mi się wynosić i pilnować swoich spraw - wyjaśnił Uliar.
- To są nasze sprawy.
- Mnie tego nie musisz mówić - odparł Uliar kwaśno.
- Powiedz lepiej jemu.
- Może powinniśmy pogadać z Pakmillu - z wahaniem podsunął Algrann.
- A po co? - burknął Uliar.
- Zdaje się, że teraz to Jedi tutaj rządzą. Algrann zaklął pod nosem.
- Świetnie. Zostawiamy za sobą tyranię biurokratów i skorumpowanych polityków, a wpadamy w tyranię Jedi.

- To nie tyrania - sprzeciwił się Siw.

- Nie - zgodził się Algrann.

- Jeszcze nie.

R O Z D Z I A Ł 18

- Lot Pozagalaktyczny - powtórzył Quennto, marszcząc brwi. Powoli pokręcił głową.
- Nie. Nigdy o tym nie słyszałem.
- Ja też nie - dodała Maris.
- Więc mówisz, że ten Kav i Stratis chcą go zniszczyć?
- Kav i ten drugi - sprostował Car'das.
- Thrawn uważa, że Stratis to fałszywe nazwisko.
- Niech będzie, Kav i Pan Nikt - niecierpliwie rzucił Quennto.
- Dlaczego chcą go zniszczyć?

Car'das wzruszył ramionami.

- Stratis zaczął nawijać, jacy to niebezpieczni są Jedi, jak chcą przejąć władzę i zmusić wszystkich, aby zachowywali się tak jak oni. Ale to chyba kłamstwo.
- Niekoniecznie - sprzeciwił się Quennto.
- Sporo ludzi zaczyna się już zastanawiać nad Jedi.
- Z pewnością pomagają utrzymać biurokrację na Coruscant - zauważyła Maris.
- Każdy, kto zechce zmienić rząd na normalny, będzie musiał przekonać Jedi do przejścia na jego stronę.
- Albo ich pozabijać - dodał Quennto. Maris zadygotała.
- Nie sądziłam, że kiedykolwiek do tego dojdzie.
- Cóż, Stratis zdecydowanie nie mówił o perswazji - powiedział Car'das.
- A co z dreadnaughtami? Słyszeliście chociaż o nich?

- Owszem. To najnowszy prezent Rendili StarDrive dla ogarniętych obsesją wojowania - rzekł Quennto. - Sześćset metrów długości, ciężkie tarcze, cała masa unowocześnionych dział turbolaserowych, większość z nich skupiona w czterech gniazdach na osi podłużnej, skąd mogą

ostrzeliwać ogromne pole rażenia. Normalna załoga liczy około szesnastu tysięcy ludzi, a jest jeszcze miejsce na dwa lub trzy tysiące żołnierzy. Słyszałem, że Sektor Korporacyjny kupuje je jak pamiątki z Dnia Translandu, a niektóre większe światy Jądra nie pozostają daleko w tyle.

- Czy Coruscant też kupował? - zapytała Maris. Quennto wzruszył ramionami.

- Ostatnio była mowa o prawdziwej armii i uczciwej flocie bojowej dla Republiki. Ale gadali tak od wielu lat i nigdy nic z tego nie wynikło.

- A więc przy sześciu dreadnaughtach można mówić o stu tysiącach ludzi na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego? - zapytał Car'das.

- Prawdopodobnie nie więcej niż o połowie tej liczby - sprostował Quennto.

- Wiele standardowych zadań będzie się powtarzać na wszystkich statkach, a poza tym będzie im potrzebna wolna przestrzeń, jeśli to statek kolonistów.

- Mnóstwo ludzi zginie, chociaż chodzi im tylko o paru Jedi - zauważyła Maris.

- Nie martw się, jestem pewien, że twój szlachetny komandor iThrawn nie da się na to nabrać - kwaśno odparł Quennto.

- Nawet jeśli Thrawn nie zechce współpracować, Stratis wciąż dysponuje nietkniętym okrętem bojowym Federacji Handlowej - przypomniał im Car'das.

- To spora siła ognia, a może jeszcze więcej mają w drodze.

- Więc co robimy? - zapytała Maris.

- Nic nie robimy - postanowił Quennto.

- Szukanie Lotu Pozagalaktycznego to nie nasza sprawa.

- Ale nie możemy tak po prostu siedzieć tu i mieć wszystko w nosie - zaprotestowała Maris.

- Możemy jeszcze uciekać jak poparzone jastrzębionietoperze - odciął się Quennto - chyba najlepsza pora na to.

- Ale...

- Maris - przerwał jej Quennto unosząc dłoń.

- To nie nasz problem. Słyszysz? Nie nasz problem. Jeśli Jedi zamierzają odlecieć w Nieznane Rejony, to sami muszą wymyślić, jak się bronić. A my musimy wymyślić, jak się stąd wydostać. To znaczy, jeśli uważasz, że zdołasz się oderwać od szlachetności i kultury Thrawna.

- To nie w porządku - zaprotestowała Maris. Spojrzała na niego ze złością, choć policzki zabarwił jej cień rumieńca.
 - Nieważne.
 - Quennto popatrzył na Car'dasa.
 - Ostatnio jesteś kutnplem komadora, mały. Myślisz, że możesz go namówić, żeby nam oddał tę część łupu Vagaarich, którą jego braciszek zapieczętował?
 - Kciukiem wskazał na Maris.
 - A może powinienem poprosić o to ją?
 - Rak... - zaczęła Maris.
 - Nie sądzę, żeby dał się na to namówić - pospiesznie rzucił „Car'das. Napięcie między Quennto i Maris znów zaczęło sięgać czerwonej strefy.
 - Nie może nam nic oddać, dopóki jego brat i admirał Ar'alani mu tego nie przekażą.
 - Więc jak ściągnąć tutaj tę Ar'alani? - zapytała Maris.
 - Nie musimy - zapewnił Car'das i spojrzał na chronometr.
 - Chyba nawet w tej chwili Thrawn przyjmuje jąw swojej bazie.
 - Świetnie - ucieszył się Quennto.
 - Załatwimy sobie rozmowę, zabierzemy łup i już nas nie ma.
 - Oj, chyba nie - przyhamował go Car'das.
 - Ona jest tutaj po to, żeby sprawdzić, czy Thrawn nie trzeba usunąć ze stanowiska.
- Na chwilę zapanowała pełna zdumienia cisza.
- To absurdalne - wykrztusiła wreszcie Maris.
 - Thrawn jest dobrym dowódcą. Jest dobrym człowiekiem.
 - A odkąd to jedno albo drugie ma jakiegokolwiek znaczenie? - parsknął Quennto.
 - Pamiętaj, że ona była absolutnie przeciwna przekazaniu nam tego łupu po Vagaarich. Czarno to widzę.
 - Czy choć przez minutę możesz zapomnieć o łupie? - zapytała Maris gniewnie.

- Rozmawiamy o życiu i karierze Thrawna.

- Nie, nie mogę zapomnieć o łupie - warknął Quennto.

- Na wypadek, gdybyś zapomniała, słoneczko, już dwa i pół miesiąca jesteśmy spóźnieni z dostawą do Drixo futer i ognistych kamieni. Jeśli już się tam pokażemy, to musimy mieć coś, co mogłoby ją uspokoić. To jedyna szansa, abyśmy uratowali swoje skóry.

Maris skrzywiła się.

- Wiem - mruknęła.

- Więc co robimy? - zapytał Car'das.

- Nie my, tylko ty. Musisz przekonać ich, żeby oddali nam łup - odparł Quennto.

- I nie pytaj mnie, jak to zrobić - dodał, widząc że Car'das otwiera usta.

- Błagaj, proś, przekupuj... cokolwiek.

- Tylko ty możesz coś zdziałać - dodała Maris poważnie.

- Za każdym razem, kiedy Rak lub ja opuszczamy kwaterę, natychmiast mamy towarzystwo.

Car'das westchnął.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- I nie zapominaj, że nie zostało wiele czasu - ostrzegł Quennto.

- W tej chwili mamy przynajmniej częściowego sojusznika w Thrawn. Jeśli dostanie kopa, nie będziemy mieć nawet tego.

Car'das rozważał przez chwilę, co by powiedzieli, gdyby się dowiedzieli, że Thrawn publicznie oskarżył ich o szpiegostwo. Ale nie było sensu martwić ich bardziej niż trzeba.

- Zrobię, co w mojej mocy - powtórzył i wstał.

- Do zobaczenia.

Wyszedł z ich kwatery i ruszył korytarzem. Ceremonia powitalna Ar'alani prawdopodobnie dobiegła już końca, ale należało przypuszczać, że ona i Thrawn wciąż są razem. I że prawdopodobnie rozmawiają o oskarżeniach Thrawna. Ar'alani wywarła na Car'dasie wrażenie osoby, która nie zamierza tracić więcej czasu na ceremonialne powitania, niż to jest absolutnie potrzebne. Może należało przekazać oficerom Thrawna, że Car'das chce porozmawiać z komandorem najszybciej, jak to będzie możliwe.

- Możesz sobie tak swobodnie chodzić po bazie?

Car'das obejrzał się i zobaczył Thrassa. Trudno było odgadnąć, co kryje się za tymi gorejącymi oczami.

- Syndyk Mitth'ras'safis - powitał go, po raz kolejny tego dnia usiłując zmusić mózg do pracy. - Wybacz moje zaskoczenie, ale sądziłem, że jesteś z bratem i panią admirał.

Thrass skłonił głowę.

- Chodź ze mną, proszę - powiedział, odwrócił się i ruszył w głąb korytarza. Car'das poszedł za nim, czując nieprzyjemne pulsowanie w skroniach.

Thrass poprowadził go na górne poziomy bazy, gdzie mieszkali Thrawn i wyżsi rangą oficerowie. Po drodze minęli kilku wojowników, ale widok syndyka i towarzyszącego mu człowieka wywołał jedynie zaciekawione spojrzenia. Dotarli wreszcie do drzwi oznaczonych symbolami w cheunh, których Car'das nie umiał do końca rozszyfrować.

- To tutaj - rzekł Thrass, otworzył drzwi i gestem zaprosił go do środka. Car'das wyprostował się i wszedł do środka.

Znalazł się w niewielkiej salce konferencyjnej z sześcioma wyposażonymi w indywidualne komputery fotelami, ustawionymi wokół centralnego projektora holograficznego. U szczytu kręgu, wspiana i dostojna w swoim białym mundurze, siedziała admirał Ar'alani.

- Usiądź, Car'das - rzekła w cheunh, gdy Thrass wszedł za nim i zamknął drzwi.

- Dziękuję, pani admirał - odparł Car'das w tym samym języku i zajął miejsce dokładnie naprzeciwko niej.

- Miło znów panią widzieć.

Skinęła głową, obserwując go uważnie. Thrass zajął miejsce po jej prawej ręce.

- Twoja biegłość w cheunh znacznie wzrosła - zauważyła.

- Moje gratulacje.

- Dziękuję - powtórzył Car'das.

- To piękny język, kiedy się go słucha. Żałuję jedynie, że nigdy nie będę nim mówił jak Chiss.

- Nie, nie będziesz - zgodziła się Ar'alani.

- Rozumiem, że towarzyszyłeś komandorowi Mitth'raw'nuruodo w jego ostatniej wyprawie. Opowiedz nam, co się tam zdarzyło.

Car'das spojrział na Thrassa i znów na Ar'alani.

- Proszę mi wybaczyć impertynencję, ale czy nie powinniście spytać o to raczej komandora Mitth'raw'nuruodo?

- Zapytamy - zapewniła go Ar'alani - ale na razie pytamy ciebie. Opowiedz o tym ostatnim akcie agresji.

Car'das odetchnął głęboko.

- Nie uznałbym tego za akt agresji - rzekł, starannie dobierając słowa.

- Była to ekspedycja mająca na celu zbadanie nieznanych jednostek wojennych, o których pojawieniu się w tym obszarze doniesiono.

- Jednostek, które nie zostałyby zgłoszone, gdyby Mitth'-raw'nuruodo nie miał

znanych skłonności do pochopnych działań militarnych - zauważyła Ar'alani.

Za jej plecami Thrass lekko poruszył się w fotelu.

- Statut Floty Ekspansywnej wymaga obserwacji i eksploracji obszarów wokół Dynastii Chissów - przypomniał.

- Obserwacja i eksploracja... - powtórzyła Ar'alani.

- Ale na pewno nie niesprowokowane działania wojenne.

- Uniosła brew.

- Może zaprzeczysz, że zostały podjęte działania militarne i że były ofiary wśród Chissów?

Car'das zmarszczył brwi. Thrawn nie wspominał o żadnych ofiarach.

- Nie wiedziałem, że jacyś wojownicy Chissów ponieśli śmierć.

- „Tornado” nie wrócił z bitwy - poinformowała Ar'alani.

- Ach, tak? - Car'das odetchnął nieco lżej. Oczywiście, zaginiony krążownik pozostał na polu bitwy, żeby utrzymać „Darkvenge'a” na miejscu za pomocą projektora grawitacyjnego Vagaarch. Ale oczywiście nie mógł o tym powiedzieć Ar'alani.

- Wciąż utrzymuję, że komandor Mitth'raw'nuruodo walczył wyłącznie w obronie własnej.

- Czy nieprzyjaciel wystrzelił pierwszy?

- Wystrzelenie salwy nie zawsze jest pierwszym aktem agresji - zastrzegł się Car'das, odnosząc dziwne wrażenie, że kroczy po wąskiej kładce nad jamą pełną gundarków.

- Statki Federacji Handlowej wypuściły potężną eskadrę robomyśliwców. Słyszałem raporty z bitew, w których wykorzystywano tę broń, i gdyby komandor Mitth'raw'nuruodo nie zdołał ich unieszkodliwić, jego siły wkrótce zostałyby pokonane.

- Możliwe - zgodziła się Ar'alani.

- Będziemy wiedzieć więcej, jeśli oprowadzisz nas po strefie bitwy.

Car'dasowi nagle zaschło w gardle.

- Po strefie...?

- Masz jakieś obiekcje? - zapytała Ar'alani.

- No cóż, przede wszystkim nie wiem nawet, gdzie to jest - odparł Car'das, grając na zwłokę i jednocześnie myśląc gorączkowo. Jeśli Ar'alani odnajdzie tam „Darkvenge”...

- Lokalizacja nie jest żadnym problemem - zapewniła go Ar'alani, unosząc w górę cienki cylinder o stożkowatym zakończeniu.

- Mam tutaj dane nawigacyjne „Springhawk” z ostatnich dwóch miesięcy.

Car'das z trudem powstrzymał się przed skrzywieniem ust. Wspaniale.

- Dobrze - rzekł.

- Ale czy nie powinniśmy powiadomić o tym komandora Mitth'raw'nuruodo?

- Wylecimy teraz właśnie dlatego, że nie chcę, aby komandor Mitth'raw'nuruodo dowiedział się o tym - wyjaśniła Ar'alani.

- Wysłałam go na patrol po najbliższych systemach. Powinniśmy przez ten czas spokojnie zbadać strefę walk i wrócić.

- Jej oczy zabłysły mocniej.

- I dopiero wówczas zapytamy go o jego wersję bitwy.

- Namierzyć pierwszy cel - powiedział Cbauth. Jego głos brzmiał głucho i posepnie, tłumiony przez niskie sklepienie blistera z bateriami.

- Ognia!

Jego dłonie bez pośpiechu uniosły się nad kontrolkami, światełka zamigotały i pierwsza z baterii turbolaserów dreadnaughta jeden oddała potężną, całoburtową salwę.

Stojący w drzwiach blistera Obi-Wan sięgnął w Moc. Po drugiej stronie dreadnaughta wyczuwał Lorinę Jinzler, która również odpaliła swoje turbolasery, a w tym samym czasie, po drugiej stronie Lotu Pozagalaktycznego, na dreadnaughtcie cztery, to samo robili Ma'ning i dwaj Durosianie.

- Rany - mruknął Anakin stojący u jego boku.

- To było... mocne.

- Tak - zgodził się Obi-Wan, uważnie obserwując Cbautha. To już trzecia więź bitewna mistrza Jedi dzisiaj, a napięcie związane z całą procedurą powinno zacząć dawać mu się we znaki. Jeśli jednak nawet tak było, Obi-Wan nie mógł zobaczyć tego w twarzy mistrza... ani wyczuć.

Zawsze uważał, że przynajmniej część niewzruszonej pewności siebie Cbautha to poza lub zdecydowane przecenianie własnych możliwości. Teraz jednak po raz pierwszy zaczął dopuszczać do siebie myśl, że być może ten człowiek naprawdę jest tak silny Mocą, jak twierdzi.

- Kontrola obserwatora: wszystkie salwy test-jeden w celu - odezwał się głos z komunikatora.

- Całkiem nieźle - skomentował Anakin.

- Bardzo dobrze, chciałeś chyba powiedzieć - poprawił go Obi-Wan.

- Czy ty także wyczuwasz rozkazy mistrza Cbautha, czy tylko obecność samej więzi?

- Nie wiem - odparł szczerze Anakin i Obi-Wan wyczuł, że chłopak zwiększył poziom koncentracji..

- Przygotowanie do drugiego celu - oznajmił Cbauth.

- Kontrola obserwatora gotowa.

- Ognia - rozkazał Cbauth.

I znów wskaźniki zamigotały.

- Cel drugi trafiony - doniósł obserwator.

- Jedno pudło.

- Co to jest pudło? - zapytał Anakin.

- To znaczy, że jeden ze strzałów nie trafił w cel - wyjaśnił Obi-Wan, marszcząc brwi. Było coś dziwnego w tym ostatnim strzale. Coś, czego nie potrafił do końca określić. Sięgnął znowu w Moc i tym razem koncentrując się na obrzeżach więzi, zamiast na jej jądrze, usiłował prześledzić anomalie.

- Przygotować się do trzeciego celu - polecił Cbaoth. - Ognia!

Teraz, kiedy wskaźniki znów zamigotały, Obi-Wan zobaczył, o co chodzi.

Cbaoth przygotował w sumie do tego ćwiczenia sześć celów. Obi-Wan zmusił się do wyczekania, aż wszystkie sześć uległo zniszczeniu, przy czym ostatnie cztery trafio

no z tą samą imponującą dokładnością, co pierwsze dwa.

Obserwator przedstawił końcowy raport i Cbaoth potrząśnięciem głowy przerwał więź. Przez kilka sekund po prostu siedział, mrugając szybko. Ostatnie nitki połączenia między nim a pozostałymi Jedi rozproszyły się. Wreszcie odetchnął głęboko i spojrzał na Obi-Wana i Anakina.

- Co o tym myślisz, młody Skywalkerze?

- Bardzo intensywne odczucie - ocenił Anakin.

- Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Kiedy będę mógł spróbować?

- Nie wcześniej, niż po zakończeniu szkolenia - odparł Cbaoth.

- Nie jest to coś, czym powinien się zabawiać padawan.

- Poradzę sobie, naprawdę - nalegał Anakin.

- Jestem bardzo silny Mocą... możesz spytać Obi-Wana.

- Dopiero kiedy będziesz Jedi - stanowczo odparł Cbaoth i lekko zmarszczył brwi, przenosząc wzrok na Obi-Wana.

- Masz do mnie pytanie, mistrzu Kenobi?

- Jeśli masz chwilę czasu, to tak - odparł Obi-Wan, usiłując zachować swobodny ton.

- Anakinie, wróć do reaktora numer 2 i sprawdź, czy są już gotowi, aby pomóc nam z tą wiązką prętów chłodzących. Dołączę do ciebie za kilka minut.

- Dobrze - odparł Anakin i lekko marszcząc brwi, wybiegł z pomieszczenia.

- Tak? - zapytał Cbaoth, nadając temu jednemu słowu wymiar wyzwania.

- Czy twoi padawani z dreadnaughta cztery są teraz w blisterach z działkami pod opieką mistrza Ma'Ninga? - zapytał Obi-Wan.

- Owszem - spokojnie odparł Cbaoth.

- Masz z tym jakiś problem?

- Właśnie powiedziałeś Anakinowi, że więź nie jest na umiejętności padawana.

Cbauth uśmiechnął się lekko.

- Uspokój się, mistrzu Kenobi - rzekł.

- Oczywiście, że moi padawani nie uczestniczyli czynnie w więzi.

- Więc po co w ogóle tam byli?

- Z tego samego powodu, dla którego twój padawan był tutaj

- prychnął Cbauth ze zniecierpliwieniem.

- Żeby mieli pojęcie, co to znaczy więź Jedi.

- Jak niby mieli się w tym zorientować? - zdziwił się Obi-Wan.

- Zaledwie rozpoczęli szkolenie. Nie mogą wiedzieć dużo więcej niż każdy, kto nie jest Jedi.

- I znów zapytam: czy to jakiś problem? - warknął Cbauth. Obi-Wan ostrożnie zaczerpnął tchu.

- Może być, jeśli te zaawansowane techniki staną się dla nich przynętą do czynienia zbyt szybkich i zbyt powierzchownych postępów.

Oczy Cbautha zwięziły się.

- Bądź ostrożny, mistrzu Kenobi - ostrzegł.

- Taka niecierpliwość to znak Ciemnej Strony. Nie pozwolę się oskarżać o wejście na tę ścieżkę ani o wprowadzanie na nią innych.

- Nie oskarżam cię o nic - sztywno odparł Obi-Wan.

- Z wyjątkiem, być może, zbyt dużych oczekiwań w stosunku do tych, których uczysz.

Cbauth prychnął.

- Lepiej mieć zbyt wysokie oczekiwania wobec padawanów, aniżeli zbyt niskie, bo wtedy nie czują oni potrzeby przekroczenia granic tego, co jest już znane i wiadome.

- A jeszcze lepiej znaleźć sobie realistyczne cele, które pozwalają na satysfakcję i wiarę w ich osiągnięcie - odparował Obi-Wan.

Cbauth zerwał się nagle.

- Nie pozwolę, aby moją filozofię nauczania ktoś kroił na kawałki, jakby to był interesujący okaz biologiczny - warknął.

- Zwłaszcza zaś ktoś tak młody jak ty.

- Wiek nie zawsze jest najlepszym wskaźnikiem wiedzy o Mocy - zauważył Obi Wan, z trudem zachowując spokój.

- Tak, ale doświadczenie nim jest - odpalił Cbauth.

- Kiedy wyszkolisz tylu Jedi co ja, przedyskutujemy to dokładniej. A na razie mam wrażenie, że twój padawan oczekuje cię w reaktorze czwartym.

Obi-Wan ostrożnie wypuścił powietrze.

- Doskonale, mistrzu Cbauth - rzekł.

- Do zobaczenia później. Wyszedł na korytarz i sięgnął w Moc, aby zachować spokój.

Wcale nie chciał znaleźć się na pokładzie Lotu Pozagalaktyczne-go, chociaż obaj z Windu niepokoiili się o Cbautha. Nie chciał i już - nawet za cenę odnalezienia Vergere.

Teraz jednak był zadowolony, że się tu zjawił. Kiedy dotrą do systemu Rixuli, ich ostatniego przystanku w przestrzeni Republiki, mógłby nawet spróbować skontaktować się z Windu i poprosić go o zgodę na pozostanie - wraz z Anakinem, naturalnie - na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego aż do końca misji.

Jednym z najważniejszych powodów, dla których do nauki w świątyni Jedi wybierano małe dzieci, było uchronienie ich przed przyswojeniem sobie niewłaściwego pojęcia o życiu Jedi i o tym, jak szybko mogą one osiągnąć swój cel w życiu. Gdyby wszyscy padawani Cbautha byli równie ostrożni jak Lorana Jinzler, nigdy zapewne nie musiałyby się zastanawiać nad tym tematem.

Obi-Wan był może niezbyt doświadczony w szkoleniu przyszłych Jedi, ale przynajmniej o tym problemie wiedział wszystko.

A jeśli żarliwość, jaką wyczuwał w dzieciach obserwujących więź bitewną, mogła być jakimkolwiek miernikiem, Jedi z Lotu Pozagalaktycznego będą mieli pełne ręce roboty, aby powstrzymać swoich padawanów przed niecierpliwym przekraczaniem granic, możliwe nawet, że i poza granicę Ciemnej Strony.

Nieważne, czy Cbauth zechce go wysłuchać, czy nie - musi przekazać mu tę informację. Zanim będzie za późno.

Linie gwiazdne rozplynęły się, a w iluminatorach mostka „Darkvenge” pojawiło się małe i odległe czerwone słońce.

- I co? - burknął Kav.

- Cierpliwości, wicelordzie - poradził mu Dorian, obserwując błękitnoskórego obcego, który stał przy sterze, spoglądając na niewielkie urządzenie trzymane w ręku. Mitth'raw'nuruodo zostawił im technika, który miał zaprowadzić ich do miejsca wskazanego przez komandora Chissów. W chwilę później technik skinął lekko głową i mruknął kilka słów do srebrzystego tłumacza TC-18.

- On mówi: jesteśmy na miejscu, wicelordzie Kav - zameldował robot melodyjnym głosem.

Kav pociągnął nosem.

- Gdziekolwiek to miejsce jest.

- „Miejsce” jest tam, gdzie komandor Mitth'raw'nuruodo życzył sobie, abyśmy się znaleźli - powiedział Dorian, nie starając się nawet ukryć obrzydzenia, jakie wzbudzał w nim Neimoidianin. Kav miał mnóstwo czasu, żeby się pogodzić ze zniszczeniem swoich sił zadaniowych, ale nadal był równie nerwowy i nieprzyjemny jak zawsze.

H!

A jeśli nie zacznie uważać na to, co mówi i robi, istnieje szansa, że sprowadzi zgubę na nich wszystkich.

- No więc gdzie to jest? - drażył Kav.

- Widzę dwa nadlatujące statki - odezwał się Neimoidianin przy czujnikach.

- Jeden krążownik Chissów, drugi jakiś mniejszy.

Technik Chiss powiedział coś w języku kupców sy bisti.

- To „Springhawk” i wahadłowiec dalekiego zasięgu - poinformował robot TC.

- Komandor Mitth'raw'nuruodo zamierza niezwłocznie wejść na pokład.

- Proszę powiedzieć komandorowi, że przygotowano dla niego ten sam port co zwykle - polecił Dorian.

W kilka minut później przez drzwi w grodzi wszedł Mitth'raw'nuruodo w towarzystwie dwóch wojowników Chissów.

- Witamy na pokładzie, komandorze - odezwał się Dorian, wstając z miejsca.

- Dziękuję - odparł Mitth'raw'nuruodo, obrzucając szybkim spojrzeniem sztywną postawę i skrzywioną twarz Kava.

- Doceniam, że tak szybko zastosowaliście się do moich poleceń.

- Jak już wspomniałem, pragniemy w pełni współpracować.

- Doskonale - pochwalił Mitth'raw'nuruodo.

- W takim razie życzę sobie, abyście zaczęli wyładowywać wasze robomyśliwce.

Kav podskoczył, jakby nagle dostał kopniaka.

- Co takiego? - syknął, wybałuszając oczy bardziej niż zwykle.

- Wasze robomyśliwce zostaną przetransportowane na tę asteroidę.

- Mitth'raw'nuruodo wskazał poprzez iluminator na mały, nieregularnego kształtu półksiężyc bladego światła na tle gwiazd.

- Będę również potrzebował usług tych, którzy programują ich zachowania bojowe.

Kav zagulgotał gardłowo i po raz pierwszy Dorianą naprawdę mu współczuł. Główną siłą okrętu wojennego Federacji Handlowej były jego myśliwce; zmodernizowane baterie laserów wzdłuż całej linii środkowej pierścienia zostały dodane raczej w przypływie natchnienia, niż jako rzeczywiste uzbrojenie. Pozbawienie okrętu jego robomyśliwców sprawi, że „Darkvenge” stanie się bezbronny jak frachtowiec, którym niegdyś był.

- To jest skandal - zaprotestował Neimoidianin.

- Nie wyrażę zgody na...

- Milcz - poradził mu Dorianą, nie spuszczając wzroku z Mitth'raw'nuruodo. Ten

Chiss albo chciał pozbawić „Darkvenge” wszelkiego uzbrojenia, albo...

- Masz jakiś plan związany z Lotem Pozagalaktycznym, prawda? - zwrócił się do komandora.

- Mam plan - zgodził się Mitth'raw'nuruodo - ale wprowadzenie go w życie zależy od tego, czy jesteście gotowi powiedzieć mi prawdę.

Dorianą poczuła w gardle nieprzyjemny, dławiący kłęb.

- Proszę to wyjaśnić.

- Przede wszystkim nie nazywasz się Stratis - oświadczył Mitth'raw'nuruodo.

- Nie działasz samodzielnie, lecz podlegasz komuś. A zagrożenie społeczne, jakie

stanowią Jedi, nie jest prawdziwym powodem, dla którego chcecie zniszczyć Lot Pozagalaktyczny.

- Uniósł brwi.

- Jeśli, naturalnie, rzeczywiście zamierzacie go zniszczyć.

- A jaki inny powód mielibyśmy, żeby się tu znaleźć? - obruszył się Doriana.

- Może po prostu chcieliście spotkać się z nim - podsunął Mitth'raw'nuruodo. - Jeśli Lot Pozagalaktyczny jest pełen wojowników, a nie kolonistów, wasze połączone siły miałyby zarówno siłę ognia, jak i personel niezbędny do podjęcia inwazji.

- Już raz mówiłem, że nie jesteśmy tu po to, aby podbijać.

- Wiem, co mi powiedziałaś - odparł Mitth'raw'nuruodo z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Teraz musisz tylko mnie przekonać, żebym ci uwierzył.

- Postaram się - przyrzekł Doriana. To będzie ryzykowne zadanie, wiedział o tym, ale od początku podejrzewał, że Mitth'raw'nuruodo w końcu sam dojdzie do tego wniosku. Najwyższy czas przekazać mu resztę prawdy.

- Mogę chyba odpowiedzieć na wszystkie pańskie pytania naraz. Jeśli pójdzie pan ze mną, przedstawię pana mojemu zwierzchnikowi.

- Z rozmysłem zmierzył wzrokiem Kava.

- Ty, wicelordzie, pozostaniesz tutaj.

Nie czekał na nieuchronne protesty Kava, lecz ruszył przez mostek, prowadząc

Mitth'raw'nuruodo z powrotem do biura, w którym po raz pierwszy rozmawiali dwa dni wcześniej. Wpuścił Chissa do środka i zamknął starannie drzwi; ze zdumieniem zauważył, że Mitth'raw'nuruodo pozostawił na zewnątrz swoją eskortę. Komandor był widocznie niezmiernie pewny swoich możliwości albo domyślił się, że sam Doriana nie jest dla niego żadnym zagrożeniem.

Przynajmniej na razie.

Specjalny holoprojektor Doriany został już podłączony do systemu łączności

„Darkvenge”. Wprowadził kod aktywacyjny i wskazał Mitth'raw'nuruodo fotel przy biurku.

- Pański pierwszy wniosek jest całkowicie poprawny - zaczął, w duchu modląc się, aby przekątnik

zdołał przepchnąć sygnał aż do systemu HoloNet w Republice.

- Naprawdę nazywam się Kinman Doriana. Uznałem, że powinienem zachować swoją tożsamość w tajemnicy przed załogą i współpracownikami wicelorda Kava.

- Odgrywasz zatem dwie sprzeczne wobec siebie role. Doriana wytrzeszczył oczy.

- Skąd pan wie?

- Przecież to oczywiste - odparł Mitth'raw'nuruodo.

- Kim są twoi dwaj zwierzchnicy?

- Moim oficjalnym zwierzchnikiem jest wielki kanclerz Palpatine, stojący na czele rządu Republiki - rzekł Doriana, dziwiąc się spokojnemu brzmieniu własnego głosu. Rzadko zdarzało mu się nawet myśleć o tych sprawach. Mówić o nich głośno do nieznanego sobie obcego wydawało się wręcz nie do pomyślenia. - Moim prawdziwym panem jest lord Sithów imieniem Darth Sidious.

- A lord Sithów to...

- Osoba, która sprzeciwia się Jedi i ich kontroli nad Republiką

- wyjaśnił Doriana.

- Rozumiem - rzekł Mitth'raw'nuruodo z bladym uśmiechem.

- Walka o władzę.

- W pewnym sensie - zgodził się Doriana.

- Ale na płaszczyźnie całkiem odmiennej od tej, na jakiej działają osoby takie jak pan czyja. W tej chwili najważniejsze jest, że lord Sidious ma dostęp do źródeł informacji, których nie posiadają Jedi.

- I co te źródła mu mówią?

Doriana wyprostował się.

- Nadchodzi wielka inwazja - oznajmił.

- Potężne siły szturmowe mrocznych okrętów, ciemnych postaci i broni o ogromnej mocy, oparte na technologiach organicznych, o jakich wcześniej nie słyszano. Uważamy, że ci Przybysze z Daleka, jak ich nazywamy, mają już bazę na odległym krańcu galaktyki, a ich zwiadowcy szukają informacji o światach i ludach, które podbijają.

- Historie o tajemniczych najeźdźcach są równie wygodne, co trudne do zignorowania - zauważył

Mitth'raw'nuruodo.

- Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz?

Doriana ruchem głowy wskazał drzwi.

- Dlatego, że wicelord Kav i jego wspólnicy nic nie wiedzą - odparł.

- Podobnie zresztą jak cała Republika. Jeszcze nie.

- A kiedy Darth Sidious im to powie?

- Kiedy chaos panujący w Republice uda mu się zmienić w porządek - odparł Doriana.

- Kiedy zbudujemy armię i flotę zdolną do pokonania inwazji. Ogłoszenie tej informacji wcześniej spowoduje panikę, a to może doprowadzić nas do katastrofy.

- A gdzie w tym wszystkim mieści się Lot Pozagalaktyczny?

- Jak już wspomniałem, Przybysze z Daleka prawdopodobnie wciąż zbierają informacje - odparł Doriana.

- Póki co nie mamy żadnych powodów, aby sądzić, że wiedzą o istnieniu Republiki.

- Poczul ucisk w gardle.

- To nie całkiem prawda - poprawił się niechętnie.

- Jedna z Jedi, istota imieniem Vergere, znikła w tych okolicach jakiś czas temu. To jeden z powodów wyprawy Lotu Pozagalaktycznego: dowiedzieć się, co się z nią stało.

- Rozumiem.

- Mitth'raw'nuruodo powoli pokiwał głową.

- Jeżeli pojedynczy więzień może wyjawić najwyżej ogólne fakty dotyczące miejsca swojego pochodzenia, to cały okręt powinien dostarczyć kompletu informacji potrzebnych do udanej inwazji.

- Właśnie - podchwycił Doriana.

- Nie wspominając już o wszelkich danych dotyczących technologii, którą będą mogli zbadać. Jeśli Lot Pozagalaktyczny wpadnie w ich sidła, możemy stanąć w obliczu ataku na długo przedtem, nim będziemy gotowi.

- A Jedi tego nie rozumieją?

- Jedi uważają się za władców galaktyki - z goryczą odparł Doriana.

- Zwłaszcza zaś ich przywódca na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego, niejaki Jorus Cbaoth. Nawet gdyby wiedział o Przybyszach z Daleka, chyba by go to zbytnio nie obeszło.

Nad holoprojektorem pojawiła się znajoma, mżąca sylwetka postaci w kapturze. Doriana zauważył, że hologram był nieco bardziej postrzępiony niż zwykle, ale połączenie wydawało się jakby stabilniejsze. Sidious musiał być gdzieś znacznie bliżej niż w zwykłych kryjówkach na Coruscant.

- Raport - zażądał lord Sith. Jego niewidoczne oczy spoczęły nagle na postaci Mitth'raw'nuruodo, a kąciki ust lorda opadły jeszcze niżej.

- Kto to jest? - zapytał.

- To komandor Mitth'raw'nuruodo z Ekspansywnej Floty Obronnej Chissów - wyjaśnił Doriana, stając za Mitth'raw'nuruodo, ale tak, żeby go było widać.

- Obawiam się, mój panie, że w swojej misji napotkaliśmy na pewną przeszkodę.

- Nie chcę słyszeć o przeszkodach, mistrzu Doriana - powiedział lord Sith, a jego chropawy głos przybrał złowróźbne tony.

- Tak jest, panie - odrzekł Doriana, usiłując zachować spokój. Nawet w odległości setek lat świetlnych czuł na gardle uchwyt Mocy Sidiousa.

- Proszę pozwolić, że wyjaśnię.

Zdał Sidiousowi relację z jednostronnej bitwy z Chissami. Mniej więcej w połowie wyjaśnienia Sidious odwrócił wzrok od niego i spojrział na Mitth'raw'nuruodo.

- Imponujące - rzekł, kiedy Doriana zakończył opowieść.

- A więc ocalał tylko jeden wasz statek?

Doriana skinął głową.

- I to tylko dlatego, że komandor Mitth'raw'nuruodo postanowił, iż pozostanie on nietknięty - dodał.

- Imponujące - powtórzył Sidious.

- Powiedz mi, komandorze Mitth'raw'nuruodo, czy jesteś typowym egzemplarzem swojej rasy?

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, lordzie Sidious - spokojnie odparł Mitth'raw'nuruodo.

- Mogę powiedzieć jedynie, że w historii mojego ludu jestem najmłodszy spośród tych, którzy

kiedykolwiek piastowali stanowisko komandora sił zbrojnych.

- Mogę zrozumieć, dlaczego - powiedział Sidious i lekki uśmiech rozjaśnił wreszcie jego posępną twarz.

- Z twojej obecności tutaj wnoszę, że Dorianą wyjaśnił już, dlaczego trzeba powstrzymać Lot Pozagalaktyczny, zanim minie wasze terytorium?

- Istotnie - potwierdził Mitth'raw'nuruodo.

- Czy macie dowód na to zbliżające się zagrożenie?

- Mam raporty - wyjaśnił Sidious. Jeśli nawet był urażony, że Mitth'raw'nuruodo ośmielił się kwestionować jego słowa, nie okazał tego.

- Dorianą przedstawi ci je, jeśli chcesz. Przyjmując, że uda mu się ciebie przekonać... jaka będzie twoja odpowiedź?

Oczy Mitth'raw'nuruodo skierowały się na Dorianę.

- Przyjmując, że uda mu się mnie przekonać, zgodzę się na życzenie Doriany i przechwycę oraz zatrzymam Lot Pozagalaktyczny.

- Doskonale - pochwalił Sidious.

- Ale muszę cię ostrzec. Jedi niełatwo godzą się z porażką, mają też moc pokonywania ogromnych odległości, aby dotykać i manipulować umysłami innych.

Nie możesz dopuścić, aby dowiedzieli się o twoim ataku, zanim się zaczniesz.

- Rozumiem - rzekł Mitth'raw'nuruodo.

- Powiedz mi, czy zdolność dotykania umysłów innych istot działa również w odwrotnym kierunku? Jeśli na przykład moje przekonanie o potrzebie powrotu Jedi do domu będzie wystarczająco silne, to czy w ten sposób będę w stanie wpłynąć na ich myśli i decyzje?

- Owszem, Jedi wyczują twoje przekonanie - zgodził się Sidious, a kąciki jego ust opadły jeszcze niżej.

- Ale nie oczekuj, że zaczną działać zgodnie z nim. Mistrz Cbauth w żadnym wypadku nie wróci do Republiki. Natomiast zasugerowanie mu takiej możliwości pozbawi cię jedynej szansy ataku z zaskoczenia.

- Możliwe - skinął głową Mitth'raw'nuruodo.

- Choć dla kogoś, kto potrafi dotknąć umysłów innych, koncepcja zaskoczenia jest w najlepszym razie mało realna.

- Dlatego Doriana zaproponował użycie robomyśliwców w głównym ataku - zauważył Sidious.

- Jednak wraz z mocą Jedi pojawiają się również słabości. W kłębowisku tysięcy umysłów zgromadzonych na pokładzie Lotu Międzygalaktycznego nawet wrażliwość

Jedi zostanie stępiona. A kiedy te same tysiące ludzi zaczną umierać w boju... - Rozumiem.

- Sidious na chwilę obnażył zęby w uśmiechu- ...to utrudnienie jeszcze się zwięk - Okazało się to jednak zbyt niebezpieczne dla przechodniów i niewinnych istot, szy. które przypadkiem dostały się w zasięg pola - ciągnął komandor.

- Rozumiem - powtórzył Mitth'raw'nuruodo.

- Dziękuję za poświęcony mi czas, lordzie Sidious.

- Oczekuję zatem na relację z twojego zwycięstwa - powiedział Sidious, skłaniając

głowę. Spojrzał raz jeszcze na Dorianę, a obraz zamigotał i znikł.

Mitth'raw'nuruodo siedział przez dłuższą chwilę bez słowa, a jego jarzące się oczy miały zamyślony wyraz.

- Potrzebuję pełnych danych technicznych na temat Lotu Pozagalaktycznego i jego składowych dreadnaughtów - rzekł wreszcie.

- Liczę na to, że masz aktualne informacje.

- Z listą pasażerów włącznie, jeśli to konieczne - zapewnił go Doriana.

- A teraz, skoro już wiesz, o ile silniejsi są Jedi w działaniu na żywych strzelców,

czy mam odwołać rozładunek robomyśliwców?

- Naturalnie, że nie - odparł Mitth'raw'nuruodo z pewnym zaskoczeniem.

- I mam nadzieję, że rozładunek zakończy się przed wieczorem. Potrzebuję rów

niez dwóch waszych droidek oraz czterech robotów bojowych. Spakujcie je i załadujcie

na mój wahadłowiec dalekiego zasięgu, który przetransportuje je do bazy. Mam nadzie

ję, że te sześć robotów można kontrolować za pomocą czegoś bardziej... przenośnego niż komputer pokładowy?

- Owszem, istnieje lokalny system, który może obsłużyć po dwieście robotów jednocześnie - odparł Dorian, krzywiąc się lekko. Kav był już wystarczająco wściekły na niego o przekazanie Chissom robomyśliciów do analizy. Nie będzie wcale szczęśliwszy, kiedy się dowie, że straci również roboty bojowe.
 - Zapakuję taki jeden razem z droidekami.
 - Dobrze - przystał Mitth'raw'nuruodo.
 - Rozumiem, że droideki mają pola siłowe?
 - Zgadza się - odrzekł Dorian.
 - Ale jeśli masz nadzieję na zaadaptowanie ich tarcz do użytkowania przez żołnierzy, raczej bym tego nie polecał. Chodzi głównie o wysoki współczynnik promieniowania oraz wysokiej częstotliwości pola magnetyczne, które bywają bardzo nieprzyjemne dla żywych istot.
 - Dzięki za troskę - powiedział Mitth'raw'nuruodo, lekko skłaniając głowę.
 - Przypadkiem jestem dość obeznany z takimi urządzeniami, choć zwykle stosowaliśmy je przy odwróconej polaryzacji.
 - Odwrócona polaryzacja?
 - Dorian zmarszczył brwi.
 - Czy to oznacza pole odchylające skierowane do wewnątrz?
 - Owszem i stosujemy je jako pułapki na intruzów - wyjaśnił Mitth'raw'nuruodo.
 - Niejeden nieostrożny rabuś spłonął doszczętnie, usiłując zastrzelić strażnika lub właściciela wewnątrz domu.
- Dorian skrzywił się.
- Stosowania tych urządzeń zaprzestano wiele dziesięcioleci temu. - Wstał.
 - Muszę już iść. Wrócę później sprawdzić, czy moje rozkazy zostały wykonane.

R O Z D Z I A Ł 19

- Czternaście statków - zauważyła admirał Ar'alani, wodząc płonącymi oczami po rozciągającym się przed nią polu szczątków.
- No, może trzynaście, jeśli te dwa kawałki po prawej należą do jednego okrętu, który rozpadł się na dwie części, zanim eksplodował.
- Tak, to mniej więcej tyle - zgodził się Car'das, czując ogromną ulgę. Piętnasty statek, nienaruszony okręt bojowy Federacji Handlowej znikł z pola widzenia. Miał nadzieję, że to Thrawn go gdzieś usunął, a nie, że sam uciekł.
- Oczywiście, byłem tylko obserwatorem - przypomniał im.
- Nie miałem dostępu do informacji z czujników.
- Znaleźliśmy też ogromne ilości takich szczątków - ciągnęła Ar'alani, wskazując na zwęglone części dwóch robomyśliwców zeglujących właśnie obok owiewki mostka. - Są chyba za małe na załogowe.
- To mechaniczne urządzenia zwane robotami - wyjaśnił Car'das.
- Te tutaj nazywamy robomyśliwcami. Thrass stęknął cicho.
- Jeśli to pole bitwy ma świadczyć o ich zdolnościach bojowych, to dziękuję bardzo.
- Nie daj się zwieść zdolnościom militarnym twojego brata, syndyku Mitth'ras'safis - ostrzegła go Ar'alani.
- Gdyby te roboty były tak bezużyteczne, jak twierdzisz, nikt nie poświęcałby czasu i siły, aby je zbudować.
- Widziałem raporty o ich działaniach w walce - potwierdził Car'das.
- Dla większości przeciwników są naprawdę niepokonane.
- A jednak nie widzę nigdzie dowodu, że ta broń lub jej właściciele zaatakowali pierwsi.
- Mogę tylko powtórzyć to, co już powiedziałem, pani admirał - rzekł Car'das.
- Sam akt wysłania myśliwców to otwarta agresja. Komandor Mitth'raw'nuruodo odpowiedział w jedyne sposób, w jaki mógł chronić swoje siły.

- Być może - uznała Ar'alani.

- Ale o tym zdecyduje trybunał wojskowy.

Car'das poczuł ucisk w żołądku.

- Chcecie mu przedstawić zarzuty?

- O tym także zdecyduje trybunał - odparł Thrass.

- Musimy jednak najpierw zbadać zapisy z bitwy i przesłuchać obecnych tam wojowników.

- Obecnych w tej bitwie, ale i podczas poprzedniej napaści na Vagaarich - dodała Ar'alani.

- Rozumiem - rzekł Car'das, a serce przyspieszyło mu nieco. Właśnie pojawiła się okazja, na którą czekał.

- Skoro już o Vagaari mowa... moi koledzy i ja mieliśmy nadzieję, że uda się wkrótce rozwiązać kwestię skarbu, który nam obiecano, abyśmy mogli wyjechać.

Ar'alani uniosła brwi.

- Teraz nagle zaczęło wam się spieszyć do domu?

- Jesteśmy kupcami - przypomniał jej Car'das.

- Odbyliśmy bardzo interesującą i pożyteczną wycieczkę, ale towar w naszych ładowniach już dawno powinien być dostarczony.

- Towar, który chętnie byście uzupełnili skradzionym przez piratów łupem.

- Istotnie, ale tylko dlatego, że nasi klienci będą się domagać kar umownych za spóźnioną dostawę - wyjaśnił Car'das.

- Nie damy rady ich zapłacić bez rzeczy, których zażądał kapitan Quennto.

- Powinniście byli pomyśleć o tym, zanim zdecydowaliście się zostać - zwrócił mu uwagę Thrass.

- W każdym razie kwestia skarbu musi poczekać, aż trybunał podejmie decyzję. Jeśli okaże się, że mój brat naruszył militarną doktrynę Chissów, nie będzie miał prawa bronić waszego stanowiska w tej sprawie.

- Rozumiem - poważnie odparł Car'das.

- Jak długo może potrwać takie przesłuchanie?

- To zależy od tego, jak szybko zdołam zebrać informacje na temat obu walk - odparła Ar'alani.

- Dopiero kiedy to uczynię, zażądam posiedzenia trybunału.

Innymi słowy, tygodnie. Może nawet miesiące.

- Ajaki będzie do tego czasu status komandora Mitth'raw'nuruodo?

- Będę nadzorowała jego działania i sprawdzała wszystkie jego rozkazy - wyjaśniła admirał. Leciutko skinęła głową w stronę Thrassa.

- Na żądanie syndyka Mitth'ras'safisa.

Car'das spojrział na Thrassa, czując nieprzyjemne mrowienie w karku. Po raz kolejny analiza Thrawna okazała się celna aż do bólu.

- Zrobisz to własnemu bratu?

Mięśnie na policzkach Thrassa napięły się, ale to Ar'alani udzieliła odpowiedzi:

- Ani syndyk Mitth'ras'sans, ani ja nie chcemy wyrządzić komandorowi Mitth'raw'nuruodo żadnej krzywdy - powiedziała spokojnie.

- Pragniemy jedynie chronić go przed własną nadgorliwością i nadmiarem zdolności.

- Nadmiar zdolności? - prychnął Car'das.

- To coś nowego.

- Jest uzdolnionym taktykiem i dowódcą - stwierdziła Ar'alani - ale bez odpowiednich ograniczeń w końcu zabrniesz za daleko i skończysz na wygnaniu. A wtedy co mu przyjdzie z tych zdolności?

Pani admirał odwróciła wzrok.

- Trzeba pamiętać, że nie wolno nam wtrącać się w życie innych istot, na dobre czy na złe - dodała.

- Nie możemy polegać na współczuciu, jakie wzbudzają w nas ofiary tyranii.

- Więc zaufajcie Mitth'raw'nuruodo - powiedział z naciskiem Car'das.

- Oboje przyznajecie, że jest uzdolnionym taktykiem. Jest przy tym przekonany, że Vagaari stanowią zagrożenie, któremu i tak będziecie musieli stawić czoło. Im dłużej będziecie czekać... im więcej pozwolicie im zrabować obcych technologii i broni... tym staną się silniejsi.

- No cóż, a więc wtedy stawimy im czoło - stanowczo odparł Thrass.

- Jako syndyk Ósmego Rodu Panującego nie mogę już tego dłużej słuchać.

- Wskazał palcem na szczątki widoczne przez iluminator.

- A teraz opisz nam tę bitwę.

Było pół godziny po zmianie wachty i mesa D-Cztery pełna była ludzi. Lorana weszła do środka, stanęła przy drzwiach, aby nie przeszkadzać kręcącym się tam i z powrotem klientom i rozejrzała się za mistrzem Jedi Ma'Ningiem.

Nigdzie go jednak nie było widać. Jeszcze raz powiodła wzrokiem po sali i odwróciła się w stronę wyjścia.

- Hej! - na tle przyciszzonego szmeru rozmów zabrzmiał nagle dziecięcy głos.

- Hej! Jedi Lorana!

Jorad Pressor wywijał widelcem nad głową, by zwrócić jej uwagę. Jego rodzice jednak siedzieli nieruchomo, pilnie wpatrując się w talerze i nie przerywając posiłku. Ignorowali ją myślnie... i nietrudno było się domyślić, dlaczego. Dwa dni temu mistrz Ma'Ning na chwilę przejął warsztat serwisu hipernapędu, aby pokazać go kilkorgu młodym kandydatom Jedi i jeden z maluchów zdołał rozsypać kontener odwrotnych sprzęgieł po całej podłodze. Pressor pokłócił się o to z Ma'Ningiem, aż musiał interweniować Cbaoth i obciął Pressorowi dwudniową wypłatę.

Chyba lepiej zostawić ich w spokoju, dopóki nie zapomną sprawie, zdecydowała Lorana. Pomachała ręką do Jorada i uśmiechnęła się, po czym zawróciła ku wyjściu.

I omal nie wpadła na Chasa Uliara, który właśnie wchodził do mesy.

- Podglądamy maluczkich? - zapytał, nie próbując nawet ukryć chłodu w głosie.

- Szukam mistrza Ma'Ninga - wyjaśniła, zdecydowana nie reagować na te otwarte oznaki wrogości. Cbaoth chciał nawet umieścić Uliara w areszcie D-Cztery za próbę wtargnięcia do szkoły kilka dni temu, i trzeba było całego taktu i dyplomacji kapitana Pakmillu, żeby odwieść go od tego zamiaru.

- Widziałeś go może?

- O, nie, on tu nigdy nie przychodzi - odparł Uliar.

- Oficerowie i inni ważni ludzie jadają w ładniejszej mesie.

Oczy Lorany powędrowały z powrotem w kierunku wnętrza, tym razem koncentrując się na wystroju. Wydawał jej się całkiem normalny.

- Jestem pewien, że wygląda dokładnie tak jak te, które macie na dreadnaughtcie jeden - ciągnął Uliar.

- Ale mogłaby być jeszcze bardziej interesująca, gdyby Jedi mieli wszyscy razem odrobinę zdolności twórczego myślenia i stylu.

- A co twórcze myślenie czy styl mają z tym wspólnego? - zapytała.

Przez chwilę wpatrywał się w jej oczy, jakby w poszukiwaniu fałszu. Zaciśnął wargi.

- Chyba rzeczywiście tego nie wiesz - rzekł z urazą.

- Chcieliśmy przerobić tę mesę na coś w rodzaju knajpy z podziemi Coruscant...

- wiesz, ni to dziura, ni to wielkie pretensje do elegancji. Ludzie stacjonujący na dziobie już przerobili swoje mesy na różne sposoby.

- I co?

- No i ten twój sztywny jak permabeton mistrz Ma'Ning nie pozwala - kwaśno odparł Uliar.

- Plecie głupstwa, że niby dekoracja w prymitywnym stylu może wyzwać buntownicze postawy.

Lorana skrzywiła się. Teraz, kiedy o tym wspomniał, rzeczywiście przypomniła sobie tę debatę. Ona także nie widziała w niej większego sensu.

- Mogę z nim porozmawiać - zaproponowała.

- Postaram się przekonać go, żeby zmienił zdanie. Masz jakiś pomysł, gdzie on może być?

- Możesz spróbować w mesie dla starszych oficerów - podsunął Uliar i Lorana uznała, że wyczuwa w jego wrogości niewielkie szczeliny.

- Słyszałem, że spędza tam mnóstwo czasu, kiedy pomieszczenie nie jest potrzebne.

Znalazła Ma'Ninga siedzącego samotnie w sali konferencyjnej, zagłębianego w kontemplacji przepływającego przed iluminatorami nieba.

- Mistrzu Ma'Ning - zawołała, gdy drzwi się za nią zasunęły.

- Jedi Jinzler - odpowiedział, nie oglądając się.

- Co cię sprowadza na D-cztery?

- Twój komunikator nie odpowiadał - wyjaśniła - a mistrz Cbaoth kazał mi cię odnaleźć.

- Medytowałem - wyjaśnił Ma'Ning.
 - W takich chwilach zawsze wyłączam komunikator.
 - Rozumiem - odparła Lorana, przyglądając mu się uważnie. Podeszła bliżej. Zachowanie mistrza wydawało się dziwnie nerwowe. - Czy wszystko w porządku? - zapytała.
 - Nie jestem pewien - odparł.
 - Powiedz mi, co sądzisz o tym, co robi mistrz Cbaoth?
- Pytanie zaskoczyło ją kompletnie.
- O czym ty mówisz?
 - Czy wiedziałaś, że zawiesił prawa sądu komandorskiego do rozsądzania sporów?
 - Nie - odpowiedziała.
 - A jakiego systemu zamierza teraz używać?
 - Nas - wyjaśnił Ma'Ning.
 - Jeśli dobrze zrozumiałem, dąży do tego, abyśmy przejęli nadzór nad wszelkimi aspektami życia na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego.
 - Choćby nad tym, jak ludzie chcą udekorować swoje jadalnie? Ma'Ning skrzywił się.
 - Rozmawiałaś z Chasem Uliarem albo z jego komitetem, tak?
 - Z Uliarem - potwierdziła Lorana, marszcząc brwi.
 - Nie wiedziałam, że ma komitet.
 - Och, to tylko grupa ludzi, którzy nie lubią, kiedy im się rozkazuje - odparł Ma'Ning, lekceważąco machając ręką.
 - Głównie technicy z kompleksu reaktora i wsparcia technicznego. Ich skargi są zazwyczaj banalne, tak jak ta cała sprawa z mesą.
 - Z całym szacunkiem, mistrzu Ma'Ning, mieszanie się Jedi w takie błahostki jak wystrój poszczególnych sal wydaje mi się nieco śmieszne - zauważyła Lorana.
 - Dla mnie to też żaden argument - przyznał Ma'Ning.
 - Ale mistrz Cbaoth był niewzruszony. Powiedział, że doprowadzenie do tego, żeby mesa przypominała gniazdo kryminalistów, zachęci do postaw społecznych, na jakie nie możemy sobie

pozwolić w tak zagęszczonym społeczeństwie. Problem w tym, że wyczuwam narastające w ludziach zniechęcenie do nas jako do grupy. Obawiam się, że mistrz Cbaoth zbyt daleko się posuwa w tak zwanych reformach.

- A jednak trudno się nie zgodzić z jego podstawową przesłanką

- zauważyła Lorana. Czowała się bardzo niepewnie w tej rozmowie za plecami Cbaotha.

- Wszyscy silni Mocą powinni lepiej umieć wydawać sprawiedliwe wyroki i zachowywać lojalność. Trudno mi jednak dostrzec związek pomiędzy tym a sposobem, w jaki członkowie załogi mogą dekorować swoje mesy.

- Właśnie - zgodził się Ma'Ning.

- Ale jakoś nie mogę wytłumaczyć mu tej różnicy. Może jeśli ty mu to wytłumaczysz, zrozumie lepiej?

Lorana skrzywiła się. Najpierw Uliar kazał jej pogadać z Ma'Ningiem, teraz Ma'Ning prosi, aby porozmawiała z Cbaothem. Czyżby ktoś, korzystając z chwili jej nieuwagi, wyznaczył ją oficjalnym mediatorem w kwestiach zakonu Jedi?

- Wątpię, czy wysłucha mnie choć trochę uważniej niż ciebie - odparła.

- Ale mogę spróbować.

- Tylko o to proszę - rzekł Ma'Ning z wyraźną ulgą.

- I nie bądź taka skromna. Między tobą a mistrzem Cbaothem istnieje szczególna więź, łącząca mistrza i padawanę, więź, która może sięgać głębiej niż jakiegokolwiek inne więzi. Możesz być jedyną osobą na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego, której zechce słuchać.

- Nie jestem wcale pewna - mruknęła Lorana.

- Ale zrobię co się da.

- Dziękuję - rzekł Ma'Ning. - Mówiłaś, że mistrz Cbaoth chce się ze mną skontaktować?

Lorana przytaknęła.

- Chce, żeby wszyscy mistrzowie Jedi spotkali się dzisiaj o ósmej w sali konferencyjnej na dreadnaughcie jeden.

- Pewnie kolejne reformy - mruknął pod nosem Ma'Ning i wstał.

- Porozmawiasz z nim wkrótce?

- Jeśli uda mi się go zatrzymać na dość długo - obiecała Lorana.

- A tymczasem co mam powiedzieć Uliarowi?

Ma'Ning westchnął.

- Powiedz, że się zastanowię. Może mistrz Cbaoth tak się pograży w innych zajęciach, że nawet nie zauważy, jak zmieniają się jadalnie Lotu Pozagalaktycznego.

Lorana spojrzała na hiperprzestrzenne niebo.

- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć. Ma'Ning smutno pokręcił głową.

- Mnie też nie.

To był długi i męczący dzień, ale ostatnia grupa robomyśliciów została wreszcie rozładowana i rozstawiona na nierównej powierzchni asteroidy. Burczenie w żołądku przypomniało Dorianie, że jest późno, uznał więc, że czas skierować się do jadalni najwyższych oficerów „Darkvenge” i poszukać czegoś do jedzenia.

Kav już tam był; siedział samotnie przy jednym z narożnych stołów z wypisanym na twarzy ostrzeżeniem, by nawet nie próbowano mu przeszkadzać. Doriana pojął aluzję i dał znak robotowi z obsługi, aby podał mu posiłek w przeciwległym kącie sali. Wicelord przez cały dzień afiszował się z morderczym humorem, co było wręcz śmieszne u rasy tak tchórzliwej jak Neimoidianie. Ale nikt na pokładzie nie odważył się go wyśmiewać, więc Doriana także nie zamierzał próbować. Nawet tchórza można sprowokować do gwałtownej reakcji, jeśli się posunie za daleko.

Był już w połowie posiłku, kiedy Kav nagle wstał i podszedł do jego stołu.

- Ten Mitthrawdo... - zagadnął bez wstępów i usiadł naprzeciwko Doriany.

- Uważasz go za geniusza, co?

- Uważam go za bardzo skutecznego dowódcę i taktyka - sprostował Doriana, mierząc go wzrokiem. A temu co się znów stało?

- Za jego talenty w dziedzinie sztuki i filozofii nie mogę ręczyć.

- Zabawne - burknął Kav. - Ale on nawet nie jest dobrym taktykiem, tylko idiotą. - Wyciągnął z fałd szaty notatnik i rzucił na stół przed nosem Doriany.

- Zobacz, jak kazał przeprogramować moje myśliwce.

Doriana spojrzał na ekran notatnika, pokryty symbolami języka robotów.

- Nie znam się na języku technicznym - przyznał.

- Może przetłumaczysz mi to na basie?

Kav prychnął wzgardliwie.

- Zaprogramował myśliwce na atak z bliskiej odległości. Doriana zmarszczył brwi i znów spojrzał na notatnik.

- Z jak bliskiej?

- Wydaje mi się, że chodzi o „ślizg po pancerzu” - rzekł Kav, stukając palcem w ekran.

- Główny programista poinformował mnie, że atak ma być przeprowadzony z odległości nie większej niż pięć metrów od pancerza.

Doriana w zadumie potarł policzek. Z taktycznego punktu widzenia tak bliskie podejście do nieprzyjacielskiego statku było dobrym posunięciem. Stawiało on atakującego poza zasięgiem dział bliskiej obrony ofiary, a jednocześnie pozwalało na bardzo precyzyjne celowanie, umożliwiające niszczenie delikatnej aparatury i rozszczelnianie płyt kadłuba.

Cały problem polegał jednak na tym, aby dostać się poza zasięg tych dział.

- Czyżby nikt nie powiedział komandorowi, że dreadnaughty zostały wyposażone w doskonały system bliskiej obrony? - zainteresował się Doriana.

- Programiści uważali, że to byłoby niestosowne z ich strony.

- Ty też go nie poinformowałeś?

- Ja? - zdziwił się Kav z niewinną miną.

- Chyba ty najlepiej ze wszystkich powinieneś wiedzieć, co to znaczy kwestionować decyzje geniusza militarnego.

Doriana głęboko zaczerpnął tchu.

- Wicelordzie, przypominam ci jeszcze raz o ostatecznym celu naszego pobytu w tym miejscu. Zostaliśmy wysłani, aby zniszczyć Lot Pozagalaktyczny. Bez pomocy Mitth'raw'nuruodo nie mamy na to szans.

- Istota tak genialna powinna jednak rozumieć odczyty techniczne - beznamytnie zauważył Kav.

- Może ma taki plan, aby obrzucić Lot Pozagalaktyczny naszymi myśliwcami, a potem, przy akompaniamencie zgrzytu rozrywanego metalu, zmusić kapitana Pakmillu do kapitulacji?

Doriana spojrzał na niego twardo, zde gustowany tą żalosną parodią dobrego dowódcy.

- Rozumiem, że interesuje cię wyłącznie własna pycha - rzekł.
- Nie obchodzi cię nawet, że Darth Sidious zabije nas obu, jeśli znajdziesz choć jeden drobiazg, w którym uznasz się za lepszego od Mitth'raw'nuruodo.
- Uspokój się - odparł Kav, wygodnie rozsiadając się na stołku.
- Nie widzę powodu, dla którego pycha mogłaby przeszkodzić; w zwycięstwie.
- Wyjaśnij mi to.
- Nie powiedziałem Mitthrawdo o tej wadze jego planu - powiedział wicelord ze złośliwą satysfakcją.
- Poinstruowałem za to szefa programistów, aby stworzył dla myśliwców wtórny wzorzec i ataku, który zostanie nałożony na pierwotny plan Mitthrawdo. Kiedy straci pierwszą falę myśliwców w tym bezsensownym bliskim ataku, przejmę dowodzenie i przejdę na skuteczniejszą linię obrony.

Doriana przemyślał to sobie. Chyba mogłoby mu się udać.

- Ale stracimy tak czy owak całą falę w tym ataku - przypomniał Kavowi. - Nie
- wspominając o elemencie zaskoczenia.
- Jakiego zaskoczenia? - prychnął Kav.
 - Jak tylko zobaczą „Darkvenge”, będą wiedzieli, że muszą się przygotować na robomyśliwce.

Doriana złączył koniuszki palców. Przecież nawet neimoidiański wicelord nie może być aż tak tępy.

- A nie przyszło ci do głowy, że Mitth'raw'nuruodo mógł umyślnie wyładować myśliwce, żeby kapitan Pakmillu nie zobaczył „Darkvenge”? - podsunął.
- Że może w ogóle nie zamierza dopuścić „Darkvenge” do udziału w bitwie?

Kavovi najwyraźniej nie przyszło to do głowy.

- Przecież to idiotyczne - rzekł, wytrzeszczając oczy.
- Żaden dowódca wojskowy nie odmówi wprowadzenia na pole bitwy okrętu wojennego o takiej sile rażenia.
- Chyba że taki dowódca, który widział już, jak łatwo można go zniszczyć - nie mógł się powstrzymać Doriana.

Kav zeszytniał.

- Widzę, że ten Mitthrawdo cię zaczarował, komandorze - rzekł sucho.

- Ale nie daj się oszukać jego eleganckim manierom i kulturalnemu głosowi. Wciąż jest prymitywnym dzikusiem... i nieważne, jak to się skończy, tak czy owak będzie musiał umrzeć.

Doriana westchnął. Niestety, sam również już doszedł do tego wniosku. Mitth'raw'nuruodo ma jakiś związek z Car'dasem i jego towarzyszami, więc łatwo mógłby nawiązać kontakt z Republiką. Dopóki nie znikną wszyscy świadkowie, że Darth Sidious zdradził Lot Pozagalaktyczny, misja nie będzie skończona.

- Na razie jednak jest nam potrzebny żywy - odparł.

- Jak załatwiłeś sprawę przejścia na ten drugi poziom oprogramowania?

- Będę miał nad tym kontrolę przekaźnikową - wyjaśnił Kav.

- Kiedy klęska Mitthrawdo będzie już oczywista, wezmę myśliwce z powrotem pod swoje dowództwo.

- Przekrzywił głowę.

- A może znów ci coś nie pasuje?

Doriana zaprzeczył ruchem głowy.

- Musimy tylko zapewnić sobie miejsce na jego mostku, kiedy walka się zacznie.

- A to już zostawiam tobie - powiedział Kav.

- W innych sprawach ten Chiss też jest idiotą. Czy wiesz, że wziął dwadzieścia moich robomyśliwców i połączył po dwa, z dodatkowym zbiornikiem paliwa pośrodku?

- Ciekawe, co mu to da? - zadumał się Doriana, marszcząc brwi.

- Te myśliwce pracują na paliwie stałym.

- Wyobrażam sobie, że zainspirowała go konstrukcja Lotu Pozagalaktycznego - z pogardą rzekł Kav.

- Chyba żałuje, że te jego zbiorniki są zbyt małe, aby wokół każdego zmieściło się po sześć myśliwców.

- Jesteś pewien, że to zbiorniki paliwa?

- A cóż by innego? - odparował Kav, wstającemu stołu.

- Miłego wieczoru, komandorze.

Neimoidianin odszedł, a Doriana wrócił do przerwanego posiłku. Jednak nie smakował mu on tak samo jak jeszcze pięć minut temu.

- Popatrz tylko.

- Kapitan Pakmillu wyciągnął pletwiastą dłoń w kierunku planety widocznej przez iluminatory mostka dread-naughta jeden.

- Roxuli, nasz ostatni przystanek w znanej przestrzeni. Od tego miejsca wchodzimy na terytoria nieodwiedzane przez cały okres podróży kosmicznych Republiki.

- Istotnie, to historyczny moment - zgodził się Obi-Wan.

- Za pozwoleniem, kapitanie, chciałbym wysłać do Republiki sygnał przez łącze HoloNet na Roxuli.

- Proszę bardzo - odparł Pakmillu.

- Bezpieczne pomieszczenie łączności będzie do twojej dyspozycji, jak tylko nasz gość skończy.

Obi-Wan zmarszczył brwi. Mniej niż w godzinę po wejściu na orbitę Lot Pozagalaktyczny ma już gościa?

- Jeden z lokalnych oficjeli?

- Nie całkiem - oschle odparł Pakmillu, zwracając wzrok w kierunku wyjścia.

- O, proszę.

Obi-Wan obejrzał się i poczuł, że usta same otwierają mu się ze zdumienia. Ich gościem był nie kto inny, jak sam kanclerz Palpatine.

- Mistrz Kenobi - zawołał Palpatine, kierując się w ich stronę.

- Człowiek, którego właśnie potrzebuję.

- Cóż za nieoczekiwany zaszczyt, panie kanclerzu - odparł Obi-Wan, z trudem odzyskując zdolność mówienia.

- Czy mogę spytać, co sprowadza pana na te obrzeża Republiki?

- Ten sam impuls, który ostatnimi czasy pędzi nas od gwiazdy do gwiazdy - wyjaśnił Palpatine z bladym uśmiechem.

- Polityka, oczywiście. W tym przypadku problemy pomiędzy centralnym rządem Roxuli a jego koloniami górniczymi.

- Musi to być coś poważnego, skoro pofatygował się pan osobiście - zauważył Obi-Wan.

- Właściwie wcale mnie tu nie chcą - sucho powiedział Palpatine.

- Żądają jedynie usług bohatera negocjacji z Barloka, mistrza Cbaotha.

Obi-Wan spojrział na Pakmillu.

- Nie jestem pewien, czy mistrz Cbaoth będzie zainteresowany tą pracą - ostrzegł Palpatine'a.

- Właściwie już wiem, że nie będzie - potwierdził wielki kanclerz.

- Już z nim rozmawiałem. Po prostu odmówił opuszczenia Lotu Pozagalaktycznego.

- Możemy opóźnić nasz wylot do czasu, aż skończy negocjacje - zaoferował się

Pakmillu.

- Nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy spędzić tu kilku dni.

- Proponowałem mu już tę możliwość - odparł Palpatine, kręcąc głową.

- Ale nie zmieni planu lotu. I nie zamierza opuścić pokładu statku.

- Spojrział na Obi-Wana.

- Jest jednak inna alternatywa. Czy zechciałbyś podjąć się mediacji zamiast niego? Obi-Wan zamrugał z zaskoczenia.

- Z całym szacunkiem, panie kanclerzu, nie sądzę, aby ta zamiana ich zadowoliła.

- Ależ przeciwnie - oznajmił Palpatine.

- Właśnie z nimi rozmawiałem i będą bardzo wdzięczni, jeśli zechcesz im pomóc.

- Uśmiechnął się znowu.

- W końcu na Barloku byli inni bohaterowie, oprócz mistrza Cbaotha.

Obi-Wan skrzywił się. W innych okolicznościach byłby szczęśliwy, mogąc pomóc. Teraz jednak, w obliczu tego, co działo się na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego, zamierzał poprosić radę o zezwolenie na przedłużenie pobytu. A teraz tę decyzję unieważniano, zanim jeszcze o niej oznajmił.

Bo przecież, jeśli Cbaoth nie zdecydował się opóźnić wyprawy dla swoich potrzeb, nie zrobi tego z całą pewnością dla Obi-Wana. Jeśli zatem wraz z Anakinem opuszczą teraz pokład, powrotu już nie będzie.

- Czy ten problem jest bardzo poważny? - zapytał.
- Wystarczająco poważny - zapewnił Palpatine, a zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się, jakby go to rozbawiło.
- Jeśli zaczną się zamieszki, dostawy rudy do połowy systemów w tym sektorze zostaną odcięte. Zależnie od tego, jak wielkie szkody poniosą kopalnie, ten deficyt może trwać latami.
- Muszę się porozumieć z radą - zastrzegł Obi-Wan.
- Biorąc pod uwagę, jak ważny jest tu czynnik czasu, pozwoliłem już sobie to załatwić - stwierdził Palpatine.
- Mistrz Yoda udzielił ci zezwolenia na opuszczenie pokładu Lotu Pozagalaktycznego.

Obi-Wan umiał rozpoznać rozkaz, nawet jeśli został on podany w masce przyzwolenia.

- To doskonale - westchnął.
- Rozumiem, że mam też zabrać ze sobą padawana?
- Nie pozwolisz mu przecież uciec do drugiej galaktyki bez ciebie? - zapytał Palpatine, a jego zmarszczki znów się wygładziły. Obi-Wan poczuł ulgę.
- Zabieram was obu na mój statek. Obawiam się, że sam będę musiał wracać na Coruscant, pozostawię jednak z wami mojego człowieka i eskortowiec, który przywiezie was z powrotem, gdy skończycie.
- Dziękuję - odrzekł Obi-Wan, zastanawiając się przez chwilę, czy wraz z Anakinem nie powinien skorzystać ze swojego delta-12 skysprite, który Windu przygotował dla niego w hangarze D-Trzy. Wymagałoby to jednak czasu, koniecznego do uruchomienia i przygotowania pojazdu, a czas wydawał się tutaj istotnym czynnikiem. Poza tym eskortowiec Palpatine'a będzie na pewno wygodniejszy i bardziej przestronny, nawet gdyby oznaczało to znoszenie towarzystwa kolejnego drętwego faceta. Ostatnio Palpatine tylko takich przyjmował do swojej straży.
- Każę Anakinowi rozpocząć pakowanie. Będziemy gotowi za godzinę.
- Dziękuję, mistrzu Kenobi - odparł Palpatine cichym, ciepłym głosem.
- Może nigdy nie zrozumiesz, jak wiele dla mnie to znaczy.
- Cała przyjemność po mojej stronie, panie kanclerzu - odparł Obi-Wan, czując jednak ukłucie żalu, kiedy wyjmował komunikator.
- My, Jedi, jesteśmy po to, by służyć.

- Polecieli - mruknął Anakin, kiedy wahadłowiec Palpatine'a opadł w mglistą atmosferę planety w dole.

Obi-Wan podniósł wzrok, ale tam, gdzie niedawno był Lot Pozagalaktyczny, teraz widać było jedynie pustą przestrzeń.

- Muszą się trzymać rozkładu - wyjaśnił.

- Tak myślę - zgodził się chłopak i Obi-Wan usłyszał w jego głosie echo własnego smutku. - Szkoda, że nie mogłem lecieć z nim dalej.

- Z kim, z kapitanem Pakmillu? - zdziwił się Palpatine.

- Nie, z mistrzem Cbaothem - odrzekł chłopiec.

- To naprawdę dobry przywódca... zawsze potrafi doprowadzić wszystko do końca. Idzie prosto przed siebie, nie zważa na przeszkody, a zawsze znajdzie sposób, aby każdy zrobił to, co dla niego najlepsze.

- Rzeczywiście, posiada taki dar - przyznał Palpatine.

- Niewielu jest takich jak on w tych niespokojnych czasach. Ale nasza strata to zysk Lotu Pozagalaktycznego.

- Na pewno są zadowoleni, że mają go na pokładzie.

- Ale on ma swoje zadania, a my mamy swoje - ciągnął Palpatine, podając ObiWanowi kartę danych.

- Tu jest wszystko, co mam na temat sporu na Roxuli. Lepiej zapoznaj się z tym, zanim wylądujemy.

- Dziękuję - odparł Obi-Wan, biorąc kartę i wsuwając do notatnika.

- Bez wątpienia sami zainteresowani dostarczą mi wszelkich szczegółów, które pan przeoczył.

- Bez wątpienia - oschle rzekł Palpatine.

- Proszę się rozgościć, mistrzu Kenobi, to będzie długi i ciężki dzień.

Grupa śledcza Ar'alani wróciła na Crustai z miejsca bitwy z Federacją Handlową prawie dwie godziny wcześniej niż Thrawn ze swojego patrolu, na który wysłała go pani admirał. Jego raport został przyjęty szybko, co nie było zaskakujące, a on sam w niecałą godzinę później zasiadł z Car'dasem i Maris do kolejnej lekcji języka. Jeśli nawet w czasie swojej nieobecności zrobił coś ważnego, Car'das nie mógł dostrzec tego w jego twarzy ani w głosie.

Kolejne dwa dni wlokły się bardzo powoli. Ar'alani spędzała większość czasu w swojej kwaterze,

studiując dane, które zebrała z terenu bitwy. Wychodziła jedynie na posiłki lub na wyprawy po bazie w poszukiwaniu wojowników, których mogłaby prze słuchać. Do tej pory nie dotarła jeszcze do tych, którzy słyszeli Thrawna wygłaszającego swoje podejrzenia co do załogi „Łowcy Okazji”, ale Car'das wiedział, że to tylko kwestia czasu.

Thrawn przez te dwa dni pojawiał się i znikał, widocznie bardzo poważnie traktując inspekcję nakazaną mu przez Ar'al ani. Car'das w tym okresie tylko raz mógł spokojnie porozmawiać z komandorem. Była to długa, nocna rozmowa tuż po wizycie Ar'alani na polu bitwy. Zmęczenie i napięcie Thrawna były bardzo widoczne, a kiedy wyszedł, Car'das zaczął się poważnie zastanawiać, czy komandor jednak wreszcie się nie przeliczył z siłami.

W ciągu tych dni Car'das próbował również spędzać więcej czasu z Quennto i Maris, ale ich rozmowy były jeszcze bardziej I przygnębiające. Quennto zaczął się zachowywać jak zwierzę w klatce, a jego humory były przeplatane szalonymi planami, obejmującymi napad na zbrojownię i magazyn, a potem zuchwałą ucieczkę na pokładzie „Łowcy Okazji”. Maris ze swojej strony wciąż podtrzymywała swoją wiarę w honor Thrawna, ale i ona i zaczęła mieć pewne wątpliwości, czy komandor zdoła się obronić przed Ar'alani.

Coś trzeba było robić. I musiał to zrobić Car'das.

Niewiele mógł właściwie działać. „Łowca Okazji” był dobrze] strzeżony, a on nie miał najmniejszego zamiaru uciekać tym niezgrabnym frachtowcem przez tunel wlotowy, do tego z myśliwcami Thrawna na ogonie. W głębi lądowiska stał jednak wahadłowiec dalekiego zasięgu, który Chissowie wydawali się całkiem ignorować.

Kilka godzin spędzonych nad podręcznikami w systemie komputerowym bazy, połączone z wcześniejszą nauką czytania symboli cheunh, pozwoliły Car'dasowi poznać podstawy pilotażu. Później zdołał wśliznąć się na pokład wahadłowca i spędził godzinę w fotelu pilota, przebiegając w myślach kolejne lekcje i listy kontrolne; upewniał się przy tym, że wie, gdzie co się znajduje. Nie chciał, aby kiedy przyjdzie czas, admirał Ar'alani zastała go przy pulpicie podczas gorączkowych poszukiwań odpowiedniej kontrolki.

Dobranie się do kopii Ar'alani, dotyczących zrzutu nawigacyjnego „Springhawk”, wydawało się znacznie bardziej kłopotliwe. Tym razem jednak dopomógł mu Thrawn, drugiego wieczoru zapraszając Ar'alani i Thrassa na oficjalną kolację. Cylinder, który Car'dasowi pokazała kiedyś pani admirał, znajdował się wśród innych cylindrów z danymi, które zarejestrowała na miejscu bitwy; znalezienie tego właściwego zabrało mu kilka cennych minut i sporo nerwów.

I na tym jego przygotowania zostały zakończone.

Tego wieczoru poszedł do łóżka dość wcześnie, ale to niewiele pomogło. Większość nocy spędził na zamartwianiu się i rozmyślaniach, a sen przychodził w krótkich, wypełnionych koszmarami drzemkach. Wiedział, że tak jak przed burzą zapada upiorna cisza, te kilka spokojnych dni właśnie dobiega kresu.

Kres nadszedł późnym porankiem trzeciego dnia.

- Nie - stanowczo odparł Car'das, spoglądając w płonące oczy Ar'alani.

- Nie jesteśmy szpiegami. Ani Republiki, ani nikogo innego.

- Więc co właściwie miał na myśli komandor Mitth 'raw 'nuruodo, wygłaszając to oskarżenie? - odparowała pani admirał.

- Nie zaprzeczysz, że tak powiedział. Mam zaprzysiężone zeznania dwóch wojowników, którzy byli przy tym obecni.

- Wcale nie zaprzeczam - odparł Car'das, kątem oka zerkając na Thrassa. Syndyk stał w milczeniu kilka kroków za Ar'alani, a wyraz jego twarzy był jeszcze surowszy niż mina pani admirał. Może wiedział lepiej niż ona, co oskarżenie o przechowywanie szpiegów znaczy dla jego brata.

- Ale nie potrafię też tego wyjaśnić. Może próbował zmylić dowódców Federacji Handlowej.

- Dowódców, którzy zdaje się zniknęli - kąśliwie zauważyła Ar'alani.

- Wraz z podobno nietkniętym statkiem obcych.

- Na ten temat też nic nie wiem - upierał się Car'das.

- Wiem tyle, ile wam powiedziałem: jesteśmy kupcami, mieliśmy wypadek z hipernapędem i zgubiliśmy się. Proszę zapytać resztę załogi, jeśli mi pani nie wierzy.

- O, nie omieszkam - zapewniła go Ar'alani.

- Na razie masz pozostać w swojej kwaterze. Skończyłam.

Przez chwilę Car'dasa kusilo, żeby jej przypomnieć, że wciąż pozostaje pod władzą Thrawna i że ona nie ma prawa wydawać mu rozkazów. Ale tylko przez chwilę. Odwrócił się i opuścił pomieszczenie.

Ale nie poszedł do kwatery. Wojownicy Chissów przywykli już do jego swobodnych spacerów po bazie, a nie sądził, aby Ar'alani miała zamiar oficjalnie ogłaszać jego uwięzienie, dopóki nie przesłucha Quennto i Maris.

Miał zatem dokładnie tyle czasu na ucieczkę.

Wahadłowiec wciąż stał tam, gdzie poprzedniego dnia. W okolicy krążyło paru Chissów, ale czas na wybiegi minął. Idąc pewnie, jakby był właścicielem doku, Car'das wszedł na rampę, minął włącz, zamknął go i ruszył przed siebie.

Był to statek cywilny, z procedurą startową prostszą i szybszą niż modele wojskowe. W ciągu pięciu minut postawił i uruchomił wszystkie systemy. Po pięciu kolejnych odrzucił zaciski dokujące i ostrożnie ruszył w głąb tunelu.

Nikt go nie ścigał. Po wyjściu w przestrzeń rozejrzył się wokoło, prawie się spodziewając, że ujrzy nietknięty okręt bojowy Federacji Handlowej czający się w cieniu jednej z asteroid. Ale okrętu nie było widać.

Nie szkodzi. Wiedział, gdzie leci i wiedział, że nikt nie jest w stanie go powstrzymać. Ustawił wahadłowiec na właściwy wektor, wcisnął dźwignię hipemapędu i skoczył w nadprzestrzeń. Jeśli właściwie zaprogramował dane nawigacyjne „Springhawk”, następny skok zanieś go w obcy system, gdzie on, Thrawn i Maris byli świadkami ataku Vagaarich pięć tygodni temu.

Jeśli będzie miał jeszcze więcej szczęścia, Vagaari wciąż tam będą.

Sześć godzin później wyszedł z nadprzestrzeni i stwierdził, że bitwa była skończona.

Widział, że obrońcy doskonale dali sobie radę. Powoli, ostrożnie manewrował wahadłowcem przez szczątki. Wszędzie pełno było w poczerniałych kadłubów, unoszących się wokół kawałków części, włazów i silników. I były też ciała. Mnóstwo ciał.

Ich poświęcenie nic im nie dało. Na orbicie planety dziesiątki statków Vagaari krążyły niczym padlinożercy nad świeżym trupem. Większość z nich stanowiły okręty bojowe z pęcherzami na pancerzach, które widział już w walce., ale było tu też kilka transporterów cywilnych, które czekały na zakończenie walk. Z i do atmosfery przemieszczał się nieprzerwany sznur mniejszych statków, najwidoczniej transportujących łupy i niewolników na orbitujące statki i wracających po świeży ładunek. W umyśle Car'daśa na chwilę pojawił się obraz strumieni insektów krążących pomiędzy swoim kopcem a upuszczonym kawałkiem sałatki piknikowej z rowela.

Od owiewki wahadłowca odbiło się łagodnie unoszące się w przestrzeni ciało, przywołując go do rzeczywistości. Wiedział, że gdyby miał choć odrobinę rozumu, zawróciłby teraz i pędem poleciał na Crustai, aby spróbować swoich szans z admirał Ar'alani. Może też powinien porzucić Quennto i Maris i uciec w kierunku przestrzeni Republiki.

Klnąc pod nosem, zwrócił się ku największemu z orbitujących okrętów.

Nawet zajęci podziałem łupów, Vagaari doskonale umieli pilnować swoich pleców. Sześć myśliciów przechwyciło go natychmiast, zanim zdołał przebyć bodaj ćwierć odległości i nagle komunikator eksplodował melodyjnym, ale całkowicie niezrozumiałym obcym językiem.

- Nie rozumiem waszego języka - odparł Car'das w sy bisti.

- Czy mówicie sy bisti?

Jedyną odpowiedzią była kolejna przemowa w obcym języku.

- A może minnisiat? - zapytał, przechodząc na swój najnowszy język handlowy.

- Czy ktoś tam u was rozumie minnisiat?

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

- Podaj imię, rasę i zamiary - rozległ się wreszcie głos obcego, z pewną trudnością wymawiając słowa.

- Nazywam się Jorj Car'das - rzekł.

- Jestem człowiekiem ze świata zwanego Korelią.

- Zaczerpnął głęboko tchu w płuca.

- Przybyłem zaproponować wam układ.

R O Z D Z I A Ł 20

Myśliwce eskortowały go do jednego z mniejszych okrętów wojennych i skierowały do prawoburtowego doku. Grupa ciężkozbrojnych strażników w grubych pancerzach czekała już na niego: były to niskie, dwunożne istoty o wielkich dłoniach i twarzach ukrytych pod wymyślnie zdobionymi przyłbicami, przypominającymi przerażające maski. Zaprowadzili go do niewielkiego pokoju wypełnionego urządzeniami czujnikowymi, gdzie został rozebrany, przeszukany i przeskanowany wiele razy, a następnie zabrano mu ubranie - prawdopodobnie w celu dalszego dokładniejszego zbadania. Bez wątpienia również wahadłowiec przechodził podobne operacje. Następnie przeniesiono go do kolejnego pomieszczenia, tym razem pustego, jeśli nie liczyć pryczy. Został sam.

Kolejne dwie godziny spędził na przemian to próbując się zdrzemnąć, to poddając się bezsenności i krążąc po celi. Nie mógł się pozbyć myśli, że gdyby Vagaari byli cwani, zabiliby go bez pytania i zajęli się swoimi łupami. Widać „wróbel w garści” był bardzo uniwersalną maksymą.

Ale może będą równie zachłanni, co cwani. Zachłanni i ciekawscy.

Dwie godziny po tym jak wrzucono go do celi, strażnicy wrócili z jego ubraniami. Obserwowali, jak je wkłada, a następnie zaprowadzili go długim korytarzem do włazu oznaczonego obcymi symbolami. Za tym włazem znalazł wahadłowiec, a nie śmierć w zimnym kosmosie, jak się obawiał. Wepchnęli go do środka, sami wcisnęli się za nim i w minutę potem wylecieli. Wahadłowiec nie miał iluminatorów, więc nie wiedział, dokąd lecą, ale kiedy właz znów się otworzył, stał przed nim podwójny szpaler żołnierzy Vagaari w zbrojach jeszcze wymyślniej szych niż u jego strażników. Widocznie ktoś z wyższych sfer chciał się z nim zobaczyć.

Oczekiwał, że zostanie zabrany do ciasnego, zatłoczonego i anonimowego miejsca, jak wypada przy przesłuchaniu. Dlatego kiedy ostatnia śluza się otworzyła, z ogromnym zaskoczeniem stwierdził, że stoi na progu ogromnej komnaty, która mogła rywalizować z najwspanialszymi salami tronowymi galaktyki. W głębi znajdowało się podwyższenie, a na nim stało bogato rzeźbione krzesło, w którym siedział Vagaari ubrany w ciężką, wielobarwną szatę ozdobioną promieniście sterczącymi epoletami i ostroga mi; na wierzchu miał fałdzisty płaszcz z nie mniej niż czterema oddzielnymi pasami wokół talii. Obok niego stało dwóch Vagaarich w nieco tylko mniej pstrokatych płaszczach - przypuszczalnie doradcy lub innego rodzaju urzędnicy. Wszyscy trzej mieli na sobie maski całkowicie zakrywające twarze i sięgające jakieś dwanaście centymetrów ponad czubek głowy. Ich wzór był powtórzeniem przerażającego wzoru na przyłbicach żołnierzy. Przez głowę Car'dasa przemknęła złośliwa myśl, że wysokość masek prawdopodobnie została dobrana tak, aby skompensować naturalny niski wzrost rasy i sprawić, by wyglądali groźniej w oczach nieprzyjaciela. Pod ścianami stali inni Vagaari, niektórzy w zbrojach, inni w czymś w rodzaju odzieży cywilnej, a twarze mieli tylko pomalowane. Wszyscy w milczeniu przyglądali się więźniowi sprowadzonemu przed tron.

Car'das zaczekał, aż strażnicy ustawią go o trzy metry od podwyższenia, i uklonił się nisko.

- Pozdrawiam wielkiego i potężnego Vagaari... - zaczął w minnisiat.

I natychmiast został rzucony na kolana potężnym uderzeniem.

- Nie odzywaj się w obecności Miskary, dopóki do ciebie nie przemówi - zganił go jeden ze strażników.

Car'das otworzył usta, aby przeprosić, ale połapał się w porę i zachował milczenie.

Przez długą chwilę cała sala również pogrążona była w ciszy. Car'das zastanawiał się, czy może czekać, aż wstanie, ale czując pulsowanie bólu w łopatce uznał, że mądrzej będzie pozostać tam, gdzie jest, dopóki nie każą mu inaczej.

Widocznie była to dobra decyzja.

- Dobrze - rozległ się wreszcie z podwyższenia głęboki głos.

- Możesz wstać.

Car'das podniósł się ostrożnie, gotów na kolejny cios. Ku jego wielkiej uldze cios nie padł.

- Jestem Miskara ludu Vagaari - oświadczył władca siedzący na tronie.

- Będziesz się do mnie zwracał „Wasza Eminencjo”. Powiedziano mi, że byłeś na tyle bezczelny, aby zażądać ode mnie, bym z tobą prowadził interesy.

- Nie wysuwałem żadnych żądań, Wasza Eminencjo - pospiesznie zapewnił go Car'das.

- Wpadłem w wielkie kłopoty i przybyłem tu w nadziei, że potężny i silny ród Vagaari zechce przyjść mi z pomocą. W zamian za pomoc, jak mam nadzieję, zdołam zaoferować wam coś, co uznacie za równie cenne. Miskara popatrzył na niego chłodno.

- Opowiedz mi o tych kłopotach.

- Moi towarzysze i ja jesteśmy kupcami z odległego królestwa - tłumaczył Car'das.

- Prawie trzy miesiące temu zgubiliśmy się i zostaliśmy wzięci do niewoli przez rasę istot zwanych Chissami, Od tamtej pory jesteśmy ich więźniami.

Przez salę przeszła fala ściszonych szeptów.

- Więźniami, powiadasz? - powtórzył Miskara. Widoczna część jego rysów stwardniała na wzmiankę o Chissach, ale głos nie zdradzał poruszenia.

- Nie widzę na twojej szyi łańcucha niewolnika.
- Moja pozorna wolność to iluzja, Wasza Eminencjo - zapewnił Car'das.
- Moi towarzysze są wciąż w rękach Chissów, podobnie jak nasz statek. Co więcej, Chissowie odmawiają w tej chwili oddania nam części łupów z jednej ze swoich wypraw, łupów, które nam obiecano i których potrzebujemy, aby opłacić kary za opóźnienie w dostawie, jakich zażądają z pewnością nasi klienci. Bez tego skarbu nasz powrót do domu równa się pewnej śmierci.
- Gdzie są przetrzymywani twoi towarzysze?
- W małej bazie zbudowanej we wnętrzu asteroidy, Wasza Eminencjo - odparł Car'das.
- Wszelkie dane nawigacyjne niezbędne do jej zlokalizowania znajdują się w komputerze wahadłowca, którym przybyłem.
- A skąd wiedziałeś, gdzie i jak nas znaleźć?
- Car'das wyprostował się. Kiedyś Thrawn powiedział mu: „Zrobię wszystko, co trzeba, żeby chronić tych, którzy są ode mnie zależni”.
- To dzięki temu, Wasza Eminencjo, że byłem obecny na pokładzie krążownika Chissów w czasie ataku na wasze siły... tutaj, kiedy pięć tygodni temu podbijaliście tę planetę.

W sali zapanowała śmiertelna cisza. Car'das czekał, boleśnie świadom obecności otaczających go uzbrojonych żołnierzy.

- Skradliście jedną z naszych sieci na statki - rzekł w końcu Miskara.
- Komandor sił Chissów to uczynił, owszem - rzekł Car'das.
- Jak już mówiłem, byłem więźniem i nie brałem udziału w ataku.
- Gdzie jest teraz komandor?
- Nie wiem dokładnie - odparł Car'das.
- Ale baza, gdzie znajduje się mój statek i towarzysze, jest pod jego dowództwem. Gdziekolwiek pojedzie, zawsze musi tam wrócić.

Miskara uśmiechnął się lekko.

- Proponujesz nam zatem wymianę swoich towarzyszy i części naszego własnego skarbu za samą okazję do zemsty?

Car'das pomyślał niepewnie, że to nie jest najkorzystniejszy sposób przedstawienia sprawy.

- Dostaniecie także swoją sieć - dorzucił.
 - Nie - stanowczo rzekł Miskara.
 - Ta oferta nie wystarczy. Car'das poczuł ucisk w gardle.
 - Wasza Eminencjo, błagam...
 - Nie błagaj! - warknął Miskara.
 - Robactwo błaga. Zebracy błagają. Nie istoty, które chcą rozmawiać i robić interesy z Vagaari. Jeśli chcesz, abyśmy pomogli tobie i twoim towarzyszom, musisz znaleźć dla mnie coś więcej.
 - Ale ja nie mam już nic więcej, Wasza Eminencjo - odparł Car'das drżącym głosem.
 - To się nie mogło stać. Vagaari musieli się zgodzić na układ.
 - Przysięgam.
 - Tego też nie masz? - zapytał Miskara, wskazując na coś ponad jego ramieniem.
- Car'das obejrzał się. W którymś momencie rozmowy ktoś wniósł cztery wielkie skrzynie; dwie były wyższe od niego o głowę, dwie sięgały mu do pasa.
- Nie rozumiem - zdziwił się Car'das.
 - Co to jest?
 - Znajdowały się na pokładzie twojego transportera - podejrzliwie powiedział Miskara.
 - Twierdzisz, że nie wiesz o ich istnieniu?
 - Tak twierdzę, Wasza Eminencjo - odparł Car'das, teraz już całkiem zdezorientowany. Co, do wszystkich światów, Thrawn mógł zapakować na ten wahadłowiec?
 - Ukradłem ten statek tylko po to, aby prosić was o pomoc. Nawet nie wiedziałem, że cokolwiek jest na pokładzie.
 - Więc popatrz teraz - rozkazał Miskara.
 - Otwórz skrzynie i powiedz mi, co widzisz.

Ostrożnie, prawie oczekując strzału w plecy, Car'das podszedł do skrzyń. Vagaari otworzyli już wszystkie, oczywiście, a przednie panele spoczywały luźno. Podszedł do jednej z mniejszych skrzyń, chwycił panel i odsunął go.

I aż jęknął. Wewnątrz, ładnie złożone z ramionami wokół kolan, siedziały dwa roboty bojowe Federacji Handlowej.

- Rozpoznajesz je? - zapytał Miskara.

- Tak, Wasza Eminencjo - potwierdził Car'das. Nagle wszystko nabrało sensu.

- To roboty bojowe, wykorzystywane przez jedną z ras w naszym rejonie przestrzeni. Komandor napadł również na oddziały tych istot, widocznie to część łupu.

- A co to są roboty?

- Mechaniczni słuźący - wytłumaczył z grubsza Car'das. Więć Thrawn miał rację; najwyraźniej Vagaari nie mają pojęcia, co to są roboty. A przynajmniej żaden z tych Vagaarich, z którymi się spotkał. - Niektóre mają własny napęd, inne wymagają centralnego komputera, aby im wysyłał instrukcje.

- Pokaż mi, jak to działa.

Car'das podszedł znów do skrzyni i zajrzał do środka. Nie widać było żadnego sterownika ani konsoli programowania.

- Nie widzę urządzeń potrzebnych, aby je uruchomić - rzekł, podchodząc do drugiej skrzyni i odsuwając panel. I tu także siedziały dwa złożone roboty i ani śladu sterownika. Każda z większych skrzyń zawierała za to jeszcze bardziej morderczą droidekę. Ale żadnych sterowników. - Przykro mi, Wasza Eminencjo, ale bez odpowiednich urządzeń nie mogę ich uruchomić.

- A może to się przyda - podsunął Miskara. Skinął dłonią i jeden z nieuzbrojonych Vagaarich, którzy przyglądali się scenie, wyjął spod szaty notatnik. Podszedł do Car'dasa i podał mu go.

Napięcie Car'dasa zelżało nieco. Istotnie, był to sterownik robotów Federacji Handlowej, oznakowany po neimoidiańsku i w basicu.

- Tak, Wasza Eminencjo, to wystarczy - rzekł do Miskary i spojrział na kontrolki. Aktywator... jest.

- Mam spróbować go włączyć?

- Spróbować? Car'das skrzywił się.

- Czy mam go teraz włączyć, Wasza Eminencjo? - poprawił się.

- Tak.

Wyprostował się i przycisnął przycisk.

Wynik był dokładnie taki, jakiego się spodziewał. Cztery roboty bojowe idealnie równocześnie

rozłożyły się do połowy, wyszły ze skrzyń, wstały, sięgnęły przez ramię i wyciągnęły rusznice laserowe. Droideki były jeszcze bardziej imponujące - wytoczyły się ze skrzyń i rozwinęły do trójnożnej pozycji bojowej. Wokół jednej z nich, niczym demonstracja pełnej skali możliwości, pojawiła się lekka mgiełka tarczy.

I nagle Car'das zorientował się, że w podwyższenie, na którym siedział Miskara, jest wycelowanych dwanaście miotaczy.

Odwrócił się powoli i ostrożnie. Ale Miskara nie skrył się za plecami żołnierzy, sami żołnierze zaś nie podnieśli broni, aby zmienić Car'dasa w kupkę popiołu.

- Imponujące - spokojnie rzekł Miskara.

- Kto nimi dowodzi? Car'das spojrzał na notatnik. Gdzieś tu powinien być modyfikator wzorca rozpoznawczego.

- W tej chwili każdy, kto trzyma notatnik, Wasza Eminencjo - oznajmił.

- Ale myślę, że są zaprogramowane, aby słuchać konkretnej osoby.

- Rozkaż, aby słuchały mnie.

- Tak jest, Wasza Eminencjo - rzekł Car'das, szybko przesuwał menu rozpoznania notatnika. Wydawało się całkiem proste.

- Eee... musi Wasza Eminencja zejść na dół, żeby roboty mogły sobie Waszą Eminencję obejrzeć.

Miskara w milczeniu wstał i zszedł ze stopni, gestem nakazując doradcom, aby pozostali na miejscach.

- Zrób to teraz - rozkazał.

Car'das czuł, jak pot ścieka mu po szyi, ale posłusznie przeprowadził to, co wydawało mu się właściwą procedurą. Sześć robotów odwróciło się, aby spojrzeć na Miskarę, po czym, ku uldze Car'dasa, roboty bojowe uniosły miotacze w kierunku sufitu, a droideki równie delikatnie przesunęły swoją broń w inną stronę.

- To powinno wystarczyć, Wasza Eminencjo - rzekł. Oczywiście - dodał szybko, bo nagle przyszło mu coś do głowy - nie są zaprogramowane do rozumienia poleceń w minnisiat.

- Nauczysz mnie właściwych poleceń w ich języku - zdecydował Vagaari. - Pierwsze słowo, jakie chcę znać, to „cel”. Drugie „ognia”.

- Tak jest, Wasza Eminencjo.

- Car'das podał mu oba słowa w basicu, starannie je wymawiając.
- Może twoi ludzie będą w stanie zapisać je fonetycznie - zaproponował.
- Nie trzeba - odparł Miskara. Podniesionym placem wskazał na Car'dasa.
- Cel.

Car'das odskoczył w tył, kiedy wszystkie sześć robotów odwróciło się, aby wycelować w niego broń.

- Wasza Eminencjo... - szepnął.
- A teraz - ciągnął Miskara słodkim głosem - ty powiesz to drugie słowo.

Car'das przełknął ślinę. Jeśli zrobił coś nie tak jak trzeba...

- Ognia - rzekł. Nic się nie stało.
- Doskonale - powiedział Miskara z aprobatą.
- Więc rzeczywiście jesteś dość mądry, aby nie próbować zdrady.
- Podniósł dłoń. - Sprowadźcie mi trzech Geroonów - polecił.
- Tak jest, Wasza Eminencjo - zaszalutował jeden z żołnierzy i wyszedł.

- Czy ten wasz komandor Mitth'raw'nuruodo ma więcej takich maszyn? - zapytał Miskara, zerkając na Car'dasa.

- Co najmniej kilkaset - odparł Car'das.
- Może nawet kilka tysięcy.

Jego uwagę zwrócił ruch przy drzwiach. Obejrzał się - do sali wprowadzono właśnie trzech drobnych obcych.

- Kto to?
- Niewolnicy - niedbale odparł Miskara.
- Ich nędzny mały światek właśnie toczy się u naszych stóp. Maszyny: cel.

Car'das zeszywniał, kiedy roboty odwróciły się w kierunku trzech niewolników.

- Nie!

- Sprzeciwiasz się? - zapytał Miskara.

Car'das na chwilę przymknął oczy. „Zrobię wszystko, co będzie konieczne”...- słowa Thrawna rozległy się echem w jego głowie.

- Obawiałem się jedynie o bezpieczeństwo żołnierzy - wyjaśnił.

- Cóż, sprawdzimy, jak dobrze celują te maszyny - rzekł Miskara.

- Ognia!

Salwa z karabinów robotów bojowych odrzuciła niewolników w tył; byli martwi, zanim jeszcze dotknęli podłogi. Ogień droidek dosłownie przeciął ich na pół.

- Doskonale - rzucił Miskara w całkowitej ciszy, spowodowanej nie szokiem na widok tego publicznego mordy, lecz pokazem siły ognia.

- Gdzie Chissowie trzymają resztę?

- Komandor musi mieć je w bazie - machinalnie mruknął Car'das, bez powodzenia starając się nie patrzeć na zwęglone zwłoki.

- Więc uwolnimy go od nich - postanowił Miskara i przywołał jednego z doradców. - Niech natychmiast przygotowują siły szturmowe - rozkazał.

- Tak jest, Wasza Eminencjo - rzekł tamten. Zszedł z podwyższenia i opuścił salę.

- A przez ten czas - dodał Miskara, zwracając się do Car'dasa - nauczysz mnie pozostałych słów, niezbędnych do kontrolowania moich maszyn bojowych.

Car'das przełknął ślinę. Wszystko, co będzie konieczne...

- Jak pan sobie życzy, Wasza Eminencjo.

Poza owiewką mostka „Springhawk” rzadko rozrzucone gwiazdy i mała, ale przepiękna kulista gromada lśniły jasno na tle czarnego nieba. Gwiazdy, gromada i nic więcej.

Doriana dyskretnie spojrział na chronometr. Lot Pozagałaktyczny się spóźniał.

Chyba jednak spojrzenie nie było dość dyskretne.

- Cierpliwości, komandorze - rzucił Mitth'raw'nuruodo z fotela kapitana.

- Przylecą.

- Spóźniają się - zauważył wicelord Kav i skrzywił się, patrząc na tył głowy Mitth'raw'nuruodo.

- Ponad dwie godziny.
- Dwie godziny w trzytygodniowej podróży to tyle co nic - zauważył rozsądnie Mitth'raw'nuruodo.
- Nie dla kapitana Pakmillu - odparował Kav.
- Kalamarianie są nieprzyzwoicie punktualni.
- Przylecą - powiedział Mitth'raw'nuruodo, odwracając się częściowo, by spojrzeć na Neimoidianina. - Pozostaje pytanie, czy istotnie jesteśmy na prawidłowej trasie pomiędzy ostatnim przystankiem w Republice a systemem, gdzie przygotowaliście zasadzkę.
- Jak śmiesz... - zaczął Kav.
- Wektor został obliczony prawidłowo - przerwał mu Doriana z ostrzegawczym spojrzeniem. - Za to nasze pytanie brzmi: skąd wiesz, że rzeczywiście się tutaj zatrzymają?
- Zatrzymają - zapewnił go Mitth'raw'nuruodo. - Czy robomyśliwce są gotowe?
- Jeszcze jak - zapewnił go z kolei Kav, a Doriana wyczuł w jego głosie mściwą radość. Robomyśliwce rzeczywiście były gotowe, wraz z drugim poziomem sterowania, który główny programista wicelorda dołożył do wzorca bliskiego podejścia Mitth'raw'nuruodo.

Komandor skłonił głowę w kierunku Neimoidianina.

- Więc pozostało nam tylko czekać. Obejrzał się w kierunku owiewki...

...i nagle, z błyskiem pseudorachu, zobaczył go niecałe pięć kilometrów przed nimi.

Lot Pozagalaktyczny przybył.

- To urządzenie nazywa się projektorem grawitacji - wyjaśnił Mitth'raw'nuruodo. - Symuluje ono masę planety, wymuszając wyjście każdego statku, którego wektor nadprzestrzenny przetnie jego cień.
- Naprawdę? - mruknął Doriana, usiłując zachować spokój. Zgodnie z jego najlepszą wiedzą nikt w Republice jeszcze nie wpadł na pomysł, aby ten fragment teorii nadprzestrzennej przerobić na rzeczywiście działające urządzenie. Fakt, że Chissowie rozwiązali ten problem, obudził w jego umyśle nieprzyjemne skojarzenia i wnioski.

Kav, oczywiście, kompletnie nie był tym zainteresowany.

- A więc sjaż w naszych rękach - pisnął radośnie.
- Wszystkie siły do ataku!

- Stop - rzucił Mitth'raw'nuruodo. Jego głos był spokojny, ale zdecydowanie twardszy.

- Wicelordzie Kav, ja wydaję rozkazy na tym statku.

- To nasza misja, komandorze Mitth'raw'nuruodo - odparował Kav.

- A podczas tej kłótni tracimy cenny element zaskoczenia.

- Sięgnął między fałdy szaty i wyjął aktywator.

- Ty i twoje statki możecie robić co chcecie, ale moje myśliwce będą atakować.

- Nie! - krzyknął Dorigana i rzucił się po aktywator. Jeśli Kav storpeduje plan Mitth'raw'nuruodo - nieważne, co to za plan - Lot Pozagalaktyczny może wymknąć im się z rąk.

Ale ramiona miał zbyt krótkie, a refleks zbyt wolny. Kav wyrwał się i uniósł w górę aktywator, wprowadzając kod. Klnąc na czym świat stoi, Dorigana spojrział na asteroidę, na której czekały szeregi robomyśliwców.

Nic się nie stało.

Kav jeszcze raz wcisnął przełącznik. I znowu nic.

- Obawiam się, że to nie będzie działać, wicelordzie - rzekł Mitth'raw'nuruodo.

- Pozwoliłem sobie usunąć alternatywny poziom rozkazów, jaki twoi programiści stworzyli w systemie robomyśliwców.

Kav powoli opuścił aktywator.

- Jesteś bardzo sprytny, komandorze - warknął.

- Pewnego dnia ten spryt obróci się przeciwko tobie.

- Możliwe - zgodził się Mitth'raw'nuruodo.

- Ale przedtem podziękuję ci za zademonstrowanie, jak się wprowadza podwójne oprogramowanie. To się jeszcze dzisiaj przyda.

- Więc co teraz? - ostrożnie zapytał Dorigana.

- Porozmawiamy z nimi - rzekł Mitth'raw'nuruodo, wprowadzając kod na pulpicie. - Łączność, otworzyć kanał.

Zanim Lorana dotarła na miejsce na mostku D-Jeden zapanowało ciche pandemonium. Cbaoth stał sztywno obok fotela dowódcy kapitana Pakmillu, spoglądając przez owiewkę. Sam Pakmillu

pochylił się nad jednym ze stanowisk inżynierskich, zamykając i otwierając błoniaste pięści na widok kolejnych ekranów.

Poza owiewką, w pewnej odległości od nich, niczym stado polujących wyjcobiegów, wisiała gromada okrętów o takiej konfiguracji, jakiej Lorana jeszcze nie oglądała.

- Odczyty wskazują, że znajdujemy się gdzieś pośrodku cienia masy planety - odezwał się z napięciem oficer techniczny, patrząc na Pakmillu.

- Ale sam pan widzi, że to nie może być prawda.

- Tu komandor Mitth'raw'nuruodo z Ekspansywnej Floty Obronnej Chissów - rozległ się z głośników na mostku ładnie modulowany głos.

- Proszę o odpowiedź.

- Kto to? - zapytała Lorana.

- Dowódca tamtej floty - mruknął Pakmillu, obserwując odczyty.

- Od pół godziny wzywa nas co pięć minut.

- Jeszcze mu nie odpowiedzieliśmy? Czułki wargowe Pakmillu najeżyły się.

- Mistrz Cbaoth zabronił - burknął. - Chce się najpierw dowiedzieć, co się stało z naszym hipernapędem.

Lorana skrzywiła się.

- Pogadam z nim.

Cbaotha cały czas przyglądał się obcym statkom.

- O, Jedi Jinzler - powitał ją.

- Mamy oto nasze pierwsze wyzwanie.

- A dlaczego to musi być wyzwanie? - zapytała Lorana.

- Może on tylko chce porozmawiać?

- Na pewno nie - odparł Cbaoth ponurym tonem.

- Czuję tam głębokie zło, zło skierowane na moich ludzi i moje statki.

- To obce umysły - przypomniała mu Lorana, ale jej puls przyspieszył nagle. Widywała już Cbaotha w takim stanie. - Może po prostu źle ich odczytujesz.

- Dobrze ich wyczuwam - zapewnił.
- Mają złe zamiary, a ja chcę być w pełni przygotowany, zanim zacznę z nimi rozmawiać.
- Dowództwo, tu Ma'Ning - rozległ się głos z głośnika stanowiska dowodzenia.
- Jesteśmy w gotowości z systemami uzbrojenia dreadnaughta cztery.
- Przyjąłem - C'baoth uśmiechnął się krzywo do Lorany.
- Dreadnaught cztery był ostatni. Teraz jesteśmy gotowi do rozmów.

Usadowił się w fotelu dowódcy Pakmillu i otworzył łączność.

- Do nieznanymi sił zbrojnych... mistrz Jedi Jorus Cbaoth, dowodzący projektem Lot Pozagalaktyczny z Republiki Galaktycznej - oznajmił.

Lorana obejrzała się na Pakmillu, niezbyt zadowolona, że mistrz tak nonszalancko przejął dowodzenie. Ale w wyrazie twarzy ani w postawie Kalmarianina nie było znaczącego urazu; odniosła wrażenie spokojnej rezygnacji. Widocznie ugiął się przed nieuniknionym.

- Mistrzu Cbaoth, tu komandor Mitth'raw'nuruodo - odpowiedział natychmiast uprzejmy głos.
- Chcę zobaczyć twoją twarz - zażądał Cbaoth.

Po krótkiej przerwie ekran komunikatora ożył nagle, ukazując humanoidnego osobnika o błękitnej skórze, czarnogranatowych włosach i jarzących się czerwonych oczach. Ubrany był w czarną tunikę ze srebrnymi baretkami.

- Są sprawy niezmiernie ważnej, które musimy natychmiast przedyskutować - odezwał się Mitth'raw'nuruodo.

- Czy przybędziesz na mój okręt flagowy, czyja mam się udać do ciebie?

Cbaoth prychnął cicho.

- Nie będę o niczym dyskutował, dopóki nie zejdziesz mi z drogi.

- A ja nie ustąpię, dopóki nie porozmawiamy – powiedział Mitth'raw'nuruodo tonem równie stanowczym.

- Czy Jedi boją się rozmawiać?

Cbaoth uśmiechnął się blado.

- Jedi nie boją się niczego, komandorze. Skoro nalegasz, wejdź na pokład. Oświetlimy właz dla twojego wahadłowca. Mitth'raw'nuruodo skłonił głowę.

- Wkrótce tam będę - rzekł i dał ręką znak komuś poza ekranem. Obraz znikł.

- Chcesz go wpuścić na pokład? - zapytał Pakmillu.

- Oczywiście - odparł Cbaoth z dziwnym błyskiem w oku.

- Czy ty nie widzisz niczego dziwnego w tym, że ten rezydent z Nieznanych Rejo

nów przemówił do nas w basicu? Lorana aż jęknęła. Ze wstydem musiała przyznać, że nawet tego nie zauważyła.

- Tu się dzieje coś więcej, niż na to wygląda - ciągnął Cbaoth.

- A my musimy to sprawdzić.

- Skoro nalegasz, wejdź na pokład - zabrzmiał głos Cbaotha z głośnika w monitorowni reaktora D-Cztery.

- Oświetlimy właz dla twojego wahadłowca.

Rozległo się kliknięcie.

- D-cztery, robicie jakieś postępy? - rozległ się inny głos. Uliar z wielkim wysiłkiem zmusił się do skupienia na tym, co robi.

- Dowództwo, tu wciąż nic nowego - zameldował, znów przebiegając wzrokiem ekrany.

- Moc na hipernapędzie pełna, ale kiedy dochodzi do celu, nic się nie dzieje.

- Potwierdzam, dowództwo - rozległ się głos Dilliana Pressora z monitorowni hipernapędu o sześć metrów dalej.

- Odczyty wciąż wskazują, że znajdujemy się w polu grawitacyjnym.

- Wszystkie to pokazują - burknęło dowództwo.

- Dobra, róbcie dalej diagnostykę i bądźcie w gotowości.

Znów kliknięcie i dowództwo wyłączyło się.

- To szaleństwo - mruknął Pressor.

- Może nawet większe niż myślisz - zgodził się Uliar, myśląc gorączkowo. To może wreszcie być ich

szansa.

- Zauważyłeś, że ten cały komandor Mitth'raw'nuruodo mówi w języku basie?

Nastąpiła chwila milczenia.

- Chcesz powiedzieć, że on jest z Republiki?

- No cóż, z pewnością nie z Nieznanych Rejonów - odparł Uliar.

- Musimy znaleźć sposób, żeby z nim pogadać.

- Kto musi?

- Oczywiście my - odparował Uliar.

- Ty, ja, cały komitet. Jeśli gość jest z Republiki, może ma dość władzy, żeby wykopać stąd Cbaotha i resztę Jedi.

- Nie chodzi tylko o Jedi - sprostował Pressor.

- Zresztą co jakiś zawadiaka z Republiki robiłby tutaj? Już prędzej to jakiś pirat, który dowiedział się o Locie Pozagalaktycznym i postanowił skorzystać z łatwego łupu.

Oczami duszy Uliar ujrzał wyniki trafień z testów więzi bitewnej Jedi Cbaotha.

- Wierz mi, Pressor, nie jesteśmy łatwym łupem - odparł ponuro.

- Ale kimkolwiek jest ten tutaj, musimy spróbować.

- Proszę bardzo - zgodził się Pressor.

- Ale jak? Jesteśmy na dyżurze.

- Co z tego? - warknął Uliar.

- Mamy doskonale pracujący reaktor i hipernapęd, który w ogóle nie chce działać.

- Tak, ale...

- Ale co? - uciął Uliar. - Chodź, może to ostatnia szansa, aby Lot Pozagalaktyczny

stał się tym, czym miał być od początku.

Nastąpiła krótka pauza.

- W porządku, jestem gotów - odparł wreszcie Pressor.

- Ale jeśli ten Mitth...cośtam jest już w drodze, nie mamy wiele czasu. Zwłaszcza jeśli chcemy zebrać wszystkich i jeszcze dotrzeć do D-jeden.

- Po prostu ich zbierz - polecił Uliar.

- Ja dopilnuję, aby ten obcy trzymał się z daleka tak długo, aż tam dotrzesz.

- Jak?

- Nie wiem - wzruszył ramionami Uliar.

- Zbierz po prostu wszystkich, dobrze? I nie zapomnij o dzieciach. Nie ma to jak dzieci, kiedy musisz zdobyć czyjeś współczucie.

- Coś o tym wiem...

Uliar wyłączył komunikator i przez chwilę niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w ekrany, usiłując zebrać myśli. D-Jeden istotnie był dość daleko, a na ile znał Cbaotha, rozmowa będzie zapewne krótka i nieprzyjemna. Gdyby Pressor przyspieszył, miałby szansę minąć się z tym Mitth...cośtam.

Ale nieco dalej w kierunku rufy powinien być zaparkowany jeden ze swoopów DCztery.

Półtorej minuty później Umiar leciał korytarzem. Pęd rozwiewał mu włosy i wyciskał łzy z oczu. Na szczęście cały Lot Pozagalaktyczny był w stanie alertu i wszyscy albo znajdowali się na stanowiskach, albo pochowali się po kwaterach, więc korytarze były puste. Dotarł do przedniego pylonu, wbił kontrolkę przywołującą turbowindę, ale zamiast pozostawić swoopa na stacji, tak jak powinien, wprowadził go do wagonika. Niech się Cbaoth wścieka

- niech nawet zamknie Uliara za kratkami na kilka dni, jeśli chce. Nieważne, ile go to będzie kosztować, musi zobaczyć się z tym Mitth...cośtam, zanim ten opuści Lot Pozagalaktyczny.

Car'das czekał prawie trzy godziny, zanim Miskara znów wezwał go do sali tronowej.

- Wszystko jest przygotowane - poinformował go Vagaari.

- Natychmiast wylatujemy, aby zemścić się na Mitth'raw'nuraodo i na Chissach.

- Tak jest, Wasza Eminencjo - odparł Car'das i spuścił głowę, usiłując nie patrzeć na pół tuzina świeżych zwłok Geroonów rozrzuconych po sali tronowej. Widocznie Miskara bawił się swoimi nowymi zabawkami.

- Jeszcze raz proszę, abyś pamiętał, że moi towarzysze i statek także tam są, więc poproś swoich żołnierzy o ostrożność.

- Będę pamiętał - obiecał Miskara.

- Zrobię nawet więcej. Postanowiłem, że będziesz mógł oglądać nadchodzącą walkę z najlepszego miejsca.

Car'das poczuł zimny dreszcz na plecach.

- Czy to znaczy, że będę na mostku, Wasza Eminencjo?

- Ależ nie - spokojnie odparł Miskara. - Będziesz w jednym z najbardziej wysuniętych bąbli mojego okrętu flagowego.

Car'das zerknął w bok i zobaczył zmierzających ku niemu dwóch uzbrojonych Vagaari.

- Nie rozumiem - zaprotestował.

- Dałem wam szansę zarówno na zemstę, jak i na zysk.

- Albo szansę trafienia prosto w pułapkę - dodał Miskara nagle lodowatym tonem. - Myślisz, że jestem głupcem, człowieku? Myślisz, że jestem tak zadufany w sobie, że po prostu zbiorę siły szturmowe i rzucę się na rzekomo małą i skąpo obsadzoną bazę Chissów jedynie po to, aby zaspokoić moje pragnienie zemsty?

- Wydał z gardła melodyjny, wielotonowy gwizd.

- Nie, człowieku, nie zamierzam wysłać małego oddziału, który łatwo będzie zniszczyć. Cała moja flota spadnie na tę bazę... a wtedy zobaczymy, jakie naprawdę ma zęby ta chissańska pułapka.

- Chissowie nie zastawili pułapki - upierał się Car'das.

- Przysięgam.

- Więc nie masz się czego obawiać - uciał Miskara.

- Jeśli zniszczymy wroga tak szybko, jak twierdzisz, zostaniesz uwolniony, podobnie jak twoi towarzysze. Jeśli nie... - wzruszył ramionami.

- Będziesz pierwszy, który zginie.

- Przekrzywił lekko głowę.

- Masz jeszcze coś do powiedzenia, zanim cię zabiorą?

Wyznanie winy? Przyznanie się do zdrady?

- Nie, Wasza Eminencjo - odparł Car'das.

- Mam jedynie nadzieję, że twoi żołnierze będą walczyć przeciwko Chissom równie skutecznie, jak

robili to w starciu z innymi przeciwnikami.

- Geroonowie mogą opowiedzieć ci o naszych możliwościach - ponuro powiedział Miskara.

- Ale sam wkrótce ich zobaczysz.

- Machnął ręką.

- Zabrać go.

W pięć minut później Car'das został wepchnięty przez wąskie drzwi do plastikowej bańki bez grawitacji, najwyżej dwa razy większej od trumny. Po jednej stronie głowy miał coś, co przypominało mały zawór i system filtracji powietrza, z drugiej zaś siatkowy worek, zawierający kilka butelek wody i racje żywnościowe, a także romboidalny przedmiot nieznanego przeznaczenia.

Gruba metalowa pokrywa zatrzasnęła się za jego plecami i wiedział już, że kości zostały rzucone. Od tej chwili nie ma wpływu na nic, co się zdarzy.

Miał jedynie nadzieję, że Miskara nie kłamie i że wyśle naprawdę dużą flotę.

R O Z D Z I A Ł 21

Pierwszą niespodzianką dla Lorany był prawie ludzki wygląd Mitth'raw'nuruodo. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją kulturalne i eleganckie zachowanie komandora i jego sposób wysławiania się, kiedy rozmawiał z nią i Cbaothem po drugiej stronie stołu konferencyjnego.

Powód przechwycenia Lotu Pozagalaktycznego, jaki podał, był jednak największą niespodzianką.

Oczywiście, Cbaoth nie był wcale zaskoczony.

- Bzdury - rzekł z pogardą, kiedy Mitth'raw'nuruodo skończył mówić.

- Tajemnicza rasa zdobywców wędrująca przez galaktykę w naszym kierunku? Proszę, nie opowiadaj takich głupstw. Takimi historiami niedobrzy rodzice straszą dzieci.

- Czyżbyś wiedział o wszechświecie wszystko, co tylko można wiedzieć? - uprzejmie zapytał Mitth'raw'nuruodo.

- Odniosłem wrażenie, że ta część przestrzeni nie była ci znana.

- Istotnie - zgodził się Cbaoth.

- Ale plotki i głupie opowiadki nie dają się powstrzymać granicami politycznymi i geograficznymi. Jeśli tak niebezpieczna rasa istniałaby rzeczywiście, z pewnością usłyszeliśmy coś na jej temat.

- A co z Vergere? - zapytała szeptem Lorana, siedząca tuż obok.

- Taka teoria mogłaby wyjaśnić jej zniknięcie.

- Albo i nie - zaproponował Cbaoth.

- Nie trzeba całej rasy najeźdźców, aby uciszyć jednego Jedi.

- Oczy mu zabłyśły.

- Ale uciszyć większą grupę Jedi, to oczywiście całkiem inna sprawa. Natomiast co do tego Dartha Sidiousa, o którym mówisz, jego słowa znaczą dla mnie jeszcze mniej niż plotki i pogłoski. Darth to tytuł lorda Sithów, a Sithowie od dawna zniknęli z galaktyki. A to sprawia, że na starcie stajesz się niewiarygodny.

- Możliwe - odparł Mitth'raw'nuruodo.

- Ale nie przybyłem tutaj, żeby debatować. Faktem pozostaje jedno: nie mogę pozwolić wam lecieć dalej przez ten fragment przestrzeni. Musicie zawrócić do Republiki i przysiąc, że nigdy tu nie wrócicie.

- Bo co? - wyzywająco zawołał Cbaoth.

Rozjarzone oczy Mitth'raw'nuruodo zmierzyły go spokojnie.

- Bo inaczej będę zmuszony was zniszczyć.

Lorana sprężyła się, przygotowana psychicznie na nieunikniony wybuch. Ale Cbaoth tylko uśmiechnął się wyniośle.

- Tak mówi pisklą ptaka do smoka bilinusa. Czy naprawdę sądzisz, że twoje dwanaście stateczków przetrwa choć dziesięć minut w starciu z siłą ognia, jaką dysponuję?

Mitth'raw'nuruodo uprzejmie uniósł brwi.

- Ty sam dysponujesz?

- Moi Jedi czekają w pogotowiu w centrum KomOp nad nami, a także przy wszystkich stanowiskach broni na każdym z dreadnaughtów - wyjaśnił Cbaoth.

- Wkrótce do nich dołączę... a jeśli nigdy nie zetknąłeś się z refleksem i instynktem Jedi, przekonasz się, że to bardzo ożywiające doświadczenie.

Wyraz twarzy Mitth'raw'nuruodo nie uległ zmianie.

- Zapewniam cię, że wiele im to nie pomoże - odrzekł.

- Macie tylko dwie możliwości: albo zabrać swoich ludzi i wracać do domu, albo zginąć. Jak brzmi odpowiedź?

- A może obiecamy, że oblecimy ten rejon naokoło? - zaproponowała Lorana.

Cbaoth spojrział na nią i wyczuła, że zaskoczenie jej śmiałością zmienia się w gniew.

- Jedi Jinzler... - warknął mistrz.

- Myślę o ominięciu całego tego terytorium - ciągnęła Lorana, walcząc z uczuciem niezadowolenia Cbaotha, które naciskało na jej umysł.

- Moglibyśmy przelecieć w inną część Rubieży i stamtąd wykonać skok do następnej galaktyki.

- Nie - stanowczo powiedział Cbaoth.

- To zmusi nas do zboczenia z drogi o tysiące lat świetlnych.

- To byłoby do przyjęcia - zgodził się Mitth'raw'nuruodo, spoglądając na Loraną. - Jeśli oczywiście ominiecie cały rejon wzdłuż waszego bieżącego wektora.

- Wykluczone - zgrzytnął zębami Cbaoth i oczy mu zabłyśły.

- Lorano, zamilcz. Komandorze, nie będziesz mi niczego dyktował. Ani ty, ani nikt inny.

Gwałtownie pchnął w tył swój fotel i wstał, prostując się na całą wysokość.

- Jesteśmy Jedi, najwyższą mocą wszechświata - oświadczył, a jego słowa odbiły się echem po sali konferencyjnej.

- Robimy to, co uważamy za stosowne. I zniszczymy każdego, kto śmie nam stanąć na drodze.

Lorana wytrzeszczyła na niego oczy, czując, że serce podchodzi jej do gardła. Co on mówi? Co robi?

Nie ma emocji, jest spokój...

- W takim razie nasza rozmowa dobiegła końca - rzekł Mitth'raw'nuruodo. Nadal miał spokojny wyraz twarzy, ale kiedy Lorana oderwała oczy od Cbaotha i spojrzała na komandora, wyczuła w nim zdecydowanie, od którego dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Daję wam godzinę na rozważenie mojej oferty.

- Macie zrezygnować z prób zatrzymania nas w tym systemie i zabrać swoje statki z naszej drogi - powiedział ostro Cbaoth.

- Jedna godzina - powtórzył Mitth'raw'nuruodo, lekko odsuwając krzesło, aby wstać.

- Jedi Jinzler, czy możesz odprowadzić mnie do mojego transportera?

- Proszę bardzo, komandorze - odparła Lorana, nie mając odwagi spojrzeć na Cbaotha. Pospiesznie zerwała się z miejsca.

- Proszę za mną.

Kapitan Pakmillu zaoferował kilka osób ze swojej ochrony, aby sprowadzić Mitth'raw'nuruodo na pokład. Oczywiście, Cbaoth zaprotestował, twierdząc, że on i Lorana nie potrzebują takiej demonstracji siły, aby utrzymać obcego komandora na dystans.

Dzięki temu Mitth'raw'nuruodo i Lorana szli teraz sami w kierunku hangaru.

- Wasz mistrz Cbaoth jest arogancki i uparty - zauważył Mitth'raw'nuruodo po drodze.

- Niedobrakombinacja.

- Ale nie tylko to - dodała Lorana.

- Jest również mistrzem Jedi, a więc posiada wiedzę i moc, o jakiej niewiele wiemy. Dla twego własnego dobra, proszę, nie lekceważ go.

- Jeśli jednak ta wiedza jest ukryta, skąd wiadomo, jak daleko sięga?

Lorana skrzywiła się lekko. Niestety, to było dobre pytanie.

- Cóż, ja tego nie wiem - odparła.

- Z pewnością nie jesteś jedyna - zauważył Mitth'raw'nuruodo.

- Musi być więcej takich, którzy przeciwstawiają się tyranii Cbaotha.

Tyrania. Tego słowa Lorana nie miała odwagi użyć nawet w myśli. Ale teraz nagle nie można go już było unikać.

- Wiem, że są - odparła, marszcząc brwi. Przed nimi, pod ścianą korytarza, ujrzała drepczącego niespokojnie w tył i w przód Chasa Uliara z D-Cztery. Bez wątpienia czekał, żeby jej przedstawić jakiś nowy problem.

On jednak nie odezwał się ani słowem, kiedy wraz z Mitth'raw'nuruodo minęli go w przejściu. Odprowadził ich tylko ponurym spojrzeniem.

Obok pojazdu Chissów zaparkowany był drugi wahadłowiec, jeden z transporterów Lotu Pozagalaktycznego. Ciekawe... nie było go tutaj, kiedy przybył dowódca Chissów.

- Nie chcemy skrzywdzić twojego ludu - zapewniła Lorana Mitth'raw'nuruodo, kiedy stanęli na rampie wahadłowca.

- Wierzę ci - odpowiedział.

- Ale sama intencja nie ma tu znaczenia. Wasz los zależeć będzie od waszych czynów.

Lorana przełknęła ślinę.

- Rozumiem.

- Macie godzinę - przypomniał, skłonił się jej lekko, odwrócił się i ruszył do wnętrza pojazdu.

Lorana odsunęła się, aby pozostawić pilotowi większe pole do manewru... i w tym momencie

wyczuła znajomą obecność. Obejrzała się - w jej stronę zmierzał Uliar.

Za nim, z zimnym ogniem w oczach, podążał Cbaoth.

- Jedi Jinzler - odezwał się, kiedy wahadłowiec Mitth'raw'nuruodo minął tarczę atmosferyczną i znikł w ciemności przestrzeni.

- Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie.

Rozmowy trwały dłużej, niż Uliar się spodziewał, miał zatem czas pozbyć się swoopa i znaleźć miejsce w korytarzu wiodącym do hangaru D-Jeden, gdzie mógł poczekać.

Czekał już od dwudziestu minut. Przez ten czas napięcie ustąpiło, a potem znów zaczęło narastać.

Gdzie, do licha, był Pressor i pozostali?

Oczywiście, mógł wezwać Pressora i zapytać. Ale rozmowy przez komunikator pomiędzy poszczególnymi dreadnaughtami przechodziły przez centralę. Jeśli Cbaoth przejął system łączności tak samo, jak przejął wszystko inne, wówczas zorientuje się natychmiast, że Uliar nie jest tam, gdzie powinien być, to znaczy na D-Cztery - i domyśli się, że coś się święci.

A potem, kiedy próbował wymyślić inny sposób, aby znaleźć Pressora, ujrzał idących korytarzem Loraną Jinzler i niebieskoskórego humanoida o płonących czerwonych oczach, który musiał być komandorem Mitth'raw'nuruodo.

A więc rzeczywiście był członkiem nieznannej rasy, a przynajmniej takiej, której Uliar nigdy nie widział. Co ważniejsze, ani ze stroju, ani z innych oznak nie można było wywnioskować, czy jest jakimś ważnym urzędnikiem z Coruscant. Uliar skrzywił się; część jego nadziei umarła bezpowrotnie.

Ale tylko część. Nieważne, czy był rzeczywiście dowódcą wojsk, czy tylko piratem z fałszywym tytułem, Mitth'raw'nuruodo wydawał się zdecydowany nie wpuścić Lotu Pozagalaktycznego na swoje terytorium. Jeśli Uliar zdoła go przekonać, żeby zmusił ich do powrotu do Republiki... a nawet jeśli on i jego banda zdołają tak ogołocić Lot Pozagalaktyczny z zapasów, żeby Pakmillu musiał wrócić po nowe - wciąż jeszcze będą mogli dotrzeć do Palpatine' a i skłonić go, aby zrobił coś z rosnącą tyranią Cbaotha.

W ostateczności Uliar i pozostali zdobędą wówczas szansę, żeby uciec ze statku i jeszcze coś zrobić ze swoim życiem.

Jinzler i Mitth'raw'nuruodo zbliżali się... a skoro reszta komitetu wciąż była nieobecna, wszystko zależało od niego. Zaczerpnął tchu i otworzył usta, aby przemówić.

Ale nic z tego nie wyszło. Ku jego przerażeniu gardło i język odmówiły mu posłuszeństwa.

Spróbował drugi raz, i jeszcze raz, patrząc bezsilnie, jak Jinzler i Mitth'raw'nuruodo zbliżają się coraz bardziej; gardło rozboleło go z wysiłku. Ale nic nie wskórał.

Byli już obok niego, mijali go. Próbował zastąpić im drogę, zatrzymać ich przynajmniej do chwili, aż znajdzie sposób, aby odzyskać głos. Ale nogi też go nie słuchały. W milczeniu obserwował, jak odchodzą, nie wiedząc nic o jego bezradności, cierpieniu i potrzebie.

- Myślałeś o tym, żeby mnie zdradzić, Uliar - rozległ się za jego plecami cichy głos.

Kark Uliara działał jeszcze, ale nie musiał się odwracać. Wiedział, kto do niego mówi.

- Naprawdę sądziłeś, że zdołasz przejechać swoopem od dreadnaughta cztery aż tutaj i nikt z moich ludzi w KomOps nie pospieszy mi o tym donieść? - ciągnął Cbaoth. - Zdrada zawsze sama siebie zdradzi.

Uliar poczuł nagle wstrząs, jakby zwolnił się w nim jakiś uchwyt; poczuł, że jego gardło uwolniło się z więzów Cbaotha.

- To nie zdrada - wychrypiał.

- Chcemy odzyskać naszą misję.

- Moją misję - ponuro sprostował Cbaoth.

- Moją misję, Uliar. Kto jeszcze jest w tej żalösnej, nędznej konspiracji?

Uliar nie odpowiedział.

- Cóż, zobaczymy - rzekł Cbaoth.

- Zachowuj się dyskretnie, jeśli można prosić.

Jak gdyby Uliar miał jakiś wybór. Z ręką Cbaotha swobodnie spoczywającą na jego ramieniu ruszył korytarzem za Jinzler i niebieskoskórym mężczyzną. Dotarli do hangaru w tym samym czasie, kiedy tamci podeszli do statku Mitth'raw'nuruodo. O kilka kroków od niego stał jeden z wahadłowców Lotu Pozagalaktycznego.

Uliarowi nagle zaparło dech w piersi, bo zrozumiał, dlaczego reszta komitetu się nie zjawiła. Pressor, zamiast wlec za sobą wszystkich przez niezliczone turbowindy i korytarze, niczym zaimprovizowaną paradę, załadował ich na pokład jednego z wahadłowców D-Cztery i poprosił Mosha, żeby ich przewiózł.

A to oznaczało, że wciąż istnieje jakaś szansa. Pressor musiał już tylko otworzyć włącz i zanim Cbaoth się zorientuje, co się stało, znajdą się przed Mitth'raw'nuruodo, gotowi do składania wyjaśnień. Przecież nawet mistrz Jedi nie będzie w stanie jednocześnie uniemożliwić wszystkim

mówienia.

Ale właz nie otworzył się. Uliar znów poczuł, że język odmawia mu posłuszeństwa i bezradnie patrzył, jak Mitth'raw'nuruodo zamienia kilka słów z Jinzler, po czym wsiada do wahadłowca i zamyka właz.

Ostatnia nadzieja przepadła.

Cbauth lekko pchnął Uliara naprzód.

- A teraz - rzekł z lodowatą satysfakcją - muszę się chwilę zastanowić, co zrobić z wami wszystkimi.

Jinzler na dźwięk kroków odwróciła się, wyraźnie zdziwiona ich obecnością.

- Jedi Jinzler - powitał ją Cbauth. - Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie.

Niedbale machnął ręką w stronę wahadłowca.

Właz otworzył się nagle i wypadli z niego Pressor i Mosh. Sądząc z tego, jak bez

władnie stoczyli się na podłogę hangaru, musieli już od kilku minut bezskutecznie napierać na właz całym ciężarem ciała, gdy Cbauth wreszcie go uwolnił.

- A więc próbowali go otworzyć - mruknął Uliar.

- Oczywiście - z pogardą odparł Cbauth.

- Jeśli jeden swoop nie umknął mojej uwadze, jak mogliście sądzić, że przeoczę cały wahadłowiec?

- Podniósł głos.

- Wy tam... Wszyscy wychodzić, chcę zobaczyć wasze twarze.

- Co się dzieje? - zapytała Jinzler, patrząc na grupę ludzi, którzy w milczeniu schodzili na pokład.

- To, Jedi Jinzler, jest konspiracja - oznajmił Cbauth głosem tak ponurym, jakiego jeszcze u niego nie słyszała.

- Ci ludzie najwidoczniej nie doceniają całej pracy i wysiłku, jaki włożyliśmy w to, aby Lot Pozagalaktyczny okazał się idealnym miejscem do pracy i życia.

- Może po prostu nie uznajemy twojej interpretacji pojęcia „idealny” - odparł Uliar.

- Może nie chcemy być traktowani jak dzieci, które nie mogą decydować same za siebie, co chcą robić ze swoim życiem.

- Czy macie Moc? - odparował Cbaoth.
 - Czy umiecie czerpać z tego, co wiąże kosmos i automatycznie definiuje, co jest najlepsze dla nas wszystkich?
 - Nie wierzę, żeby Moc mogła kontrolować każdy aspekt naszego życia - prychnął Uliar.
 - I z pewnością nie uwierzę, że to ty jesteś wybrańcem, który przemawia w jej imieniu.
- Twarz Cbaotha spochmurniała.
- A kimże ty jesteś, żeby...
 - Mistrzu Cbaoth - rozległ się nagle głos.
- Uliar obejrzał się. U wejścia do hangaru, z twarzą jak wykutą z kamienia, stał mistrz Ma'Ning.
- Proszę na dwa słowa - rzekł.
 - Natychmiast.
 - Co tutaj robisz? - huknął Cbaoth i Lorana wyczuła emanujące z mistrza zaskoczenie i podejrzliwość. - Powinieneś być na swoim stanowisku.
 - Proszę cię na słowo, jeśli można - powtórzył Ma'Ning. Prychając z niechęcią, Cbaoth ruszył w jego stronę. Lorana zawahała się chwilę, po czym podążyła za nim.
 - Lepiej, żeby to było coś ważnego - ostrzegł Cbaoth drugiego mistrza Jedi.
 - Mamy sporo roboty.
 - To jest ważne - odparł Ma'Ning, starannie kontrolując ton głosu.
 - W ciągu ostatnich kilku dni spędziłem wiele czasu na rozważaniach i medytacjach dotyczących sytuacji na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego... i doszedłem do wniosku, że przekroczyliśmy nasze kompetencje jako strażnicy i doradcy tych ludzi.
 - Bądź ostrożny, mistrzu Ma'Ning - ostrzegł Cbaoth z groźbą w głosie.
 - Mówisz do prawowitego i legalnie wybranego przywódcy tej wyprawy.
 - Jesteś nim istotnie - zgodził się Ma'Ning.
 - Ale nawet najpotężniejsi i najmądrzejsi Jedi czasem błędzą. Moim zdaniem w swoim zapale mentora przekroczyłeś granicę dobrego rządzenia.

- Twoja opinia jest błędna - spokojnie powiedział Cbaoth.

- Robię tylko to, co jest niezbędne... i tylko tyle, aby misja toczyła się gładko.

- Inni nie zgodziliby się z tobą - odparł Ma'Ning, przenosząc wzrok nad ramieniem Cbaotha na członków załogi i ich rodziny, skupione wokół wypożyczonego wahadłowca.

- W każdym razie o tej sprawie będą teraz decydować wszyscy Jedi na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego.

Cbaoth cofnął się lekko.

- Chcesz powiedzieć, że zwołano Krąg Sądu?

- W istocie, mistrzu Cbaoth. Przeprowadziłem już niezbędne przygotowania - odparł Ma'Ning.

- Krąg zbierze się natychmiast, jak tylko zostanie rozwiązana sprawa z Chissami.

Przez długą chwilę obaj mistrzowie spoglądali na siebie w milczeniu i Lorana czuła napięcie iskrzące na linii między ich oczami.

- Niech się więc zbiera - rzekł Cbaoth w końcu.

- A kiedy dobiegnie końca, zrozumiesz, że robię to, co najlepsze dla Lotu Pozagalaktycznego i jego ludzi.

Spojrzał na Lorane.

- Wszyscy to zrozumiecie.

- Znow obejrzał się na Ma'Ninga.

- Ale na razie wciąż jeszcze dowodzę - ciągnął.

- Natychmiast wrócisz na dreadnaughta cztery i przygotujesz się do bitwy. Usta Ma'Ninga drgnęły lekko.

- Negocjacje z Chissem nie przyniosły skutku?

- Nie było nic do negocjowania - wyjaśnił Cbaoth.

- Wracaj na dreadnaughta cztery.

Oczy Ma'Ninga prześliznęły się po Loranie, jakby zastanawiał się, czy nie powinien zapytać jej o zdanie. Jeśli jednak nawet tak uważał, pytanie pozostało niewypowiedziane.

- Oczywiście - powiedział, spojrzawszy znów na Cbautha, odwrócił się i wyszedł z hangaru.

Cbauth odetchnął głęboko i wypuścił powietrze z płuc w długim, kontrolowanym westchnieniu.

- Wiedziałaś o Kręgu? - zapytał spokojnie. Lorana pokręciła głową.

- Nie.

- Strata czasu - wzgardliwie ocenił Cbauth.

- Cóż, jeśli miałyby to zakończyć ten niebezpieczny rozdźwięk, to niech sobie zwołuje ten swój Krąg. A teraz chodź.

Odwrócił się i poprowadził ją w stronę grupy Uliara.

- Ciekawe, o czym gadają - mruknął Pressor u boku Uliara.

- Nie mam pojęcia - odparł Uliar, uważnie przyglądając się trójce Jedi. Nawet gdyby byli bliżej, fatalna akustyka hangaru prawdopodobnie uniemożliwiłaby podsłuchanie ich rozmowy.

Jednak ani odległość, ani zła akustyka nie mogły ukryć wyrazu ich twarzy. Dla Uliara było aż nadto jasne, że żadne z nich nie jest szczególnie uszczęśliwione.

- Może wreszcie sobie coś wygarną - domyślił się.

- Wątpię - odparł Pressor.

- Jedi trzymają się razem jak płyty podłogi zespawane na gorąco.

- Tak, zauważyłem - kwaśno zgodził się Uliar.

- Prawdopodobnie chodzi teraz o różnicę zdań, jak przywalić temu Mith...coś-tam.

- Przypuszczalnie - zgodził się Pressor i odchrząknął.

- Wiesz, Chas, przyszło mi do głowy, że wciąż mamy jedną kartę przetargową - dodał, zniżając głos jeszcze bardziej. - W obszarze magazynowym tylnego reaktora stoi kilka Drozdek, zapakowanych na wypadek konieczności obrony przed intruzami. Gdybyśmy je wypakowali i wypuścili, nawet Jedi musieliby się obudzić i zauważyć.

- O, tak, zauważą z całą pewnością - prychnął Uliar.

- Ciała leżące pod nogami zdradzą nas na pewno. Te zabawki są zbyt niebezpieczne, aby mogli się nimi bawić amatorzy.

- Może i masz rację - przyznał Pressor.

- Ale i tak...

- Koniec przerwy - wpadł mu w słowo Uliar, kiedy Jedi przestali rozmawiać i zaczęli się rozchodzić. Ma'Ning odwrócił się i opuścił hangar, Cbaoth i Jinzler zaś rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym zawrócili w stronę wahadłowca. Uliar ocenił, że wyglądają jeszcze bardziej nieszczęśliwie niż przedtem.

Jedi dotarli do milczącej grupki i przez moment Cbaoth przyglądał się każdemu po kolei, jakby próbował zapamiętać ich twarze.

- Jedi Jinzler, odprowadzisz tych ludzi z powrotem na dreadnaughta cztery - polecił wreszcie.

- Albo nie. Zabierz ich lepiej do rdzenia magazynowego i umieść w centrum szkoleniowym Jedi.

Jinzler wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

- Centrum szkoleniowe?

- Nie obawiaj się, tam jest naprawdę dużo miejsca - powiedział Cbaoth.

- Kazałem wszystkim uczniom przejść do centrum KomOp na dreadnaughtcie jeden, aby mogli bezpiecznie obserwować więź bitewną.

- Ale oni będą tam zamknięci! - Spojrzenie Jinzler powędrowało poza Uliara, w kierunku dzieci ściskających ręce rodziców.

- Poza tym jest pełny alarm bojowy - dodała.

- Wszyscy muszą być na swoich stanowiskach.

- Chcesz, żeby mogli przekazywać swoje szaleństwo innym? - oburzył się Cbaoth.

- W centrum będą bezpieczni i z dala od kłopotów, dopóki nie wymyślę jakiegoś bardziej trwałego rozwiązania.

Jinzler próbowała zdobyć się na odwagę. - Mistrzu Cbaoth...

- Masz słuchać moich rozkazów, Jedi Jinzler - warknął C' baoth. Uliar wyczuł w jego głosie ciężar woli, wiedzy i lat.

- Teraz, pomiędzy Chissami a grą, jaką prowadzi ten łajdak Sidious, Lot Pozagalaktyczny nie ma czasu na załatwianie wewnętrznych sporów.

Umiar zauważył, że przelotny błysk protestu w oczach Jinzler nagle znikł.

- Tak, mistrzu Cbaoth - wymamrotała.

Obrzuciła ostatnim spojrzeniem ludzi zebranych na pokładzie. Cbaoth odwrócił się i odszedł.

- Uliar, pójdziecie ze mną? - zapytała łagodnie, unikając jego wzroku.

Uliar spojrział na oddalające się plecy Cbaotha. Kiedyś, obiecał sobie. Kiedyś.

- Słyszeliście naszego ukochanego mistrza Jedi - warknął.

- Wszyscy do wahadłowca.

Pulsujące hiperprzestrzenne niebo przepływało obok okrętu Va-gaarich, bliższe i bardziej przerażające, niż Car'das kiedykolwiek je oglądał. Teraz, gdy od kosmicznych fal dzieliła go tylko cienka warstwa plastiku, nie umiał pozbyć się wrażenia, że w każdej chwili mogą przebić pęcherz i wyrwać go z tej wątpliwej oazy bezpieczeństwa, jaką stanowił bąbel na powłoce, żeby skończył w niezrozumiałej przestrzeni wszechświata. Próbował zamknąć oczy albo patrzeć wyłącznie na powłokę, ale z niewiadomych powodów czuł się przez to jeszcze gorzej.

A podróż do Crustai ma trwać całe sześć godzin - sześć godzin niepewności i cierpień duszy, i napięcia emocjonalnego, kiedy hiperprzestrzenne niebo chłoczce jego przezroczystą trumnę. Zastanawiał się, czy dotrwa do końca podróży przy zdrowych zmysłach. Nie dane mu było tego sprawdzić. W mniej niż dwie godziny po opuszczeniu planety Geroonów, hiperprzestrzenne niebo zestaliło się w linie gwiazd, a potem w świetliste punkty. Za jego plecami rozległo się ciche kliknięcie.

- Człowieku! - warknął mu prosto w ucho głos Miskary. Car'das podskoczył, uderzając głową o zimny plastik. Co, do wszystkich...?

- Człowieku! - rozległ się znowu głos.

Tym razem zrozumiał, że pochodzi on z romboidalnego urządzenia, nad którym zastanawiał się wcześniej. Widocznie była to wersja komunikatora Vagaari. Sięgnął niezgrabnie przez ramię i chwycił urządzenie.

- Tak, Wasza Eminencjo?

- W jaką pułapkę nas wciągnąłeś? - zapytał Vagaari, a ciało Car'dasa przebiegł zimny dreszcz.

- Nie rozumiem - zaprotestował Car'das.

- Czy wasi ludzie wprowadzili niewłaściwe współrzędne do komputera pokładowego?

- Zostaliśmy zbyt wcześnie sprowadzeni do przestrzeni - syknął Miskara.

- Użyto przeciwko nam skradzionej sieci na statki.

Za plecami Car'dasa rozległ się cichy trzask zamków. Ktoś przygotowywał się do otwarcia jego

więzienia.

- Ale jak Chissowie mogli coś takiego zaplanować? - zapytał, szukając rozpaczliwie słów, zanim włąz się otworzy. Jeśli teraz postawią go przed obliczem Miskary,

prawdopodobnie umrze szybką i bardzo nieprzyjemną śmiercią.

- Widocznie użyli jej na kogoś innego, a my przypadkiem się na nią natknęliśmy.

- Mając do wyboru całą przestrzeń? - prychnął Miskara. Mimo wszystko Car'das odniósł wrażenie, że gniew władcy zaczyna mijać.

- To nie ma sensu.

- Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy - upierał się Car'das, czując, że pot zalewa mu czoło.

Za jego plecami włąz otworzył się z trzaskiem. Car'das spał się, ale Vagaari tylko wcisnęli mu do ręki makrolornetkę z wahadłowca Chissów.

- Patrz przed siebie - rozkazał głos Miskary.

- Opowiedz mi historię tego statku.

Włąz za jego plecami znów się zatrzęsął. Car'das odetchnął z ulgą, włączył makrolornetkę i spojrzał na niebo przed okrętem.

Obiekt zainteresowania Miskary nie był trudny do wykrycia. Wyglądał jak zestaw sześciu statków, ogromnych statków, rozmieszczonych wokół cylindrycznego rdzenia o stożkowych zakończeniach.

Lot Pozagalaktyczny.

Odetchnął ostrożnie.

- Nigdy w życiu nie widziałem niczego podobnego - powiedział do Miskary.

- Ale pasuje do opisu dalekosiężnego projektu badawczokolonizacyjnego o nazwie Lot Pozagalaktyczny. Na tych statkach jest pięćdziesiąt tysięcy moich ziomeków, a w rdzeniu znajdują się zapasy, które mogą ich wyżywić przez wiele lat.

- A ile mają maszyn bojowych?

- Tego nie wiem - odparł Car'das.

- Na pewno jest ich trochę, szczególnie tych większych, trójnogich droidek, które mają służyć jako strażnicy granic kolonii. Pewnie parę setek. Większość ich robotów to typy usługowe i naprawcze. Tych mogą mieć nawet ze dwadzieścia tysięcy.

- Czy ci mechaniczni niewolnicy mają takie same sztuczne mózgi i mechanizmy jak walczące maszyny?

Car'das skrzywił się. Aż nadto wyraźnie widział, do czego zmierza Miskara.

- Prawdopodobnie można by je zaadaptować do jakiegoś rodzaju walki - zgodził się.

- Ale ci ludzie raczej nie oddadzą ich wam tak po prostu. A dreadnaughty są wyposażone w broń.

- Wzrusza mnie twoja troska - zadrwił Miskara.

- Ale my jesteśmy Vagaari. Bierzemy to, co chcemy.

Rozległo się kliknięcie i komunikator ucichł.

- Właśnie - mruknął Car'das.

- Też o tym słyszałem.

- Popatrz - rzekł Mitth'raw'nuruodo, wskazując palcem przez owiewkę „Springhawk”. - Widzisz ich, komandorze?

- Trudno nie zobaczyć - wychrypiął Dorian przez zaciśnięte gardło, obejmując spojrzeniem setki obcych statków, które nagle pojawiły się na krawędzi pułapki grawi

tacyjnej Mitth'raw'nuruodo.

- Kim oni są, do wszystkich światów?

- To nieosiadła rasa niszczycieli i rabusiów zwanych Vagaari

- wyjaśnił Mitth'raw'nuruodo.

- A co tu robią? - zapytał Kav drżącym głosem.

- Jak nas znaleźli?

- Podejrzewam, że możemy za to podziękować Car'dasowi

- spokojnie wyjaśnił Mitth'raw'nuruodo.

- Przypadkiem ten system znajduje się na linii łączącej ostatnie miejsce, gdzie widziano Vagaari, i moją bazę Crustai.

Doriana wytrzeszczył oczy.

- Chcesz powiedzieć, że Car'das cię zdradził?

- Car'das ma własne problemy i priorytety.

- Mitth'raw'nuruodo lekko uniósł brwi i znacząco spojrział na Dorianę.

- Jak my wszyscy.

Trudno było udzielić dobrej odpowiedzi na te słowa, zwłaszcza takiej, którą Dorianą mógłby wypowiedzieć na głos.

- Co z nimi zrobimy? - zapytał tylko.

- Poczekajmy, niech nam zdradzą swoje zamiary - rzekł Mitth'-raw'nuruodo i zwrócił wzrok na owiewkę mostka.

- Może zechcą współpracować.

Doriana zmarszczył brwi.

- Jak to współpracować? Mitth'raw'nuruodo uśmiechnął się blado.

- Cierpliwości, komandorze. Zaczekamy, zobaczymy.

- Przybyli całkiem nagle - rozległ się głos Cbaotha w komunikatorze Lorany, spokojny, ale z dziwną intonacją.

- Podejrzewam, że to jakiś wybieg Chissa.

- Co oni robią? - zapytała Lorana, nie podnosząc głosu. Patrzyła na szereg mężczyzn, kobiet i dzieci, wędrujących wzdłuż stosów skrzyń w kierunku centrum szkolenia Jedi. Nie było sensu martwić tych ludzi bardziej.

- Na razie tylko czekają - wyjaśnił Cbaoth.

- Kapitan Pakmillu poinformował mnie, że konstrukcja ich statku jest zdecydowanie odmienna od chissańskiej, ale to oczywiście nie musi nic znaczyć.

- Pytałeś już o nich komandora? - zapytała Lorana. Uliar, idący na końcu szeregu więźniów, obejrzał się przez ramię, zwolnił i skierował się w jej stronę.

- Może oni nie mają z nim nic wspólnego.

- Skoro mają do dyspozycji cały kosmos? - parsknął Cbaoth.

- Daj spokój.

- Co się dzieje? - cicho spytał Uliar.

Lorana zawahała się. Ale... przecież dotyczyło to całego Lotu Pozagalaktycznego.

- Przybyła jakaś niezidentyfikowana flota - wyjaśniła.

- Ponad dwieście statków, z czego ponad setka to okręty wojenne.

- Z kim rozmawiasz - zapytał Cbauth.

- Próbujemy się zorientować, czy to statki Chissów, ich sojusznicy czy całkiem ktoś inny - ciągnęła Lorana, ignorując mistrza.

- Jakie są emisje ich reaktorów? - zapytał Uliar.

- Czy mają podobne widmo jak statki tego Mitth...cośtam, czy inne?

- Kto tam jest? - dopytywał się Cbauth.

- Jedi Jinzler!

- Technik reaktora Uliar mówi - powiedziała Lorana - że może zdoła wywnioskować ich tożsamość lub przynależność na podstawie widma emisji reaktora.

- A co technik reaktora Uliar robi poza więzieniem, w którym zaleciłem osadzić jego i jego współników w konspiracji? - jadowicie spytał Cbauth.

- Jesteśmy w drodze na miejsce - odparła Lorana, czując, jak jej determinacja ulatnia się pod naciskiem osobowości mistrza.

- Pomyślałam, że skoro Uliar jest ekspertem w tych sprawach...

- Tu też mamy ekspertów - uciął Cbauth.

- Lojalnych ekspertów. Skoncentruj się na wsadzeniu Uliara do miejsca, skąd nie będzie mógł więcej szkodzić, i zostaw flotę obcych...

Urwał, bo w tle odezwał się nagle melodyjny głos, a może nawet dwa.

- Co się dzieje? - spytała Lorana.

- Chyba nas wywołują - rzekł Cbauth. Obce głosy przybrały na sile, gdy mistrz Jedi zbliżył się do głośników na mostku.

Lorana słuchała uważnie. Był to obcy, dziwny język, bardzo melodyjny, z wyraźnym zaśpiewem.

- Uliar? - szepnęła.

Pokręcił głową, marszcząc czoło w skupieniu.

- Nigdy nie słyszałem niczego podobnego - odpowiedział również szeptem.

- Ale to nie brzmi jak język istot podobnych do ludzi, jak na przykład Chissowie.

Lorana skinęła głową na znak, że podziela jego zdanie.

- Mistrzu Cbaoth? - zawołała.

- To nie brzmi jak...

- Zaprowadź wreszcie konspiratorów do miejsca odosobnienia, Jedi Jinzler - przerwał jej Cbaoth.

- A potem idź na dreadnaughta cztery i zgłoś się do mistrza Jedi Ma'Ninga w blisterach artylerii.

Rozległo się kliknięcie i mistrz wyłączył komunikator. Lorana westchnęła.

- Tak jest, mistrzu Cbaoth - mruknęła i wsunęła swój komunikator za pasek.

- Mamy problem, prawda? - cicho zapytał Uliar.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła go Lorana, usiłując przekazać mu pewność siebie, której sama nie odczuwała. Najpierw Mitth'raw'nuruodo, a teraz to nowe zagrożenie... tymczasem cała obrona Lotu Pozagalaktycznego pozostaje wyłącznie na barkach garstki Jedi.

I nagle ogarnęły ją bardzo złe przeczucia.

- Muszę iść na D-cztery i dołączyć do mistrza Ma'Ninga - powiedziała Uliarowi. Wprowadź swoich ludzi do środka, a kiedy wszystko trochę się uspokoi, postaram się

załatwić wasz problem.

- To nie jest nasz problem - prychnął Uliar. Skrzywiła wargi z goryczą.

- Wiem - przyznała.

- Nie martw się. Naprawimy to.

- Nie odpowiadają, bo prawdopodobnie was nie rozumieją - wyjaśniał Car'das z całą cierpliwością, na jaką pozwalało mu łomoczące w piersi serce.

- Jak powiedziałem, są z tego samego rejonu przestrzeni co ja, a my nie znamy języka potężnych i szlachetnych Vagaarich.

- Wkrótce się go nauczycie - obiecał mu Miskara.

- Na razie posłuchasz nam za tłumacza.

Car'das skrzywił się. Tylko tego mu było trzeba: żeby ludzie na Locie Pozagalaktycznym pomyśleli, że jest renegatem lub, co gorsza, zdrajcą. Cokolwiek będzie musiał...

- Oczywiście, Wasza Eminencjo - rzekł.

- Wyrażam swoją gotowość, aby służyć Miskarze i ludowi Vagaarich, jak tylko sobie życzą.

- Jasne, jasne - odparł Miskara, jakby nawet cień wahania ze strony Car'dasa był nie do pomyślenia.

- Powiedz mi najpierw, jak głęboko w statkach mogą być ukryte maszyny walczące. Czy są na powierzchni, czy gdzieś głęboko?

- Raczej głęboko - odparł Car'das; nie miał wprawdzie pojęcia, czy mówi prawdę, ale nie zamierzał zastanawiać się nad tym.

- To dobrze - ucieszył się Miskara.

- Możemy zatem zniszczyć, co chcemy, nie narażając naszego łupu.

Po skórze Car'dasa przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Biorąc pod uwagę setkę okrętów wojennych Vagaarich, przesłaniających gwiazdy w okolicznej przestrzeni, słowa Miskary równały się właściwie wyrokowi śmierci.

I to on właśnie pokazał Vagaarim ten kierunek, on ich naprowadził na ślad.

- A teraz ty będziesz mówił - zdecydował Miskara.

- Powiesz tak: wy na statku znanym jako Lot Pozagalaktyczny, jesteście Vagaari. Poddajcie się albo zostaniecie zniszczeni.

R O Z D Z I A Ł 22

Lorana spojrzała na Ma'Ninga przez blister wieżyczki działka, zobaczyła jego mocno zaciśnięte usta. Pierwszy głos z nieznanego statku z pewnością nie należał do człowieka. Za to ten z równą pewnością określiłaby jako ludzki.

A człowiek ten mówił w języku basie. Niedobrze.

- Jeniec z Republiki? - podsunęła.

- Albo zdrajca - ponuro odparł Ma'Ning.

- Tak czy owak, to znacznie utrudnia całą sprawę.

- Wcale nie - odezwał się z głośnika komunikatora głos Cbaotha.

- Nawet zdrajca nie mógł im nic powiedzieć na temat skoordynowanej obrony, jaką umożliwia więź bitewna Jedi.

- Mając ponad sto okrętów wojennych do dyspozycji chyba nie będą się specjalnie martwić o szczelność naszej obrony - odparował Ma'Ning.

- Cierpliwości, mistrzu Ma'Ning - odparł Cbaoth lodowato spokojnym głosem.

- Uwierz w Moc.

- Ruszają - wtrącił się nagle kapitan Pakmillu.

- Wszystkie stanowiska dział gotowe.

Lorana odetchnęła głęboko i sięgnęła w Moc po siłę i spokój. Oto nadeszła ta chwila: pierwszy prawdziwy test metod kontroli Jedi. Cbaoth spędził mnóstwo czasu, ucząc ją tego.

- Co, do wszystkich... - Ma'Ning pochylił się niżej nad ekranami czujników. - Mistrzu Cbaoth...?

- Widzę - odparł Cbaoth.

- A więc z takim wrogiem przyszło nam walczyć!

- Co to jest? - zapytała Lorana, obracając się z fotelem do własnych ekranów.

- Spójrz na okręty - poradził Ma'Ning.

- Widzisz te przezroczyście bąble na powłóce?

Lorana zgięła się od bólu w piersi.

- Tam są żywe istoty!

- Żywe tarcze - potwierdził Cbaoth głosem ociekającym pogardą.

- Najbardziej tchórzliwy i nędzny pomysł na obronę, jaki kiedykolwiek stworzono.

- I co robimy? - zapytała Lorana z nagłym drżeniem w głosie.

- Nie możemy ich tak po prostu pozabijać.

- Odwagi, Jedi Jinzler - odparł Cbaoth.

- Będziemy strzelać pomiędzy zakładnikami.

- To niemożliwe - zaprotestował Ma'Ning.

- Nawet dla strzelców Jedi. Turbolasery po prostu nie są dość dokładne.

- Uważasz mnie za głupca, mistrzu Ma'Ning? - kąśliwie spytał Cbaoth.

- Oczywiście, że nie będziemy strzelać, dopóki nie znajdziemy się w odległości umożliwiającej dokładne celowanie.

- A przez ten czas będziemy zbierać od nich cięgi? - odparował Ma'Ning.

- Raczej nie - zapewnił Cbaoth ze złośliwą satysfakcją.

- Vagaarich czeka niespodzianka. Do wszystkich Jedi: przygotować więź. Sięgnąć w Moc i... na Vagaarich.

- Nie odpowiedzieli - oskarżycielskim tonem odezwał się Miskara, jakby milczenie Lotu Pozagalaktycznego było winą Car'dasa.

- Może wciąż się naradzają między sobą, Wasza Eminencjo

- podsunął Car'das. Błądził wzrokiem po niebie. Statki Vagaarich zaczęły zmniejszać dystans do Lotu Pozagalaktycznego, przegrupowując się w ciasne formacje grona, dzięki którym mogli skorzystać z nakładających się tarcz przednich.

Przygotowywali się do ataku.

A Lot Pozagalaktyczny wciąż milczał. Thrawn też, jeśli chodzi o ścisłość. Przecież jego statki muszą gdzieś tutaj być. Ale gdzie?

- Przekażesz im nową wiadomość - rozkazał Miskara.

- Czas na rozmowy dobiegł końca. Poddacie się zaraz albo...

W połowie zdania jego głos nagle zmienił się w niezrozumiały bełkot.

Car'das zmarszczył brwi, przyciskając komunikator do ucha. Cały mostek wydawał się pogrążony w tym samym bezradnym bełkocie, jakby cała załoga dostała nagle ataku zbiorowego obłądu.

Podejrzewał, że tak właśnie się stało.

Spojrzał raz jeszcze na Lot Pozagalaktyczny i poczuł nieprzyjemny dreszcz. Słyszał wiele opowieści o tym, jak Jedi potrafią wykorzystywać sztuczki z kontrolą umysłów, by dezorientować atakujących - stosując wszystko, od fałszywych dźwięków w ich uszach po triki uniemożliwiające prawidłową koncentrację na sterach lub celowniku. Ale choć legendy wspominały, że duża grupa Jedi może używać tej siły na wielką skalę, nigdy nie słyszał oczymś podobnym. Aż do tej chwili. Wiedział, że wszystko skończone. Reszta była tak oczywista i nieunikniona jak orbita planety.

Z komunikatorem wciąż przyciśniętym do ucha kucnął i czekał na koniec.

- A zatem wasze opowieści były prawdziwe - mruknął Mitth'raw'nuruodo.

- Wasi Jedi sięgnęli poprzez przestrzeń do Vagaarich i otumanili lub zniszczyli ich umysły.

- Tak się wydaje - zgodził się Dorian, również dosyć oszołomiony. Nawet jeśli

dotknięci obłądem zostali jedynie dowódcy i artylerzyści Vagaarich, i wiedząc, że obcy nie mieli pojęcia, co ich czeka, dokonanie Jedi wydawało się imponujące.

A przecież grupa mistrzów i rycerzy Jedi nie była wcale duża. Oczywiście to Kev przerwał pełne szacunku milczenie.

- A my co, mamy tylko siedzieć i nic nie robić? - zapytał.

- Mamy zrobić to, po co przylecieliśmy - odrzekł Mitth'-

raw'nuruodo. Sięgnął do pulpitu i przerzucił przełącznik.

- Czas zlikwidować Vagaarich.

- Vagaarich? - powtórzył Kav.

- Nie! Daliśmy ci moje myśliwce, żebyś ich użył przeciwko Lotowi Pozagalaktycznemu!

- Nikt mi nie dawał żadnych myśliwców - chłodno poprawił go Mitth'raw'nuruodo. Przed nimi robomyśliwce właśnie wznosiły się stadami ze stanowiska na asteroidzie i z pełną prędkością

ruszały w kierunku okrętu Vagaarich.

- I to ja wybieram, jak ich użyć.

Kav warknął coś w swoim języku.

- Nie ujdzie ci to na sucho - syknął w basicu.

- Uważaj na to co mówisz, wicelordzie - ostrzegł Mitth'-raw'nuruodo, błyskając ostrzegawczo czerwonymi oczami.

- Nie zapominaj, że myśliwce nie są jedyną neimoidiańską technologią, którą od was dostałem.

Doriana poczuł nagle łaskotanie na karku. Obejrzał się, pewien, że dwie droideki, które Mitth'-raw'nuruodo zabrał z „Darkvenge” stoją za nimi w pełnej gotowości bojowej.

Ale nic nie zobaczył.

- Nie, komandorze, robotów bojowych tutaj nie ma - uspokoił go Mitth'-raw'nuruodo.

- Są tam, gdzie ich obecność może się bardziej przydać.

- To znaczy? - zapytał Doriana.

- A gdzieżby? - uśmiechnął się lekko Mitth'-raw'nuruodo.

- Na mostku statku flagowego Vagaarich.

Zwielokrotniony łaskot miotaczy rzucił Car'dasem w bok. Gwałtownie odsunął komunikator od ucha i uderzył łokciem w ściankę bąbla. W głowie wciąż huczała mu rytmiczna kanonada miotaczy droidek, do której wkrótce dołączyły bardziej przypadkowe serie z rusznic robotów bojowych. Widocznie Thrawn wprowadził do nich wtórny wzorzec sterowania, ukryty pod programem skonfigurowanym później przez Car'dasa dla Miskary. Odgłosy strzelaniny przybrały na sile, kiedy sześć robotów zaczęło przemieszczać się po mostku, kosząc bezradnych artylerzystów i dowódców.

Podczas kiedy roboty systematycznie wybijały najwyższą hierarchię Vagaarich, nadleciały robomyśliwce.

Pierwsza i druga fala śmignęła Car'dasowi nad głową, nie zwalniając; prześlizgnęły się nad powłoką niecałe pięć metrów od jego twarzy i skierowały się do pozostałych okrętów Vagaarich. Trzecia fala nadleciała już w pełni przygotowana do boju, a ich działa laserowe zaczęły ciąć okręt flagowy potężnymi ścianami ognia. Car'das odskoczył w tył, ale zanim zdążył się naprawdę przerazić, już ich nie było. Pozostawiły za sobą jedynie strzępy pancerza i białe smugi uciekającej atmosfery. Mrugając, aby odpędzić purpurowe powidoki, Car'das rozejrzał się ostrożnie po sąsiednich pęcherzach. Obawiał się, co może zobaczyć.

Ale myśliwce były lepsze, niż sądził. Wszystkie bąble w jego zasięgu wzroku były nienaruszone, a zamknięci w nich Geroonowie ciągle żyli - oczywiście byli przerażeni, niektórzy drapali bezsilnie plastik, jakby chcieli wykopać sobie drogę na zewnątrz, ale żyli. Teraz, kiedy Jedi z Lotu Pozagalaktycznego uniemożliwili Vagaarim obronę okrętu, przy udziale dokładnych elektronicznych systemów celowniczych robotów i dzięki bardzo małemu dystansowi, myśliwce pocięły pancierz na kawałki pomiędzy żywymi tarczami Vagaarich.

I nie tylko na pokładzie okrętu flagowego. Car'das widział wokół siebie chmury szczątków i uciekającego powietrza, spowijające pozostałe okręty, rozświetlone i migoczące od łuny napędów myśliwców, które wykańczały jeden cel i przemieszczały się do następnego. Car'das obliczył, że już w pierwszym ataku myśliwce Thrawna zniszczyły jedną czwartą napastników.

A pozostali nadal nie odpowiadali. Wiedział, że teraz najważniejsze jest, aby Jedi kontrolowali sytuację na tyle długo, by Thrawn mógł dokończyć zadanie. Włączył makrolometkę i jednym uchem wsłuchując się w odgłosy rzezi na mostku, skoncentrował się na Locie Pozagalaktycznym.

Lorana nigdy wcześniej nie doznała podobnego uczucia. Nie śniła nawet o nim i nie miała nadziei go poznać, więc była zupełnie nieprzygotowana. Pograżona w więzi bitewnej Jedi, podczas gdy Cbauth sterował nią i innymi i siał zamieszanie wśród dowódców i strzelców Vagaarich, czuła, jak obce umysły, które opanowała, nagle zaczynają eksplodować i umierać.

Nie były to pojedyncze śmierci, drobne zmarszczki w Mocy, które dotykały boleśnie, lecz w kontrolowany sposób w jej świadomości. Nie - te śmierci zalewały ją jak ulewny deszcz, fala za falą strachu, cierpienia i wściekłości waliła w jej zmęczony, wrażliwy umysł. Czuła, że chwieje się na nogach, a dłonie ślepo macają w powietrzu, szukając punktu oparcia, kiedy całe ciało ulegało dezorientacji. Jej głowę i ramię przeszył ostry ból - jak z wielkiego oddalenia dotarła do niej świadomość, że wypadła z fotela i leży na pokładzie. Jej ciało ogarniały niekontrolowane dreszcze; czuła reakcje innych przepływające poprzez więź, karmiące jej słabość tak, jak jej lęk karmił ich ból. Tysiące obcych głosów wyło w jej głowie, tysiące kolejnych czekało na śmierć...

Za plecami Doriany Mitth'raw'nuruodo odetchnął głęboko.

- Ch'tra - rozkazał.

Flota Chissów ruszyła przed siebie jak jeden statek.

- Czas przyłączyć się do imprezy? - zapytał Doriana, wciąż obserwując w posepnym zdumieniu, jak fale robomyśliwców metodycznie wycinają sobie drogę poprzez okręty Vagaarich.

- Nie - odparł Mitth'raw'nuruodo.

- Czas zacząć własną. Dopiero wówczas Doriana zauważył, że „Springhawk” i ca

ła reszta statków Chissów kieruje się w stronę Lotu Pozagalaktycznego. Zaciśnął pięści i czekał w napięciu, kiedy strzelcy z dreadnaughtów zauważą nowe zagrożenie i otworzą ogień.

Ale nic takiego się nie stało. „Springhawk” przeleciał przez całe pasmo skutecznego zasięgu bojowego turbolaserów, bez przeszkód minął strefę obrony bezpośredniej i z niewielką tylko turbulencją przebił się przez tarczę w okolicy dzioba najbliższego z dreadnaughtów. Pozostałe statki Chissów oderwały się od boków „Springhawka”, rozwijając szyk w kierunku pozostałych dreadnaughtów, natomiast sam „Springhawk” skręcił z wektora przechwytyjącego i ruszył powoli wzdłuż pancierza wybranego dreadnaughta.

I otworzył ogień.

Najpierw ostrzelał blistry z gniazdami dział, a jaskrawobłękitny płomień laserów Chissów pożerał pancierz, kondensatory i sprzęt doładowujący, głęboko wgryzając się w same pęcherze. Następne były generatory pola. „Springhawk” manewrował zygzakiem wzdłuż całego pancierza, po kolei biorąc na cel i niszcząc jedne po drugich. Wszystko to było przeprowadzone perfekcyjnie skutecznie, bez jednego niepotrzebnego ruchu. Widocznie Mitth'raw'nuruodo rzeczywiście dobrze wykorzystał informacje techniczne, które otrzymał.

A potem ku ich zdumieniu „Springhawk” wykonał ostry zwrot, odpadł od pancierza i ruszył w kierunku pustej przestrzeni. Zza rozszerzającej się chmury zniszczenia widać było, że pozostałe statki Chissów robią to samo.

- Co się dzieje? - zapytał, przebiegając wzrokiem niebo w poszukiwaniu nowego zagrożenia, które mogło sprawić, że Mitth'raw'nuruodo postanowił przerwać atak.

- Nic się nie dzieje - odparł Mitth'raw'nuruodo z lekkim zdziwieniem.

- Dlaczego?

- Właśnie przerwałeś atak - zauważył Kev, równie zdumiony jak Doriana.

- A przecież masz ich teraz jak na tacy.

- I właśnie dlatego przestałem strzelać - odparł Mitth'raw'nuruodo.

- Mistrzu Jedi Cbaoth, przywódco Lotu Pozagalaktycznego - powiedział do komunikatora.

- Wasze okręty zostały pozbawione uzbrojenia, zniszczono ich możliwość obrony. Daję wam ostatnią szansę poddania się i powrotu do Republiki.

- Co? - wrzasnął Kav.

- Przecież miałeś ich zniszczyć!

- Jeśli znów obejmiesz dowództwo, wicelordzie Kav, podjęcie takiej decyzji będzie należało do ciebie - zimno stwierdził Mitth'raw'nuruodo.

- Na razie jednak... słyszycie mnie, Lot Pozagalaktyczny? Oczekuję na waszą decyzję.

Przez tumult rozbrzmiewający echemi ginących umysłów, przez dym, szczątki i odległe jęki rannych, Lorana zrozumiała, że umiera.

Uznała, że to z braku tlenu, bo stwierdziła, że jej płuca pracują ciężko, ale nie dochodzi do nich powietrze. Próbowwała sięgnąć w Moc, ale agonia umierających Vagaarich w połączeniu z coraz liczniejszymi echemi śmierci jej własnych towarzyszy nie

pozwalala jej skupić myśli.

Poczuła na nadgarstku zimny, metaliczny dotyk.

Otworzyła oczy i stwierdziła, że to robot serwisowy szarpie ją za rękę.

- Co robisz? - jęknęła i ze zdumieniem stwierdziła, że ma dość powietrza, żeby mówić. Ostrożnie zaczerpnęła tchu.

I poczuła błogi chłód wypełniający jej płuca.

Mruganiem rozpędziła mgłę przesłaniającą jej oczy i rozejrzała się po pomieszczeniu wypełnionym tańczącymi odłamkami. Na suficie nad głową ujrzała długą, postrzępioną wyrwę, bez wątplenia przyczynę nagłej dekompresji blistera. Do rozdarcia przylgnęło kilka sporych arkuszy metalu, które prawdopodobnie oderwały się od ścian. Pełzało po nich sześć małych robotów spawalniczych; sypiąc iskrami szybko mocowały blachę, by załatać otwór.

Po drugiej stronie pomieszczenia, z ramionami wyciągniętymi do góry, by Mocą podtrzymywać nieprzyspawane jeszcze łąty, leżał Ma'Ning.

Lorana widziała tylko górną część jego ciała, bo resztę przesłaniały spiętrzone na podłodze szczątki sprzętu z nastawni, ale to, co zobaczyła, wystarczyło, by ogarnęły ją mdłości. Prawdopodobnie przyjął na siebie pełną energię jednej z eksplozji, a potem uderzenia szczątków roztrzaskanego pancerza, które po niej nastąpiły.

- Mistrzu Ma'Ning - jęknęła, usiłując wstać, ale nogi wciąż odmawiały jej posłuszeństwa.

- Nie wstawaj - rzekł Ma'Ning. Głos miał słaby, ale wciąż władczy, jak przystało na mistrza Jedi. - Dla mnie już za późno.

- Jak to... - Lorana urwała, czując paraliżujące przerażenie. Atak i brak tlenu sprawiły, że całkowicie straciła więź z pozostałymi Jedi, tę więź, która do tej pory tak skutecznie powstrzymywała atak Vagaarich.

A teraz, kiedy spróbowała znów się do niej przyłączyć, trafiła na pustkę.

- To niemożliwe - szepnęła do siebie. Ale nie mogła się mylić. Kiedy napastnicy wycelowali w

blistry z gniazdami dział, świadomie lub nieświadomie wzięli również na cel Jedi.

Jeśli nie liczyć jednego lub dwóch, oszołomionych i półprzytomnych, wszyscy byli martwi.
Wszyscy.

- Powinienem był próbować... powstrzymać go... wcześniej... - jęknął Ma'Ning. Tracił siły, jego głos był coraz słabszy.

- Ale był mistrzem Jedi... mistrzem Jedi...

Z wysiłkiem odepchnęła od siebie tę koszmarną myśl.

- Nic nie mów - szepnęła, próbując znowu się poruszyć.

- Zaraz ci pomogę.

- Nie trzeba - odparł Ma'Ning. - Dla mnie... już za późno... Ale nie... dla innych.

Jedna z wyciągniętych rąk drgnęła lekko i wygięty fragment dźwigara, przygniatający jej nogi do pokładu, uniół się o kilka milimetrów, by ze szczękiem upaść obok.

- Możesz... im pomóc - dokończył Ma'Ning.

- Przecież nie mogę cię tak po prostu zostawić - zaprotestowała Lorana. Znow spróbowała wstać i tym razem jej się udało.

- W moim stanie... nikt nie jest już w stanie mi pomóc - powiedział Ma'Ning z głębokim smutkiem.

- Pomóż tym... którym wciąż jeszcze... można pomóc.

- Ale...

- Nie! - syknął Ma'Ning, a twarz wykrzywiła mu się nagłym spazmem bólu.

- Jesteś Jedi... złożyłaś przysięgę... służyć... Idź... idź...

Przełknęła ślinę.

- Tak, mistrzu. Ja... - Urwała, szukając odpowiednich słów. Ale nie znalazła, bo nie było takich.

Widocznie Ma'Ning też nie umiał ich znaleźć.

- Żegnaj... Jedi Jinzler - powiedział cicho z bladym uśmiechem na ustach.

- Żegnaj, mistrzu Ma'Ning.

Uśmiech Ma'Ninga znikł, a on sam znów wzniósł oczy ku robotom serwisowym i ich pracy. Lorana odwróciła się i powoli przedzierając się przez ruiny, ruszyła w stronę wyjścia.

Wiedziała, że już nigdy go nie zobaczy.

Kiedy dotarła do drzwi, okazało się, że są zablokowane. Sięgnęła w Moc najlepiej, jak umiała, i zdołała uchylić je tylko na tyle, by się prześliznąć. Korytarz na zewnątrz wyglądał prawie tak źle, jak sam blister, z powyginanymi ścianami i wielkimi kawałami sklepienia blokującymi przejście, ale tu przynajmniej atakujący nie zdołali całkiem przebić się przez powłokę i spowodować dekompresji.

Śluzy po obu stronach korytarza zatrzasnęły się, kiedy blister uległ dekompresji, odcinając tę sekcję od reszty statku. Teraz jednak, kiedy otwór został zatkany, a awaryjne źródła tlenu przywróciły ciśnienie, przednie drzwi śluzy otworzyły się przed Loraną bez problemów.

W dali słyszała krzyki i jęki, czuła strach i panikę. Na razie jednak tamci ludzie nie martwili jej specjalnie. Dreadnaughty były doskonale wyposażone w kapsuły ratunkowe, gdzie ocaleni mogli się ukryć, dopóki roboty nie naprawią pancerza.

Niektórzy jednak nie mieli tej szansy - pięćdziesięcioro siedmioro tak zwanych konspiratorów, których C' baoth rozkazał zamknąć w rdzeniu.

Ludzi, których ona sama tam zamknęła.

Nogi Lorany pulsowały bólem w miejscu, gdzie spadł na nie dźwigar. Sięgnęła w Moc aby stłumić ból i kulejąc pobiegła w stronę najbliższego pylonu z turbowindą.

- Dobiliśmy targu! - warknął Kav.

- Miałeś zniszczyć dla nas Lot Pozagalaktyczny!

- Nigdy nie zawierałem takiego układu - sprostował Mitth'-raw'nuruodo.

- Zgodziłem się zrobić to, co uznam za stosowne, aby wyeliminować zagrożenie spowodowane przez ekspedycję.

- Ale my nie tego chcieliśmy.

- Wasza ówczesna sytuacja nie pozwalała na wysuwanie żądań - przypomniał mu Mitth'raw'nuruodo.

- Obecna też nie.

Z komunikatora rozległ się nagle głośny syk.

- A więc, obcy - odezwał się prawie nierozpoznawalny głos - uważasz, że wygrałeś?

Ekran ożył... a po plecach Doriany przebiegł lodowaty dreszcz.

Pojawił się Joras Cbauth, blady, rozczochrany, w podartym i poplamionym krwią ubraniu. Połowę twarzy miał paskudnie poparzoną, ale oczy wciąż błyszczały mu tym samym ogniem, który uderzył Dorianę, kiedy ujrzał go po raz pierwszy w biurze wielkiego kanclerza.

Namacał rękaw Mitth'raw'nuruodo.

- Kav ma rację... musisz ich zniszczyć - syknął ze zniecierpliwieniem.

- Jeśli tego nie zrobisz, to już jesteśmy martwi.

Mitth'raw'nuruodo zerknął na niego, po czym z powrotem zwrócił wzrok na konsolę.

- Istotnie, wygrałem - odpowiedział Cbauthowi.

- Musiałem wydać tylko jeden rozkaz... - jego dłoń przesunęła się nad panel sterowania, a palce delikatnie spoczęły na zakrytym przełączniku o czerwonych krawędziach - ... abyście zginęli wszyscy, ty i twoi ludzie. Czy duma znaczy dla ciebie tak wiele?

- Jedi nie ulega dumie - prychnął Cbauth.

- Nie ulega też pustym groźbom. Postępuje tak, jak dyktuje mu jego własne przeznaczenie.

- Więc wybierz swoje przeznaczenie - zaproponował Mitth'-raw'nuruodo.

- Powiedziano mi, że rolą Jedi jest przede wszystkim służyć i bronić.

- Więc powiedziano ci nieprawdę - odparł Cbauth.

- Rolą Jedi jest przewodzić i nauczać, i niszczyć wszelkie zagrożenia.

Zdrowy kącik jego ust zadrgał w pełnym gorzkiego uśmiechu.

I nagle, bez ostrzeżenia, głowa Thrawna szarpnęła się w tył, a ciało jakaś siłą wcisnęła w fotel. Ręka powędrowała do gardła, bezsilnie szarpiąc powietrze.

- Komandorze! - wykrzyknął Dorianą, odruchowo sięgając do kołnierza Mitth'raw'nuruodo.

Ale daremnie. Niewidzialna moc, która wyduszała z niego życie, nie była czymś fizycznym, co Dorianą mógłby odepchnąć na bok. Cbauth używał Mocy... i ani Dorianą, ani nikt inny nie zdołałby mu w tym przeszkodzić.

Za kilka chwil Mitth'raw'nuruodo będzie martwy.

Lorana była w wagoniku turbowind, kiedy wyczuła atak Cbautha; brzmiał w jej umyśle niczym odgłos odległego bicia młotem. Przez chwilę czuła gniew i frustrację, i zranioną dumę mistrza. Zastanawiała się, co też on robi.

I nagle przerażająca prawda przecięła jej mózg jak cios miecza świetlnego.

- Nie! - krzyknęła w stronę sklepienia turbowindy.

- Mistrzu Cbaoth... Nie!

Ale było już za późno. W szale i żądzy zemsty Jorus Cbaoth, mistrz Jedi, przeszedł na Ciemną Stronę.

Loranę ogarnęła fala żalu i bólu, paląca niczym sól w otwartej ranie. Nigdy wcześniej nie była świadkiem upadku Jedi. Wiedziała, że to się może zdarzyć, że w dziejach galaktyki zdarzyło się niejedną raz. Ale zawsze wydawało jej się to czymś wygodnie odległym, czymś, co nie może się zdarzyć nikomu znajomemu.

A teraz... Tuż za falą bólu ogarnęła ją kolejna fala, tym razem poczucia winy.

Przecież była padawaną Cbaotha, osobą, wobec której często się otwierał. I, jak to zasugerował kiedyś mistrz Ma'Ning, jedyną osobą, której może zechciałby posłuchać.

Czy mogła temu zapobiec? Czy mogła sprzeciwić mu się już wcześniej, z poparciem Ma'Ninga i pozostałych lub bez niego, kiedy po raz pierwszy sięgnął po władzę i potęgę? Gdyby coś przeczuła, próbowałaby porozmawiać z nim prywatnie, i to niejedną raz. A on pewnie za każdym razem starałby się ją uspokoić, zapewniając, że wszystko jest w najlepszym porządku. A może powinna była naciskać mocniej? Jakoś... jakoś zmusić go do słuchania?

Ale nie uczyniła tego. A teraz już za późno. Czy na pewno?

- Nie musimy nikogo zabijać - szepnęła, koncentrując umysł. Sięgnęła ku D-Jeden, desperacko próbując przesłać mistrzowi tę myśl, a przynajmniej jej sens. Machinalnie zaczęła szukać komunikatora i stwierdziła, że prawdopodobnie zgubiła go w czasie ataku na blister artylerii.

- Nie musimy ich zabijać - błagała dalej. - Możemy po prostu wrócić do domu. Oni tylko tego chcą: żebyśmy wrócili do domu.

Odpowiedzi nie było. Cbaoth bez wątpienia odebrał jej protest, ale wyczuwała obojętność mistrza na jej cierpieniu i zdecydowanie, aby podążać dalej tą ścieżką, na którą właśnie wstąpił. Naprawdę było za późno.

A może, podszeptał jej cichy głos, a może zawsze było za późno?

Turbowinda się zatrzymała i drzwi otworzyły się na rdzeń magazynowy. Przez długą chwilę Lorana stała w progu, zastanawiając się, czy nie powinna jednak pozostawić więźniów tam, gdzie są i nie spróbować dotrzeć do D-Jeden.

Bała się jednak, że nie zdąży na czas. A gdyby nawet, nie osiągnie wiele. Wyczuwała niezłomne

postanowienie Cbaotha i z doświadczenia wiedziała, że nawet stojąc przy jego boku, nie mogłaby teraz nic zrobić ani powiedzieć, aby go powstrzymać. Dalej będzie atakował, dopóki nie zabije komandora Mitth'raw'nuruodo, a potem wszystkich pozostałych Chissów.

Z ciężarem w sercu wyszła z turbowindy i pokuśtykała w kierunku uwięzionych członków załogi i ich rodzin. Nawet Jedi robi tylko tyle, ile może, pomyślała z goryczą.. Ale wiedziała, że sama zrobi wszystko, co w jej mocy.

Załoga mostka błyskawicznie znalazła się obok nich. Odsunęli Dorianę na bok, usiłując uwolnić dowódcę od niewidzialnego ataku, który go zabijał. Ich wysiłki były jednak równie bezużyteczne jak Doriany.

Wyrzucony poza centrum dramatu, Dorianą wpatrywał się w ekran komunikatora i desperacko próbował coś wymyślić. Gdyby atak Chissów naprawdę osłabił Cbaotha... ale w oczach mistrza, ciskających ognie z poranionej twarzy, nie było ani śladu słabości. A może przynajmniej wyłączyć ekran i pozbawić Jedi widoku ofiary? Ale Dorianą nie miał pojęcia, gdzie znajduje się wyłącznik, nie mówił też żadnym z języków, którymi porozumiewała się załoga mostka. Poza tym nie był pewien, czy wyłączenie obrazu w ogóle coś pomoże.

W pewnej chwili spojrzenie Doriany przesunęło się z twarzy Cbaotha na pulpit sterowania Thrawna. I przycisk z czerwonym brzeżkiem.

Może to nic nie da, pomyślał, ale spróbować trzeba. Przepchnął się przez członków załogi, którzy zasłaniali mu przejście, podniósł pokrywę i wdusił przycisk.

W tej samej chwili, nie przestając bezlitośnie ostrzeliwać okrętów wojennych Vagaarich, robomyśliwce po prostu zrobiły zwrot w tył w miejscu i uciekły.

Car'das zmarszczył brwi, przyciskając mocniej makrolornetkę do twarzy. Znaczna część floty Vagaarich pozostawała nadal nietknięta, ocalałe statki gorączkowo szukały sposobu, by uciec z zasięgu projektora grawitacji Thrawna. A jednak myśliwce zawracały. Czyżby już wyczerpały swój zapas stałego paliwa?

Wstrzymał oddech. Nie, one nie uciekały przed Vagaarimi. Wszystkie kierowały się ku Lotowi Pozagalaktycznemu.

Wciąż jeszcze z niedowierzaniem wpatrywał się w tę scenę, kiedy uderzyła pierwsza fala.

Nie tyle nawet zaatakowała, co wgryzła się w pancerz działami laserowymi i torpedami energetycznymi. Dosłownie uderzyła w dreadnaughty, rozbijając się na pełnej prędkości o ich pancerze i wyparowując w jaskrawych rozbłyskach od samej siły uderzenia. Druga fala zrobiła to samo, ale trafiła w inne fragmenty pancerzy. Wśród dymu i odłamków nadleciała trzecia i czwarta fala, zalewając ogniem z działek laserowych i torpedami energetycznymi uszkodzone blistry działek i generatory tarcz.

I nagle z zimnym dreszczem zgrozy Car'das zrozumiał. Pierwsze dwie fale robomyśliwców nawet nie próbowały przebić grubego pancerza dreadnaughtów. Ich celem było jedynie osłabienie określonych punktów powłoki.

Punktami tymi były wewnętrzne grodzie powietrzne.

A teraz, kiedy ich drzwi zostały uszkodzone lub zniekształcone na tyle, aby uniemożliwić zachowanie pełnej szczelności, pozostałe myśliwce otwierały dreadnaughty na próżnię.

Kolejne chmury odłamków odbijały się od pancerzy Lotu Pozagalaktycznego, myśliwce przebijały się przez powłoki, coraz to nowymi falami nagłej śmierci zalewając zewnętrzne fragmenty dreadnaughtów.

Ale Cbaoth zdawał się nawet nie dostrzegać ataku. Jego rysy wciąż miały twardość krzemienia, płonące oczy nieruchomo wpatrywały się w mostek „Springhawk”.

A Mitth'raw'nuruodo wciąż umierał.

Doriana bezradnie zacisnął pięści. Więc to wreszcie koniec. Jeśli drugi atak nie zdołał zabić Cbaotha, to pewnie dlatego, że mistrz starannie unikał próżni, która wysysała już całe życie z zewnętrznych sekcji dreadnaughtów. Nawet jeśli brać pod uwagę cieńsze ściany i grodzie wewnętrznych obszarów statku, nie było szans, aby robomyśliwce zdołały na czas oczyścić labirynt pokładów i przedziałów.

Nagle wzrok Doriana przykuła dziwaczna formacja, która właśnie znalazła się w jego polu widzenia - dwa połączone robomyśliwce z grubym cylindrem pomiędzy nimi. Nie była to jedna para - Doriana naliczył takich dziesięć. Wszystkie z pełną prędkością kierowały się ku Lotowi Pozagalaktycznemu.

Przypomniał sobie, jak Kav wspominał o tym projekcie Mitth'-raw'nuruodo. Pamiętał wzdrgnięte komentarze, dotyczące bezużytecznych zbiorników paliwa, które podobno miały znajdować się w cylindrach. Teraz ze zmarszczonym czołem obserwował, jak pojedynczo i dwójkami pary myśliwców wdierały się poprzez świeżo wyrwane otwory w powłokach dreadnaughtów i znikwały we wnętrzu.

Przez chwilę nic się nie działo. A potem nagle z otworów wystrzeliły pióropusze bładoniebieskich eksplozji, prawie niewidoczne wśród krążących wokół szczątków.

Mitth'raw'nuruodo gwałtownie zaczerpnął powietrza i opadł bezsilnie na pulpit.

- Komandorze! - zawołał Doriana, usiłując przepchnąć się ku niemu przez gromadę wojowników.

- Nic... mi nie jest - wydyszał tamten, jedną ręką rozcierając szyję, a drugą odsuwając zatroskanych członków załogi.

- Chyba go dopadłeś - poinformował Doriana, spoglądając na ekran komunikatora. Cbaotha nie było

widać.

- Myślę, że Cbauth nie żyje.

- To prawda - potwierdził Mitth'raw'nuruodo głuchym głosem.

- Wszyscy... nie żyją.

Doriana poczuł lodowaty dreszcz na plecach.

- To przecież niemożliwe - rzekł.

- Każdy dreadnaught został trafiony tylko jedną lub dwiema takimi bombami.

- Jedna wystarczyłaby w zupełności - odparł Mitth'raw'nuruodo ze smutkiem. Doriana nigdy wcześniej nie widział go w takim nastroju.

- To specjalna broń. Straszliwa i śmiertelna. Kiedy znajdzie się poza barierami ochronnymi okrętu wojennego, eksploduje morderczą falą promieniowania. Fala przechodzi przez podłogi, ściany i sklepienia, zabijając wszystko, co żyje.

Doriana przełknął ślinę.

- A ty miałeś ją pod ręką, gotową do użycia - usłyszał własne słowa.

Spojrzenie Mitth'raw'nuruodo wbiło się w jego twarz.

- Nie były przeznaczone dla Lotu Pozagalaktycznego - odparł, a na widok jego wyrazu twarzy Doriana mimowolnie cofnął się o krok.

- Miałem zamiar użyć ich przeciwko największemu z okrętów wojennych Vagaarich.

Doriana skrzywił się.

- Rozumiem.

- Nic nie rozumiesz - zdenerwował się Mitth'raw'nuruodo.

- Teraz będziemy musieli zniszczyć niedobitki Vagaarich na pokładach obezwładnionych statków w bezpośredniej walce.

- Wskazał palcem na zewnątrz.

- Co gorsza, część okrętów wojennych i statków cywilnych zdołała już uciec w nadprzestrzeń, gdzie będą mieli czas odbudować siły. Pewnego dnia znów zaczną stanowić zagrożenie dla tego obszaru przestrzeni.

- Rozumiem - powtórzył Doriana.

- Przykro mi.

I ze zdumieniem skonstatował, że mówi to całkiem szczerze.

Mitth'raw'nuruodo długo wpatrywał się w milczeniu w jego twarz. Powoli jednak głębokie zmarszczki napięcia na jego czole wygładziły się.

- Żaden wojownik nigdy nie zyskał tak głębokiej i pełnej kontroli nad bitwą, jakiej pragnął - rzekł już spokojniej, ale jeszcze z pewnym wzburzeniem. - Wolałbym jednak, aby tutaj było inaczej.

Doriana spojrzał na Kava. Stał się chyba cud, Neimoidianin znalazł w sobie dość rozumu, żeby siedzieć cicho.

- I co teraz będzie?

- Jak powiedziałem, wejdziemy na pokład okrętów Vagaarich - wyjaśnił Mitth'raw'nuruodo.

- A kiedy już je zabezpieczymy, uwolnimy Geroonów z ich więzienia.

Doriana skinął głową. Więc wszystko skończone. Lot Pozagalaktyczny został zniszczony, przebywający na nim Jedi - zwłaszcza Cbaoth - nie żyją. Koniec.

Wszystko w porządku, poza jednym drobnym szczegółem. Przypomniawszy sobie ostrzeżenie Kava: „Nieważne, jaki będzie wynik, ten Mitth'raw'nuruodo musi zginąć”.

A w zamęcie i chaosie szturm na okręt wypadki się zdarzają.

- Czy pozwolono by mi towarzyszyć siłom szturmowym? - zapytał Doriana.

- Chciałbym zobaczyć żołnierzy Chissów w działaniu.

Mitth'raw'nuruodo lekko skłonił głowę. - Jak sobie życzysz, komandorze Stratis. Mam nadzieję, że uznasz to za bardzo pouczające.

- Naturalnie - zgodził się Doriana. - Jestem pewien, że tak będzie.

Wibracje otaczających rdzeń dreadnaughtów, przenoszone przez pylony wind, wreszcie ucichły.

- Czy to koniec? - zapytał nieśmiało Jorad Pressor.

Lorana ostrożnie opuściła rękę, którą opierała się o ścianę. Nagły, przerażający zalew śmierci, który ją tak przeraził, właśnie dobiegł końca, nie pozostawiając po sobie nic.

- Nic.

- Na pewno - powiedziała, usiłując uśmiechnąć się do chłopca krzepiąco.

- Wszystko się skończyło.

- Możemy już wracać na górę?

Lorana podniosła wzrok na ojca Jorada, który mocno zaciskał usta. Dzieci mogły nic nie zrozumieć, ale dorośli pojęli doskonale.

- Jeszcze nie teraz - odpowiedziała Joradowi. - Na pewno trzeba tam posprzątać. Będziemy tylko przeszkadzać.

- No i musielibyśmy wstrzymać oddech - mruknął ktoś spod ściany.

Ktoś inny uciszył go syknięciem.

- W każdym razie nie ma sensu się tam teraz kręcić - odezwał się jeden ze starszych mężczyzn, siłąc się na swobodny ton.

- Równie dobrze można wrócić do szkoły Jedi, gdzie będzie nam trochę wygodniej.

- I gdzie będziemy dokładnie zamknięci - kwaśno dodał Uliar.

- Wcale nie - odparła Lorana, usiłując zmusić mózg do pracy.

- W części magazynowej jest składowanych mnóstwo materiałów budowlanych. Wytnę kawałek dźwigara i otworzę drzwi. Wracamy.

Tłumek odwrócił się i niemrawo ruszył w kierunku, z którego przyszli. Dzieci szeptały coś niespokojnie do swoich rodziców, rodzice na próżno usiłowali je uspokoić. Lorana chciała pójść za nimi, ale Uliar dotknął jej ramienia.

- Wiesz, jaki jest prawdziwy rozmiar szkód? - zapytał. Westchnęła.

- Nie czuję tam żadnego życia - odrzekła.

- Żadnego.

- A możesz się mylić?

- To możliwe - przyznała.

- Ale nie sądzę. Przez chwilę milczał.

- Musimy się upewnić - rzekł wreszcie.

- Jeśli ktoś przeżył, a jest zbyt słaby, żeby go wyczuła...

- Wiem - przerwała mu. - Ale na razie nie możemy się udać na górę. Wagoniki nie schodzą na dół, a to oznacza, że pylony gdzieś są otwarte na przestrzeń. Musimy poczekać, aż roboty połączą z grubszą uszkodzenia.

Uliar syknął przez zęby.

- To może trwać całe godziny.

- Nie unikniesz tego - uświadomiła mu Lorana.

- Musimy po prostu czekać.

R O Z D Z I A Ł 23

Bitwa zakończyła się trzy godziny temu, a Car'das zaczął się już naprawdę nudzić, kiedy nagle usłyszał za plecami rytmiczne stukanie.

Odwrócił się i wystukał ten sam rytm krawędzią makrolornetki. A potem zwrócił twarz ku gwiazdom, rozprostował skurczone mięśnie i czekał.

Ocalenie przyszło wraz z nagłą falą ożywionego ruchu. Za plecami usłyszał otwieranie włazu i poczuł ostre szarpnięcie, kiedy ciśnienie powietrza w jego bąblu eksplodowało na zewnątrz, wypychając go w tył, na korytarz. Przez moment ujrzał otaczające go postacie w kombinezonach, a potem owinięto go w pas lepkiego materiału i, zanim zdążył unieść ręce, żeby go odepchnąć z twarzy, rozległ się ostry syk i tkanina sama zaczęła się odsuwać.

W chwilę później stwierdził, że unosi się w przezroczystym balonie ratunkowym.

- Fajnie - mruknął, krzywiąc się, bo zaboląły go uszy od powracającego ciśnienia.

- Wszystko w porządku? - zapytał znajomy głos. Dochodził z komunikatora przyczepionego do zbiornika tlenowego kuli.

- Tak, komandorze, dziękuję - zapewnił.

- Rozumiem, że wszystko poszło zgodnie z planem.

- Owszem - odparł Thrawn, ale z dziwnym smutkiem w głosie.

- Właściwie... prawie.

Jeden z ratowników pochylił się nad nim i Car'das ze zdumieniem rozpoznał w nim człowieka, który na „Darkvenge” przedstawił się jako komandor Stratis.

- Car'das? - zawołał Stratis.

- A co ty tutaj robisz?

- Zwabił Vagaarich w moją pułapkę - odparł Thrawn, jakby to było całkiem oczywiste. - A może już zapomniałeś, że Chissowie nie angażują się w ataki wyprzedzające?

- Rozumiem - rzekł Stratis, przyglądając się Car'dasowi.

- Więc te oskarżenia o szpiegostwo, które rzuciłeś na pokładzie „Darkvenge”, były jedynie zasłoną

dymną? Miały cię chronić, gdyby wszystko się rozleciało?

- Tak, to było zabezpieczenie, ale nie dla mnie - powiedział Thrawn. Skinął ręką i

reszta ratowników zaczęła przesuwać balon zawierający Car'dasa w głąb korytarza.

- Chciałem chronić admirała Ar'alani, dowodzącą transporterem, który godzinę temu przybył tutaj, aby zabrać uwolnionych niewolników Geroonów na ich planetę.

- A ona nie mogła sobie pozwolić na to, aby się w tę sprawę zaangażować bodaj nieoficjalnie - odgadnął Stratis, kiwając głową.

- Za to na pewno potrafiłaby w odpowiednim dla niej momencie odwrócić głowę i zwalić całą winę na ciebie i Car'dasa, gdyby coś się nie powiodło.

- Nie mówcie teraz o winie - wtrącił Car'das.

- Co się stało z Lotem Pozagalaktycznym? Widziałem, że myśliwce ruszyły na niego.

Thrawn i Stratis wymienili spojrzenia.

- Byliśmy zmuszeni posunąć się dalej, niż planowałem - przyznał Thrawn.

Car'das poczuł, że serce zamiera mu w piersi.

- O ile dalej?

- Oni nie żyją - cicho odparł Thrawn.

- Wszyscy. Nastąpiło długie milczenie. Car'das odwrócił wzrok, kątem oka

przelotnie rejestrując trupy Vagaarich, które Chissowie ciągle wynosili. Thrawn przerwał atak na morderców i handlarzy niewolników, żeby zniszczyć tysiące niewinnych istot?

- Nie było wyboru - wyjaśnił Stratis, przedzierając się przez ogarniające Car'dasa otępienie. - Cbaoth, wykorzystując moc Jedi, usiłował zadusić komandora. Nie było innego sposobu, aby go powstrzymać.

- Czy dałeś im bodaj szansę na powrót do domu? - chciał wiedzieć Car'das.

- Dałem - odrzekł Thrawn.

- Niejedną szansę - dodał Stratis.

- Właściwie zrobił dla nich znacznie więcej, niż ja bym zrobił. A jeśli to ma jakiegokolwiek znaczenie, to ja przycisnąłem guzik, nie on.

Car'das skrzywił się. Z pewnego punktu widzenia istotnie miało to znaczenie. Ale dla kogo?

- Jesteś pewien, że nikt nie przeżył?
- Dreadnaughts zostały zniszczone bombami radiacyjnymi - wyjaśnił Stratis.
- Jeszcze nie wysłaliśmy tam nikogo, aby sprawdzić, ale jeśli parametry broni, której użył komandor, są poprawne, nie ma szans, aby ktokolwiek mógł to przeżyć.
- Więc jednak dopiąłeś swego - mruknął Car'das, czując nagle ogromne zmęczenie. - Chyba jesteś szczęśliwy.

Stratis odwrócił wzrok.

- Jestem zadowolony - rzekł. - Ale nie mogę powiedzieć, że bym czuł się szczęśliwy.
- I co? - zapytał Kav, kiedy Doriana zdejmował kombinezon przestrzenny w zaciszu jednego z pomieszczeń przygotowawczych na pokładzie „Springhawk”.
- Jakoś nie słyszę gorzkiego płaczu nad trupem dowódcy.
- Dlatego pewnie, że dowódca nie jest trupem - odparł Dorianą.
- Nie miałem okazji.
- Nie miałeś? - zapytał Kav.
- A może nie chciałeś mieć?
- Nie miałem - zimno powtórzył Dorianą. Nie był w nastroju na słowne gierki.
- Chcesz zamordować dowódcę na oczach jego ludzi, to proszę, nie krępuj się.

W milczeniu skończył się rozbierać z kombinezonu.

- Ale on musi zginąć - nalegał Kav, gdy Dorianą zaczął wkładać własne ubranie.
- Za dużo wie o naszym udziale w tym, co się stało.
- Mith'raw'nuruodo nie jest zwyczajnym obcym - zauważył Dorianą.
- I wciąż pozostaje kwestia odpowiedniej okazji.
- Albo stworzenia jej. - Kav podszedł do Doriany i wcisnął mu coś do ręki.
- Masz. Zaskoczony Dorianą spojrzał w dół. Wystarczył jeden rzut oka.

- Skąd to wytrzasnąłeś? - spytał, pospiesznie zamykając dłoń na małym ręcznym miotaczu.

- Zawsze go miałem - wyjaśnił Kav.

- Strzał z niego jest cichy i prawie niewidoczny, ale bardzo skuteczny. Zabije szybko i cicho.

I spowoduje błyskawiczne skazanie Doriany na śmierć, jeśli zostanie z nim przyłapany. Czując strumyczki potu na szyi szybko wsunął broń do kieszeni.

- Musisz pozwolić, żebym to zrobił po swojemu - ostrzegł Kava.

- Nie życzę sobie, żebyś krążył wokół mnie jak mamuśka drapieżnego ptaka.

- Nie martw, się - burknął Kav.

- Gdzie jest teraz komandor?

- Poleciał na transportowiec, porozmawiać z panią admirał

- powiedział Dorianą, dopinając tunikę. Pochylił się, aby włożyć buty.

- Car'das pojechał z nim.

I to był drugi problem, przypomniał sobie. Podobnie jak Mitth'raw'nuruodo, Car'das również wiedział o wiele za dużo o tym, co się tu stało. A w przeciwieństwie do Chissa, on na pewno wkrótce wróci do Republiki. Dorianą musi zatem najpierw rozprawić się z Mitth'raw'nuruodo, a następnie dopilnować, aby także Car'das nigdy nie opowiedział swojej historii niewłaściwym ludziom.

Ocaleni Geroonowie zostali zapędzeni do ładowni, jedyne miejsce na całym transporterze, które mogło ich wszystkich pomieścić. Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, połączeni w małe grupki, rozmawiając cicho między sobą. Ci, którzy właśnie przybyli, interesowali się raczej racjami spożywczymi i gorącymi napojami, które dostarczyli im wojownicy admirał Ar'alani. Wszyscy wydawali się odrobinę oszołomieni, jakby nie potrafili do końca uwierzyć, że są naprawdę wolni.

Car'das stał z boku, przy samym wejściu do ładowni, starając się nie wchodzić pod nogi zarówno Geroonom, jak i krzątającym się wokół nich Chissom. Przyglądał się bezmyślnie całej scenie; chyba nigdy jeszcze nie był aż tak zmęczony. W przeszłości tysiące razy zastanawiał się, co właściwie tu robi i jak, do wszystkich galaktyk, Thrawn zdołał go namówić na udawanie przynęty dla Vagaarich.

Ale się udało. Wszystko się udało. Geroonowie zostali uratowani, nie tylko ci niewolnicy, ale prawdopodobnie cały ich świat. Już w chwili, kiedy transporter odwoził niewolników na ich rodzinną planetę, admirał Ar'alani obiecała, że sprowadzi grupę Chissów i utworzy tu siły obronne, aby ich chronić. Vagaari, którzy jeszcze mogliby się kręcić w tych rejonach, nie będą się kręcić zbyt długo.

A co do Lotu Pozagalaktycznego...

Przymknął oczy. Pięćdziesiąt tysięcy zabitych, cała ludność na pokładzie sześciu dreadnaughtów. Czy to rzeczywiście było konieczne? Stratis powiedział, że tak, a Thrawn nie zaprzeczył. Ale czy to naprawdę był jedyny sposób?

Car'das pewnie nigdy się tego nie dowie. Zaczął się zastanawiać, co powie Maris, kiedy się dowie, co uczynił jej szlachetny bohater.

- Nawet teraz nie mogą w to uwierzyć - odezwał się czyjś głos nad jego lewym ramieniem.

Otworzył oczy. Obok niego stał Thrass z dziwną miną, omiatając wzrokiem zatłoczoną nawę.

- Syndyk Thrass - powitał go Car'das.

- Nie wiedziałem, że jesteś na pokładzie.

- Admirał Ar'alani zaproponowała, abym przyjechał - wyjaśnił Thrass, nie spuszczać wzroku z Geroonów.

- Chyba wydawało jej się, że razem z nią i z bratem zdołamy teraz rozwiązać kwestię łupu Vagaarich przechowywanego na Crustai i pozwolimy wreszcie tobie i twoim towarzyszom odjechać w swoją stronę.

Spojrzał na Car'dasa.

- Teraz, skoro i ty, i ja spełniliśmy swoje zadanie... Car'das wytrzymał jego wzrok bez zmrużenia oka.

- Nie przeszkadza mi, że stałem się częściamiplanów twojego brata - rzekł spokojnie.

- Ty też nie powinieneś się tym przejmować.

- Byłem manipulowany i kontrolowany - poinformował Thrass i oczy błysnęły mu urazą.

- Dla twojego własnego dobra - odparował Car'das.

- Gdyby Thrawn i Ar'alani wciągnęli cię do planu, twoja przyszłość byłaby równie niepewna jak ich.

- Nadal jest niepewna - ponuro zauważył Thrass.

- Dziewięć Rodów Panujących nie poprze nielegalnego i niemoralnego ataku.

- Po pierwsze - rzekł Car'das, unosząc palec - ten system znajduje się w rejonie patrolowanym przez Chissańską Flotę Ekspansywną. A to oznacza, że jest to terytorium Chissów. Po drugie, Vagaari

przybyli tu pełną siłą z wyraźnie wrogimi zamiarami. A to oznacza, że działania komandora Thrawna były samoobroną. Przynajmniej moim zdaniem.

- Byli tutaj tylko dlatego, że ich zwabiłeś.

- Nie wiążą mnie wasze zasady - przypomniał mu Car'das.

- Poza tym, jak zaświadczy admirał Ar'alani, twój brat publicznie oskarżył mnie o szpiegostwo. Może byłem aż tak zdesperowany, że pogałem do Vagaarich po pomoc w uwolnieniu moich towarzyszy. Nie możecie go o to winić.

Thrass skrzywił się lekko.

- Jasne, Thrawn zawsze był bardzo dobry w ukrywaniu swoich czynów, kiedy mu na tym zależało.

- Co chyba załatwia sprawę legalności całej tej akcji - podsumował Car'das.

- A co do innych twoich obiekcji...

- Skinął w kierunku Geroonów.

- Proszę bardzo, spójrz na tych ludzi i powiedz, jak wyzwolenie ich spod tyranii może być niemoralne?

- Moralności działania nie określa się poprzez ocenę jego wyników.

- Sztywno odparł Thrass, ale jego twarz nieco złagodniała.

- W tym przypadku jednak naprawdę trudno się sprzeczać.

- Widziałem, jak Vagaari traktują swoich niewolników - powiedział Car'das, wciąż jeszcze wzdrygając się na wspomnienie Geroonów, których Miskara zamordował z zimną krwią.

- Moim zdaniem to dobrze, że wszechświat uwolnił się od nich.

- W sumie chyba masz rację - zgodził się Thrass.

- Ale arystokra Chaform'bintrano może widzieć tę kwestię nieco inaczej.

Car'das zmarszczył brwi.

- A co on ma z tym wspólnego?

- On i okręty Piątego Rodu Panującego właśnie tu zdążają - wyjaśnił Thrass.

- Miałem z nim krótką rozmowę tuż przed wylotem z Crustai. Podejrzewam, że zamierza aresztować Thrawna.

Car'das poczuł ucisk w gardle.

- Czy Thrawn wie o tym? - Nie.

- Musimy mu o tym powiedzieć, i to szybko - stanowczo oświadczył Car'das.

- Czy wiesz, gdzie on może być?

- Chyba razem z admirałem Ar'alani polecieeli obejrzeć Lot Pozagalaktyczny.

- Więc lećmy tam i my - zawołał Car'das.

- Chodź... mój wahadłowiec stoi w prawoburtowym doku.

Drzwi turbowindy otworzyły się niechętnie przy akompaniamencie zgrzytów nie całkiem dopasowanych metalowych części.

- Chyba znowu mamy szczelny kadłub - zauważył Uliar, zaglądając do wagonika. Sklepienie było właściwie nienaruszone, ale jeden ze szwów puścił i na jego krawędzi widać było blade, tęcze odbarwienie spowodowane nagłym wzrostem promieniowania. Czyżby jeden lub kilka reaktorów eksplodowało? Mało prawdopodobne. Nawet tu, w dole, musieliby usłyszeć taką eksplozję.

- Ale ten szyb chyba jest zniszczony - mruknął Keely, nieśmiało podchodząc do Uliara.

- A same dreadnaughty będą w jeszcze gorszym stanie. To może trochę potrwać.

- Więc nie traćmy już czasu na rozmowy - rzucił Uliar i zrobił krok w stronę wagonika.

- Nie! - zawołała Jinzler i wyciągnęła rękę, by go powstrzymać. Ona także podniosła wzrok na sufit z bardzo skupionym wyrazem twarzy.

- Idę sama.

- To nie jest najlepszy pomysł w tej sytuacji - ostrzegł Keely.

- Dla Jedi samotność jest czasem jedynym wyjściem - odparła. Spojrzała na Uliara i odrobinę się rozluźniła.

- Nie obawiaj się. Jak tylko znajdę bezpieczne miejsce, zaraz do was wrócę.

- Jesteś pewna, że nie potrzebujesz nikogo do pomocy? - zapytał Uliar, przyglądając jej się uważnie. Nie miał wielkiej ochoty jechać na górę i węszyć wśród trupów i zniszczenia, ale nie podobała mu się również perspektywa spuszczenia z oka nawet tej pojedynczej Jedi.

- Bardzo pewna - odrzekła Lorana.

- Zaczekajcie, aż po was wrócę.
- Jak sobie życzysz - odparł Keely, ciągnąc Uliara za ramię.
- Chodź, Chas.
- W porządku - niechętnie przystał Uliar i odstąpił na bok, by Jinzler mogła wsiąść.
- Pospiesz się.
- Spróbuję - uśmiechnęła się krzepiąco.

Wciąż jeszcze się uśmiechała, kiedy drzwi ze zgrzytem zamknęły się za nią.

Znaleźli Thrawn i Ar'alani na mostku głównego statku dowodzenia. Stali wśród krzątającej chissańskiej załogi, metodycznie sprawdzającej pozostałe aktywne konsole sterowania. Na pokładzie leżało mnóstwo ciał, ale Car'das, o dziwo, zaledwie je dostrzegł.

- O, mój brat - zauważył Thrawn, gdy Thrass z Car'dasem zaczęli przeciskać się ku niemu przez labirynt konsol.
- Czy Geroonowie zostali otoczeni właściwą opieką?
- Nie chodzi o Geroonów - wtrącił Car'das, zanim Thrass zdążył odpowiedzieć.
- Arystokra Chaf orm'bintrano jest w drodze z flotą statków Piątego Rodu.
- Z czyjego rozkazu? - zapytała Ar'alani.
- Podejrzewam, że samego arystokry - rzekł Thrawn, mrużąc oczy w zadumie.
- Kiedy tu dotrą?
- Mogąbyć w każdej chwili - odparł Thrass.
- Podejrzewam, że przybywa, aby postawić ci zarzuty.
- W takim razie flota nie jest mu potrzebna - zauważył Thrawn.
- Sądzę, że arystokra ma na myśli coś znacznie ważniejszego.
- Lot Pozagalaktyczny? - zapytał Car'das.
- Jakoś mi się wydaje, że ma nadzieję położyć rękę na niedobitkach floty Vagaarich - odparł Thrawn.
- Ale masz rację. Jeśli zobaczy Lot Pozagalaktyczny, jego priorytety zdecydowanie ulegną zmianie.

- Nie może tego zrobić - zaprotestował Thrass. Spojrzał na Ar'alani.

- A może jednak...?

- Legalnie nie - powiedziała Ar'alani cicho.

- Ale praktycznie... jeśli sprowadzi wystarczająco dużo statków, nie będziemy w stanie go powstrzymać.

- Rada Rodów... - zaczął Thrass.

- ...z pewnością się sprzeciwi - wcięła się Ar'alani.

- Ale procedura będzie długa i skomplikowana.

- A przez ten czas Piąty Ród wycisnie ze swojej zdobyczy wszystkie sekrety - dokończył Thrawn. Thrass syknął w zaskakująco gładzi sposób.

- Nie możemy na to pozwolić - rzekł. - Posiadanie Lotu Pozagalaktycznego przez jeden z Rodów może zniszczyć równowagę sił na całe dekady.

Car'das skinął głową, czując, że w żołądku rośnie mu lodowa bryła.

Wystarczyła nadzieja na przejęcie technologii robotów, żeby Vagaari poszli na rzeź jak w taniec. Jaką przewagę dałyby rodowi Chaf orm'bintrano nie tylko roboty, ale i cała technologia Lotu Pozagalaktycznego?

- Musimy go powstrzymać - postanowiła Ar'alani, ale nie mówiła tego z pełnym przekonaniem.

- Musimy utrzymać jego ludzi z dala od tego statku, dopóki nie przybędzie Flota Obronna, którą wezwałam.

- Nie będzie na to czasu - ostrzegł Thrawn.

- Musimy natychmiast zabrać Lot Pozagalaktyczny do bazy wojskowej i zadeklarować, że to własność Floty Obronnej.

- Jak długo potrwałby ten lot? - zapytał Car'das.

- Ta balia jest solidnie uszkodzona.

- Owszem, i jej systemy zostaną wykorzystane do granic możliwości - zgodził się Thrawn.

- Ale musimy spróbować. Lepiej dla Lotu Pozagalaktycznego, aby został zniszczony, niż aby wpadł w ręce pojedynczego rodu.

Car'das dostrzegł kątem oka jakiś ruch i wyjrzał za owiewkę. W tej samej chwili z nadprzestrzeni wyszła flota Chissów.

- Za późno - poinformował.

- Już tu jest.

Ar'alani wymamrotała słowo, które nigdy nie znalazło się w programie lekcji językowych Car'dasa.

- Musimy sobie poradzić z załogą, którą mamy na pokładzie - powiedziała.

- Szybko, zanim...

Urwała, kiedy z komunikatora Thrawna rozległ się pisk. Komandor spojrział na statki i niechętnie wyjął urządzenie z za pasa.

- Komandor Mitth'raw'nuruodo.

- Komandorze, arystokra Chaform'bintrano z Piątego Rodu Panującego wzywa „Springhawk” - powiedział głos.

- Żąda twojej natychmiastowej obecności na pokładzie „Dostojnego Chafa”.

Wzrok Thrawna spoczął na Ar'alani.

- Nie potwierdzaj jego sygnału - rozkazał.

- To nie była prośba, komandorze - ostrzegł głos.

- Nie potwierdzaj - powtórzył i wyłączył komunikator.

- Thrawn, nie możesz tak po prostu odmówić wykonania bezpośredniego rozkazu

arystokry - sprzeciwił się Thrass.

- Jeszcze nie otrzymałem od arystokry żadnego bezpośredniego rozkazu - spokojnie odparł Thrawn.

- Car'das, znajdź mi stery.

- Tak jest, sir - rzucił Car'das, rozglądając się po konsolach. W tym momencie rozległ się sygnał komunikatora Ar'alani. Wszystkie oczy zwróciły się ku niej.

- Sprytne - powiedziała, wyjęła aparacik z za pasa i włączyła go.

- Admirał Ar'alani, słucham.

- Tu arystokra Chaf orm'bintrano - zagrział głos.

- Nie jestem w stanie skontaktować się z komandorem Mitth'raw'nuruodo. Podejrzewam, że odmawia rozmowy ze mną. Jako arystokra Piątego Rodu Panującego rozkazuję ci odnaleźć go i zatrzymać do czasu przesłuchania w sprawie jego ostatnich działań militarnych.

Ar'alani zawahała się, a Car'das wstrzymał oddech. Wreszcie z wyraźną niechęcią skinęła głową.

- Przyjęłam, arystokro. Wykonuję rozkaz. Wyłączyła komunikator.

- Przykro mi, komandorze - zwróciła się do Thrawna.

- Nie mam wyboru, muszę cię aresztować.

- To zniszczy Chissów - spokojnie przypomniał Thrawn.

- Tylko i wyłącznie Flota Obronna może bezpiecznie objąć w posiadanie ten statek.

- Rozumiem i zrobię, co w mojej mocy, aby opóźnić arystokrę - odparła Ar'alani.

- Tymczasem jednak jesteś aresztowany. Rozkaż swoim ludziom zebrać się w hangarze i wrócić na nasze statki.

Thrawn dłuższą chwilę stał bez ruchu, po czym powoli skłonił głowę i włączył komunikator.

- Tu komandor Mitth'raw'nuruodo - odezwał się.

- Wszyscy wojownicy Chissów obecni na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego mają wracać do hangaru.

- Dziękuję - rzekła Ar'alani.

- A teraz, jeśli można prosić...

- dodała, wskazując drzwi w grodzi.

- Ty też, Car'das.

Car'das zaczerpnął tchu.

- Nie podlegam pod rozkazy Chissów, pani admirał - rzekł.

- Chcę jeszcze przez chwilę pozostać na pokładzie. Ar'alani zmrużyła oczy.

- Co planujesz? - zapytała. - Przecież sam nie poprowadzisz tego statku.

- Nie podlegam rozkazom Chissów - powtórzył Car'das.

- A arystokra w swoim rozkazie nie wspomniał o mnie.

Ar'alani spojrzała na Thrawna, potem na nadlatujące statki Piątego Rodu i wreszcie znów na Car'dasa.

- Zezwalam - rzekła i ruszyła w kierunku wyjścia.

- Ja też zostaję - rzekł Thrass. Ar'alani zatrzymała się w pół kroku.

- Co?

- Ja również nie podlegam rozkazom wojskowym - wyjaśnił Thrass.

- A arystokra Chaf orm'bintrano nie wspomniał w swoim rozkazie także o mnie.

Ar'alani spojrzała twardo na Thrawna.

- Urwą nam za to głowy - ostrzegła.

- Rolą wojownika jest obrona ludu Chissów - przypomniał jej Thrawn.

- Przeżycie samego wojownika to sprawa drugorzędna.

Przez kilka sekund walczyli ze sobą na spojrzenia. A potem Ar'alani westchnęła i odwróciła się w stronę Thrassa.

- Najbliższą bazą Floty Obronnej jest Pesfavri - powiedziała.

- Znasz współrzędne?

Thrass skinął głową.

- Tak.

- A więc zostawiamy was - powiedziała, kłaniając się lekko.

- Niech fortuna wojowników was wspiera!

Ruszyła do wyjścia. Thrawn zwlekał jeszcze, uważnie wpatrując się w twarz brata, wreszcie podążył za nią. Car'das i Thrass zostali sami.

- Naprawdę wierzysz, że zdołamy dowlec tego trupa do bazy wojskowej? - zapytał Car'das.

- Nie dostrzegasz głębszego sensu, przyjacielu Car'das - rzekł Thrass posępnie.

- Nie słuchałeś, co mówił mój brat? „Lepiej dla Lotu Pozagalaktycznego, aby został zniszczony, niż aby dostał się w ręce pojedynczego rodu”.

Car'das poczuł nagły ucisk w gardle.

- Zaraz, zaraz - zaprotestował.

- Chciałem zablokować Lot Pozagalaktyczny, żeby ludzie arystokry nie mogli się dostać na pokład, nie rozwalając pancierza. Nie miałem zamiaru organizować samobójczej misji.

- Odwagi, Car'das - powiedział Thrass.

- Ja też nie miałem. Przyjąłem, że możemy ustawić kurs tego statku na jakieś lokalne słońce, a sami uciec wahadłowcem, którym się tu dostaliśmy?

Car'das przemyślał sprawę i uznał, że to możliwe, jeśli choć jeden z napędów dreadnaughtów ocalał i prowadzące do niego kable sterujące też nie ucierpiały.

- To się może udać.

- Więc załatwmy to - rzekł Thrass.

- Twój lud zbudował ten statek. Powiedz, co mam robić.

Szyb turbowindy był właściwie czysty i wagonik dotarł do D-Cztery zaliczając jedynie kilka uderzeń i zadrapań. Sam dreadnaught nie wydawał się zbyt mocno uszkodzony.

Jeśli oczywiście nie liczyć ciała.

Roboty medyczne zaczęły już wynoszenie zwłok, prawdopodobnie zabierając je do jednego z laboratoriów medycznych, gdzie zgodnie z przestarzałym programem miałyby czekać żywe istoty i wydawać im polecenia, co robić dalej.

Ale w laboratoriach nie było nikogo, aby odebrać ciała. Lora-na sięgnęła w Moc i

zaczęła nadawać wezwania poprzez system komunikacji statku, pomimo wszelkich obaw mając nadzieję, że ktoś cudem przeżył kataklizm, który pochłonął Lot Pozagalaktyczny.

Nikt jednak nie odpowiedział ani na jedno, ani na drugie wołanie. Wydawało się, że D-Cztery jest martwy.

Obrońcy i atakujący, wszyscy zginęli. Lorana uznała ten zbieg okoliczności za zadziwiający, ale i złowróźbny. Chissowie nie mogli przecież zdobyć Lotu Pozagalaktycznego kosztem takich ofiar, a potem go po prostu porzucić.

A jeśli nie, to gdzie się ukryli?

Na D-Cztery spędziła niewiele czasu - zaraz ruszyła dalej. Turbowinda do D-Trzy nie działała, co sugerowało uszkodzenia albo wagoników, albo pylonów, albo jednego i drugiego. Ruszyła zatem w

kierunku D-Pięć. Tu zastała taką samą scenerię - ruinę i martwe ciała. Pomimo wszystko, brnąc w rumowisku, próbowała nawiązać łączność, lecz z tym samym negatywnym skutkiem. D-Sześć, kolejny przystanek tej upiornej wycieczki, wyglądał dokładnie tak samo.

Zdawało się jednak, że wszystkie trzy statki są hermetyczne, z odpowiednim oświetleniem, ogrzewaniem i grawitacją. Roboty usługowe doskonale wykorzystywały ostatnich kilka godzin. Jeśli Chissowie rzeczywiście opuścili Lot Pozagalaktyczny, może uda jej się przy pomocy ocalałych członków załogi uruchomić go na nowo, przynajmniej w części.

Znajdowała się właśnie w turbowindzie, kierując się ku D-Jeden, kiedy jej zmysły Jedi wyczuły cichy zew czyjegoś życia. I to gdzieś w pobliżu.

Przycisnęła policzek do ściany wagonika, sięgając w Moc tak daleko, jak pozwalały jej na to własne obrażenia i nieustający lęk. Zdecydowanie znajdowały się tam żywe istoty. Obce istoty. I było ich niewiele. Ale przynajmniej ktoś.

A ona i jej wagonik zmierzali prosto ku nim.

Odsunęła się od ściany i chwyciła miecz świetlny. Nie wiadomo, czy specjalnie, czy przez ślepy przypadek, komandor Mitth'raw'nuruodo spełnił jednak swoją groźbę i zniszczył Lot Pozagalaktyczny. A co więcej, zniszczył go pomimo obecności Jorusa Cbaotha i wszystkich Jedi.

Ciekawe, jak sobie poradzą Chissowie w konfrontacji twarzą w twarz.

Wagonik turbowind zatrzymał się na końcu pylonu wychodzącym na D-Jeden, zablokowanym przez labirynt dźwigarów, które uległy zniszczeniu w czasie walki. Lorana użyła Mocy, aby wspomóc siłę mięśni, rozsunęła drzwi windy i przez poskręcany metal przedostała się do wyjścia.

Pylony turbowind łączyły się u podstawy każdego z dreadnaught-tów, obsługując jedynie pokład pierwszy i drugi. Mostek znajdował się o cztery pokłady wyżej, a w tych okolicznościach Lorana nie czuła się na siłach, aby zaufać wewnętrznym systemom wind dreadnaughta. Skierowała się zatem do najbliższych schodów i ruszyła na górę.

Drzwi otworzyły się przed nim i dwóch na żółto ubranych Chissów niezbyt delikatnie wepchnęło Dorianę do środka.

Znalazł się na mostku dowodzenia, niewiele różniącym się od mostka „Sprin

ghawka", tylko większym - i obsługiwanym wyłącznie przez Chissów w tych samych żółtych uniformach, co jego eskorta. Tym wyraźniej wyróżniał się czarny mundur Mitth'raw'nuruodo, który stał pośrodku mostka przed Chissem w szarożółtej szacie. Za plecami Mitth'raw'nuruodo stała na baczność kobieta tej samej rasy, ubrana w biel.

Chiss w żółtej szacie spojrział na Dorianę i eskorta znów pchnęła go naprzód. Chiss powiedział coś ostro w swoim języku, a Mitth'raw'nuruodo przetłumaczył:

- A więc to jest twój wspólnik.

- Raczej nie - odparł Doriana, wkładając w te słowa tyle godności i pogardy, na ile było go stać, na wypadek, gdyby Chiss rozróżniał intonację głosu. Nie miał pojęcia, o co chodzi, ale wyczuwał, że rozgrywa się tu jakaś walka o władzę.

A Kinman Doriana, asystent wielkiego kanclerza Palpatine'a, doskonale znał się na walkach o władzę.

- Jestem ambasadorem wielkiego związku gwiazdowego zwanego Republiką Galaktyczną - oznajmił uroczyście.

- Przybyłem tu z misją dobrej woli i wyprawą badawczą.

Uważnie przyglądał się Chissowi w żółtej szacie, podczas gdy Mitth'raw'nuruodo tłumaczył jego słowa. Tamten jednak uśmiechnął się cynicznie i przemówił:

- Przybyłeś, aby zaprowadzić chaos i wojnę do tej części przestrzeni - przetłumaczył Mitth'raw'nuruodo.

- Sprowadziłeś tu obcą broń, której zamierzałeś użyć przeciwko Dynastii Chissów.

Chiss wyprostował się lekko, zaczekał, aż Mitth'raw'nuruodo skończy tłumaczyć i mówił dalej:

- Ale przegrałeś. Broń ta stanowi teraz własność Piątego Rodu Panującego. Ja, arystokra Chaf orm'bintrano, biorę ją niniejszym w posiadanie.

Doriana skinął głową zamyśleniu. A więc chodzi o Lot Pozagalaktyczny i jego technologię. Wiedząc coś niecoś o wewnętrznych konfliktach orientował się, że przywłaszczenie go sobie przez jedną z grup Chissów nieuchronnie spowoduje straszliwe konflikty z pozostałymi grupami, aż do wojny domowej włącznie.

A to, oczywiście, była sytuacja, którą Darth Sidious chętnie by sobie obejrzał. Dynastia Chissów uwikłana we własne problemy wewnętrzne nie mogłaby już stanowić zagrożenia dla planów lorda Sithów wobec Republiki, ani dla Nowego Porządku, jaki zamierzał wprowadzić. Stojąc teraz tutaj, pośród ludzi Chaf orm'bintrano, Doriana musiał jedynie potwierdzić roszczenia Piątego Rodu i tym samym wprowadzić Chissów na tę trudną i pełną przemocy ścieżkę.

Ale kiedy już otworzył usta, by przemówić, spojrzał na Mitth'raw'nuruodo.

Komandor przyglądał mu się z nieruchomą twarzą, wbijając w niego przenikliwe spojrzenie rozjarzonych oczu.

Doriana już przecież, choć niechętnie, przyznał, że Mitth'raw'nuruodo trzeba będzie zabić. Jeśli jednak ta śmierć nastąpi w chwili sporu nad podziałem Lotu Pozagalaktycznego...

- Przykro mi, arystokro Chaf orm'bintrano, ale Lot Pozagalaktyczny nie należy do ciebie, więc nie możesz go wziąć w posiadanie - powiedział.

- Jako prawomocny przedstawiciel Republiki, która wysłała projekt w podróż, roszczę sobie pełne prawa do wraku.

Chaf orm'bintrano wydawał się zaskoczony, kiedy Mitth'raw'-nuruodo zakończył tłumaczenie. Wyrzucił z siebie kilka szybkich słów.

- To śmieszne - przekazał Mitth'raw'nuruodo.

- Agresor nie ma żadnych praw.

- Zaprzeczam, że ja czy Lot Pozagalaktyczny zachowaliśmy się agresywnie wobec waszego ludu - odparował Dorian.

- Domagam się pełnego przesłuchania i wyroku, zanim którykolwiek z Chissów postawi stopę na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego.

Mitth'raw'nuruodo przetłumaczył. Chaf orm'bintrano zmrużył oczy i spojrzał na białą ubraną kobietę. Powiedział coś, ona odpowiedziała i zaczęła się dyskusja.

Dorian kątem oka spojrzał na Mitth'raw'nuruodo. Jego twarz wciąż była pozbawiona wyrazu, ale kiedy zatrzymał wzrok na twarzy Doriany, jego górna warga uniosła się w ledwie zauważalnym uśmiechu aprobaty.

Dorian nie wiedział, co komandor zamierza zrobić z tym świeżo rozpętanym bałaganem, ale ku własnemu zdziwieniu odkrył, że prawie z niecierpliwością czeka, aby się o tym przekonać.

Przygotowanie Lotu Pozagalaktycznego do podróży zajęło nieco więcej czasu, niż Car'das się spodziewał. W końcu jednak byli gotowi.

- W porządku. Do sterów - polecił Thrassowi, spoglądając przez owiewkę na statki Chisów, wciąż wiszące w niewielkiej odległości. Nie bardzo wiedział, dlaczego do tej pory nie wysłali jeszcze grupy abordażowej, ale widocznie Thrawn i Ar'alani zdołali ich jakoś powstrzymać.

- Gotów - zawołał Thrass.

Car'das podszedł do konsoli nawigacyjnej i po raz ostatni sprawdził wszystkie odczyty. Kurs ustawiony i zablokowany, gotów, aby zabrać Lot Pozagalaktyczny w jego ostatnią podróż. Przeszedł do konsoli technicznej i położył palce na kontrolkach zasilania...

- Uwaga! - warknął Thrass.

Car'das odwrócił się, spodziewając się ujrzeć atakujący go oddział żółto ubranych Chissów. Zdziwił się jednak bardzo, kiedy się okazało, że stoi przed nim młoda kobieta. Kątem oka ujrzał, jak Thrass wyrywa spod szaty ukrytą tam broń. W odpowiedzi kobieta wydobyła krótki metalowy cylinder.

I w jej dłoniach ożył zielony miecz świetlny.

- Nie! - krzyknął Car'das do Thrassa, wymachując rękami. Ale było już za późno. Pistolet syknął i splunął błękitnym ogniem, który kobieta odbiła i skierowała w sufit.

- Powiedziałem, przestań! - zawołał Car'das.

- To Jedi! Ku jego uldze Thrass nie strzelił po raz drugi.

- Czego chcesz? - zapytał Chiss w cheunh, nie spuszczać z kobiety lufy miotacza.

- On chce wiedzieć, czego tu szukasz - rzekł Car'das, tłumacząc jej słowa Thrassa.

Zerknęła na niego z ukosa.

- On nie mówi w basicu?

- Nie, nikt tu nie mówi w basicu, z wyjątkiem Thrawna - odparł Car'das.

- Ale zna trochę sy bisti, jeśli to pomoże.

- Pomoże. - Spojrzała znów na Thrassa.

- Kim jesteś? - zapytała, przechodząc na ten język.

- Jestem syndyk Mitth'ras'safis z Ósmego Rodu Panującego Dynastii Chissów - przedstawił się Thrass.

- A ja jestem Jorj Car'das - dodał Car'das.

- Głównie niewinny świadek całej tej awantury.

- Głównie?

- Dostałem się tu dzięki awarii hipernapędu - wyjaśnił.

- A ty kim jesteś?

- Lorana Jinzler - przedstawiła się. Opuściła miecz, ale nie zgasiła go. Przeszła przez próg i ruszyła w obchód mostka, wyraźnie kulejąc. Przesunęła wzrokiem po martwych ciałach i na jej twarzy pojawił się bolesny skurcz.

- Kto jeszcze jest na pokładzie?

- Na razie tylko my - odparł Thrass. Zawahał się, ale wsunął miotacz z powrotem za pas tuniki.

- Ale członek jednego z rodów panujących próbuje zagarnąć Lot Pozagalaktyczny dla siebie. Staramy się temu zapobiec.

Zmrużyła oczy.

- Jak?

- Będziemy musieli go zniszczyć - wyjaśnił Car'das, uważnie obserwując jej twarz. Nawet jeśli ze statku nie pozostało nic, poza rozdartym i zmiażdżonym metalem, Jedi była prawdopodobnie przywiązana do tej martwej skorupy. I to tak mocno, że sprzeciwi się jej zniszczeniu. Ludzie czasem zachowują się bardzo dziwnie.

I rzeczywiście, wytrzeszczyła oczy ze zgrozą.

- Nie! - zawołała.

- Nie możecie tego zrobić!

- Słuchaj, przykro mi - odparł Car'das tak łagodnie, jak mógł.

- Ale nie ma tu już nic poza martwym metalem i robotami.

- Nie obchodzi mnie martwy metal - warknęła.

- Na pokładzie wciąż są żywi ludzie.

Car'das poczuł, że serce mu zamiera. Nie. To niemożliwe. Ta Jedi mogła przeżyć atak Thrawna, ale z pewnością nikt więcej...

- Kto? - zapytał. - Ilu ich jest?

- Pięćdziesięcioro siedmioro - odrzekła Jinzler.

- W tym również dzieci.

Car'das spojrzał na Thrassa, widząc w jego twarzy odbicie własnej zgrozy.

- Gdzie oni są? - zapytał. - Czy można ich stamtąd wywieźć?

- Tym wahadłowcem? - odparował Thrass, zanim Jinzler zdążyła odpowiedzieć.

- Nie zabierzemy nawet dziesięciu, nie ma miejsca.

- A sprowadzenie ich tutaj zajmie sporo czasu - dodała Jinzler.

- Wciąż są w rdzeniu magazynowym.

Car'das skrzywił się. No tak, rdzeń magazynowy. Jedyne miejsce, które Thrawn pominął w czasie ataku.

- Więc co robimy?

- Nie rozumiem, w czym problem - zdziwiła się Jinzler, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

- Możemy przecież po prostu odlecieć.

- Przede wszystkim nie możemy poprowadzić Lotu Pozagalaktycznego zbyt daleko, a przynajmniej nie we dwóch - tłumaczył jej Car'das.

- Nawet gdybyśmy mieli czas na sprowadzenie twoich ludzi do pomocy.

Lorana rozejrzała się po mostku.

- Nie będą nam potrzebni - powiedziała zdławionym, ale stanowczym głosem.

- Potrafię sterować Lotem Pozagalaktycznym.

- Sama? - zapytał Thrass z widocznym niedowierzaniem.

- Jedna osoba?

- Jedna Jedi - przypomniała mu Jinzler.

- Mistrz Cbaoth nalegał, abyśmy wszyscy się nauczyli, jak obsługiwać główne systemy. Przynajmniej w normalnych warunkach.

- Warunki nie są raczej normalne - zauważył Car'das.

- A wciąż pozostaje pytanie, gdzie się udać. Nie damy rady dolecieć do Republiki, nie z takimi uszkodzeniami.

- Musimy dotrzeć do bazy Floty Obronnej, jak to planował mój brat - zauważył Thrass.

- A co wtedy stanie się z moimi ludźmi? - zapytała Jinzler.

- Czy zostaną jeńcami wojennymi? Niewolnikami, okazami do badań?

- Chissowie nie są tacy - oburzył się Car'das.

- Ale wynik końcowy może być właśnie taki - zgodził się Thrass.

- Jeśli Piąty Ród Panujący uzna za stosowne wymusić swoje roszczenia do Lotu Pozagalaktycznego,

nawet jeśli udamy się do bazy wojskowej, istnieje poważna obawa, że mogą zarządzić uwięzienie wszystkich na pokładzie do czasu podjęcia decyzji.

- Jak zwał, tak zwał, ale będzie to więzienie - ponuro podsumowała Lorana.

- Jak długo potrwa proces decyzyjny?

Thrass prychnął.

- Przy takiej zdobyczy jak Lot Pozagalaktyczny? Może trwać lata.

- Więc zapomnijmy, że możemy polecieć dokądkolwiek w granicach przestrzeni Chissów - postanowił Car'das.

- Macie jakieś pomysły? Znacie gdzieś tutaj jakieś zamieszkane światy?

- Nawet gdyby tak było, przestrzegalbym przed bliższą okolicą

- odparł Thrass. - Ten region jest niebezpieczny, wszędzie pełno piratów i korsarzy.

- Nie wspominając już o niedobitkach Vagaarich - zgodził się Car'das z lekkim dreszczem.

- Myśl, Thrass, myśl. Musi być coś, co możemy dla nich zrobić.

Thrass popatrzył na statki Piątego Rodu.

- Jest jeszcze jedna możliwość - rzekł powoli. - O dwa dni drogi stąd jest gromada gwiazdna, którą Flota Obronna zaczęła fortyfikować jako awaryjne miejsce ucieczki. Widziałem dane, jest tam co najmniej dziesięć światów podatnych do zamieszkania, których jeszcze nie zbadano.

- Coś w rodzaju domu z dala od drogi - mruknął Car'das z powątpiewaniem.

- I do tego nadal w przestrzeni Chissów.

- Ale to miejsce, gdzie statki Piątego Rodu nie odkryją was przez jakiś fatalny przypadek - odparł Thrass. - Tam bywa jedynie personel Floty Obronnej i to tylko w tych systemach, gdzie przygotowują fortyfikacje.

- Więc w czym tkwi haczyk? - zapytał Car'das. Thrass skrzywił się.

- Ano w tym, że nie znam bezpiecznej drogi do tej gromady - rzekł.

- Czy wasze systemy nawigacyjne potrafią same odnaleźć takie trasy?

- Prawdopodobnie nie - zastanowiła się Jinzler.

- Ale być może ja potrafię. Istnieją techniki nawigacyjne Jedi, które powinny wystarczyć do

przeprowadzenia nas przez gromadę.

- I co z tego, jeśli nawet ona to potrafi? - zwrócił się Car'das do Thrassa.

- Zbudują sobie bazę i będą czekać, aż wszystko przycichnie?

- Albo ukryją się, a ja wrócę i poprowadzę tajne negocjacje z Radą Rodów, aby umożliwić im bezpieczny powrót do domu - wyjaśnił Thrass.

- Nawet gdyby takie negocjacje trwały kilka, miesięcy, rozbitkowie będą mieli przynajmniej zdatny do zamieszkania świat.

- Spojrzał na Loraną.

- Czy na pokładzie jest jakiś inny pojazd z hipernapędem, który mógłbym wziąć?

- Jest dwuosobowy Skysprite Delta-12 - odparła młoda Jinzler.

- Ale on chyba nie ma wystarczającego zasięgu.

- I to wszystko? - zapytał Car'das, nie dowierzając, że tak szybko udało im się wymyślić coś sensownego.

- Ukryjemy Lot Pozagalaktyczny w tej gromadzie, wynegocjujemy układ z Chisami... wszystkimi Chissami... i każdy dostanie to, co chce?

- Właściwie tak - zawahała się Lorana.

- Ale to „my” nie obejmuje ciebie. Jest coś, o co chciałabym cię poprosić.

- Zacisnęła usta. - To sprawa osobista.

- To znaczy? - ostrożnie zapytał Car'das. Wyświadczenie osobistej przysługi Jedi nie brzmiało zbyt kusząco.

- Chciałabym, żebyś po powrocie do Republiki odnalazł mojego brata - powiedziała.

- To Dean Jinzler, prawdopodobnie pracuje w Usługach Wsparcia Technicznego Senatu na Coruscant. Powiedz mu... - zawahała się.

- Powiedz mu, że jego siostra o nim myśli i że ma nadzieję, iż pewnego dnia uda mu się pozbyć gniewu. Gniewu na mnie, na rodziców i na siebie samego.

- W porządku - zgodził się Car'das i poczuł, że włoski na karku stają mu dęba. Skoro wysyła go z taką prośbą, to znaczy, że sama nie jest pewna, czy tam wróci. Biorąc pod uwagę, w jakim stanie jest Lot Pozagalaktyczny, on też nie liczyłby na to spe

cjalnie.

- Zrobię, co będzie w mojej mocy.

Spoglądała mu w oczy przez długą chwilę, zanim skinęła głową.

- Lepiej już leć - powiedziała. Spojrzała na swój ciągle jeszcze włączony miecz, jakby dopiero teraz zauważyła, że wciąż świeci, i szybko go wyłączyła.

- Proszę, nie zapomnij.

- Nie zapomnę - obiecał.

- Powodzenia... - spojrzał na Thrassa

- ...dla was obojga.

Dziesięć minut później Car'das wyprowadzał już wahadłowiec Chissów z hangaru dreadnaughta i szykował się do drogi. Obrócił nos statku w kierunku oczekujących pojazdów Piątego Rodu i spojrzał przez ramię na imponującą ruinę, jaka pozostała z Lotu Pozagalaktycznego.

Zastanawiał się, czy ktokolwiek jeszcze go zobaczy.

Doriana wyglądał przez owiewkę mostka, słuchając niezbyt uważnie sprzeczki, którą wciąż toczyli Chaf orm'bintrano, Mitth'raw'nuruodo i kobieta, kiedy Lot Pozagalaktyczny nagle wykonał skok w nadświatlną.

Przez moment gapił się z niedowierzaniem w pustą przestrzeń... a potem poczuł, że usta same rozciągają mu się w uśmiechu. Więc do tego dążył Mitth'raw'nuruodo ze swoją konfrontacją. Starał się zyskać na czasie, żeby jego ludzie zdążyli świsnąć dreadnaughty wprost przed nosa arystokry Chaf orm'bintrano.

I nawet próba zmacenia wody Chissom, jaką podjął sam Doriana, wydawała się teraz częścią tego planu. Czyżby Mitth'raw'nuruodo przewidział jego działania? A może po prostu włączył je do swojego własnego planu, kiedy już się wydarzyły? Tak czy owak, był to majstersztyk.

- Przepraszam - odezwał się Doriana, unosząc palec.

- Mam wrażenie, że dyskusja dobiegła końca.

Odczekał, aż zwróca na niego uwagę, po czym skierował ten sam palec w przestrzeń za owiewką.

- Wasza zdobycz uciekła - dodał wesoło.

R O Z D Z I A Ł 24

Mżące hiperprzestrzenne niebo przepływało ponad owiewkami dreadnaughta, kiedy Lot Pozagalaktyczny pędził w nieznane. Lorana wiedziała, że niebo jest tam, gdzie być powinno, ale nie miała czasu skupić się na jego wyglądzie. Musiała się koncentrować na systemach D-Jeden. Używała Mocy, żeby wyczuwać status urządzeń, a także utrzymywać kontrolki we właściwych pozycjach.

Ciężka to była praca. Okropnie ciężka.

Wyczuła, że ktoś stoi obok.

- Lorano... - odezwał się Thrass. Do nadmiernie napiętej świadomości młodej Jedi ten głos dochodził jak z bardzo daleka.

- Dotarłeś do nich? - zapytała. Ten moment rozproszenia trwał stanowczo za długo - jeszcze nie skończyła mówić, a już jeden z reaktorów zaczął wykazywać niebezpieczne odchylenia. Przygryzła mocno dolną wargę, sięgnęła przez Moc i ustawiła przepływ na właściwym poziomie.

- Przepraszam - rzekł Thrass.

- Nie umiem nawet wydostać się z tego statku. Wszystkie tunele turbowind w pylonach są praktycznie zablokowane. Gdybyś wyprowadziła nas z nadprzestrzeni, mógłbym znaleźć jakiś kombinezon, żeby wyjść po pancerzu.

- Nie - odparła Lorana. Wiedziała, że zabrzmiało to chłodno i niegrzecznie, ale nie miała czasu na uprzejmości.

- Hipernapęd źle działa.

W istocie hipernapęd działał nawet gorzej niż źle. Przegrzewał się coraz bardziej i Lorana niewiele mogła zrobić, żeby całkiem nie wymknął się spod jej kontroli. Jeśli teraz go wyłączy, to możliwe, że już nigdy nie ruszy. A jeśli nawet nie wyłączy, prawdopodobnie sam się rozleci.

Z drugiej strony udało im się osiągnąć taką prędkość, że granica gromady znajdowała się już tylko o kilka godzin drogi. Jeśli Lorana nadal będzie prowadzić statek, używając technik nawigacyjnych Jedi, co pozwoli im przelecieć bezpiecznie pomiędzy ciasno skupionymi gwiazdami, zyskają szansę, aby dotrzeć do jednego ze światów opi

sanych przez Thrassa, zanim hipernapęd całkiem wysiądzie.

- Rozumiem - rzekł Thrass.

- Postaram się znaleźć jakąś linię łączności, która pozwoli mi się z nimi skontaktować.

Odsunął się i Lorane ogarnęło poczucie winy. Rozbitkowie wciąż jeszcze czekali na dole, jak im kazała, i zapewne zastanawiali się, co się z nią stało. Może nawet uznali, że uciekła i zostawiła ich na pastwę losu.

Po drugiej stronie mostka zapłonęło czerwone światło, ostrzegając, że tłumiki przepływowe zaczynają dryfować. Zmarszczyła czoło w skupieniu, starając się utrzymać wpływ Mocy na całe miliony kontrolki, którymi zonglowała jednocześnie. Wyciągnęła rękę i ostrożnie ustawiła tłumiki z powrotem we właściwej pozycji. Kiedy dotrą na miejsce i będzie mogła wreszcie wyłączyć wszystkie systemy, wraz z Thrassem dotrą do grupy Uliara, a wtedy wszystko się wyjaśni.

Zrozumieją. Na pewno zrozumieją.

Po drugiej stronie mostka zabłysło kolejne czerwone światło. Odetchnęła głęboko, zastanawiając się, jak długo jeszcze zdoła nad wszystkim panować, i sięgnęła w Moc.

- Zapłacicie za to! - ryknął Chaf orm'bintrano, defilując tam i z powrotem po sali konferencyjnej przed trójką stojących w milczeniu więźniów. Za wąskim biurkiem stał wyściełany fotel, ale arystokra był zbyt wściekły, aby usiąść.

- Słyszycie? Zapłacicie za to wszyscy!

- Spojrzał gniewnie najpierw na Dorianę, potem na Car'dasa i wreszcie na Thrawna. - A zarzut będzie brzmiał: zdrada stanu.

Admirał Ar'alani, stojąca obok biurka, w bezpiecznej odległości od arystokry, poruszyła się niespokojnie.

- Nie sądzę, aby taki zarzut udało się utrzymać, arystokro - powiedziała. Wysłuchiwała grózb Chaf orm'bintrano z neutralnym wyrazem twarzy. Mimo to Car'das pod wyniosłością pani admirał dostrzegł lekką ulgę.

Nic dziwnego. Dostała to, czego chciała: Lot Pozagalaktyczny był bezpieczny przed zakusami Chaf orm'bintrano, a to, co się stanie z więźniami, prawdopodobnie kompletnie jej nie obchodziło.

A przynajmniej, co się stanie z tymi dwoma, którzy nie są Chissami.

- Uważasz, że to się nie uda? - warknął Chaf orm'bintrano, mierząc ją gniewnym spojrzeniem.

Ar'alani nie ugięła się.

- Właśnie tak uważam - odparła.

- Car'das przecież powiedział, że tego czynu dokonali syndyk Mitth'ras'safis i człowiek Lorana

Jinzler.

- Z jego pomocą i radą.

- Samo doradzenie jeszcze nie jest zdradą - przypomniała Ar'alani.

- A kogoś, kto nie jest Chisem, nie można obciążyć takim zarzutem. Dorigana zaś w ogóle nie miał z tym nic wspólnego.

- O co im teraz chodzi? - dyskretnie szepnął Dorigana prosto w ucho Car'dasa.

- Arystokra najchętniej upiekłby nas na wolnym ogniu - wyjaśnił równie cicho

Car'das.

- Admirał zaś sugeruje, że powinien wymyślić lepsze zarzuty.

- Aha.

Ich krótka rozmowa przeszła niezauważona.

- Czy więźniowie chcą jeszcze coś dodać? - kąśliwie zapytał Chaf orm'bintrano.

- Tylko tyle, że więźniowie zaraz zostaną uwolnieni - odparł Thrawn i były to jego pierwsze słowa od chwili, kiedy razem z pozostałymi znalazł się w sali konferencyjnej, gdzie Chaf orm'bintrano mógł im grozić do woli.

- Nie zrobili niczego, o co można by ich oskarżyć. Jeśli chcesz kogoś obwiniać, obwiniaj mnie.

- Zrobię to z całą pewnością - syknął Chaf orm'bintrano.

- Ale najpierw zajmę się twoimi współnikami.

- Nie są moimi współnikami - spokojnie odparł Thrawn.

- W gruncie rzeczy są moimi więźniami, a zatem podlegają legislacji Chissańskiej Floty Ekspansywnej.

- Uniósł brwi.

- Ja też.

- Już nie - sprostował Chaf orm'bintrano.

- Za zbrodnię niesprowokowanego ataku na istoty rozumne odwołuję cię niniejszym ze stanowiska dowódcy.

- Chwileczkę, arystokro - wtrąciła admirał Ar'alani, występując naprzód. - Nie możesz odwołać go za zbrodnię, za którą jeszcze nie został skazany.
- Radzę przeczytać jeszcze raz odpowiednie przepisy - kwaśno odparł Chaf orm'bintrano.
- Komandor Mitth'raw'nuruodo po raz ostatni przekroczył granice... i tym razem mamy na to dowód, rozrzucony przed naszymi oczami w przestrzeni.
- Vagaari stanowili bezpośrednie zagrożenie dla Dynastii - wtrącił Thrawn.
- A ten system należy do przestrzeni Chissów.
- Ale tym razem zapomniałeś zmusić ofiarę, by strzeliła pierwsza - odparował Chaf orm'bintrano triumfalnie.
- Nie zaprzeczysz... mamy zapisy z twojego własnego statku.
- Vagaari grozili zarówno nam, jak i Lotowi Pozagalaktycznemu - zaprotestował Thrawn.
- Twierdzę, że takie groźby, poparte wyraźną siłą ognia, powinny wystarczyć jako prowokacja dla działań Chissów.
- Możesz sobie twierdzić, co tylko zechcesz - odparł Chaf orm'bintrano.
- Ale to ty musisz to udowodnić, nie ja.
- Spojrzał na Ar'alani.
- A dopóki proces się nie odbędzie, jestem uprawniony zarówno do odwołania go ze stanowiska dowódcy, jak i pozbawienia immunitetu, którym najwyraźniej chciałaś go chronić Ar'alani nie odpowiedziała. Dłuższą chwilę Chaf orm'bintrano nie spuszczał z niej wzroku, po czym znów spojrzał na Thrawna.
- Ty i twoi towarzysze zostaniecie postawieni przed sądem - zdecydował.
- Zarówno ci, jak i ta dwójka, która pozostała na Crustai.
- Przerwał.
- Oczywiście pod warunkiem, że ich los obchodzi cię zbyt mało, by podjąć negocjacje. Thrawn spojrzał na Car'dasa i Dorianę.
- Na przykład?
- Zrezygnujesz ze stanowiska na zawsze - zaproponował Chaf orm'bintrano.

- Zrzekniesz się swojego statusu Próbnego Urodzonego w Ósmym Rodzie i staniesz się członkiem cywilnej ludności Chissów, aby nigdy już nie wznieść się na pozycję, gdzie mógłbyś stanowić zagrożenie dla prawa lub obyczajów.

- Żądasz całego mojego życia w zamian za kilku obcych więźniów - spokojnie zauważył Thrawn.

- Czy jesteś pewien, że zdołasz żyć z konsekwencjami swojego postępuku?

Chaf orm'bintrano prychnął wzgardliwie.

- Jakimi konsekwencjami?

- Zaczniemy od tego że Ósmy Ród nie pozwoli Próbnemu Urodzonemu tak po prostu zrzec się swojego statusu - wyjaśnił Thrawn.

- Będą nalegać na przesłuchanie... i nie wierzę, aby mnie opuścili. Nie wtedy, kiedy zobaczą, jaką zdobycz mi zawdzięczają.

Chaf orm'bintrano zeszywniał.

- Nie odważysz się - warknął groźnie.

- Jeśli Lot Pozagalaktyczny pojawi się w twierdzy Ósmego Rodu...

- Lot Pozagalaktyczny przepadł - uciał Thrawn.

- Mówię o całkiem innej technologii.

- Machnął rękaw kierunku nieba.

- Chodzi mi o urządzenie, dzięki któremu zdołałem wyrwać z nadprzestrzeni najpierw Lot Pozagalaktyczny, a potem flotę Vagaarich.

Chaf orm'bintrano spojrzał ze zdumieniem na Ar'alani.

- Twierdzisz, że nie wyszli oni z nadprzestrzeni z własnego wyboru?

- Wybór należał wyłącznie do mnie - zapewnił go Thrawn.

- Mogę ci to zademonstrować, jeśli sobie życzysz.

- To urządzenie nie jest twoją własnością - zaprotestowała Ar'alani. Już nie miała neutralnej miny.

- Należy do Chissańskiej Floty Obronnej.

- Cóż, jeśli pozostanę członkiem Floty Ekspansywnej, niewątpliwie ci je przekażę - zapewnił ją

Thrawn.

- Jeśli jednak odbiorą mi dowództwo, nie będę miał żadnych oficjalnych zobowiązań lojalności względem nikogo, poza moją adoptowaną rodziną. W tej sytuacji... - pozostawił zdanie bez zakończenia.

Chaf orm'bintrano nie miał najmniejszego problemu z powiązaniem faktów.

- Admirale, nie możesz mu pozwolić na takie manipulacje - zawołał.

- To szantaż w najczystszej postaci.

- To tylko rzeczywistość - poprawił go Thrawn.

- A admirał Ar'alani nie ma na ten temat nic do powiedzenia. To ty grozisz, że

odwołasz mnie ze stanowiska.

Przez długą minutę spojrzenia obu Chissów ścierały się ze sobą. Nagle Chaf orm'bintrano po prostu odwrócił się i opuścił salę.

- Niezbyt dobrze to wyszło - mruknął Dorigana.

- Nie dało się inaczej - odparł Car'das, patrząc na Thrawna.

- A przynajmniej tak mi się zdaje.

- Fakt - potwierdził Thrawn i przez moment wydawało się, że stracił całą energię.

- Arystokra jest wściekły, ale nie będzie miał teraz odwagi odebrać mi dowództwa.

- Spojrzał na Ar'alani. - A kiedy Flota Obronna dostanie projektor pola grawitacyjnego, jestem pewien, że ochroni mnie przed dalszymi zakusami z jego strony.

Usta Ar'alani zadrżały lekko.

- Zrobimy, co w naszej mocy - obiecała.

- Musisz jednak zrozumieć, komandorze, że nie wolno ci naciągać praw ustalonych przez Flotę Obronną i Dziewięć Rodów, bo może nadejść chwila, kiedy nie będą już w stanie cię obronić.

- Rozumiem - odrzekł Thrawn.

- Ale zapamiętaj, że będę dalej chronił swoich ludzi za każdą cenę i w każdy sposób, który uznam za stosowny.

- Niczego innego od ciebie nie oczekiwałam - powiedziała Ar'alani. Spojrzała przelotnie na Dorianę i Car'dasa.

- Zwalniam twoich więźniów... i ciebie. Wracajcie na Crustai, ja zaś zajmę się resztkami po Vagaarich.

- Cieszę się. - Thrawn skłonił się przed nią.

- Projektor pola grawitacyjnego będzie na ciebie czekał na Crustai, aż zechcesz go zabrać.

Ar'alani odpowiedziała podobnym ukłonem i wyszła z sali.

- Cóż, myślę, że tym razem to naprawdę koniec - odetchnął z ulgą Thrawn.

- Wahadłowiec zaraz zabierze nas na pokład „Springhawk”.

- Skinął na Dorianę.

- A następnie odwiozę ciebie i wicelorda Kava na statek.

- Dziękuję - odparł Doriana.

- Nie możemy się doczekać powrotu do domu.

Wychodząc z sali Car'das pomyślał, że Dorianą trzyma się zadziwiająco dobrze.

Mijali właśnie system w połowie drogi do gromady gwiazdnej, kiedy hipernapęd wreszcie się poddał.

- Nie ma szansy, żeby go naprawić? - zapytał Thrass. Lorana pokręciła głową.

- Ja nie potrafię - odparła.

- I pewnie nikt inny też nie, chyba że fachowcy w dużej stoczni.

Thrass spojrział przez owiewkę na odległe słońce.

- Jest tu jeszcze pięć dreadnaughtów, a każdy ma własny hipernapęd - przypomniał jej.

- Czy nie możemy przenieść się do innego, żeby wykorzystać jego systemy?

Lorana potarła czoło, krzywiąc się od pulsującego bólu w skroniach.

- Zgodnie z odczytem statusu w KomOpie żaden inny hipernapęd nie działa - wyjaśniła. - A systemy sterowania na wszystkich pozostałych dreadnaughtach uległy zniszczeniu. Nie wiem, czego użył twój brat, aby odeprzeć atak Cbaotha, ale skutkowało to przepaleniem większości delikatnych obwodów. Dotarcie do nich, nie wspominając o naprawie, może zająć miesiące, a nawet lata.

Thrass w zadumie postukał palcami w krawędź najbliższej konsoli.

- Więc zatrzymajmy się tutaj, w tym systemie - zaproponował.

- Wyłączymy napęd, weźmiemy tę deltę dwanaście, o której mówiłaś, i spróbujemy załatwić coś dla twoich ludzi.

- Chyba nie powinniśmy wyłączać napędu - zaprotestowała Lorana, próbując zmusić się do myślenia.

- W takim stanie, w jakim jest teraz, może już nigdy nie ruszyć.

- Ale jeśli go nie wyłączymy, Lot Pozagalaktyczny przeleci przez cały system - zauważył Thrass.

- Możemy przez miesiąc negocjować z Siłami Obronnymi i z Dziewięcioma Rodami, ale przez ten czas statek może znaleźć się już w przestrzeni międzygwiazdnej, gdzie nigdy go nie znajdziemy. A jeśli hipernapędy okażą się nie do naprawienia, statek pozostanie w tej przestrzeni międzygwiazdnej na zawsze.

- Więc może lepiej poszukajmy miejsca, gdzie będziemy mogli się na chwilę zatrzymać - zaproponowała.

- Może na przykład trafi się jakaś ładna, wysoka orbita wokół jednej z planet. Odpalmy to, co zostało z naszych czujników i sprawdźmy, co mamy do dyspozycji.

Przegląd zajął im prawie dwie godziny. Na koniec okazało się, że pozostała tylko jedna realna możliwość.

- Grawitacja jest mniejsza, niż sądziłem - uznał Thrass, kiedy razem pochyłali się nad konsolą.

- A to oznacza mniejszą stabilność na orbicie, spowodowaną zakłóceniami wywoływanymi przez przelatujące obiekty.

- Ale oznacza też mniej atmosfery, która mogłaby spowodować zejście z orbity - zauważyła Lorana.

- I mamy ją prawie dokładnie na naszym wektorze, co oznacza, że nie będziemy musieli wykonywać dziwnych manewrów. Powinniśmy spróbować.

- Zgoda - zdecydował Thrass. - Miejmy nadzieję, że napęd wytrzyma.

Dotarli do upatrzonej planetoidy i właśnie podchodzili do orbity, kiedy napęd po raz ostatni strzelił i zgasł.

- Mów, co się dzieje - syknęła Lorana i sięgnęła w Moc, bez powodzenia próbując zmusić system do

działania. - Thrass?

- Czerwona krzywa zagina się za bardzo do wewnątrz - zameldował Thrass nerwowo znad konsoli nawigacyjnej.

- Piętnaście orbit od tej chwili przecina powierzchnię.

W sercu Lorany wezbrała fala rozpacz. Z trudem zmusiła się do rozproszenia jej. Po tym wszystkim, co przeszli, Lot Pozagalaktyczny nie może ulec zniszczeniu. Nie teraz.

- Idź do stacji czujników - poleciała.

- Zobacz, czy znajdziesz miejsce... jakiegokolwiek miejsce do lądowania.

- Ten statek nie został zaprojektowany, aby lądować - ostrzegł Thrass, ale pospieszył do odpowiedniej konsoli.

- Czy możemy jeszcze próbować wejść na orbitę?

- Pracuję nad tym - mruknęła Lorana, podchodząc do stanowiska monitorów technicznych i szukając wśród czerwonych światełek takiego, które rokowałoby jeszcze szansę na zmianę koloru. Stwierdziła, że dwa z przednich silników hamujących i manewrowych jeszcze działają. Gdyby zdołała jakoś obrócić Lot Pozagalaktyczny o sto osiemdziesiąt stopni, a potem użyć tych silników, aby popchnąć ich kawałek po bieżącym wektorze...

Wśliznęli się w pole grawitacyjne planetoidy i wykorzystali pierwszą z piętnastu orbit, zanim Lorana stwierdziła, że taki manewr nie będzie możliwy. Stanowili po prostu zbyt dużą masę, a przy tym mieli za mało czasu.

- Przykro mi - stwierdziła, podchodząc do Thrassa.

- A co u ciebie? Masz coś?

- Możliwe - rzeki z wahaniem.

- Znalazłem długi, zamknięty wąwóz, który może okazać się dość głęboki, aby nas pomieścić.

- Nie wiem, co nam to da - mruknęła Lorana.

- Zamknięte wąwozy mają strome ściany, a to z kolei oznacza, że może trzeba będzie zatrzymać się gdzieś po drodze.

- W tym przypadku zatrzymanie byłoby niezbyt gwałtowne - rzekł Thrass wskazując na ekran.

- Ten wąwóz pełen jest drobnych kamieni.

Zmarszczyła brwi i pochyliła się, żeby się lepiej przyjrzeć. Miał rację - wąwóz wypełniony był prawie po brzegi drobnymi kamykami, wyglądającymi jak żwir.

- Ciekawe, jak to się mogło stać - zauważyła.

- To prawdopodobnie skutek wielokrotnych kolizji meteorytów i asteroid - rzekł Thrass.

- Nieważne. To jedyne miejsce na planetoidzie, które daje jakieś szansę na przetrwanie.

Lorana skrzywiła się, ale Thrass miał rację. Bez napędu zejście w jakimkolwiek innym miejscu oznaczałoby kolizję przy prędkości zbliżonej do orbitalnej. Taki żwir pozwoli im na stopniowe wytracanie prędkości.

- Dotrzemy do niego bez napędu? - zapytała Lorana.

- Wąwóz jest dość blisko naszej obecnej drogi po orbicie - wyjaśnił Thrass. - Mam wrażenie, że systemy manewrowe wystarczą, aby przesunąć nas w odpowiednie miejsce i zapewnić bodaj minimalne spowolnienie przed upadkiem.

Na ekranie pojawiła się analiza sytuacji.

- Komputer zgadza się z tobą - potwierdziła Lorana; wpatrywała się w leżący pod nimi mroczny świat, usiłując zachować jasność myśli.

- W porządku. Jesteśmy teraz w D-jeden, Delta-dwanaście jest w D-trzy, a cała

reszta ocalałych siedzi w rdzeniu. Jeśli chcemy, aby D-trzy znalazł się na szczycie kupy żwiru, musimy ob-rócić Lot Pozagalaktyczny tak, aby D-sześć był na dole. To on uderzy pierwszy, weźmie na siebie cały początkowy impet i mam nadzieję, że spowolni nas tak, aby uszkodzenia innych statków były minimalne.

- Również uszkodzenia tego? - zapytał Thrass.

Skrzywiła się.

- Cóż, nie mam wielkiego wyboru. Musimy zachować hangar D-trzy nad powierzchnią, jeśli mamy wydobyć Deltę-dwanaście. Przenieścimy zatem D-sześć na sam dół, jak powiedziałam, a potem przeniesiemy ludzi z rdzenia do...

- Halo! - rozległ się nagle głos z głośnika mostka.

- Jedi Jinzler! Jesteś tam? Tu Chas Uliar. Znudziliśmy się czekaniem i wszyscy przeszliśmy do D-cztery. Jedi Jinzler?

Przez nieskończenie długą sekundę Lorana i Thrass spoglądali po sobie z przerażeniem. Lorana

pierwsza otrząsnęła się z paraliżu i rzuciła do stacji łączności.

- Tu Lorana Jinzler - zawołała zdenerwowana.

- Uliar, zabierz wszystkich z powrotem do rdzenia! Natychmiast, słyszysz mnie? Zabierz wszystkich z powrotem...

- Jinzler, jesteś tam? - rozległ się znowu głos Uliara.

- Jedi, jeśli nas odcięłaś, wkurzę się naprawdę mocno!

- Uliar? - zawołała Lorana. - Uliar!!! Nie było odpowiedzi.

- On cię nie słyszy - powiedział Thrass.

- Komunikator nie odbiera z tamtej strony.

Lorana odwróciła głowę, żeby spojrzeć na planetoidę. Tętno gwałtownie pulsowało jej w skroniach. D-Cztery. Dlaczego musieli iść akurat na D-Cztery?

Dlatego, że znajdował się najbliżej szkółki Jedi, gdzie ich zostawiła. To chyba jasne. A teraz było tam pięćdziesięcioro siedmioro ludzi, całkowicie nieświadomych tego, co ich czeka.

Thrass obserwował ją z napięciem.

- Nie mamy wyboru - szepnęła bezradnie.

- Musimy obrócić się i ustawić D-cztery na górze.

Thrass nawet nie mrugnął. Widocznie doszedł do tego samego wniosku.

- A to znaczy, że D-jeden, czyli nasz, znajdzie się na samym dole - podsumował.

I weźmie na siebie cały impet uderzenia.

- Nie mamy wyjścia - odezwała się znów Lorana.

- Możemy tylko liczyć na to, że dolny dreadnaught przejmie całą siłę zderzenia, a inne nie zostaną naruszone. Wiemy, że właściwie wszystkie mogą uderzyć z jednakową siłą i ulec dekompresji. Musimy jednak utrzymać D-cztery jak najdalej od skały.

- Rozumiem.

- Thrass zawahał się.

- Wiesz, wciąż jeszcze możesz uciec. Zdasz dotrzeć do rdzenia, zanim uderzymy... może nawet do D-cztery.

Lorana pokręciła głową.

- Sam nie poradzisz sobie z lądowaniem - przypomniała mu.

- Za to ja sobie poradzę, więc ty uciekaj.

- A kto uchroniłby pozostałe systemy przed samozniszczeniem, kiedy ty oczyszczałaabyś dla mnie drogę przez pylon? - odparował Thrass.

- Nie, Jedi Jinzler. Zdaje się, że oboje oddamy życie za twoich ludzi.

Lorana nic nie widziała przez łyzy. Gdzieś w głębi, w najtajniejszych zakątkach umysłu, zastanawiała się, dlaczego aż tak zależało jej na tym, by Car'das zawiózł do domu jej wiadomość. Teraz wiedziała, że było to za subtelną zachętą Mocy.

- Nie jest to taki tymczasowy dom, jaki sobie dla nich wyobrażałem - ciągnął Thrass ze spuszczoną głową.

- Zdaje się, że może stać się znacznie mniej tymczasowy, niż sobie tego życzyłem.

- Ale twoi ludzie kiedyś tutaj dotrą - zapewniła Lorana, zastanawiając się, po co właściwie to mówi. Pobożne życzenia? Czy kolejne dotknięcie Mocy?

- A do tego czasu wystarczy żywności i zapasów, żeby mogły przetrwać całe pokolenia. Przeżyją, wiem, że tak się stanie.

- Więc przygotujmy się na koniec.

- Thrass zawahał się, ale wyciągnął do niej rękę.

- Znałem ciebie i twoich współtowarzyszy tylko przez krótką chwilę, Jedi Lorano Jinzler. Ale przez ten czas nauczyłem się was podziwiać i szanować. Mam nadzieję, że pewnego dnia ludzie i Chissowie będą mogli żyć obok siebie w pokoju.

- Ja też mam taką nadzieję, syndyku Mitth'ras'safis z Ósmego Rodu Panującego - rzekła Lorana, ujmując jego dłoń.

Przez chwilę stali w milczeniu, trzymając się za ręce i szykując na śmierć. A potem Thrass odetchnął głęboko i uwolnił jej dłoń.

- No to doprowadźmy do końca ten rozdział historii - powiedział rzeczowo.

- Niech fortuna wojowników uśmiechnie się do nas.

- Właśnie - dodała Lorana.

- I niech Moc będzie z nami.
- Wskazała ręka na D-Cztery.
- I z nimi.
- Jak widzicie, pozostawiliśmy wasz statek i sprzęt nietknięte
- powiedział Mitth'raw'nuruodo, wskazując drogę, kiedy wraz z Dorianą i Kavem zdążali przez mostek „Darkvenge” do punktu dowodzenia Kava.
- Wiem, że niektórzy z was obawiali się tego - dodał, spoglądając przez ramię na Kava. Neimoidianin nie odpowiedział.
- Tak czy owak, na pewno chętnie wrócicie już do domu - ciągnął Mitth'raw'nuruodo, kiedy weszli do gabinetu.
- Jest jeszcze jedna lub dwie sprawy, które chciałbym z wami załatwić, zanim wyjedziecie.
- Proszę bardzo - rzekł Dorianą, pospiesznie schodząc z drogi; Kav przepchnął się obok niego, otarł się o Mitth'raw'nuruodo i okrążył biurko, aby z wyzywającą miną zasiąść na swoim ozdobnym fotelu.
- Zrobimy wszystko, co potrzeba - dodał Dorianą, przysuwając sobie krzesło do rogu biurka.
- Dziękuję - odrzekł Mitth'raw'nuruodo, siadając w fotelu stojącym na drugim narożniku i wpatrując się w Dorianę poprzez blat.
- Chyba wszyscy chcemy dopilnować, żeby ten kontakt pomiędzy naszymi rasami pozostał ostatnim.
- Nie rozumiem - zdziwił się ostentacyjnie Dorianą.
- Do tej pory nasze wzajemne relacje okazały się korzystne. Czemu nie mielibyśmy kontynuować?
- Daj spokój, komandorze - łagodnie zwrócił mu uwagę Mitth'raw'nuruodo.
- Moja część układu jest już zabezpieczona, oczywiście. Nie macie pojęcia, gdzie jest moja baza, ani gdzie znajdują się światy Dynastii Chissów. Możemy ukrywać się przed wami tak długo, jak długo zechcemy.
- Zawiesił głos. - Dlatego tylko od was zależy, co zrobicie, abym nigdy nie dotarł do Republiki z informacjami o waszej zdradzie Lotu Pozagalaktycznego.

Dorianą wytrzeszczył oczy, czując, że wokół serca zaciska mu się lodowata dłoń. Czy Mitth'raw'nuruodo wiedział o jego układzie z Kavem? Czy on, lub jakikolwiek inny Chiss, mógł

widzieć moment przekazania mu miotacza?

A może komandor wydedukował, że Doriana zamierza go zabić?

Powoli, niemal bezwiednie, sięgnął do miotacza. Mitth'raw'nuruodo nie mógł tego widzieć za blatem biurka. Oczywiście, właśnie w ten sposób należy zatrzeć za sobą ślady, mówił sobie w duchu Doriana. Niezałatwione sprawy mogą później okazać się fatalne dla kogoś, kto prowadzi podwójne życie, tak jak on. Sidious na pewno by na to nalegał, zwłaszcza że Mitth'raw'nuruodo widział lorda Sithów i słyszał jego imię.

A po śmierci pięćdziesięciu tysięcy ludzi na pokładzie Lotu Pozagalaktycznego, jeden trup mniej lub więcej doprawdy nie miał znaczenia.

Mitth'raw'nuruodo wciąż czekał, obserwując go w milczeniu. Doriana zacisnął palce wokół rękojeści miotacza...

I znieruchomiał. Mitth'raw'nuruodo, doskonały taktyk. Równie doskonały strateg. Istota, która potrafi porwać się na okręty wojenne Republiki, wędrownych piratów, a nawet Jedi - i z wszystkimi zwyciężyć.

A Dorianie przyszło do głowy zabicie kogoś takiego?

- Na co czekasz? - niecierpliwie wtrącił się Kav, przerywając mu tok myślenia.

- Jest sam i bezbronny. Zastrzel go.

Doriana uśmiechnął się kwaśno. Ukryte napięcie, które drażyło go od chwili zniszczenia jego sił zadaniowych, nagle uleciało.

- Nie opowiadaj bzdur, wicelordzie - burknął. Wyjął miotacz, pochylił się i położył go na pustym krześle pomiędzy nim a Mitth'raw'nuruodo. - Prędzej roztrzaskam tysiącletni kryształ, niż zabiję kogoś takiego.

Mitth'raw'nuruodo skłonił głowę z błyskiem w oku.

- A więc nie myliłem się co do ciebie - rzekł.

- Właściwie nie - zgodził się Doriana.

- Ale ty chyba w ogóle rzadko się mylisz.

- Taak? Niech to będzie twój ostatni błąd! - syknął Kav, uderzając w podłokietnik fotela, w którym siedział. Ukryty panel odskoczył z lekkim stukiem. Kav jednym płynnym ruchem chwycił swój miotacz, wycelował w Mitth'raw'nuruodo i strzelił.

Strzał nie dotarł do celu. Odbił się od delikatnej mgiełki, która nagle pojawiła się między nimi, i

rykoszetem trafił w pierś Kava.

Neimoidianim miał akurat tyle czasu, aby otworzyć usta w zdumieniu, zanim opadł na blat i znieruchomiał.

Dopiero wtedy Doriana przeniósł zaskoczone spojrzenie z ciała Kava na mgiełkę otaczającą biurko. Rozpoznał jej kształt i barwę.

Spojrzał na Mitth'raw'nuruodo nad brzegiem tarczy.

- To było pewne ryzyko, prawda? - zapytał, usiłując zachować luźny ton rozmowy.

- Właściwie nie - zapewnił go tamten. - Generator tarczy dość łatwo dał się wyjąć z jednej z dostarczonych mi droidek, a jak już kiedyś powiedziałem, mamy pewne doświadczenie z odwracaniem polaryzacji takich urządzeń.

- No i łatwo było też przewidzieć, że Kav zechce zasiąść w swoim fotelu i za swoim biurkiem, tym samym wystawiając się na pewną zgubę.

- Myślałem o ryzyku, jakie podjąłeś, kiedy zamierzałem cię zabić - rzekł Doriana.

- Tarcza nie zablokowałaby mojego strzału.

- To prawda - zgodził się Mitth'raw'nuruodo. - Ale musiałem się upewnić, że jesteś kimś, komu mogę zaufać.

- Dlaczego? - zmarszczył brwi Doriana. Mitth'raw'nuruodo przez chwilę nie odpowiadał. Wreszcie, pochylając się nad blatem, wziął do ręki miotacz, który Doriana odłożył.

- Ty i twój mistrz Darth Sidious opowiedzieliście mi o istotach zwanych przez was Przybyszami z Daleka, którzy zbierają się na skraju galaktyki - rzekł, obracając broń w palcach.

- Czy kiedykolwiek widzieliście te istoty?

- O ile wiem, nikt ich nie widział - przyznał Doriana.

- Tak sądziłem - mruknął Mitth'raw'nuruodo, patrząc w dal.

- Za to my ich widzieliśmy.

Po plecach Doriany przebiegł zimny dreszcz.

- Gdzie?

- Na odległej granicy dziedzictwa Dynastii Chissów - odparł Mitth'raw'nuruodo posępnym tonem.

- Była to niewielka grupa zwiadowcza, ale walczyli z dziką zjadłością, zanim udało się ich wreszcie odeprzeć.
- Ile mieli statków? - zapytał Dorian, a jego umysł zaczął pracować z oszałamiającą prędkością. Darth Sidious żądał takich informacji. Jeśli będzie ich wystarczająco dużo, może nawet zdoła wybaczyć Dorianie stratę sił zadaniowych Federacji Handlowej.
- Jaką mieli broń? Czy masz jakieś dane bojowe?
- Mam trochę - odparł Mitth'raw'nuruodo.
- Admirał Ar'alani dowodziła wtedy siłami, które ich ostatecznie pokonały. Dlatego teraz przybyła, aby osobiście przesłuchać Car'dasa i jego towarzyszy. Zastanawialiśmy się, czy Republika, o której mówił, mogła być z nimi sprzymierzona.
- Dlatego tak chętnie odwróciła wzrok, kiedy rozprawiałeś się z Vagaari - domyślił się Dorian. Wreszcie ostatnia kostka układanki trafiła na swoje miejsce.
- Wojna na dwóch frontach - byłaby szczególnie nieprzyjemna.
- Właśnie - zgodził się Mitth'raw'nuruodo i Dorian zauważył, że komandor jest zadowolony z jego szybkiej dedukcji.
- Moje działania były sprzeczne z oficjalną polityką Chissów, ale admirał wiedziała równie dobrze jak ja, że Vagaarich trzeba załatwić tak szybko i ostatecznie, jak to jest możliwe. Porozmawiam z nią, a jeśli się zgodzi, dam ci kopię informacji, których szukasz.
- Dziękuję - odparł Dorian.
- Jeszcze jedno... Niedawno wspomniałeś o zaufaniu między nami. Co właściwie miałeś na myśli?
- Na razie nic - odparł Mitth'raw'nuruodo.
- Każdy z nas ma własny naród, którego musi bronić, i własną politykę. Ale w przyszłości, kto wie? Może pewnego dnia nasze narody będą walczyć ramię w ramię z tym zagrożeniem.
- Mam nadzieję - powiedział Dorian.
- Sam zamierzam współpracować z naszymi przywódcami najlepiej, jak to będzie możliwe, aby przygotować się do tego dnia.
- Ja również - zapewnił Mitth'raw'nuruodo.
- Choć z mojej strony przeszkody mogą być trudne do pokonania.

Dorian pomyślał o lordzie Sidiousie i jego nienawiści do nie ludzi. Z jego strony to także nie będzie

łatwe.

- Widziałem, jak dokonujesz militarnych cudów - rzekł.
- Uważam, że jesteś zdolny również do cudów politycznych.
- Możliwe - odparł Mitth'raw'nuruodo.
- Mój brat może ci pomóc w tych sprawach, kiedy wróci.
- Wstał i podał mu miotacz.
- W każdym razie ty i twój statek możecie swobodnie odlecieć.

Doriana odsunął podawaną mu broń.

- Zachowaj ją, komandorze - rzekł.
- Niech to będzie pamiątka naszego pierwszego wspólnego zwycięstwa.
- Dziękuję - poważnie odparł Mitth'raw'nuruodo, wsuwając miotacz do kieszeni.
- Oby nie było ostatnie.
- To prawda - zgodził się Doriana.
- A to mi przypomina o jeszcze jednej drobnej kwestii, którą chciałem z tobą przedyskutować...
- Żartujesz - odezwał się Car'das, marszcząc brwi i zerkając na Thrawn.
- Daje mi pracę?
- Nie tyle pracę, co wysokie stanowisko przywódcze - poprawił Thrawn.
- Chciał, abym cię zaprosił na pokład „Darkvenge”, gdzie w drodze powrotnej do Republiki mógłby przedyskutować z tobą tę kwestię.
- To nie ma sensu - zaprotestował Car'das.
- Niedawno ukończyłem szkołę. Na jakie wysokie stanowisko mogę się kwalifikować?
- Wiek niekoniecznie jest najlepszym miernikiem talentu i umiejętności - zauważył Thrawn.
- Jeśli chodzi o ciebie, był pod ogromnym wrażeniem roli, jaką odegrałeś w zwabieniu Vagaarich na miejsce ataku. Okazałeś się inteligentny, pomysłowy, potrafiłeś zachować zimną krew pod ostrzałem. On ceni te cechy równie wysoko, jak ja.

Car'das w zadumie potarł policzek. Jasne, to było śmieszne... ale jednocześnie ogromnie intrygujące, zbyt intrygujące, aby z miejsca odmówić.

- Powiedział może, co to za zajęcie?

- Podejrzewam, że będzie ono częściowo obejmować te same przemysłowe zajęcia, którym oddawałeś się u boku kapitana Quennto - rzekł Thrawn.

- Jednak twoim głównym zadaniem będzie stworzenie i prowadzenie pod przykrywką tych działań prywatnej siatki informacyjnej.

Car'das wydał wargi. Kwestia przemytu była dyskusyjna, za to ta druga część wydawała się ogromnie interesująca.

- Chyba nie oczekuje, że zbuduję tę siatkę w pojedynkę? Thrawn pokręcił głową.

- Zacznie od tego, że sam będzie cię szkolił przez kilka miesięcy i uczył na bieżąco. Potem przekaże ci część swoich kontaktów i zasobów w Republice, z których będziesz mógł korzystać.

- Domyślam się, że są naprawdę imponujące - mruknął Car'das, myśląc gorączkowo. To znaczy, że koniec z koszmarnym traktowaniem klientów i konkurencji przez Quennto. Koniec statków, które rozpadają się pod stopami z powodu braku pieniędzy lub zainteresowania. A co najważniejsze, koniec z Huttami.

- Oczywiście, decyzja należy do ciebie - przypomniał Thrawn.

- Ale moim zdaniem masz wszystkie niezbędne cechy, aby spisać się doskonale w takiej pracy.

- A w dodatku zwiększy to także moją użyteczność jako przyszłego kontaktu na terenie Republiki - z uśmiechem odparł Car'das.

Thrawn uśmiechnął się także.

- Jak powiedziałem, masz wszystkie niezbędne cechy.

- No cóż, nie zaszkodzi sprawdzić.

- Car'das przyjrzał się uważnie twarzy Thrawna.

- Czy jest coś jeszcze? Ku jego zdumieniu Thrawn naprawdę się zawahał.

- Chciałem cię poprosić o uprzejmość - rzekł wreszcie.

- Nie wiem, na jakim statku zechcesz wrócić, ale proszę, abyś nigdy nie mówił Quennto i Ferasi, co się stało z Lotem Pozagalaktycznym.

Car'das skrzywił się lekko. Sam też już o tym myślał. Bardzo dużo myślał.

- Zwłaszcza Ferasi?

- Zwłaszcza jej - odparł Thrawn z odcieniem smutku w głosie.

- W tym wszechświecie brakuje idealistów, Car'das. Mało kto stara się zawsze znaleźć w innych coś dobrego. Nie chciałbym ponosić odpowiedzialności za zniszczenie złudzeń bodaj jednego z nich.

- No i lubiłeś to bezwarunkowe uwielbienie, jakim Maris cię darzyła, prawda?

Thrawn uśmiechnął się blado.

- Każdy by docenił taki podziw - rzekł.

- Widzę, że masz doskonałe wyczucie i umiesz czytać w sercach innych istot. Stratis dobrze wybrał.

- O tym to się dopiero przekonamy - odparł Car'das i wyciągnął dłoń.

- Cóż... żegnaj, komandorze. Poznać cię było dla mnie wielkim zaszczytem.

- I wzajemnie - rzekł Thrawn, ujmując podaną rękę.

- Żegnaj... Jorj.

- No, nie wiem - mruknął Quennto, kręcąc głową.

- Za moje pieniądze... to wcale nie brzmi najlepiej.

- Nic mi nie będzie - zapewnił go Car'das.

- Thrawn twierdzi, że Stratis nie należy do tych ludzi, którzy chcieliby zwabić mnie na pokład tylko po to, by mi narobić problemów. To nie w jego stylu.

- Może i tak - mruknął Quennto.

- A może i nie. Gość taki jak on na pewno wolałby, abyś nie trąbił o jego wyczynach na wszystkich ulicach i placach Coruscant.

- A co z nami? - zapytała Maris.

- Wiemy, co Stratis planował dla Lotu Pozagalaktycznego.

- Ale nie znacie jego prawdziwego nazwiska - przypomniał jej Car'das.

- Macie tylko pseudonim i plotki. Nic wam to nie da.

- Nawet gdybyśmy okazali się dość głupi, żeby spróbować? - zapytał Quennto, rzucając Maris ostrzegawcze spojrzenie.

- Nawet wtedy - zgodził się Car'das. Miał nadzieję, że żadne z nich nie przypomni sobie, iż znają prawdziwe nazwisko Kava. Poza tym Kav to dość popularne neimoidiańskie imię, a skoro sam wicelord nie żyje, chyba nie będzie z nim wielkiego problemu. Sam Stratis nie wydawał się tym specjalnie przejęty. - W każdym razie Thrawn ręczy za gościa.

- A mnie to wystarczy - zgodziła się Maris.

- Mam tylko nadzieję, że Drixo Hutt będzie równie rozsądna.

- Nie martw się o Drixo - burknął Quennto.

- Nie będzie robiła problemów, kiedy zobaczy ten dodatkowy ładunek. Uspokoi się na pewno. Może nawet namówię ją na małą premię?

Maris wzniosła oczy w górę.

- Znowu to samo.

- Hej, jestem biznesmenem - zaprotestował Quennto.

- Właśnie tym się zajmuję.

- Tylko działaj ostrożnie, dobrze? - poprosił Car'das.

- Nie chcę się ciągle martwić o was dwoje.

- Martw się tylko o siebie - złowróźnie wycedził Quennto, celując grubym palcem w pierś Car'dasa.

- Cokolwiek powie Thrawn, mnie się ten Stratis wydaje śliski jak naoliwiony Dug i dwa razy bardziej wredny.

- A to, że Thrawn zmarnował mu atak na Lot Pozagalaktyczny, też niewiele pomogło - dodała Maris i lekko zmarszczyła czoło.

- Bo przecież Thrawn powstrzymał ich atak, prawda?

Car'das poczuł ucisk w żołądku. Maris była jego towarzyszką przez całe pół roku - walczył z nią razem i pracował. A co więcej, uważał ją za przyjaciela.

Nigdy wcześniej nie okłamał przyjaciela. Czy naprawdę chciałby zacząć właśnie teraz? I to jeszcze tak straszliwym kłamstwem?

I nagle w jego głowie rozległy się znów słowa Thrawna: „W tym wszechświecie brakuje idealistów”...

Prawda nie pomoże zabitym z Lotu Pozagalaktycznego. Może tylko sprawić przykrość Maris.

- Oczywiście, że powstrzymał atak Stratisa - rzekł z całą szczerością, na jaką było go stać. - Byłem tam, kiedy Lot Pozagalaktyczny odlatywał.

Zmarszczka na czole Maris wygładziła się i kobieta uśmiechnęła się lekko.

- Wiedziałaś, że to potrafi - powiedziała i wyciągnęła rękę. - Wszystkiego dobrego, Jorj... uważaj na siebie. Może jeszcze się kiedyś spotkamy.

Car'das z trudem zmusił się do uśmiechu, ujmując jej dłoń.

- Tak - rzekł łagodnie.

- Na pewno.

Potężny wstrząs minął, dygotanie uspokoiło się i na pociemniałym pokładzie powoli zaczął opadać kurz. Uliar powoli i ostrożnie unióśł głowę spomiędzy sterty poduszek foteli, w których się schował. Skrzywił się, gdy ukłucie bólu przeszło mu kark.

- Hej! - zawołał, a jego głos odbił się upiornym echem w ciszy pomieszczenia.

- Uliar, to ty? - rozległ się drugi głos.

- Tu... - urwał i zaniósł się kaszlem.

- Tu Pressor - powiedział już normalnie jego towarzysz.

- W porządku?

- Tak, chyba tak - odparł Uliar, wstając i niepewnym krokiem ruszając w stronę głosu. Wszystkie światła pogasły, jeśli nie liczyć niezniszczalnych awaryjnych paneli świetlnych. D-Cztery w ich blasku niepokojąco przypominał grobowiec.

- A co z tobą?

- Myślę, że dobrze - odparł Pressor. Spod biurka w drugiej części pomieszczenia wypełzły dwa cienie, przybierając kształty Dilliana Pressora i jego syna Jorada.

- Gdzie pozostali?

- Nie wiem - rzekł Uliar.

- Kiedy dostaliśmy ostrzeżenie o kolizji, wszyscy pobiegli gdzieś się schować.
- Rozejrzał się wokoło.
- Ale bałagan.
- Owszem, niezły - ponuro zgodził się Pressor, ścierając strumyczek krwi z policzka. - Ciekawe, co się stało.
- To nie brzmiało jak strzały z lasera czy torpedy energetyczne - zastanowił się Uliar.
- Poza tym nic więcej nie przychodzi mi do głowy.
- Cóż, wszystko we właściwym czasie - uznał Pressor.
- Musimy zebrać wszystkich, poszukać wody, jedzenia i leków. A potem możemy się rozejrzeć za zasilaniem i miejscem do mieszkania. I dopiero na końcu trzeba będzie sprawdzić, czy dostaniemy się na mostek i dowiemy się, co się u licha stało.

Zaczął przedzierać się przez gruzy. Jorad dreptał u jego boku, mocno ściskając go za rękę.

- Dobrze, że nas ostrzegłeś, bardzo dobrze - powiedział Uliar, kiedy dotarli do wyjścia.
- Skąd wiedziałeś, że coś się dzieje?

Pressor pokręcił głową.

- Nie wiem - rzekł. - Tak mi się to pojawiło w mózgu.
- Chcesz powiedzieć, że tak jak u Jedi, czy jak?
- Chas, ja nie jestem Jedi - odparł stanowczo Pressor.
- Prawdopodobnie usłyszałem, jak coś się rusza albo ociera o pancierz. Jakiś kamyk z asteroidy albo tarcie atmosferyczne. Coś w tym stylu.

Ale czy Pressor był Jedi, czy nie, było w nim coś bardzo dziwnego. Po tym zaś, co Jedi zrobili z Lotem Pozagalaktycznym, Uliar postanowił uważnie obserwować Pressora i jego rodzinę. Bardzo, bardzo uważnie.

Tymczasem jednak trzeba było zająć się takim drobiazgiem jak przetrwanie. Uchyłając się pod skręconym i zwisającym z sufitu panelem, podążył za Pressorem w głąb korytarza.

Spis treści

[ROZDZIAŁ 1](#)
[ROZDZIAŁ 2](#)
[ROZDZIAŁ 3](#)
[ROZDZIAŁ 4](#)
[ROZDZIAŁ 5](#)
[ROZDZIAŁ 6](#)
[ROZDZIAŁ 7](#)
[ROZDZIAŁ 8](#)
[ROZDZIAŁ 9](#)
[ROZDZIAŁ 10](#)
[ROZDZIAŁ 11](#)
[ROZDZIAŁ 12](#)
[ROZDZIAŁ 13](#)
[ROZDZIAŁ 14](#)
[ROZDZIAŁ 15](#)
[ROZDZIAŁ 16](#)
[ROZDZIAŁ 17](#)
[ROZDZIAŁ 18](#)
[ROZDZIAŁ 19](#)
[ROZDZIAŁ 20](#)
[ROZDZIAŁ 21](#)
[ROZDZIAŁ 22](#)
[ROZDZIAŁ 23](#)
[ROZDZIAŁ 24](#)